

scott

smith

W MEKSYKAŃSKIEJ DŻUNGLI CZEKA CIĘ KOSZMAR...

RUINY





ŚWIATOWY BESTSELLER

Najlepsza powieść z gatunku horroru
ostatniego dziesięciolecia
RUINY to jeden wielki krzyk przerażenia...

STEPHEN KING



scott
smith
RUINY

Z angielskiego przełożyła
DANUTA GÓRSKA



WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału:
RUINS

Copyright © Scott B. Smith Inc. 2006 All
rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wy-
dawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Danuta Górka 2007

Redakcja: Ewa Biernacka

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-548-4

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

fk

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl
www.empik.com
www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I
Skład: Laguna
Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

Dla Elizabeth, która zna grozę

Pragnę podziękować mojej żonie Elizabeth Hill, wydawcy Victorii Wilson oraz agentkom, Gail Hochman i Lynn Pleshette, za ich wielkoduszną pomoc przy tworzeniu tej książki. Ponadto następujące osoby czytały manuskrypt w niewykończonej roboczej wersji i wygłaszały krytyczne uwagi oraz komentarze, które nieodmiennie mi pomagały: Michael Cendejas, Stuart Cornfeld, Carlyn Coviello, Carol Edwards, Marianne Merola, John Pleshette, Doug i Linda Smith oraz Ben Stiller. Dziękuję im wszystkim.

Poznali Mathiasa na jednodniowej wycieczce do Cozumel. Wybrali się na nurkowanie przy zatopionym statku, i nawet wynajęli przewodnika, ale boję wskazującą położenie wraku zerwał sztorm i przewodnik nie mógł znaleźć właściwego miejsca. Więc po prostu pływali dookoła bez konkretnego celu. I wtedy z wody wynurzył się Mathias. Wypłynął ku nim z głębiny niczym tryton, z akwalungiem na plecach. Uśmiechnął się, kiedy mu wyjaśnili sytuację, i skierował ich do wraku. Był Niemcem, ogorzałym od słońca, wysokim, z krótko ściętymi blond włosami i bladoniebieskimi oczami. Na prawym przedramieniu miał tatuaż, czarnego orła z czerwonymi skrzydłami. Pożyczał im akwalung, każdemu po kolei, żeby mogli zejść na dziewięć metrów i obejrzeć wrak z bliska. Okazywał im spokojną życzliwość i mówił po angielsku tylko z lekkim akcentem, a kiedy wdrapali się z powrotem na łódź przewodnika, żeby wrócić na brzeg, wszedł razem z nimi. Greków poznali dwa wieczory później, na plaży niedaleko hotelu w Cancun. Stacy się upiła i obściskowała z jednym z nich. Nic więcej nie zaszło, ale odtąd niezależnie od tego, co akurat robili czy dokąd się wybierali, Grecy zawsze byli w pobliżu. Oczywiście żadne z nich nie znało greki, a Grecy nie mówili po angielsku, więc kontakty ograniczały się do uśmiechów, kiwania głowami, czasem dzielenia się jedzeniem

czy piciem. Trzej Grecy mieli niewiele ponad dwadzieścia lat, tak samo jak Mathias i reszta — wydawali się nastawieni przyjaźnie, chociaż jednocześnie jakby ich śledzili.

Grecy nie tylko nie mówili po angielsku, nie znali też hiszpańskiego. Przybrali jednak hiszpańskie imiona, co ich widocznie bardzo bawiło. Przedstawili się jako Pablo, Juan i Don Kichot, wymawiając imiona z dziwnym akcentem i stukając się w piersi. Właśnie z Don Kichotem Stacy się miziała. Wszyscy jednak wyglądali podobnie — barczyści masywni, z długimi ciemnymi włosami związanymi z tyłu w kucyki — toteż nawet Stacy z trudem ich rozróżniała. Możliwe, że dla żartu zamieniali się imionami, więc ten, który we wtorek odgrywał Pabla, w środę upierał się z uśmiechem, że ma na imię Juan.

Zwiedzali Meksyk od trzech tygodni. Był sierpień, idiotyczna pora, żeby podróżować na Jukatan. Za gorąco, zbyt wilgotno. Prawie codziennie po południu zrywały się burze, nagłe ulewy, które w kilka sekund mogły zalać ulicę. Z nastaniem mroku nadlatywały ogromne huczące chmury moskitów. Amy początkowo narzekała i żałowała, że nie pojechali do San Francisco. W końcu Jeff stracił cierpliwość i nagadał jej, że psuje innym przyjemność, więc przestała mówić o Kalifornii — o jasnych, rześkich dniach, tramwajach, wieczornej mgle. W końcu tutaj wcale nie było tak źle — tanio i mało ludzi. Postanowiła więc wykorzystać ten pobyt jak

Było ich czworo: Amy, Stacy, Jeff i Eric. Amy i Stacy były najlepszymi przyjaciółkami. Na wyjazd obcięły włosy krótko na chłopaka i nosiły jednakowe panamskie kapelusze, w których pozowały do zdjęć, stojąc obok siebie. Wyglądały jak siostry — Amy jasna, Stacy ciemna — drobne, ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu, szczupłe, niemal eteryczne. Zachowywały się też jak siostry: szeptane sekrety, porozumienie bez słów, znaczące spojrzenia.

Jeff był chłopakiem Amy, Eric — chłopakiem Stacy. Chłopcy przyjaźnili się, chociaż właściwie wcześniej nie byli przyjaciółmi. To Jeff wpadł na pomysł podróży do Meksyku,

ostatniego wyskoku, zanim on i Amy zaczną szkołę medyczną na jesieni. Znalazł sporo informacji w Internecie: tanio, nie można przepuścić takiej okazji. Mieli zamiar spędzić trzy leniwe tygodnie na plaży, na opalaniu się i nicnierobieniu. namówił Amy, żeby z nim pojechała, potem Amy namówiła Stacy, a Stacy namówiła Erica.

Mathias powiedział im, że przyjechał do Meksyku z młodszym bratem Henrichem, ale Henrich zaginął. Była to skomplikowana historia i żadne z nich nie rozumiało wszystkich okoliczności. Za każdym razem, kiedy pytali o to Mathiasa, denerwował się i odpowiadał niejasno. Przerzucał się na niemiecki, wymachiwał rękami i łzy napływały mu do oczu. W końcu przestali go wypytywać, dalsze naciskanie wydawało się niegrzeczne. Eric uważał, że w grę wchodzi narkotyki, że brat Mathiasa ukrywał się przed władzami, ale czy ścigały go władze niemieckie, amerykańskie czy meksykańskie, tego nie wiedział. W każdym razie doszło do jakiejś bójki, tyle wszyscy zrozumieli. Mathias pokłócił się z Henrichem, może nawet go uderzył, a potem Henrich znikł. Mathias oczywiście się martwił. Czekał na brata, żeby razem z nim wrócić samolotem do Niemiec. Czasami wydawał się przekonany, że Henrich w końcu się pojawi i wszystko dobrze się skończy, ale kiedy indziej jakby w to nie wierzył. Mathias był skryty z natury, typ raczej słuchacza niż gawędziarza, skłonny do nagłych napadów chandry, zwłaszcza w tej sytuacji. Cała czwórka bardzo się starała go rozweselić. Eric opowiadał kawały. Stacy naśladowała różne osoby. Jeff wskazywał interesujące widoki. A Amy robiła mnóstwo zdjęć, nakazując wszystkim się uśmiechać.

We dnie opalali się na plaży, pocąc się jedno przy drugim na jaskrawych ręcznikach. Pływali i nurkowali z maską, spiekli się i skóra im złaziła. Jeździli konno, wiosłowali w kajakach, grali w minigolfa. Któregoś popołudnia Eric namówił towarzystwo na wynajęcie żaglówki, okazało się jednak, że nie ma takiej wprawy w żeglowaniu, jak utrzymywał, i musieli zostać

doholowani do brzegu. Kosztowało ich to sporo wstydu i pieniędzy. Wieczorami jedli owoce morza i pili za dużo piwa.

Eric nie wiedział o Stacy i tym Greku. Poszedł spać po obiedzie, a pozostała trójka włączyła się po plaży z Mathiasem. Za jednym z sąsiednich hoteli płonęło ognisko i w altanie grał zespół. Właśnie tam spotkali Greków. Grecy pili tequilę i klaskali do taktu. Podzielili się butelką. Stacy usiadła przy Don Kichocie i było dużo gadania we wzajemnie niezrozumiałych językach, i dużo śmiechu, butelka krążyła wokoło i wszyscy krzywili się od palącego alkoholu, a potem Amy się odwróciła i zobaczyła, że Stacy obejmuje Greka. To nie trwało długo. Pięć minut całowania, nieśmiało dotknięcie jej lewej piersi, a potem zespół zakończył występ. Don Kichot chciał, żeby poszła do jego pokoju, ale ona uśmiechnęła się i pokręciła głową, i na tym się skończyło.

Rano Grecy rozłożyli ręczniki na plaży obok Mathiasa i pozostałej czwórki, a po południu wszyscy razem pływali na nartach wodnych. Kto nie widział całowania, ten by się nie domyślił, Grecy zachowywali się jak pełni szacunku džentelmeni. Eric chyba też ich polubił. Próbował ich nakłonić, żeby go nauczyli brzydkich słów po grecku. Rozczarował się jednak, bo nie potrafił odgadnąć, czy uczyli go właśnie tych słów, na których mu zależało.

Okazało się, że Henrich zostawił list. Mathias pokazał go Amy i Jeffowi któregoś dnia wcześniej rano, w drugim tygodniu wakacji. Napisaną odręcznie po niemiecku wiadomość uzupełniała mapka, niewyraźnie naszkicowana na dole kartki. Oczywiście nie mogli zrozumieć notatki, Mathias musiał im ją przetłumaczyć. Nie dotyczyła narkotyków ani policji — po prostu Eric, jak to Eric, pochopnie wyciągał wnioski, im bardziej dramatyczne, tym lepiej. Henrich poznał na plaży dziewczynę. Przypląnęła tamtego ranka i wybierała się do interioru, gdzie zatrudniono ją do pracy przy wykopalis-

kach archeologicznych. Chodziło o starą kopalnię, może srebra, może szmaragdów — Mathias nie wiedział na pewno. Henrich i dziewczyna spędzili tamten dzień razem. Postawił jej lunch i poszli popływać. Zabrał ją do swojego pokoju, gdzie wzięli prysznic i uprawiali seks. Później wyjechała autobusem. Podczas lunchu narysowała mu na serwetce mapkę z miejscem wykopalisk. Powiedziała, że on też może przyjechać, że chętnie przyjmą każdą pomoc. Po jej wyjeździe Henrich nie przestawał o niej mówić. Nie zjadł obiadu i nie mógł zasnąć. W środku nocy usiadł na łóżku i oznajmił, że wyjeżdża na wykopaliska.

Mathias nazwał go durniem. Co za pomysł, jechać na wykopaliska za dopiero co poznaną dziewczyną, w dodatku nie mając pojęcia o archeologii. Henrich odparł, że to nie jego interes. Nie prosił o pozwolenie, tylko informował o swojej decyzji. Wstał z łóżka i zaczął się pakować. Padły ostre słowa, Henrich cisnął w Mathiasa elektryczną golarką i trafił go w ramię. Mathias rzucił się na brata i przewrócił go. Tarzali się po hotelowej podłodze, szamotali i obrzucali wyzwiskami, dopóki Mathias niechcący nie uderzył Henricha bykiem w usta i nie rozciął mu wargi. Henrich zrobił z tego wielką aferę, pobiegł do łazienki i pluł krwią do zlewu. Mathias ubrał się pospiesznie i wyszedł, żeby przynieść mu lodu, ale w końcu zszedł na dół do całonocnego baru przy basenie. Była trzecia nad ranem. Mathias potrzebował czegoś na uspokojenie. Wypił dwa piwa, pierwsze szybko, drugie powoli. Kiedy wrócił do pokoju, znalazł list na poduszce. Henrich zniknął.

Wiadomość zajmowała trzy czwarte strony, chociaż wydawała się krótsza, kiedy Mathias tłumaczył ją głośno na angielski. Amy podejrzewała, że opuścił jakieś fragmenty, które wolał zachować dla siebie, ale to nie miało znaczenia — ona i Jeff zrozumieli sedno sprawy. Henrich twierdził, że Mathiasowi często myli się rola brata z rolą ojca. Wybaczał mu to, ale nie mógł się z tym pogodzić. Wprawdzie Mathias nawymyślał mu od durniów, on jednak uważał za możliwe, że

dzisiaj rano spotkał miłość swojego życia. Nigdy sobie nie wybaczy — ani Mathiasowi, skoro o tym mowa — jeśli zaprzepaści taką szansę. Spróbuje wrócić przed terminem ich wyjazdu, chociaż nie może obiecać. Ma nadzieję, że Mathias będzie się dobrze bawił bez niego. Jeśli Mathias poczuje się samotny, zawsze może przyjechać do nich na wykopaliska, to tylko pół dnia jazdy na zachód. Mapka na dole kartki — przerysowana z tej, którą dziewczyna naszkicowała na serwetce — wskaże mu drogę.

Słuchając tej opowieści i kulawego tłumaczenia listu, Amy zaczęła rozumieć, że Mathias prosi ich o radę. Siedzieli na werandzie hotelu. Każdego ranka oferowano tu w bufecie śniadaniowym jajka, naleśniki i francuskie grzanki, sok, kawę i herbatę, stopy świeżych owoców. Kilka schodków prowadziło na plażę. Mewy szybowwały w górze, zebrały o resztki jedzenia, srając na parasole rozpięte nad stolikami. Amy słyszała miarowe westchnienia przyboju, widziała samotnego biegacza, starszą parę szukającą muszli, trójkę hotelowych pracowników grabiących piasek. Było bardzo wcześnie, dopiero minęła siódma. Mathias obudził ich, dzwoniąc z wewnętrznego telefonu na dole. Stacy i Eric jeszcze spali.

Jeff nachylił się, żeby obejrzeć mapę. Chociaż niczego takiego nie powiedziano dosłownie, Amy wiedziała, że to do niego Mathias zwraca się o radę. Nie obraziła się, przywykła. Jeff miał w sobie coś, co budziło zaufanie, promieniował kompetencją i pewnością siebie. Amy oparła się wygodnie i patrzyła, jak wyglądał wnętrzem dłoni zagięcia na mapie. Miał ciemne, kędzierzawe włosy i oczy, które zmieniały kolor pod wpływem światła — od orzechowych, poprzez zielone, aż do jasnobrązowych. Nie był równie wysoki i barczysty jak Mathias, lecz pomimo tego wydawał się większy z nich dwóch. Był poważny, spokojny, zawsze spokojny. Amy przypuszczała, że kiedyś, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, te cechy pomogą mu zostać dobrym lekarzem. Albo przynajmniej kimś, kogo ludzie uważają za dobrego lekarza.

Mathias podrygiwał nogą, kolano mu podskakiwało. Była środa rano. Razem z bratem mieli odlecieć do domu w piątek po, południu.

— Jadę — oznajmił. — Przywiozę go. Zabiorę go do domu. Dobrze? Jeff podniósł wzrok znad mapy.

— Wrócisz do wieczora? — zapytał.

Mathias wzruszył ramionami, wskazując mapę. Wiedział tylko tyle, ile napisał mu brat.

Amy rozpoznała niektóre miasteczka na mapie — Tizimin, Valladolid, Coba — nazwy, które widziała w przewodniku. Właściwie nie przeczytała go, obejrzała tylko zdjęcia. Pamiętała zrujnowaną hacjendę na stronicy z Tizimin, rzędy bielonych budynków przy ulicy w Valladolid, gigantyczną kamienną twarz pokrytą winoroślami w Coba. Na mapie Mathiasa widniał duży X gdzieś na zachód od Coba. Tam prowadzono wykopaliska. Jechało się autobusem z Cancun do Coba, skąd należało wziąć taksówkę, żeby zawiozła podróżnego siedemnaście kilometrów dalej na zachód. Tam od szosy odchodziła ścieżka, długa na trzy kilometry, którą musiałeś przejść piechotą. Jeśli dotarłeś do wioski Majów, to poszedłeś za daleko.

Patrząc, jak Jeff ogląda mapę, odgadywała jego myśli. To nie miało nic wspólnego z Mathiasem i jego bratem. Myślał o dżungli, o ukrytych tam ruinach, które można zwiedzać. Rozmawiali ogólnie na ten temat zaraz po przyjeździe: żeby wynająć samochód, miejscowego przewodnika i obejrzeć, co jest do obejrzenia. Ale było tak gorąco, im dłużej dyskutowali, tym mniej im się chciało przedzierać przez dżunglę, żeby robić zdjęcia olbrzymich kwiatów, jaszczurek czy rozsypujących się kamiennych murów. Więc zostali na plaży. Ale teraz? Ranek był zwodniczo chłodny, lekka bryza dmuchała znad wody, Amy podejrzewała, że Jeff woli nie pamiętać o wilgotnym upale panującym tu w ciągu dnia. Tak, z łatwością odgadywała, co sobie myślał: Będzie niezła zabawa. Przez to

całe słońce, jedzenie i picie zapadali w letarg. Taka przygoda pomoże im wrócić do rzeczywistości.

Jeff przesunął mapę po stole z powrotem do Mathiasa.

— Pojedziemy z tobą — oświadczył.

Amy milczała. Siedziała bez ruchu, wciśnięta w oparcie krzesła.

Myślała: Nie, nie chcę jechać, ale wiedziała, że nie może tego powiedzieć na głos. Za dużo narzekała, wszyscy tak mówili. Uważali ją za ponuraka. Nie potrafiła cieszyć się życiem, z niewiadomych powodów nie otrzymała tego daru i teraz wszyscy przez nią cierpieli. W dżungli jest gorąco i brudno, w zacienionych miejscach roi się od moskitów, ale próbowała o tym nie myśleć, próbowała wznieść się ponad to. Mathias był ich przyjacielem, prawda? Pożyczył im akwalung, pokazał, gdzie nurkować. A teraz potrzebował pomocy. Amy pozwoliła, żeby ta myśl okrzepla w jej mózgu niczym ręka zamykająca liczne drzwi, zatraskująca je szybko po kolei, aż zostały tylko jedne otwarte. Kiedy Mathias odwrócił się do niej, szczerząc zęby, ucieszony obietnicą Jeffa, oczekując od niej potwierdzenia, nie miała wyjścia: uśmiechnęła się do niego i kiwnęła głę — Oczywiście — powiedziała.

Ericowi śniło się, że nie może zasnąć. Często miał taki sen, wyrażający zmęczenie i frustrację. W tym śnie próbował medytować, liczyć barany, myśleć o spokojnych rzeczach. W ustach czuł smak wymiotów, chciał wstać i umyć zęby. Czuł też parcie na pęcherz, ale wiedział, że gdyby się poruszył chociaż odrobinę, straciłby na zawsze wszelkie szanse, żeby znowu zasnąć. Więc się nie ruszał, leżał i modlił się o sen, nakazywał sobie zasnąć, ale nie zasypiał. Smak wymiotów i pełny pęcherz nie należały do zwykłych elementów tego snu. Pojawiły się teraz, ponieważ były rzeczywiste. Poprzedniego wieczoru za dużo wypił, wstał przed świtem, żeby się wyrzygać do ubikacji, a teraz musiał się wysikać.

Nawet jego uśpiona jaźń wyczuwała nagłą ciężar tych dwóch impulsów, jakby własna psychika próbowała go przed czymś ostrzec, przed zadławieniem się albo następną falą wymiotów, albo zmoczeniem łóżka.

To Grecy tak go spili. Próbowali go nauczyć pijackiej zabawy, z użyciem kości potrząsanych w kubku. Reguły wyjaśniano mu po grecku, co niewątpliwie je skomplikowało. Eric dzielnie wyrzucał kości i przekazywał kubek, ale nigdy nie rozumiał, dlaczego wygrywał w jednym rzucie, a przegrywał w innym. Początkowo zdawało mu się, że wysokie liczby zwyciężają, ale potem niskie liczby również zaczęły nieregularnie triumfować. Rzucał kości i czasami Grecy na migi kazali mu pić, a kiedy indziej nie kazali. Po jakimś czasie to straciło znaczenie. Nauczyli go kilku nowych słów i śmiali się z tego, jak szybko je zapominał. Wszyscy potężnie się upili, a potem Eric jakoś dowlóknął się do swojego pokoju i

W przeciwieństwie do pozostałych, którzy na jesieni wyjeżdżali na taką czy inną uczelnię, Eric zamierzał podjąć pracę. Zatrudniono go jako nauczyciela angielskiego w prywatnym liceum pod Bostonem. Miał mieszkać w dormitorium z chłopcami, pomagać w pisaniu wypracowań, prowadzić treningi piłki nożnej na jesieni i baseballu na wiosnę. Wierzył, że sobie poradzi. Miał dobre, swobodne podejście do ludzi. Był zabawny, potrafił rozśmieszać dzieci i sprawiał, że zależało im na jego sympatii. Był wysoki i smukły, z ciemnymi oczami i włosami, uważał się za przystojnego. I bystrego: typ zwycięzcy. Stacy wybierała się do Bostonu studiować socjologię. Będą się spotykali w każdy weekend, za rok czy dwa poprosi ją o rękę. Zamieszkają gdzieś w Nowej Anglii, ona dostanie jakąś pracę, żeby pomagać ludziom, a on będzie dalej uczył albo nie. To bez znaczenia. Był szczęśliwy, zamierzał nadal być szczęśliwy, będą razem szczęśliwi.

Eric był z natury optymistą, nadal dziewiczym wobec ciosów, jakie przynosi nawet najbardziej udane życie. Jego

psychika nie dopuszczała prawdziwych koszmarów i teraz też rozpiniała pod nim siatkę bezpieczeństwa. Głos w jego głowie powtarzał: „W porządku, to tylko sen”. Chwilę później ktoś zapukał do drzwi. Stacy stoczyła się z łóżka, a Eric otworzył zapuchnięte oczy i rozejrzał się po pokoju. Zastony były zaciągnięte, ubrania jego i Stacy leżały rozrzucone na podłodze. Stacy zabrała ze sobą kołdrę. Owinąwszy ją wokół ramion, naga pod spodem, stała w drzwiach i z kimś rozmawiała. Eric stopniowo zorientował się, że z Jeffem. Chciał się wysikać, umyć zęby i zapytać, co się dzieje, ale jakoś nie potrafił się zmusić do wstania. Zasnął z powrotem i następne, co zobaczył, to Stacy stojąca nad nim, ubrana w spodnie khaki i podkoszulek, wycierająca włosy ręcznikiem i nalegająca, żeby się pospieszył.

— Dlaczego? — spytał.

Spojrzała na zegarek.

— Odjeżdża za czterdzieści minut — oznajmiła.

— Co odjeżdża?

— Autobus.

— Jaki autobus?

— Do Coba.

— Coba... — Usiadł z trudem i przez chwilę myślał, że znowu zwymiotuje. Kołdra leżała na podłodze pod drzwiami i musiał wysilić pamięć, żeby zrozumieć, skąd się tam wzięła. — Czego chciał Jeff?

— Żebyśmy się zebrali.

— Dlaczego włożyłaś spodnie?

— Mówił, że musimy. Ze względu na robactwo.

— Robactwo? — powtórzył Eric. Coraz mniej ją rozumiał. Ciągłe jeszcze szumiało mu w głowie. — Jakie robactwo?

— Jedziemy do Coba — wyjaśniła. — Do starej kopalni. Obejrzeć ruiny.

Ruszyła z powrotem do łazienki. Usłyszał odkręcaną wodę, co mu przypomniało o pęcherzu. Wygramolił się z łóżka i poczłapał przez pokój do otwartych drzwi. Zapaliła nad

umywałką światło, które raziło go w oczy. Stał przez chwilę w progu, mrugając niepewnie. Odkręciła prysznic i wepchnęła go pod strumień wody. Nie miał na sobie ubrania, musiał tylko przestąpić przez krawędź wanny. Potem namydłał się odruchowo i sikał sobie pod nogi, ale jeszcze się całkiem nie rozbudził. Stacy poganiała go i z jej pomocą zdołał wziąć prysznic, wyszorować zęby, uczesać się, naciągnąć dżinsy i podkoszulek, ale dopiero kiedy zeszli na dół i szybko jedli śniadanie, zaczęło do niego docierać, dokąd jadą.

Wszyscy spotkali się w westybulu, żeby poczekać na furgonetkę, która miała ich zawieźć na dworzec autobusowy. Mathias puścił w obieg list Henricha i wszyscy po kolei gapił się na niemieckie słowa z dziwacznie użytymi wielkimi literami oraz mapkę nagryzmołoną na dole. Stacy i Eric zjawili się z pustymi rękami i Jeff odesłał ich z powrotem do pokoju, żeby zapakowali do plecaka wodę, spray na owady, krem z filtrem, żywność. Czasami miał wrażenie, że tylko on jeden z nich wie, jak podróżować po świecie. Widział, że Eric jeszcze nie zdążył wytrzeźwieć. Stacy nosiła w szkole przezwisko „Gapa”, całkowicie zasłużone. Była marzycielką, lubiła nucić pod nosem, siedzieć i gapić się w przestrzeń. Amy z kolei zwykła się dąsać, kiedy coś jej nie pasowało. Jeff widział, że nie chciała jechać na poszukiwanie brata Mathiasa. Każda czynność zabierała jej trochę więcej czasu niż trzeba. Po śniadaniu znikła w łazience i zostawiła go, żeby sam spakował ich plecak. Potem wyszła, żeby przebrać się w spodnie, i leżała na łóżku twarzą do dołu w samej bieliźnie, dopóki nie kazał jej się ruszyć. Nie rozmawiała z nim, odpowiadała jedynie na jego pytania wzruszeniem ramion albo monosylabami. Powiedział jej, że nie musi jechać, może spędzić dzień sama na plaży, a ona tylko na niego popatrzyła. Oboje niedzieli, że ona zawsze woli być z grupą i robić coś, czego nie lubi, niż zajmować się czymś przyjemnym w samotności.

Kiedy czekali na powrót Erica i Stacy, do westybulu wszedł jeden z Greków. To był ten, który ostatnio nazywał się Pablo. Uściskał każdego po kolei. Wszyscy Grecy lubili się ściskać, robili to przy każdej okazji. Po uściskach odbyli z Jeffem krótką dyskusję, każdy w swoim języku, wspomagając się pantomimą, żeby wypełnić komunikacyjne luki.

— Juan? — zapytał Jeff. — Don Kichot? — Wzniósł ręce i brwi.

Pablo powiedział coś po grecku i wykonał zamach ramieniem. Potem udawał, że holuje wielką rybę, ugięty pod jej ciężarem. Wskazał na swój zegarek, na szóstą, a potem dwunastą.

Jeff kiwnął głową z uśmiechem, pokazując, że zrozumiał: pozostali dwaj poszli na ryby. Wyszli o szóstej i wrócą w południe. Wziął notkę Henricha i pokazał Grekowi. Wskazał Amy i Mathiasa, machnął w górę, w kierunku Stacy i Erica, po czym dotknął Cancun na mapie. Powoli przesunął palcem do Coba, a potem na X oznaczające wykopaliska. Nie potrafił wymyślić, jak wyjaśnić cel ich wycieczki, jakim gestem zamarkować „brata” albo „zaginionego”, więc tylko jeździł palcem po mapie.

Pablo bardzo się zapalił. Uśmiechał się, kiwał głową, wskazywał na własną pierś, a potem na mapę, przez cały czas gadając szybko po grecku. Wyglądało na to, że chce z nimi jechać. Jeff kiwnął głową, pozostali też się zgodzili. Grecy mieszkali w sąsiednim hotelu. Jeff wskazał w tamtym kierunku, potem w dół na gołe nogi Pabla, potem na własne dżinsy. Pablo tylko na niego patrzył. Jeff wskazał na innych, na ich spodnie, i Grek znowu zaczął kiwać głową. Ruszył do wyjścia, ale nagle zawrócił i sięgnął po wiadomość od Henricha. Zaniósł ją do kontuaru recepcji, widzieli, jak pożyczył długopis, kartkę papieru i pochylony zaczął pisać. To mu zabrało sporo czasu. W połowie tej pisaniny wrócili Eric i Stacy z plecakiem. Pablo rzucił długopis i podbiegł, żeby ich

uściskać. On i Eric potrzęsali rakami, rzucając wyobrażone kości. Udawali, że piją, potem roześmiali się i pokręcili głowami. Pablo opowiadał po grecku długą historię, której nikt nie rozumiał. Chodziło w niej chyba o ptaka albo samolot, coś ze skrzydłami, a opowieść zabrała kilka minut. Wydawała się zabawna, a przynajmniej opowiadający tak uważał, bo ciągle przerywał i wybuchał śmiechem. Jego śmiech był zaraźliwy i inni się przyłączyli, chociaż nic nie rozumieli. Wreszcie Pablo wrócił do kontuaru i dokończył to, co robił z notką Henricha.

Kiedy znowu do nich podszedł, zobaczyli, że wykonał własną kopię mapy. Nad nią napisał zdanie po grecku, Jeff zakładał, że to wiadomość dla Juana i Don Kichota, żeby dołączyli do nich na wykopaliskach. Próbował wytłumaczyć Pablowi, że jadą tylko na jeden dzień, że wrócą wieczorem, ale nie potrafił mu tego przekazać. Ciągle pokazywał na zegarek, podobnie jak Pablo, który chyba myślał, że Jeff pyta, kiedy dwaj pozostali Grecy wrócą z połowu. Obaj wskazywali dwunastą, ale Jeff miał na myśli północ, a Pablo — południe. W końcu Jeff się poddał, bo bał się, że uciekną im autobus. Gestem odesłał Pabla do jego hotelu, jeszcze raz pokazując jego gołe nogi. Pablo uśmiechnął się, kiwnął głową, ponownie uściskał ich wszystkich i wybiegł z westybulu, trzymając w ręku kopię mapy Henricha.

Jeff czekał przy frontowych drzwiach, wypatrując furgonetki. Za jego plecami Mathias chodził tam i z powrotem, składając i rozkładając wiadomość od Henricha, wsuwając ją do kieszeni tylko po to, żeby zaraz znów ją wyciągnąć. Stacy, Eric i Amy siedzieli razem na kanapie pośrodku westybulu i kiedy Jeff na nich spojrział, nagle się zawahał. Zrozumiał, że nie powinni jechać, to był okropny pomysł. Ericowi ciągle opadała głowa, był pijany, przemęczony i prawie zasypiał. Amy dąsała się z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i oczami wbitymi w podłogę. Stacy włożyła sandały bez skarpetek, za kilka godzin stopy będzie miała pogryzione

przez owady. Jeff nie wyobrażał sobie, że ma towarzyszyć tej trójce w trzykilometrowym marszu przez jukatański upał. Wiedział, że powinien to wyjaśnić Mathiasowi i przeprosić. Musiał tylko obmyślić, jak to powiedzieć, żeby Mathias zrozumiał, a wtedy spędzą kolejny leniwy dzień na plaży. To powinno być całkiem łatwe, znaleźć odpowiednie słowa, i Jeff właśnie zaczął je układać w głowie, kiedy wrócił Pablo ubrany w dzinsy, niosąc plecak. Znowu nastąpiły uściski i wszyscy mówili jednocześnie. Potem zajęła furgonetka i załadowali się do niej jedno po drugim, i nagle zrobiło się za późno, żeby pomówić z Mathiasem, za późno, żeby nie jechać. Włączyli się w ruch uliczny, oddalali się od hotelu, plaży, wszystkiego, co tak dobrze poznali przez ostatnie dwa tygodnie. Tak, wyruszyli w drogę, odjeżdżali, odjechali, znikli.

Kiedy Stacy biegła za innymi na dworzec autobusowy, jakiś chłopak złapał ją za pierś. Sięgnął od tyłu i ścisnął mocno, boleśnie. Stacy okręciła się, usiłując oderwać jego rękę od swojego ciała. O to właśnie chodziło — obrót, szarpanina, odwrócenie uwagi — to dało drugiemu chłopcu okazję, żeby zerwać jej z głowy kapelusz i przeciwsłoneczne okulary. Potem obaj uciekli chodnikiem, dwaj ciemnowłosi mali chłopcy — na oko dwunastolatki — i znikli w tłumie.

Dzień nagle zrobił się jasny bez okularów. Stacy stała, mrugając, trochę oszołomiona, wciąż czując rękę chłopca na piersi. Inni już się przepychali na dworzec. Krzyknęła — przynajmniej zdawało jej się, że krzyknęła — ale widocznie nikt nie usłyszał. Musiała biec, żeby ich dogonić, odruchowo uniosła rękę, by przytrzymać kapelusz na głowie, kapelusz, którego tam nie było, który już opuścił plac, oddalał się coraz bardziej z każdą upływającą sekundą, zmierzał ku rękom jakiejś nowej właścicielki, obcej, która jej nie znała i która

oczywiście nie wiedziała o tej chwili, kiedy Stacy wbiegała na dworzec autobusowy w Cancun, walcząc ze łzami.

W środku wyglądał raczej jak port lotniczy niż dworzec autobusowy, czysto, dobra klimatyzacja i bardzo jasno. Jeff znalazł już właściwy kontuar z biletami, rozmawiał z bileterem, zadawał pytania swoim ostrożnym, starannie wymawianym hiszpańskim. Pozostali tłoczyli się za nim, wyciągając portfele, zbierając pieniądze na przejazd. Kiedy Stacy do nich dotarła, oznajmiła:

— Jakiś chłopiec ukradł mi kapelusz.

Tylko Pablo się odwrócił, inni pochylali się w stronę Jeffa, próbując usłyszeć, co mu mówił bileter. Pablo uśmiechnął się do niej. Wskazał okrągłym gestem wewnątrz dworca, jak ktoś pokazujący wyjątkowo piękny widok z balkonu.

Stacy stopniowo się uspokajała. Serce jej waliło, napędzane adrenaliną, cała się trzęsła, ale kiedy te sensacje zaczęły ustępować, czuła przede wszystkim wstyd, jakby ten incydent to była jej wina. Takie rzeczy ciągle jej się zdarzały. Upuszczała za burtę aparaty fotograficzne na promach, zostawiała torebki w samolotach. Inni niczego nie gubili, nie rozbijali ani ich nie okradano, więc dlaczego ją to spotykało? Powinna była bardziej uważać. Powinna była wcześniej zobaczyć tych chłopców. Trochę się uspokoiła, ale wciąż zbierało jej się na płacz.

— I okulary przeciwsłoneczne — dodała.

Pablo kiwnął głową i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wydawał się szczęśliwy. Z takim obojętnym zadowoleniem przyjmował jej wyraźną rozpacz, że poczuła się znieważona, przez chwilę podejrzewała, że z niej szydzi. Oderwała od niego spojrzenie.

— Eric! — zawołała.

Eric zbył ją machnięciem ręki, nawet się nie obejrzał.

— Mam — powiedział i podał Jeffowi pieniądze za ich bilety.

Tylko Mathias się odwrócił. Patrzył przez chwilę, badał

wzrokiem jej twarz, po czym zrobił krok w jej stronę. Był taki wysoki, a ona taka mała, w końcu przykucnął przed nią jak przed dzieckiem, spoglądając na nią ze szczerą troską.

— Co się stało? — zapytał.

Tamtej nocy przy ognisku, kiedy pocałowała Greka, czuła na sobie wzrok nie tylko Amy, ale również Mathiasa. Amy spoglądała z czystym zdumieniem, twarz Mathiasa nic nie wyrażała. W następnych dniach Stacy zauważyła, że przyglądał się jej dokładnie w ten sam sposób: właściwie nie krytycznie, ale ze skrywanym, powstrzymanym napięciem, jakby ją ważył i mierzył według jakiejś skali, oceniał i szacował, i uznał za pożądaną. Stacy w głębi serca była tchórzem — nie miała złudzeń pod tym względem, wiedziała, że gotowa jest wiele poświęcić, byle uniknąć konfliktów i trudności — więc starała się unikać Mathiasa. Unikać nie tylko jego obecności, lecz także jego spojrzenia, tych uważnych oczu. A teraz kucnął przed nią i patrzył tak współczująco, podczas gdy inni, nieświadomi niczego, zajęli się kupowaniem biletów. Speszyla się, głos

Mathias wyciągnął rękę, dotknął jej przedramienia samymi koniuszkami palców i nie cofnął ich, jakby próbował uspokajać małe zwierzątko.

— Co jest? — zapytał.

— Jakiś chłopak ukradł mi kapelusz — zdołała wykrztusić Stacy.

Wskazała na głowę, oczy. — I ciemne okulary.

— Właśnie teraz?

Przytaknęła, wskazała w stronę drzwi.

— Na zewnątrz.

Mathias wstał, zabrał palce z jej przedramienia, jakby gotów ruszyć na poszukiwanie chłopców. Podniosła rękę, żeby go powstrzymać.

— Oni uciekli.

— Kto uciekł? — zapytała Amy. Nagle stanęła obok Mathiasa.

— Chłopcy, którzy ukradli mi kapelusz.

Eric też się zbliżył, podawał jej kawałek papieru. Wzięła go i trzymała, nie mając pojęcia, co to jest i dlaczego Eric jej to dał.

- Popatrz na to — poprosił. — Spójrz na swoje nazwisko.

Stacy zerknęła na skrawek papieru. Trzymała w ręku bilet z wydrukowanym swoim nazwiskiem. Gapa Hutchins. Eric uśmiechał się, zadowolony z siebie.

— Zapytali o nasze nazwiska.

— Ukradli jej kapelusz — oznajmił Mathias.

Stacy przytaknęła, czując powracające zakłopotanie. Wszyscy na nią patrzyli.

— I ciemne okulary.

Teraz Jeff też podszedł, ale nie zatrzymał się, przeszedł obok.

— Szybciej — ponaglił ich. — Bo się spóźnimy.

Zmierzał w kierunku ich bramki, a pozostali ruszyli za nim: Pablo, Mathias i Amy, w karnym szeregu. Eric zwlekał, stał obok niej.

— Jak? — zapytał.

— To nie moja wina.

— Tego nie mówię. Ja tylko...

— Zerwali mi z głowy. Złapali i uciekli.

Nadal czuła ucisk ręki chłopca na piersi. I dziwnie chłodny dotyk palców Mathiasa na ramieniu. Bała się, że jeśli Eric zapyta o coś jeszcze, ona nie wytrzyma, podda się i zacznie płakać.

Eric obejrzał się na pozostałych. Prawie znikli mu z oczu.

— Lepiej chodźmy — zaproponował.

Zaczekał, aż kiwnęła głową, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą przez tłum.

Autobus wcale nie wyglądał tak, jak Amy się spodziewała. Wyobraziła sobie brudnego, rozklekotanego grata z obłuzowanymi szybami, kanymi resorami i cuchnącą ubikacją.

Ale okazał się całkiem przyjemny, klimatyzowany, z małym telewizorkiem podwieszonym pod sufitem. Numer miejsca Amy był na bilecie. Ona i Stacy siedziały razem, bliżej środka. Pablo i Eric siedzieli przed nimi, a Jeff i Mathias po drugiej stronie przejścia.

Gdy tylko autobus ruszył z dworca, włączył się telewizor. Szedł meksykański serial. Amy nie znała hiszpańskiego, ale oglądała i sama wymyślała fabułę pasującą do zaskoczonych min aktorów albo gestów odrazy. To nie było zbyt trudne — wszystkie seriale są do siebie podobne — i nastrój jej się poprawił, kiedy pogrzyła się w swojej wymyślonej narracji. Od razu wiedziała, że ciemnowłosa mężczyzna, chyba prawnik, zdradza żonę z tlenioną blondynką, ale nie zdaje sobie sprawy, że blondynka nagrywa ich rozmowy. Starsza kobieta obwieszona biżuterią wyraźnie manipulowała wszystkimi za pomocą swoich pieniędzy. Kobieta z długimi ciemnymi włosami, która cieszyła się zaufaniem starszej damy, chyba intrygowała przeciwko niej. Sprzymierzyła się z lekarzem starszej damy, który był też chyba mężem tlenionej blondynki.

Po jakimś czasie, kiedy wyjechali z miasta i pędzili na południe wzdłuż wybrzeża, Amy poczuła się na tyle swobodnie, że wzięła Stacy za rękę.

— W porządku — powiedziała. — Jeśli chcesz, mogę pożyczyć ci mój kapelusz.

A uśmiech Stacy — taki szczery, szybki i czuły — zmienił wszystko i sprawił, że dzień stał się znośny, wręcz interesujący. Dwie najlepsze przyjaciółki wyruszały szukać przygód, wędrować na piechotę przez dżunglę, żeby obejrzeć ruiny. Trzymały się za ręce i oglądały serial. Stacy także nie znała hiszpańskiego, więc sprzeczały się o przebieg akcji i przeciągały się w wymyślaniu najbardziej dziwacznych scenariuszy. Stacy naśladowała miny starszej damy, która grała jak aktorka niemego kina, wylewnie i z przesadą, wyolbrzymiając chciwość i podłość kreowanej przez siebie postaci, i obie

zsunęły się nisko na fotelach, chichotały i razem czuły się lepiej — bezpieczniej, weselej — kiedy autobus toczył się po wybrzeżu przez narastający upał dnia.

Pablo miał w plecaku butelkę tequili. Nie: Eric usłyszał brzęknięcie, więc musiały być dwie butelki albo więcej. Ale zobaczył tylko jedną. Pablo wyciągnął ją, żeby mu pokazać, z uśmiechem unosząc brwi. Widocznie chciał się nią podzielić w drodze do Coba. Pokazał też pieniążek — jakąś grecką monetę. Wyjął ją i udawał, że nią rzuca, a potem pije. Kolejna gra. O ile Eric zrozumiał, wydawała się całkiem prosta. Rzucają monetą. Jeśli wypadnie reszka, pije Eric, jeśli orzeł — Grek. Eric, wykazując niezwykajny dla niego rozsądek, odmówił gestem. Opuścił oparcie fotela, zamknął oczy i zasnął z szybkością pacjenta podłączonego do kroplówki przez anestezjologa. Sto, dziewięćdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt siedem... i odpłynął.

Ocknął się na krótko trochę później, półprzytomny, i zobaczył, że parkują przed długim rzędem straganów z pamiątkami. To nie był ich przystanek. Kilku pasażerów zbierało manatki i wysiadało, parę osób ustawiło się w kolejce przed drzwiami, czekając, żeby wsiąść. Pablo spał obok niego, cicho chrapiąc, z otwartymi ustami. Amy i Stacy szeptały do siebie, skulone na fotelach. Jeff czytał ich jedyny przewodnik, pochylony w skupieniu, jakby uczył się go na pamięć. Mathias miał zamknięte oczy, ale nie spał. Skąd Eric o tym wiedział? Po prostu wiedział i kiedy patrzył na niego, próbując zrozumieć, skąd to wie, Mathias obrócił głowę w jego stronę i otworzył oczy. To było dziwne: siedzieli oddzieleni tylko szerokością przejścia, patrząc sobie w oczy. W końcu jedna z nowych pasażerek, człapiąc na koniec autobusu, przelotnie zasłoniła im widok. Kiedy ich minęła, Mathias znowu trzymał głowę prosto i miał zamknięte oczy.

Za oknem pasażerowie, którzy właśnie wysiedli, stali, oglądając się niepewnie dookoła, jakby zwątpili we własny

rozsądek, który kazał im tu przyjechać. Handlarze w budkach wołali do nich i zapraszali ich gestami. Pasażerowie uśmiechali się, kiwali głowami, machali rękami albo udawali, że nie słyszą powitalnych okrzyków. Stali bez ruchu. Na straganach sprzedawano napoje, jedzenie, ubrania, słomkowe kapelusze, biżuterię, posążki, skórzane pasy i sandały. Większość straganów miała szyldy po hiszpańsku i angielsku. Za jednym z nich stała koza przywiązana do palika i kilka psów wałęsało się dookoła, czujnie obserwując autobus i jego byłych pasażerów. Za straganami zaczynało się miasteczko. Eric dostrzegł szarą kamienną wieżę kościoła, bielone ściany domów. Wyobraził sobie fontanny ukryte na dziedzińcach, łagodnie kołyszące się hamaki i ptaki w klatkach. Przez chwilę chciał wstać, wygonić ich grupę z autobusu, zaprowadzić ich do tego miejsca, które wydawało się o tyle bardziej realne niż Cancun. Przynajmniej raz mogli odgrywać podróżników zamiast turystów, zwiedzać, odkrywać... Ale był taki zmęczony i skacowany, a na dworze panował upał, Eric wyczuwał to nawet przez przyciemnione szyby, poznawał to po zachowaniu psów, drepzczących z nisko spuszczonej łbami, z wywieszonymi językami. No i pozostawał jeszcze brat Mathiasa — powód wyprawy. Eric odwrócił głowę, jakby w nadziei, że znowu napotka spojrzenie Mathiasa, ale Niemiec siedział wyprostowany, z zamkniętymi oczami.

Eric zrobił to samo: odwrócił się przodem do kierunku jazdy, zamknął oczy. Nie spał jeszcze, kiedy mszyli. Autobus szarpał i podskakiwał, skręcając szerokim łukiem, zanim wyjechał na drogę. Pablo poruszył się przez sen, osunął się na Erica, który musiał go odepchnąć. Grek wymamrotał coś we własnym języku, ale się nie obudził. Słowa zabrzmiały jednak ostro, jak wymówka lub przekleństwo. Ericowi przypomniały się uśmieški, jakie czasem wymieniali Grecy, ich tajemnicze miny. Przysypiając, zastanawiał się — kim oni są? Jego myśli wędrowały własnymi drogami i nawet nie bardzo wiedział, o kogo mu chodziło. O tych Meksykanów, Majów nawołują-

cych ze swoich straganów. Albo o Pabla i pozostałych Greków z ich nieustanną paplaniną, przytakiwaniem, mruganiem i uściskami. Albo o Mathiasa z jego tajemniczo zaginionym bratem, z tym złowieszczym tatuażem i pustym spojrzeniem. Albo — dlaczego nie? — o Jeffa, Amy i Stacy. Kim oni są?

Zasnął i nic mu się nie śniło, a kiedy znowu otworzył oczy, wjeżdżali do Coba. Wszyscy podnosili się i przeciągali, i pytanie wyleciało mu z głowy, już go nie pamiętał. Dochodziła dwunasta. Eric całkiem się rozbudził i uświadomił sobie, że czuje się tak dobrze, jakby miał przed sobą cały dzień. Był głodny, spragniony i musiał się wysikać, ale w głowie mu przejaśniało, odzyskał siły, i wreszcie był gotowy na to, co przyniesie dzień.

Jeff znalazł dla nich taksówkę. Był to jaskrawożółty ciężarowy pickup. Kierowca, niski, przysadzisty mężczyzna w grubych okularach, długo oglądał mapę, którą pokazał mu Jeff. Kierowca mówił mieszaniną angielskiego i hiszpańskiego. Nosił podkoszulek opinający wałki tłuszczu na brzuchu. Miał wielkie plamy wilgoci pod pachami i twarz lśniąca od potu. Ciągle ocierał ją chustką, studiując mapę, wydawał się niezadowolony z tego, co tam zobaczył. Pochmurnym wzrokiem zmierzył każdego z sześciorga pasażerów, potem swoją ciężarówką, wreszcie słońce wysoko na niebie.

— Dwadzieścia dolarów — oświadczył.

Jeff pokręcił głową i gestem odmówił. Nie miał pojęcia, jaka byłaby opłata stosowna, ale wyczuwał, że należy się targować.

— Sześć — zaproponował na chybił trafił.

Kierowca wydawał się wstrząśnięty, jakby Jeff splunął na jego stopę w sandale. Oddał mu mapę i odwrócił się, żeby odejść.

Osiem! — zawołał za nim Jeff. Kierowca zatrzymał się i odwrócił, ale nie podszedł bliżej.

Piętnaście — powiedział.

Dwanaście.

Piętnaście — upierał się kierowca. Autobus już odjeżdżał, a pozostali pasażerowie odchodzili stronę miasta. W zasięgu wzroku poza żółtym pickupem

nie było innej taksówki dostatecznie dużej, żeby pomieścić ich wszystkich.

— Piętnaście — zgodził się Jeff.

Zdawał sobie sprawę, że przepłacił, i czuł się głupio z tego powodu. Widział, że kierowca z trudem ukrywa zadowolenie, ale nikt inny tego nie zauważył. Podeszli już do ciężarówki. To nie miało znaczenia, nic nie miało znaczenia. To tylko etap podróży, który szybko się skończy. Mathias już stał obok niego, otwierał portfel, płacił kierowcy. Jeff nie sprzeciwił się ani nie zaproponował, że się dorzuci. W końcu przyjechali tu z powodu Mathiasa. Gdyby nie on, teraz drzemaliby na plaży.

W głębi ciężarówki siedział mały piesek, przywiązany łańcuchem do bloku żużlu. Kiedy podeszli, zaczął rzucać się na końcu łańcucha, warczeć, ujadać i toczyć ślinę z pyska. Był wielkości dużego kota — czarny, z białymi łapami i zmierzwioną, przetłuszczoną sierścią — ale miał donośny głos znacznie większego psa. Jego wściekłość, chęć wyrządzenia im krzywdy wydawały się niemal ludzkie. Zatrzymali się i patrzyli.

Kierowca ze śmiechem ponaglił ich machnięciem dłoni.

— Nie problem — zapewnił ciężko akcentowanym angielskim. — Nie problem.

Opuścił tylną klapę i pokazał im, że łańcuch sięga tylko do połowy paki. Dwie osoby mogły usiąść z przodu. Pozostała czwórka mogła się ulokować poza zasięgiem groźnego małego psa. Przekazał to głównie ruchami rąk, punktowanymi przez te dwa nieustannie powtarzane słowa: „Nie problem, nie problem, nie problem...”.

Stacy i Amy wolały siedzieć z przodu. Podbiegły do kabiny, szarpnięciem otworzyły drzwi od strony pasażera i władowały się do środka, zanim ktoś zdążył zaprotestować. Pozostali ostrożnie wgramolili się na tył. Szczekanie psa przybrało na sile. Rzucił się tak gwałtownie na łańcuchu, jakby chciał złamać sobie kark. Kierowca próbował go uspokoić, mrucząc do niego w języku Majów, ale bez rezultatu. W końcu tylko się uśmiechnął, wzruszył ramionami i zatrzasnął klapę.

Silnik zapalił dopiero za trzecim razem, ruszyli. Ciężarówka wyjechała na brukowaną drogę, oddalając się od miasta. Po niecałych dwóch kilometrach skręcili w lewo, na zwirowane podłoże. Mijali pola — Jeff nie rozpoznawał, co na nich rosło — na jednym stał popsuty traktor, na drugim para koni. Nagle znaleźli się w dżungli: gęste, wilgotne listowie wyrastało tuż przy drodze. Słońce stało pośrodku nieba, dokładnie nad głowami, więc nie bardzo mógł określić, w jakim kierunku jadą, zakładał jednak, że na zachód. Kierowca zatrzymał mapę. Musieli mu zaufać, że odczytał ją

Wszyscy czterej siedzieli oparci plecami o tylną klapę, z podciągniętymi stopami, obserwując psa, który nadal rzucał się, warczał, szczekał i ślinał się bez przerwy. Panował ciężki, wilgotny upał, lekko zalatywało zgnilizną jak w cieplarni. Sztuczny powiew wywołany ruchem ciężarówki nie wystarczał i wkrótce ich koszule przesiąkły potem. Co jakiś czas Pablo krzyczał po grecku na psa i wszyscy śmiali się nerwowo, chociaż oczywiście nie rozumieli jego słów. Nawet Mathias, który rzadko się śmiał, przyłączył się do ogólnej wesołości.

Po jakimś czasie zwirowka zmieniła się w zwykłą polną drogę, zrytą głębokimi koleinami. Ciężarówka zwolniła i podskakiwała na wybojach, a pasażerowie objali się o siebie. Przy większych wstrząsach blok zużłu wylatywał w powietrze i walił z hukiem o platformę ciężarówki. Za każdym razem psu udawało się go przeciągnąć kawałek bliżej w ich stronę. Zdawało się, że przejechali już więcej niż siedemnaście kilometrów zaznaczonych na mapie. Zwalniali coraz bardziej, w miarę jak nawierzchnia się pogarszała. Drzewa otaczały ich coraz ciaśniej, pochylały się nad nimi, ocierały o boki ciężarówki. Wokół zebrała się chmara owadów, dotrzymując im tempa, gryząc w szyje i ramiona, aż musieli się opędnąć. Eric wygrzebał z plecaka pojemnik ze środkiem przeciw komarom, ale upuścił go na podłogę. Pojemnik potoczył się w stronę osy, uderzył o blok zużłu i tam się zatrzymał. Pies obwąchał go krótko i dalej szczekał. Pablo już nie krzyczał i wszyscy

przestali się śmiać. Czas dłużył się coraz bardziej —pojechali za daleko — i Jeff zaczął podejrzewać, że popełnili ogromny błąd, że ten człowiek wywiózł ich w dżunglę, żeby obrabować i zabić. Zgwałci dziewczyny, a ich zastrzeli, zadźga nożem albo rozwali im głowy łopatą. Nakarmi nimi małego psa, zakopie ich kości w wilgotnej ziemi i nikt więcej o nich nie usłyszy.

Potem z prawej strony pojawiła się zatoczka, ciężarówka wjechała tam i zatrzymała się na jałowym biegu. Ścieżka prowadziła pomiędzy drzewa. Dojechali. Wszyscy czterej szybko przeleźli przez kłapę, znowu ze śmiechem, porzucając pojemnik ze środkiem przeciw owadom, a pies szarpący się na łańcuchu zęgnął ich warczeniem i ujadaniem.

Stacy siedziała przy oknie, zamkniętym szczelnie z powodu upału. Klimatyzacja w ciężarówce mocno chłodziła, Stacy miała dreszcze, pot skórze wysechł, na ramionach wystąpiła gęsia skórka. Droga jej się nie dłużyła, właściwie Stacy prawie nic nie dostrzegła, ponieważ myślami przebywała gdzie indziej, piętnaście lat wcześniej i ponad dwa tysiące kilometrów dalej. Kolor pickupa zbudził te wspomnienia. Żółty jak urzędowe formularze. Jej wujek zginął w aucie tego koloru. Wujek Roger, starszy brat ojca. Złapała go wiosenna ulewa, a on próbował przejechać przez zalany odcinek drogi. Strumień wystąpił z brzegów, prąd porwał samochód, okręcił, przewrócił do góry nogami i cisnął na pobocze, do jabłoniowego sadu. Tam znaleźli wujka Rogera, nadal w zapiętym pasie, wiszącego głową w dół jak nietoperz w żółtym samochodzie. Utopionego.

Stacy, jej rodzice i dwaj bracia byli na Florydzie, kiedy im przekazano tę wiadomość. Ojciec zabrał ich do Disney World na ferie wiosenne. Mieszkali całą piątką w jednym pokoju, rodzice w jednym łóżku, dwaj chłopcy w drugim, Stacy pomiędzy nimi na łóżku połowym. Miała siedem lat, bracia

mieli cztery i dziewięć. Pamiętała ojca przy telefonie, uciszającego ich wolną ręką, kiedy pytał: „Co... co... co...”. Połączenie było złe i musiał krzyczeć, powtarzać wszystko, co do niego mówiono. „Roger... Burza... Utonął...”. Potem się rozplakał, zgięty w pół, z zacisniętymi powiekami, niezdarnie usiłując trafić słuchawką na widełki, ale tylko objął ją o nocny stolik, znowu i znowu, aż wreszcie matka Stacy odebrała mu słuchawkę i sama ją odłożyła. Stacy i jej bracia siedzieli na drugim łóżku i patrzyli zdumieni. Nigdy dotąd nie widzieli, żeby ojciec płakał, i nigdy więcej nie mieli zobaczyć. Matka zabrała ich na lody do hotelowej restauracji, a kiedy wrócili, ojciec znowu był sobą, pospiesznie pakował bagaże. Zarezerwował już miejsca na wieczorny samolot do domu.

Wujek Roger był przedwcześnie posiwiatym, korpulentnym mężczyzną, który zawsze czuł się niezręcznie w obecności dzieci swojego brata, toteż uciekał się do pokazywania na ścianie zwierzątek z cieni i żarcików „Puk, puk — kto tam?“, żeby odwrócić ich uwagę. Przed śmiercią przyjechał do nich na Boże Narodzenie i spał w pokoju gościnnym naprzeciwko sypialni Stacy. Pewnej nocy zbudził ją donośny łomot. Zaciekawiona, trochę wystraszona, podkraśla się do drzwi i wyjrzała na korytarz. Leżał tam mocno pijany wujek Roger i usiłował wstać, ale po kilku próbach zrezygnował. Przekręcił się ze stęknieniem i zdołał się podźwignąć do mniej więcej siedzącej pozycji, oparty plecami o drzwi gościnnego pokoju.

Zauważył Stacy, mrugnął do niej i uśmiechnął się, kiedy szerzej uchyliła drzwi. Kucnęła przy nim i patrzyła. To, co wtedy powiedział, zapisało się w jej pamięci tak żywo, tak wyraźnie — choć jako siedmiolatka nie mogła wszystkiego zrozumieć — że sama już nie wiedziała, czy to się naprawdę zdarzyło, czy tylko jej się przyśniło.

- Powiem ci coś ważnego — zaczął. — Słuchasz?

Kiwnęła głową, a on pogroził jej palcem.

Jeśli nie będziesz uważać, dojdiesz do punktu, kiedy dokonujesz wyborów bez zastanowienia. Bez planowania.

I w końcu nie prowadzisz takiego życia, jak zamierzałaś. Może na to zasłużyłaś, ale nie tego chciałaś. — I znowu pogroził jej palcem. — Musisz myśleć — ostrzegł. — Musisz planować.

Potem zamilkł. Nie tak się powinno rozmawiać z siedmioletnim dzieckiem i chyba zbyt późno to zrozumiał. Obdarzył ją wymuszonym uśmiechem. Podniósł ręce i pokazał kilka zwierzątek-cieni w słabym świetle padającym z klatki schodowej. Pokazał królika, szczekającego psa, orła. Nie wyszły mu najlepiej i chyba zdawał sobie z tego sprawę. Ziewnął, zamknął oczy i niemal natychmiast zasnął. Stacy zamknęła drzwi i wróciła do łóżka.

Nigdy nie wspomniała rodzicom o tej rozmowie, ale rozmyślała o niej przez całe dzieciństwo. Nadal o niej myślała jako dorosła, może nawet częściej. To ją dręczyło, ponieważ wyczuła prawdę w jego słowach i wiedziała, że sama nie potrafi myśleć, nie potrafi planować, ani nie będzie potrafiła w przyszłości. Łatwo mogła sobie wyobrazić, jak przez lenistwo czy niedbalstwo sama się pakuje w jakąś nieprzewidzianą sytuację. Na przykład starzeje się samotnie, w poplamionym szlafroku, przesiadując do późna przed ściszym telewizorem, z pół tuzinem kotów śpiących obok na kanapie. Albo tkwi uwięziona na przedmieściach, w wielkim domu pełnym ech, z obolałymi sutkami i niemowlakiem wrzaskliwie domagającym się karmienia. Ten ostatni obraz prześladował ją, kiedy siedziała w żółtym pickupie podskakującym na wyboistej polnej drodze, aż poczuła się pusta jak balon. Odepchnęła go wysiłkiem woli. Przecież nie takie było jej życie, przynajmniej nie teraz. Za kilka tygodni wyjeżdża na studia podyplomowe, wszystko może się zdarzyć. Pozna nowych ludzi, nawiąże przyjaźnie, które prawdopodobnie zostaną jej do końca życia. Przez chwilę wyobrażała sobie siebie w Bostonie — może w kawiarni późnym wieczorem, ze stosem książek przed sobą na stoliku, lokal prawie pusty, i wchodzi chłopiec, jeden z jej grupy, z nieśmiałym uśmiechem

pyta, czy może się przysiąc — kiedy nagle, nie wiadomo dlaczego, przyłapała się na tym, że znowu myśli o wujku Rogerze, samotnym na zalanej drodze, o tamtej magicznej chwili, kiedy strumień porwał jego samochód, unióśł go, wywołując to uczucie nieważkości, jeszcze nie panikę, tylko czyste zdumienie, może nawet lekki, przyjemny zawrót głowy, dotyk przygody, zabawna historyjka do opowiedzenia sąsiadom po

Nigdy nie przejeżdżaj przez płynącą wodę. Tyle zasad do zapamiętania. Nic dziwnego, że człowiek mógł się pogubić.

Z tą myślą — z perspektywy czasu złowieszco proroczą — spojrzała przez przednią szybę i zobaczyła, że dojechali do celu.

Ciężarówka zatrzymała się i mężczyzna wyciągnął mapę do Amy. Wzięła ją, ale on nie puszczał kartki. Ciągnęła, on trzymał: krótka szarpanina. Stacy siłowała się z klamką od drzwi, nie zauważyła, co się dzieje. Ciężarówka zakołysała się lekko, kiedy Jeff i pozostali zeskoczyli na ziemię. Pomimo zamkniętych okien i szumiącej klimatyzacji Amy usłyszała ich śmiech. Pies ciągle szczekał. W końcu Stacy otworzyła drzwi i wygramoliła się naupał, zostawiając uchylone drzwi dla Amy. Ale kierowca nadal nie oddawał mapy.

— To miejsce — powiedział, ruchem głowy wskazując ścieżkę. — Dlaczego idziecie?

Amy wiedziała, że ten człowiek słabo zna angielski. Zastanawiała się, jak opisać cel ich wyprawy możliwie najprościej. Wychyliła się do przodu, pozostali zgromadzili się obok ciężarówki, zarzucali plecaki na ramiona, czekali na nią. Wskazała Mathiasa.

Jego brat — powiedziała. — Musimy go znaleźć.

Kierowca odwrócił się, patrzył przez chwilę na Mathiasa. Po czym znowu spojrział na nią. Zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział. Oboje trzymali mapę.

— *Hermano?* — spróbowała Amy. Nie wiedziała, skąd się wzięło to słowo ani czy pasowało. Jej znajomość hiszpańskiego ograniczała się do tytułów filmów i nazw restauracji. — *Perdido?* — dodała, ponownie wskazując Mathiasa. — *Hermano perdido.*

Nie miała pojęcia, co właściwie mówi. Pies ciągle szczekał, aż głowa ją rozbolała. Nie mogła jasno myśleć. Chciała wysiąść z ciężarówki, ale kiedy znowu szarpnęła mapę, kierowca wciąż nie puszczał.

Pokręcił głową.

— To miejsce — powiedział. — Niedobrze.

— Niedobrze? — powtórzyła. Nie rozumiała. Przytaknął.

— Niedobrze wy idziecie w to miejsce.

Na zewnątrz tamci oglądali się na ciężarówkę. Czekali na Amy. Za nimi zaczynała się ścieżka. Drzewa tworzyły nad nią cienisty tunel, niemal mroczny. Nie mogła sięgnąć wzrokiem zbyt daleko.

— Nie rozumiem — wyznała.

— Piętnaście dolarów, zawiozę was z powrotem.

— Szukamy jego brata.

Kierowca gwałtownie pokręcił głową.

— Zawiozę was nowe miejsce. Piętnaście dolarów. Wszyscy zadowoleni.

Uśmiechnął się, demonstrując to zadowolenie szeroko, odsłaniając zęby — duże, grube, czarne przy dziąsłach.

— To jest to miejsce — sprzeciwiła się Amy. — Jest na mapie, prawda?

Pociągnęła za mapę, a on w końcu ją oddał. Wskazała na duże X, potem w stronę ścieżki.

— To jest tutaj, prawda?

Uśmiech kierowcy zgasł, mężczyzna pokręcił głową jakby z niesmakiem i machnął ręką w stronę otwartych drzwi.

— Więc idź — powiedział. — Mówię ci, niedobrze, ale ty ciągle idziesz.

Amy wyciągnęła mapę i ponownie pokazała na X.

— Szukamy...

— Idź — przerwał jej mężczyzna podniesionym głosem, jakby nagle stracił cierpliwość do tej rozmowy, jakby nagle się rozżłościł. Ciągłe machał w stronę drzwi, odwracając twarz od Amy i wyciągniętej mapy.

— Idź, idź, idź.

Więc usłuchała. Wysiadła, zamknęła drzwi i patrzyła, jak ciężarówka powoli odjeżdża wyboistą drogą.

Upał był jak dłoń, która schwyciła ją i objęła mocno. W pierwszej chwili zrobiło jej się przyjemnie po lodowatej klimatyzacji, ale bardzo szybko dłoń zaczęła się zaciskać. Amy pocila się i oganiała od komarów, które brzęczały, atakowały, kąsały. Jeff wyjął z plecaka środek na owady i spryskiwał wszystkich. Nadal słyszał szczekanie psa, chociaż ciężarówka już dawno zniknęła im z oczu.

— Czego on chciał? — spytała Stacy.

Została już spryskana. Skórę miała błyszczącą i pachniała jak odświeżacz powietrza. Komary jednak dalej ją gryzły, ciągle klepała się po ramionach.

— Powiedział, że nie powinniśmy iść.

— Iść dokąd?

Amy wskazała ścieżkę.

— Dlaczego? — zapytała Stacy.

— Powiedział, że to niedobrze.

— Co niedobrze?

— Tam, dokąd idziemy.

— Ruiny są niedobre?

Amy wzruszyła ramionami, nie wiedziała.

- Chciał nas zawieźć gdzie indziej za piętnaście dolarów.

Jeff podszedł ze sprayem na owady. Wziął od niej mapę i zaczął psikać. Amy wyciągnęła ręce, potem uniosła je nad głowę, żeby odsłonić tors. Obróciła się powoli wokół osi.

Kiedy znowu stanęła twarzą do Jeffa, przestał psikać i kucnął, żeby schować pojemnik do plecaka. Wszyscy stali i patrzyli na niego.

Niepokojąca myśl zaświtała jej w głowie.
— Jak wrócimy? — zapytała.
Jeff zerknął na nią z dołu.
— Wrócimy?
Wskazała drogę, którą odjechała ciężarówka.
— Z powrotem do Coba.
Obejrzał się na drogę z namysłem.
— W przewodniku piszą, że zawsze można zatrzymać przejeżdżający autobus. — Wzruszył ramionami, chyba sam zrozumiał, jakie to głupie. — Więc zakładałem...
— Tą drogą nie jeżdżą żadne autobusy — oświadczyła Amy.
Jeff przytaknął. Oczywiście miała rację.
— Autobus nawet się tutaj nie zmieści.
— Pisali również, że można złapać stopa...
— Widzisz jakieś przejeżdżające samochody, Jeff?
Jeff westchnął, zaciągając sznurki plecaka. Wstał i zarzucił go na ramiona.
— Amy... — zaczął.
— Przez cały czas jazdy czy widziałeś jakieś...
— Muszą jakoś dostarczać zaopatrzenie.
— Kto?
— Archeolodzy. Muszą mieć ciężarówkę. Albo dostęp do niej. Kiedy znajdziemy brata Mathiasa, poprosimy ich, no wiesz, żeby nas odwieźli do Coba.
— Chryste, Jeff. Utknęliśmy tutaj, prawda? Będziemy musieli zasuwać trzydzieści kilometrów na piechotę. Przez cholerną dżunglę.
— Siedemnaście.
— Co?
— Tylko siedemnaście kilometrów.
— Niemożliwe, że tylko siedemnaście.
Amy odwróciła się do pozostałych, szukając wsparcia, ale tylko Pablo odwzajemnił jej spojrzenie. Uśmiechał się, nie miał pojęcia, o czym mówią. Mathias grzebał w plecaku.

Stacy i Eric wpatrywali się w ziemię. Najwyraźniej uważali, że ona jak zwykle narzeka, co ją rozwścieczyło.

_ Nikt inny się tym nie martwi?

_ Dlaczego zwalasz wszystko na mnie? — zapytał Jeff. —

Dlaczego ja mam ponosić odpowiedzialność?

Amy rozłożyła ręce, jakby odpowiedź była oczywista.

— Bo... — zaczęła i umilkła. Właśnie, dlaczego? Czuła, że to Jeff ponosi odpowiedzialność, ale nie potrafiła tego wytłumaczyć.

Jeff odwrócił się do innych, gestem wskazał ścieżkę.

— Gotowi? — zapytał.

Wszyscy oprócz Amy przytaknęli. Jeff ruszył przodem, za nim Mathias, potem Pablo, na końcu Eric.

Stacy obdarzyła Amy współczującym spojrzeniem.

— Nie przejmuj się, skarbie — powiedziała. — Okay? Zobaczysz.

Wszystko się ułoży.

Wzięła ją pod rękę, pociągnęła za sobą. Amy nie stawiała oporu, weszły na ścieżkę razem, ramię w ramię. Jeff i Mathias znikali już w cieniu, ptaki nad głowami krzykiem oznajmiały ich przemarsz przez dżunglę.

Według mapy mieli przejść ścieżką trzy kilometry. Potem zobaczą inną ścieżkę, odchodzącą na lewo. Ta druga ścieżka będzie się stopniowo wznosiła. Na szczycie wzgórza znajdą ruiny.

Maszerowali już prawie dwadzieścia minut, kiedy Pablo Przystanął, żeby się wysikać. Eric też się zatrzymał. Rzucił plecak na ścieżkę, usiadł na nim i odpoczywał. Drzewa przesłaniały słońce, wciąż jednak było za gorąco na takie długie wędrówki. koszula Erica przesiąkła potem, wilgotne włosy przylepiały mu się do czoła. Atakowały go moskity oraz maleńkie muszki, które nie gryzły, ale chyba przyciągał je pot. Kłębiły się wokół niego gęstą chmarą, brzęcząc cienko. Albo środek przeciw owadom spłynął razem z potem, albo okazał się do niczego.

Stacy i Amy dogoniły ich, kiedy Pablo jeszcze sikał. Eric usłyszał ich głosy, ale kiedy podeszły bliżej, zamilkły. Stacy uśmiechnęła się do Erica i przechodząc obok, poklepała go po głowie. Nie zatrzymały się, nawet nie zwolniły. Kiedy odeszły trochę dalej, usłyszał, że znowu rozmawiają. Poczł lekkie ukłucie niepokoju, podejrzewał, że go obgadują. A może nie jego, tylko Jeffa. Miały swoje tajemnice, Eric wciąż nie mógł do tego przywyknąć, do ich bliskości. Czasami przyłapywał się na tym, że bez powodu łypie gniewnie na Amy, że jej nie lubi, był zazdrosny. Chciał, żeby to z nim szeptała Stacy, nie o nim, i martwiło go, że jest inaczej.

Greki miał olbrzymi pęcherz. Ciągłe sikał i pod jego stopami rosła kałuża. Małe czarne muszki ciągnęły do uryny jeszcze bardziej niż do potu, unosiły się nad kałużą, wpadały do niej i znowu podrywały się do lotu, marszcząc powierzchnię. Grek sikał i sikał.

Kiedy skończył, wyciągnął z plecaka zapieczętowaną butelkę tequili, otworzył. Szybki łyk, potem podał ją Ericowi. Eric wstał, żeby się napić, od alkoholu oczy zaszyły mu łzami. Odkaslnął, zwrócił butelkę. Pablo pociągnął jeszcze łyk, zanim schował flaszkę do plecaka. Powiedział coś po grecku, pokręcił głową, otarł twarz koszulą. Eric założył, że tamten narzekał na upał, w jego słowach brzmiała nuta skargi.

Kiwnął głową.

— Gorąco jak w piekle — przyznał. — Macie na to jakieś określenie? Chyba wszyscy mają? Hades? Inferno?

Greki tylko uśmiechnął się do niego.

Eric zarzucił plecak na ramiona i znowu ruszyli. Na mapie ścieżka biegła prosto, ale w rzeczywistości wiła się i zakręcała. Stacy i Amy wyprzedziły ich o jakieś trzydzieści metrów i czasami Eric je widział, a czasami nie. Jeff i Mathias maszerowali niczym dwaj harcerze, z pełnym poświęceniem. Eric już ich nie dostrzegał, nawet na dłuższych prostych odcinkach. Ścieżka miała ponad metr szerokości, ubita ziemia i gęsta dżungla po obu stronach. Rośliny o wielkich liściach,

pnąca i winorośle, drzewa jak wyjęte z komiksów o Tarzanie. Pod drzewami panował mrok, wzrok nie sięgał daleko, tylko od czasu do czasu Eric słyszał, jak coś szeleści w gęstwinie. Pewnie ptaki, spłoszone ich przejściem. Wokół rozlegało się donośne krakanie, podszyte uporczywym chrobotaniem jakby szarańczy, które nagle bez widocznego powodu milkło, aż dreszcz przechodził po krzyżu.

Ścieżka wyglądała na dość uczęszczaną. Minęli pustą puszkę po piwie, zgniecione pudełko po papierosach. W jednym miejscu natrafili też na ślady jakiegoś kopytnego zwierzęcia, mniejszego od konia. Może osioł albo koza — przypuszczał Eric. Jeff pewnie by wiedział, był dobry w takich rzeczach — rozpoznawanie konstelacji, nazwy kwiatów. Lubił czytać, poznawać fakty, może trochę się popisował: zamawiał po hiszpańsku nawet wtedy, kiedy kelner znał angielski, poprawiał wymowę innych. Eric sam nie wiedział, czy go lubi. Albo — co chyba bardziej się liczyło w tym kontekście — czy Jeff go lubi.

Minęli zakręt i zeszli po długiej, łagodnej pochyłości, gdzie wzdłuż ścieżki płynął strumień, a potem nagle zobaczyli przed sobą słońce, oślepiające po tak długiej wędrówce w cieniu. Dżungla cofnęła się, pokonana przez coś, co wyglądało jak porzucone uprawy. Po obu stronach ścieżki leżały pola, rozciągające się na jakieś sto metrów, rozległe połacie wzruszonej ziemi, spieczonej w słońcu. Były to końcowe etapy cyklu wyrębu: wycinanie, wypalanie, siew i żniwa już się odbyły i została tylko ziemia jałowa, czekająca na powrót dżungli. Na obrzeżach roślinność wypuszczała już pierwszych zwiadowców, pnąca i niewielkie krzaki, które wyglądały jakoś zadziornie i wyzywająco wśród tych wszystkich przewróconych grud

Pablo i Eric wygrzebali ciemne okulary. W oddali dżungla powracała niczym zielony mur przecinający ścieżkę. Jeff i Mathias już znikli w cieniu, lecz Stacy i Amy wciąż były widoczne. Amy włożyła kapelusz, Stacy zawiązała chustkę

na głowie. Eric zawołał do nich, wykrzyknął ich imiona i pomachał, ale go nie usłyszały. Albo usłyszały, ale się nie obejrzały. Małe czarne muszki zostały wśród drzew, za to komary towarzyszyły im dalej, niepokonane.

Przebyli połowę otwartej przestrzeni, kiedy tuż przed nimi wąż przeciął ścieżkę. Niezbyt duży — czarny, z jasnobrązowymi cętkami, najwyżej na pół metra długi — ale Pablo wydał okrzyk przerażenia. Odskoczył do tyłu, przewrócił Erica, sam stracił równowagę i upadł na niego.

Natychmiast się zerwał, wskazując na miejsce, gdzie znikł wąż, przeskakując z nogi na nogę. Na jego twarzy malowała się zgroza. Widocznie bał się węży. Eric podniósł się powoli i otrzepał z kurzu. Przy upadku obtarł sobie łokieć i zabrudził ranę ziemią, próbował ją oczyścić. Pablo coś wykrzykiwał po grecku, gestykulując. Wszyscy trzej Grecy tak się zachowywali, czasami próbowali pokazać albo narysować znaczenie słów, najczęściej jednak po prostu mówili, niczego nie wyjaśniając. Zupełnie jakby ważne było tylko mówienie, a nie to, czy ktoś ich rozumie.

Eric czekał, aż Pablo się wygada. Pod koniec chyba przeprosił za ten incydent, więc Eric uśmiechnął się i kiwnął głową na znak, że się nie gniewa. Ruszyli, chociaż Pablo szedł teraz znacznie wolniej, nerwowo zerkając na pobocza ścieżki. Eric próbował sobie wyobrazić ruiny. Archeolodzy ze swoimi sitami, małymi łopatkami i miotełkami, z plastikowymi torebkami pełnymi artefaktów: blaszane kubki, z których niegdyś pili górnicy, żelazne gwoździe, którymi zbijali swoje chaty. Mathias znajdzie brata, konfrontacja, kłótnia po niemiecku, podniesione głosy, padnie jedno czy drugie ultimatum. Eric nie mógł się tego doczekać. Lubił dramaty, konflikty, gwar i zgiek cudzych emocji. Nie zawsze będzie się tylko włókł w upale, z łokciem tętniącym w rytmie uderzeń serca. Jak już znajdą ruiny, dzień się odmieni, uzyska nowy wymiar.

Dotarli do końca otwartej przestrzeni i dżungla powróciła. Małe czarne muszki czekały na nich w cieniu. Otoczyły ich

brzęczącą chmurą, jakby ucieszone ze spotkania. Strumień zniknął bez śladu. Szlak zakręcał w prawo, w lewo, znowu się wyprostował, długi cienisty korytarz, na którego końcu pojawiła się kolejna polana, czekający na nich krąg słonecznego blasku tak jasny, że wydawał się Ericowi niemal głośny, jak dźwięk rogu. Raził go — bolały go oczy i głowa. Założył ciemne okulary. Dopiero wtedy zobaczył, że Jeff, Mathias, Stacy i Amy już tam byli, przykucnięci w luźnym kręgu na skraju polany, podawali sobie butelkę z wodą i teraz odwracali się, patrząc, jak Eric i Pablo podchodzą do nich powoli.

Z mapy wynikało, że jeśli dojdą do wioski Majów, to znaczy, że zaszedli za daleko, a wioska leżała u stóp wzniesienia, na którym siedzieli. Jeff i Mathias przez cały czas wypatrywali odgałęzienia, ale jakoś je przeoczyli. Teraz musieli wrócić ścieżką, tym razem wolniej, i patrzeć uważnie. Dyskutowali właśnie nad kwestią, czy nie powinni najpierw zwiedzić wioski, może nawet znaleźć tam kogoś, kto ich zaprowadzi do ruin. Wprawdzie wioska nie wyglądała zachęcająco. Składała się z jakichś trzydziestu nędznych, niemal identycznych szałasów. Jedno- i dwuizbowe chałupy, większość krytych strzechą, kilka z blaszanymi dachami. Podłoga z ubitej ziemi, domyślał się Jeff. Nie było widać żadnych przewodów, więc zakładał, że w wiosce nie mają elektryczności. Ani bieżącej wody: pośrodku wioski znajdowała się studnia z wiadrem przywiązany na sznurze. czekając na Erica i Pabla, widział, jak stara kobieta napełnia dzban przy studni, obracając kołowrotem, żeby zanurzyć wiadro. Kołowrót wymagał naoliwienia, Jeff nawet z tej uległości słyszał piskliwe skrzypienie, kiedy wiadro zjeżdżało w głąb. Zatrzymało się i napełniło, zanim rozpoczęło równie hałaśliwą jazdę w górę. Jeff patrzył, jak staruszka stawia sobie dzban na ramieniu i powoli wraca pylną drogą do chaty.

Majowie oczyścili krąg ziemi wokół wioski i na otwartej przestrzeni uprawiali coś, co wyglądało na fasolę i kukurydzę. Mężczyźni, kobiety i nawet dzieci, rozproszeni po polach, zgięci wpół, wrywali chwasty. Wokół kręciły się kozy, kury i kilka osłów, w zagrodzie stały trzy konie, ale nie było widać żadnego mechanicznego sprzętu: ani śladu traktorów czy kultywatorów, samochodów lub ciężarówek. Kiedy Jeff i Mathias pojawili się u wylotu ścieżki, wysoki, wąskopierśny kundel podbiegł do nich truchcikiem, z ogonem agresywnie podniesionym. Zatrzymał się poza zasięgiem rzutu kamieniem i przez kilka minut biegał tam i z powrotem, szczekając i warcząc. Słońce prażyło jednak za mocno na takie ekscesy i w końcu pies zamilkł, potem całkiem stracił zainteresowanie, wrócił do wioski i uwalnął się w cieniu obok jakiejś chaty.

Jeff zakładał, że pies ostrzegł mieszkańców o nadejściu przybyszy, jednak nic na to nie wskazywało. Nikt nie przerwał pracy, żeby się gapić, nikt nie szturchał sąsiada i nie pokazywał palcem. Mężczyźni, kobiety i dzieci dalej pielili schyleni, posuwając się powoli wzdłuż rzędów roślin. Mężczyźni w większości byli ubrani na białą, w słomkowych kapeluszach na głowach. Kobiety nosiły ciemne suknie i szale na włosach. Dzieci biegały na bosaka i wyglądały na zdziczałe, wielu chłopców pracowało obnażonych do pasa, pociemniałych od słońca tak, że zlewali się z ziemią, niemal jakby znikali i pojawiali się co chwila od nowa.

Stacy chciała maszerować dalej do wioski, poszukać jakiegoś chłodnego miejsca, żeby usiąść i odpocząć — może nawet kupić jakieś zimne napoje — ale Jeff się wahał. Brak powitania, wrażenie, że wioska kolektywnie odrzuca ich obecność, wzbudziły w nim podejrzenia. Zwrócił uwagę na brak drutów nad głowami, co oznacza brak lodówek i klimatyzacji, co z kolei prowadzi do wniosku, że nie należy się tam spodziewać zimnych napojów ani chłodnego miejsca na odpoczynek.

— Ale przynajmniej możemy znaleźć przewodnika — upierała się Amy.

Wyjęła już z plecaka aparat fotograficzny i robiła zdjęcia. Pstryknęła kilka fotek odpoczywającej czwórki, potem sfotografowała nadchodzących Pabla i Erica, następnie Majów pracujących na polach. Jeff widział, że nastrój jej się poprawił, Stacy wyciągnęła ją z dołka. Humory Amy przychodziły i odchodziły, przypuszczał, że rządziła nimi jakaś logika, ale już dawno porzucił próby jej zrozumienia. Nazywał ją swoją meduzą, która unosi się i opada w głębinach. Czasami traktowała to jak pieszczotliwe określenie, czasami nie. Zrobiła mu zdjęcie, długo patrząc przez wizjer, aż poczuł się nieswojo. Potem pstryk.

— Możemy łączyć po tej ścieżce tam i z powrotem przez cały dzień — wytknęła. — A potem co? Mamy tu biwakować?

— Może później nas odwiozą do Coba — odezwała się Stacy.

— Widzisz jakieś samochody albo ciężarówki? — zapytał ją Jeff.

Wszyscy przez chwilę spoglądali na wioskę. Zanim ktoś zdążył powiedzieć coś więcej, pojawili się Pablo z Erikiem. Pablo uściskał wszystkich i natychmiast zaczął z wielkim przejęciem mówić po grecku, rozkładając ramiona na całą szerokość, jakby pokazywał, jaką rybę złowił. Podskoczył i udał, że wpada na Erica. Potem znowu rozłożył ręce.

Widzieliśmy węża — wyjaśnił Eric. — Ale nie był taki długi. Może w połowie.

Tamci się roześmiali, co widocznie ośmieliło Pabla. Zaczął wszystko od początku, gadanie, podskok, upadek na Erica.

- On się ich boi — powiedział Eric.

Puścili w obieg butelkę z wodą, czekając, aż Pablo skończy. Eric pociągnął długi łyk, potem wylał sobie trochę na łokieć. Miał tam obtarcie, wszyscy skupili się wokół niego, żeby je obejrzeć. Ranka krwawiła, ale nie była specjalnie głęboka,

długa na niecałe dziesięć centymetrów, w kształcie półksiężyca otaczającego krzywizną łokcia. Amy ją sfotografowała.

— Znajdziemy przewodnika w wiosce — oświadczyła.

— I posiedzimy w chłodnym miejscu — dodała Stacy. — Z zimnymi napojami.

— Może dostaniemy tam limetkę — ciągnęła Amy. — Wyciśniemy ją na twoje zadrapanie. Sok zabije wszystkie paskudztwa w środku.

Obie odwróciły się od Erica, żeby uśmiechnąć się do Jeffa, jakby z niego szydziły. Nie odpowiedział — po co? Wyraźnie już zdecydowały: idą do wioski. Pablo wreszcie przestał gadać, Mathias zakręcał butelkę z wodą. Jeff zarzucił plecak na ramiona.

— Idziemy? — zapytał.

Zaczęli schodzić ścieżką do wioski.

Kiedy wyłonili się spomiędzy drzew, cała wioska jakby zamarała, mężczyźni, kobiety i dzieci na polach, wszyscy znieruchomieli na sekundy, widząc szóstkę przybyszy na ścieżce. Potem chwila minęła, jakby nic się nie stało, chociaż Stacy była pewna, że się stało, albo nie całkiem pewna, coraz mniej pewna z każdym krokiem, który ją przybliżał do wioski. Na polach trwała praca, pochylone grzbiety, systematyczne wrywanie chwastów, nikt na nich nie patrzył, nikt nie podnosił wzroku, żeby obserwować ich marsz po ścieżce, nawet dzieci. Więc może jednak nic się nie stało. Stacy była z natury marzycielką—wiedziała o tym — lubiła fantazjować, budować zamki na piasku. Mała była szansa, że znajdą tutaj chłodne pomieszczenie czy zimne napoje. I równie mało prawdopodobne było to ukradkowe' szacowanie wzrokiem, to zbiorowe, skryte, szybko odwrócone spojrzenie.

Pies pojawił się znowu, ten sam, który wcześniej ich obszcze kiwał. Po raz drugi wybiegł z wioski, ale zachowywał się całkiem inaczej. Machał ogonem, wywiesił język: przyja-

ciel. Stacy lubiła psy. Kucnęła, żeby go pogłaskać, pozwoliła mu się polizać po twarzy. Machanie ogonem nasiliło się, cała tylna część ciała kundla kołysała się wahadłowym ruchem. Inni nie zatrzymali się, szli dalej ścieżką. Stacy zauważyła, że pies miał mnóstwo kleszczy. Całe tuziny wisiąły mu na brzuchu jak rodzyнки: tłuste, opite krwią. Widziała inne, pełzające wśród sierści. Wstała szybko i odepchnęła psa, ale daremnie. Ta krótka chwila czułości podbiła serce kundla: adoptował ją. Przyciskał się do niej, kiedy szła, lawirował między jej nogami, skomlał i machał ogonem, mało jej nie przewrócił. Spiesząc za tamtymi, musiała powstrzymać chętkę, żeby kopnąć psa, trzepnąć go po łbie, przegonić. Miała wrażenie, że kleszcze pełzają teraz po jej ciele, musiała sobie powtarzać, że to nieprawda, dosłownie wymawiać w myślach słowa: „To nieprawda”. Nagle zapragnęła wrócić do Cancun, do swojego pokoju, wejść pod prysznic. Ciepła woda, zapach szamponu, mała kostka mydła w papierowym opakowaniu, czysty ręcznik na drążku.

Ścieżka rozszerzyła się, dochodząc do wioski, zmieniła się niemal w drogę. Po obu stronach stały chałupy. W niektórych drzwiach wisiąły jaskrawe koce, inne drzwi były otwarte, ale również niczego nie odsłaniały, bo wnętrza chat tonały w cieniu. Kury rozbiegły się z gładaniem. Pojawił się drugi pies, dołączył do pierwszego w uwielbieniu dla Stacy, oba podgryzały się nawzajem, walczyły o jej względy. Drugi pies był szary, podobny do wilka. Miał jedno oko niebieskie, a drugie brązowe, co nadawało mu wyraz złowieszczego skupienia. Stacy w duchu wymyśliła już imiona dla psów: Brudas i Straszak.

Początkowo zdawało się, że w wiosce nikogo nie ma, że wszyscy pracują na polach. Nikt się nie odzywał, nawet Pablo, którego milczenie zawsze wydawało się nieosiągalne. Potem zobaczyli kobietę, siedzącą na progu z niemowlęciem w ramionach. Kobieta wydawała się przedwcześnie zwiędła, w jej długich czarnych włosach połyskiwały siwe

pasma. Szli środkiem ubitej drogi, jakieś trzy metry od niej ale nie podniosła wzroku.

— *Hola!* — zawołał Jeff.

Nic. Milczenie, odwrócone oczy.

Dziecko, prawie bezwłose, miało zaognioną, okropną wysypkę na skórze głowy. Trudno było oderwać od niej wzrok, czaszka niemowlęcia wyglądała, jakby była posmarowana dżemem. Stacy nie rozumiała, dlaczego dziecko nie płacze, to ją nie wiedzieć czemu wzburzyło. Jak lalka, pomyślała — nie rusza się, nie płacze — a potem zrozumiała, dlaczego drażnił ją bezruch dziecka: bała się, że nie żyje. Odwróciła wzrok, przywołując znowu te słowa, wbijając je sobie do głowy: „To nieprawda”. Potem przeszli dalej i nie oglądała się za siebie.

Zatrzymali się przy studni w środku wioski. Rozglądali się i czekali, aż ktoś do nich podejdzie, chociaż nie bardzo wiedzieli, co wtedy zrobić. Studnia była głęboka. Kiedy Stacy przechyliła się przez cembrowinę, nie mogła dojrzeć dna. Powściągnęła impuls, żeby tam splunąć albo wrzucić kamyczek i nasłuchiwać odległego plusku. Drewniane wiadro spoczywało na oślizłym zwoju sznura, Stacy wolała go nie dotykać. Komary unosiły się wokół nich gęstą chmurą, jakby też czekały, co się dalej stanie.

Amy zrobiła kilka zdjęć: chałupy dookoła, studnia, dwa psy. Podała aparat Ericowi i kazała sfotografować siebie i Stacy, stojące ramię w ramię. Zanim wrócą do domu, zbiera się cała seria takich fotek, one dwie obejmujące się i uśmiechające do obiektywu, najpierw blade, potem opalone, potem ze złączoną skórą. To było pierwsze zdjęcie bez jednakowych kapeluszy i Stacy posmutniała na chwilę, wspominając incydent — chłopców biegnących przez plac, szok, kiedy mała ręka ścisnęła jej pierś.

Pies, którego nazwała Straszak, z jednym niebieskim, a drugim brązowym okiem, przysiadł i wydalil długą wstążkę kału na ziemię obok studni. Kał się ruszał, więcej w nim było robactwa niż fekaliiów. Brudas obwąchał odchody z wielkim zainteresowaniem i ten widok wreszcie przełamał milczenie

Pabla. Grek zaczął coś wykrzykiwać, gestykulując gwałtownie. Podeszedł bliżej i spojrzał na wijącą się brylkę odchodów, z odrazą wysuwając dolną wargę. Podniósł twarz do nieba i dalej gadał, jakby przemawiał do bogów, przez cały czas wskazując na dwa psy.

— Może to nie był najlepszy pomysł — powiedział Eric. Jeff kiwnął głową.

— Powinniśmy iść. Musimy tylko...

— Ktoś idzie — przerwał mu Mathias.

Ubitą drogą nadchodził mężczyzna. Chyba wracał z pola, ocierając ręce o spodnie, zostawiając dwie brązowe smugi na białej tkaninie. Był niski, szeroki w ramionach, a kiedy zdjął słomkowy kapelusz, żeby otrzeć pot z czoła, Stacy zobaczyła, że był prawie całkiem łysy. Zatrzymał się jakieś sześć, siedem metrów dalej i przyglądał im się leniwie. Nałożył kapelusz z powrotem i schował chustkę do kieszeni.

— *Hola!* — zawołał Jeff.

Mężczyzna odpowiedział w języku Majów, chyba pytaniem, unosząc brwi.

Logiczne wydawało się założenie, że spytał ich, czego tu chcą. Jeff usiłował mu odpowiedzieć, najpierw po hiszpańsku, potem po angielsku, potem na migi. Mężczyzna nie pokazał po sobie, że cokolwiek zrozumiał. Stacy miała jednak dziwne wrażenie, że wcale nie chciał zrozumieć, że wolał nie wiedzieć, co ich tu sprowadza. Słuchał słów Jeffa, nawet uśmiechnął się przy próbie pantomimy, ale w jego zachowaniu wyczuwało się wyraźną niechęć. Był uprzejmy, ale nie przyjazny, czuła, że tylko czekał, żeby sobie poszli, że wolałby ich tu nie widzieć.

W końcu Jeff chyba też to zrozumiał. Zrezygnował i odwrócił się do pozostałych, wzruszając ramionami.

- Nic z tego nie wyjdzie — stwierdził.

Nikt się nie sprzeciwił. Zarzucili plecaki na ramiona i ruszyli z powrotem do dżungli. Maja został przy studni i odprowadzał ich wzrokiem.

Minęli kobietę, która wcześniej nie chciała na nich spojrzeć. Teraz też nie podniosła wzroku, dziecko w cętkowanej czapce z czerwonego dżemu spoczywało nieruchomo w jej ramionach. Martwe, pomyślała Stacy, a potem zmusiła się, żeby odwrócić wzrok: To nieprawda.

Psy podążyły za nimi. Podobnie jak dwójka dzieci, co było niespodzianką. Słyszac piskliwy zgrzyt, Stacy się obejrzała i zobaczyła dwóch chłopców jadących za nimi na rowerze. Większy pedałowal, a mniejszy przycupnal na kierownicy. Większy, mniejszy — pojęcia względne, bo żaden z chłopców nie był duży. Mieli wąskie ramiona, zapadnięte klatki piersiowe, guzowate kolana i łokcie. Rower był dla nich o wiele za duży, wydawał się ciężki, opony miał grube i wybrzuszone, brakowało siodełka. Chłopiec z tyłu musiał pedałowac na stojaco, spocony, dyszal z wysiłku. Łańcuch wymagał naoliwienia — dlatego rower piszczał.

Cała szóstką przystanęła, żeby zapytac chłopców o ruiny, ale oni zatrzymali się w odległości piętnastu metrów, ciemnoocy, czujni jak dwie sowy. Jeff zawołał, kiwnął na nich, żeby podeszli, nawet wyjął dolara, żeby ich skusic, ale chłopcy tylko się gapili, niniejszy wciąż skulony na kierownicy. W końcu zrezygnowali i podjęli marsz. Po chwili piskliwy dźwięk powrócił, ale nie zwracali na niego uwagi. Na polach dalej wrywano chwasty. Tylko mężczyzna przy studni i dwaj chłopcy na rowerze wykazali zainteresowanie ich wizytą. Straszak porzucił ich, jak tylko weszli do dżungli, ale Brudas uparcie im towarzyszył. Ciagle ocierał się o Stacy, a ona go odpychała. Widocznie myślał, że to taka zabawa, bo rzucał się na nią z coraz większym entuzjazmem.

Stacy już nie mogła wytrzymać, straciła cierpliwość.

— Nie — oświadczyła i trzepnęła kundla po pysku.

Pies zaskowytał, odskoczył zdumiony. Stanął pośrodku ścieżki, patrząc na nią z bolesnym, niemal ludzkim wyrzutem Zdrada — mówiły jego oczy.

— Och, skarbie — jęknęła Stacy i podeszła do niego

z wyciągniętą ręką, ale za późno, pies cofnął się nieufnie, z podkulonym ogonem. Inni dalej maszerowali cienistą ścieżką wchodzili w pierwszy zakręt, zaraz znikną z widoku. Stacy poczuła dreszcz strachu, dziecięcego przerażenia „zostanę sama w lesie”, zawróciła, pobiegła za nimi, żeby ich dogonić. Kiedy się obejrzała, pies dalej stał na środku ścieżki i patrzył na nią. Chłopcy minęli go na swoim piszczącym rowerze, prawie się o niego otarli, on jednak nawet nie drgnął i jego żalosne spojrzenie zdawało się ją ścigać, kiedy zniknęła za zakrętem.

Maszerując z powrotem ścieżką, Amy próbowała wymyślić szczęśliwe zakończenie tego dnia, ale nie poszło jej łatwo. Albo znajdą ruiny, albo nie znajdą. Jeśli nie znajdą, zostaną w środku dżungli, siedemnaście kilometrów albo więcej od Coba, a noc zapadała szybko. Może mylili się co do drogi, może jeździły nią jakieś samochody. Szczęśliwe zakończenie nastąpiłoby, gdyby złapali autostop do Coba. Przyjechaliby o zachodzie słońca i albo znaleźliby jakiś nocleg, albo wrócili późnym autobusem do Cancun. Amy nie potrafiła jednak wykrzesać z siebie wiary w tę wizję. Wyobraziła sobie, jak wędrują drogą w całkowitych ciemnościach albo obozują pod gołym niebem, bez namiotów, śpiworów ani siatek przeciw komarom, i doszła do wniosku, że lepiej jednak znaleźć te ruiny. Zastaną tam Henricha i jego nową dziewczynę, i ekipę archeologów. Tamci na pewno będą mówić po angielsku, będą życzliwi i chętni do pomocy. Załatwią im transport do Coba, a jeśli zrobi się zbyt późno, z radością zaproponują własne namioty. Tak — czemu nie? — archeolodzy ugotują dla nich obiad. Będzie ognisko, picie i śmiech, a ona zrobi dużo zdjęć, żeby je pokazywać po powrocie do domu. To będzie przygoda, główna atrakcja tej podróży. Takie szczęśliwe zakończenie Amy obracała w myślach, kiedy wędrowała

ścieżką i przed nimi otwierała się już polana, krąg słonecznego blasku, oślepiąco jasnego, w który wkrótce musieli wejść.

Zatrzymali się w ostatnich plamach cienia przed polaną. Mathias wyjął butelkę z wodą i znowu ją sobie podawali. Wszyscy się pocili, Pablo zaczął śmierdzieć. Piszczący dźwięk za nimi ucichł. Amy obejrzała się i zobaczyła dwóch chłopców, obserwujących ich z odległości jakichś dwudziestu metrów. Ten parszywy kundel też za nimi przylazł, ten, który zapalał uczuciem do Stacy. Stał jeszcze dalej na ścieżce, prawie niewidoczny w cieniu. On też się zatrzymał i teraz wahał się, patrząc w ich stronę.

To Amy pomyślała o polach. Poczła przyptływ dumy, kiedy ten pomysł zaświtał jej w głowie, dziecinnej radości jak wtedy, kiedy wychylała się ze szkolnej ławki, podnosiła rękę, machała, żeby zwrócić uwagę nauczyciela.

— Może ścieżka odchodzi od pola — powiedziała, wskazując na słońce.

Pozostali odwrócili się, popatrzyli na polaną z namysłem. Potem Jeff kiwnął głową.

— Możliwe — przyznał i uśmiechnął się, zadowolony z rozwiązania, co wbiło Amy w jeszcze większą dumę.

Zdjęła z szyi aparat fotograficzny, kazała im się ustawić w luźnej grupie. Potem, stojąc plecami do słońca, objęła ich obiektywem, nakłoniła do uśmiechów — nawet pochmurnego Mathiasa. W ostatniej chwili, zanim Amy nacisnęła migawkę, Stacy obejrzała się przez ramię na ścieżkę, w stronę chłopców, psa, milczącej wioski, odwróciła się od aparatu. Ale to nie miało znaczenia. I tak wyjdzie ładne zdjęcie, Amy to wiedziała, pomyślała o rozwiązaniu, drodze do szczęśliwego zakończenia. W końcu jednak znajdują ruiny.

Po ubitej twardości ścieżki trudno im się szło przez pole. Widocznie niedawno bronowano tu ziemię. Powierzchnia była nierówna — bruzdy i odwrócone skiby — z niespodzie-

wanymi, niewytłumaczalnymi splachetkami błota. Błoto oblepiało im buty w takich ilościach, że ciągle musieli się zatrzymywać, żeby je zeszkrobywać. Eric nie miał siły na takie eskapady. Był skacowany, niewyspany i upał zaczynał dawać mu się we znaki. Serce mu waliło, głowa pękała z bólu. Fale mdłości przychodziły i odchodziły. Właśnie zaczynał sobie uświadamiać, że daleko nie zajdzie w tym stanie, i zastanawiał się, jak ma to ogłosić, kiedy Pablo oszczędził mu upokorzenia, bo zatrzymał się nagle. Błoto wessało mu prawy but wprost ze stopy. Stał na jednej nodze jak bocian, w chwiejnej równowadze, i zaczął przeklinać. Eric rozpoznał wiele wulgaryzmów z lekcji, których mu udzielali Grecy.

Jeff, Mathias i Amy wysforowali się już do przodu — maszerowali skrajem dżungli ze zwodniczą łatwością — ale Stacy wlokła się w ognie razem z Erikim i Pablem. Przystanęła teraz obok Erica, by pomóc Grekowi. Trzymała go za łokieć, żeby się nie przewrócił, Eric zaś kucnął i próbował wydobyć jego but z ziemi. Po chwili mozolnych wysiłków but wyskoczył z cmoknięciem jak korek z butelki, co wszystkich rozśmieszyło. Pablo włożył but z powrotem. Potem bez słowa zawrócił w stronę ścieżki. Stacy i Eric zerknęli na tamtych, którzy oddalili się już o dobre kilkanaście metrów, posuwając się metodycznie wzdłuż linii drzew. Nastąpiła milcząca dyskusja, bardzo krótka, po czym Eric wyciągnął rękę do Stacy. Wzięła ją z uśmiechem i oboje ruszyli z powrotem przez pole, śladem Pabla. Jeff krzyknął coś do nich, ale Eric i Stacy tylko pomachali i szli dalej. Pablo czekał na nich na ścieżce. Otworzył swój plecak i wyjął tequilę. Zdjął nakrętkę, podał butelkę Ericowi, Który — wbrew sobie, wbrew rozsądkowi — pociągnął długi, palący łyk i przekazał flaszkę dalej do Stacy. Stacy potrafiła pić kiedy się przyłożyła, jak teraz. Głowa odrzucona do tyłu, butelka przechylona idealnie pionowo, tequila spływająca prosto do gardła, gluk-gluk, gluk-gluk. Stacy zaczerpnęła powietrza, zakaszła i parsknęła śmiechem, z zaczerwienioną

twarzą. Pablo zaklaskał, klepnął ją po ramieniu, odebrał butelkę.

Dwaj chłopcy z wioski Majów ciągle im towarzyszyli. Podjechali trochę bliżej, ale nie opuścili cienistej dżungli. Zsiedli z roweru i stali obok siebie, większy trzymał kierownicę. Pablo podniósł butelkę w ich stronę, zawołał po grecku, ale nawet nie drgnęli, tylko stali i patrzyli. Pies dołączył do nich i też patrzył.

Jeff, Mathias i Amy dotarli do przeciwległej ściany dżungli, dokładnie po drugiej stronie pola. Zaczęli posuwać się dalej, równoległe do szlaku, szukając tajemniczej ścieżki. Pablo włożył butelkę z powrotem do plecaka i we troje stali przez chwilę, patrząc, jak tamci brną przez błotniste pole. Eric nie wierzył, że znajdą ruiny. Właściwie nawet nie wierzył, że ruiny w ogóle istnieją. Ktoś ich okłamał albo zrobił im kawał, nie wiadomo, czy Mathias, czy brat Mathiasa, czy może wymyślona dziewczyna brata Mathiasa. To nie miało znaczenia. Zabawili się, ale teraz chciał już to skończyć, chciał znowu siedzieć bezpiecznie w klimatyzowanym autobusie do Cancun i odsypiać zaległości. Nie bardzo wiedział, jak to osiągnąć, wiedział tylko, że chce wracać i że przede wszystkim musi dojść z powrotem do drogi najkrótszą możliwą trasą. Co nie obejmowało człapania przez błotniste pole.

Eric ruszył ścieżką przed siebie. Mogli zaczekać na tamtych w cieniu po drugiej stronie polany, mógłby nawet się trochę zdrzemnąć. Idąc, trzymali się ze Stacy za ręce.

— No więc... — zaczęła Stacy. — Była sobie dziewczyna, która kupiła fortepian.

— Ale nie umiała na nim grać — odpowiedział Eric.

— Więc zapisała się na lekcje.

— Ale nie było jej stać.

— Więc wzięła pracę w fabryce.

— Ale wylali ją za spóźnienia.

— Więc została prostytutką.

— Ale zakochała się w swoim pierwszym kliencie.

To była ich stara zabawa, wymyślane historyjki „więc — ale”.
Kompletna bzdura, marnowanie czasu w najczystszej formie, potrafili to ciągnąć godzinami, odbijając repliki jak piłeczki pingpongowe. To był ich własny wynalazek, nikt inny tego nie rozumiał. Nawet Amy to irytowało. Ale takie rzeczy Eric i Stacy najbardziej lubili: niemądre zabawy. W jakimś głęboko ukrytym, trudno dostępnym zakamarku umysłu Erica pojawiała się świadomość, że są jak para dzieci i że Stacy kiedyś dorosnie, nawet już zaczęła dorastać. Wątpił, czy sam to osiągnie, nie rozumiał, jak ludziom się udawało. Zamierzał uczyć dzieci i na zawsze pozostać dzieckiem, podczas gdy Stacy wkraczała w dorosłość i wyprzedzała go coraz bardziej. Marzył, że kiedyś się pobiorą, ale to było tak, jakby opowiadał sobie bajki, kolejny przykład cechującej go niedojrzałości. Gdzieś w przyszłości czyhało zerwanie, list pożegnalny, ostatnie bolesne spotkanie. Starał się tego nie dostrzegać, wiedział o tym albo podejrzewał, że wie, ale odruchowo za—

— Więc poprosiła go o rękę.

— Ale on już był żonaty.

— Więc błagała go, żeby się rozwiódł.

— Ale on kochał żonę.

— Więc postanowiła ją zabić.

Szczekanie psa wytrąciło Erica z toku myśli. Obejrzał się na ścieżkę. Dwaj chłopcy i kundel wyłonili się z dżungli, cała trojka stała teraz w pełnym słońcu. Nie patrzyli jednak na Erica, spoglądali ponad polem na Jeffa, Mathiasa i Amy. Mathias wyrwał wielki liść palmowy i odrzucił na pole. Kiedy schylił się po następny, Jeff odwrócił się, krzyknął coś niezrozumiałego i machnął na nich, żeby podeszli. Eric, Stacy i Pablo nie ruszyli się z miejsca. Żadne z nich chciało znowu włączyć w błoto. Mathias dalej wyrwał palmowe liście i odrzucał na pole. Stopniowo odsłonił przerwę w linii drzew — wylot ścieżki.

Zanim to w pełni dotarło do Erica, zauważył kątem oka

jakiś ruch. To przyciągnęło jego wzrok. Większy z chłopców wlaź na rower i odjeżdżał, pedałując zawzięcie, zniknął w dżungli, podczas gdy mniejszy został sam. Obserwował Jeffa i pozostałych z wyraźnym przestraszonym, kołyszającym się z boku na bok, przyciskającym do gardła splecione ręce. Eric widział to, ale nic nie rozumiał. Jeff machał, żeby podeszli, znowu krzychał. Chyba nie mieli wyboru. Eric z westchnieniem wszedł na błotniste pole. Stacy i Pablo poczępali razem z nim w stronę lin. Za nimi pies szczekał bez przerwy.

To Mathias zauważył palmowe liście, Jeff przeszedł obok nich. Dopiero kiedy Mathias się zawahał, Jeff obejrzał się, podążył za spojrzeniem Niemca i zobaczył liście. Były jeszcze zielone, zręcznie powtykane łodygami w ziemię, więc wyglądały jak zarośla przesłaniające wylot ścieżki. Ale jeden liść się przewrócił i koniec wysunął się z ziemi. Właśnie to zauważył Mathias. Podeszedł, wyrwał następny liść i natychmiast wszystko się wydało. Wtedy właśnie Jeff odwrócił się i zawołał pozostałych, pomachał do nich, żeby podeszli.

Gdy już usunęli liście, widzieli ścieżkę bez trudu. Wąska i kręta, wiła się przez dżunglę i stopniowo wznosiła. Mathias, Amy i Jeff kucnęli przy jej wylocie, w cieniu. Mathias znowu wyjął butelkę z wodą i wszyscy się napili. Siedzieli przez jakiś czas, patrząc, jak Eric, Pablo i Stacy powoli idą do nich przez pole. Amy pierwsza wspomniała o tym, co z pewnością zaintrygowało wszystkich.

— Dlaczego była zasłonięta? — spytała.

Mathias wsuwał butelkę z wodą do plecaka. Należało zadać mu pytanie bezpośrednio, żeby otrzymać odpowiedź: kiedy ktoś zwracał się do grupy, Mathias udawał, że nie słyszy. Jeff uważał, że to w porządku, ostatecznie Mathias nie należał do nich.

Jeff wzruszył ramionami, udając obojętność. Próbował coś

wymyślić, żeby zmienić temat, ale nie potrafił, więc milczał. Obawiał się, że Amy nie zechce pójść tą ścieżką. Wiedział jednak, że ona nie odpuści. I miał rację.

— Chłopiec odjechał — powiedziała. — Widzieliście?

Jeff kiwnął głową. Nie patrzył na nią — patrzył, jak Eric i tamci mozolnie brną przez pole — ale czuł na sobie jej wzrok. Nie chciał, żeby o tym myślała: o odjeździe chłopca, o zakamuflowanej ścieżce. Tylko się przestraszy, a pod wpływem strachu robiła się kapryśna i uparta, niezbyt fortunate połączenie. Coś dziwnego się tutaj działo, ale Jeff miał nadzieję, że jeśli to zignorują, nic im się nie stanie. Zdawał sobie sprawę, że to nie najmądrzejsza taktyka, ale w tej chwili nie potrafił wymyślić lepszej. Więc musiała wystarczyć.

— Ktoś próbował ukryć ścieżkę — ciągnęła Amy.

— Na to wygląda.

— Ucięli liście palmowe i wetknęli w ziemię, żeby udawały zarośla.

Jeff milczał i marzył, żeby się zamknęła.

— To sporo pracy — zauważyła.

— Chyba tak.

— To cię nie dziwi?

— Trochę.

— Może to nie ta ścieżka.

— Zobaczymy.

— Może to chodzi o narkotyki. Może ta ścieżka prowadzi do pola marihuany. W wiosce hodują trawkę i chłopiec pojechał po nich, i przyjdą z bronią, i...

Jeff wreszcie się poddał i odwrócił do niej.

- Amy — powiedział, a ona umilkła. — To ta ścieżka, okay?

Oczywiście nie poszło tak łatwo. Amy rzuciła mu niedowierzające spojrzenie.

- Skąd możesz wiedzieć?

Jeff machnął ręką w stronę Mathiasa.

- Jest na mapie.

— To odręczna mapa, Jeff.

— No... — utknął i z braku słów machnął ręką. — No wiesz...

— Powiedz mi, dlaczego ścieżka była ukryta. Podaj mi jeden możliwy scenariusz, że to jest właściwa ścieżka i ktoś miał logiczny powód, żeby ją zakamuflować.

Jeff myślał przez minutę. Eric i tamci już prawie do nich dotarli. Po drugiej stronie pola mały Maja ciągle stał i patrzył na nich. Pies wreszcie przestał szczekać.

— Okay — powiedział Jeff. — Może było tak: archeolodzy zaczęli znajdować wartościowe rzeczy. Kopalnia nie jest wyeksploatowana. Znaleźli srebro. Albo nawet szmaragdy. Cokolwiek tam wydobywano. I boją się, że ktoś spróbuje ich obrabować. Więc zasłonili ścieżkę.

Amy przez chwilę rozważała ten scenariusz.

— A chłopiec na rowerze?

— Zwerbowali Majów, żeby pomogli im trzymać ludzi z daleka. Zapłacili im. — Jeff uśmiechnął się do niej, zadowolony z siebie. Tak naprawdę wcale w to nie wierzył, właściwie sam nie wiedział, w co wierzyć. Niemniej był zadowolony.

Amy zastanawiała się nad jego słowami. Widział, że mu nie uwierzyła, ale to nie miało znaczenia. Tamci wreszcie do nich dołączyli. Wszyscy się spocili, zwłaszcza Eric, który wyglądał blade i mizernie. Grek oczywiście musiał ich wszystkich uściskać, jedno po drugim, obejmując ich wilgotnymi ramionami. I tak po prostu dyskusja się skończyła. Ostatecznie jaki mieli wybór?

Po kilku minutach odpoczynku ruszyli ścieżką w głąb dżungli.

Ścieżka była tak wąska, że musieli iść pojedynczo. Jeff prowadził, za nim Mathias, potem Amy, Pablo i Eric. Stacy szła na końcu.

_ Ale jej kochanek doniósł na policję — powiedział Eric.

Stacy wpatrywała się w tył jego głowy. Nosił czapkę Boston Red Sox założoną tyłem do przodu. Próbowła sobie wyobrazić że widzi jego twarz, pokrytą brązowymi włosami, z ustami, oczami i nosem ukrytymi pod spodem. Uśmiechnęła się do tej owłosionej twarzy. Próbował ciągnąć ich zabawę, wiedziała o tym i wymyśliła odpowiedź: „Więc uciekła do innego miasta”, ale nie wymówiła jej na głos. Amy tyle razy się z niej wyśmiewała, przedrzeźniała ją i Erica mówiących: „Więc” i „Ale”, że Stacy nie lubiła już w to grać w jej obecności. Nie odzywała się, a Eric szedł dalej. Czasami tak to działało: rzucałeś „Więc” albo „Ale”, a druga osoba nie odpowiadała, i dobrze. To też należało do zabawy, do ich porozumienia.

Nie powinna była tak łąpczywie ciągnąć tequili. Głupi pomysł. Chciała się popisać, zaimponować Pablowi. Teraz miała zawroty głowy i lekkie mdłości. Cała ta zieleń wokół niej — za dużo zieleni — też nie pomagała: gęste listowie po obu stronach, drzewa rosnące tak blisko ścieżki, że musiała ich dotykać, przechodząc. Od czasu do czasu przelotny powiew muskał jej twarz, poruszał liśćmi, które szeptały. Stacy próbowała podsłuchać, o czym mówią, próbowała dopasować słowa do dźwięku, ale jej umysł nie działał w ten sposób, nie mogła się skupić. Czuła się trochę pijana, a wokół było za dużo zieleni. Niepokoił ją nadchodzący ból głowy — budził się, przeciągał, szukał okazji, żeby urosnąć. Pod nogami też miała zieleń, mech porastający ścieżkę, miejscami śliski. Kiedy ścieżka zagłębiła się w niewielką kotlinę, Stacy pośliznęła się i o mało nie upadła. Pisnęła, łapiąc równowagę, i przestraszyła się, że nikt nawet się nie obejrzał, żeby sprawdzić, czy jest bezpieczna. A gdyby się przewróciła, uderzyła się w głowę, tracąc przytomność? Po jakim czasie zauważyliby, że już za nimi nie idzie? W końcu by zawrócili, jak przypuszczała, znaleźliby ją, ocucili. Ale gdyby wcześniej coś wyskoczyło z zarośli i ją zjadło? Bo w dżungli żyły zwierzęta, Stacy wyczuwała ich czujną obecność, śledzącą każdy jej krok.

Oczywiście wcale w to nie wierzyła. Lubiła sama się straszyć, jak dziecko, wiedząc przez cały czas, że to tylko zabawa. Nie zauważyła chłopca odjeżdżającego na rowerze ani kamuflażu ukrywającego ścieżkę. Nikt o tym nie wspomniał. Było za gorąco, żeby rozmawiać, wszystko, na co mogli się zdobyć, to przestawiać jedną stopę przed drugą. Więc Stacy musiała sama sobie wymyślać zagrożenia.

Dlaczego włożyła sandały? Głupio zrobiła. Stopy miała teraz brudne jak nieszczęście: pełno błota między palcami. Przyjemnie się szło po polu — ciepłym, miękkim, dziwnie przyjaznym — ale to wrażenie minęło. Teraz został tylko brud, cuchnący lekko fekaliami, jakby wdepnęła w gówno.

Zieleń to kolor zazdrości, kolor młodości. Stacy w dzieciństwie należała do skautów, wędrowała przez zielone lasy, ubrana w zielony mundurek. Pamiętała jeszcze piosenki z tamtych czasów. Próbowala sobie jakąś przypomnieć, ale za bardzo bolała ją głowa.

Przekroczyli strumień, skacząc z kamienia na kamień. Strumień też był zielony, gęsty od alg. Kamienie okazały się jeszcze bardziej śliskie od ścieżki, ale Stacy nie wpadła do wody. Skakała, skakała, skakała, aż znalazła się po drugiej stronie.

Komary i małe czarne muszki były tak liczne, tak natarczywe, że już dawno przestała je odganiać. A potem nagle znikły, jak tylko przekroczyła strumień. To się stało w okamgnieniu: brzęczały wokół niej, po czym ulotniły się jak zaczarowane. Bez nich nawet upał stał się łatwiejszy do zniesienia, nawet nieustępliwa zieleń i smród gówna wydzielany przez brudne stopy, i przez chwilę niemal przyjemnie było iść wśród szepczących drzew. W głowie jej się trochę przejaśniło i znalazła słowa dla szepczących liści.

Zabierz mnie ze sobą, mówiło jedno drzewo.

A potem: Czy wiesz, kim jestem?

Ścieżka zakręciła i nagle przed nimi otwarła się następna polana, krąg słonecznego blasku w odległości trzydziestu metrów, rozmyty i pulsujący od upału.

Drzewo po lewej jakby wymówiło jej imię. Stacy, szepnęło tak wyraźnie, że aż się obejrzała i ciarki jej przeszły po plecach. Za nią rozległ się następny szeleszczący głos: *Zabłądziłaś?* A potem wyszła z innymi w blask słońca.

Ta polana nie wyglądała jak pole. Trochę jak droga, ale też nie całkiem. Jakby ekipa robotników zamierzała zbudować drogę, wykarczowali dżunglę i wyrównali ziemię, a potem nagle się rozmyśliłi. Szeroka na dwadzieścia metrów, rozciągała się w obie strony, w lewo i w prawo, tak daleko, jak sięgał wzrok, aż do horyzontu. Po drugiej stronie wznosiło się niewielkie wzgórze, kamieniste, dziwnie bezdrzewne, porośnięte jakąś winoroślą—jaskrawozieloną, z liśćmi w kształcie dłoni i uroczymi kwiatkami. Roślina pokrywała całe wzgórze, przywierając tak ciasno do ziemi, jakby trzymała ją w uścisku. Kwiaty przypominały maki, tej samej wielkości i barwy: świetlista witrażowa czerwień.

Wszyscy stali i patrzyli, osłaniając oczy od słońca. Widok był piękny: wzgórze niczym gigantyczna pierś, pokryta czerwonymi kwiatkami. Amy wyjęła aparat fotograficzny i zaczęła trzaskać zdjęcia.

Odsłonięta ziemia miała inny kolor niż pole, przez które wcześniej przechodzili. Gleba na polu była rudobrazowa, miejscami niemal pomarańczowa, tutaj zaś całkiem czarna, nakrapiana bielą niczym szronem. Za pasem ziemi ścieżka znowu się pojawiała i wspinała zakosami na wzgórze. Zrobiło się dziwnie cicho, zauważyła nagle Stacy: ptaki zamilkły. Nawet szarańcze przerwały swoje uporczywe chrobotanie. spokojne miejsce. Odetchnęła głęboko, poczuła senność i usiadła. Eric też usiadł, potem Pablo, wszyscy troje w rzędzie. Mathias znowu puścił w obieg butelkę z wodą. Amy dalej robiła zdjęcia — wzgórze, ładnych kwiatków, potem każdego z nich po kolei. Kazała Mathiasowi się uśmiechnąć, on jednak spoglądał na wierzchołek wzgórza.

- Czy tam jest namiot? — zapytał.

Podnieśli wzrok. Na samym szczycie wzgórza majaczył

pomarańczowy prostokąt tkaniny, ledwie widoczny. Wydymał się na wietrze jak żagiel. Z tej odległości, kiedy nachylenie stoku częściowo zasłaniało widok, nie bardzo mogli rozpoznać, co to jest. Stacy pomyślała, że to wygląda jak latawiec uwięziony w kwitnących winoroślach, ale oczywiście namiot miał więcej sensu. Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, kiedy jeszcze patrzyli w górę, mrużąc oczy przed słońcem, z dżungli dobiegł dziwny hałas. Wszyscy usłyszeli go jednocześnie, chociaż jeszcze nie nabrał mocy. Odwrócili się niemal jak na komendę i nasłuchiwali z przechylonymi głowami. Dźwięk brzmiał znajomo, ale przez kilka sekund żadne nie mogło go rozpoznać.

Jeff pierwszy sobie skojarzył.

— Koń — oznajmił.

Wtedy Stacy też to usłyszała: kopyta łomoczące w galopie po wąskiej ścieżce.

Amy wciąż trzymała w ręku aparat fotograficzny. Przez wizjer obserwowała nadjeżdżającego konia. Zrobiła mu zdjęcie, kiedy wpadł polaną: duży brązowy koń, który zatrzymał się przed nimi, stając dęba. Siedział na nim ten sam Maja, który podszedł do nich przy studni w wiosce. Ten sam, ale wyglądał inaczej. W wiosce był spokojny i powściągliwy, wręcz zdystansowany, spoglądał na nich protekcyjnie, jak znużony ojciec na niesforne dzieci. Teraz to znikło, zastąpione przez pośpiech graniczący z paniką. Białą koszulę i spodnie mężczyzny pokrywały zielone plamy od szybkiej jazdy wśród drzew. Zgubił kapelusz i jego łysa głowa błyszczała od potu.

Koń też był niespokojny: spieniony, parskał i wywraçał oczami. Dwa razy stanął dęba, aż się przestraszyli i cofnęli w głąb polany. Mężczyzna zaczął krzyczeć, wymachując ręką Koń miał uzdę, ale nie miał siodła, mężczyzna jechał na oklep, ściskając nogami jak w kleszczach boki wielkiego

zwierzęcia. Koń znowu stanął dęba i tym razem mężczyzna na wpół spadł, na wpół zeskoczył na ziemię. Wciąż trzymał wodze, ale koń cofał się przed nim, szarpał łbem i próbował się uwolnić.

Amy sfotografowała tę szamotaninę, mężczyznę próbującego uspokoić konia, który ciągnął go krok za krokiem z powrotem w stronę ścieżki. Dopiero kiedy odsunęła oko od wizjera, spostrzegła broń przy pasie mężczyzny: czarny pistolet w brązowej kaburze. Nie nosił broni w wiosce, na pewno. Zabrał ją, kiedy wyruszył za nimi w pościg. Koń za bardzo się płoszył, mężczyzna nie mógł go uspokoić i w końcu po prostu puścił wodze. Wierzchowiec natychmiast zawrócił i pogalopował w głąb dżungli. Słyszeli, jak z trzaskiem przeciskał się wśród gałęzi. Tętent kopyt stopniowo cichł w oddali. Potem mężczyzna znowu zaczął na nich krzyżeć, wymachując rękami nad głową, wskazując z powrotem na ścieżkę. Nie bardzo wiedzieli, co chciał im przekazać. Amy zastanawiała się, czy chodziło o konia, czy mężczyzna oskarżał ich, że spłoszyli zwierzę. — Czego on chce? — zapytała Stacy. Głos miała przestraszony — jak mała dziewczynka — i Amy obejrzała się na nią. Stacy trzymała Erica za ramię i stała trochę za nim. Eric uśmiechał się do Mai, jakby uważał cały incydent za jakiś dowcip i czekał, żeby tamten przyznał, że żartuje.

- On chce, żebyśmy wracali — powiedział Jeff.
- Dlaczego? — zapytała Stacy.
- Może chce pieniędzy. Jak opłata za wstęp. Albo żebyśmy go wynajęli jako przewodnika. — Jeff sięgnął do kieszeni spodni, wyciągnął portfel. Mężczyzna wciąż krzychał, wskazując gwałtownie na ścieżkę. Jeff wyjął banknot dziesięciodolarowy, wyciągnął w stronę Mai.
- *Dinero?* — zaproponował.

Maja zignorował pieniądze. Wykonał zamaszysty ruch ręką, jakby chciał ich spędzić z polany. Patrzyli na niego niepewnie, nikt się nie ruszył. Jeff starannie wsunął złożony banknot z powrotem do portfela, a portfel do kieszeni. Po chwili mężczyzna przestał krzyczeć — zabrakło mu tchu.

Mathias odwrócił się w stronę ukwieconego wzgórza, złożył dłonie wokół ust.

— Henrich! — wrzasnął.

Odpowiedź nie nadeszła, nic się nie poruszało na wzgórzu, tylko pomarańczowa płachta falowała łagodnie. W oddali znowu rozległ się tętent kopyt. Albo koń wracał, albo nadjeżdżał następny wieśniak.

— Może wejdiesz na wzgórze i poszukasz brata? — zwrócił się Jeff do Mathiasa. — Zaczekamy tutaj i spróbujemy wyjaśnić sytuację.

Mathias kiwnął głową. Odwrócił się i ruszył przez polanę. Maja znowu zaczął krzyczeć, a kiedy Mathias się nie zatrzymał, mężczyzna wyciągnął pistolet z kabury, podniósł go nad głowę i strzelił w niebo.

Stacy wrzasnęła i odskoczyła, zakrywając ręką usta. Wszyscy skulili się odruchowo. Mathias obejrzał się, zobaczył pistolet wycelowany teraz we własną pierś i zastygł bez ruchu. Mężczyzna machnął na niego, krzycząc coś, i Mathias zawrócił do pozostałych, trzymając ręce uniesione w górę. Pablo też podniósł ręce, ale kiedy nikt inny nie poszedł w jego ślady, powoli je opuścił.

Tętent zbliżał się coraz bardziej i nagle dwaj następni jeźdźcy wypadli na polanę. Wierzchowce wydawały się równic przerażone jak ten pierwszy: parskały, błyskały białkami oczu. pot błyszczał na ich bokach. Jeden koń był ciemnoszary, drugi czarny. Jeźdźcy zeskoczyli na ziemię, żaden nie próbował przytrzymać wodzy. Konie natychmiast zawróciły galopem do dżungli. Nowi przybysze byli znacznie młodsi od łysego mężczyzny, ciemnowłosi, szczupli i żyłaści. Przez piersi mieli przewieszzone łuki i kotczany pełne cienkich,

kruchych z pozoru strzał. Jeden miał wąsy. Zaczęli bardzo szybko rozmawiać z łysym mężczyzną, zadawać mu pytania. On wciąż mierzył z pistoletu do Mathiasa, dwaj przybysze zdjęli łuki i każdy nałożył strzałę na cięciwę.

— Co jest, kurwa? — oburzył się Eric.

— Cicho — rozkazał Jeff.

— Oni...

— Czekaj — rzucił Jeff. — Czekaj i patrz.

Amy wycelowała aparat fotograficzny w stronę przybyszów i zrobiła jeszcze jedno zdjęcie. Widziała, że nie uchwyciła dramatyzmu tej chwili, że powinna się cofnąć, żeby objąć obiektywem nie tylko uzbrojonych Majów, ale również Jeffa i pozostałych, stojących naprzeciwko, takich wystraszonych. Cofnęła się parę kroków, patrząc przez wizjer. Teraz czuła się bezpieczniej, na dystans, jakby ta dziwna sytuacja już jej nie dotyczyła. Jeszcze cztery kroki i Jeff znalazł się w obiektywie, i Pablo, i Mathias z ciągle podniesionymi rękami. Musiała tylko odejść trochę dalej, żeby uchwycić jeszcze Stacy i Erica, potem zrobi zdjęcie dokładnie takie, jakie chciała. Cofnęła się kolejny krok, potem jeszcze jeden i nagle Majowie znowu krzyczeli, wszyscy trzej, teraz na nią, pierwszy celował z pistoletu, pozostali naciągali łuki. Jeff i tamci oglądali się na nią ze zdumieniem — tak, teraz Stacy pojawiła się w kadrze, po prawej stronie — i Amy zrobiła następny krok.

— Amy — powiedział Jeff i prawie się zatrzymała. Zawahała się, zaczęła opuszczać aparat. Ale widziała, że prawie osiągnęła cel, więc zrobiła jeden ostatni krok i wyszło idealnie: Eric też zmieścił się w kadrze. Amy nacisnęła migawkę, usłyszała kliknięcie. Zadowolona z siebie, wciąż czuła się trochę poza nawiasem, co jej się podobało. Dopiero kiedy podniosła wzrok znad wizjera, poczuła dziwny ucisk wokół kostki, jakby chwyciła ją czyjaś ręka. Zerknęła w dół i zobaczyła, że przeszła aż na drugą stronę polany. Dotykała jej ukwiecona winorośl. Długie zielone pnące owinęło się wokół kostki. Widocznie zaczepiła nogą o roślinę.

Nastąpiła dziwna pauza, Majowie przestali wrzeszczeć. Dwa łuki pozostały naciągnięte, ale mężczyzna z pistoletem powoli opuścił broń. Czuła, że inni patrzą na nią, na jej prawą nogę, zapadniętą po kostkę w winorośle, jakby połkniętą Przykucnęła, żeby się uwolnić, i właśnie się podnosiła, kiedy Majowie znowu zaczęli wrzeszczeć. Krzyczeli na nią, a potem przestali — krzyczeli na siebie. Wyglądało to na kłótnię, dwaj mężczyźni z łukami przeciwko łysemu.

— Jeff! — zawołała.

Podniósł rękę, nie patrząc na nią, uciszył ją.

— Nie ruszaj się — rozkazał.

Więc się nie ruszała. Łysy mężczyzna chwycił się jedną ręką za prawe ucho, ciągnął za nie, marszczył brwi i kręcił głową, w lewej dłoni wciąż trzymając pistolet, przyciskając go do uda. Chyba nie chciał słuchać, co mówili tamci dwaj. Wskazał na Amy, potem na pozostałych, machnął ręką w stronę ścieżki. Ale w jego gestach już wyczuwało się brak zapалу, świadomość porażki. Ten człowiek zdawał sobie sprawę, że przegrał. Amy widziała, jak się zmęczył, widziała, jak się poddał. Umilkł, mężczyźni z łukami też zamilkli. Patrzyli na Jeffa i Mathiasa, na Erica, Stacy i Greka. I na nią. Potem łysy podniósł pistolet, wycelował w Jeffa, w jego pierś. Drugą ręką wykonał gest popędzania, ale teraz w przeciwnym kierunku, w stronę Amy, w stronę wzgórze za nią.

Nikt się nie ruszył.

Łysy zaczął krzyczeć, wymachiwać w stronę wzgórze. Nieznacznie opuścił broń, strzelił w ziemię u stóp Jeffa. Wszyscy podskoczyli, zaczęli się cofać. Pablo znowu podniósł ręce do góry. Dwaj ciemnowłosi mężczyźni też krzyczeli, kołyszając łukami, celując po kolei w każde z nich, zaganiając ich krok po kroku w stronę Amy. Jeff i reszta cofali się tyłem: nie patrzyli, dokąd idą. Kiedy dotarli do skraju polany zawahali się, czując winorośla na nogach. Spojrzeli w dół, przystanęli. Eric zatrzymał się obok Amy, po lewej stronie Pablo stał z prawej strony. Dalej inni: Stacy, Mathias, Jeff.

A za Jeffem ścieżka. Tam wskazywał teraz łysy, machał na nich, żeby tam szli, żeby się wspięli na wzgórze. Miał dziwnie zbolaną minę, jakby zbierało mu się na płacz — nie, on naprawdę się rozplakał. Otarł twarz rękawem i poganiał ich dalej. To wszystko było takie dziwaczne, takie niepojęte, nikt nie odezwał się ani słowem. Weszli na ścieżkę, Jeff pierwszy, reszta za nim.

A potem, wciąż milcząc, zaczęli szeregiem wspinać się na wzgórze.

Eric zamykał pochód. Idąc, ciągle oglądał się przez ramię. Majowie obserwowali ich wspinaczkę, łysy osłaniał ręką oczy przed słońcem. Na wzgórzach nie rosły żadne drzewa, tylko winorośle, gęste zwoje wszędzie, ciemnozielone liście i jaskrawoczerwone kwiaty. Z nieba lał się żar prosto na nich — nigdzie nie było cienia — a za nimi, u stóp wzgórza, stało trzech uzbrojonych mężczyzn. To nie miało żadnego sensu. Najpierw łysy chciał, żeby wracali, potem kazał im iść naprzód. Widocznie wtrącili się mężczyźni z łukami, kłócili się z nim i zmusili, żeby zmienił zdanie. Ale to ciągle nie miało sensu. Całą szóstką wspinali się po ścieżce, spoceni z wysiłku, w całkowitym milczeniu, ponieważ się bali i nie mieli nic do powiedzenia.

Prędzej czy później i tak będą musieli zejść z powrotem na polanę, wrócić wąską ścieżką na pole, a potem szerszym szlakiem do drogi, ale jak tego dokonają, Eric nie miał pojęcia. Przypuszczał, że archeolodzy wytłumaczą im, co się stało. Może nawet chodziło o jakiś drobiazg, coś łatwego do rozwiązania, z czego będą się śmiać za kilka minut. Pomyłka.

Nieporozumienie. Niedoinformowanie. Eric próbował sobie przypomnieć inne słowa, zaczynające się od „nie”. Za kilka tygodni zacznie uczyć angielskiego i powinien wzbogacać słownictwo. Zawsze znajdzie się dwóch czy trzech uczniów, gotowych podpowiadać nauczycielowi,

okazji, żeby mu wytknąć błąd. Tego lata Eric miał przeczytać kilka książek, nawet zapewnił kierownika swojego wydziału., że już je przeczytał, ale lato prawie się skończyło, a on nawet do żadnej nie zajrzał.

Niewiedza. Nieznajomość. Niekomunikatywność.

To ostatnie było dobre. Eric chciałby znać więcej takich słów, zostać nauczycielem, który swobodnie ich używa. a uczniowie wysilają się, żeby go zrozumieć, uczą się przez samo słuchanie, ale wiedział, że nic z tego. Był równym facetem, trenerem baseballu, który mruga porozumiewawczo i śmieje się z uczniowskich wygłupów, może ich ulubieńcem, ale niezbyt wybitnym nauczycielem. Nie takim, od którego nauczą się czegoś istotnego.

Niegodziwość. Nieżyczliwość. Nieudolność.

Eric z każdym krokiem coraz mniej się bał i cieszył się z tego, bo tam na dole przez chwilę czuł naprawdę wielki strach. Kiedy łysy strzelił w ziemię u stóp Jeffa, Eric patrzył na Stacy, sprawdzał, czy nic jej nie jest. Nie widział, jak mężczyzna opuszczał broń, usłyszał strzał i przez mgnienie myślał, że mężczyzna zastrzelił Jeffa, strzelił mu w pierś, zabił go. Potem wszystko stało się tak szybko — zapędzono ich na wzgórze, zmuszono do wspinaczki — że dopiero teraz jego serce trochę zwolniło. Ktoś coś wymyśli. Albo archeolodzy im pomogą. I wszystko dobrze się skończy.

Niesłuszność. Niewłaściwość. Nieświadomość.

— Henrich! — zawołał Mathias i przystanęli, patrząc w górę, czekając na odpowiedź.

Nie nadeszła. Wahali się jeszcze przez parę sekund, po czym podjęli wspinaczkę.

To był namiot. Eric widział go wyraźnie, kiedy weszli wyżej, jaskrawopomarańczowy jak pacholki drogowe, trochę poszarzały. Widocznie stał tutaj przez jakiś czas, bo winorośle zdążyły już wspiąć się po aluminiowych słupkach jak po treliazu. Czterooosobowy namiot, ocenił Eric. Wejście znajdowało się po drugiej stronie.

_ Halo! — zawołał Jeff i znowu się zatrzymali, czekając na odpowiedź.

Podeszli już na tyle blisko, że słyszeli, jak namiot łopocze na wietrze niczym żagiel. Ale nic więcej, żadnego dźwięku, żadnego śladu ludzkiej obecności. W tej ciszy Eric zauważył po raz pierwszy to, co Stacy odkryła wcześniej: komary znikły. A także małeńkie czarne muszki. To powinno mu przynieść chociaż niewielką ulgę, ale jakoś nie przyniosło. Wręcz przeciwnie: wzbudziło w nim niepokój, przywołało osobliwe echo tego strachu, który czuł na polanie, kiedy się odwrócił, spodziewając się widoku zwłok Jeffa, słysząc echo wystrzału odbite od ściany drzew. Dziwne, że tutaj, w środku dżungli, w połowie drogi na wzgórze, nie napastowały ich te małe owady. A Eric nie życzył sobie więcej dziwnych rzeczy, chciał, żeby wszystko miało sens, dawało się przewidzieć. Chciał, żeby ktoś mu powiedział, dlaczego owady znikły, dlaczego Majowie kazali im wejść na wzgórze i dlaczego ciągle stali na dole, śledząc ich wzrokiem, z bronią w

Niebezpieczeństwo. Właściwie podwójne zaprzeczenie, pomyślał Eric. „Nie” i „bez” powinny się znosić, i co wtedy zostaje?

Skaleczenie na łokciu zaczęło boleć. Znowu czuł w tamtym miejscu pulsowanie krwi, teraz trochę wolniejsze, ale wciąż za szybkie. Próbował sobie wyobrazić archeologów, jak śmieją się z tej dziwacznej sytuacji, która okaże się wcale nie taka dziwaczna, kiedy już wszystko zostanie należycie wyjaśnione. W pomarańczowym namiocie pewnie jest apteczka, przypuszczał Eric. Ktoś mu oczyści ranę, obwiąże ją białym bandażem. A potem, kiedy wróćą do Cancun — uśmiechnął się na tę myśl - kupi gumowego węża i schowa pod ręcznikiem Pabla.

Winorośl pokrywała wszystko oprócz ścieżki i pomarańczowej płachty namiotu. W niektórych miejscach rosła tak rzadko, że Eric dostrzegał glebę pod spodem — bardziej pienistą, niż się spodziewał, suchą, niemal pustynną — ale w innych jakby nakładała się na siebie, piętrzyła kolejnymi

warstwami, tworzyła kopce wysokie do pasa, splecione wzgórki gęstej zieleni. I wszędzie jak dzwoneczki wisały na łodygach te jaskrawe, krwawoczerwone kwiaty.

Eric znowu zerknął w dół zbocza, w samą porę, żeby zobaczyć przybycie czwartego mężczyzny. Przyjechał na rowerze, ubrany jak inni na biało, w słomkowym kapeluszu na głowie.

— Jest jeszcze jeden — odezwał się Eric.

Wszyscy zatrzymali się i obejrzeni. Tymczasem pojawił się piąty mężczyzna, a potem szósty, także na rowerach. Wszyscy nowi przybysze mieli łuki przewieszane przez plecy. Odbyła się krótka narada, łysy pełnił rolę przywódcy. Mówił przez chwilę, gestykulując obiema rękami, a wszyscy słuchali. Potem wskazał na wzgórze i mężczyźni odwrócili się, żeby spojrzeć na nich. Eric chciał odwrócić wzrok, ale opanował ten niemądry odruch dobrego wychowania, zasada „Nieładnie się gapić” nie miała nic wspólnego z tym, co się tutaj działo. Patrzył, jak łysy wskazuje w obie strony oszczędnymi wojskowymi gestami, a mężczyźni z łukami ruszają przez polanę, dwóch na lewo, trzech na prawo, zostawiając go samego u podnóża ścieżki.

— Co oni robią? — zapytała Amy, ale nikt nie odpowiedział.

Nikt nie wiedział.

Z dżungli wyszło dziecko, mniejszy z dwóch chłopców, którzy za nimi jechali na rowerze. Stał obok łysego mężczyzny i obaj patrzyli na nich. Łysy położył rękę na ramieniu chłopca. Wyglądali tak, jakby pozowali do zdjęcia.

— Może powinniśmy zbiec na dół — zaproponował Eric. — Szybko. Dopóki jest tylko on i dziecko. Możemy ich przegonić.

— On ma broń, Eric — przypomniała mu Stacy. Amy kiwnęła głową.

— I może zawołać innych.

Znowu zamilkli i patrzyli w dół, próbując znaleźć rozwiązanie tej sytuacji, ale nic nie mogli wymyślić.

Mathias złożył dłonie wokół ust i jeszcze raz krzyknął w stronę namiotu:

— Henrich!

Namiot dalej falował łagodnie na wietrze. Od podstawy do szczytu wzgórza me było tak daleko, najwyżej sto pięćdziesiąt metrów, i pokonali już ponad połowę drogi. Dotarli tak blisko, że jeśli ktoś tam był, musiał usłyszeć wołanie. Ale nikt się nie zjawił, nikt nie odpowiedział. Mijały sekundy, cisza się przedłużała i Eric musiał przyznać w duchu to, co pewnie wszyscy inni myśleli, chociaż nikt nie miał odwagi wypowiedzieć tego na głos: tam na górze nikogo nie było.

— Chodźcie — powiedział Jeff i kiwnął na nich.

I podjęli marsz w górę.

Wierzchołek wzgórza tworzył szeroki płaskowyż, jakby jakaś olbrzymia ręka wychyliła się z nieba i łagodnie poklepała je w tych szych chwilach po jego wypiętrzeniu się, kiedy jeszcze nie zdążyło stwardnieć. Było tu więcej miejsca, niż Jeff się spodziewał. Ścieżka omijała pomarańczowy namiot i pięćdziesiąt metrów dalej wychodziła na małą skalistą polankę. Stał tam drugi namiot, niebieski. Wydawał się równie zniszczony jak ten pomarańczowy. Oczywiście nikogo tu nie było i Jeff wyczuł od pierwszego spojrzenia, że namioty stoją opuszczone już przez jakiś czas.

— Halo? — zawołał ponownie.

I cała szóstka przystanęła kilka metrów przed pomarańczowym namiotem, odprawiając rytuał oczekiwania na odpowiedź, której się nie spodziewali.

Wspinaczka okazała się niezbyt wyczerpująca, ale wszyscy trochę się zadyszeli. Przez chwilę nikt się nie ruszał ani nie odzywał, byli zbyt zgrzani, spoceni i przestraszeni. Mathias wyjął butelkę z wodą i puścili ją w obieg, dopijając resztę. Eric, Stacy i Amy usiedli na ziemi, opierając się o siebie. Mathias podszedł do namiotu. Kłapa była zamknięta na zamek

błyskawiczny i trochę trwało, zanim się połapał, jak ją otworzyć. Jeff podszedł, żeby mu pomóc. Zzzzzzzzip. Obaj wetknęli głowy do środka. Na podłodze leżały trzy rozwinięte śpiwory. Lampa oliwna. Dwa plecaki. Jakaś plastikowa skrzynka na narzędzia. Galonowy kanister z wodą, w połowie pełny. Para butów trekkingowych. Pomimo tych oznak zamieszkania namiot był wyraźnie opuszczony. Świadczył o tym choćby zaduch panujący w środku, lecz jeszcze wyraźniejszy dowód stanowiły kwitnące winorośle. Jakoś dostały się do zamkniętego namiotu i zapuściły korzenie, rosnąc na jednych rzeczach, omijając inne. Buty trekkingowe prawie zniknęły pod pnączami. Jeden z plecaków był otwarty i winorośl wylewała się z niego.

Jeff i Mathias wysunęli głowy z namiotu, bez słowa wymienili spojrzenia.

— Co tam jest? — zawołał Eric.

— Nic — odparł Jeff. — Parę śpiworów.

Mathias ruszył przez wierzchołek wzgórza w stronę niebieskiego namiotu. Jeff poszedł za nim, próbując coś zrozumieć z tej sytuacji. Widocznie coś się stało archeologom. Może popadli w jakiś konflikt z Majami, którzy ich zaatakowali. Ale w takim razie dlaczego Majowie zapędzili Jeffa i innych na wzgórze? Nie powinni raczej ich stąd odesłać? Oczywiście mogli się przestraszyć, że przybysze już zobaczyli za dużo, nawet z dołu. Ale dlaczego nie zabili ich od razu? Stosunkowo łatwo byłoby to zatuszować, myślał Jeff. Nikt nie wiedział, dokąd pojechali. Chyba tylko Grecy, jeśli Pablo rzeczywiście napisał dla nich wiadomość przed wyjazdem. Ale nawet wtedy sprawa wydawała się prosta. Zabić ich, zakopać ciała w dżungli. Udać niewiedzę, gdyby ktoś ich szukał. Jeff wysiłkiem woli przypomniał sobie swoje obawy dotyczące taksówkarza, takie same obawy,

bezpodstawne, jak się okazało. Więc może ta sytuacja też okaże się

Mathias rozsunął kłapę niebieskiego namiotu, wsadził głowę do środka. Jeff wychylił się, żeby też zajrzeć. To samo: śpiwory, plecaki, sprzęt obozowy. Znowu ten zapach stęchlizny

i winorośl rosnąca na jednych rzeczach, a na innych nie. Cofnęli głowy, zamknęli kłapę.

Dziesięć metrów za namiotem w ziemi była wycięta dziura. Nad nią przwizoryczny kołowrót: umocowana poziomo beczka z ręczną korbą przyspawaną do dna. Beczkę ciasno opasywała lina przechodząca przez małe kółko zawieszona na koźle, który ustawiono okrakiem nad dziurą w ziemi. Stamtąd lina opadała prosto w głąb. Jeff i Mathias ostrożnie podeszli do otworu, zajrzeli. Dziura była prostokątna — dwa metry na trzy — i bardzo głęboka. Jeff nie widział dna. Szyb kopalni, jak przypuszczał. Dmuchał stamtąd lekki przeciąg, upiornie zimne tchnienie ciemności.

Inni już się podnieśli, podeszli do nich przez polankę. Wszyscy po kolei zagłądali do dziury.

— Tam nie ma nikogo — stwierdziła Stacy.

Jeff przytaknął. Wciąż się zastanawiał. Może chodziło o coś związanego z ruinami? Coś religijnego? Naruszenie plemiennego terytorium? Ale to nie były ruiny tego rodzaju, prawda? Tylko stary obóz górniczy, szyb wycięty w ziemi.

— Myślę, że już dawno ich tu nie ma — stwierdziła Amy.

— Więc co robimy? — zapytał Eric.

Wszyscy spojrzeli na Jeffa, nawet Mathias. Jeff wzruszył ramionami.

— Szlak prowadzi dalej.

Wskazał ręką za dziurę i wszyscy odwrócili się, żeby tam spojrzeć. Polana kończyła się ledwie parę metrów od nich, potem znowu zaczynały się winorośle, które przecinała ścieżka. Wiła się przez płaskowyż i znikła za krawędzią. Mamy nią iść? — zapytała Stacy. Nie wracam tą samą drogą — oświadczyła Amy. Więc ruszyli ścieżką, znowu gęsiego, z Jeffem na przedzie. Przez jakiś czas nie widział podstawy wzgórza, ale potem szlak zbieżył w dół, bardziej stromo niż podczas wspinaczki, i Jeff zobaczył dokładnie to, czego się obawiał. Inni, zaskoczeni, zatrzymali się natychmiast i wytrzeszczyli oczy. On

też przystanął, ale nie był zdziwiony. Jak tylko zobaczył, że łysy Maja wysła łuczników biegiem przez polanę, od razu wiedział. Jeden z nich stał u podnóża ścieżki, patrzył na nich i czekał.

— Kurwa — powiedział Eric.

— Co zrobimy? — zapytała Stacy.

Nikt nie odpowiedział. Stąd wyglądało to tak, jakby dżungla została wykarczowana wszędzie dookoła podstawy wzgórza, oddzielonego pierścieniem gołej ziemi. Majowie rozproszyli się po tym pierścieniu i otoczyli ich. Jeff wiedział, że nie ma sensu schodzić dalej — mężczyzna na pewno ich nie przepuści — ale nic innego nie przychodziło mu do głowy. Wice wzruszył ramionami i skinął na pozostałych.

— Zobaczmy — powiedział.

Szlak opadał tutaj znacznie bardziej stromo, chwilami musieli nawet zsuwać się na siedząco, jedno za drugim. Wspinaczka z powrotem mogła sprawić sporo trudności, ale Jeff próbował o tym nie myśleć. Kiedy się zbliżyli, Maja zdjął łuk z ramienia i nałożył strzałę. Krzyknął coś do nich, kręcąc głową i odpędzając ich gestem. Potem zawołał w lewo, jakby wykrzyknął czyjeś imię. Po kilku sekundach przybiegł przez polanę drugi łucznik.

Dwaj mężczyźni czekali na nich u stóp wzgórza, z napiętymi łukami.

Wszyscy zatrzymali się na skraju polany, ocierając pot z czoła, a Pablo powiedział coś po grecku. Wznosząca się kadencja oznaczała pytanie, ale oczywiście nikt go nie rozumiał. Pablo powtórzył jeszcze raz to samo zdanie, po czym zrezygnował.

— No więc? — zagadnęła Amy.

Jeff nie wiedział, co robić. Zakładał, że jest różnica pomiędzy celowaniem do kogoś z łuku a wypuszczeniem strzały — istotna różnica — i przez chwilę bawił się pomysłem, żeby zbadać tę różnicę. Mógł zrobić krok przed siebie, potem następny i jeszcze jeden, aż w którymś momencie dwaj

mężczyźni będą musieli albo go zastrzelić, albo przepuścić. Pewnie to tylko kwestia odwagi. Próbował się zebrać do działania, prawie już się zdecydował, ale wtedy trzeci łucznik nadbiegł z lewej strony i chwila minęła. Jeff wyciągnął portfel, wiedząc, że to bezcelowe, po prostu wykonywał serię ruchów. Wyjął wszystkie banknoty i wyciągnął w stronę Majów. Żadnej reakcji.

— Chodźcie, rzucimy się na nich — zaproponował Eric. — Wszyscy naraz.

— Zamknij się, Eric — syknęła Stacy.

Ale on nie słuchał.

— Albo zrobimy tarcze. Z tarczami możemy... Następny mężczyzna przybiegł przez polanę, cięższy od pozostałych, brodaty. Nie widzieli go wcześniej. Niósł karabin.

— O mój Boże — jęknęła Amy.

Jeff włożył pieniądze z powrotem do portfela, schował portfel do kieszeni. W tym miejscu winorośl wdarła się na polanę, tworząc przyczółek pośrodku. Trzy metry od ścieżki rosła jeszcze jedna dziwacznie splątana gęstwina, trochę mniejsza od innych, sięgająca do kolan, obsypana kwiatami. Majowie ustawili się za nią, z naciągniętymi łukami. A teraz dołączył do nich mężczyzna ze strzelbą.

— Wracajmy na górę — powiedziała Stacy.

Ale Jeff wpatrywał się w winorośl, oddzielną wysepkę, i już wiedział, co to jest, wiedział w głębi duszy, chociaż nie całkiem sobie uświadamiał tę wiedzę.

Chcę wracać — oświadczyła Stacy. Jeff ruszył przed siebie. Odległość do wzgórza pokonał w czterech krokach. Szedł z rękami wyciągniętymi naprzód, żeby uspokoić mężczyzn, żeby im pokazać, że nie ma złych zamiarów. Nie strzelali, wiedział, że nie strzelą, że pozwolą u zobaczyć, co jest pod winoroślą, już wiedział co, ale Wolał nie wiedzieć. Tak, oni chcieli, żeby to zobaczył.

- Jeff! — zawołała Amy

Zignorował ją, kucnął przy wzgórku. Sięgnął, zanurzył rękę pomiędzy kwiaty, rozchylił je. Namacał łądygę, pociągnął, wyrwał, zobaczył tenisówkę, skarpetkę, dolną część męskiej goleni.

— Co to jest? — zapytała Amy.

Jeff obejrzał się na Mathiasa. Mathias też wiedział, Jeff dostrzegł to w jego oczach. Niemiec podszedł, przysiadł obok niego, zaczął wyrywać pnącza, najpierw łagodnie, potem bardziej agresywnie, szarpał je i niski jęk wydobywał się z jego piersi. Majowie patrzyli z odległości kilku metrów. Odsłonił się drugi but, druga noga. Para dżinsów, sprzączka paska, czarny podkoszulek. I wreszcie na koniec twarz młodego mężczyzny. Twarz Mathiasa, tylko inna, te same rysy. rodzinne podobieństwo widoczne nawet teraz, chociaż coś wyjadło Henrichowi trochę ciała, obnażyło kość policzkową, biały oczodół lewego oka.

— O Jezu — powiedziała Amy. — Nie.

Jeff podniósł rękę, żeby ją uciszyć. Mathias kucnął nad ciałem brata, kołysząc się lekko, pojękując. Podkoszulek był czarny tylko dlatego, że zafarbowany na ten kolor, zauważył Jeff, sztywny od krwi. Z piersi Henricha sterczały wśród gąszczu winorośli trzy smukłe strzały. Jeff położył rękę na ramieniu Mathiasa.

— Spokojnie — szepnął. — Dobrze? Powoli i spokojnie. Wstajemy i odchodzimy. Wracamy na wzgórze.

— To mój brat — powiedział Mathias.

— Wiem.

— Oni go zabili.

Jeff kiwnął głową. Wciąż trzymał rękę na ramieniu Mathiasa i czuł przez koszulę, jak naprężają się jego mięśnie.

— Spokojnie — powtórzył.

— Dlaczego...

— Nie wiem.

— On był...

— Cii — syknął Jeff. — Nie tutaj. Na górze, okay?

Mathias chyba miał kłopoty z oddychaniem. Usiłował wciągnąć powietrze, ale nie mógł zrobić głębokiego wdechu. Jeff nie puszczał jego ramienia. W końcu Niemiec kiwnął głową i obaj wstali. Stacy i Amy trzymały się za ręce, patrząc z przerażeniem na trupa Henricha. Stacy zaczęła płakać, bardzo cicho. Eric obejmował ją ramieniem.

Majowie nadal mierzyli z broni — strzały nałożone na cięciwy, luki naciągnięte, karabin podniesiony do ramienia — i patrzyli w milczeniu, jak Jeff i pozostali zaczynają wspinaczkę z powrotem na wzgórze.

Wspinaczka trochę pomogła — fizyczny wysiłek, konieczność skupienia się na bardziej stromych odcinkach, gdzie miejscami niemal pełzać i podciągać się na rękach — i Stacy, wchodząc powoli pod górę, stopniowo przestała płakać. Ciągłe oglądanie się na polanę, nie chciała, ale nie mogła się powstrzymać. Bała się, że mężczyźni ruszą za nimi w pościg. Zabili brata Mathiasa, więc wydawało się logiczne, że ją też zabiją. Zabiją całą szóstkę i winorośl zakryje ich zwłoki. Ale mężczyźni tylko stali na środku polany i odprowadzali ich wzrokiem. Na szczycie znowu zrobiło się ciężko. Amy zaczęła płakać, więc Stacy też nie wytrzymała. Obie usiadły na ziemi, trzymały się za ręce i szlochały. Eric przykucnął obok Stacy. Powtarzał: „Wszystko będzie dobrze”. Albo: „Poradzimy sobie”. Albo: „No, cicho, cicho”. Po prostu słowa, właściwie bzdury, zwroty bez znaczenia, żeby ją uspokoić i pocieszyć, a strach widoczny na jego twarzy jeszcze bardziej pobudzał ją do płaczu. Ale słońce paliło ich z góry i nigdzie nie było cienia, i Stacy była wyczerpana po wspinaczce, więc po jakimś czasie ogamnęło ją otepienie i nie mogła już nawet płakać. Kiedy przestała, Amy też ucichła.

Jeff i Mathias odeszli trochę dalej. Stali po drugiej stronie płaskiego wierzchołka, patrzyli w dół na polanę i rozmawiali. Pablo znikł w błękitnym namiocie.

— Mamy wodę? — zapytała Amy.

Eric pogrzebał w plecaku, wyciągnął butelkę. Napili się po kolei.

— Wszystko będzie dobrze — powtórzył.

— Jak? — zapytała Stacy, chociaż miała to sobie za złe. Wiedziała, że nie powinna zadawać takich pytań. Powinna siedzieć cicho i pozwolić, żeby Eric budował dla nich to marzenie.

Eric przez chwilę myślał z wysiłkiem.

— Może kiedy słońce zajdzie, wrócimy na dół, przekradniemy się obok nich w ciemności.

Wypili jeszcze trochę wody, rozważając ten pomysł. Upał nie pozwalał myśleć. Stacy słyszała uporczywe brzęczenie w uszach, jak dźwięk zakłóceń elektrycznych, tylko o wyższym rejestrze. Zdawała sobie sprawę, że powinna zejść ze słońca, wypełznąć do któregoś namiotu, ale bała się tych namiotów. Wiedziała, że ktokolwiek je ustawił tak starannie na szczycie wzgórza, teraz na pewno nie żył. Jeśli Henrich zginął, archeolodzy na pewno też. Stacy nie widziała innej możliwości.

Eric spróbował jeszcze raz.

— Albo możemy ich przeczekać — zaproponował. — Grecy przyjadą prędzej czy później.

— Skąd wiesz? — zapytała Amy.

— Pablo zostawił im wiadomość.

— Ale skąd możesz wiedzieć?

— Skopiował mapę, prawda?

Amy nie odpowiedziała. Stacy żałowała, że przyjaciółka nie wyjaśniła do końca tej kwestii, nie przyjęła albo nie odrzuciła logiki Erica, ale Amy milczała i spoglądała przez płaskowyż na Jeffa i Mathiasa. Oczywiście nie mogli wiedzieć na pewno. Pablo zostawił wiadomość albo nie. Przekonają się dopiero wtedy, kiedy Grecy się pojawią.

— Jeszcze nigdy nie widziałem trupa — wyznał Eric

Amy i Stacy milczały. Jak można odpowiedzieć na coś takiego?

Myślicie, że coś go zjadło? Wyszło z dżungli i...

- Przestań — przerwała mu Stacy.
- Ale to dziwne, prawda? Leżał tutaj dostatecznie długo, żeby te winorośle...
- Proszę, Eric.
- A gdzie są inni? Gdzie archeolodzy?

Stacy wyciągnęła rękę i dotknęła jego kolana.

_ Przestań, dobrze? Przestań gadać.

Jeff i Mathias wracali do nich. Mathias trzymał ręce wyciągnięte przed sobą, jakby ubrudził je farbą i nie chciał dotknąć ubrania. Kiedy podeszli bliżej, Stacy zobaczyła, że dłonie i nadgarstki przybrały kolor surowego, ciemnoczerwonego mięsa, wyglądały jak podrapane.

— Co się stało? — zapytał Eric.

Jeff i Mathias ukucnęli obok nich. Jeff sięgnął po butelkę z wodą, wylał odrobinę na dłonie Mathiasa, potem Mathias wytarł je koszulą, krzywiąc się.

— Coś jest w tych roślinach — wyjaśnił Jeff. — Kiedy je zrywał z brata, ubrudził sobie ręce sokiem. Jest kwaśny. Spalił mu skórę.

Wszyscy spojrzeli na ręce Mathiasa. Jeff oddał butelkę Stacy. Zdjęła chustkę i przechyliła nad nią butelkę, licząc, że wilgotna tkanina ochłodzi rozpaloną głowę, ale Jeff ją powstrzymał.

- Nie — sprzeciwił się. — Musimy oszczędzać wodę.
 - Oszczędzać? — powtórzyła. Ogłupiała z gorąca, nie rozumiała, o co mu chodzi.
- Przytaknął.

_ Nie mamy za dużo. Każde z nas potrzebuje co najmniej pół galona dziennie. To trzy galony na dzień. Musimy jakoś nałapać deszczówki. —
- Spojrzał na niebo, jakby wypatrywał chmur ale, żadnej nie zobaczył. Padało każdego popołudnia, odkąd przyjechali do Meksyku, a teraz, kiedy potrzebowali deszczu, niebo było idealnie czyste. — Musimy się zorganizować — dodał. — Teraz, kiedy jeszcze mamy siły.

Inni zagapili się na niego.

— Możemy wytrzymać bez jedzenia. Liczy się woda. Musimy chronić się przed słońcem, spędzać jak najwięcej czasu pod namiotami.

Stacy zrobiło się niedobrze, kiedy go słuchała. Zachowywał się tak, jakby musieli tu spędzić jakiś czas, jakby zostali tu uwięzieni. Ta myśl wprowadziła ją w panikę. Chciała zakryć uszy rękami, chciała, żeby przestał mówić.

— Nie możemy się wymknąć, kiedy się ściemni? — zapytała. — Eric mówi, że możemy.

Jeff pokręcił głową. Wskazał na drugą stronę wzgórza, skąd właśnie przyszli z Mathiasem.

— Oni ciągle nadchodzą — oznajmił. — Coraz ich więcej. Wszyscy są uzbrojeni, a ten łysy rozsyła ich po polanie. Okrążają nas.

— Czemu po prostu nas nie zabijają? — zapytał Eric.

— Nie wiem. Zdaje się, że chodzi o wzgórze. Kto raz wejdzie na wzgórze, nie wolno mu zejść. Coś w tym rodzaju. Sami tu nie wchodzi, ale nas też nie wypuszczają. Zastrzelą nas, jeśli spróbujemy odejść. Więc musimy znaleźć jakiś sposób, żeby tu przeżyć, dopóki ktoś nas nie znajdzie.

— Kto? — spytała Amy.

Jeff wzruszył ramionami.

— Może Grecy... oni najszybciej. A jeśli nie, to gdy nie wrócimy do domu, nasi rodzice...

— Mielibyśmy zostać jeszcze przez tydzień — przypomniała Amy.

Jeff kiwnął głową.

— A potem przyjadą nas szukać. Znowu przytaknął.

— Więc mówisz... ile, miesiąc?

Wzruszył ramionami.

— Może.

Amy wyraźnie się przeraziła. Podniosła głos o ton czy dwa.

— Nie możemy tutaj mieszkać przez miesiąc, Jeff.

— Jeśli spróbujemy odejść, zastrzelą nas. Tyle wiemy na pewno.

— Ale co będziemy jeść? Jak...

— Może Grecy przyjadą — przerwał jej Jeff. — Powinni przyjechać jutro, o ile wiemy.

— A potem co? Wylądują tutaj uwięzieni razem z nami.

Jeff pokręcił głową.

— Wyznamy kogoś, żeby stał na straży u stóp wzgórza. Żeby ich ostrzegł.

— Ale tamci nam nie pozwolą. Zmuszą ich...

Jeff znowu pokręcił głową.

— Wątpię — zaoponował. — Dopiero kiedy wyszłaś poza polanę, zmusili nas, żebyśmy się wspięli na wzgórze. Na początku próbowali nas odpędzić. Myślę, że Greków też spróbują powstrzymać od wspinaczki. Musimy tylko jakoś się z nimi porozumieć, zawiadomić ich, co się stało, żeby sprowadzili pomoc.

— Pablo — powiedział Eric.

Jeff przytaknął.

— Jeśli mu wytłumaczymy, on może ich ostrzec. Wszyscy odwrócili się i popatrzyli na Pabla. Wyłonił się z niebieskiego namiotu i krążył po szczycie wzgórza. Chyba mówił do siebie, bardzo cicho, prawie mamrotał. Zgarbił się, ręce wsadził do kieszeni spodni. Nie wyczuł, że go obserwują. Samoloty mogą tędy przelatywać — dodał Jeff. — Możemy dawać znaki czymś błyszczącym. Albo wyrwać trochę winorośli, wysuszyć i rozpalić ognisko. Trzy ogniska trójkącie... to sygnał wołania o pomoc.

Potem zamilkł, nie miał więcej pomysłów. Ani Stacy, ani inni nie mieli w ogóle żadnych pomysłów, więc siedzieli bez słowa przez jakiś czas. W ciszy do Stacy stopniowo zaczął docierać dziwny, świergotliwy dźwięk — miarowy, natarczywy. ledwie dostyszalny. Ptak, pomyślała, ale natychmiast zumiwała, że się myli. Nikt inny chyba tego nie usłyszał. wejrzała się w poszukiwaniu źródła hałasu, kiedy nagle

Pablo zaczął wrzeszczeć. Podskakiwał obok szybu kopalni, wskazując w dół.

— Co on robi? — zapytała Amy.

Stacy patrzyła, jak przyciskał rękę do głowy, do ucha, jakby naśladował rozmowę przez telefon. Zerwała się i podbiegła do niego.

— Szybko — ponagliła innych i przywołała gestem.

Nagle zrozumiała, co to za uporczywe świergotanie: jakimś cudem — niepojętym, niewytłumaczalnym — na dnie dziury dzwonił telefon komórkowy.

Amy nie uwierzyła. Słyszała dźwięk dochodzący z otworu i — razem z innymi — musiała przyznać, że brzmiał jak telefon komórkowy, lecz pomimo tego nie chciała uwierzyć. Przed wyjazdem Jeff poradził jej nie zabierać własnego telefonu, używanie ich w Meksyku byłoby zbyt kosztowne. Ale oczywiście to nie znaczyło, że nie istniały tutaj miejscowe sieci, więc całkiem możliwe, że słyszeli telefon podłączony do jednej z nich. Dlaczego nie? Przecież to możliwe — przekonywała samą siebie Amy. Ale daremnie. W głębi duszy poddała się już przecuciu nieszczęścia i żałosne popiskiwanie dochodzące z mroku nie wystarczyło, żeby zmieniła zdanie. Kiedy zajrzała do dziury, wyobraziła sobie, że słyszy nie dzwonek telefonu, tylko pisklaka otwierającego dziobek, błagającego, żeby go nakarmić — éwir-éwir... éwir-éwir... éwir-éwir... — który im nie pomoże, który sam potrzebuje pomocy.

Pozostali jednak wpadli w entuzjazm, więc czemu Amy miała się sprzeciwiać? Milczała, udawała nadzieję razem z innymi.

Pablo rozwinął już kawałek liny z kołowrotu. Owinął się nią pod pachami i zawiązywał węzeł. Chyba chciał, żeby go opuścili do szybu.

— On nie odbierze telefonu — oświadczył Jeff. — Musimy wysłać kogoś, kto zna hiszpański.

I sięgnął po linę, ale Pablo nie puścił. Zawiązywał sobie na piersi jeden węzeł za drugim: duże, niezdarne kłęby konopi.

Nie wyglądało, żeby się na tym znał.

— Nieważne — ustąpił Jeff. — On wyniesie telefon i wtedy zadzwonimy.

Świergotanie umilkło. Stali nad szybem, czekali, słuchali. Po długiej chwili znowu się odezwało. Wszyscy się uśmiechnęli i Pablo przysunął się do krawędzi, gotów do zejścia. Wokół kołowrotu owinęła się kwitnąca winorośl, oplótła linę, oś, korbę, kozioł z małym kółkiem, Jeff zerwał większość, ostrożnie, żeby nie poparzyć rąk sokiem. Mathias znikł w błękitnym namiocie. Wyszedł, niosąc lampę naftową i pudełko zapalek. Postawił lampę na ziemi obok otworu, potarł zapalkę i ostrożnie zapalił knot. Potem podał lampę Pablowi.

Kołowrót był prymitywnym urządzeniem, byle jak skleconym, trzymającym się na słowo honoru. Stał obok szybu na małej stalowej platformie, jakby wkręconej w twardą jak skała ziemię. Oś miejscami zardzewiała i stanowczo wymagała nasmarowania. Korba nie miała hamulca, zatrzymanie jej w połowie obrotu wymagałoby użycia dużej siły. Amy nie wierzyła, że urządzenie utrzyma ciężar Pabla, pomyślała, że jak tylko Grek zrobi krok w pustkę, cała konstrukcja się rozleci. Pablo runie w ciemność — będzie spadał i spadał, i nigdy więcej go nie zobaczą. Ale po wymianie licznych gestów i znaków, i klepnięć na odwagę, kiedy zaczął się opuszczać, kołowrót zajęczał, osiadając na podstawie, i zaczął się obracać z głośnym skrzypieniem. Jeff i Eric napierali na korbę, powoli opuszczając Greka do szybu.

Działało. I wbrew sobie Amy poczuła przypływ nadziei. Może to jednak telefon komórkowy. Pablo znajdzie go na dole w ciemnościach, wyciągną go z powrotem i zadzwonią po pomoc, policja, ambasada amerykańska, rodzice. Piszczenie znowu umilkło i tym razem nie powróciło, ale to nie miało znaczenia. Tam na dole był telefon. Amy zaczynała teraz wierzyć — chciała uwierzyć, pozwoliła sobie uwierzyć —

zostaną uratowani. Stała nad otworem i zaglądała przez krawędź, mając Stacy z prawej strony i Mathiasa naprzeciwko, patrząc, jak Pablo opada powoli w głąb ziemi. Lampa naftowa oświetlała ściany szybu: w pobliżu wylotu ziemia była czarna i kamienista, ale niżej zrobiła się brązowa, potem jasnobrązowa i wreszcie żółtopomarańczowa. Trzy metry, pięć, siedem, osiem i ciągle jeszcze nie widzieli dna. Pablo uśmiechał się do nich, dyndając na linie, wyciągniętą ręką przytrzymując się ścian szybu. Amy i Stacy machały do niego. Ale nie Mathias. Mathias patrzył na powoli rozwijającą się linę.

— Stop! — krzyknął nagle i wszyscy podskoczyli.

Jeff i Eric napierali na korbę, obaj spoceni, z włosami przyklejonymi do czoła. Amy widziała, jak na karku Jeffa występują mięśnie i ścięgna — naprężone jak struny — i wyobrażała sobie straszliwe napięcie liny, grawitację chwytającą Greka, ciągnącą go w dół.

Mathias wrzeszczał teraz gorączkowo:

— Wyciągnijcie go! Wyciągnijcie go!

Jeff i Eric zawahali się, niepewni.

— Co? — zapytał Eric, mrugając idiotycznie.

— Winorośl — zawołał Mathias nagłym tonem, machając, żeby zaczęli wciągać Pabla. — Lina.

I wtedy zobaczyli. Jeff oderwał z kołowrotu większość pnączy, ale nie wszystkie. Odroślą, które zostawił, wkręciły się w zwój liny i teraz, kiedy kołowrót się obracał, zmiażdżone, wydzielały mleczny sok. Konopna lina pociemniała, sok przeżerał ją na wylot.

Pablo krzyknął do nich, krótka seria greckich słów, pytanie. Amy dostrzegła go przelotnie, jak kołysał się osiem metrów niżej, z naftową lampą w ręku, potem rzuciła się razem ze Stacy i Mathiasem do korby, wszyscy usiłowali pomóc wchodzili sobie w drogę, napierali na korbę całym ciężarem. Sok wyraźnie już przepalał linę — nieodwracalnie, za szybko, szybciej, niż mogli pracować. Pablo właśnie zaczynał chwiejną

podróż do góry, kiedy poczuli nagle szarpnięcie, wywracające wnętrzności, i wszyscy polecili do przodu, jedno na drugie, a kołowrót za nimi kręcił się jak szalony, uwolniony od ciężaru. Nastąpiła długa chwila ciszy — za długa, o wiele za długa — a potem głuchy huk, który raczej poczuli niż usłyszeli, drgnienie w głębi ziemi. Moment później rozległ się brzęk rozbijanej lampy. Dopadli do dziury, zajrzeli do środka, ale nic nie zo Ciemność. Cisza.

— Pablo? — zawołał Eric, budząc echo w głębi szybu.

A wtedy, niemożliwie daleko, ale jednocześnie jakoś blisko — przytłaczająco blisko, jakby we wnętrzu ciała Amy — Grek zaczął krzyczeć.

Krzyk nappełnił Erica paniką. Pablo leżał w szybie, w ciemności, w straszliwym bólu, a Eric nie wiedział, co zrobić, dokąd pójść, jak temu zaradzić. Musieli mu pomóc, ale to trwało za długo. Powinni działać teraz, natychmiast, lecz nie mogli. Musieli najpierw ułożyć plan, chociaż żadne z nich chyba nie wiedziało, jak się do tego zabrać. Stacy tylko stała obok kołowrotu, z wytrzeszczonymi oczami, gryząc się w rękę. Amy zaglądała do dziury.

— Pablo? — wołała. — Pablo?

Podniosła głos, ale i tak zagłuszały ją jego wrzaski, które nie milkły ani na chwilę, niesłabnące, nieprzerwane.

Mathias pobiegł do pomarańczowego namiotu i znikł w środku. Jeff wyciągnął linę z szybu. Odwinął ją z kołowrotu i rozłożył w wielkich pętłach na małej polance. Potem zaczął ją przesuwac w rękach, starannie oczyszczać z resztek winorośli, sprawdzać metr po metrze, szukając miejsc, gdzie sok mógł osłabić konopne sploty. Wykonywał tę powolną pracę w sposób nieznośnie metodyczny, jakby wcale nie musiał się spieszyć, jakby nawet nie słyszał wrzasków Greka. Eric stał obok niego, zbyt oszołomiony, żeby mu pomagać, nieruchomy,

choć zdawało mu się, że biegnie — pędzi na łeb, na szyję — i serce tłukło mu się w klatce zeber. A wrzaski nie ustawały.

— Poszukaj jakiegoś noża — polecił Jeff.

Eric wytrzeszczył na niego oczy. Nóż? Słowo brzęczało mu w głowie, bierne, jakby należało do obcego języka. Jak miał znaleźć nóż?

— Sprawdź w namiotach — rzucił Jeff.

Nie podniósł na niego wzroku, wpatrywał się w linę, nisko pochylony, szukając przepalonych odcinków.

Eric podszedł do niebieskiego namiotu, rozsunał klapę, wszedł do środka. Pachniało tam stęchlizną, jak na strychu, gorące, nieruchome powietrze. Błękitny nylon filtrował i łagodził blask słońca, zabarwiał wszystko morskim odcieniem jak ze snu. Leżały tam cztery śpiwory, trzy rozwinięte, jakby dopiero co wypłuły ciała swoich właścicieli. Teraz martwych, pomyślał Eric i odepchnął od siebie te słowa. Zobaczył radio tranzystorowe i musiał się powstrzymać, żeby go nie włączyć, sprawdzić, czy działa, złapać jakąś stację, muzykę, żeby zagłuszyć wrzaski Pabla. Obok leżały dwa plecaki, ciemnozielony i czarny. Eric ukucnął przy pierwszym z nich, zaczął w nim grzebać, czując się jak złodziej, dawny instynkt z całkiem innego świata, poczucie winy nieodłącznie związane z dotykaniem rzeczy należących do obcych. Teraz martwych, pomyślał znowu i tym razem świadomie przywołał te słowa, szukając w nich odwagi, ale nic nie naprawiły, tylko zmieniły rodzaj wykroczenia. Zielony plecak należał do mężczyzny, czarny do kobiety. Cudze ubrania, Eric czuł zapach papierosów na podkoszulkach mężczyzny, perfum — na kobiecych. Zastanawiał się, czy należały do tej dziewczyny, którą brat Mathiasa poznał na plaży, z powodu której wszyscy tutaj przyjechali — z powodu której może zginą.

Na niektórych przedmiotach rosła winorośl: cienkie zielone wąsy z bladoczerwonymi kwiatkami, prawie różowymi. Bardziej wciskała się do plecaka kobiety niż mężczyzny, wiła się

między jej bawełnianymi bluzkami, wśród skarpetek, na poplamionych ziemią dżinsach. W plecaku mężczyzny znalazł wiatrówkę, szarą, z niebieskimi pasami na rękawach, taką samą jak jego własna, wisząca bezpiecznie w szafie w domu jego rodziców, tak niedostępna, czekająca na jego powrót. Nóż, musiał sobie przypomnieć. Odwrócił się od sterty ubrań, przeszukiwał inne kieszenie, odsuwał zaniki błyskawiczne, wysypywał zawartość na podłogę namiotu. Aparat fotograficzny z załadowanym filmem. Pół tuzina kołonoradników — wyglądały na dzienniki — wypełnionych niemal w całości kanciastym męskim pismem, niebieski tusz, czarny tusz, miejscami nawet czerwony, ale wszystko w języku, którego Eric nie tylko nie rozumiał, ale nawet nie rozpoznawał: duński albo jakiś skandynawski. Talia kart. Apteczka. Frisbee. Tubka kremu z filtrem. Złożona para okularów w metalowych oprawkach. Buteleczek witamin. Pusta manierka. Latarka. Ale nie nóż.

Eric wylazł z namiotu, trzymając latarkę, mrużąc oczy w ostrym słońcu, po dusznej ciasnocie namiotu nagle otwarła się wokół niego przestrzeń. Włączył latarkę, zobaczył, że nie działa. Potrząsnął nią, spróbował jeszcze raz: nic. Pablo przestał wrzeszczeć — na czas dwóch głębokich oddechów — i zaczął od nowa. Przerwa była równie okropna jak wrzask, ocenił Eric i natychmiast zmienił zdanie: przerwa była gorsza. Upuścił latarkę na ziemię, zobaczył, że Mathias znowu się pojawił, przyniósł z pomarańczowego namiotu drugą lampę naftową, duży nóż, drugą apteczkę. On i Jeff pracowicie wycinali przepalone odcinki liny, działając jak zgrany zespół, sprawnie, w milczeniu. Mathias odcinał nadwątłone kawałki, potem Jeff wiązał linę z powrotem, krzywiąc się przy zaciąganiu węzłów. Eric stał nad nimi i patrzył. Czuł się głupio: powinien też przynieść apteczkę z niebieskiego namiotu, przynajmniej zajrzeć do środka. Nie myślał. Chciał pomóc, powstrzymać wrzaski Pabla, ale był głupi i bezużyteczny, już tego nie zmieni. Czuł potrzebę ruchu, chodzenia

w kółko, ale tylko stał w miejscu i patrzył. Stacy i Amy wyglądały dokładnie tak, jak on się czuł: przestraszone, zmartwione, znieruchomiałe. Wszyscy patrzyli, jak Jeff i Mathias pracują przy linie, tną, wiążą, naciągają. To trwało tak długo, tak rozpaczliwie długo.

— Ja pójdę — odezwał się Eric. Powiedział to bez namysłu, pod wpływem paniki, gnany potrzebą pośpiechu. — Zejdę na dół i go wyciągnę.

Jeff zerknął na niego ze zdziwieniem.

— W porządku — powiedział. — Poradzę sobie.

Głos Jeffa brzmiał tak spokojnie, tak niewzruszenie, że przez chwilę Eric nic nie rozumiał. Zupełnie jakby musiał najpierw przetłumaczyć te słowa na własny język przerażenia. Pokręcił głową.

— Jestem lżejszy — oświadczył. — I znam go lepiej.

Jeff rozważył te dwa argumenty, chyba dostrzegł ich trafność. Wzruszył ramionami.

— Zrobimy dla niego pętlę asekuracyjną — powiedział. — Pomożesz mi ją założyć. Potem go wyciągniemy. Jak się wydostanie, spuścimy linę z powrotem i wyciągniemy ciebie.

Eric kiwnął głową. To wyglądało tak prosto, tak zwyczajnie, i próbował uwierzyć, że właśnie tak będzie, ale nie całkiem mu się udawało. Znowu miał ochotę się ruszyć, powstrzymał się tylko wysiłkiem woli, zaciskając zęby.

Pablo przestał wrzeszczeć. Jeden oddech, dwa oddechy, trzy oddechy i znowu zaczął.

— Mów do niego, Amy — rozkazał Jeff.

Amy wydawała się przerażona tym poleceniem.

— Mówić do niego? — powtórzyła.

Jeff popchnął ją w stronę otworu.

— Po prostu wysuń głowę za krawędź. Niech on cię zobaczy. Niech wie, że go nie porzuciliśmy.

— Co mam mówić? — zapytała.

— Cokolwiek... uspokajaj go. I tak cię nie rozumie. Chodzi tylko o dźwięk twojego głosu.

Amy podeszła do szybu. Stała na czworakach, wychyliła się nad otworem.

- Pablo? — zawołała. — Idziemy po ciebie. Przygotowujemy linę, a potem Eric zjeździe po ciebie.

Mówiła dalej, opisywała, jak to się stanie, krok po kroku, jak mu pomogą założyć pętlę i wyciągnąć go z powrotem na powierzchnię, i po jakimś czasie Pablo przestał wrzeszczeć. Jeff i Mathias prawie skończyli, dotarli do ostatniego odcinka liny. Jeff zawiązał końcowy węzeł, potem szarpnął za jeden koniec, podczas gdy Mathias trzymał drugi, obaj ciągnęli z całej siły, zacieśniając węzeł, sprawdzając jego wytrzymałość. Lina składała się teraz z pięciu kawałków. Węzły nie wyglądały na mocne, ale Eric starał się tego nie widzieć. Dobrze było coś robić, działać, a gdyby za dużo myślał o węzłach, o ich widocznej słabości, mógłby jeszcze zmienić zdanie.

Mathias nawijał linę z powrotem na kołowrót, ponownie sprawdzając, czy nie ma przepalonych miejsc. Przewłókł znowu koniec przez metalowe kółko na koźle. Potem Jeff zrobił pętlę dla Erica, pomógł mu ją przełożyć przez głowę, starannie dopasował pod pachami.

— Wszystko będzie dobrze, Pablo! — wrzeszczała Amy. — On już idzie. Zaraz tam będzie.

Stacy przykucnęła, żeby zapalić drugą lampę naftową, podała ją Ericowi. Płomień migotał słabo w małym szklanym kloszu.

Eric stał teraz obok szybu, spoglądając w ciemność. Mathias i Jeff zajęli pozycje przy korbie, oparli się o rączkę. Lina się napięła, byli gotowi. Najtrudniejszy okazał się pierwszy krok w pustkę, z obawą, czy lina wytrzyma, i przez chwilę Eric myślał, że nie wystarczy mu odwagi. Ale potem zrozumiał, że nie może się wycofać, w chwili kiedy przełożył pętlę przez głowę uruchomił coś i teraz nie mógł tego zatrzymać. Przekroczył krawędź szybu, zawisł pod koźlem, lina wpijała mu się w pachy, a potem — kołowrót skrzypiał i drżał przy każdym obrocie — zaczęli go opuszczać.

Zanim pokonał trzy metry, temperatura wyraźnie spadła, studząc pot na jego skórze — studząc także jego zapał. Nie chciał opuszczać się głębiej, a jednak opadał centymetr po centymetrze, chociaż sam przed sobą przyznawał, że się boi, żałował, że się zgłosił zamiast Jeffa. W ściany szybu powbijano drewniane wsporniki, byle jak, pod dziwnymi kątami, żeby ziemia się nie osypywała. Wyglądały jak stare podkłady kolejowe, nasączone kreozotem, rozmieszczone jakby zupełnie bez planu. Jakies sześć metrów pod powierzchnią ze zdumieniem ujrzał w ścianie przed sobą wylot korytarza, szyb biegnący prostopadle do tego, którym zjeżdżał. Podniósł lampą naftową, żeby lepiej się przyjrzeć. Środkiem podłogi prowadziły dwie kolejowe szyny, matowe od rdzy. Przy jednej z nich leżało powgniatane blaszane wiadro, na samej granicy kręgu światła. Szyb skręcał w lewo, znikał w głębi ziemi. Płynął z niego strumień zimnego powietrza, wilgotnego i jakby gęstego, w którym płomień lampy nagle urósł, a potem zamigotał i prawie zgasł.

— Tu jest drugi szyb — krzyknął Eric do innych, ale nie usłyszał odpowiedzi, tylko miarowe skrzywienie kołowrotu opuszczającego go w ciemność. W ścianach szybu tkwiły kamienie wielkości czaszek: gładkie, matowoszare, niemal szkliste z wyglądu. Winorośl zdobyła przyczółek nawet tutaj, uczepiła się kilku drewnianych wsporników, liście i kwiaty miała dużo bledsze niż na wzgórzu, niemal przezroczyste. Kiedy Eric podnosił głowę, widział Amy i Stacy spoglądające na niego, obramowane prostokątem nieba, coraz mniejsze z każdym szarpnięciem rozwijanej liny. Lina zaczęła się lekko kołysać jak wahadło, lampa też się kołysała, w chwiejnym świetle ściany szybu zdawały się obracać zawrotnie. Eric poczuł mdłości, musiał spojrzeć na swoje stopy, żeby się opanować. Słyszał gdzieś w dole jęczenie Pabla, ale przez długi czas Grek pozostawał zagubiony w ciemnościach. Eric nie potrafił ocenić, jak głęboko zjechał — zgadywał, że na piętnaście metrów — a potem, akurat kiedy ukazało się dno.

jeszcze pogrążone w mroku, głębsza ciemność, na tle której zarysowała się skrecona sylwetka Pabla — białe tenisówki, jasnoniebieski podkoszulek — lina zatrzymała się z szarpnięciem.

Eric wisiał, kotysząc się w tył i w przód. Podniósł wzrok na mały prostokąt nieba. Widział twarze Amy i Stacy, a potem Jeffa.

— Eric? — zawołał Jeff.

— Co?

— To koniec liny.

— Nie jestem na dnie.

— Widzisz go?

— Mniej więcej.

— Nic mu nie jest?

— Nie mogę powiedzieć.

— Jak wysoko jesteś nad nim?

Eric spojrzął w dół, spróbował oszacować odległość dzielącą go od dna. Nie bardzo potrafił, mógł tylko rzucić jakąś liczbę na chybił trafif. Bez sensu, jak zgadywanie, ile monet ktoś ma w kieszeni. Mógł trafić tylko przez przypadek.

— Sześć, siedem metrów? — odkrzyknął.

— Czy on się rusza?

Eric znowu spojrzął na niewyraźną sylwetkę Greka. Im dłużej się wpatrywał, tym więcej rozróżniał szczegółów, nie tylko buty i podkoszulek, ale również ramiona Pabla, jego twarz i szyję, dziwnie blade w ciemnościach. Lampa wyłowiła odłamki rozbitego szkła wokół ciała Greka. Nie — zawołał Eric. — Tylko leży. Nie otrzymał odpowiedzi. Podniósł wzrok, ale twarze w otworze znikły. Słyszał rozmowę, nie słowa, tylko dźwięk głosów, które wznosiły się i opadały, dyskutowały dziwnie jakoś niespiesznie. Wydawały się jeszcze dalsze niż w rzeczywistości i Eric poczuł przelotne drgnienie paniki. A jeśli odejdą, a jeśli go tu zostawia... spojrzął w dół w samą porę, żeby zobaczyć, jak Pablo

unoszą rękę, wyciąga do niego w zwolnionym podwodnym tempie, jakby najdrobniejszy ruch sprawiał mu trudności.

— Podniósł rękę — zawołał.

— Co? — głos Jeffa, jego głowa znowu pojawiła się w otworze.

Obok twarzy Stacy i Amy, i Mathiasa. Nikt nie trzymał kołowrotu. Nikt nie musiał, uświadomił sobie Eric. Jestem u kresu, pomyślał. Nie mógł nic poradzić, te słowa same przyszyły mu do głowy. Żart, ale niewesoły.

— Podniósł rękę — krzyknął ponownie.

— Wyciągamy cię — zawołał Jeff.

I wszystkie cztery głowy znikły z otworu.

— Czekajcie! — wrzasnął Eric.

Pojawiła się ponownie twarz Jeffa, potem Stacy, potem Amy. Na tle nieba wydawały się takie małe. Nie rozróżniał rysów, ale jakoś wiedział, kto jest kto.

— Musimy znaleźć sposób, żeby przedłużyć linę — oświadczył Jeff.

Eric pokręcił głową.

— Chcę z nim zostać. Skoczę.

Ponownie rozległ się szmer głosów, narada wysoko nad jego głową.

Potem głos Jeffa rozbrzmiał echem w szybie:

— Nie... wyciągniemy cię.

— Dlaczego?

— Może nie damy rady przedłużyć liny. Wtedy musiałbyś tam zostać.

Eric nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Pablo już tam był na dole.

Gdyby nie przedłużyli liny... no, to znaczy... Wzdrygnął się i odpędził tę

my— Eric? — zawołał Jeff.

— Co?

— Wyciągamy cię.

Głowy ponownie znikły i sekundę później lina drgnęła, kiedy kołowrót zaczął się obracać. Eric spojrział w dół. Lampa znowu się chybotęła, więc nie miał pewności, ale zdawało mu się, że Pablo na niego patrzy. Nie unosił już ręki. Eric zaczął

targać za pętlę, kopać nogami. Nie myślał, głupio robił i wiedział o tym. Ale nie mógł tam zostawić Pabla. Nie samego, rannego, w ciemnościach. Podniósł lewą rękę ku niebu, pętla ześliznęła się przez głowę, ocierając skórę. Nadal był zaczepiony drugim ramieniem i wznosił się powoli. Dno szybu pogrążało się w mroku. Musiał przełożyć lampę naftową do drugiej ręki. Potem puścił linę i spadł w pustkę, pęd powietrza zgasił płomień.

Dno leżało niżej, niż się spodziewał, a jednak pojawiło się zbyt szybko, zmaterializowało się z mroków i walnęło go, zanim zdążył się przygotować, aż nogi się pod nim ugięły i powietrze uciekło z płuc.

Wylądował na lewo od Pabla — miał tyle przytomności umysłu, żeby wycelować w to miejsce, zanim lampa zgasła — ale nie zdołał utrzymać równowagi. Zatoczył się, odbił od ściany szybu i upadł na klatkę piersiową Greka. Pablo wierzgnął pod nim i znowu zaczął wrzeszczeć. Eric usiłował się podnieść i odsunąć, ale po ciemku nie mógł się zorientować, macał rękami, spodziewając się znaleźć ziemię albo którąś ścianę, ale natrafiał

— Przepraszam — mówił. — O Jezu, Jezu Chryste, strasznie przepraszam.

Pablo wrzeszczał pod nim i wymachiwał jedną ręką, podczas gdy dolna połowa jego ciała pozostała całkowicie nieruchoma. Erica przeraził ten bezruch, wiadomo, co oznaczał.

Zdołał się dźwignąć na kolana, potem podparł się i kucnął. Za sobą miał ścianę, tak samo po lewej i po prawej, ale na przeciwko, za ciałem Pabla, wyczuwał otwartą przestrzeń: kolejny szyb, wcinający się w ziemię pod wzgórzem. Stamtąd również dmuchał zimny przeciąg, ale nie tylko: wyczuwało się jakieś ciśnienie, czujną obecność. Eric przez chwilę wyteżał wzrok wypatrując w ciemności jakichś zaczajonych kształtów czy postaci, ale oczywiście niczego tam nie było, tylko urojenie wyrosłe ze strachu, o czym w końcu sam siebie przekonał.

Usłyszał, że Jeff coś wrzeszczy, więc przechylił głowę do tyłu i spojrzął w stronę wylotu szybu. Wysoko nad sobą ujrzął maleńki skrawek nieba. Lina kołysała się łagodnie w pustej przestrzeni, a Jeff znowu krzyczał, lecz Eric nie rozumiał słów, zagłuszanych przez wrzaski Pabla, które odbijały się echem od ziemnych ścian szybu, dwoiły się i troiły, jakby leżało tu więcej rannych, jakby Eric został uwięziony w jaskini pełnej wrzeszczących mężczyzn.

— Nic mi nie jest! — krzyknął w górę, ale wątpił, czy go usłyszeli.

Na pewno nic mu nie było? Poświęcił chwilę na ocenę swojego stanu, podliczając rozmaite dolegliwości, które jego ciało zaczęło sygnalizować. Widocznie uderzył się w brodę, bo bolała jak po bokserkim ciosie, a w krzyżu wyraźnie odczuwał skutki upadku. Lecz najbardziej agresywnie domagała się uwagi prawa noga, ostre, piekące rwanie tuż pod rzepką, któremu towarzyszyło dziwne wrażenie wilgoci. Eric pomacał ręką i natrafił na duży kawałek szkła. Wielkości karty do gry — w kształcie płatka kwiatu, lekko wklęsły — gładko przeciął dzinsy i wbił się w ciało na głębokość centymetra. Eric przypuszczał, że to odłamek z rozbitej lampy Pabla, widocznie wylądował na niej przy upadku. Teraz zebrał się w sobie, zacisnął zęby i wyciągnął szkło. Czuł krew spływającą po łydce, dziwnie chłodną — dużo krwi, skarpetka nasiąkła jak gąbka.

— Skaleczyłem się w nogę — krzyknął i czekał, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Nieważne, pomyślał. Nic mi nie będzie. Tego rodzaju zdawkowe pocieszenia nadawały się tylko dla dzieci i Eric wiedział o tym, niemniej powtarzał je sobie wytrwale. Było tak ciemno i z korytarza naprzeciwko tchnęło zimnem, czujną obecnością, i prawy but powoli nappełniał się krwią, a Pablo ciągle wrzeszczał. Jestem u kresu, powtórzył w myślach Eric A potem znowu: Nieważne. Nic mi nie będzie. Tylko słowa, głowę miał pełną słów.

Nadal trzymał lampę w lewej ręce, jakimś cudem ją przed rozbiciem. Postawił ją na ziemi obok siebie, namacał nadgarstek Greka, uściskał. Potem siedział w ciemnościach i powtarzał: „Cii, cicho. Jestem tu, jestem przy tobie”, i czekał, aż Pablo przestanie wrzeszczeć.

Słyszeli wołanie Erica, ale nie rozróżniali słów przez wrzaski Pabla. Jeff wiedział, że Grek w końcu przestanie — zmęczy się i ucichnie — i wtedy dowiedzą się, co tam się stało na dole, czy Eric spadł, czy skoczył i czy też jest ranny. Na razie to właściwie nie miało znaczenia. Znaczenie miała lina. Dopóki nie wymyślili, jak ją przedłużyć, nie mogli pomóc żadnemu z nich.

Jeff pomyślał najpierw o ubraniach, żeby opróżnić plecaki archeologów i powiązać ich rzeczy — spodnie, koszule, kurtki — w zaimprovizowaną linę. Wiedział, że to nie najlepszy pomysł, ale przez pierwsze minuty nic innego nie przyszło mu do głowy. Potrzebował siedmiu metrów, pewnie więcej dla bezpieczeństwa, może nawet dziesięciu, a to sporo ubrań, prawda? Wątpił, czy udźwigną ciężar dorosłego człowieka i czy węzły wytrzymają.

Dziesięć metrów.

Jeff i Mathias stali obok kołowrotu i myśleli usilnie. Żaden się nie odzywał, bo jeszcze nie mieli nic do powiedzenia, nie mogli zaproponować żadnego rozwiązania. Amy i Stacy klęczały obok otworu i zaglądały do środka. Co jakiś czas Stacy wołała Erica po imieniu i czasami jej odpowiadał, ale nie mogli go zrozumieć: Pablo ciągle wrze-

- Jeden z namiotów — powiedział wreszcie Jeff. — Złożymy go i potniemy nylon na pasy. Mathias odwrócił się, popatrzył na błękitny namiot, rozważając ten pomysł.

- Dostatecznie mocny? — zapytał.

— Możemy spleść pasy... trzy pasy na każdy odcinek... potem związać odcinki.

Po tych słowach Jeff poczuł przyływ zadowolenia, radość z sukcesu po tylu porażkach. Zostali uwięzieni na wzgórzu, prawie bez jedzenia i wody, dwaj z nich niedostępni na dnie sztolni, co najmniej jeden ranny, ale chwilowo nic się nie liczyło. Mieli plan, całkiem sensowny plan, który na krótko natchnął Jeffa energią i optymizmem, pobudził wszystkich do działania. Razem z Mathiasem opróżnili błękitny namiot, wywlekli spiwory na polankę, potem plecaki, notesy i radio, aparat fotograficzny i apteczkę, frisbee i pustą manierkę, zwalili wszystko na stos. Potem zaczęli składać namiot, wrywali kołki, rozbierali aluminiowe maszty. Mathias ciął. Krótko dyskutowali nad wymaganą szerokością i zgodzili się na dziesięć centymetrów, nóż gładko rozcinał nylon, Mathias pracował szybkimi, silnymi ruchami, wycinał trzymetrowe paski i podawał Jeffowi do splatania. Jeff doszedł do połowy pierwszego odcinka, bez pośpiechu tworząc ciasny splot, kiedy Pablo wreszcie przestał wrzeszczeć.

— Eric? — zawołała Stacy.

Głos Erica wrócił do nich echem.

— Jestem tu.

— Spadłeś?

— Skoczyłem.

— Nic ci nie jest?

— Rozciąłem kolano.

— Mocno?

— But mam pełen krwi.

Jeff odłożył nylonowe paski, podszedł do wylotu szybu.

— Zrób opaskę uciskową — wrzasnął do dziury.

— Co?

— Zdejmij koszulę. Zroluj, przyciśnij do rozcięcia. Mocno.

— Jest za zimno.

— Zimno? — zdziwił się Jeff. Myślał, że się przesłyszał

Całe ciało miał śliskie od potu.

— Tu jest drugi szyb — zawołał Eric. — Odchodzi w bok. Dmucha stamtąd zimne powietrze.

_ Czekaj — krzyknął Jeff.

Podszedł do sterty wyrzuconej z niebieskiego namiotu, pogrzebał w niej, znalazł apteczkę, otworzył. Zawartość na niewiele mogła się przydać. Jeff sam nie wiedział, co miał nadzieję znaleźć, ale z pewnością nie to.

Pudełko plastrów z opatrunkiem, pewnie za małych na ranę Erica. Tubka neo-sporinu, którego mogli użyć, jak już go wyciągną. Buteleczki aspiryny i środka na żołądek, trochę tabletek soli, termometr i małe nożyczki.

Jeff zaniósł buteleczkę aspiryny do szybu, zdjął koszulę.

— Co się stało z lampą? — zawołał.

— Zgasła.

— Zrzucę ci moją koszulę. Zawiązałem w niej buteleczkę aspiryny. I pudełko zapalek. Dobrze?

— Okay.

— Użyj tej koszuli, żeby zatamować krwawienie. Daj trzy aspiryny Pablowi i sam weź trzy.

— Okay — powtórzył Eric.

Jeff zawiązał aspirynę i zapalki w koszulę i przechylił się nad otworem.

— Gotowy? — zawołał.

— Gotowy.

Upuścił koszulę i patrzył, jak znika w ciemności. Długo trwało, zanim wylądowała. Miękki stuk rozległ się echem.

— Mam — zawołał Eric.

Mathias skończył wycinać pasy i podjął splatanie przerwane przez Jeffa. Jeff odwrócił się do Amy i Stacy, które wciąż zaglądały do szybu.

— Pomóżcie mu polecić i ruchem głowy wskazał Mathiasa

Dziewczyny podeszły do rozebranego namiotu i ukucnęły obok Niemca. Pokazał im, jak splatać i dziewczyny rozpoczęły nowy odcinek.

Na dole w szybie pojawił się słaby blask, nabrał mocy. Ericowi udało się zapalić lampę. Jeff widział go teraz, skulonego nad Pablem, obaj bardzo mali z tej odległości.

— Nic mu nie jest? — zawołał Jeff'.

Eric nie odpowiedział od razu, Jeff widział, jak badał Greka w świetle lampy, pochylony nisko nad jego ciałem. Potem podniósł głowę i krzyknął:

— Chyba sobie złamał kręgosłup.

Jeff odwrócił się od szybu, spojrzął na pozostałych. Przerwali pracę i zagapili się na niego. Stacy zakryła ręką usta, jakby miała znowu się rozpłakać. Amy wstała i podeszła do niego. Oboje zajrzeli w otwór.

— On rusza rękami — zawołał do nich Eri — ale nogami nie.

Jeff i Amy wymienili spojrzenia.

— Sprawdź jego stopy — szepnęła Amy.

— On chyba, no wiecie... — Eric przerwał, szukając właściwych słów. Wreszcie: — Śmierdzi, jakby się zesrał.

— Jego stopy — szepnęła ponownie Amy, szturchając Jeffa. Z jakiegoś powodu nie mogła sama tego wykrzyzczyć.

— Eric? — wrzasnął Jeff.

— Co?

— Zdejmij mu jeden but.

— But?

— Zdejmij... skarpetkę też. Potem podrap podeszwę stopy paznokciem. Mocno. Zobacz, czy zareaguje,

Amy i Jeff pochylili się nad otworem i patrzyli, jak Eric kuca przy stopach Pabla, ściąga tenisówkę, skarpetkę. Stacy też przyszła popatrzeć. Mathias z powrotem wziął się do splatania.

Eric podniósł głowę.

— Nie — zawołał.

— O Boże — szepnęła Amy. — O Jezu.

— Musimy zrobić nosze — powiedział do niej Jeff. - Z czego zrobimy nosze?

Amy pokręciła głową.

— Nie, Jeff. Wykluczone. Nie możemy go ruszać.

— Musimy... przecież nie zostawimy go tam na dole.

— Tylko pogorszymy jego stan. Potrącimy go i...

— Użyjemy masztów od namiotu — zdecydował Jeff. — Przywiążemy go, a potem...

— Jeff!

Przerwał i spojrzał na nią. Myślał o masztach namiotowych, próbował sobie wyobrazić, jak z nich zrobić nosze. Nie miał pojęcia, czy się uda, ale nie widział innej możliwości. Potem przypomniał sobie plecaki, metalowe stelaże.

— Musimy go zawieźć do szpitala — oświadczyła Amy.

Jeff nie odpowiedział, tylko patrzył na nią, w myślach rozbierając plecaki, wzmacniając stelaże masztami od namiotów. Jak ona sobie wyobrażała, że zawiozą go do szpitala?

— Niedobrze — stwierdziła Amy. — Bardzo, bardzo niedobrze. —

Płakała, ale usiłowała się opanować, ocierała łzy wierzchem dłoni, kręciła głową. — Jeśli go poruszymy... — zaczęła, ale nie dokończyła.

— Nie możemy go tam zostawić, Amy — powtórzył. — Przecież wiesz. To niemożliwe.

Zastanawiała się przez długą chwilę, potem przytaknęła. Jeff nachylił się nad otworem, krzyknął:

— Eric?

— Co?

— Musimy zrobić nosze, zanim go wyciągniemy.

— Okay.

— Będziemy się spieszyć, ale to może trochę potrwać. Po postu mów do niego.

W lampie zostało mało nafty. Tylko resztki.

— Więc ją zdmuchnij.

- Zdmuchnąć? — przestraszył się Eric.

Będziemy jej później potrzebować. Kiedy zjedziemy na dół.

Musimy go położyć na noszach.

Eric nie odpowiedział.

— Dobrze? — zawołał Jeff.

Eric chyba kiwnął głową. Patrzyli, jak pochyla się nad lampą, a potem ciemność ponownie skryła dno szybu i już no me widzieli.

Stacy i Amy wróciły do splatania pasków nylonu, podczas gdy Jeff i Mathias usiłowali skonstruować nosze. Zniżając głos, omawiali. Mieli maszty namiotowe, stelaż plecaka i rolkę taśmy klejącej, którą Mathias znalazł wśród zapasów archeologów. Łączyli te rzeczy ze sobą i znowu rozdzielali. Stacy i Amy pracowały w milczeniu. Ta czynność powinna uspokajać — taka prosta, bezmyślna, ręce przesuwają się z lewa na prawo, na lewo, na prawo — ale im dłużej Stacy pracowała, tym gorzej się czuła. W żołądku ją paliło po wypitej tequili, w ustach zaschło, skóra swędziała od gorąca, głowa bolała. Stacy chciała poprosić o wodę, ale bała się, że Jeff odmówi. I była coraz bardziej głodna, w głowie jej się kręciło z głodu. Marzyła, żeby coś zjeść, napić się czegoś zimnego, położyć się w cieniu, a świadomość, że to niemożliwe, wywoływała duszący ucisk w piersiach, niemal panikę. Próbowwała sobie przypomnieć, co ona i Eric mieli w plecaku: małą butelkę wody, torebkę precelków, puszkę mieszanych orzeszków, dwa przejrzałe banany. Oczywiście muszą się podzielić, jak wszyscy. Zgromadzą razem całe jedzenie, żeby je wydzielać jak najwolniej.

Splatała paski materiału, na lewo, na prawo, na lewo, na prawo...

— Cholera — usłyszała całkiem wyraźnie głos Jeffa po przeciwległej stronie polany, potem zaczęli rozrywać swoją ostatnią konstrukcję, aluminiowe maszty brzęczały głucho, uderzając o siebie. Stacy nie mogła na nich patrzeć. Pablo złamał kręgosłup, nie mogła znieść tej myśli. Potrzebowali pomocy. Potrzebowali zespołu pielęgniarzy, którzy przylecieli by helikopterem i zabrali Pabla do szpitala. Zamiast tego

zmierzali go sami wyciągać, szarpiąc go i objając o ściany szybu przez całą drogę na powierzchnię. A kiedy go wyciągną — co dalej? Pewnie będzie leżał w pomarańczowym namiocie, jęczał albo wrzeszczał, i nic nie będą mogli dla niego zrobić.

Aspiryna. Pablo miał złamany kręgosłup, a Jeff rzucił mu buteleczkę aspiryny.

Jeff zrobił przerwę, przeszedł przez polanę, spojrzął w dół. Wszyscy popatrzyli na niego. Odeszli, pomyślała Stacy w przelotnym błysku nadziei, ale wtedy Jeff odwrócił się i podszedł do nich bez słowa. Znowu kucnął obok Mathiasa. Usłyszała pobrzękiwanie masztów, odgłos rozdzierania, kiedy odrywali następny kawałek taśmy. Majowie oczywiście nie odeszli, od razu wiedziała. Wyobraziła sobie, jak otaczają kręgiem podstawę wzgórza, patrząc w górę, z tymi przerażająco nieruchomymi twarzami. Zabili brata Mathiasa. Zastrzelili go z łuków. A teraz Mathias kłęczy tam i podaje Jeffowi aluminiowe tyczki do owinięcia taśmą, pochłonięty trudnym zadaniem, rozwiązaniem problemu. Nie rozumiała, jak on tak może, jak ktokolwiek z nich jest w stanie działać. Eric siedział na dnie szybu, w ciemnościach, z butem pełnym krwi, a ona spletała w warkocz paski nylonu, przekładała jedną rękę za drugą, zacieśniała splot.

Lewa na prawo, na lewo, na prawo, na lewo, na prawo... Słońce rozpoczęło nieunikniony zjazd na zachód. Jak długo to trwało? Stacy nie wiedziała, która godzina, zostawiła zegarek w hotelowym pokoju na nocnym stoliku. Kiedy to sobie uświadomiła, zaniepokoiła się przelotnie, że pokojówka może go ukraść, prezent od rodziców z okazji dyplomu. Zawsze się spodziewała, że hotelowe pokojówki ją okradną, a jednak to się nie zdarzyło ani razu, podczas żadnej podróży. Albo nie tak łatwo popełnić kradzież bezkarnie, albo po prostu ludzie są bardziej uczciwi, niż zakładała. W wyobraźni słyszała tykanie zegarka, widziała, jak blacie stolika, cierpliwie odliczając sekundy, minuty, godziny,

czekając na ich powrót. Pokojówki co wieczór słały im łóżka, kładły małe czekoladki na poduszkach, nastawiały radio tak cicho, że czasem Stacy zauważała to dopiero po zgaszeniu światła.

— Która godzina? — zapytała.

Amy przerwała pracę, spojrzała na zegarek.

— Piąta trzydzieści pięć — powiedziała.

Kiedy skończą splatanie, muszą wyciągnąć linę i przywiązać kawałki nylonu do końca. Potem ktoś musi się opuścić do szybu z zaimprovizowanymi noszami i pomóc Ericowi załadować Pabla, jakoś go przywiązać do metalowego szkieletu, żeby mogli go bezpiecznie wyciągnąć na powierzchnię. Później znowu zrzucą linę i wyciągną po kolei dwóch

Stacy próbowała obliczyć, ile czasu to zabierze, i wiedziała, że za dużo, że nie zdążą. Ponieważ jeśli minęła już piąta trzydzieści pięć i zbliżała się piąta czterdzieści, to do zmroku zostało im tylko półtorej godziny.

W sumie musieli upleść pięć kawałków. Przywiązali pierwsze trzy do liny i zrzucili ją do szybu, żeby sprawdzić, czy wystarczy, ale Eric krzyknął do nich, że jeszcze jest za krótka. Więc upletli czwarty odcinek, ale kiedy chcieli przymocować zaimprovizowane nosze, odkryli, że potrzebują dwóch oddzielnych pasków na końcu liny, żeby przywiązać dwa końce aluminiowej ramy.

Podczas gdy Mathias szybko splatał dodatkowy kawałek. Jeff wziął Amy na stronę.

— Zgadzasz się? — zapytał.

Stali razem na prostokacie ziemi, gdzie przedtem był niebieski namiot. Słońce zniżyło się nad sam horyzont, ale wciąż świeciło jasno, wciąż mocno grzało. Tak tutaj jest, pomyślała Amy: nie ma przejścia pomiędzy dniem a nocą, łagodnego zstępowania w wieczór. Słońce wschodziło od razu w południowym skwarze, który nie słabł aż do chwili-

kiedy dotknęło horyzontu na zachodzie. A wtedy mogłaś odliczać sekundy do zmroku tak szybko zapadała noc. Mieli tylko tę jedną lampę, którą Eric zabrał na dół i w której kończyła się nafta. Piętnaście minut, oce-
niała, i będą musieli pracować na ślepo.

_ Na co się zgadzam? — zapytała.

_ Zejdiesz na dół — wyjaśnił.

— Na dół?

— Do szybu.

Amy tylko na niego popatrzyła, zbyt zaskoczona, żeby odpowiedzieć. Włożył koszulę jednego z archeologów zamiast tej, którą zrzucił Ericowi, dziwnie w niej wyglądał, prawie jak inna osoba. Koszula błyszczała — udawała khaki, ale bez powodzenia, to był jakiś poliester, zapinana na guziki, z dużymi kieszeniami na piersiach. Nadaje się dla myśliwego na safari, pomyślała Amy. Albo dla fotografa, z rolkami filmu upchniętymi w tych cudacznych kieszeniach. Albo dla żołnierza. Jeff wydawał się w niej jakiś starszy — nawet większy. Skóra mu złaziła z zaczerwienionego nosa, był wyraźnie zmęczony i zgrzany, ale jednocześnie spięty, pełen gorączkowej energii.

— Mathias i ja musimy kręcić korbą — oświadczył. — Więc zostajesz ty albo Stacy. A Stacy, no wiesz... urwał i wzruszył ramionami. — Po prostu padło na ciebie.

Amy wciąż milczała. Oczywiście nie chciała tam schodzić, przerażała ją sama myśl o zanurzeniu się pod ziemię, w ciemność. Nie chciała nawet tu przyjeżdżać — tak właśnie miała ochotę odpowiedzieć Jeffowi. Gdyby to od niej zależało, w ogóle nie zeszliby z plaży. A potem, kiedy odkryli zamaskowaną ścieżkę, próbowała go ostrzec, prawda? Próbowała mu wytłumaczyć, że nie powinni tam iść, ale on nie chciał słuchać. To wszystko jego wina. Więc to on powinien złazić o tej dziury, prawda? Ale pomimo tych argumentów pamiętała, co się stało u podstawy wzgórze, jak cofała się przez polanę, patrząc w wizjer aparatu, jak stopa jej się zaplątała

w winorośle. Gdyby nie to, może Majowie nie kazaliby im wejść na wzgórze. Nie byłoby ich tutaj — Pablo nie leżałby na dnie szybu ze złamanym kręgosłupem, Eric nie miałby buta pełnego krwi. Wędrowaliby gdzieś daleko od tego miejsca, z każdym krokiem coraz dalej, cała szóstka przekonana, że komary, małeńkie czarne muszki i pęcherze na nogach to ważne powody do narzekania.

— Byłaś ratownikiem, prawda? — zapytał Jeff. — Powinnaś wiedzieć, jak się robi takie rzeczy.

Ratownik. W pewnym sensie miał rację. Amy spędziła kiedyś lato, pracując na basenie w osiedlu apartamentowców w swoim rodzinnym mieście. Małeńki owalny basen, dwa metry głębokości na końcu, zakaz nurkowania. Siedziała na ogrodowym krześle i opalała się od dziesiątej do szóstej, pięć dni w tygodniu, strofując dzieci, żeby nie biegały, nie chlapały ani nie przytapiały się nawzajem, ostrzegając dorosłych, że nie wolno wnosić alkoholu na basen. Obie grupy na ogół ją ignorowały. To było małe osiedle, balansujące na granicy wypłacalności, pełne miejscowych wyrzutek — pijaków i rozwodników — przygnębiające miejsce. Dzieci było niewiele i zdarzały się dni, że nikt nie przychodził na basen. Amy siedziała na swoim krześle i czytała. Jeśli panował całkowity spokój, często zsuwała się do wody na płytkim końcu i unosiła się na plecach, z pustką w głowie. Musiała oczywiście ukończyć kurs na ratownika, zanim ją zatrudniono. I na pewno miała lekcję o urazach kręgosłupa, jak ułożyć kogoś bezpiecznie na noszach. Ale niczego takiego nie zachowała w pamięci.

— Użyjesz naszych pasków — ciągnął Jeff.

Amy chciała zbiec ze wzgórza. Wyobraziła sobie, jak wpada na polanę, staje twarzą w twarz z czekającymi tam mężczyznami. Powie im, co się stało, znajdzie sposób, żeby przekazać wszystkie złe wiadomości, choćby na migi. To będzie oczywiście trudne, ale ona jakoś sobie poradzi, sprawi, że zobaczą jej strach, nawet poczują. I ustąpią. Sprowadzą pomoc. Pozwolą

im wszystkim odejść. Brat Mathiasa leżał po drugiej stronie wzgórza, martwy, przebity strzałami. Amy jednak na krótką chwilę zdołała uwierzyć w swoją fantazję. Nie chciała zjeżdżać do szybu.

Jeff wziął ją za rękę. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć — na pewno przekonywać albo tłumaczyć, że nie ma wyboru — kiedy z głębi szybu znowu dobiegło świergotanie.

Wszyscy oprócz Mathiasa podbiegli do otworu i zajrzeli. Mathias prawie skończył splatanie i nawet nie przerwał pracy.

— Eric? — wrzasnął Jeff. — Mozesz ją znaleźć?

Eric przez chwilę nie odpowiadał. Wyczuwali, jak się tam kręci, szuka źródła dźwięku.

— Ciągłe się przesuwa — odkrzyknął. — Czasami słyszę ją z lewej strony, a potem z prawej.

— Nie powinna się zaświecić, kiedy dzwoni? — zapytała Jeffa Amy zniżonym głosem, niemal szeptem.

Jeff krzyknął:

— Czy ona świeci? Szukaj światła.

Znowu czuli, jak Eric się porusza.

— Nic nie widzę — zawołał. A po sekundzie, akurat kiedy sami już zauważyli: — Przestało.

Czekali, czy dźwięk się nie powtórzy, ale komórka milczała. Słońce dotknęło horyzontu na zachodzie i wszystko przybrało czerwony odcień. Za kilka minut się ściemni. Mathias dokończył splatanie. Patrzyli, jak łączy ostatni odcinek z pozostałymi, a potem przywiązuje zaimprovizowane nosze do dwóch dyndających pasków. Skończył w chwili, kiedy dzień zaczął nagle przechodzić w noc. Potem Jeff przytrzymał korbę, a Mathias i Stacy unieśli nosze nad otworem. Przez chwilę patrzyli na wiszącą konstrukcję, Mathias nakrył aluminiowy szkielet jednym ze śpiworów pozostałych po archeologach, jako wyściółką. Na śpiworze położyli wszystkie swoje cztery paski. Amy wiedziała, że chociaż jeszcze się nie godziła na propozycję Jeffa, decyzja już zapadła. Wszystko było gotowe i sądzili, że ona też. Mathias dołączył do Jeffa

przy kołowrocie, ujął korbę. Stacy stała i patrzyła, obejmując się ramionami.

— Po prostu wejdź tam — polecił Jeff.

Więc Amy weszła. Zbierając resztki odwagi, przekroczyła krawędź otworu, przykucnęła na aluminiowym szkielecie, chwyciła się plecionych nylonowych pasków. Nosze zaskrzypiały pod jej ciężarem, zakołysały się w przód i w tył, ale wytrzymały. A potem — zanim Amy zdążyła się przygotować albo rozmyślić — kołowrót zaczął się obracać i zjechała z gęstniejącej ciemności dnia w ciemność szybu.

Dużo czasu im to zabrało, ale w końcu przybywali. Eric nie wiedział dokładnie, ile czasu, może nie tak wiele, jak się wydawało, ale na pewno długo. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach nie potrafił odmierzać upływu czasu — brakowało mu wewnętrznego zegara — a tutaj na dole, w ciemnościach, przytłoczony wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło, zupełnie się pogubił. Wiedział tylko, że na górze zapada już noc, że błękitny prostokąt nieba przelotnie zabarwił się czerwienią, zanim przygasł do gołębiej szarości, potem do szarości łupku, potem do ciemnej szarości. Zrobili nosze i teraz Amy zjeżdżała na nich do niego.

Godziny, myślał Eric. Na pewno minęło parę godzin. Pablo wrzeszczał, a potem przestał, Stacy krzyczała do niego, rozmawiali ze sobą i Jeff kazał mu zgasić lampę. Potem wszyscy znikli, żeby zrobić nosze i przedłużyć linę — dużo czasu im to zabrało, za dużo — a on najpierw kucnął, potem siedział obok Pabla i przez cały czas trzymał go za przegub. I mówił, ciągle mówił, żeby dotrzymać Grekowi towarzystwa, żeby go podnieść na duchu i nawet żeby go oszukać — oszukać ich obu — żeby uwierzyli, że wszystko będzie dobrze-

Ale oczywiście nic nie będzie dobrze i nieważne, jak bardzo Eric się starał nadać swojemu głosowi ton optymizmu, a starał się - świadomie usiłował naśladować beztroską pap-

laninę Greków — nie mógł zignorować tego trudnego faktu. Po pierwsze zapach. Smród gówna — i moczu też. Pablo złamał kręgosłup, stracił kontrolę nad pęcherzem, nad kiszkami. Potrzebował cewnika, torebki wiszącej obok łóżka, pielęgniarek, żeby ją opróżniały i utrzymywały go w czystości. Potrzebował operacji, i to szybko — natychmiast, potrzebował lekarzy i fizjoterapeutów, żeby pochylali się nad nim, zaznaczali na karcie jego postępy. A Eric nie wiedział, jak mu to zapewnić. Pracowali przez całe popołudnie, żeby go wyciągnąć z tej dziury, ale co w ten sposób osiągną? Wyciągnięty z dziury, wśród namiotów i kwitnących winorośli, nadal będzie miał złamany kręgosłup, jego pęcherz i kiszki nadal będą przepuszczać mocz i gówno do już przemoczonych spodni. I nic nie mogli na to poradzić.

Kolano Erica wreszcie przestało krwawić. Pulsowało miarowym bólem, wzmagającym się przy każdej zmianie pozycji. Koszulka Jeffa zeszytniała od krwi, Eric położył ją na ziemi obok siebie. W bucie wciąż miał mokro. Eric opowiadał Pablowi, jak ludzie odzyskiwali zdrowie — niepowstrzymanie. Najgorszy jest sam wypadek, później ciało przystępuje do pracy, mobilizuje się, odbudowuje. Ten proces rozpoczyna się już teraz, podczas tej rozmowy. Opowiadał, ile razy połamał kości w dzieciństwie. Opisał upadek na mokrym chodniku i pęknięcie przedramienia — nie pamiętał już, której kości, promieniowej albo łokciowej, nieważne. Nosił gips przez sześć tygodni, pod koniec lata, pamiętał smród, kiedy rozcięli opatrunek, wilgoć i pot, ramię blade i za chude, swój strach przed wirującą piłą. Złamał obojczyk przy zabawie w Supermana, kiedy zjechał głową w dół po zjeżdżalni na placu zabaw. Złamał nos, kiedy spadł z drewnianego konika. I opisał teraz Pablowi te wszystkie wypadki, szczegółowo, ból towarzyszący każdemu z nich, powrót do zdrowia: nieuniknione, niepowstrzymane wyleczenie.

Pablo oczywiście nie rozumiał ani słowa. Jęczał i mamrotał. Od czasu do czasu podnosił ramię, którego Eric nie trzymał,

i jakby sięgał po coś w bok, chociaż nie wiadomo po co, bo niczego tam nie było oprócz ciemności. Eric nie zwracał uwagi na te ruchy — również, na jęki i mamrotanie — tylko wytrwale mówił dalej, wysokim, sztucznie pogodnym głosem. Nie wiedział, co innego mógłby zrobić.

Opowiedział Pablowi o innych wypadkach, które widział: chłopiec, który wjechał na desce w nich uliczny (wstrząs mózgu i kilka złamanych żeber), sąsiad, który stoczył się z dachu przy czyszczeniu rynny (wybite ramię, parę złamanych palców), dziewczyna, która źle wyliczyła czas przy zeskoku z rozhuśtanej liny i zamiast w rzece, wylądowała na kamienistym brzegu (strzaskana kostka, trzy wybite zęby). Opowiadał o miasteczku, w którym dorastał, małym, brzydkim i prowincjonalnym, a jednak malowniczym w swojej brzydocie, światowym w swoim prowincjonalizmie. Na dźwięk syreny ludzie podchodzili do frontowych drzwi, wychodzili na ganki, osłaniali ręką oczy przed słońcem. Dzieci zeskakiwały z rowerów, biegly za karetką pogotowia, wozem straży pożarnej albo policyjnym samochodem. Oczywiście gapili się, ale ze współczuciem. Kiedy Eric złamał rękę, sąsiedzi wpadali z wizytą, przynosili prezenty: komiksy do czytania, filmy wideo do oglądania.

Przez cały czas trzymał Pabla prawą ręką za nadgarstek. momentami ścisnął dla podkreślenia niektórych zdań, ale nie puszczał ani na chwilę. Lewą ręką przesuwał od lampy naftowej do pudełka zapalek, zataczając nieprzerwane, niezmordowane kręgi, dotykał najpierw jednego, potem drugiego przedmiotu, muskał je lekko niczym paciorki różańca. I rzeczywiście ten gest wydawał się niemal modlitewny, w myślach towarzyszyły mu dwa słowa. Tak, nawet opowiadając Pablowi swoje historie tym rześkim, optymistycznym tonem, Eric bezgłośnie powtarzał te dwa słowa, odmawiał je w duchu podczas gdy jego ręka wędrowała od lampy do zapalek, od lampy do zapalek: Jeszcze są, jeszcze są, jeszcze są, jeszcze są...

Opisał Pablowi, jakie to uczucie, kiedy jedziesz na rowerze ścigany przez syreny i migające światła. Podniecenie, zwrotny dramatyzm tej sytuacji na pograniczu katastrofy. Opowiedział mu o szczęśliwych zakończeniach. O siedmioletniej Mary Kelly, która umiała wejść na drzewo, ale nie potrafiła zejść, więc ze strachu wspinała się coraz wyżej i wyżej, zapłakana, podciągając drobne ciało w górę, jakieś piętnaście metrów, na sam wierzchołek starego dębu, tłum zgromadzony na dole, ludzie wołają ją, nakazują zejść, tymczasem zrywa się wiatr, coraz silniejszy, kołysze gałęziami, całe drzewo pochyla się i prostuje. Naśladował chóralne westchnienie, kiedy mała się nie ześliznęła i wisała przez rozpaczliwie długie sekundy, zanim znowu znalazła oparcie dla stóp, płacząc przez cały czas, coraz bliższe syreny, chłopcy na rowerach. Potem wóz straży pożarnej z drabiną powoli unoszoną w niebo, wiwaty, kiedy pielęgniarz wychylił się i zanurzył głęboko w listowie, złapał dziewczynkę za rękę, szarpnął ją do siebie, przerzucił przez ramię.

W ciemności Eric nagle poczuł, że jakaś ręka dotyka go w krzyżu. Podskoczył i o mało nie wrzasnął, ale się opanował. To była tylko winorośl. Jakimś cudem zdołała zapuścić korzenie nawet tutaj, na dnie szybu. Widocznie niechcący przechylił się do tyłu i dlatego odniósł wrażenie, że roślina sięgnęła ku niemu i dotknęła go, objęła od tyłu w pasie, niemal pieszczotliwie. W ciemności nie mógł określić swojego położenia, był praktycznie ślepy. Orientację zapewniała mu tylko ręka Pabla i —jeszcze są, jeszcze są— pudełko zapalek oraz lampa naftowa. Przesunął się do przodu, poza zasięg winorośli — ten pełzający dotyk przyprawiał go o dreszcze, budził odrazę — aż znalazł się tuż przy połamany Pabla. Kiedy się poruszył, rozcięcie na kolanie odezwało się rozzwierającym bólem i znowu zaczęło krwawić. Pomacał ziemię szukając podkoszulka Jeffa, znalazł go i jeszcze raz przycisnął do rany

Wrócił do dziewczyny na rozhuśtanej linie: Marci Brand,

trzynaście lat. Miała kłamry na zębach i długi brązowy koński ogon. Opowiadał, jak początkowo wszyscy się śmiali z jej upadku, on i inne dzieciaki. Wyglądało to komicznie, jak na kreskówce. Widzieli, jak spadła, słyszeli ten okropny plaszczący dźwięk, kiedy uderzyła o skały, wszyscy na pewno rozumieli, że zrobiła sobie krzywdę. A jednak się śmiali, jakby próbowali temu zaprzeczyć, cofnąć to, i przestali dopiero wtedy, kiedy zobaczyli, jak ona próbuje wstać, potyka się niezdarnie, przewraca na bok i ześlizguje po kamienistym brzegu do wody. Wargi miała rozcięte — uderzyła twarzą o kamień — i kiedy unosiła się w wodzie, młóćąc rękami, wokół niej powoli utworzyła się mętna plama krwi. Eric pamiętał, że miała zaciśnięte oczy i wykrzywioną twarz. Krzywiła się, ale nie płakała, nie wydała żadnego dźwięku, nawet kiedy ją wyciągali z rzeki, wywlekali na brzeg, a jeden z nich pojechał rowerem po pomoc. Później wszyscy mieli wyrzuty sumienia z powodu tego śmiechu, zwłaszcza kiedy się wydawało, że ona już nie będzie chodzić. Ale w końcu zaczęła chodzić — nieuchronnie, niepowstrzymanie — tylko troszkę kulejąc, chociaż ledwie zauważalnie, właściwie zupełnie niezauważalnie, jeśli się nie znało tej historii, jeśli się specjalnie nie dopatrywało.

Co jakiś czas Ericowi zdawało się, że widzi coś w ciemnościach — pływające kształty, okrągłe jak balony, słabo świecące. Zbliżały się, przez chwilę unosiły się tuż przed nim i powoli odpływały. Niektóre miały niebieskawozielone zabarwienie, inne były bladożółte, niemal białe. Wiedział, że wzrok płata mu figle, że to fizjologiczna reakcja na ciemność, ale nie mógł się opanować: kiedy zanadto się zbliżały, puszczał nadgarstek Pabla, żeby ich dotknąć. Lecz gdy tylko podnosił rękę, kształty znikają, żeby pojawić się w nowym miejscu gdzieś dalej i rozpocząć na nowo powolne, falujące podejście. -Eric odjął podkoszulek od rozciętego kolana. Rana znowu przestała krwawić. Natychmiast sięgnął po lampę, zapalki jeszcze są, jeszcze są...

Opowiedział Pablowi również inne historie, które nie skończyły się tak szczęśliwie — nieuchronnie, niepowstrzymanie — zmieniając je ze względu na rannego. Mały Stevie Stahl, którego woda zmyła do kanału burzowego, kiedy bawił się na zalanym polu, nie został odnaleziony przez nurka ochotnika, na wół zagrzebany w mule, rozdęty nie do poznania. Nie: pojawił się pięć minut później i niemal milę dalej, wypluty przez rzekę, podrapany, posiniaczony i zapłakany, owszem, ale poza tym cudem nietknięty. A Ginger Ruby — która podpaliła garaż wuja, bawiąc się zapalkami, a potem spanikowana i zdezorientowana przez dym odeszła od drzwi, którymi mogła łatwo uciec, i umarła skulona pod ścianą w głębi, za rzędem kublów na śmiecie — w wersji Erica została uratowana przez strażaka, wyniesiona wśród wiwatów zgromadzonego tłumu, kaszłąca, dysząca i pokryta sadzą, w osmalonej koszuli, z nadpalonymi włosami, ale poza tym (tak, cudem) cała i zdrowa.

Zimne powietrze dmuchające z otwartego szybu za Pablem nie płynęło równomiernie. Czasami przestawało, jakby wstrzymywało oddech, a temperatura w szybie natychmiast wzrastała. Eric zaczynał się pocić, koszula mu wilgotniała, a potem nagle zimne powietrze powracało. Te ustawiczne wahania niepokoiły Erica, budziły strach, nadawały ciemności groźne pozory życia. Za każdym razem, kiedy przeciąg ustawał, Eric wyobrażał sobie, że ktoś — coś — blokuje szyb, jakaś obecność, wahająca się tuż przed nim, badająca go i oceniająca. Raz usłyszał nawet, jak to coś węszy, łowi jego zapach. Wiedział, że zmysły znowu go zawodzą. Musiał jednak Powściągnąć odruch, żeby zapalić lampę, jego ręka znieruchomiała, zadrżała, po czym podjęła ustawiczną wędrówkę tam i z powrotem: jeszcze są, jeszcze są, jeszcze są.

Opowiedział Pablowi o swoim przyjacielu Garym Holmesie, który marzył, żeby zostać pilotem. Gary tak długo zebrał, błagał i zadreślał rodziców, aż na szesnaste urodziny zafundowali mu lekcje latania. Co sobota jeździł na rowerze na

miejscowe lotnisko i spędzał tam popołudnie, poznając nowy świat. Trzy miesiące później Eric grał w piłkę nożną - młodzieżowa liga, cztery mecze rozgrywane jednocześnie, boiska leżące równolegle obok siebie. Mały samolot z warkotem przeleciał nad głowami, bardzo nisko, gracze od-ruchowo przystanęli, kiedy przeniknął po nich cień maszyny, wszyscy najpierw się skulili, a potem podnieśli wzrok. Samolot poleciał dalej, zawrócił, wykonał kolejny przelot, aż gry całkowicie ustały. Sędziowie dmuchali w gwizdki, wymachiwali rękami, usiłując przywrócić porządek, kiedy samolot zawrócił po raz drugi, silnik zakrzusił się, zakaszła, ucichł. A potem — parę sekund później, tyle, ile trzeba na wdech, wydech, ponowny wdech — z zadrzewionego terenu na zachód od boiska dobiegł trzask, huk, łoskot katastrofy. Ale nie w wersji, którą Eric przedstawił Pablowi. Nie, w tej wersji ktoś zrozumiał, co się dzieje, już przy pierwszym niskim przelocie. Jeden z trenerów, potem następny. Zaczęli krzyczeć, gestykulować, sędziowie przyłączyli się z gwizdkami, wszyscy wrzeszczeli i biegli. Samolot miał kłopoty, próbował awaryjnie lądować. Wszyscy musieli zejść z boiska. I zrobili to. Zanim samolot zawrócił do drugiego przelotu, stłoczyli się przy bocznych liniach. Samolot wylądował niezdarnie, podskoczył. trzasnął w drewnianą bramkę, przednie koła rozorały miękką ziemię, prawie przekoziółkował i wreszcie zatrzymał się oparty na czubku nosa, z pogiętym śmigłem, z pękniętą owiewką. W tym miejscu opowieści Eric zawahał się na chwilę, próbując sobie wyobrazić, w jakim stanie byłby Gary i jego instruktor, jakie obrażenia mogłoby spowodować gwałtowne lądowanie. Roztrzaskana rzepka kolanowa, zdecydował-Wybite ramię, pęknięta miednica, lekki wstrząs mózgu. Wyli-czając, kwitował każdy uraz lekceważącym gestem. Wszystko wyleczono, zapewnił Pabla, jak zawsze — tak, znowu - nieuchronnie, niepowstrzymanie.

Tamci na górze byli zajęci, pletli nylonowe pasy wycięte z niebieskiego namiotu, konstruowali nosze, nie mieli czasu

myśleć. Eric jednak siedział na dole w ciemności, w smrodzie gówna i moczu Pabla, słuchając jego wzbierających i opadających jęków, jego mamrotania. Więc naturalnie jako pierwszy z nich zaczął się zastanawiać, czy Grek przeżyje tę przygodę, czy jego ciało nie przekroczyło już granicy „nieuchronnie” i „niepowstrzymanie”, czy nie umrze mimo wszystko za kilka godzin albo dni, na oczach bezradnych Amerykanów.

Zdawało się, że Pablo zasnął — albo stracił przytomność. W każdym razie przestał jęczeć, przestał mamrotać, przestał sięgać w mrok po jakieś wyobrażone rzeczy. Eric też umilkł i siedział obok niego, trzymając go jedną ręką za przegub, drugą dotykając lampy i zapalek. Czas płynął nawet jeszcze wolniej bez echa jego głosu, odbijanego od ścian wąskiego szybu. Eric powrócił myślami do Gary’ego Holmesa, do fotografii roztrzaskanego samolotu na pierwszej stronie miejscowej gazety, do nabożeństwa żałobnego w szkolnej auli.

Gary był jego przyjacielem — niezbyt bliskim, ale więcej niż znajomym — i jakiś miesiąc po pogrzebie matka Gary’ego złożyła mu wizytę.

— Eric? — zawołała jego matka. — Ktoś do ciebie.

Eric zbiegł po schodach i zastał panią Holmes we frontowym holu. Przyszła zapytać, czy chciałby rower Gary’ego. To było dziwne, niezręczne spotkanie, matka Erica stała obok i słuchała tej rozmowy ze łzami w oczach. Co chwila wyciągała rękę i dotykała ramienia pani Holmes. Eric był zaskoczony tym pytaniem i dziwnie zakłopotany — przecież wcale nie przyjaźnił się tak blisko z Garym. Próbował odmówić, ale zmienił zdanie, kiedy zobaczył, jak dotknięta wydawała się pani Holmes, kiedy w pierwszej chwili z wahaniem pokręcił głową. Tak, powiedział. Oczywiście weźmie rower. Podziękował jej, a wtedy jego matka rozplakała się na całego. Podobnie jak pani Holmes.

Rower ciągle stał na lotnisku, przypięty do siatkowego ogrodzenia, gdzie Gary go zostawił ostatniego dnia. Ojciec podrzucił tam Erica wcześniej rano, po drodze do pracy. Eric

objął rower w posiadanie, zgarbiony nad nim ze świstkiem papieru, który dostał od pani Holmes, mrużył oczy, żeby odczytać jej pismo, trzy liczby stanowiące kombinację zamka cyfrowego. Próbował z dziesięć razy, zanim się udało, a potem pojechał prosto do szkoły, prawie dwadzieścia pięć kilometrów, i dotarł spóźniony kilka minut, już po dzwonku, korytarze puste i ciche. Rower miał siodełko ustawione zbyt wysoko, co utrudniało pedałowanie, łańcuch wymagał nasmarowania, obręcze zardzewiały po miesiącu stania pod gołym niebem. Nie było się czym chwalić, a Eric miał już własny rower — może dlatego, a może tylko z powodu spóźnienia nie przypiął roweru, kiedy dotarł do szkoły, rzucił go na stojak i wbiegł do środka. Zostawił go tam na noc, wciąż nieprzypięty, i wrócił do domu autobusem. A rano rower zniknął.

Znowu poczuł ucisk na plecy, dotyk czyjejś dłoni. Serce mu podskoczyło w piersi, chociaż próbował się uspokoić. To tylko winorośl. Widocznie znowu się w nią wpakował. Chciał się przesunąć w stronę Pabla, ale odkrył, że nie może już bardziej się do niego zbliżyć. Winorośl samodzielnie się poruszyła, podpełzła ku niemu, może zwabiona jego ciepłem. Poczul się nieswojo, trochę go przestraszył ten pomysł — winorośl obdarzona własną wolą, niemal rozumna — chciał uciekać z tej dziury, krzyknąć do tamtych, ale powstrzymał się w ostatniej chwili, żeby

Matka Gary'ego chodziła od domu do domu, rozdając rzeczy swojego syna chłopcom, którzy nie wiedzieli, co z nimi robić. Chłopcom, którzy gubili swetry i kurtki jej syna. rękawicę baseballową i pływackie gogle, którzy rozdawali albo zwyczajnie wyrzucali te rzeczy, zagrzebywali je w szafach, kufrach i suterrenach. W taki sposób zawsze działa śmierć, pomyślał Eric: żywi starają się usunąć z zasięgu wzroku wszelkie dowody jej istnienia. Nawet najbliżsi przyjaciele Gary'ego żyli dalej własnym życiem, w żaden widoczny sposób niedotknięci jego nieobecnością, przechodzili z

sy do klasy, potem zdawali na studia, zapominali go po drodze i pamiętali tylko tę fotografię strzaskanego samolotu, tę nagłą ciszę na boisku futbolowym przed katastrofą.

Eric musiał się wysikać. Ale bał się wstać i podejść do ściany szybu, irracjonalnie podejrzewając, że po powrocie nie znajdzie już Greka, lampy albo zapalek. Rozpiął pasek, żeby zmniejszyć ucisk na pęcherz, próbował odwrócić własną uwagę za pomocą gier słownych, wymyślał ćwiczenie dla swoich przyszłych uczniów, zaczynając od litery A, dziesięć słów, mały sprawdzian na początek tygodnia, pięć punktów za definicję, pięć za pisownię.

Albatros, pomyślał. Alchemik. Alegoria. Alienacja. Andaluzja. Anestezjolog. Antycypacja. Apopleksja. Aprowizacja. Awangarda.

Właśnie przechodził do B — banialuka, bazylika, bibliografia, boazeria — kiedy ponownie rozległo się elektroniczne świergotanie, obudziło Pabla, zaskoczyło ich obu. Eric puścił nadgarstek Greka, wstał, z powodu zranionego kolana zatoczył się jak kaleka. Świergotanie dochodziło jakby z prawej strony, ale kiedy tam pokuśtykał, odkrył, że się mylił. Teraz słyszał je za plecami. Zaczął się odwracać, ale potem stracił pewność. Dźwięk jakby go okrążał, dryfował po ścianach szybu.

— Eric? — wrzasnął w dół Jeff. — Możesz ją znaleźć?

Eric podniósł głowę. Widział ich w prostokącie błękitnego nieba, pochylonych nad szybem. Zawołał, że dźwięk się przesuwają, dochodzi raz z jednej strony, raz z drugiej.

- Czy ona świeci? — krzyknął Jeff. — Szukaj światła.

Dźwięk dochodził teraz jakby z wylotu korytarza. Eric przekuśtykał obok Greka. Powietrze wyraźnie pochłodziło. Świergot oddalił się, jakby chciał go wciągnąć w głąb szybu.

Eric zawahał się, nagle przestraszony.

— Nic nie widzę — zawołał, a potem świergot ucichł. — Przestało.

Policzył w myślach do dziesięciu, daremnie czekając, żeby telefon znowu zadzwonił. Kiedy spojrzał w górę, głowy

zniknęły, a niebo przybrało czerwony odcień. Słońce zachodziło.

Pokuśtykał z powrotem do ciała Pabla. Wyczuwał, że Grek porusza się w ciemności, przesuwa głowę, ale się nie odezwał. Nie jęczał i nie mamrotał, co przstraszyło Erica.

— Pablo? — zagadnął. — Z tobą w porządku?

Chciał, żeby Grek znowu zaczął mówić, lecz on leżał w milczeniu i już się nie ruszał. Eric sięgnął do lampy, znalazł ją, sięgnął po zapalki i... nie było ich. Obmacał dookoła skaliste podłoże szybu, coraz szerszym kręgiem, z narastającą paniką. Nie mógł znaleźć pudełka.

Usłyszał nad sobą skrzywienie i podniósł wzrok. Szybko się ściemniało, ale na tle nieba dostrzegł jakiś kształt, wydłużony prostokąt, niemal wypełniający otwór. Skończyli nosze i właśnie je przymierzali. Eric ciągle poklepywał ziemię, sięgał coraz dalej i dalej, potem wracał do lampy i zaczynał od początku. Ale zapalki zniknęły.

Skrzywienie nasiliło się, więc znowu podniósł wzrok. Opuszczali nosze do szybu.

— Eric? — usłyszał wołanie Amy.

— Co? — odwrzasnął.

— Zapal lampę!

Zrozumiał, że siedziała na noszach i powoli opadała ku niemu.

Wstał chwiejnie, myśląc, że może trzymał zapalki, kiedy rozległo się świergotanie, może miał je ze sobą, kiedy szukał źródła dźwięku, a potem w roztargnieniu znowu je odłożył. To nie miało sensu i wcale w to nie wierzył, ale potem zrobił następny krok i uderzył w coś stopą, i po odgłosie, po dotyku rozpoznał pudełko zapalek. Ostrożnie opuścił się na czworaki i zaczął macać po ziemi.

Skrzywienie trwało. Niebo już pociemniało, nie widział noszy, ale czuł, że się zbliżają.

— Zapal lampę, Eric — zawołała jeszcze raz Amy nagłym tonem, jakby przestraszona.

Dalej obmacywał ziemię. Znalazł się w kącie szybu bardziej agresywnie skolonizowanym przez winorośle: łodygi oplątywały mu ręce, sprawiając upiorne wrażenie, że roślina celowo mu przeszkadza. Wreszcie znalazł pudełko zapalek, zagrzebane w winoroślach, niemal całkowicie zakryte. Musiał je wyszarpnąć siłą, rozrywając łodygi, sok oblepił mu palce lewej ręki, początkowo chłodny, potem nagle piekący.

— Eric? — krzyknęła znowu Amy, niemal tuż nad nim.

— Sekundę! — zawołał.

Pokuśtykał z powrotem do lampy, przykucnął nad nią, zdjął szklany klosz. Nie zdawał sobie sprawy, jak mocno ręce mu drżą, dopóki nie zapalił pierwszej zapalki: tak się trząsł, że natychmiast zgasła. Oczekał chwilę, dwa głębokie oddechy, żeby się uspokoić, potem spróbował jeszcze raz. Tym razem się udało — zapalił lampę i zobaczył Amy, ledwie pięć metrów wyżej, trwożnie spoglądała w dół i opadała, opadała, opadała...

Musiał odwrócić się od blasku lampy po tylu godzinach siedzenia w ciemności, ale mimo to płomień wydawał się słabszy, niż pamiętał — a może miał nadzieję. Większość szybu nadal tonęła w nieprzeniknionym mroku. Ręka go piekła od soku roślinnego. Wytarł ją o spodnie, ale nie pomogło.

Kiedy nosze znalazły się w zasięgu ręki, przytrzymał je i skierował nieco w prawo, żeby spoczęły obok Pabla. Potem, kiedy do podłogi został jeszcze metr, zatrzymały się z szarpnięciem i o mało nie zrzuciły pa-

Amy? — zawołał Jeff z góry.

— Co?

- Dotarłeś do nich?

- Prawie. Jeszcze kawałek.

Zapadła krótka cisza, kiedy przyswajano tę informację.

Potem:

- A dokładniej?

Amy wychyliła się, zerknęła przez krawędź na połamane ciało Pabla.

— Nie wiem. Metr?

— To koniec liny — oznajmił Jeff. Zrobił przerwę i zawołał: —

Możecie mimo wszystko to zrobić?

Amy i Eric wymienili spojrzenia. Przecież cały sens przedsięwzięcia polegał na tym, żeby nosze stabilizowały kręgosłup Pabla podczas transportu, jeśli ruszą go ot tak, bez noszy z pewnością dojdzie do dalszych urazów. Ale jeśli postanowią zaczekać, tamci będą musieli wciągnąć nosze z powrotem, odwiązać je, spleść następne kawałki nylonu, przymocować powtórnie nosze, opuścić jeszcze raz do szybu, wszystko w

— Co myślisz? — zwróciła się Amy do Erica.

Wciąż siedziała skulona na noszach, chociaż łatwo mogła zejść. Jakby nie chciała stanąć na ziemi, jakby się obawiała, że wtedy zostanie skazana na wypełnienie zadania, którego wciąż miała nadzieję uniknąć.

Eric usiłował wyrzesać z siebie jakąś myśl. Zauważył łopatę opartą o ścianę naprzeciwko — składaną campingową łopatkę, jaką można nosić w plecaku — i wpatrywał się w nią przez długą chwilę, próbując sobie wyobrazić, do czego łopata może im się przydać. Nic mu nie przychodziło do głowy, a kiedy pomyślał: „kopanie grobów”, niemal się wzdrygnął jak oparzony.

— Możemy odwiązać nosze — zaproponował. — Położyć go, potem podnieść nosze i znowu je przywiązać.

— Sami? — zapytała Amy z wyraźnym powątpiewaniem

Eric pokręcił głową.

— Ktoś jeszcze musi zejść, żeby pomóc. Pewnie Stacy. Dwie osoby go podnoszą, trzecia wiąże węzły.

Zastanawiali się nad tym przez chwilę, wyobrażali sobie wszystkie kolejne etapy, ile czasu to zajmie.

— Musimy zdmuchnąć lampę — dodał Eric. — Zaczekać na nią po ciemku.

Amy przesunęła się i nosze się zakotyssały. Eric wyciągnął rękę przytrzymał je. Myślał, że Amy chce zejść na ziemię, ale ona nie zesła.

- Albo możemy sami go przenieść - dodał.

Amy w milczeniu patrzyła na Pabla. Eric chciał, żeby coś powiedziała. Nie mógł sam tego zrobić.

- To tylko metr.

- Jeśli się przekręci...

— Ja go wezmę za ramiona. Ty podniesiesz stopy. Raz, dwa, trzy... łatwizna.

Amy niepewnie zmarszczyła brwi.

Eric podniósł lampę, przechylił ją, sprawdził zbiorniczek, malejącą kałużę nafty.

— Musimy zdecydować — oświadczył. — Światła nie starczy na długo.

— Amy? — zawołał Jeff

Oboje wyciągnęli głowy do góry, ale zrobiło się za ciemno, żeby go zobaczyć.

— Spróbujemy — wrzasnęła Amy.

Eric przytrzymał nosze, kiedy złażyła na ziemię. Potem postawił lampę naftową pod ścianą. Amy zebrała paski ze spiwora, rzuciła je obok lampy. Pablo patrzył na nich, przenosił spojrzenie z jednego na drugie.

— Teraz cię podniesiemy — powiedziała do niego Amy.

Rozwartymi dłońmi wykonała gest unoszenia, potem wskazała na nosze. — Położymy cię tam, a potem wyciągniemy.

Pablo gapił się na nią.

Eric przysunął się do głowy Greka, Amy stanęła przy stopach.

- Biodra — powiedział Eric.

Zawahala się. - Na pewno?

- Jeśli podniesiesz stopy, on się zegnije w pasie. - Ale jeśli podniosę biodra, czy nie wygnie się do tyłu? Oboje popatrzyli na Pabla, wyobrażając sobie te dwa różne

scenariusze. Eric wiedział, że to zły pomysł. Powinni odesłać nosze z powrotem na górę, żeby tamci przedłużyli linę. Albo przynajmniej sprowadzić tu Stacy. Zerknął na lampę. Nafta prawie się skończyła.

— W kolanach — zdecydował.

Amy zastanowiła się nad tym, ale zbyt krótko. Kilka sekund, a potem kucnęła nad kolanami Pabla. Eric schylił się, wsunął ręce pod jego barki. Czuł, jak rana na kolanie napina się, rozdziera, znowu zaczyna krwawić. Pablo jęknął i Amy zaczęła ciągnąć, ale Eric pokręcił głową.

— Szybko — rozkazał. — Na trzy.

Odliczali razem:

— Raz... dwa... trzy.

A potem dźwignęli.

To była katastrofa — znacznie gorsza, niż Eric sobie wyobrażał. Trwała chyba przez wieczność, a jednak rozegrała się tak szybko. Zaledwie unieśli go z ziemi, zaczął wrzeszczeć — jeszcze głośniejsze niż przedtem, o ile to możliwe, czysty wrzask bólu. Amy prawie zrezygnowała, prawie położyła go z powrotem, ale Eric krzyknął do niej: „Nie!” i dźwigała dalej. Ciało Pabla zwisło w talii, zaczął młócić ramionami. Wrzeszczał i wrzeszczał. Był za ciężki dla Amy, nie mogła nadążyć za Erikiem. Ramiona Greka znalazły się na poziomie noszy, ale kolana pozostały sporo niżej i wyglądało na to, że Amy nie zdoła ich dalej unieść. Pablo jeszcze bardziej zgiął się w pasie. Wymachujące prawe ramię uderzyło w nosze, które zaczęły się szaleńczo huśtać.

— W górę! — krzyknął Eric do Amy, a ona starała się ze wszystkich sił, ciągnąc i szarpiąc Greka, który wrzeszczał coraz bardziej przenikliwie.

Później Eric nawet nie pamiętał, jak tego dokonali. Zupełnie jakby w ostatnich chwilach doznał zaćmienia. Miał wrażenie że w końcu ich wysiłki zostały zredukowane do gwałtownego pchnięcia w stronę rozkołysanych noszy, na które wrzucili Pabla. Wiedział tylko, że czuł się okropnie, jakby przez

nieuwagę stratował niemowlę. Amy zaczęła płakać, stała ze zrozpaczoną miną.

- W porządku — powiedział Eric. — Nic mu nie będzie.

Wątpił jednak, czy go usłyszała, ponieważ wrzaski Pabla nie ustawały. Zbierało mu się na wymioty, język jakby pogrubiał, żółć podchodziła do gardła. Zmusił się, żeby oddychać. Noga znowu mu krwawiła, sączyła wilgoć do buta, i znowu uświadomił sobie parcie na pęcherz.

- Muszę się wysikać — powiedział.

Amy nawet na niego nie spojrzała. Zakrywając ręką usta, patrzyła na wrzeszczącego Pabla. Dolną połowę ciała miał całkiem nieruchomą, podczas gdy ramiona młóciły dookoła i nosze dalej się kołysały. Eric pokuśtykał do ściany, rozpiął suwak, zaczął oddawać mocz. Zanim skończył, Pablo przycichł. Mocno zaciskał powieki, na czole błyszczały

— Musimy go przywiązać — powiedziała Amy. Przestała płakać i wycierała twarz rękawem.

Na ziemi obok lampy naftowej leżały cztery paski. Eric zdjął swój, dodał do kupki. Amy wybrała dwa i spięła je razem, tworząc jeden długi pas. Przerzuciła go przez pierś Pabla na wysokości mostka, zaciągnęła mocno i zapięła. Grek nadal miał zamknięte oczy. Eric spiął dwa następne paski, podał je Amy, która powtórzyła procedurę na wysokości ud Pabla.

Potrzebujemy jeszcze jednego — powiedział Eric, podnosząc ostatni pasek.

Amy pochyliła się nad Pablem, ostrożnie rozpięła sprzączkę, zaczęła wyciągać pasek ze szlufek. Grek wciąż nie otwierał oczu. Eric podał jej swój pasek i zużyła ostatnie dwa, żeby zabezpieczyć głowę Pabla. Potem odstepili do tyłu, żeby sprawdzić swoje dzieło.

- W porządku — powtórzył Eric. — Nic mu nie będzie.

W głębi duszy czuł się paskudnie. Chciał, żeby Pablo otworzył oczy, żeby znowu zaczął mamrotać, ale on tylko

leżał, kołysząc się lekko na noszach. Krople potu nadal tworzyły mu się na czole, rosły coraz większe i większe a potem nagle odrywały się i staczały po czaszce. Eric czuł, jak krew wypełnia mu but. Łokieć go bolał, dłoń piekła. Miał siniaka na brodzie i plecy go swędziały — pogryzione przez robactwo podczas długiego marszu przez dżunglę. Był głodny, spragniony, chciał do domu — nie po prostu do względnego bezpieczeństwa hotelu, ale do domu. I wiedział, że to niemożliwe. Nic nie było w porządku. Pablo był strasznie okaleczony, a oni stanowili część jego bólu. Ericowi zbierało się na płacz. Amy uniosła głowę ku ciemności nad nimi.

— Gotowe! — wrzasnęła. I dodała: — Powoli!

Ledwie zaczęli go wyciągać, kołowrót zaskrzypiał, nosze przesunęły się obok twarzy Erica, do góry — wysoko, już poza jego zasięgiem — lampa zamigotała i zgasła.

Jeff — odezwała się Stacy cicho, prawie szeptem, ale pełnym napięcia... słyszał naleganie w jej głosie. On i Mathias pracowali przy wrocie, starając się obracać korbę powoli i miarowo. Odpowiedział, nie patrząc na nią:

— Co?

— Lampa zgasła.

Teraz się odwrócił razem z Mathiasem, przerwali pracę, żeby spojrzeć w otwór szybu. Pociemniał jak wszystko dookoła. Niebo było czyste, świeciły gwiazdy, ale księżyc jeszcze nie wzeszedł. Jeff próbował sobie przypomnieć, czy widział go podczas poprzednich nocy — w jakiej był kwadrze, o której godzinie powinien się pojawić — ale przywołał tylko obraz w kształcie plasterka melona, wiszącego tuż nad horyzontem podczas któregoś z ich pierwszych wieczorów na plaży. Wschodził czy zachodził, malał czy rósł — Jeff nie miał pojęcia.

— Zawołaj do nich — rozkazał.

Stacy nachyliła się nad otworem, złożyła dłonie wokół ust. krzyknęła:

- Co się stało?

Głos Erica zbudził echo w szybie:

- Nafta się skończyła.

Jeff próbował ułożyć sobie wszystko w głowie, ale bez powodzenia. Żałował, że nie ma kartki papieru i czasu, żeby wszystko zapisać, sporządzić listę, wprowadzić trochę porządku do otaczającego ich chaosu. Rano zamierzał wykorzystać jeden z notesów archeologów, ale na razie musiał robić przegląd w myślach i cały czas miał wrażenie, że zapomniał o jakimś ważnym szczególe. Woda, żywność i schronienie, o tym należało myśleć. Majowie u stóp wzgórza i trup Henricha naszpikowany strzałami. Pablo ze złamanym kręgosłupem. Pozostali Grecy, którzy mogli przybyć albo nie przybyć na pomoc. A na dodatek lampa — lampa bez nafty.

On i Mathias wrócili do kręcenia korbą.

— Daj nam znać, kiedy go zobaczysz — powiedział Jeff do Stacy.

W tej chwili myślenie nie było ważne, powiedział sobie, myślenie tylko zamąci mu w głowie, wywoła wahanie, spowolni jego reakcje. Myślenie może zaczekać do rana, do świtu. Teraz musiał wyciągnąć wszystkich z szybu, ulokować ich w pomarańczowym namiocie, a potem złapać trochę snu.

Kołowrót skrzypiał i skrzypiał, lina powoli nawijała się na beczkę. Stacy milczała, Pablo wciąż krył się w ciemności. Nagle jednak Jeff poczuł jego zapach, smród jak z wychodka: mocz i fekalia. Przez cały czas, kiedy wykrawali i splatali paski nylonu, kiedy owijali taśmą aluminiowe tyczki, próbował sobie wmawiać, że Eric się pomylił, że Pablo wcale nie złamał kręgosłupa. Później będą się z tego śmiali — jutro rano, kiedy Grek wstanie i zacznie kuśtykać — jak pochopnie postawili złowieszczą diagnozę. Teraz jednak, czując odór dochodzący z szybu, pozbył się złucPrzestań, nakazał sobie. Po prostu wyciągnij stamtąd wszystkich. Do namiotu. A potem spać.

— Widzę go — szepnęła Stacy.

— Kiedy wynurzy się z otworu — powiedział Jeff - musisz złapać nosze i przesunąć je na ziemię.

Dalej obracali korbę.

— Okay — powiedziała Stacy.

Obejrżeli się, przerywając pracę. Nosze wisiały nad szybem, tuż pod ramieniem kozła, Pablo spoczywał na nich, ciemna sylwetka, nieruchoma jak mumia. Stacy trzymała śpiwór i jeden z aluminiowych masztów.

— Opuśćcie trochę — poleciła.

Zakręcili w drugą stronę i kiedy nosze zaczęły się opuszczać, Stacy pociągnęła je i nakierowała na krawędź otworu.

— Ostrożnie — rzuciła. — Powoli.

Opuścili go na ziemię, potem Mathias i Jeff podeszli i wszyscy ukucnęli przy noszach. Czy z powodu ciemności, czy też zmęczenia Pablo wyglądał jeszcze gorzej, niż Jeff się spodziewał. Policzki miał zapadnięte, twarz wymizerowaną i przeraźliwie bladą, niemal świecącą w mroku. I wydawał się mniejszy, jakby skurczył się na skutek kalectwa, jakby już zaczął ulegać atrofii. Oczy miał zamknięte.

— Pablo? — zapytał Jeff, dotykając jego ramienia.

Powieki Greka zatrzepotały, spojrzał na Jeffa, potem na Stacy i Mathiasa. Nic nie powiedział. Po chwili znowu zamknął oczy.

— Źle z nim, prawda? — zapytała Stacy.

— Nie wiem — odparł Jeff. — Trudno ocenić. — A potem dodał, ponieważ to zabrzmiało jak kłamstwo: — Chyba tak.

Mathias milczał, spoglądając na Pabla z poważną twarzą. Zerwał się wiatr, a ponieważ słońce zaszło, robiło się coraz zimniej. Pot Jeffa wysychał, na ramionach wystąpiła gęsia skórka.

— I co teraz? — spytała Stacy.

— Położymy go w namiocie. Możesz przy nim posiedzieć, kiedy będziemy wyciągać tamtych.

Jeff spojrzał na nią, oczekując, że zacznie protestować, ale

ona wciąż patrzyła na Pabla. Przechylił się nad otworem i krzyknął:

— Zanieśmy go do namiotu. Potem wrócimy. Okay?

- Pospieszcie się — wrzasnęła Amy.

Nie mogli odwiązać noszy od nylonowych warkoczy, więc w końcu Mathias wyjął nóż i przeciął węzły. Potem razem z Jeffem zanieśli Pabla przez polanę do pomarańczowego namiotu, powoli, żeby uniknąć wstrząsów, a Stacy szła za nimi, szepcząc:

— Ostrożnie... ostrożnie... ostrożnie...

Złożyli go na ziemi przed namiotem i Jeff odpiął klapę. Wcisnął się do środka, żeby zrobić miejsce na nosze, ale natychmiast — jak tylko wciągnął stęchłe powietrze — zrozumiał, że to zły pomysł. Odwrócił się i wyszedł na zewnątrz.

— Nie możemy go tam wnieść — oświadczył. — Jego pęcherz... on ciągle popuszcza.

Mathias i Stacy popatrzyli na Pabla.

— Ale nie możemy go po prostu zostawić na dworze — zaprotestowała Stacy.

— Musimy sklecić jakąś osłonę. — Jeff wskazał ręką na drugą stronę polany. — Wykorzystamy to, co zostało z niebieskiego namiotu.

Pozostała dwójka rozważała to w milczeniu. Pablo leżał z znikniętymi oczami, jego oddech zrobił się chrapliwy, zaflegmiony.

— Wyciągniemy Amy i Erica, a potem się zastanowimy. Okay?

Macy kiwnęła głową. Jeff i Mathias pobiegli w stronę szybu.

Pablo zaczął dygotać. Jeszcze przed chwilą leżał spokojnie, z zamkniętymi oczami — chociaż Stacy widziała, że nie spał - a teraz tak gwałtownie, że przestraszyła się, czy nie dostał jakiegoś ataku. Nie wiedziała, co robić. Chciała

zawołać Jeffa, ale słyszała skrzypienie kołowrotu. Wyciągali z szybu Amy lub Erica i wiedziała, że nie powinna im przeszkadzać. Pasy wciąż ciasno opinały ciało Pabla - na udach, na piersiach, na czole — i chciała je rozluźnić, ale nie wiedziała, czy wolno. Dotknęła ręki Pabla, a on otworzył oczy i spojrzał na nią. Powiedział coś po grecku, słabym zachrypłym głosem. Ciągle drżał, wiedziała, że usiłował się opanować, ale — Zimno ci? — spytała. Objęła się, wciągnęła głowę w ramiona, udała dreszcz.

Pablo zamknął oczy.

Stacy zerwała się. Wpadła do namiotu. W środku było jeszcze ciemniej, ale — macając na czworakach — odnalazła jeden ze śpiworów. Podniosła go i chciała czym prędzej wracać na dwór, żeby okryć Pabla, ale się zawahała. Nagle ogarnęła ją pokusa, żeby się położyć, zwinąć w kłębek w tej stęchłej ciszy, schować przed światem. Pokusa trwała tylko przez ułamek chwili. Stacy wiedziała, że to bez sensu — tutaj się nie schowa — więc ją odepchnęła. Kiedy wyszła z namiotu, Grek ciągle dygotał. Okryła go śpiworem, potem usiadła obok i wzięła go za rękę. Wiedziała, że powinna coś mówić, znaleźć jakieś słowa pociechy, ale w głowie miała kompletną pustkę. Pablo leżał ze złamanym kręgosłupem we własnym gównie i szczynach, otoczony przez obcych, którzy nie znali jego języka. Jakim cudem mogła mu pomóc?

Zerwał się lekki wiatr i wydymał płachtę namiotu. Winorośle też jakby się poruszały, przesuwały, szeptały. W ciemnościach Stacy nic nie widziała, była tylko ona, Pablo i namiot i gdzieś po drugiej stronie polany skrzyp, skrzyp, skrzyp kołowrotu. Wkrótce Amy lub Eric wyłonią się z mroku, podejda, żeby usiąść obok niej i Pabla, i wtedy zrobi się łatwiej. Tak sobie powtarzała Stacy: To jest najgorsza chwila właśnie teraz, sam na sam z nim.

Nie podobały jej się te szeleszczące odgłosy. Wywoływały wrażenie, że wokół dzieje się więcej, niż można przypisać

wiatrowi. Coś się tam poruszało, podkładało się bliżej. Stacy pomyślała o Majach z łukami i strzałami i musiała opanować chęć ucieczki. Chciała puścić rękę Pabla i pobiec przez polankę do Jeffa i innych, ale oczywiście to był głupi pomysł, równie niedorzeczny jak fantazje o skryciu się w namiocie. Nie miała dokąd uciekać. Jeśli dźwięki oznaczały to, czego się bała, wszelkie próby ucieczki tylko przedłużą jej cierpienia, spotęgują strach. Lepiej to zakończyć teraz, szybko, strzałą z ciemności. Siedziała z zaciśniętymi zębami, czekając, nasłuchując miękkiego brzęknięcia cięciwy wśród podejrzanych szelestów, ale strzała nie nadleciała. W końcu Stacy nie mogła już wytrzymać napięcia i tego wyczekiwania.

— Halo? — zawołała.

Głos Jeffa dobiegł do niej ponad wierzchołkiem wzgórza.

— Co?

Kołowrót przestał skrzypieć.

— Nic — odrzyknęła. A kiedy kołowrót znowu zaczął się obracać, powtórzyła szeptem: — Nic, nic, nic.

Pablo poruszył się, spojrział na nią. Dłoń miał zimną, dziwnie wilgotną, jak coś gnijącego w piwnicy. Obliznął wargi.

— Nidz? — zapytał ochryple.

Stacy kiwnęła głową z uśmiechem.

— Właśnie — powiedziała. — To nic.

A potem siedziała i czekała na tamtych, próbując uwierzyć, że to naprawdę nic — wiatr, wyobraźnia — że w ciemności nie ma żadnych potworów.

To nic — szeptała. — To nic. To nic. To nic.

Amy spytała Erica, czy może go wziąć za rękę. Wyjaśniła, że się nie boi, po prostu tutaj na dole było tak ciemno, a ona potrzebowała jakiegoś kontaktu, czegoś więcej niż dźwięk głosu na potwierdzenie jego obecności. Zgodził się oczywiście i chociaż początkowo czuła się trochę niezręcznie,

siedząc na kamiennej podłodze szybu i trzymając za rękę chłopaka najlepszej przyjaciółki, wkrótce się przyzwyczaiła,

W ten sposób czekali, aż Jeff i Mathias wrócą z pomarańczowego namiotu i znowu opuszczą linę. Przez cały czas rozmawiali — wytrwale — jakby nawet najkrótsze milczenie niesło ze sobą groźbę. Groźbę myślenia, zakładała Amy. gruntownego zastanowienia, oceny sytuacji. Zupełnie jakby siedzieli z Erikiem na samej krawędzi wysokiego urwiska, wyczuwali ziemię daleko w dole, ale woleli na nią nie patrzeć. Rozmowa wydawała się bezpieczniejsza od myślenia, nawet jeśli w końcu rozmawiali dokładnie o tym, co zaprzętało ich myśli, ponieważ w rozmowie mogli przynajmniej pocieszać się nawzajem, dodawać sobie odwagi. I mogli też skłamać w razie potrzeby. Rozmawiali o kolanie Erica (bolało przy obciążeniu, ale znowu przestało krwawić i Amy zapewniła, że nic mu nie będzie). Rozmawiali, jacy są spragnieni i na ile wystarczy wody (bardzo spragnieni i tylko na jeden dzień, chociaż oboje wyrazili przekonanie, że nałapią dosyć deszczówki, żeby przetrwać). Rozmawiali o pozostałych Grekach, czy przyjadą rano (Eric twierdził, że pewnie tak, a Amy się z nim zgodziła, chociaż wiedziała, że to tylko pobożne życzenie). Rozmawiali o możliwościach dawania sygnałów przelatującym samolotom, o tym, że jedno z nich może przekraść się obok Majów w środku nocy, albo że Majowie w końcu po prostu stracą zainteresowanie, odejdą z powrotem do dżungli, zostawią dla nich otwartą ścieżkę.

Nie rozmawiali tylko o Pablu. O Pablu i jego złamanym kręgosłupie.

Mówili, co zrobią, kiedy wreszcie wrócą do hotelu, co zrobią najpierw, dyskutowali o zaletach różnych propozycji, aż ten temat stał się zbyt bolesny — posiłki, o których oboje marzyli, zaostrzyły ich głód, lodowate piwo podsycało pragnienie, prysznic uświadomił, jacy są brudni.

Zimny przeciąg budził się i zamierał, wcale jednak nie rozwiął smrodu fekaliiów Pabla. Amy musiała oddychać przez

usta, lecz mimo to smród jakoś docierał do niej, zaczęła go postrzegać jako rodzaj farby, w której ją zanurzono i już nigdy się od niego nie uwolni. Eric spytał, czy ona widzi te rzeczy w ciemności, unoszące się światła, które powoli do nich podpływają.

- Tam — powiedział i dotknąwszy po omacku podbródka Amy, obrócił jej głowę w lewo, przytrzymał. — Niebieskawa kula, jak balon. Widzisz ją?

Ale ona nic nie widziała.

Jeff wrzasnął, że wrócili. Muszą tylko zrobić węzeł, a potem ich wyciągną.

Amy i Eric dyskutowali, kto pojedzie pierwszy, każde oferowało drugiemu tę możliwość. Amy nalegała, żeby Eric miał pierwszeństwo. Ostatecznie był ranny i spędził już tyle godzin samotnie w szybie. Przysięgała, że się nie boi, że to potrwa tylko minutę czy dwie, że to jej nie robi różnicy. Ale Eric nie chciał o tym słyszeć, odmówił kategorycznie i w końcu, ze skrywaną ulgą — ponieważ jednak się bała, ponieważ to jej robiło różnicę — Amy zaakceptowała jego decyzję.

Kołowrót zaczął skrzypieć. Jeff i Mathias opuszczali linę.

Było za ciemno, żeby widzieć pętlę. Siedzieli i patrzyli w górę, i nic nie widzieli, a potem skrzypienie ucichło.

- Macie ją? — wrzasnął Jeff.

Eric i Amy wstali, wciąż ze splecionymi dłońmi, drugą rękę wyciągając w górę, żeby namacać linę, aż Amy poczuła zimny nylon pętli, która jakby zmaterializowała się z mroku pod jej dotykiem.

- Jest — powiedziała i naprowadziła dłoń Erica na pętlę.

Stali przez chwilę i oboje ściskali sznur. Amy krzyknęła w górę,

- Mamy ją!

- Daj znać, kiedy — odkrzyknął Jeff

Amy słyszała obok oddech Erica.

- Na pewno? — zapytała go.

— Koniecznie — oświadczył. A potem zaśmiał się, czy udał, że się śmieje. — Tylko nie zapomnij odesłać jej z powrotem na dół.

— A teraz co mam zrobić?

— Przełóż linę przez głowę. Wsuń pod pachy.

Puściła jego dłoń, przełożyła ramiona przez pętlę, potem głowę. Eric pomógł jej, poprawił linę pod pachami.

— Na pewno się zgadzasz? — powtórzyła.

Jakoś wyczuła, że kiwnął głową w ciemności, ucinając dalszą dyskusję.

— Mam zawołać?

— Sama potrafię — odparła.

Eric nie odpowiedział. Stał obok niej, z jedną ręką lekko opartą na jej ramieniu, i czekał, żeby zawołała. Odchyliła głowę do tyłu i wrzasnęła:

— Gotowe!

A potem kołowrót zaczął skrzypieć i nagle uniosła się coraz wyżej, stopy jej dyndały w powietrzu, dłoń Erica zsunęła się z jej ramienia i znikła w ciemnościach.

Znowu rozległo się świergotanie. Początkowo rozbrzmiewało jakby nad głową Erica, potem tuż obok, pod jego stopami. Sięgnął w stronę ku, poklepując ziemię dookoła, ale znalazł tylko winorośle o liściach śliskich w dotyku, wręcz śluzowatych, niczym skóra jakiegoś płaza żyjącego w ciemnościach.

Kołowrót przestał skrzypieć i Amy zawisła gdzieś nad nim.

— Widzisz to? — wrzasnął Jeff.

Eric nie odpowiedział. Popiskiwanie przesunęło się w stronę bocznego odgałęzienia szybu, potem zanurzyło się w nim, oddaliło, przycichło.

— Eric? — zawołała Amy.

Z lewej strony podskakiwał bladożółty balon. Oczywiście był nieprawdziwy, tylko złudzenie wzrokowe, i Eric o tym

wiedział. Więc dlaczego świergotanie miało być prawdziwe? Nie zamierzał iść za dźwiękiem w głąb szybu, nie zamierzał się ruszać, postanowił zostać tutaj, przykucnięty z jedną ręką na lampie bez oliwy, z drugą na pudełku zapalek, czekając na powrót pętli. - Nie widzę — odkrzyknął.

Kołowrót znowu zaczął skrzypieć.

Rana na kolanie pulsowała uporczywie. Głowa go bolała — był głodny, spragniony. I zmęczony. Próbował nie myśleć o tym, o czym rozmawiał z Amy, próbował wypełnić umysł białym szumem, bo teraz, w samotności, znacznie trudniej przychodziło mu uwierzyć w optymistyczne scenariusze, które razem stworzyli. Majowie nie odejdą — które z nich podsunęło taki głupi pomysł? I jak sobie wyobrażali sygnał wzywający na pomoc samolot, taki szybki, taki maleńki wysoko na niebie? Centryfuga, pomyślał, żeby zdusić te wątpliwości. Cembrowina. Ceremonia. Ceregiele. Centrala. Cesarstwo. Certyfikat. Centymetr. Cenzurowane.

Świergotanie ucichło. Po chwili ucichło także skrzypienie kołowrotu. Eric słyszał, jak tamci pomagają Amy uwolnić się z pętli.

A jeśli Grecy nie przyjadą? Albo przyjadą i po prostu wpadną w tę samą pułapkę na wzgórzu? Dekoracja, pomyślał. Deklaracja. Degradacja. A jeśli nie spadnie deszcz? Co wtedy zrobią bez wody? Dekadencja, myślał. Deklinacja. Deklamacja. Jeff kazał mu przemyć zadrapanie na łokciu, ostrzegął, że nawet taka mała ranka bardzo szybko może się zainfekować w tym klimacie, a teraz Eric miał znacznie głębszą ranę na kolanie i nie mógł jej oczyścić. Dostanie gangreny. Straci nogę_. Demonstracja, myślał. Desperacja. Destrukcja.

A Pablo... co z Pablo i jego złamanym kręgosłupem?

Skrzypienie powróciło i Eric wstał. Ekstremizm, myślał. Eunuch.

Trzymał zapalki w jednej ręce, lampę w drugiej i wyciągał na ślepo ramiona w górę, czekając na dotyk pętli.

Stacy i Amy siedziały obok siebie na ziemi, kilka stóp od noszy Pabla. Trzymały się za ręce i patrzyły, jak Jeff ogląda kolano Erica. Eric ostrożnie opuścił spodnie, krzywiąc się, kiedy odrywał od rany materiał razem z zaschniętą krwią. Jeff kucnął nad nim, daremnie usiłując po ciemku ocenić, jak poważne jest rozcięcie. W końcu zrezygnował, musieli poczekać do świtu. Teraz liczyło się tylko, że rana przestała krwawić.

Mathias budował osłonę dla Pabla, za pomocą taśmy klejącej tworząc chwiejną konstrukcję z resztek nylonu z niebieskiego namiotu i aluminiowych masztów.

— Jedno z nas powinno chyba pełnić wartę, kiedy reszta pójdzie spać — oznajmił Jeff.

— Dlaczego ktoś musi pełnić wartę? — zapytała Amy.

Jeff kiwnął głową w stronę Pabla. Zdjęli pasy i Grek leżał na noszach z zamkniętymi oczami.

— Na wypadek gdyby on czegoś chciał - wyjaśnił Jeff. — Albo... — wzruszył ramionami i zerknął na drugi koniec polany, gdzie szlak schodził ze wzgórza. Majowie, myślał, ale nie chciał tego powiedzieć. — Nie wiem. Po prostu chyba to rozsądne.

Wszyscy milczeli. Mathias oddał kawałek taśmy, pomagając sobie zębami.

— Dwugodzinne zmiany — podjął Jeff. — Eric może opuścić kolejkę. — Eric siedział z nieprzytomną miną i spodniami sfałdowanymi w harmonijkę wokół kostek. Jeff nie potrafił poznać, czy tamten go słucha. — Myślę, że powinniśmy też zacząć zbierać swój mocz. Tak na wszelki wypadek.

— Mocz? — powtórzyła Amy.

Jeff przytaknął.

— Na wypadek gdyby woda nam się skończyła, zanim spadnie deszcz. Możemy przetrwać trochę dłużej na...

— Nie będę piła swojego moczu, Jeff.

Stacy poparła ją kiwnięciem głowy.

— Wykluczone — oświadczyła.

_ Jeśli trzeba będzie wybierać pomiędzy piciem moczu, a śmiercią z...

_ Mówiłeś, że jutro przyjadą Grecy — zaprotestowała Amy. —

Mówiłeś...

— Ja tylko wolę się zabezpieczyć, Amy. Przez rozsądek. A rozsądek wymaga też uwzględnienia najgorszego scenariusza. Ponieważ jeśli dojdzie do najgorszego, pożałujemy, że tego nie przewidzieliśmy. Racja?

Nie odpowiedziała.

— Nasz mocz będzie tylko coraz bardziej skoncentrowany, w miarę jak zacznemy się odwadniać — ciągnął Jeff. — Więc teraz jest pora, żeby go zbierać.

Eric pokręcił głową, ze znużeniem przetarł twarz.

— O Jezu — powiedział. — O kurwa.

Jeff go zignorował.

— Jutro, jak tylko się rozjaśni, obliczymy, ile mamy wody i jak ją racjonować. Jedzenie też. Na razie każdy chyba może wziąć po jednym łyku, a potem spróbujemy zasnąć. — Odwrócił się do Mathiasa, który wciąż pracował nad wiatą. — Masz tę pustą butelkę'?

Mathias podszedł do pomarańczowego namiotu. Obok na ziemi leżał jego plecak. Niemiec rozsunął zamek błyskawiczny pogrzebał w środku i wyciągnął pustą butelkę po wodzie. Podał ją Jeffowi.

Jeff pokazał ją pozostałym, miała dwa litry pojemności.

— Jeśli musicie się wysuszyć, skorzystajcie z tego. Okay?

Nikt nie odpowiedział.

Jeff postawił butelkę obok wejścia do namiotu. — Mathias i ja skończymy wiatę dla Pabla. Potem obejmę Pierwszą wartę. Reszta niech się trochę prześpi.

Rozmawiali jedynie tak długo, żeby ustalić, że nie powinni rozmawiać, bo tylko się denerwują, leżąc w zaciemnionym namiocie i szepcząc do siebie. Stacy leżała pośrodku,

po między Erikiem a Amy, na plecach, trzymając oboje za ręce. Zostawili miejsce dla Mathiasa po drugiej stronie Amy. W namiocie zostały dwa śpiwory, ale było za gorąco, żeby z nich korzystać. Zepchnęli je i wszystko inne — plecaki, plastikową skrzynkę z narzędziami, buty trekkingowe, kanister z wodą — na stos pod tylną ścianą namiotu. Przez chwilę dyskutowali konspiracyjnym szeptem, czy nie wypić trochę wody, skuleni nad plastikowym kanistrem. Amy to zaproponowała, na wpół żartobliwym tonem, z ręką wyciągniętą do zakrętki. Nie wiadomo, czy mówiła poważnie — czy pociągnęłaby długi łyk, gdyby się zgodzili — ale kiedy się sprzeciwili, bo to nie w porządku wobec tamtych, szybko odstawiła kanister ze śmiechem. Stacy i Eric też się roześmiali, ale ten śmiech dziwnie zabrzmiał w ciemności, w zatęchłej ciasnocie namiotu, i szybko umilkli.

Eric zdjął buty, a potem Stacy pomogła mu ściągnąć spodnie do końca. Ona i Amy zostały w ubraniach. Stacy nie czuła się na tyle bezpiecznie, żeby się rozebrać, wołała być gotowa do ucieczki. Zakładała, że Amy czuła to samo, chociaż żadna z nich tego nie przyznała.

Tylko że oczywiście nie miały dokąd uciec.

Stacy leżała bardzo spokojnie, słuchała oddechów tamtych dwojga i próbowała odgadnąć, czy już zasnęli. Ona nie mogła: niemal płakała ze zmęczenia, ale nie wierzyła, że kiedykolwiek zasnę tutaj odpoczynku. Słyszała, jak Jeff i Mathias rozmawiają cicho za ścianą namiotu, chociaż nie rozróżniała słów. Po chwili Amy puściła jej dłoń i przekręciła się na bok, plecami do niej. Stacy o mało nie krzyknęła, żeby ją przywołać z powrotem. Zamiast tego przysunęła się bliżej do Erica, przywarła do niego. Odwrócił do niej głowę i zaczął coś mówić, ale przyłożyła mu palec do ust, żeby go uciszyć. Umościła się wygodnie, z głową na jego ramieniu. Czuła zapach jego potu. Wysunęła język, polizała jego skórę, po-smakowała sól. Jej ręka spoczywała na jego brzuchu. Bezmyślnie przesunęła dłoń niżej, wsunęła pod gumkę jego

bokserek. Ostrożnie dotknęła penisa, jego sennej miękkości, trzymała na nim palce. Nie myślała o seksie — była zbyt zmęczona, zbyt przestraszona. Szukała tylko bezpieczeństwa. Szukała niezręcznie, po omacku, próbując tego konkretnego sposobu tylko dlatego, że nic innego jej nie przychodziło do głowy. Chciała, żeby mu stanął, chciała, żeby wytrysnął, chciała czuć, jak jego ciało wygina się w łuk i wyrzuca strumień spermy. Wierzyła, że odnajdzie w tym jakąś pociechę, jakieś złudne poczucie bezpieczeństwa.

Więc tak zrobiła. To nie trwało długo. Jego penis powoli stwardniał pod jej dotykiem, a wtedy zaczęła go pieścić, szybko, krzywiąc się z wysiłku. Zaczął oddychać głębiej, bardziej chrapliwie, a potem — akurat kiedy ramię ją rozboleło ze zmęczenia — jęknął i doszedł. Usłyszała, jak pierwszy gęsty strumyk nasienia chlapnął mokro na podłogę namiotu. Czowała, jak jego ciało się odpręży, wyczuła nawet moment, kiedy zasnął i napięcie odpłynęło z jego mięśni. Udzieliło jej się to nagłe poczucie ulgi, to szybkie wyciszenie, jakby wypełniła ją pustka, w której obliczu jej strach, chociaż tylko chwilowo, cofnął się o krok. Ale to wystarczyło, więcej nie potrzebowała. Ponieważ w tej krótkiej chwili — jakimś cudem — z dłonią wciąż zaciśniętą na lepkim, wiotczącym penisie Erica — Stacy również zasnęła.

Amy słyszała wszystko. Leżała i nasłuchiwała ukradkowych poruszeń Stacy, rytmicznego pompowania, coraz szybszego i razem z którym przyspieszał oddech Erica, coraz głośniejszy, potem zdławiony jęk, a potem cisza. W innej sytuacji uznałaby cały incydent za zabawny, dokuczałaby rano przyjaciółce, może nawet powiedziała by coś w chwili orgazmu, zaklaskała, zawołała: „Brawo! Brawo!”. Tutaj jednak, w dusznej ciemności namiotu, tylko leżała na boku z zamkniętymi oczami i czekała, aż to się skończy. Wiedziała, kiedy zasnęli, przez chwilę im zazdrościła. Zateę-

kniała za Jeffem, chciała, żeby ją objął i ukołysał do snu. Potem zgrzytnął otwierany zamek błyskawiczny i do namiotu wszedł Mathias w skarpetkach. Przesząpił nad nią i położył się na wolnym miejscu obok. Zadziwiająco, jak szybko dołączył do tamtych dwojga, jakby naciągnął sen przez głowę niczym koszulę, poprawił, wsadził w spodnie, wygładził zmarszczki, zanim zamknął oczy i zaczął chrapać. Amy liczyła jego chrapnięcia. Niektóre były tak głębokie, że budziły echo w namiocie, podczas gdy inne brzmiały cichutko jak szept. Kiedy doliczyła do setki, usiadła, podczołgała się do klapy namiotu, rozsunęła zamek błyskawiczny i wysliznęła się w noc.

Na zewnątrz, nie było tak ciemno jak w środku, Amy rozróżniała sylwetkę Jeffa obok dłuższego cienia szałas, wyczuwała, że podniósł głowę i spojrzał na nią. Nie odezwał się, zakładała, że nie chciał obudzić Pabla. Podniosła plastikową butelkę, rozpięła spodnie i — przykucnąwszy tutaj, przed namiotem, na oczach Jeffa — zaczęła sikać. Nie od razu wycelowała strumieniem w otwór butelki, przy okazji obsikała sobie rękę. Butelka była już cięższa o czyjeś siki — pewnie Mathiasa, domyśliła się — i czuła się trochę nieswojo, kiedy jej mocz spadał z chlupotem na jego mocz, mieszał się z nim i zlewał. Nie zamierzała tego pić, zapewniała samą siebie, nigdy do tego nie dojdzie. Po prostu ustąpiła Jeffowi, pokazała mu, jaka z niej dobra kumpela. Skoro chciał, żeby sikała do butelki, to nasikała, ale rano przyjadą Grecy i to już nie będzie miało znaczenia. Wyślą ich po pomoc i do wieczora wszystko się naprawi. Zakręciła butelkę, odstawiła na miejsce obok wejścia do namiotu, podciągnęła spodnie i zapinając je

Księżyc wreszcie wzeszedł, ale był maleńki, blady skrawek srebra wiszący tuż nad horyzontem. Dawał niewiele światła: Amy rozróżniała zarysy otoczenia, ale żadnych szczegółów. Jeff siedział ze skrzyżowanymi nogami i wydawał się dziwnie spokojny — wręcz zadowolony. Amy opadła na ziemię obok

niego i wzięła go za rękę, jakby miała nadzieję, że poprzez ten dotyk zaczerpnie od niego trochę spokoju. Świadomie powstrzymywała się, żeby nie zaglądać pod wiatę. On śpi, powiedziała sobie. Nic mu nie jest.

— Co robisz? — szepnęła.

— Myślę — odpowiedział Jeff.

— O czym'?

— Próbuję sobie przypomnieć różne rzeczy.

Te słowa nią wstrząsnęły, serce podjechało jej do gardła, jakby w ciemnym pokoju sięgnęła do wyłącznika światła i zamiast tego natrafiła na czyjaś twarz. Przypomniła sobie wizytę u ojca matki, staruszka z okropnym kaszlem palacza, kiedy leżał na łożu śmierci, podłączony do monitorów i rurek, przez które ściekały w niego czyste płyny, a wyciekały ciemne. Amy miała sześć lat, może siedem, nie puściła matczynej ręki ani na chwilę, nawet kiedy wypchnięto ją do przodu, żeby pocałowała dziadka na pożegnanie w szczeciniasty policzek.

— Co robisz, tato? — zapytała jej matka, kiedy przyszły. A on odpowiedział:

— Próbuję sobie przypomnieć różne rzeczy.

Właśnie to ludzie robili, wywnioskowała Amy, kiedy czekali na śmierć, leżeli i usiłovali przypomnieć sobie szczegóły swojego życia, wszystkie wydarzenia, które wydawały się takie niezapomniane, kiedy je przeżywali, rzeczy, które słyszeli, wączali i smakowali, myśli, które wydawały się objawieniem, a teraz Jeff też to robił. Poddał się. Nie przeżyją w tym miejscu, skończą jak Henrich, podziurawieni strzałami, a kwitnąca winorośl oplecie ich kości.

Ale nie: Jeff nie był taki. Powinna wiedzieć lepiej.

— Jest sposób na destylację moczu — powiedział. — Wykopujesz dół. Wstawiasz do niego mocz w otwartym pojemniku. Nakrywasz dół nieprzemakalnym brezentem, obciążasz, żeby się nie przesunął. Pośrodku kładziesz kamień, tak, że brezent opada. A pod tym miejscem, w dziurze, stawiasz

pusty kubek. Słońce nagrzewa dziurę. Mocz paruje, potem skrapla się na brezencie. Kropelki wody ześlizgują się do środka i skapują do kubka. Według ciebie to ma sens?

Amy tylko na niego spojrzała. Przestała słuchać prawie od razu, gdy tylko zaczął mówić.

Zresztą nieważne, wiedziała, że Jeff właściwie nie mówił do niej. Myślał na głos i pewnie nawet nie usłyszałby odpowiedzi, mogła się nie fatygować.

— Po mojemu to się zgadza — ciągnął. — Ale mam wrażenie, że o czymś zapomniałem.

Znowu zamilkł i dalej się zastanawiał. W nikłym świetle nie widziała jego twarzy, ale łatwo mogła sobie wyobrazić. Brwi ściągnięte, lekka zmarszczka na czole. Zmrużone oczy wpatrują się w nią intensywnie, ale to złudzenie. Patrzą przez nią na wylot.

— To nie musi być mocz — powiedział wreszcie. — Możemy też naciąć winorośli. Włożyć do dziury. Słońce wysuszy z niej wilgoć.

Amy nie wiedziała, co na to powiedzieć. Odkąd tu przyjechali, Jeff wydawał się jakby pobudzony, szybciej mówił, szybciej gestykulował. Zakładała, że to objaw niepokoju, tego samego strachu, tego samego zdenerwowania co u pozostałych. Ale może się myliła, może chodziło o coś bardziej nieoczekiwanego. Może to było podniecenie. Amy nagle doznała wrażenia, że Jeff przez całe życie przygotowywał się na coś takiego — jakiś kryzys, jakąś katastrofę — uczył się, trenował, czytał książki, zapamiętywał fakty. W ślad za tą myślą napłynęło zrozumienie, że jeśli ktoś ich stąd wyciągnie, to tylko Jeff. Wiedziała, że dzięki temu powinna się czuć bezpieczniej, ale jakoś tego nie czuła. Czuła się nieswojo: chciała odsunąć się od niego, ukryć się w namiocie. Wydawał się szczęśliwy, wydawał się zadowolony z tej sytuacji. Płakać jej się chciało na tę myśl.

Nie będąc piłą moczu, powtarzała w duchu. Nawet destylowanego, nie będąc tego piłą.

Potem uniosła głowę, wciągnęła powietrze przez nos. Wyczuła słaby, nieco piżmowy zapach płonącego drewna, zapach obozowego ogniska, i jej żołądek zareagował burczeniami. Była głodna, nie jedli nic od rana.

- Czy to dym? — szepnęła.

- Rozpalili ogniska — odpowiedział Jeff. Podniósł ramię, wykonał kolisty ruch, obejmujący również ich dwoje. — Wszędzie wokół podstawy wzgórza.

- Do gotowania? — zapytała. Pokręcił głową.

— Żeby nas widzieć. Pilnują, żebyśmy się nie wymknęli po ciemku.

Amy przyjęła to do wiadomości, razem ze wszystkimi konsekwencjami, oznaczającymi stan obłączenia. Wiedziała, że powinna mu zadawać pytania, otwierać drzwi prowadzące z tego konkretnego miejsca do pokoiów, które należało zwiedzić, ale brakowało jej odwagi, żeby wysłuchać jego odpowiedzi. Więc milczała i strach zagłuszał w niej głód, wywoływał ściskanie i trzepotanie w żołądku.

— Rano spadnie rosa — oświadczył Jeff. — Możemy przywiązać szmaty do kostek u nóg i przejść przez winorośle, a szmaty nasiąkną wilgocią. Możemy je wyżąć. Niewiele, ale...

— Przestań — przerwała mu. Nie mogła się opanować. — Proszę, Jeff.

Umilkł i patrzył na nią w ciemności.

— Mówiłeś nam, że Grecy przyjadą — przypomniała.

Zawahał się, jakby wybierał spomiędzy kilku odpowiedzi. Potem bardzo cicho powiedział: - Zgadza się.

- Więc to nie ma znaczenia.

- Chyba nie.

- I spadnie deszcz. Zawsze pada.

Jeff przytaknął bez słowa. I bez przekonania. Amy wiedziała, że tylko jej ustąpił. W porządku, chciała, żeby jej

ustępował, żeby ją pocieszał, że wszystko się dobrze skończy. Jutro zostaną uratowani i nigdy nie będą musieli kopać dziury żeby destylować własny mocz, ani przywiązywać szmat do kostek i zbierać rosy z winorośli. Łyk rosy wyciśniętej z brudnej szmaty —jak rozmowa mogła zejść na taki temat?

Siedzieli w milczeniu, trzymając się za ręce, jej prawa dłoń zaciśnięta w jego lewej. Przypomniało jej się, jak kiedyś wyszli z kina, na swojej drugiej randce, jak Jeff wziął ją pod rękę. Padało, mieli jeden parasol i szli przytuleni do siebie. Jeff okazał się bardziej nieśmiały, niż przypuszczała, nawet tamtego wieczoru, kiedy stali tak blisko, a deszcz bębnił w napiętą tkaninę zaledwie kilka centymetrów nad ich głowami, nie ośmielił się jej pocałować na dobranoc. To miało dopiero nadejść, za tydzień lub dwa, przyjemna perspektywa, która nadawała wagę innym rzeczom, drobniejszym gestom, jak jego ramię wsunięte pod jej łokieć, kiedy wyszli spod jaskrawo oświetlonej markizy na ulicę śliską od deszczu. Prawie zaczęła teraz o tym mówić, ale się powstrzymała z obawy, że on nie zapamiętał tamtej chwili, że przeżycie dla niej tak radosne, tak wzruszające, z jego strony było pustym gestem, raczej reakcją na niepogodę niż skromną próbą zalotów.

Zerwał się przelotny wiatr i przez chwilę Amy niemal marzła. Potem jednak wiatr ucichł i powróciło gorąco. Pociła się, pociła się bez przerwy, odkąd wyszła z autobusu, tyle godzin temu, w całkiem innej epoce. Pablo przekręcił głowę, wymamrotał coś i zamilkł. Niepatrzenie na niego wymagało wysiłku, musiała zamknąć oczy.

— Powinnaś spać — powiedział Jeff.

— Nie mogę.

— Potrzebujesz snu.

— Mówiłam, że nie mogę.

Wiedziała, że w jej głosie słychać złość i irytację — znowu narzekała, znowu wszystko psuła, niszczyła tę chwilę spokoju wypracowaną wspólnym wysiłkiem, to fałszywe poczucie

bezpieczeństwa — i pożałowała, że nie może cofnąć tych słów, jakoś ich zlagodzić, a potem położyć się z głową na kolanach Jeffa, żeby ukołysał ją do snu. Lewą rękę miała lepką od moczu. Podniosła ją do nosa, powąchała. Potem otworzyła oczy i niechęć spojrzała na Pabla. Zdjęła z niego śpiwór. Leżał na plecach pod małą wiatą, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Oczy miał zamknięte. Śpi, uspokajała samą siebie. Odpoczywa. Nie widziała żadnych obrażeń — kryły się w jego wnętrzu, roztrzaskane kręgi, zmiażdżony rdzeń kręgowy — ale łatwo mogła sobie wyobrazić. Wydawał się skurczony, postarzały. Zaszuszone i zwiędły. Amy nie rozumiała, jakim cudem tak szybko nastąpiła ta przemiana. Pamiętała, jak stał obok szybu, trzymając wymaginowany telefon przy uchu, machając na nich, żeby podeszli, ledwie mogła uwierzyć, że to zmaltretowane ciało należy do tej samej osoby. Nie miał spodni, był nagi od pasa w dół i jego nogi wyglądały jakoś nie tak, przekrzywione, jakby rzucono go niedbale na ziemię. Amy widziała jego penis, niemal ukryty w ciemnej gęstwinie włosów łonowych. Odwróciła wzrok.

— Zdjęliście mu spodnie — powiedziała.

— Rozciąliśmy je.

Amy wyobraziła sobie tych dwóch, Jeffa i Mathiasa, pochylonych nad noszami z nożem, jeden tnie, drugi przytrzymuje nogi Pabla. Ale nie: oczywiście nie musieli przytrzymywać nóg — w tym cała rzecz. Mathias był jak Jeff, podejrzewała Amy: spuszczone głowa, skupiony wzrok, zdolność przegania. Stracił brata, ale był zbyt zdyscyplinowany, żeby rozpaczć. To on operował nożem, pomyślała, podczas gdy Jeff klęczał obok niego, odkładał na bok strzępy drelichu i już sobie wyobrażał, do czego je wykorzysta, przynajmniej te mniej zabrudzone, jak przywiąże je rano do kostek u nóg i zbierze rosę do picia. Wiedziała, że ona sama na miejscu Mathiasa tkwiłaby jeszcze u stóp wzgórze, ścisnęła gnijące ciało brata, płakała, szlochała. I co by im z tego przyszło?

— Musimy go utrzymać w czystości — wyjaśnił Jeff. - Myślę, że tak to się stanie. Jeśli się stanie.

Znowu powiał chłodny wiatr. Amy zadrżała. Oddychała przez usta, żeby nie czuć woni ognisk płonących u stóp wzgórza.

— Jeśli co się stanie? — zapytała.

— Jeśli on tutaj umrze. Z powodu infekcji. Zakażenie... coś w tym rodzaju. Tak naprawdę nic nie możemy zrobić, żeby to powstrzymać.

Amy poruszyła się lekko, jej dłoń wyśliznęła się z ręki Jeffa. Nie należało mówić takich rzeczy, ale on to powiedział, tak niedbale, jakby odpędzał muchę. „Jeśli on tutaj umrze”. Amy poczuła, że musi coś powiedzieć, przywołać jakąś inną rzeczywistość — bardziej przyjazną, dającą nadzieję. Przecież rano przyjadą Grecy, chciała powiedzieć. Jutro o tej porze wszyscy zostaną uratowani. Nikt nie będzie musiał pić moczu ani rosy. A Pablo nie umrze. Ale milczała i wiedziała dlaczego. Ze strachu, że Jeff jej Jeff ziewnął, przeciągnął się, wznosząc ręce nad głowę.

— Jesteś zmęczony? — zapytała.

Wykonał niewyraźny gest w ciemnościach.

Amy machnęła ręką w stronę namiotu.

— Czemu się nie położysz? Ja mogę z nim posiedzieć. Nie mam nic przeciwko.

Jeff spojrział na zegarek, naciskając guzik, żeby na chwilę rozświetlić tarczę. Błada zieleń, gdyby Amy akurat mrugnęła. nic by nie zauważyła. Nie odpowiedział.

— Ile ci jeszcze zostało? — spytała.

— Czterdzieści minut.

— Dodam do moich. I tak nie mogę spać.

— Nie, nie zostanę.

— Naprawdę — nalegała. — Dlaczego oboje mamy czuć?

Znowu zerknął na zegarek, w zielonej poświacie Amy prawie zobaczyła jego twarz, wystający podbródek. Odwrócił się do niej.

- Myślę, żeby zejść ze wzgórza — powiedział.
Amy rozumiała, o czym on mówi, ale nie chciała tego przyznać.
— Dlaczego?
Wskazał ręką do tyłu, za namiot.
- W jednym miejscu ogniska są trochę bardziej oddalone od siebie.
Można się prześliznąć.
Wyobraziła sobie brata Mathiasa, strzały tkwiące w jego ciele. Nie, pomyślała. Nie idź. Ale nic nie powiedziała. Chciała wierzyć, że on tego dokona, że przekradnie się jak duch przez polanę, powoli, bezgłośnie, niewidoczny dla Majów pełniących tam straż. Potem do dżungli, pomiędzy drzewa... biegiem.
- Zakładam, że pilnują szlaku. Gdybym poszedł na przelaj przez winorośle... — przerwał, czekając na jej reakcję.
— Musisz być ostrożny — powiedziała. Na nic więcej nie mogła się zdobyć.
— Tylko sprawdzę, jak to wygląda. Zobaczę, co się da zrobić.
Kiwnęła głową, niepewna, czy on to widzi. Wstał i nachylił się, żeby zawiązać sznurowadło.
— Jeśli nie wrócę — powiedział — wiesz, gdzie będę.
To znaczyło: ucieknę. Sprowadzę pomoc. Ona jednak znowu wyobraziła sobie trupa Henricha, kości prześwitujące przez skórę twarzy.
— Okay — powiedziała, myśląc: Nie. Myśląc: Nie idź.
Myśląc: Stój.
Potem siedziała obok Pabla i patrzyła, jak Jeff odchodzi, nie mówiąc więcej ani słowa, rozplywa się w mroku.

Eric zbudził się na krótko, kiedy Jeff przechodził obok namiotu. Leżał na plecach i zastanawiał się, gdzie jest. Chciało mu się pić i noga go bolała, i było jakoś ciemniej niż powinno. Potem wszystko do niego wróciło w jednym prze-

błysku, cały dzień. Majowie z łukami, jego zjazd do szybu, Amy i on ładujący ciało Pabla na nosze. Tego ostatniego było już dla niego za wiele, zbyt straszne, odepchnął to wspomnienie, czując się paskudnie.

Stacy odtoczyła się od niego, a z drugiego końca namiotu dochodziło czyjeś chrapanie. Przypuszczał, że Mathiasa. Zastanawiał się, która godzina, jak się czuje Pablo, czy wstać i zajrzeć do niego. Ale był zbyt zmęczony, impuls przyszedł i odszedł, a potem oczy znowu mu się zamknęły. Wsunął rękę pod gumkę swoich bokserów, podrapał się w pachwinę, poczuł lepkość. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że Stacy go zbranzłowała. Czuł tam coś jeszcze w ciemnościach, coś miękkiego, nieśmiałego, lecz natarczywego, jak pajęczyna muskająca nogę. Próbował to odtrącić kopniakiem, przekreślił się na bok, znowu zapadł w sen.

Jeff ruszył na przełaj przez winorośle, trawersem w dół. Majowie rozpalili ogniska wzdłuż całej krawędzi polany, rozmieszczone równo i nie gęsto, żeby blask jednego mieszał się z blaskiem następnego. Ale dwa znajdowały się trochę dalej od siebie, rozdzielone wąskim paskiem cienia. Niewiele, Jeff wiedział, że samo to nie wystarczy. Potrzebował jeszcze jakiegoś sprzyjającego czynnika, osłabienia czujności, żeby na przykład jeden z Majów zasnął albo dwóch zaczęło rozmawiać po cichu, opowiadać jakąś historię. Wystarczy mu dziesięć sekund, może dwadzieścia, żeby podejść do polany, przeciąć ją i zniknąć w dżungli.

Przez winorośle szło się trudniej, niż się spodziewał. Najczęściej brodził w nich po kolana, ale w niektórych miejscach sięgały mu prawie do pasa. Czepiały się go, oplątywały nogi. Posuwał się powoli, z mozołem — ciągle musiał przystawać, żeby złapać oddech. Wiedział, że powinien oszczędzać siły na ostatni odcinek u stóp wzgórza, w razie gdyby musiał biec przedzierać się przez dżunglę. Wyobraził sobie, jak ucieka,

a Majowie wrzeszczą, celują w niego z luków, świszczą strzały.

Po jednym z tych postojów, dopiero w połowie zbocza, kiedy znowu ruszył dalej, odezwały się ptaki, hałaśliwie oznajmiając jego przejście. Jeff nie widział ich w ciemności. Zatrzymał się i ptaki ucichły. Ale gdy tylko zrobił następny krok, znowu się rozkrzyżały. Głosy miały donośne, niemelodyjne, chyba całe stado gnieździło się na zboczu. Jeff nagle przypomniał sobie zdarzenie z dzieciństwa, zwiedzanie ptaszami w zoo, swój strach przed hałasem, echami, nagłym trzepotem. Ojciec pokazał mu drucianą siatkę zawieszoną wysoko pod sufitem, usiłował go uspokoić, ale Jeffowi to nie wystarczyło, rozplakał się i musieli wyjść. Teraz wiedział, że nie ma sensu iść dalej, Majowie już wiedzieli, że nadchodzi. Mimo to wciąż schodził ze wzgórza, a ptasie wrzaski ścigały go przez ciemność.

Zbliżając się do polany, zobaczył, że Majowie na niego czekają. Trzej mężczyźni stali przy ognisku po lewej stronie, dwaj przy ognisku po prawej. Jeden miał karabin, pozostali trzymali naciągnięte łuki ze strzałami na cięciwach. Jeff zawahał się, a potem wyszedł na pas czystej ziemi. Blask płomieni miękko spłynął po jego postaci. Mężczyźni z łukami zdawali się nie zwracać na niego uwagi: wpatrywali się w zbocze ponad nim, jakby się spodziewali, że inni też przyjdą. Mężczyzna z karabinem podniósł broń, wycelował w pierś Jeffa. W tej samej chwili ptaki zamilkły.

Majowie stali plecami do ognisk — żeby przyzwyczajając wzrok do ciemności, zakładał Jeff. Twarze mieli w cieniu, więc nie wiedział na pewno, czy to ci sami, którzy wcześniej wystąpili przeciwko nim, czy nowi przybysze. Nad ogniskiem po prawej wisiał na trójnogu duży czarny kocioł, buchała z niego gęsta para, zapach duszonego kurczaka, pomidorów. Z głodu Jeffowi zaburczało w brzuchu, nie mógł się opanować. Przez długą chwilę wpatrywał się w kocioł. Ktoś śpiewał cicho w mroku za ogniskiem, kobiecy głos, ale jeden z łucz-

ników gwizdnął ostro i śpiew ucichł. Nikt się nie odzywał Majowie obserwowali go, czekając, co zrobi.

Jeff żałował, że nie może z nimi porozmawiać, zapytać. czego chcą, dlaczego uwięzili go na tym wzgórzu, jakiej ceny żądają za jego wolność, ale oczywiście nie znał ich języka i zresztą wątpił, czyby mu odpowiedzieli, nawet gdyby znał. Nie, oni tylko groziliby mu uniesioną bronią, patrzyli i czekali. Jeff mógł albo śmiało do nich podejść i zostać zastrzelony jak brat Mathiasa, albo zawrócić i powoli wspiąć się z powrotem przez winorośle, ciemność, wrzeszczące ptaki. Nie miał innej możliwości.

Więc ruszył z powrotem pod górę.

Z niewyjaśnionych powodów powrót okazał się dużo łatwiejszy niż zejście. Oczywiście wspinaczka wymagała wysiłku, walki z nieustępliwą grawitacją, ale winorośle teraz jakoś mu nie przeszkadzały, niemal rozstępowały się przed nim, zamiast chwytać go za nogi i krępować mchy. A co jeszcze dziwniejsze, ptaki zachowywały milczenie. Jeff zastanawiał się nad tym, wspinając się coraz wyżej. Przypuszczał, że odfrunęły, kiedy stał naprzeciwko Majów u stóp wzgórza, w niemej konfrontacji, ale skoro tak, nie rozumiał, dlaczego nie słyszał łopotania skrzydeł. I dlaczego nie zauważył ptaków wcześniej, za dnia? Na pewno było ich całkiem sporo, sądząc po natężeniu wrzasków, kiedy schodził ze wzgórza, więc dziwne się wydawało, że nie zarejestrował ich obecności. Nie mógł wymyślić żadnego wyjaśnienia, chyba że ptaki przyleciały o zmierzchu, kiedy on i Mathias wyciągali Pabla z szybu, i dlatego nie zwrócili na nie uwagi. Widocznie tutaj nocowały, więc rano powinien znaleźć ich gniazda. I może także jajka. A przynajmniej mógł zastawić sidła, żeby złapać kilka dorosłych ptaków. Ta myśl przyniosła mu pewną pociechę. Mogli destylować swój mocz, zbierać rosę i liczyć na deszcz, ale nie dysponowali żadnym źródłem aprowizacji. Jeff odkładał ten problem na później, nie chciał o tym myśleć, bo prze-

czuwał, że nie znajdzie rozwiązania, a teraz rozwiązanie samo się pojawiło jak niespodziewany prezent. Trzeba użyć czegoś cienkiego, myślał, ale mocnego, jak żyłka wędkarska. Ze zmęczenia nie mógł się skupić. Nieważne, mieli mnóstwo czasu. Teraz chciał tylko wrócić do namiotu i spać. Rano, kiedy się rozwidni, wszystko na pewno się wyklaruje: wiele rzeczy, które należało jeszcze zrobić, i sposoby ich wykonania.

Stacy przypadła trzecia wachta. Amy obudziła ją, trącając w ramię, szepcząc, że już czas. Stacy chciało się pić, oczy miała otwarte, ale jeszcze się całkiem nie rozbudziła. W namiocie było za ciemno, żeby widzieć wyraźnie. Eric wciąż leżał obok, odwrócony do niej plecami, Amy pochylała się nad nią i potrząsała jej ramieniem, a dalej leżeli Jeff i Mathias. Wszyscy chłopcy spali. Mathias chrząkał cicho.

Amy ciągle szepotała to samo: „Już czas”. Stacy usiłowała najpierw zrozumieć te słowa, potem ich znaczenie, aż nagle do niej dotarły. Obudziła się, wstała i wyszła z namiotu, zasuważąc za sobą zamek

Obudzona, ale wciąż półprzytomna. Musiała wrócić po zegarek Amy, przestępując ostrożnie nad Jeffem. Amy już zasypiała, mamrocząc coś, wyciągając rękę. Dopiero po kilku niezdarnych próbach Stacy zdołała odpiąć pasek zegarka. Potem wróciła na zewnątrz, do Pabla, usiadła obok niego, coraz bardziej rozbudzona z każdą chwilą. Wsunęła na nadgarstek zegarek Amy, ciepły, trochę wilgotny.

Pablo spał. Słyszała jego oddech, który nie brzmiał zdrowo. Zbyt nierówny, bulgotliwy, Stacy pomyślała o jego płucach, Zastanawiała się, co się dzieje w jego wnętrzu, narastające kryzysy, padające systemy. Patrzyła na niego sennie, niewidzącym wzrokiem, i upłynęło kilka minut, zanim dostrzegła jego nogi w ciemnościach, obnażone krocze. Poczła przelotny impuls— absurdalny, niestosowny i szybko stłumiony —

żeby wyciągnąć rękę i dotknąć jego penisa. Na ziemi obok noszy leżał śpiwór, wstała i okryła Pabla, ostrożnie, ukradkowo, żeby go nie zbudzić. Poruszył się, przesunął głowę, ale nie otworzył oczu.

Właściwie powinna wykorzystać ten czas, żeby ocenić swoją sytuację — podsumować miniony dzień albo ustalić plan na nadchodzące godziny — ale chociaż zdawała sobie sprawę, że rozsądek tego wymaga, nie mogła się na to zdobyć. Słuchała bulgoczącego oddechu Pabla z pustką w głowie, przytomna, ale nie całkiem świadoma. Oczy miała otwarte — dostrzegła otoczenie, wiedziałaby, gdyby Pablo nagle przestał oddychać albo ją zawołał — jednak czuła się trochę nieobecna. Pomyślała o manekinie ustawionym na wystawie, patrzącym na ulicę, tak właśnie się

Ciągle zerknęła na zegarek Amy, mrużąc oczy, żeby odczytać cyferki w ciemnościach. Upłynęło siedem minut, potem trzy, potem sześć, potem dwie, a potem zmusiła się, żeby więcej nie patrzeć, wiedząc, że w ten sposób tylko rozciągnie czas, zjadany takimi małymi kęskami.

Próbowała śpiewać w myślach, żeby przyspieszyć czas, ale pamiętała tylko świąteczne kolędy. *Jingle Bells*, *O Tannenbaum*, *Frosty the Snowman*. Nie znała wszystkich słów i nawet kiedy nuciła bezgłośnie, kiedy tylko w wyobraźni słyszała melodię, nie podobał jej się dźwięk własnego głosu. Więc przestała i bezmyślnie patrzyła na Pabla.

Mimo woli znowu spojrzała na zegarek. Nie spała od dwudziestu dziewięciu minut, zostało jej jeszcze półtorej godziny. Na chwilę wpadła w panikę, bo nie pamiętała, kogo ma obudzić w następnej kolejności, potem jednak znalazła odpowiedź, dumna z własnej inteligencji. Amy potrząsnęła ją za ramię i wyrwała ze snu, a Jeff pierwszy pełnił wartę, więc to znaczy, że następny jest Mathias. Zerknęła na zegarek i zobaczyła, że minęła następna minuta.

Mam tylko nadzieję, że Pablo się nie obudzi, pomyślała

i w tej samej chwili — jakby obudziły go te słowa w jej głowie — otworzył oczy.

Przez długą chwilę leżał całkiem bez ruchu, patrząc na Stacy. Potem zakaszłał, odwracając od niej głowę. Podniósł rękę, jakby chciał zakryć usta, ale chyba nie miał siły, sięgnął tylko do gardła. Przez kilka sekund jego ręka wisiała w powietrzu nad jabłkiem Adama, po czym opadła z powrotem na pierś. Obliznął wargi, znowu odwrócił głowę do Stacy i powiedział coś po grecku, zabrzmiało jak pytanie. Stacy uśmiechnęła się do niego, ale czuła w tym fałsz, kłamstwo, które on na pewno rozpoznał, na pewno odgadł wszystko, co próbował ukryć ten uśmiech, rozumiał całą beznadziejną sytuację. A jednak nie mogła się powstrzymać, uśmiech nie chciał zejść z jej twarzy.

— W porządku — powiedziała, ale oczywiście to nie wystarczyło i Pablo znowu się odezwał, zadał to samo pytanie. Zrobił przerwę i powtórzył je ponownie, jego ręce zaczęły się poruszać, obie dłonie podkreślały wagę słów, poklepywały powietrze. Tym trudniej przyszło ignorować bezwład jego nóg pod śpiworem. Stacy poczuła wzbierającą falę paniki. Nie wiedziała, co robić.

Pablo powtarzał w kółko to samo pytanie, siekając dłońmi powietrze nad swoją klatką piersiową.

Stacy próbowała kiwać głową, ale potem przestała, nagle przestraszona, że on pyta: „Czy ja umrę?”. Potem próbowała kręcić głową, ale zrozumiała, że to równie ryzykowne, bo on mógł pytać: „Czy ja wyzdrowieję?”. Nadal się uśmiechała — nie mogła się powstrzymać — i patrzyła na niego, z każdą chwilą coraz bardziej bliska łez, ale nie chciała się rozplakać, za żadne skarby, chciała być silna, wzbudzić w nim poczucie bezpieczeństwa, bo był jej przyjacielem i pomógłaby mu, gdyby zdołała. Zastanawiała się, ile Pablo rozumie z tej sytuacji. Czy zdawał sobie sprawę, że ma złamany kręgosłup?

Że prawie na pewno już nigdy nie będzie chodzić? I że łatwo może tutaj umrzeć, zanim sprowadzą dla niego pomoc?

Ciągle machał do niej rękami, ciągle powtarzał to samo pytanie, teraz już podniesionym głosem, jakby zniecierpliwiony czy rozgniewany. Składało się z sześciu czy siedmiu słów, chociaż Stacy nie miała całkowitej pewności, bo słowa się zlewały, jakby stosował przerzutnię. a bulgotliwe spółgłoski szczelinowe zacierały ich krawędzie. Próbowała odgadnąć. co znaczą te słowa, jednak umysł jej nie pomagał. Ciągle podsuwał zdania: „Czy ja umrę?”. „Czy ja wyzdrowieję?”. Siedząc obok Pabla, chciała na przemian albo kręcić, albo kiwać głową, ale nie robiła ani jednego, ani drugiego, trwała w bezruchu i kłamiwy uśmiech powoli zastygał na jej twarzy. Chciała znowu spojrzeć na zegarek, chciała, żeby ktoś wyszedł z namiotu i pomógł jej, chciała, żeby Pablo znowu zapadł w sen, w milczenie, żeby jego oczy się zamknęły, żeby jego ręce znieruchomiały. Wzięła go za rękę, ścisnęła mocno i to chyba pomogło, bo się uspokoił. A potem bez zastanowienia zaczęła śpiewać gwiazdkowe kolędy, bardzo cicho, nucąc wersy, których nie pamiętała. Odśpiewała *Cichą noc, Wesołych Świąt, Święty Mikołaj przybywa*. Pablo umilkł. Odwzajemnił jej uśmiech, jakby rozpoznał te piosenki, nawet przyłączył się do niej w *Rudolf, czerwonoosy renifer*, mamrocząc po grecku. Potem oczy mu się zamknęły i ręka w jej dłoni zwiótzała: znowu zasnął, znowu oddychał głęboko i z jego piersi wydobywał się ten bulgotliwy dźwięk.

Stacy przestała śpiewać. Zeszywniała, chciała wstać i się przeciągnąć, ale bała się puścić rękę Pabla, żeby go nie zbudzić. Zamknęła oczy — tylko odpoczywam, powiedziała sobie — i słuchała jego oddechu, który tak niedobrze brzmiał, liczyła wdechy, dopasowywała do nich własne: raz, dwa, trzy, cztery...

Nagle obok niej pojawił się Mathias, przykucnięty w ciemności, z ręką na jej ramieniu, chłodny dotyk, a ona mrugała, oszołomiona, lekko przestraszona, nie wiedząc, kim on jest. czego chce, aż wszystko wróciło z trzaskiem i uświadomiła sobie, że zasnęła. Poczuli się wytrącona z równowagi, za-

wstydzona, świadoma zaniedbania obowiązków. Z wysiłkiem podniosła się do siedzącej pozycji. — Przepraszam — powiedziała. - Mathias wydawał się zaskoczony.

— Za co? — spytał.

— Zasnąłam.

— W porządku.

— Nie chciałam — zaczęła się tłumaczyć. — Śpiewałam mu i...

— Cii — Mathias poklepał ją po ramieniu. Potem zabrał rękę, wywołując w niej wrażenie przechyłu, subtelnego przesunięcia grawitacji, mimowolnie nachyliła się do niego i musiała się cofnąć.

— Nic mu nie jest. Patrz.

Ruchem głowy wskazał Pabla, który wciąż spał z lekko otwartymi ustami, z głową odwróconą w drugą stronę. Nie wyglądał jednak za dobrze, wydawał się wyniszczony, jakby coś siedziało na jego piersi i powoli wysysało z niego życie.

— Minęły dwie godziny — dodał Mathias.

Stacy podniosła ramię, spojrzała na zegarek Amy. Miał rację, skończyła wartę. Mogła wczłgać się z powrotem do namiotu i spać do rana. Ale wciąż czuła wstyd. Została na miejscu.

— Jak się obudziłeś? — zapytała.

Wzruszył ramionami i usiadł obok niej na ziemi.

— Potrafię to. Mówię sobie, kiedy mam się obudzić. Henrich też potrafił. I nasz ojciec. Sam nie wiem jak.

Stacy odwróciła się, przez chwilę patrzyła na jego profil.

— Słuchaj — powiedziała w końcu, lekko się zacinając, szukając słów. Nikt jej nie uczył, jak to się robi. — Co do twojego brata. Chciałam, no wiesz... powiedzieć ci, jak...

Mathias uciszył ją gestem.

- W porządku — powtórzył.

- To musi być...

- W porządku. Naprawdę.

Stacy nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć. Chciała okazać

mu współczucie, chciała, żeby jej powiedział, co czuje, ale nie umiała znaleźć słów, żeby do tego doprowadzić. Znała go od tygodnia i przez ten czas prawie z nim nie rozmawiała. Widziała, jak patrzył na nią tamtego wieczoru, kiedy pocałowała Don Kichota, przestraszyła się tego wzroku, bała się, że ją osądza, a potem ją zaskoczył, kiedy zachował się tak miło na dworcu autobusowym, gdzie ukradli jej kapelusz i przeciwsłoneczne okulary — zatrzymał się, przykucnął i dotknął jej ramienia. Nie miała pojęcia, kim on jest, jaki jest, co o niej myśli, ale jego brat leżał martwy u stóp wzgórza, więc chciała jakoś do niego dotrzeć, chciała, żeby się rozplakał i żeby mogła go pocieszyć — objąć go i ukołysać. Ale on oczywiście nie zamierzał płakać, rozumiała, że to niemożliwe. Siedział tuż obok niej, a jednak wydawał się zbyt odległy, żeby go dotknąć. Nie miała pojęcia, co czuł.

— Powinnaś iść spać — powiedział.

Stacy kiwnęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca.

— Jak myślisz, dlaczego oni to zrobili? — zapytała.

— Kto? Wskazała w dół.

— Majowie.

Mathias milczał przez długą chwilę, rozważał odpowiedź. Potem wzruszył ramionami.

— Pewnie nie chcieli go stąd wypuścić.

— Tak jak nas — zauważyła.

— Właśnie — przytaknął. — Tak jak nas.

Pablo poruszył się, przekręcił głowę i oboje spojrzeli na niego. Potem Mathias znowu poklepał ją po ramieniu, poczuła chłodny dotyk jego palców.

— Nie rób tego — powiedział.

— Czego?

Zrobił gest, jakby coś wykręcał.

— Nie zamartwiaj się. Bądź jak zwierzę. Jak pies. Odpoczywaj, kiedy masz okazję. Jedz i pij, jeśli masz pokarm i wodę. Przetrwaj każdą chwilę. To wszystko. Henrich... był

impulsywny. Deliberował nad czymś, a potem rzucał się na oślep. Myślał jednocześnie za dużo i za mało. Nie możemy tak robić.

Stacy milczała. Pod koniec podniósł głos, jakby z gniewem, co ją zaskoczyło. Wykonał gwałtowny gest, odepchnął to wszystko.

— Przepraszam — powiedział. — Tylko tak gadam. Sam nie wiem, co mówię.

— W porządku — powiedziała Stacy, myśląc: On w ten Sposób płacze. Chciała już wyciągnąć do niego rękę, kiedy pokręcił głową, powstrzymał ją.

— Nie — powiedział. — To nic. To nic.

Upłynęła prawie minuta, kiedy Stacy układała w myślach słowa i zwroty, szukała właściwej kombinacji, ale nie znajdowała. Tylko nierówny oddech Pabla mącił ciszę. Wreszcie Mathias znowu machnął ręką w stronę namiotu.

— Naprawdę powinnaś iść spać.

Stacy kiwnęła głową i wstała, sztywna, trochę oszołomiona. Dotknęła jego ramienia, przytrzymała przez chwilę, uścisnęła, po czym wpełzła do namiotu.

Amy ocknęła się nagle, z sercem w gardle. Usiadła i próbowała się zorientować, zrozumieć, co ją tak gwałtownie wyrwało ze snu. Źe to jakiś hałas, ale widocznie tylko ona go usłyszała. Pozostali nadal leżeli bez ruchu, z zamkniętymi oczami, oddychając głęboko i miarowo. Policzyła ich w mroku: Eric, Stacy i Jeff. Mathias pewnie siedział na zewnątrz, pełnił wartę przy Pablu. Więc wszyscy są na miejscu.

Siedziała i nasłuchiwała, czekała, aż ten hałas się powtórzy, jej puls powoli się uspokajał.

Cisza.

Więc widocznie to był sen, chociaż Amy nie pamiętała żadnych szczegółów, tylko nagły przyływ paniki, kiedy

usiadła z uczuciem, że krew jej gęstnieje w żyłach, krąży zbyt szybko. Położyła się z powrotem, zamknęła oczy. Ale była już rozbudzona, wciąż przestraszona, wciąż nasłuchująca — chociaż sama nie wiedziała, czego — i spragniona, wargi miała zlepione, gumowate i zaskorupiałe, w ustach obrzydliwy posmak ścierki. Stopniowo, kiedy leżała i próbowała zasnąć, ale sen nie przychodził, pragnienie zaczęło brać górę nad strachem, szczerzenie wielkiego psa zagłuszyło mniejszego. Wyciągnęła stopę, wyprężyła się jak balerina i dotknęła plastikowego kanistra z wodą, stojącego pod tylną ścianą namiotu. Gdyby mogła wypić chociaż łyk wody, jeden mały łyżeczek, żeby wypłukać ten okropny smak z ust, na pewno znowu by zasnęła. Przecież to też ważne. Rano powinni być wypoczęci, żeby robić to wszystko, co Jeff uważał za konieczne dla ich przetrwania. Chodzić wśród winorośli ze szmatami przywiązany do kostek. Wykopać dół, żeby destylować swój mocz. Jeden maleńki łyżeczek — czy to zbyt wiele? Oczywiście zgodzili się nie pić więcej aż do rana. Kiedy wszyscy zbudzą się wypoczęci, wspólnie wydzielą porcje jedzenia i wody. Ale co to jej pomoże teraz, kiedy tak leży bezsennie z gumowymi wargami i ściekiem w ustach, podczas gdy inni smacznie śpią?

Znowu usiadła, zerknęła w stronę tylnej ściany namiotu i spróbowała wypatrzeć w ciemnościach kanister z wodą. Nie mogła, widziała ciemną stertę przedmiotów, niewyraźną masę, ale nie potrafiła rozróżnić poszczególnych składników, plecaków, skrzynki z narzędziami, butów trekkingowych, plastikowego kanistra. Ale namacała go stopą, wiedziała, gdzie jest. Musiała tylko przepelznąć kawałek i wyciągnąć ręce, żeby go znaleźć. Potem wystarczyło odkręcić zakrętkę, podnieść kanister do ust, odchylić głowę do tyłu. Jeden mały łyżeczek — kto ją za to potępi? Gdyby, powiedzmy, Eric teraz się obudził i błagał o wodę, Amy chętnie dałaby mu się napić, nawet gdyby sama nie była spragniona. I z pewnością inni czuliby to samo, potraktowałiby ją równie wspaniałomyślnie.

Mogła ich teraz obudzić, poprosić o pozwolenie, a oni powiedzieliby: „Tak, oczywiście”. Ale dlaczego miałyby zakłócać im wypoczynek, kiedy wszyscy spali tak głęboko? Przesunęła się trochę bliżej, wciąż wyężając wzrok, żeby dostrzec kanister, ostrożnie, żeby nie narobić

Oczywiście Amy nie zamierzała kraść wody — nie, nawet łyeczka. Bo to byłaby kradzież, prawda? Mieli mało wody i — pomimo planów Jeffa — me mogli liczyć, że zdobędą więcej. Więc gdyby wypila łyczek teraz, kiedy wszyscy śpią, nawet najmniejszy, najbardziej mikroskopijny, zostałoby o tyle mniej wody do podziału dla wszystkich. Amy obejrzała wiele filmów przygodowych — o katastrofach samolotów, rozbitek na bezludnej wyspie, kosmonautach uwięzionych na obcych planetach — i pamiętała, że zawsze znalazł się ktoś, kto zagarniał jak najwięcej dla siebie, przeklinając, z dzikim wzrokiem, kto walczył o ostatnią rację, kto połykał haustami, kiedy inni sączyli po kropelce, i nie zamierzała zostać taką osobą. Samolubną, myślącą tylko o własnych potrzebach. Każde z nich wypilo swój przydział wody przed snem, przekazując kanister z ręki do ręki, i tyle wystarczyło, zgodzili się, że tyle musi wystarczyć do rana. Skoro inni mogli zaczekać, dlaczego ona nie mogła?

Przysunęła się trochę bliżej. Chciała tylko zobaczyć kanister, może go dotknąć, zważyć w ręku, dodać sobie otuchy jego ciężarem. Co w tym złego? Zwłaszcza jeśli to jej pomoże znowu zasnąć.

Rzecz w tym, że właściwie nie wyrazili zgody, prawda? Nie omawiali tego ani nie głosowali. Jeff po prostu podjął decyzję, którą im narzucił, a oni byli tak zmęczeni, że tylko spuścili głowy i ustąpili. Gdyby Amy miała więcej energii albo mniej się bała, mogłaby zabrać głos, zażądać większej porcji tu i teraz. A pozostali mogli dołączyć swoje głosy.

Nie, właściwie nie było żadnej zgody.

A co się stanie rano? Znowu puszczą dookoła kanister, Prawda? Wszyscy wypiją przydzielony łyk. Ale skoro Amy

teraz była spragniona, dlaczego nie mogła zażądać swojej porcji parę godzin wcześniej niż inni? To nie kradzież ani zabieranie, to jakby zaliczka na poczet pensji. Rano, kiedy podadzą jej kanister, ona po prostu pokręci głową i wyjaśni, że w nocy poczuła pragnienie — okropne pragnienie — więc już zużyła swój poranny przydział.

Przesunęła się jeszcze trochę do przodu i już go widziała. rozróżniała jego kształt wśród wielkiego stosu spiętrzonego pod tylną ścianą namiotu. Musiała tylko wychylić się do przodu na czworakach, wyciągnąć rękę, złapać kanister za uchwyt. Siedziała i wahała się przez długą chwilę. W myślach wciąż dyskutowała, nawet chciała już zrezygnować z tego pomysłu, mówiła sobie, że powinna poczekać do rana jak wszyscy, że zachowuje się jak dziecko, a potem nagle — podczas gdy snuła te myśli — jej ciało przysunęło się do kanistra, ręka sięgnęła po niego, podniosła, odkręciła korek. Teraz działała w pośpiechu, jakby ktoś mógł zawołać i ją powstrzymać. Podniosła kanister do ust, wzięła swój mały łyżeczek, ale to nie wystarczyło, wcale nie wystarczyło, więc dźwignęła kanister wyżej, wlała sobie wodę do gardła: długi, zachłanny łyk, potem następny, woda spływała jej po brodzie.

Opuściła kanister, otarła usta wierzchem dłoni. Zakręcając z powrotem korek, obejrzała się z poczuciem winy na ciemne sylwetki pozostałych, Eric i Stacy pogrążeni we śnie, Jeff patrzący na nią poprzez mrok. Spoglądali na siebie przez długą chwilę. Myślała, że się odezwie, jakoś ją skarci, ale on milczał. Prawie zdołała przekonać samą siebie, że wcale nie miał otwartych oczu, że wzrok ją zawiódł w ciemnościach, że wyrzuty sumienia zniekształciły jej percepcję, ale potem on pokręcił głową, tylko raz — bardziej z odrazą, zdawało się jej, niż z naganą — i obrócił się tyłem do

Amy odstawiła kanister na miejsce pod tylną ścianą i prze-czołgała się na swoje miejsce.

— Pić mi się chciało — szepnęła.

Zbierało jej się na płacz, ale czuła również gniew, okropny

koktajl emocji: poczucie winy, wściekłość i wstyd. A także ulgę, woda w jej ustach, gardle, żołądku.

Jeff nie odpowiedział. Leżał w całkowitym bezruchu. w całkowitym milczeniu. Dla Amy to było gorsze niż wszystko cokolwiek mógłby powiedzieć. Nie zasługiwała nawet na odpowiedź — mówiło jego milczenie.

— Odwal się — warknęła Amy stłumionym głosem, ale dostatecznie głośno. — Wiesz co. Jeff? Odwal się.

Potem lzy napłynęły jej do oczu, nie próbowała ich powstrzymać.

— Co? — zapytała Stacy półprzytomnie, przez sen.

Amy jej nie odpowiedziała. Leżała zwinęta w kłębek i płakała cicho. Chciała rzucić się na Jeffa, uderzyć go, okładać go pięściami, chciała, żeby się odwrócił i powiedział jej, że w porządku, nie zrobiła nic złego, że rozumie i wybacza, że to nic, naprawdę nic, ale on leżał odwrócony do niej plecami — pewnie już spał, pomyślała, jak Stacy i Eric, wszyscy zostawili ją samą w ciemnościach, bezseną, z twarzą wilgotną od łez.

Słońce wstało. To najpierw zauważył Eric, kiedy otworzył oczy, światło przefiltrowane przez pomarańczowy nylon namiotu. Zrobiło gorąco — to po drugie — spocił się, w ustach mu zaschło. Podniósł głowę, rozejrzał się po namiocie. Stacy spała obok niego. A za nią Amy, zwinęta w ciasny kłębek. Mathias zniknął. Jeff także.

Eric miał zamiar usiąść, ale nadal czuł się zmęczony i wszystko go bolało. Opuścił głowę, znowu zamknął oczy i poświęcił parę chwil na skatalogowanie rozmaitych bolesnych doznań, które odczuwał w całym ciele, zaczynając od góry i posuwając się do dołu. Szczękę miał posiniaczoną, bolało, kiedy otwierał i zamykał usta. Łokieć rwał, skóra wokół skaleczenia była rozpalona. Krzyż zeszywniał, ból promieniował wzdłuż lewej nogi przy każdym ruchu. No

i kolano, które nie bolało nawet w przybliżeniu tak, jak się spodziewał, właściwie chyba zdrętwiało. Próbował je zgiąć ale noga ani drgnęła, zupełnie jakby ktoś na niej siedział i przyciskał ją do podłogi namiotu. Podniósł głowę i z zaskoczeniem zobaczył, że winorośle urosły dramatycznie w ciągu nocy, sięgnęły od sterty zapasów w głębi namiotu i zakryły jego lewą nogę, podpełzły wzdłuż lewego boku prawie do pasa.

— Jezu — powiedział Eric. Nie czuł strachu, jeszcze nie, raczej obrzydzenie.

Usiadł i właśnie miał oderwać rośliny od swojego ciała, kiedy Pablo zaczął wrzeszczeć.

Jeff był u stóp wzgórza, za daleko, żeby słyszeć wrzaski. Wyszedł z namiotu krótko przed świtem, oddał mocz do plastikowej butelki. Zanim skończył, butelka napełniła się więcej niż w połowie. Później, kiedy słońce wszędzie, wykopią dziurę, spróbują przedestylować to, co zebrali. Jeff nie miał pewności, czy to się uda — ciągle mu się zdawało, że pominął jakiś istotny szczegół — ale przynajmniej zajmie ich na parę godzin, oderwie ich myśli od głodu i pragnienia.

Zakręcił butelkę, postawił ją na ziemi i podszedł do malej wiaty. Mathias siedział przy niej ze skrzyżowanymi nogami, kiwnął Jeffowi głową na powitanie. Jeszcze się nie rozwidniło, ale ciemności zaczęły już rzędnąć. Jeff widział twarz Mathiasa, szczecinę na jego policzkach. Widział też Pabla, nieprzytomnego na noszach, od pasa w dół zakrytego śpiworem, widział go dość wyraźnie, żeby odczytać oznaki wyniszczenia na jego twarzy, zapadnięte policzki, zacienione oczodoły, obwisłe usta. Jeff opuścił się na ziemię obok Mathiasa i przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. To mu się podobało w Niemcu, jego powściągliwość, zawsze czekał, aż ktoś inny pierwszy się odezwie. W jego obecności ludzie czuli się

swobodnie. Żadnego udawania, wszystko dokładnie takie jak w rzeczywistości.

- On fatalnie wygląda, co? — zagadnął Jeff.

Mathias powoli przesunął spojrzenie po ciele Pabla, zatrzymał na jego twarzy. Kiwnął głową.

Jeff przeczesał ręką włosy. Czuł, jakie są przetluszczone, śliska warstewka została mu na palcach. Jego ciało wydzielalo kwaśny, drożdżowy zapach. Pożałował, że nie może wziąć prysznic, pożałował tego z nagłą, gwałtowną rozpaczą, dziecinną frustracją, świadomością, że nie dostanie tego, czego pragnie, choćby wyłaził ze skóry. Odepchnął od siebie to pragnienie, z wysiłkiem, żeby skupić się raczej na rzeczywistości niż własnych życzeniach, na tu i teraz w całej bolesnej skrajności. Zaszło mu w ustach, język był jak spuchnięty. Pomyślał o kanistrze z wodą, ale wiedział, że trzeba zaczekać, aż wszyscy się obudzą. Ta refleksja nieuchronnie przywołała wspomnienie Amy, jej podstępnej kradzieży w nocy. Będzie musiał z nią porozmawiać, nie mogła dalej tak postępować. Albo nie, może powinien machnąć na to ręką. Próbował wymyślić jakiś sposób, żeby pośrednio nawiązać do kradzieży, ale czuł się brudny, zmęczony i spragniony, i nie mógł zebrać myśli. Jego ojciec to potrafił, opowiadał historyjki zamiast prawić kazania. Dopiero na końcu uświadamiał sobie, co to znaczyło: Nie kłam. Albo: Nie szkodzi, jeśli się boisz. Albo: Postępuj właściwie, nawet jeżeli to trudne. Ale ojca oczywiście tutaj nie było, a Jeff różnił się od niego, nie umiał działać w tak subtelny sposób. Na tę myśl poczuł ukłucie emocji, zatęsknił za ojcem jeszcze bardziej niż za niedostępnym prysznicem, zatęsknił za obojgiem rodziców, pożałował, że ich tu nie ma, nie zjawią się, by wszystko naprawić. Miał dwadzieścia dwa lata, przez dziewięć dziesiątych swojego życia był dzieckiem, mógł jeszcze wrócić do tamtych czasów. Aż się przestraszył, jakie to łatwe. Wiedział, że teraz dziecinne zachowanie, czekanie, aż ktoś inny go uratuje, to równie szybka droga do śmierci jak każda inna.

Zachowa milczenie, zdecydował. Zabierze głos tylko wtedy jeśli Amy znowu to zrobi.

Opowiedział Mathiasowi o swoim pomysle na destylowanie moczu. Opisał jak mogą zbierać rosę szmatami przywiązanymi do kostek u nóg.

— Teraz jest na to pora — dodał. — Tuż przed wschodem słońca.

Mathias odwrócił się, spojrzął na wschód. To nieprawda, że najciemniej jest przed świtem. Zrobiło się już jaśniej, niebo poszarzało, ale nadal nie było śladu słońca.

— A może nie — ciągnął Jeff. — Może powinniśmy zaczekać. Pozwolić im się wyspać. Mamy dość wody na dzisiaj. I może spadnie deszcz.

Mathias wykonał wieloznaczny gest, na pół przytaknął, na pół wzruszył ramionami, po czym przez chwilę siedzieli w milczeniu. Jeff słuchał oddechu Pabla. Za ciężki — charczący od flegmy. W szpitalu napompowaliby go antybiotykami, oczyściliby drogi oddechowe. Tak źle

— Powinniśmy chyba wystawić znak — stwierdził. — Dla bezpieczeństwa. Na wypadek, gdyby Grecy przyjechali i ni kogo nie zastali. Czaszka i piszczele albo coś takiego.

Mathias zaśmiał się bardzo cicho.

— Mówisz jak Niemiec.

— Co to znaczy?

— Zawsze robisz praktyczne rzeczy, nawet kiedy to nie ma sensu.

— Myślisz, że znak nie ma sensu?

— Czy wczoraj czaszka i piszczele powstrzymałyby cię przed wejściem na wzgórze?

Jeff rozważył to, marszcząc brwi.

— Ale warto spróbować, no nie? — powiedział. — Przecież mógłby powstrzymać kogoś innego, nawet jeśli nas nie powstrzymał.

Mathias znowu się zaśmiał.

— *Ja*, Herr Jeff. Ależ oczywiście. Idź zrobić swój znak. - Ponaglił go gestem. — *Gehenn*. Idź.

Jeff wstał i odszedł. Zawartość niebieskiego namiotu wciąż walała się na ziemi obok szybu — plecaki, radio, aparat fotograficzny i apteczka, frisbee, pusta manierka, kołonoratniki. Jeff przekopał pierwszy plecak, potem drugi, dopóki nie znalazł czarnego długopisu. Wziął też jeden notatnik, zaniósł z powrotem do resztek pozostałych po pospiesznej budowie wiaty. Spomiędzy nich wyciągnął rolkę taśmy klejącej i metrowy aluminiowy drążek. Mathias obserwował go — z uśmiechem, kręcąc głową — ale nic nie mówił. Zrobiło się odrobinę jaśniej, Jeff wiedział, że zaraz wszędzie słońce. Kiedy ruszył w dół szlakiem, zobaczył ogniska Majów, wciąż płonące na skraju polany, migoczące blade w ustępującym mroku.

W połowie wzgórza poczuł potrzebę defekacji: silną, przemożną. Odłożył wszystko, co niósł, wszedł w winorośle i szybko opuścił spodnie. Nie miał biegunki, ale mało brakowało. Gównno wysliznęło się z niego mokro, jak wąż, upadło, tworząc mały wzgórek pomiędzy jego nogami. Wydzielało silny smród, od którego go zemdliło. Musiał się podetrzeć, ale nie wiedział czym. Otaczały go winorośle o płaskich, lśniących liściach, on jednak pamiętał, co się działo po zgnieceniu tych roślin, pamiętał sok żrący jak kwas. Poczłapał z powrotem na szlak, wciąż zgięty wpół, ze spodniami sfałdowanymi wokół kostek, i wyrwał kartkę z notesu. Zgniół ją i wytarł się z grubsza. Powinni chyba wykopać latrynę, pomyślał, gdzieś poniżej namiotu. I z wiatrem. Mogli zostawić obok jeden z notesów jako papier

Wreszcie wstał świt. Widok był niezwykle — czysty róż ponad linią zieleni. Jeff patrzył przykucnięty, z poplamioną gównem kartką papieru w ręce. Potem słońce w jednej chwili jakby wyskoczyło nad horyzont: bladeżółte, drgające, zbyt jasne, żeby na nie patrzeć. Dopiero kiedy z powrotem wszedł w zarośla, żeby zasypać ziemią swoje odchody — podciągając spodnie, grzebiąc przy

zamku błyskawicznym — poczuł, że palce go pieką. W coraz jaśniejszym świetle zobaczył bladozielony meszek na swoich dżinsach. Na butach też. Zrozumiał, że to pędy winorośli, przez noc wykiełkowały na jego ubraniu, takie maleńkie, że wyglądały bardziej jak grzybnia niż roślina — przezroczyste, delikatne jak welon, niemal niewidoczne. Kiedy je strzepywał, popękały i puściły piekący sok, który parzył mu dłonie. Przez długą chwilę patrzył na zielony meszek i nic z tego nie rozumiał. To niezwykle, że winorośl rosła tak szybko, ważne odkrycie, ale co to znaczy? Nie mógł myśleć, nie mógł wyciągnąć wniosków, w końcu machnął ręką. Zmusił się, żeby odwrócić wzrok, żeby działać dalej. Rzucił kulkę papieru na małą kupkę gówna. Ziemia okazała się zbyt twarda, zbita i sucha, żeby rozgrzebać ją kopniakiem, musiał kucnąć i tłuc w nią kamieniem, spocony z wysiłku. Wyskrobał jedną garść bladożółtej gleby, potem drugą, rozsypał po swoich odchodach, przykrył je częściowo, stłumił

Potem wrócił na szlak, gdzie schylił się po taśmę i długopis, notes i aluminiowy słupek. Chciał już podjąć schodzenie, kiedy uderzyła go pewna myśl: Przecież powinny być muchy. Gdzie są muchy? Znowu kucnął i obejrzał się na częściowo przykryty wzgórek gówna, jakby czekał na spóźnione owady, kłębiące się i brzęczące. Ale nie pojawiły się i daremnie czekał, podczas gdy jego umysł pracował gorączkowo, zbyt szybko, jak włamywacz przetrząsający biurko, wrywający szuflady, wywalający ich zawartość na podłogę.

Nie tylko tutaj, ale i na Pablu. Muchy zwabione jego zapachem, obsiadające go chmarami.

I moskity.

I komary.

Gdzie one są?

Słońce wschodziło coraz wyżej. Upał narastał — tak szybko.

Może przez ptaki, pomyślał Jeff. Może zjadły wszystkie owady.

Wstał, rozejrzał się, wypatrując ptaków, nasłuchując ich głosów. Powinny już się zbudzić, ćwierkać i trzepotać, witać nowy dzień. Ale nic nie wypatrzył. Żadnego ruchu, żadnego dźwięku. Żadnych much, żadnych moskitów, żadnych komarów, żadnych ptaków.

Odchody, pomyślał, i przyjrzał się winoroślom dookoła, szukając wśród jaskrawych czerwonych kwiatków i płaskich liści w kształcie dłoni białych lub bursztynowych rozbryzgów ptasiego guana. Ale znowu nic nie znalazł. Może one żyją w norach, jamach, które wykopują w ziemi dziobami. Pamiętał, że czytał o takich ptakach, prawie je sobie wyobrażał, szponiaste, koloru ziemi, o zakrzywionych dziobach. Ale nie widział żadnej rozgrzebanej ziemi, żadnych ciemniejszych otworów.

Zauważył kamyk pod stopami, idealnie okrągły, nie większy od borówki. Przykucnął, podniósł go, wrzucił do ust. O tym też czytał, jak ludzie zabłąkani na pustyni czasami ssali kamyki, żeby opanować pragnienie. Kamyk miał kwaśny smak, silniejszy, niż Jeff się spodziewał, prawie go wypluł, ale powstrzymał ten odruch i wepchnął językiem kamyczek pod dolną wargę, jak tytoń do żucia.

Należy oddychać przez nos, nie przez usta, w ten sposób traci się mniej wody.

Należy powstrzymać się od mówienia z wyjątkiem absolutnej konieczności.

Należy ograniczyć jedzenie i unikać alkoholu.

Należy usiąść w cieniu, co najmniej trzydzieści centymetrów nad powierzchnią gruntu, ponieważ ziemia działa jak grzejnik i wysysa siły z człowieka.

Co jeszcze? Za dużo do zapamiętania, za dużo do przestrzegania i znikąd pomocy.

Poprzedniego wieczoru słyszał ptaki. Z całą pewnością. Kusiło go, żeby przejść trawersem przez zbocze i poszukać ptasich jam, ale wiedział, że powinien zaczekać, że to nieważne. Najpierw znak. Potem powrót do namiotu, żeby przydzielić

dziennie racje jedzenia i wody. Potem dziura, żeby przedestyłować ich moczu i latryna — powinni się uporać z kopaniem, zanim zrobi się największy upał. Później, jak już wszystko załatwi, może znaleźć ptaki, poszukać ich jajek, zastawić sidła. Najważniejsze, żeby się nie miotać, nie tracić energii. Wszystko po kolei, tylko tak przetrwają.

Ruszył w dół szlakiem.

Majowie czekali na niego na dole, czworo, trzech mężczyzn i kobieta. Siedzieli w kucki wokół dymiących jeszcze resztek ogniska. Patrzyli, jak nadchodzi. Mężczyźni wstali, kiedy się zbliżył, sięgnęli po broń. Jeff rozpoznał tego, który po raz pierwszy próbował ich zatrzymać, tysego człowieka z pistoletem w kaburze. Teraz trzymał broń w ręku, zwieszoną niedbale przy boku. Gotową do strzału. Dwaj jego towarzysze mieli łuki, ze strzałami luźno zaczepionymi na cięciwach. Przy odległej granicy dżungli Jeff zobaczył jeszcze kilku Majów, owiniętych w koce, z twarzami zakrytymi przez słomkowe kapelusze, śpiących. Jeden się poruszył, jakby wyczuł bliskość Jeffa. Szturchnął mężczyznę leżącego obok, obaj usiedli i

Jeff przystanął u wylotu ścieżki, położył swój bagaż na ziemi. Przykucnął tyłem do Majów. Poczł trzepotliwe dotknięcie paniki — wyobrażał sobie wzniesione łuki, napięte cięciwy — ale pomyślał, że w takiej pozycji wygląda mniej groźnie. Wyrwał czystą kartkę z tyłu notesu, zdjął skuwkę z długopisu i zaczął rysować swój pierwszy znak, czaszke i skrzyżowane piszczele, topome i surowe, stosownie złowieszcze. Mazał i mazał długopisem, żeby rysunek był wyraźny, widoczny z daleka.

Wyrwał następną kartkę, napisał na niej: „SOS”.

Potem trzecia kartka: „POMOCY”.

I czwarta: „NIEBEZPIECZEŃSTWO”.

Wyważył z ziemi kamień wielkości piłki, wbił nim w ziemię aluminiowy kijek, tuż na skraju polany, blokując szlak. Potem taśmą klejącą przymocował kartki do kija, jedną przy drugiej-

Wreszcie odwrócił się, jakby chciał sprawdzić reakcję Majów Dwaj pod drzewami znowu się położyli i zasłonili twarze kapeluszami, a kobieta przy ognisku teraz siedziała do niego plecami. Lewą ręką przegarniała żar, prawą ustawiała garnuszek na żelaznym trójnogu, śniadanie, domyślał się Jeff. Pozostali trzej nadal go obserwowali, ale znacznie bardziej rozluźnieni. Prawie się uśmiechali — dobrodusznie, pomyślał. I może z odrobiną szyderstwa? Jeff odwrócił się, walnął jeszcze kilka razy w słupek kamieniem. Później w ciągu dnia ktoś powinien tu przyjść i usiąść obok, na razie jednak to powinno wystarczyć. Na wszelki wypadek, gdyby Grecy jakimś sposobem pojawili się wcześniej. Na przykład gdyby przyjechali autostopem. Albo wynajęli samochód.

Jeff podniósł długopis, notes oraz rolkę taśmy i chciał już ruszyć z powrotem pod górę, ale zmienił zdanie. Znowu odłożył wszystko i — bardzo powoli, bardzo ostrożnie — wyszedł na polaną z podniesionymi rękami. Majowie wycelowali broń. Jeff wskazał na prawo, żeby im pokazać, że chciał tylko obejść wzgórze dookoła, trzymając się skraju polany, nie zamierzał uciekać. Majowie dalej patrzyli na niego, z napiętymi łukami, z pistoletem celującym w jego pierś, ale nic nie mówili i nie próbowali go powstrzymać, więc potraktował to jako pozwolenie. Powoli ruszył wzdłuż podstawy wzgórza.

Majowie poszli za nim, zostawiwszy szlak chwilowo bez nadzoru. Po kilku metrach człowiek z pistoletem krzyknął coś do kobiety przy ognisku, a ona wstała i kopnęła jednego z mężczyzn śpiących pod drzewami. Dźwignął się i usiadł, przecierając oczy. Przez długą chwilę odprowadzał wzrokiem Jeffa, po czym zbudził jednego z towarzyszy. Sięgnęli po łuki, wstali i sennie poczłapali do ogniska.

Jeff dalej wędrował po obrzeżu polany, a Majowie do-trzymywali mu kroku z bronią w gotowości. Jego myśli znowu skakały — latryna, dziura do destylacji moczu, Amy kradnąca wodę. Zastanawiał się, czy Grecy zwrócą uwagę na

jego kartki, czy po prostu je miną. Spojrzał w niebo - teraz bładoniebieskie, idealnie czyste — i próbował odgadnąć czy po południu się ściemni, czy jak zwykle spadnie deszcz, krótki, ale gwałtowny, którego wczoraj w niewytłumaczalny sposób zabrakło. Rozmyślał, jak mają zbierać deszczówkę, jeśli deszcz spadnie — mogli wykorzystać resztki niebieskiego namiotu, zrobić olbrzymi nylonowy lejek, ale dokąd prowadzący? Nie ma sensu zbierać wody, jeśli nie mogą jej przechować, potrzebowali pojemników, butelek, kanistrów. Pochłonięty tym problemem, dostrzegł pierwszy, wysoki do pasa wzgórek winorośli i dopiero wtedy zrozumiał, dlaczego wyruszył na obchód polany, czego tu szukał i co — nie przyznając się przed sobą — spodziewał się znaleźć.

Kopiec wysuwał się na trzy metry w głąb polany, mała wysepka zieleni na ciemnej, nagiej ziemi. Jeff zatrzymał się kilka kroków wcześniej, trochę przestraszony, o mało nie zawrócił. Ale nie, chociaż wiedział, co to jest — na pewno — musiał sprawdzić. Podeszedł bliżej, przykucnął, zaczął rozrywać winorośle, zapominając o żrącym soku, dopóki dłonie go nie zapiekły. Wtedy jednak odsłonił już to do połowy: mógł przerwać i wytrzeć ręce o ziemię.

Następne ciało.

Jeff wstał i stopą rozchylił resztę winorośli. To była kobieta. może nawet ta, którą Henrich poznał na plaży, której uroda zwabiła go tutaj, sprowadziła w objęcia śmierci. Miała ciemnoblond włosy do ramion, ale poza tym niewiele dało się o niej powiedzieć, gdyż ciało zostało prawie całkowicie wyjedzone. Zamiast twarzy — obnażona czaszka, puste oczodoły. Ubranie też znikło, został tylko szkielet i włosy, trochę zmumifikowanych pasków mięsa, zmatowiała srebrna bransoletka wciąż otaczająca kościsty nadgarstek, klamra od paska. zamek błyskawiczny i miedziany guzik spoczywające w pustej miednicy. Oczywiście to nie mogła być ukochana Henricha, zbyt dawno umarła. Taki stopień rozkładu mogła osiągnąć dopiero po kilku miesiącach, nawet w tym klimacie. A może

nie, pomyślał Jeff i schylił się, żeby odgarnąć więcej winorośli. Tym razem ostrożnie, delikatnie. Może to zrobiła roślina, wyżarła ciało, wchłonęła substancje odżywcze. Majowie stali dwadzieścia stóp dalej i obserwowali go. Jeff odgarnął jeszcze trochę winorośli i uwolnił lewe ramię szkieletu, które wysunęło się ze stawu i z grzechotem upadło na ziemię. Winorośl nie wyrastała z gleby, zauważył, czepiała się samych kości. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, zaintrygowany tajemnicą polany: jakim sposobem Majowie nie dopuszczali tutaj roślin? Winorośl kiełkowała tak szybko, w ciągu jednej nocy zapuściła korzenie na jego butach, na ubraniu. A jednak ziemia, na której stał, była całkowicie jałowa. Nabrał garść gleby, przyjrzał jej się dokładnie. Ciemna, żyzna ziemia, nakrapiana białymi kryształkami. Sól, pomyślał, dotykając ich czubkiem języka, żeby się upewnić. Obsiali to solą.

Właśnie w tej chwili na wierzchołku wzgórza Pablo zaczął wrzeszczeć. Daleko — za daleko — więc Jeff nic nie słyszał.

Wstał, otrzepał ręce, ruszył dalej. Trzej towarzysze podążali za nim, trzymając się pomiędzy nim a odległą linią drzew. Minął następne ognisko, wokół którego zebrało się siedmiu Majów, spożywających poranny posiłek. Przerwali na jego widok, opuścili na podółki blaszane talerze. Czuł zapach jedzenia, widział je. Jakiś gulasz — kurczak, ryż, pomidory — pewnie resztki z poprzedniego wieczoru. Żołądek mu się kurczył z głodu. Chciał zebrać, paść na kolana i wyciągnąć błagalnie ręce, ale powstrzymał się, wyczuwając daremność takiego gestu. Szedł dalej i ssał suchy kamyk w ustach.

Widział już następny wzgórek.

Dotarł do niego, przykucnął i ostrożnie odgarnął trochę winorośli.

Kolejny trup.

Ten szkielet należał chyba do mężczyzny, chociaż nie dało się tego określić na pewno, bo rozkład posunął się jeszcze dalej niż u blondynki. Kości osunęły się na luźny stos, nie

wykazywały już żadnego wyraźnego związku ze szkieletem. Jeff odgadł pleć trupa raczej po rozmiarach czaszki — wielkiej, niemal kwadratowej. Kwitnący pęd wtargnął do oczodołów, wepchnął się w prawy i wyszedł lewym. Znowu zachowały się guziki i cienki jak robak zamek błyskawiczny od spodni. Okulary w drucianej oprawie, plastikowy grzebyk, kółko z kluczami. Jeff naliczył trzy małe groty strzał, pozbawione drzewców. A głębiej, w kurzu, prawie ukryte pod płataniną kości, leżały w nieładzie karty kredytowe i paszport. Oczywiście zawartość portfela. Który widocznie był ze skóry, domyślił się Jeff, ponieważ zniknął bez śladu. Pozostały nieorganiczne przedmioty, syntetyki — metal, plastik i szkło — wszystko inne zostało pożarte. Pożarte: właściwe słowo. Ponieważ zrobiła to kwitnąca winorośl, uświadomił sobie Jeff, nie żadna pasywna siła — rozkład, gnicie — tylko

Jeff kucnął nad ciałem, zajrzał do paszportu. Dokument należał do Duńczyka nazwiskiem Cees Steenkamp. Zdjęcie w środku pokazywało mężczyznę o szerokim czole, rzędzących jasnych włosach i wyrazie twarzy, który można było odczytać jako powściągliwy albo melancholijny. Urodził się 11 listopada 1951 roku w mieście o nazwie Lochem. Jeff podniósł wzrok i zobaczył, że trzej Majowie ciągle go obserwują. Całkiem możliwe, że to oni zabili tego mężczyznę, zastrzelili go z luków. Jeff miał ochotę wyciągnąć do nich paszport, pokazać im fotografię Ceesa Steenkampa, jego duże, trochę cięjące oczy spoglądające tak smutno na świat: martwy, zamordowany. Ale wiedział, że to nic nie pomoże, niczego nie zmieni. Zaczynał się orientować, co się tutaj dzieje, jak i dlaczego, jakie siły działają. Litość, empatia, poczucie winy: nie o to chodziło. Fotografia nic nie znaczyła dla tych ludzi i Jeff stopniowo zaczynał to rozumieć — nawet trochę współczuć. Kilka metrów za plecami Majów w powietrzu wirowała chmura komarów, na skraju dżungli, jakby jakaś niewidzialna siła nie pozwalała im się zbliżyć. To również miało sens dla Jeffa.

Wsunął paszport do kieszeni i poszedł dalej, a trzej Majowie towarzyszyli mu w milczeniu. Mijali inne ogniska, gdzie wszyscy nieruchomieli na widok Jeffa i odprowadzali go wzrokiem. Prawie godzinę zabrała mu wędrówka wokół podstawy wzgórza i po drodze znalazł jeszcze pięć kopców. Znowu to samo: kości, guziki, zamki błyskawiczne. Dwie pary okularów. Trzy paszporty — amerykański, hiszpański, belgijski. Cztery obrączki, kolczyki, korale. Więcej grotów strzał i garść kul, rozplaszczonych od uderzenia o kości. A potem oczywiście Henrich, chociaż w pierwszej chwili Jeff ledwie go rozpoznał. Zwłoki spoczywały we właściwym miejscu, ale w ciągu nocy uległy dramatycznej przemianie. Ciało całkowicie znikło, podobnie jak większość ubrania, pożartego przez

Tak, teraz Jeff rozumiał albo przynajmniej zaczynał rozumieć. Ale dopiero kiedy zatoczył pełny krąg i wrócił do punktu wyjścia na początku ścieżki, dotarła do niego cała powaga sytuacji.

Jego znaki znikły.

Początkowo Jeff zakładał, że Majowie je zdjęli, ale to nie pasowało do obrazu, który formował się w jego umyśle. Przez długą chwilę stał i rozglądał się, szukając innej możliwości. Widział dziurę w ziemi, gdzie wbił aluminiowy słupek, widział kamień, który wykorzystał w charakterze młotka, notes, długopis, rolkę taśmy. Ale nigdzie nie widział znaków.

Chciał już zrezygnować, kiedy dostrzegł błysk metalu obok ścieżki, trzy stopy od krawędzi, pod warstwą winorośli. Podeszedł, przykucnął, zaczął grzebać rękami w sięgającej kolan roślinności. Znalazł aluminiowy maszt, jeszcze ciepły, nagrany od słońca. Winorośle owinęły się wokół niego tak ciasno, że Jeff z trudem go wyszarpnął. Kartki zostały ode-rwane od taśmy klejącej, rośliny zaczęły już rozpuszczać papier, zjadać go. Lecz nawet teraz, widząc to na własne oczy, Jeff instynktownie czepiał się starej logiki, panującej w świecie poza wzgórzem porośniętym winoroślami: może Majowie

rzucali kamieniami w słupek, przewrócili go i zepchnęli ze ścieżki. Potem zauważył coś jeszcze pod ciasno skręconymi łądygami, poczemiały kwadrat metalu. Kopniakami odsunął winorośle, wyciągnął przedmiot na odkryte miejsce. To była brytfanna, trzydzieści na trzydzieści centymetrów, głęboka na ponad siedem. Ktoś wydrapał jedno słowo na jej dnie pokrytym zaskorupiałą sadzą, wyżłobił głęboko, wyciął rowki w metalu.

PELIGRO!

Jeff stał i patrzył przez długą chwilę.

Niebezpieczeństwo.

Upał nieustannie narastał. Jeff zostawił kapelusz w namiocie i teraz czuł, że słońce pali mu twarz i kark. Pragnienie osiągnęło nowy poziom. Już nie pragnął po prostu wody, odczuwał również ból, jakby z jego ciałem działo się coś złego. Kamyk, który ssał, nie pomagał zwalczyć tego uczucia, więc Jeff go wypluł i aż drgnął, zaskoczony przez nagły ruch wśród roślinności. Coś rzuciło się na kamyczek, uderzyło szybko jak wąż, tak szybko, że Jeff nie zobaczył tego wyraźnie, dostrzegł tylko rozmazaną plamę ruchu.

Ptaki, pomyślał.

Ale oczywiście to nie były ptaki — wiedział o tym. Ponieważ chociaż jeszcze nie rozumiał, skąd się wziął hałas zeszłej nocy, zorientował się już, że na wzgórzu nie ma żadnych ptaków. Żadnych ptaków, żadnych much, żadnych moskitów, żadnych komarów. Schylił się, podniósł następny kamyczek, cisnął w gąszcz winorośli. Znowu ten błyskawiczny ruch, niemal zbyt szybki, żeby go zauważyć. Teraz Jeff wiedział, co to jest — wiedział też, co przewróciło znaki — i prawie go zemdlilo od tej wiedzy.

Rzucił następny kamyczek. Tym razem nie zobaczył żadnego ruchu, co również miało dla niego sens. Dokładnie tego się spodziewał. Gdyby to się powtarzało, oznaczałoby zwykły odruch, a przecież nie w tym rzecz.

Obejrzał się na Majów, którzy stali pośrodku oczyszczonej

ziemi, patrzyli na niego, wreszcie opuściwszy broń. Wydawali się nieco znudzeni i Jeff pomyślał, że to także rozumie. Ostatecznie nie zrobił niczego, czego nie widzieli przy innych okazjach. Ustawienie znaku, okrążenie wzgórze, odkrycie ciała, powolne uświadamianie sobie, w jakim świecie został uwięziony: widzieli już to wszystko. I nie tylko: pewnie mogli przewidzieć, co nastąpi później, mogli powiedzieć Jeffowi, gdyby tylko mieli wspólny język, jak upłyną kolejne dni, jak się rozpoczną i jak zakończą. Z tymi myślami w głowie Jeff zawrócił na szlak i rozpoczął powolną wspinaczkę, żeby opowiedzieć tamtym o swoich odkryciach.

Stacy otwarła oczy, słysząc wrzask. Eric wiercił się obok, wyraźnie cierpiący, ale wystarczyła jej chwila, żeby się zorientować, że to nie jego krzyki wypełniały namiot. Hałas dochodził z zewnątrz. Pablo. Pablo wrzeszczał. A jednak Eric też miał jakieś kłopoty. Opierał się na łokciu, patrzył na swoje nogi, wierzył nimi i mówił: „O kurwa, o Jezu, o Boże”. Powtarzał w kółko te słowa, a Pablo ciągle wrzeszczał i Stacy nie rozumiała, co się dzieje. Amy leżąca po drugiej stronie właśnie się obudziła i wydawała się jeszcze bardziej oszołomiona, bardziej zagubiona niż Stacy.

Tylko ich troje było w namiocie, brakowało Jeffa i Mathiasa.

Lewą nogę Erica pokrywały winorośle.

— Co to jest? — zapytała Stacy. — Co się dzieje?

Eric chyba jej nie słyszał. Usiadł, pochylił się do przodu i zaczął szarpać za winorośle, żeby je oderwać od ciała. Miażdżone, rozdzielane liście puszczały sok, który zaczął go parzyć, ją też parzył, kiedy przysła mu z pomocą. Winorośl oplótła jego lewą nogę, sięgnęła aż do krocza. Sperma, pomyślała Stacy, przypominając sobie, jak go zbranzłowała poprzedniej nocy. Przyciągnęła ją jego sperma. Tak, to była prawda: pnącza owinęły się nie tylko wokół nogi Erica, ale także wokół penisa i jąder. Eric usiłował się wyplątać, ciągnął

teraz ostrożnie i powtarzał w kółko: „O kurwa, o Boże o Jezu...”.

Wrzaski Pabla rozbrzmiały głośniejsze, jeśli to w ogóle było możliwe, cały namiot drżał od hałasu. Teraz Stacy słyszała także głos Mathiasa. Wołał nas, pomyślała, ale nie mogła się na tym skupić, słyszała to jakby z daleka, szarpiąc uparcie za winorośle, ręce miała nie tylko poparzone, ale wręcz poranione, pokaleczone, czubki palców zaczęły krwawić. Amy podniosła się, pospieszyła do wejścia, rozpięła suwak, wyszła z namiotu. Zostawiła uchyloną klapę i przez otwór wlało się słońce, wypełniło namiot, wlał się też upał i sprawił, że Stacy nawet w środku tego zamieszania nagle poczuła pragnienie. Wargi miała zlepione, gardło spuchnięte i obolałe.

Nie chodziło tylko o spermę Erica, zrozumiała. Również o jego krew. Winorośl przylgnęła jak pijawka do jego skaleczonego kolana.

Na zewnątrz Pablo nagle przestał wrzeszczeć.

— To jest we mnie w środku — jęknął Eric. — O Jezu... kurwa, wlało we mnie.

Mówił prawdę. Winorośl jakoś wcisnęła się do rany, otworzyła ją, poszerzyła, wepchnęła łodygę w ciało. Stacy widziała pęd pod skórą, pofalowany wzgórek, długi co najmniej na siedem centymetrów, jak gruby gmerający paluch. Eric próbował go wyjąć, ale w panice za szybko pociągnął i łodyga pękła, wypuszczając więcej soku i parząc go. Większość pędu została pod skórą.

Eric zaczął wrzeszczeć. Najpierw czysty wrzask, ale potem pojawiły się słowa.

— Przynieś nóż!

Zaszokowana Stacy nie ruszyła się z miejsca. Siedziała i patrzyła. Winorośl była w nim, pod skórą. Czy się przesuwiała?

— Przynieś ten kurewski nóż! — wrzasnął.

Wtedy zerwała się na równe nogi, skoczyła do wyjścia.

Amy zbudziła się kilka sekund po Stacy. Nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje z Erikiem, Pablo wrzeszczał tak głośno, że nic innego do niej nie docierało. Potem Mathias ich wzywał, a Stacy i Eric z jakiegoś powodu nie odpowiadali. Szarpali się i rzucali, jakby się bili. Amy nic z tego nie rozumiała — jeszcze się nie rozbudziła do końca i nie mogła zebrać myśli. Pablo wrzeszczał, nic innego się nie liczyło. Zerwała się i wyskoczyła z namiotu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wrzask był głośny, pełen bólu i nie zamierzał ucichnąć, ale specjalnie się tym nie przejmowała. W końcu Pablo złamał kręgosłup — dlaczego nie miał wrzeszczeć? Trochę to potrwa, ale wreszcie go uspokoją, jak poprzedniej nocy, i znowu zaśnie.

Na zewnątrz mrugała przez chwilę, oślepiona słońcem. Nic nie widziała, zakreśliło jej się w głowie i chciała już zanurkować z powrotem do namiotu, żeby poszukać ciemnych okularów, kiedy Mathias odwrócił się do niej z paniką w oczach. Zupełnie jakby niewidzialna ręka złapała Amy i potrząsnęła brutalnie, ogarnął ją strach.

— Pomóż mi! — zawołał Mathias. Kucnął obok noszy, pochylony nad nogami Greka, i musiał przekrzykiwać jego wrzask.

Amy szybko do niego podeszła, widząc i nie widząc jednocześnie. Skotlowany śpiwór leżał na ziemi obok Mathiasa, odsłaniając gołe nogi Pabla. Nie, nie gołe, wcale nie gołe, ponieważ pokrywały je kwitnące pnącza, pokrywały tak gęsto, że wyglądały prawie jak roślinne spodnie. Od stóp do pasa nie widać było ani kawałeczka skóry. Mathias szarpał za nie, odrywał długie łodygi i odrzucał na bok, jego dłonie i nadgarstki lśniły lepko od soku. Pablo uniósł głowę dostatecznie wysoko, żeby widzieć, próbował się dźwignąć na łokciach, ale nie dawał rady. Z wysiłku ścięgna wystąpiły mu na szyi, wrzeszczące usta tworzyły idealną literę O. Wrzeszczał tak głośno, że podchodząc do nich, Amy miała wrażenie, jakby pokonywała dosłownie fizyczną barierę, strefę niewy-

tłumaczalnie zwiększonej grawitacji. Potem ona również padła na kolana i szarpała za łodygi, a sok spływał jej po rękach, początkowo chłodny, trochę śliski, ale potem parzący tak mocno, że przerwałaby, gdyby nie ten wrzask, nieustanny wrzask, który jakby wdzierał się w nią, wypełniał jej ciało — rezonował, budził echa — coraz głośniejszy z każdą upływającą sekundą, nieznośnie głośny, nieprawdopodobnie głośny, znacznie bardziej bolesny niż poparzenia. Musiała go uciszyć, powstrzymać, ale nie знаła innego sposobu niż odrywać winorośle — szarpać, targać, rozdzierać — żeby uwolnić Pabla z ich oplotów. Wciąż widziała i nie widziała, nogi wreszcie się ukazały, błysk bieli pod kolanem, nie biel skóry, ale głębsza, jaśniejsza — wilgotna i błyszcząca — biel kości. Dalej zdejmowała winorośle, chłostana wrzaskiem Pabla, widząc i nie widząc, nie biel kości, tylko samą kość, dokładnie oczyszczoną z ciała, krew płynącą coraz szybciej, kapiącą i płynącą strumieniem, kiedy odrywana roślina odsłaniała więcej bieli, więcej białych kości, więcej kości, zamiast łydki sama kość, skóra, mięśnie i tłuszcz zjedzone, pożarte, krew kapiąca z kolana, płynąca ciurkiem, długi pęd owinięty ciasno wokół goleni, trzymający kość w mocnym uścisku, trzy kwiaty zwisające z zielonej łodygi, czerwone kwiaty, jaskrawoczerwone, krwawoczerwone.

— O mój Boże — powiedział Mathias.

Przestał odrywać winorośle, przysiadł bez ruchu, patrząc ze zgrozą na okaleczone nogi Pabla, i nagle niewidzenie Amy przestało działać, teraz widziała — kości, kwiaty, ściekającą krew — i wrzask już się nic liczył ani poparzenia, tylko kości błyszczące tą bielą i ucisk w piersiach, żołądek podchodzący do gardła, fala mdłości. Amy zerwała się, zrobiła trzy szybkie kroki w bok i zwymiotowała na ziemię.

Pablo przestał wrzeszczeć. Teraz płakał — słyszała jego szlochy i łkania. Nie odwróciła się, stała pochylona, z dłońmi opartymi na kolanach, długa strużka śliny zwisała jej z ust i kołysała się lekko, niewielka kałuża żółci rozlewała się

między jej stopami, cała cenna woda, którą ukradła w nocy, zamowiana, powoli wsiąkająca w ziemię. Jeszcze nie skończyła, czuła kolejną nadchodzącą falę i zamknęła oczy, czekając.

- Obudził się i od razu zaczął wrzeszczeć — powiedział Mathias.

Amy nie poruszyła się, nie obejrzała się na niego. Odkasznęła, wypłuła ślinę, nadal z zamkniętymi oczami.

— Ściągnąłem śpiwór. Ja nie... Wtedy nadeszło, gorsze niż pierwszy atak, zgięła się wół i gęsty strumień trysnął z jej ust. Bolało, całkiem jakby wyrzygiwała część siebie, część własnego ciała. Mathias zamilkł — pewnie patrzy, pomyślała Amy. A w chwilę później w namiocie zaczął krzyczeć Eric. Z początku tylko sam krzyk, nieartykułowany hałas, ale potem pojawiły się słowa.

— Przynies nóż!

Amy uniosła głowę, rzygowiny wciąż spływały jej z ust po brodzie, na koszulkę. Odwróciła się w stronę namiotu. Wszyscy się odwrócili — nawet Pablo przestał szlochać i podniósł głowę jak najwyżej, żeby coś zobaczyć.

— Przynies ten kurewski nóż!

Potem pojawiła się Stacy, schylona pod klapę namiotu, zawahała się na mgnienie w wejściu, spojrzała na Amy, na strużkę śliny zwisającą jej z ust, na kałużę wymiocin pomiędzy jej nogami. Stacy zmrużyła oczy w zbyt jasnym słońcu — widząc i nie widząc, pomyślała Amy — odwróciła się w stronę wiaty, w stronę Mathiasa.

- Potrzebuję noża — powiedziała.

— Po co? — spytał Mathias.

— To jest w nim. Jakoś... nie wiem... dostało się do środka.

— Co?

- Winorośl. Przez kolano. Wcisnęła się do środka. Jednocześnie jej wzrok powędrował w stronę Pablo, który znowu zaczął pochlipywać, ale teraz ciszej. Widząc i nie widząc: obnażone kości, kałuże krwi, winorośl wciąż częściowo pokrywającą nogi.

Z namiotu dobiegi głos Erica, podniesiony, pełen strachu,

— Szybciej!

Stacy zerknęła na otwartą kłapę, potem znowu na Pabla, potem na Mathiasa. Amy widziała, że tamta nic nie rozumie. że nic do niej nie dociera. Twarz miała nieruchomą. głos bezbarwny. Szok, pomyślała

— On chyba chce to wyciąć — powiedziała Stacy.

Mathias odwrócił się, pogrzebał w śmieciach obok wiaty, wśród pasków błękitnego nylonu, w stosie aluminiowych kijków. Kiedy wstał, trzymał w rękę nóż. Ruszył do namiotu, nagle jednak zatrzymał się, spojrzął na Amy, na jej stopy, na ziemię za nimi. Stacy też się obejrzała i zamarła podobnie jak on. Na ich twarzach malował się identyczny wyraz, zgroza pomieszana z niezrozumieniem, więc zanim jeszcze Amy obróciła się, żeby zobaczyć, serce jej uderzyło szybciej i adrenalina napłynęła do żył. Nie chciała patrzeć, ale niewidzenie się skończyło, nie miała już takiej możliwości. Za nią coś się poruszało, szurało. Stacy podniosła prawą rękę. zakryła usta, szeroko otwarła oczy.

Amy odwróciła się.

Żeby zobaczyć.

Widzieć.

Stała pośrodku małej polanki przed namiotem. Wyschnięta, kamienista ziemia rozciągała się na pięć metrów dookoła, a potem zaczynały się winorośle, wysoka do kolan ściana roślinności. Z tej masy zieleni tuż przed Amy wynurzyło się coś, co początkowo wzięła za olbrzymiego węża: niemożliwie długie, ciemnozielone, nakrapiane jaskrawoczerwonymi plamkami. Krwawoczerwone plamki, oczywiście wcale nie żadne plamki, tylko kwiaty, ponieważ — chociaż wąż poruszał się jak wąż, pełznął w jej stronę szerokimi esowatymi zakolami — to wcale nie był wąż. To była winorośl.

Amy cofnęła się szybko, odstepiła od kałuży. Cofała się dalej, aż zatrzymała się przed Mathiasem, który trzymał nóż opuszczony przy boku.

Pablo patrzył z noszy, również milczący.

Eric znów zawołał z namiotu, ale Amy prawie go nie słyszała. Patrzyła, jak winorośl pełznie przez polankę do białej kałuży wymiocin. Tam zawahała się, jakby obwąchiwała breję, po czym wśliznęła się do niej i zwinęła w luźną pętlę. Następnie zaczęła głośno wsysać płyn, używając chyba liści. Rozpłaszczyły się na powierzchni kałuży i wypiły ją do sucha. Amy nie umiała określić jak długo to trwało. Niezbyt długo — kilka sekund, najwyżej pół minuty — a kiedy się skończyło, kiedy kałuża znikła i został tylko wilgotny cień na kamienistej glebie, winorośl tym samym wężowym ruchem wycofała się z polany.

Stacy zaczęła krzyczeć. Przenosiła spojrzenie z Mathiasa na Amy i pokazywała winorośl, wrzeszcząc z przerażenia. Amy podeszła do niej, objęła ją, przytuliła, głaskała, usiłowała uciszyć. Obie patrzyły, jak Mathias je mija, idąc z nożem do namiotu.

Eric przestał krzyczeć, kiedy usłyszał wrzask Stacy. Ręce i nogi go paliły od soku winorośli, a pod skórą ciągle tkwił kilkucentymetrowy pęd, tuż na lewo od kości piszczelowej, równoległe do niej. Rusza się, pomyślał, chociaż może przesunął się pod wpływem ruchów jego ciała — spazmatycznych skurczów mięśni. Chciał się tego pozbyć — tylko tyle wiedział — i potrzebował noża, żeby to usunąć, wyciąć ze swojego ciała.

Ale co się tam działo? Dlaczego Stacy wrzeszczała?

Zawołał do niej:

— Stacy?

A po chwili do namiotu wsunął się Mathias z nożem w ręku z zaciętym wyrazem twarzy. To strach, zrozumiał Eric.

- Co jest? — zapytał. — Co się dzieje?

Mathias nie odpowiedział. Patrzył na Erica. Pokaż mi — zażądał.

Eric wskazał na swoją ranę. Mathias kucnął obok niego i przez chwilę wpatrywał się w długie wyrzuszenie pod skórą. Znowu się poruszało, robaczkowym ruchem, jakby chciało zagrzebać się w Ericu. Na zewnątrz Stacy wreszcie przestała wrzeszczeć.

Mathias podniósł nóż.

- Chcesz sam? - zapytał. — Czy ja?

- Ty.

— Będzie bolało.

— Wiem.

— Nie jest wysterylizowany.

— Proszę, Mathias. Zrób to.

— Może nie powstrzymamy krwawienia.

To nie ruchy mięśni, uświadomił sobie Eric. To winorośl: przesuwająca się samodzielnie, wpychała się głębiej w nogę, jakby wyczuwała obecność noża. O mało nie wrzasnął: zacisnął zęby, żeby się opanować. Pocił się, całe ciało miał śliskie od potu.

— Szybciej — rzucił.

Mathias usiadł okrakiem na udzie Erica, przycisnął jego nogę do podłogi namiotu. Zastłonił sobą widok, Eric nic nie widział. Poczł jednak ukłucie noża, zaskowylał i szarpnął się, ale Mathias go nie puścił, unieruchomił go ciężarem swojego ciała. Eric zamknął oczy. Nóż wciał się głębiej, przesunął się wzdłuż nogi trochę jak zamek błyskawiczny, a potem palce Mathiasa zanurzyły się w ciało, chwyciły kawałek winorośli, wyciągnęły z rany. Mathias odrzucił pęd w stronę sterty zapasów w głębi namiotu. Eric usłyszał, jak łodyga plasnęła mokro o brezentową podłogę.

— O Jezu — powiedział. — O kurwa.

Czuł, jak Mathias uciska ranę, usiłuje zatamować świeży krwotok. Otworzył oczy. Zobaczył nagie plecy Mathiasa, który zdjął koszulkę i zrobił z niej prowizoryczny bandaż.

— W porządku — powiedział. — Wyciągnąłem.

Przez kilka minut trwali bez ruchu i obaj próbowali złapać

oddech. Mathias całym ciężarem naciskał na rozcięcie. Eric myślał, że Stacy przyjdzie zobaczyć, co z nim, ale nie przyszła. Słyszał, jak Pablo płacze. Dziewczęta się nie pokazały.

— Co się stało? - spytał wreszcie. — Co się stało na dworze?

Mathias nie odpowiedział.

Eric spróbował jeszcze raz.

— Dlaczego Stacy wrzeszczała?

— Jest źle.

— Co?

— Musisz sam zobaczyć. Nie mogę... — Mathias pokręcił głową. —

Nie wiem, jak to opisać.

Eric zamilkł i próbował coś z tego zrozumieć.

— Chodzi o Pabla? — upewnił się.

Mathias przytaknął.

— Coś mu się stało?

Mathias ponownie przytaknął.

— Co z nim?

Mathias wykonał niejasny gest i Eric poczuł ucisk w piersiach: frustrację. Żałował, że nie widzi twarzy Niemca.

— Powiedz mi — poprosił.

Mathias wstał. Trzymał w ręku swój podkoszulek, zgnieciony w kulę, ciemny od krwi.

— Możesz wstać? — zapytał.

Eric spróbował. Noga wciąż krwawiła i nie mógł oprzeć się na niej całym ciężarem. Zdołał jednak się podnieść, chociaż o mało nie upadł. Mathias złapał go za łokieć, podtrzymał, pomógł dokuśtykać do otwartej klapy namiotu.

Jeff zastał całą czwórkę na polance. Siedzieli obok namiotu. Kiedy go zobaczyli, wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Amy prawie ła.

— Co ty tu robisz? — pytała go ciągle.

Okazało się, że ponieważ nie było go tak długo, zaczęli myśleć, że znalazł drogę ucieczki, przekradł się obok strażników i umknął w dżungłę, że właśnie zmierza do Coba, że pomoc wkrótce nadejdzie. Omawiali ten scenariusz tak szczegółowo, wyobrażali sobie kolejne etapy jego podróży, obliczali limit czasu — czy zatrzyma przejeżdżający samochód, jak już dojdzie do drogi, czy będzie musiał pokonać na piechotę całe siedemnaście kilometrów? I czy to tylko siedemnaście kilometrów? I czy policja przybędzie natychmiast, czy też muszą najpierw zebrać dostateczne siły, żeby pokonać Majów? - że Amy widocznie przeniosła się z krainy mętnych możliwości w dużo wyraźniejszą, czysto zakreśloną sferę prawdopodobieństwa. Ucieczka Jeffa była nie czymś, co może się zdarzyć, ale czymś, co się zdarzyło.

W kółko to samo pytanie:

— Co ty tutaj robisz?

Kiedy jej powiedział, że był na dole, że obszedł całe wzgórze dookoła, popatrzyła na niego, nie rozumiejąc, jakby oznajmił, że rano grał w tenisa z Majami.

Z Erikiem coś było nie tak. Ciągle wstawał, kuśtykał dookoła, gadał i nie dopuszczał innych do głosu, a potem znowu siadał, wyciągając przed siebie zranioną nogę. Nosił teraz szorty — wyszabrowane z któregoś plecaka, zakładał Jeff. Siedział przez chwilę, kołysząc się lekko, popatrując na zaschniętą krew na kolanie i łydce, po czym znowu się zrywał i gadał, gadał, gadał. Winorośl weszła w niego: o tym właśnie mówił, powtarzał w kółko, nie zwracając się do nikogo, nie czekając na odpowiedź, nawet się jej nie spodziewając. Wyciągnęli ją, ale wciąż w nim tkwiła.

Stacy wyjaśniła Jeffowi, co się stało z Erikiem, jak winorośl wpełnęła się przez ranę w nodze, kiedy spał, jak Mathias wyciął pęd nożem. Początkowo wydawała się znacznie spokojniejsza niż pozostali, zadziwiająco spokojna. Ale nagle w połowie zdania zmieniła temat.

— Oni przyjadą dzisiaj — powiedziała zniżonym, nagłym tonem.

- Prawda?

— Kto?

— Grecy.

— Nie wiem — zaczął Jeff, ale zobaczył wyraz jej twarzy, drżenie zniekształcające rysy, przerażenie, więc zmienił zamiar. — Może - przyznał. — Może dzisiaj po południu.

— Muszą.

— Jeśli nie dzisiaj, to może...

Stacy przerwała mu podniesionym głosem.

— Nie możemy spędzić tutaj jeszcze jednej nocy, Jeff. Oni muszą dzisiaj przyjechać.

Jeff zamilkł i zagapił się na nią, zaskoczony.

Stacy przez chwilę patrzyła na Erica, który chodził w kółko i mamrotał. Potem wychyliła się do przodu, dotknęła ramienia Jeffa.

— Winorośl może się poruszać — szepnęła. Obejrzała się na niską ścianę roślinności otaczającą polankę, jakby się bała, że coś ją podsłucha. — Amy zwymiotowała i to przypelzło. — Zrobiła wężowy ruch ramieniem. — Przypelzło i wypilo wszystko.

Jeff czuł, że wszyscy go obserwują, jakby się spodziewali, że zaprzeczy, oświadczy, że to niemożliwe. On jednak tylko kiwnął głową. Wiedział, że winorośl może się poruszać — w istocie wiedział znacznie więcej.

Kazał Ericowi usiąść, żeby obejrzeć jego nogę. Rozcięcie na kolanie znowu się zasklepiło, strup był ciemnoczerwony, prawie czarny, skóra wokół zaogniona, wyraźnie gorąca w dotyku. Pod raną znajdowała się druga, prostopadła do niej, biegnąca po lewej stronie goleni Erica, jakby ktoś wyrzwał mu w ciele dużą literę T.

- Wygląda dobrze — stwierdził. Chciał tylko uspokoić Erica, uciszyć go, wcale nie uważał, że rana dobrze wygląda.

Posmarowali skaleczenia neosporinem z apteczki, skóra na

nodze błyszczała od żelu, w którym tkwiły grudki brudu. Dlaczego tego nie zabandażowaliście?

— Próbowaliśmy — odpowiedziała Stacy. - Ale on ciągle zrywał bandaż. Mówi, że chce to zobaczyć.

— Dlaczego?

— To urośnie, jeśli nie będziemy pilnować — wyjaśnił Eric.

— Przecież to wyciągnąłeś. Jak...

— Wyjęliśmy tylko duży kawałek. Reszta ciągle jest we mnie. Czuję to. - Wskazał swoją łydkę. — Widzisz? Jak nabrzmiała?

— Po prostu spuchła, Eric. To naturalne. Zwykła reakcja na uraz.

Eric odrzucił te słowa niecierpliwym gestem, w jego głosie pojawiło się napięcie.

— Bzdura. To cholerstwo rośnie tam w środku. — Dźwignął się na nogi, pokuśtykał przez polaną. — Muszę się stąd wydostać. Muszę iść do szpitala.

Jeff patrzył na niego, zaskoczony jego wzburzeniem. Amy wciąż wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać. Stacy załamywała ręce.

Mathias miał na sobie ciemnozieloną koszulę, widocznie wyciągnął ją z któregoś plecaka. Przez cały czas ani razu się nie odezwał. Teraz jednak powiedział swoim cichym głosem. z prawie niezauważalnym akcentem:

— To jeszcze nie jest najgorsze.

Odwrócił się, spojrzał na Pabla.

Pablo. Jeff zapomniał o Pablu. Zerknął na niego przelotnie, kiedy wszedł z powrotem na polaną, Grek leżał tak spokojnie pod wiatą, z zamkniętymi oczami. Dobrze, pomyślał Jeff, śpi. A potem się zaczęło: Amy powtarzała swoje dziwne pytanie — „Co ty tu robisz?”. Stacy martwiła się o przyjazd Greków, a Eric upierał się, że winorośl rośnie w jego ciele, to wszystko nie miało sensu, rozproszyło jego uwagę, skierowało myśli w niewłaściwą stronę.

Najgorsze.

Jeff podszedł do wiary Mathias ruszył za nim: pozostali patrzyli z drugiego końca polanki, jakby bali się podejść bliżej. Pablo leżał na noszach, nakryty śpiworem od pasa w dół. Nie wyglądał inaczej, więc Jeff nie rozumiał, dlaczego ogarnęło go złe przeczucie. Ale czuł ucisk w piersi, bliskość niebezpieczeństwa.

— Co? — zapytał.

Mathias przykucnął i ostrożnie ściągnął śpiwór. , Przez długą chwilę Jeff nie rozumiał. Patrzył, widział, ale nie przyjmował informacji, której dostarczyły mu oczy.

Najgorsze.

To niemożliwe. No bo jak?

Obie nogi od kolan w dół zostały prawie całkowicie obrane z ciała. Kości, ścięgna i sznurowate skrzepy poczerńiałej krwi: tylko tyle zostało. Mathias i inni założyli opaski na oba uda Greka, żeby zamknąć arterie udowe. Użyli pasków nylonu z niebieskiego namiotu. Jeff nachylił się nisko, żeby je obejrzeć, próba ucieczki — sam to przyznawał, w ten sposób nie musiał patrzeć na obnażone kości. Chciał zająć czymś umysł chociaż na chwilę, potrzebował czasu, żeby przywyknąć do tego nowego horroru. Nigdy dotąd nie zakładał opaski, ale czytał o nich i wiedział — przynajmniej abstrakcyjnie — jak je stosować. Należało je rozluźnić w regularnych odstępach czasu, a potem znowu zacieśniać, ale Jeff nie pamiętał, jak często ani nawet czemu to służyło

Nieważne, przypuszczał.

Nie: wiedział, że to nieważne.

— Winorośle'? — zapytał.

Mathias przytaknął.

- Kiedy je oderwaliśmy, krew zaczęła sikać. Widocznie jakoś ją tamowały, a kiedy ich zabrakło... — wykonał gest rozlewania.

Pablo miał zamknięte oczy, jakby spał, ale dłonie były Zaciśnięte, skóra na kłykciach napięta do białości.

— Czy on jest przytomny? — zapytał Jeff.

Mathias wzruszył ramionami.

— Trudno powiedzieć. Z początku wrzeszczał, potem przestał i zamknął oczy. Obracał głową na obie strony i krzyknął raz. Ale więcej nie otworzył oczu.

Pablo wydzieliał dziwnie słodki zapach, od którego żołądek się wywracał. Jeff wiedział, że to woń rozkładu. Nogi Greka zaczynały gnić. Potrzebował operacji, musiał się dostać do szpitala — jak najszybciej. Pomoc powinna nadejść dziś wieczorem, żeby przeżył. Jeśli nie, przez następne dni będą patrzeć, jak Pablo umiera.

Albo istniało trzecie wyjście.

Jeff był właściwie pewny, że pomoc nie nadejdzie przed nocą. I nie chciał patrzeć na umieranie Pabla. Ale trzecie wyjście... wiedział, że inni nie są do tego gotowi, ani trochę — czy w sensie pomysłu, czy w sensie praktycznym. A jeśli zamierzał to przeprowadzić, oczywiście potrzebował ich pomocy.

Więc z zamiarem przygotowania ich, zahartowania, odwrócił się od okaleczonego ciała Pabla i zaczął opowiadać o własnych odkryciach z tego ranka.

Zważywszy wszystko, co widziała od świtu — jak winorośle wpełchnęły się do rany Erica, obrały z mięsa nogi Pabla, przepelzły polanę, żeby wysać wymiociny Amy — Stacy nie była specjalnie zaskoczona rewelacjami Jeffa. Słuchała go z dziwnym odrętwieniem, jedynym przejawem emocji był niski pomruk irytacji pod adresem Erica, który nadal chodził po polance i nie zwracał żadnej uwagi na Jeffa oraz jego historię. Stacy chciała, żeby usiadł, żeby przestał obsesyjnie rozpamiętywać całkowicie wymyśloną, jej zdaniem, obecność rośliny w swoim ciele. Nie miał w sobie rośliny, sam pomysł wydawał jej się absurdalny, niepotrzebnie straszny. Lecz Eric nie dawał się przekonać. Chodził dalej

i tylko od czasu do czasu przystawał, żeby krzywiąc się, grzebać w swoich ranach. Mogli najwyżej starać się po ignorować.

Z powodu winorośli uwięziono ich na wzgórzu: do tego sprowadzało się sedno wypowiedzi Jeffa. Majowie wykarczowali polanę dookoła podstawy wzgórza i posypali ziemię solą, żeby poddać roślinę kwarantannie. Jeff miał teorię, że winorośl rozprzestrzenia się przez dotyk. Kiedy jej dotknęli, zebrali jej nasiona, spory czy cokolwiek służyło jej do reprodukcji, i gdyby przekroczyli oczyszczony pas ziemi, zanieśliby je ze sobą. Dlatego Majowie nie pozwolili im zejść ze wzgórza.

— A ptaki? — zapytał Mathias. — Czy one...

— Nie ma żadnych ptaków — odparł Jeff. — Nie zauważyłeś? Żadnych ptaków, żadnych owadów... nie ma tu nic żywego oprócz nas i rośliny.

Wszyscy rozejrzeli się po polanie, jakby szukając czegoś na obalenie tych słów.

— Ale skąd one wiedzą, żeby trzymać się z daleka? — spytała Stacy.

Wyobraziła sobie, jak Majowie zatrzymują ptaki, moskity i muchy, tak jak usiłowali zatrzymać ich sześcioro, jak łysy mężczyzna grozi pistoletem małym stworzonkom, krzyczy na nie, odpędza precz. Skąd ptaki wiedziały, że muszą zawrócić, chociaż ona nie wiedziała?

— Ewolucja — wyjaśnił Jeff. — Te, które wylądowały na wzgórzu, zginęły. Te, które nauczyły się je omijać, przeżyły.

— Wszystkie? — zapytała A my z powątpiewaniem.

Jeff wzruszył ramionami.

— Patrz. — Miał na koszuli plastikowe guziki przy kieszeniach, oderwał jeden i cisnął w winorośle.

Zobaczyli błyskawiczny skok. smugę zieleni.

— Widzisz, jakie są szybkie? — powiedział, dziwnie zadowolony, jakby dumny z umiejętności roślin. — Wyobraź sobie, że to był ptak. Albo owad. Nie miałby szans.

Nikt nie skomentował, wszyscy wpatrywali się w otaczającą ich roślinność, jakby czekali na następny ruch. Stacy przypomniała sobie długie ramię pełznące ku niej przez polane, odgłos ssania, jaki wydawało, pijąc wymiociny Amy. Zorientowała się, że wstrzymuje oddech, aż zakręciło jej się w głowie, świadomie zmusiła się do wydechu... wdechu... wydechu.

Jeff oderwał guzik z drugiej kieszeni i też go rzucił. Ponownie coś śmignęło.

— A teraz najbardziej zadziwiające — oznajmił i sięgnął do kołnierza, urwał trzeci guzik z koszuli, rzucił go w winorośle.

Nic się nie stało.

— Widzicie? — uśmiechnął się do nich. Znowu promieniał z dumy, chyba nie mógł się powstrzymać. — One się uczą. One myślą.

— Co ty wygadujesz? — obruszyła się Amy, jakby urażona słowami Jeffa. Albo przestraszona: w jej głosie pojawił się ostry ton.

— Przewróciły mój znak.

— Twierdzisz, że one umieją czytać'?

— Twierdzą, że wiedziały, co robię. Wiedziały, że jeśli chcą nas zabić bez przeszkód... i może innych, którzy tu trafią... muszą usunąć znak. Tak jak usunęły ten.

Kopnął blaszaną brytfannę z pojedynczym hiszpańskim słowem wydrapanym na dnie.

Amy parsknęła śmiechem. Nikt inny się nie roześmiał. Stacy słyszała wszystko, co mówił Jeff, ale nie rozumiała znaczenia, nie docierało do niej, że mówił dosłownie. *Rośliny dążą do światła*, myślała. Nawet jakimś cudem przypomniała sobie nazwę tego odruchu — przelotna wizja lekcji biologu w szkole średniej, zapach pyłu kredowego i formaldehydu, lepkie kulki wyschniętej gumy do żucia przyklepione na spodzie ławki — banieczka powietrza uniosła się ku powierzchni jej umysłu i pękła z trzaskiem: fototropizm. Kwiaty otwierają się rano i zamykają na noc: korzenie sięgają w stronę wody.

To było dziwaczne, niesamowite i przerażające, ale nie oznaczało tego samego co myślenie.

— To absurd — oświadczyła Amy Rośliny nie mają mózgu, nie mogą myśleć.

— Rosną prawie na wszystkim, tak? Na wszystkim organicznym. — Jeff wskazał swoje dżinsy, na których kiełkował bladezielony meszek.

Amy kiwnęła głową.

— Więc czemu lina była taka czysta? — zapytał Jeff.

— Nie była. Dlatego się zerwała. Winorośl...

— Ale dlaczego lina w ogóle została? To coś objadło z ciała nogi Pabla w ciągu jednej nocy. Dlaczego nie zjadło też liny?

Amy zmarszczyła brwi. wyraźnie nie miała odpowiedzi.

— To była pułapka — oznajmił Jeff. — Nie rozumiesz? Zostawiły linę, bo wiedziały, że ktokolwiek tutaj przyjdzie, w końcu postanowi zajrzeć do szybu. A wtedy one przepalą linę i...

Amy niedowierzająco rozłożyła ręce.

— To roślina, Jeff. Rośliny nie są świadome. Nie...

— Proszę — przerwał jej Jeff Sięgnął do kieszeni, opróżnił je jedna za drugą. Na ziemię u ich stóp spadły cztery paszporty. dwie pary okularów, obrączki, kolczyki, korale. — Oni wszyscy nie żyją. Tylko tyle z nich zostało. To i kości. I mówię ci, że to zrobiły winorośle. Zabiły ich. A teraz, nawet w tej chwili, planują nas też zabić.

Amy uparcie pokręciła głową.

— Winorośle ich nie zabiły, tylko Majowie. Próbowali uciec i Majowie ich zastrzelili. Winorośle tylko zabrały ich martwe ciała. To nie wymaga myślenia. Nie...

— Rozejrzyj się dookoła, Amy.

Amy obróciła się, spojrzała na polanę. Wszyscy się rozejrzeli, nawet Eric. Amy podniosła ręce.

— Co?

Jeff przemierzył polanę, wszedł w winorośle. Po kilku bokach dotarł do jednego z tych dziwnych, wysokich do pasa

kopców. Kucnął obok niego, zaczął szarpać za łodygi. Poparzy się, pomyślała Stacy, ale widziała, że nie dbał o to. Odciągał rośliny, aż zaczęła dostrzegać fragmenty żółtawej bieli pokrytej masą zieleni. Kamienie, pomyślała, wiedząc, że się myli, kiedy jeszcze formowała w głowie to słowo. Jeff sięgnął do środka kopca, wyciągnął coś prawie kulistego, pokazał mi. Stacy nie chciała tego widzieć, tylko w ten sposób mogła sobie wytłumaczyć, dlaczego tak dużo czasu jej zabrało rozpoznanie tego przedmiotu, tak powszechnie znanego, tego uśmiechniętego halloweenowego symbolu, tej pirackiej flagi zwisającej z masztu ramienia Jeffa, biednego Yoryka niewyczerpanego w żartach. Pokazywał im czaszkę. Musiała powtórzyć w myślach to słowo, żeby je w pełni przyswoić, żeby uwierzyć. Czaszka, czaszka, czaszka...

Potem Jeff zatoczył łuk ręką i wszystkie głowy obróciły się jednocześnie w ślad za tym gestem. Kopce były wszędzie, jak sobie uświadomiła Stacy. Zaczęła je liczyć, dotarła do dziewięciu i dalej nie mogła, chociaż jeszcze dużo zostało.

— Zabili ich wszystkich — oświadczył Jeff. Wrócił do nich, wycierając ręce o spodnie. — Winorośle, nie Majowie. Jednego po drugim, zabili wszystkich.

Eric wreszcie się zatrzymał.

— Musimy się przedrzeć — powiedział.

Wszyscy obejrzeni się na niego. Drygał szybko ręką opuszczoną wzdłuż boku, jakby przytrzasnął sobie palce szufladą i usiłował strząsnąć ból. Robił się coraz bardziej nerwowy i niespokojny.

— Możemy zrobić tarcze. Może dzidy. Zaatakujemy ich. Wszyscy razem. Możemy...

Jeff przerwał mu prawie z lekceważeniem.

— Oni mają karabiny — przypomniał. — Co najmniej dwa, może więcej. A nas jest tylko pięcioro. Ile mamy... pięćdziesiąt kilometrów do miasta? I Pablo...

Ręka Erica zaczęła drgać szybciej, niemal niedostrzegalnie palce trzaskały.

- Nie możemy po prostu tutaj siedzieć!
- Eric...
- To jest we mnie!

Jeff stanowczo pokręcił głową. Głos też miał stanowczy, zadziwiająco mocny.

— To nieprawda. Może tak ci się zdaje, ale to nieprawda. Przysięgam.

Eric oczywiście nie miał powodu, żeby mu wierzyć. Jeff po prostu wykorzystywał swój autorytet — nawet Stacy to rozumiała. Niemniej chyba podziałało. Widziała, jak Eric się poddaje, jak napięcie odpływa z jego mięśni. Osunął się na ziemię, usiadł z kolanami przyciśniętymi do piersi, zamknął oczy. Stacy wiedziała jednak, że to nie potrwa długo, wkrótce Eric znowu się poderwie i zacznie przemierzać polanę. Ponieważ kiedy Jeff się odwrócił, przekonany, że rozwiązał ten problem i może się zająć następnym, zobaczyła, jak ręka Erica przesuwa się z powrotem w stronę goleni, w stronę rany, w stronę delikatnej opuchlizny wokół jej brzegów.

Każde wzięło łyk wody. Usiedli w luźnym kręgu na polanie obok wiaty Pabla i podawali sobie plastikowy kanister z rąk do rąk. Amy nie myślała o swoim ślubowaniu z poprzedniej nocy — obietnicy, że przyzna się do kradzieży i zrezygnuje z porannej racji — przyjęła przydzielony łyk bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Za bardzo była spragniona, żeby postąpić inaczej, za bardzo chciała wypłukać z ust kwaśny smak wymiotów.

Grecy przyjadą, powtarzała w duchu i z każdą upływającą chwilą wyobrażała sobie, dokąd już dotarli, jak śmieją się i wygłupiają na dworcu autobusowym w Cancun, kupują bilety ze swoimi wydrukowanymi nazwiskami — Juan i Don Kichot — jak się z tego cieszą, klepią się nawzajem po ramionach, wymieniają psotne uśmiechy. Potem jazda auto-

busem, targowanie się o taksówkę, długa wędrówka ścieżką przez dżunglę do pierwszej polany. Amy zdecydowała, że pominą wioskę Majów — jakimś sposobem wiedzieli lepiej - znajdą drugą ścieżkę i pobiegną po niej, może ze śpiewem. Widziała już ich twarze, głęboko zdumione, kiedy wyłonią się spomiędzy drzew i ujrzą przed sobą wzgórze pokryte winoroślą, a u podnóża stoi ona, Jeff, Stacy albo Eric i machają do nich, żeby odeszli, sygnalizują zagrożenie, pokazują na migi swoją trudną sytuację. I Grecy znowu rozumieją. Zawrócą, znikną w dżungli, sprowadzą pomoc. Zdawała sobie sprawę, że to się stanie dopiero za parę godzin. Było jeszcze tak wcześnie. Juan i Don Kichot nawet jeszcze nie dotarli na dworzec autobusowy, może nawet jeszcze nie wstali. Ale przyjadą. Nie mogła sobie pozwolić na to, żeby zwątpić. Tak, nieważne, czy winorośle mają złe zamiary, czy — jak twierdził Jeff — potrafią myśleć i knują ich zgubę, ponieważ Grecy spieszyli im na pomoc. Lada chwila obudzą się, wezmą prysznic, zjedzą śniadanie,

Jeff kazał im opróżnić plecaki, żeby zinwentaryzować jedzenie, które zabrali ze sobą.

Stacy wyjęła zapasy swoje i Erica: dwa nadgniłe z wyglądu banany, mała butelka wody, torebka precelków, nieduża puszka mieszanych orzechów.

Amy rozpięła plecak Jeffa, wyciągnęła dwie butelki mrożonej herbaty, dwa proteinowe batoniki, pudełko rodzynek, plastikową torebkę z brązowiejącymi winogronami.

Mathias dołożył pomarańczę, puszkę coca-coli, rozmiękła kanapkę z tuńczykiem.

Oczywiście wszyscy byli głodni, mogli zjeść wszystko od razu i wcale by się nie nasycili. Ale Jeff im nie pozwolił. Kucnął nad skromną kupką jedzenia i przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami, jakby w nadziei, że samą siłą koncentracji zdoła jakoś ją powiększyć — podwoić, potroić - i cudem zapewnić im dostateczną ilość pożywienia, żeby przetrwali tutaj tak długo, jak trzeba.

Tak długo, jak trzeba. Tego właśnie zwrotu używał — obiektywnie i z dystansem — co wzbudziło w niej przelotny gniew. Grecy przyjadą dzisiaj po południu. Dlaczego z takim uporem nie chciał tego przyznać? Znajdą sposób, żeby ostrzec tych dwóch, zawrócić ich, wysłać po pomoc, ratunek nadejdzie przed nocą. Nie musieli racjonować jedzenia. Jeff popadał w alarmistyczne skrajności. Później będą się z niego wyśmiewać, myślała Amy, przedrzeźniać, jak wziął kanapkę z tuńczykiem, rozpakował ją i podzielił nożem na pięć równych części. Przez chwilę wyobrażała sobie ten scenariusz — wszyscy z powrotem na plaży w Cancun, śmiejący się z Jeffa. Ona rozsunie kciuk i palec wskazujący na jakieś dwa centymetry, że by pokazać wszystkim, jak małe porcje wydzielał, jak absurdalnie małe — tak, naprawdę, nie większe od krakersa — mogła je na raz włożyć do ust. I właśnie to robiła, widząc w myślach przyszłą szczęśliwą scenę — jutro, wykąpana i wypoczęta, na plaży z kolorowymi ręcznikami — otworzyła usta, włożyła do środka kwadracik kanapki, przeżuła kilka razy, połknęła i po wszystkim.

Inni zwlekali ze swoimi porcjami, odgryzali malusieńkie kęski jak myszki — i Amy poczuła szarpnięcie żalu. Dlaczego nie pomyślała, żeby tak zrobić, żeby przedłużyć tę czynność, rozciągnąć coś nie zasługującego nawet na miano przekąski do rozmiarów niemal posiłku? Chciała odzyskać swoją porcję, dostać całkiem nową, żeby ją skonsumować wolniej. Ale jedzenie znikło, nieodwracalnie powędrowało do żołądka i teraz Amy musiała siedzieć i czekać, podczas gdy tamci marudzili nad swoimi kawałeczkami, nadgryzali, obwąchiwali, smakowali. Nagle zebrało jej się na płacz — nie, przez cały ranek chciało jej się płakać, właściwie już odkąd weszli na wzgórze, ale teraz jeszcze bardziej. Szamotała się w głębokiej, głębokiej wodzie i próbowała udawać, że to nieprawda, i to ją Wykańczało — szamotanina, udawanie — nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma. Chciała więcej wody, więcej jedzenia chciała wrócić do domu, chciała, żeby Pablo nie leżał tam

pod wiatą z nogami objęzonymi do kości. Chciała tego wszystkiego i jeszcze więcej, ale to było niemożliwe, więc dalej się szamotała i udawała, i wiedziała, że lada chwila zostanie pokonana, przestanie się szamotać, przestanie udawać, podda się i utonie.

Puścili w obieg plastikowy kanister i każde wzięło jeszcze po łyku, żeby splukać jedzenie.

— Co z Pablem? — zapytał Mathias.

Jeff zerknął w stronę wiaty.

— Wątpię, czy utrzyma coś w żołądku.

Mathias pokręcił głową.

— Chodziło mi o jego plecak.

Rozejrzeli się za plecakiem Pabla. Leżał obok Jeffa, który sięgnął, rozpiął suwak, wyciągnął trzy butelki tequili, jedną po drugiej, potem obrócił plecak do góry nogami i potrząsnął. Wypadło kilka celofanowych pakiecików: słone krakersy. Stacy roześmiała się, podobnie Amy, co sprawiło jej ulgę. Poczula się lepiej, prawie normalnie. W głowie jej się trochę przejaśniło, ciężar na sercu zmaleł. Trzy butelki tequili — co ten Pablo sobie myślał? Wyobrażał sobie, że dokąd jada? Amy chciała dalej się śmiać, przedłużyć tę chwilę, podobnie jak tamci przedłużali spożywanie swoich skromniutkich porcyjek tuńczyka, ale chwila okazała się zbyt śliska, zbyt szybka. Stacy umilkła i wtedy śmiała się tylko Amy, nie mogła sama tego podtrzymywać. Ucichła i patrzyła, jak Jeff wsuwa butelki z powrotem do plecaka, zanim dorzucił krakersy do skąpego zapasu jedzenia. Widziała, jak oblicza w myślach, decyduje, co powinni zjeść i kiedy. Najpierw łatwo psujące się produkty, zakładała — banany, winogrona i pomarańcza — wydzielane kawałek po kawałku. W ustach smak tuńczyka mieszał się z długotrwałym posmakiem wymiotów. Żołądek ją bolał, brzuch wydawał się dziwnie wzdęty, chciała więcej jedzenia. Jeff dał im za mało, to jej się wydawało oczywiste. Musiał cos jeszcze dołożyć — przynajmniej krakersa, cząstkę pomarańczy, garść winogron.

Amy rozejrzała się po luźnym kręgu, który utworzyli. Eric do niego nie należał: znowu kuśtykał tam i z powrotem, co jakiś czas przystawał, schylał się i oglądał swoją nogę. Mathias patrzył, jak Jeff układa kupkę jedzenia, Stacy marudziła nad nędzną resztką kanapki, odgryzała małe kęsy i żuła przez długi czas, z zamkniętymi oczami. Grecy przyjadą — zjawią się tutaj za parę godzin — to śmieszne, żeby tak skąpo wydzielać jedzenie, ktoś powinien powiedzieć prawdę. Ale żadne z tamtych nie zamierzało się odzywać, rozumiała Amy. Nie, jak zwykle ona będzie musiała zabrać głos: ta zrzęda, ta płaksa, która wiecznie biadoli.

— Jedno z nas musi zejść na dół i wypatrywać Greków — oznajmił Jeff. — I myślę, że powinniśmy wykopać latrynę... teraz, zanim słońce wszędzie wyżej. I...

— Czy tylko tyle mamy? — spytała Amy.

Jeff podniósł głowę, spojrzał na nią. Nie zrozumiał, o co jej chodzi. Amy wskazała kupkę żywności.

— Do jedzenia — wyjaśniła.

Kiwnął głową. Tylko tyle, krótkie skinienie głowy. Widocznie jej pytanie nawet nie zasługiwało na odpowiedź. Nie dopuszczał żadnej dyskusji, żadnych argumentów. Amy obejrzała się na innych, oczekując poparcia, ale oni jakby jej nie usłyszeli. Wszyscy patrzyli na Jeffa, czekali, żeby mówił dalej. Jeff wahał się jeszcze przez chwilę, sprawdzał, czy Amy skończyła. Owszem, skończyła. Wzruszyła ramionami, odwróciła wzrok, podporządkowała się grupie. Pod tym Względem była tchórzem i wiedziała o tym. Mogła narzekać, mogła się dąsać, ale nie mogła się zbuntować.

— Mathias i ja zajmujemy się kopaniem — podjął Jeff. — Eric powinien chyba odpocząć... w namiocie, nie na słońcu, to znaczy, że jedna z was musi zejść na dół, a druga zostanie tutaj z Pablem. — Spojrzał na Stacy i Amy.

Stacy nie uważała, oczy wciąż miała zamknięte i smakowała resztkę tuńczyka. Amy czuła coraz silniejszą potrzebę oddania

moczu, górującą nad głodem, pragnieniem i ogólnym dyskomfortem. Wstrzymywała się przez cały ranek, bo nie chciała znowu sikać do butelki, czekała na okazję, żeby wymknąć się niepostrzeżenie i wysiusiać gdzieś na uboczu. Głównie dlatego się zgłosiła, nie zastanawiała się, co zrobi całkiem sama u stóp wzgórza, patrząc na Majów po drugiej stronie nagiego pasa ziemi — nie, chciała tylko kucnąć na ścieżce, poza zasięgiem wzroku pozostałych, z dżinsami opuszczonymi do kostek, z kałużą moczu powoli rozlewającą się między nogami.

— Ja pójde — powiedziała.

Jeff kiwnął głową na zgodę.

— Włóż kapelusz. I ciemne okulary. I postaraj się nie ruszać za bardzo. Musimy odczekać kilka godzin, zanim znowu napijemy się

Amy zrozumiała, że ją odprawił. Wstała, wciąż myśląc tylko o swoim pęcherzu, o uldze czekającej na dole. Założyła kapelusz i okulary przeciwsłoneczne, zawiesiła aparat fotograficzny na szyi i ruszyła przez polanę. Postawiła właśnie stopę na ścieżce, kiedy Jeff zawołał za nią:

— Amy!

Odwróciła się i zobaczyła, że Jeff biegnie do niej. Kiedy ją dogonił, wziął ją za łokieć i powiedział zniżonym głosem:

— Jeśli trafi ci się szansa ucieczki, nie wahaj się. Uciekaj.

Amy nie odpowiedziała. Nie zamierzała próbować ucieczki — ten pomysł wydawał jej się niedorzeczny, bezsensowne ryzyko. Przecież Grecy przyjadą, pewnie już się budzą, biorą prysznic, pakują plecaki.

— Musisz tylko dostać się do dżungli... chociaż parę kroków w głąb. Potem padnij na ziemię. Jest tak gęsto, że pewnie cię nie znajdą. Oczekaj jakiś czas, a potem odejdz. Ale ostrożnie. Najbardziej widoczna jesteś w ruchu.

— Nie zamierzam uciekać, Jeff.

— Mówię tylko, że gdyby ci się trafiła...

— Przecież Grecy przyjadą. Po co mam uciekać?
Teraz Jeff nie odpowiedział. Patrzył na nią z twarzą bez wyrazu.

— Zachowujesz się tak, jakby nie mieli przyjechać. Nie pozwalasz nam jeść ani pić, ani...

— Nie wiemy, czy przyjadą.

— Oczywiście, że przyjadą.

— A jeśli przyjadą, nie wiemy, czy nie skończą na wzgórzu razem z nami.

Pokręciła głową, jakby uznała to za absurd nie zasługujący na uwagę.

— Nie pozwolę im.

Jeff znowu nie odpowiedział. Twarz mu się lekko zachmurzyła.

— Ostrzegę ich, żeby nie podchodzili — upierała się Amy.

Patrzył na nią w milczeniu przez długą chwilę i wyczuwała, że toczył wewnętrzną walkę, rozważał, czy powiedzieć coś więcej, czy raczej zrezygnować. Wreszcie odezwał się głosem jeszcze bardziej niżonym, niemal do szeptu:

— To jest na poważnie, Amy. Wiesz o tym, prawda?

— Tak.

— Gdyby chodziło tylko o przeczekanie, nie martwiłbym się. Ciężko by było, ale dalibyśmy radę. Może nie Pablo, ale reszta z nas. Prędzej czy później ktoś przyjdzie... musielibyśmy tylko wytrzymać do tego czasu. I wytrzymalibyśmy. Chociaż głodni i spragnieni, chociaż Eric z zainfekowanym kolaniem, ale w końcu wyszlibyśmy z tego cało, nie uPrzytaknęła.

— Ale teraz nie chodzi tylko o przeczekanie.

Amy nie odpowiedziała. Wiedziała, o czym on mówi, ale nie mogła się zmusić, żeby to przyjąć do wiadomości. Wpatrywał się w nią uparcie, wymuszając kontakt wzrokowy.

- Rozumiesz, o czym mówię?

- O winoroślach.

Kiwnął głową.

— One spróbują nas zabić. Jak tamtych wszystkich ludzi. Im dłużej tutaj zostaniemy, tym większe mają szanse.

Amy spojrzała na drugi koniec polany. Widziała już, co potrafi zrobić winorośl. Widziała, jak przypełzła do niej przez polanę, żeby wyssać kałużę jej wymiocin. Widziała nogi Pabla, obrane z mięsa. Jednak to wszystko tak dalece wykraczało poza niezmiennie w jej przekonaniu prawa natury, poza to, do czego wedle jej wiedzy jest zdolna roślina, że nie potrafiła tego zaakceptować. Wydarzyły się dziwne rzeczy — okropne rzeczy — które widziała na własne oczy, a jednak nadal w nie wątpiła. Patrząc teraz na winorośl, spletanym gąszczem porastającą wzgórze, na ciemnozielone liście i krwawoczerwone kwiaty, nie mogła wykrzesać z siebie strachu. Bała się Majów z łukami i karabinami, bała się głodu i pragnienia. Ale winorośl pozostała dla niej tylko rośliną i nie budziła w niej takiego lęku, jak powinna. Amy nie mogła uwierzyć, że winorośl ją zabije.

Zawróciła na bezpieczny teren.

— Grecy przyjadą — powtórzyła.

Jeff westchnął. Widziała, że go rozczarowała, że znowu nie dorosła do jego oczekiwań. Ale nie mogła zrobić nic więcej — nie mogła być lepsza, dzielniejsza czy mądrzejsza, niż była — i odgadła, że on też o tym myślał, że pogodził się z jej niedostatkami. Puścił jej łokieć.

— Tylko uważaj, dobrze? — poprosił. — Zachowaj czujność. Krzycz, jeśli coś się stanie... najgłośniej, jak potrafisz. Przybiegniemy na ratunek.

Po tych pożegnalnych słowach wysłał ją na dół.

Enie znowu leżał w pomarańczowym namiocie. Wiedział, że to zły pomysł, najgorsze możliwe miejsce dla niego, ale nie mógł się zdobyć na wyjście. Ogarnęła go nieprzewyciężona inercja, a jednak pod zewnętrzną niemrawą skorupą kipiła w nim panika. Czuł się uwięziony, ubezwas-

nowolniony, a namiot tylko pogarszał sprawę. Ale Jeff kazał mu schować się do cienia i odpoczywać, więc odpoczywał.

Chociaż czuł, że to niewłaściwe.

Upał narastał, słońce nieubłaganie pięło się w górę i nagrzewało pomarańczowy nylon, który wydawał się sam wydzielać ciepło i światło, zamiast je filtrować. Eric leżał na plecach, spocony, z tłustymi włosami, i usiłował opanować oddech, zbyt szybki, za płytki. Wierzył, że jeśli tylko trochę go uspokoi, pogłębi wdechy, napelni powietrzem klatkę piersiową, wszystko inne też zwolni — serce, a potem nawet myśli. Ponieważ to mu najbardziej doskwierało: myśli w jego głowie pędziły zbyt szybko, skakały i koziołkowały. Wiedział, że jest na granicy hysterii — może nawet ją przekroczył. Miał jakiś atak lęku i nie potrafił go uśmierzyć. Oddech, bicie serca i myśli, wszystko z nieznanых powodów wymknęło się spod kontroli.

Co chwila siadał, żeby obejrzyć zranioną nogę — pochylał się, wyteżał wzrok, naciskał palcem spuchniętą tkankę. Winorośl była w nim. Mathias ją wyciął, ale trochę zostało. Eric wyczuwał ją w sobie — miał pewność — tamci jednak nie chcieli słuchać. Ignorowali go, lekceważyli, a winorośl zaczęła rosnać, zaczynała rosnać i jeść, a kiedy skończy, Eric będzie wyglądał jak Pablo, z nogami obranymi z ciała. On i Grek nie odejdą stąd żywi, skończą jako dwa kolejne zielone kopce na zboczu.

To się stało w namiocie — więc dlaczego wrócił do namiotu? Przez Jeffa, Jeff kazał mu wejść do środka i odpoczywać, jakby odpoczynek był jeszcze możliwy. Dlatego, że Jeff mu nie uwierzył. Przez parę sekund oglądał kolano Erica, ale to nie wystarczyło, nic nie zobaczył. A może tego nie dało się zobaczyć, nieważne, jak długo się patrzy, może na tym polegał problem. Eric znalazł prawdę, ponieważ ją czuł, miał w nodze coś krzywego, coś ruchomego, co nie było nim, tylko czymś obcym, posiadającym własne cele. Żałował, że nie może tego zobaczyć, żałował, że Jeff i inni tego nie widzą,

wszystko byłoby lepiej, gdyby tylko mogli to zobaczyć. Nie powinien siedzieć tutaj w namiocie, gdzie to się stało, gdzie może znowu się zdarzyć. Nie powinien być sam.

Ku własnemu zdziwieniu wstał. Pokuśtykał do kłapy i wychylił się na słońce. Stacy siedziała obok wiaty. Zmajstrowali dla niej mały daszek, wykorzystując resztki nylonu i masztów z drugiego namiotu. Z tych śmieci sporządzili coś w rodzaju obszarpanego plażowego parasola. Siedziała pod nim ze skrzyżowanymi nogami, zwrócona w trzech czwartych do Pabla, żeby mogła go widzieć, ale żeby właściwie nie musiała na niego patrzeć. Nikt już nie chciał patrzeć na Pabla i Eric to rozumiał — on też wolał nie patrzeć. Natomiast odnosił niepokojące wrażenie, że inni zaczynają włączać również jego w strefę niewidzenia. Nawet teraz, kiedy opadł na ziemię obok Stacy, nie skierowała na niego wzroku.

Eric wziął ją za rękę. Pozwoliła mu na to, ale pozostała bierna, z bezwładnymi, zwiotczalymi mięśniami, więc czuł się tak, jakby trzymał pustą rękawiczkę. Przez parę chwil siedzieli w milczeniu i w tej krótkiej ciszy Eric prawie odzyskał spokój. Dwoje ludzi odpoczywających razem w słońcu — dlaczego to nie mogło być takie proste? Jednak to nie trwało długo, ta ulotna błogość, pękła nagle jak rozbite szkło i serce gwałtownie podjechało Ericowi do gardła. Pot wystąpił mu na skórze, ręka trzymająca dłoń Stacy zrobiła się śliska. Musiał się opanować, żeby się nie zerwać i nie zacząć chodzić w kółko. Słyszał oddech Pabla — rżący, niezdrowy, jakby ktoś przeciągał piłą tam i z powrotem po blaszanej puszcze. Zaryzykował szybkie zerknięcie na niego, ale natychmiast tego pożałował. Pablo miał oczy zamknięte i zapadnięte, twarz mu dziwnie poszarzała, z kącika ust sączyła się cienka strużka ciemnego płynu, krwi, żółci albo wymiotów — Eric nie wiedział. Ktoś powinien to obetrzeć, pomyślał, ale nie ruszył się z miejsca. A pod śpiworem oczywiście spoczywały nogi Pabla, czyli to, co z nich zostało — kości, grube skrzepy krwi, żółte ścięgna. Eric wiedział, że w takim stanie, objedzony

z mięsa, Pablo nie przeżyje, umrze na pewno, i życzył sobie tylko, żeby to nastąpiło jak najszybciej, zaraz — błogosławieństwo, wybawienie, pomyślał — wszystkie kłamstwa, które ludzie budują dookoła śmierci, żeby zamaskować żalobę, wszystkie te pocieszające kłamstwa tutaj nagle okazały się prawdziwe. Umieraj, rozkazał Eric w myślach. Umrzyj teraz, już. Ale przez cały czas — uparcie, nieugięcie — oddech Greka rzeźił i charkotał.

Eric słyszał cichy szmer głosów Jeffa i Mathiasa, ale nie rozróżniał słów. Kopali latrynę gdzieś niżej na zboczu, poza zasięgiem jego wzroku.

Ścisnął dłoń Stacy, wciąż na niego nie patrzyła.

— Więc... — zaczął z wahaniem, niepewny, czy to właściwa droga — był sobie facet, w którego ciele rośla winorośl.

Milczenie. Ona nie odpowie, pomyślał. A potem odpowiedziała.

— Wyciągnęliśmy ją — odparła cichym głosem.

Musiał się nachylić, żeby ją usłyszeć.

— Powinnaś powiedzieć „ale”.

Stacy pokręciła głową.

— Już się nie bawię. Mówię ci, że on ją wyciął. Już jej nie masz w środku.

— Ale ciągle ją czuję.

Wreszcie spojrzała na niego.

— To jeszcze nie znaczy, że ona tam jest.

— Ale jeśli jest?

— Nic nie poradzimy.

— Więc przyznajesz, że może tam być.

— Tego nie powiedziałam.

— Ale ja ją czuję, Stacy.

— Bez względu na to, jaka jest prawda, musimy po prostu przeczekać.

- Więc skończę jak Pablo.

- Przestań, Eric.

- Ale to jest we mnie... w mojej krwi. Czuję ją w piersi.

- Proszę, przestań.
- Więc umrę tutaj.
- Eric!

Zamilkł, zaskoczony jej ostrym tonem. Płakała. Kiedy zaczęła płakać?

— Proszę, przestań, skarbie — powiedziała. — Możesz przestać? Możesz się uspokoić? — Otarła oczy wierzchem dłoni. — Naprawdę musisz się uspokoić.

Eric milczał. W piersi — skąd się to wzięło? Nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki tego nie powiedział, ale mówił prawdę. Czul winorośl w klatce piersiowej, subtelny, lecz wyraźny nacisk na dolne zębra, rozpierający go od środka

Stacy wyrwała dłoń z jego uścisku, dźwignęła się na nogi, przeszła przez polanę. Nachyliła się nad plecakiem Pabla, pogrzebała w nim, wyciągnęła jedną ze szklanych butelek i wróciła do Erica, otwierając ją po drodze.

— Masz — powiedziała, stanęła nad nim i podała mu tequilę.
Nie wziął butelki.

- Jeff mówi, że nie powinniśmy pić.
- No, ale Jeffa tu nie ma.

Wciąż bez ruchu, Eric spoglądał na butelkę, na bursztynowy płyn w jej wnętrzu. Czuł zapach tequili, czuł jej przyciąganie, połączone — nielogicznie, lecz nierozzerwalnie — z większym uczuciem pragnienia. Podniósł rękę, sięgnął po butelkę. To była ta, z której pili po nieudanym przejściu przez błotniste pole — w całkiem innym świecie, zaludnionym przez inne wersje ich samych, nietkniętych i nieświadomych. Pamiętał, jak Pablo stał przed nimi, roześmiany, proponując butelkę, i z tym obrazem w pamięci — bardziej wizją niż wspomnieniem, jak się wydawało — przechylił głowę do tyłu i pociągnął długi łyk alkoholu. Za dużo: zachłysnął się, zakaszał. Łzy przelotnie zaćmiły mu wzrok. Ale to było dobre, to było słuszne. Nie czekając, aż dojdzie do siebie — wystarczyło, że odzyskał oddech — ponownie podniósł flaszkę do ust.

Od wczorajszego ranka nie jadł nic poza tym małym kwadracikiem tuńczyka z chlebem — był odwodniony, wyczerpany— i poczuł tequilę już po kilku sekundach, przyjemne osłabienie. Wreszcie odetchnął swobodnie. To stało się tak szybko, jak igła w żyłę, odrętwienie, niezborne myśli. Otarł wargi przedramieniem i ku własnemu zdziwieniu parsknął śmiechem.

Stacy wciąż nad nim stała, opierając na ramieniu swój absurdalny parasol, zamykając go w kręgu cienia.

— Nie za dużo — ostrzegła i kiedy podniósł butelkę do następnego łyka, schyliła się szybko i wyjęła mu ją z ręki.

Zakręciła butelkę i schowała do plecaka Pabla. Potem usiadła obok Erica i znowu pozwoliła, żeby wziął ją za rękę. Od tequili paliło go w piersi i dzwoniło w uszach. Może oni mają rację, pomyślał. Może przesadzam. Nadal czuł te robaczkowe ruchy w nodze i dziwny ucisk w dole klatki piersiowej, ale teraz rozumiał, kiedy alkohol napełnił go spokojem, że to niekoniecznie miało coś wspólnego z winoroślą. Możliwe, że po prostu się bał, że za bardzo wsłuchiwał się w swoje ciało. Zawsze znajdzie się coś dziwnego, jeśli tylko dobrze poszukasz.

— Nędzna nędza nędznika — wypowiedział na głos słowa, które nagle przysły mu do głowy.

— Co? — zdziwiła się Stacy.

Eric pokręcił głową, machnął ręką. Mieli trzy butelki tequili i postarał się myśleć tylko o następnych godzinach, o tym, jak będą wydzielać alkohol łyk po łyku, niczym kroplówkę sączącą pociechę do żyły. Grecy wkrótce przyjadą i wszystko będzie okay. Teraz musiał tylko siedzieć i trzymać Stacy za rękę, a po jakimś czasie znowu poprosi ją o butelkę. W ten sposób — jeden łyček raz na jakiś czas — przetrwa nadchodzący dzień.

Nie mieli łopaty. Jeff znalazł ostry kamień w kształcie olbrzymiego grotu, tak duży, że musiał trzymać go obiema rękami i na klęczkach

kuć suchą, ubitą ziemię. Mathias posługiwał się metalowym masztem z niebieskiego namiotu, którym dziabął grunt, stękając za każdym zamachem ramienia. Kiedy w ten sposób obruszyli trochę ziemi, podnosili się, usuwali ją kopniakami i robili chwilę przerwy — żeby odetchnąć i otrzeć pot z czoła — zanim zaczynali cały proces od początku.

Praca była ciężka i wcale nie szła tak dobrze, jak Jeff się spodziewał. Miał w głowie obraz: dziura głęboka na cztery stopy, szeroka tylko na tyle, żeby człowiek mógł nad nią kucnąć, opierając stopy po obu stronach, ściany opadające w głąb ziemi, idealnie pionowe. Możliwe, że Jeff czytał opis czegoś takiego w książce albo widział rysunek, jednak dzieło jego i Mathiasa wyglądało zupełnie inaczej. Nawet na niewielkiej głębokości ściany zaczynały się kruszyć i osypywać, toteż latryna poszerzała się równie szybko, jak pogłębiała. Dziura dostatecznie wąska, żeby dało się nad nią kucnąć, musiałaby się kończyć na głębokości dwóch stóp, co oczywiście przekreślało cały sens. Taka płytka latryna to żadna latryna, równie dobrze mogli postępować jak Jeff tego ranka, wymykać się w winorośle, załatwiać się i przysypywać gównem kopniakiem na pożegnanie.

Rozmyślając o tym, Jeff uświadomił sobie prawdę, którą powinien zrozumieć od początku: to był głupi pomysł. Nie potrzebowali latryny, nawet prawidłowo wykonanej. Sanitariaty nie zajmowały priorytetowego miejsca na liście ich kłopotów i cokolwiek ich tutaj spotka, znikną stąd dużo wcześniej, zanim higiena nabierze znaczenia. Uratowani. Albo martwi. Jeff i Mathias kopali teraz nie dlatego, że to miało jakiś sens, ale dlatego że Jeff musiał znaleźć sobie coś do roboty, jakieś konkretne zajęcie, cokolwiek, byle nie siedzieć bezradnie i nie czekać. Kiedy to zrozumiał, przestał kopać i przykucnął. Mathias poszedł w jego ślady.

— Co my robimy? — zapytał Jeff.

Mathias wzruszył ramionami i wskazał płytką, niechlujną jamę, którą zdołali wygrzebać w ziemi.

— Kapiemy latrynę.
_ Czy to ma jakiś sens?
Mathias pokręcił głową.
— Nie bardzo.

Jeff odrzucił swój kamień, wytarł ręce w spodnie. Wnętrza dłoni go piekły — zielony meszek znowu kielkował na jego dżinsach. Wszyscy go mieli na ubraniu, na butach — widział, jak się otrzepują jedno po drugim, kiedy siedzieli kręgiem na polanie.

— Możemy ją wykorzystać do moczu — zauważył Mathias. — Do destylowania.

Obiema rękami wykonał gest, jakby rozkładał niewidzialny brezent nad otworem.

— A to ma jakiś sens? — powtórzył Jeff.

Mathias zachnął się, podniósł głowę.

— Przecież ty sam...

Jeff przerwał mu, przytaknął.

— Wiem... mój pomysł. Ale ile wody z tego uzyskamy?

— Niewiele.

— Wystarczy, żeby wyrównać to, co teraz wypocimy przy kopaniu?

— Wątpię.

Jeff westchnął. Czuł się głupio. I... co jeszcze? Zmęczony, tak, i więcej: pokonany. Może to rozpacz, najgorsze ze wszystkiego, przeciwieństwo przetrwania. Cokolwiek to było, oładnęło nim i nie potrafił się od tego uwolnić.

— Jeśli spadnie deszcz — powiedział — będziemy mieli mnóstwo wody. Jeśli nie, umrzemy z pragnienia.

Mathias milczał. Obserwował go uważnie, lekko zmrużonymi oczami.

- Próbowałem wymyślić jakąś pracę — ciągnął Jeff. — znaleźć dla nas zajęcie. Podtrzymać nasze morale. — Uśmiechnął się, drwiąc z siebie samego. — Zamierzałem nawet opuścić się do szybu.

- Po co?

- Piszczenie. Telefon komórkowy.
 - Nie ma nafty do lampy.
 - Możemy zrobić pochodnię.
- Mathias zaśmiał się z niedowierzaniem.
- Pochodnię?
 - Ze szmat... nasączyć je tequilą.
 - Widzisz? — zapytał Mathias. — Jaki jesteś niemiecki.
 - Myślisz, że nie ma sensu?
 - Niewarte ryzyka.
 - Jakiego ryzyka?

Mathias znowu wzruszył ramionami, jakby mówił o czymś oczywistym.

- Popatrz na Pabla.

Pablo. Najgorsze. Jeff na razie nie wspomniał o swoim pomysłe, swoim planie uratowania Greka. Nawet teraz się wahał, zastanawiał się nad własnymi motywami, czy są czyste, czy mieszane. Ewentualność, że znowu po prostu wymyśla dla nich zajęcie, przemknęła po obrzeżach jego umysłu i została szybko odrzucona. Mogli go uratować, gdyby spróbowali, z całą pewnością.

- Myślisz, że on przeżyje? — zapytał.

Mathias spochmurniał. Odpowiedział zniżonym głosem, niemal niedosłyszalnie:

- Mało prawdopodobne.
- Ale gdyby dzisiaj nadeszła pomoc...
- Wierzysz, że dzisiaj nadejdzie pomoc?

Jeff pokręcił głową i obaj milczeli przez długą chwilę. Mathias dłużej w ziemi końcem masztu. Jeff zbierał się na odwagę. W końcu odchrząknął i wyrzucił z siebie te słowa:

- Moglibyśmy go uratować.

Mathias dalej grzebał w ziemi i nawet nie podniósł wzroku.

- Jak?
- Możemy mu amputować nogi.

Mathias znieruchomiał i patrzył na Jeffa z uśmiechem, ale niepewnie.

— Żartujesz.
Jeff pokręcił głową
— Chcesz mu obciąć nogi?
— Inaczej on umrze.
— Bez znieczulenia.
— Nie poczuje bólu. Poniżej pasa nie ma czucia.
— Straci za dużo krwi.
— Opaski uciskowe już założyliśmy. Utniemy pod nimi.
— Czym? Nie masz żadnych chirurgicznych instrumentów, żadnego...
— Nożem.
— Potrzebujesz piły do kości... nóż nie wystarczy.
— Możemy złamać kości, a potem przeciąć.
Mathias pokręcił głową, wyraźnie wstrząśnięty. Jeff po raz pierwszy widział tyle emocji na jego twarzy.
— Nie, Jeff. Nie ma mowy.
— Więc on umrze.
Mathias pominął tę uwagę.
— A zakażenie? Chcesz go kroić brudnym nożem?
— Wysterylizujemy go.
— Nie mamy drewna. Ani wody do zagotowania. Ani garnka, skoro o tym mowa.
— Mamy łatwopalne rzeczy... te notesy, plecaki pełne ubrań. Możemy rozgrzać nóż bezpośrednio w płomieniu. Skauteryzuje tkanki przy cięciu.
— Zabijesz go.
— Albo uratuję... jedno z dwojga. Ale przynajmniej jest szansa. Wolisz siedzieć i patrzeć przez następne dni, jak on umiera? Nie lądź się, to nie będzie szybka śmierć.
- Jeśli nadejdzie pomoc...
- Dzisiaj, Mathias. Musiałaby nadejść dzisiaj. Z nogami tak odsłoniętymi... dojdzie do zakażenia... może już doszło. Jak się wda posocznica, to koniec.
Mathias znowu zaczął grzebać w ziemi, zgarbiony ponuro. Żałuję, że was tutaj sprowadziłem — powiedział.

Jeff machnął ręką, nie o to chodziło.

— Sami chcieliśmy przyjechać.

Mathias westchnął, upuścił maszt.

— Chyba nie mogę tego zrobić.

— Ja to zrobię.

— To znaczy zgodzić się... nie mogę się na to zgodzić.

Jeff w milczeniu przyswajał te słowa, nie spodziewał się tego, sądził, że Mathiasa najłatwiej przekona, że Mathias pomoże mu przeciągnąć innych na jego stronę.

— Więc powinniśmy skrócić jego cierpienia — oświadczył Jeff. — Upić go... wlać mu tequilę do gardła, zaczekać, aż straci przytomność. I... no wiesz.

Wykonał gwałtowny gest, jakby zadawał cios w powietrze. Ubranie tego w słowa okazało się trudniejsze, niż przypuszczał.

Mathias zagapił się na niego, Jeff widział, że tamten nie rozumie. Albo nie chce zrozumieć, próbuje go zmusić, żeby powiedział to wprost.

— Co?

— Wykończyć go. Poderżnąć mu gardło. Uduścić.

— Chyba nie mówisz poważnie.

— Gdyby był psem, czy nie...

— Ale on nie jest psem.

Jeff rozłożył ręce sfrustrowany. Dlaczego to się zrobiło takie trudne? On tylko próbował postąpić praktycznie. Humanitarnie.

— Wiesz, o co mi chodzi — oświadczył.

Nie zamierzał tego ciągnąć. Zgłosił swoją propozycję, co jeszcze mógł zrobić? Znowu poczuł ten ciężar, ten ołowiany przymus. Słońce wspinało się coraz wyżej. Powinni schronić się w namiocie, w cieniu, głupio tak stać pod gołym niebem i pocić się. Ale nie ruszał się z miejsca. Dąsał się, próbował ukarać Mathiasa za odrzucenie jego planu. Wiedział o tym i miał do siebie pretensje, i pretensje do Mathiasa jako świadka swojego zachowania, chciał przestać, ale nie mógł.

— Rozmawiałeś z tamtymi? — zapytał Mathias.

Jeff pokręcił głową.

Mathias strzepnął trochę zielonego meszku z džinsów, wytarł dłonie w ziemię, myśląc o tej sprawie. W końcu wstał.

— Powinniśmy głosować — stwierdził. — Jeśli inni się zgodzą, to ja też. Po czym ruszył pod górę do namiotu.

Jeszcze raz zebrali się na polanie. Najpierw pojawił się Mathias, a po paru chwilach Jeff. Usiedli na ziemi obok Erica i Stacy, tworząc mały półokrąg wokół wiaty. Pablo leżał z zamkniętymi oczami i nikt — nawet kiedy omawiali jego sytuację — nie chciał na niego patrzeć. Unikali również wymawiania jego imienia, mówili raczej „on” i wskazywali ogólnie w stronę okaleczonego ciała. Amy wciąż czekała na Greków u stóp wzgórza, ale nawet kiedy stało się jasne, że ta rozmowa ma określony cel, że właśnie decyduje się coś ważnego — coś okropnego — nikt nie wspominał o jej nieobecności. Stacy myślała o niej, zastanawiała się, czy nie powinna jej sprowadzić — chciała mieć Amy przy sobie, trzymać ją za rękę, razem z nią przez to przebrnąć — ale nie zdobyła się na zabranie głosu. Nie radziła sobie w takich sytuacjach. Ze strachu robiła się bierna, milcząca. Zwykle kulila się i czekała, aż złe rzeczy ją ominą.

Ale żądali jej opinii. Jej i Erica. Jeśli powiedzą „tak”, to się stanie: Jeff utnie Pablowi nogi. Co było potworne i niewyobrażalne, ale także, zdaniem Jeffa, dawało jedyną szansę. Więc Według tej logiki, jeśli powiedzą „nie”, nie będzie żadnej nadziei. Pablo umrze. Tak im powiedział Jeff.

Żadnej nadziei — te słowa miały prekursora, pierwszą nadzieję, którą należało odrzucić ze względu na tę drugą. Nie zostaną dzisiaj uratowani, tak mówił Jeff. I na tym skupiła się Stacy, chociaż wiedziała, że powinna myśleć o Pablo — spędzą

jeszcze jedną noc tutaj, w pomarańczowym namiocie, otoczeni przez winorośle, które mogły się poruszać, które mogły wpełznąć do nogi Erica i które —jeśli miała wierzyć Jeffowi — chciały ich wszystkich zabić. Nie wiedziała, jak to wytrzyma.

— Skąd wiesz? — zapytała. Usłyszała w swoim głosie strach, i to sprawiło, że jeszcze bardziej się przestraszyła.

— Co wiem? — nie rozumiał Jeff.

— Że oni nie przyjadą.

— Tego nie powiedziałem.

— Powiedziałeś...

— Że mało prawdopodobne, żeby przyjechali dzisiaj.

— Ale...

— A jeśli dzisiaj nie przyjadą i jeśli nic nie zrobimy, on — ogólny gest w stronę wiaty — nie przeżyje.

— Ale skąd wiesz?

— Kości ma odsłonięte. On...

— Nie... skąd wiesz, że nie przyjadą.

— Nie chodzi o to, że wiem, tylko że nie wiem. O ryzyko czekania zamiast działania.

— Więc mogą przyjechać.

Jeff rzucił jej zirytowane spojrzenie i rozłożył ręce.

— I mogą nie przyjechać. W tym rzecz.

Oczywiście tak naprawdę krążyli wokół tematu i nie mówili nic istotnego, tylko przerculali się słowami, nawet Stacy to rozumiała. Nie zamierzał dać jej tego, czego chciała — zresztą nie mógł. Chciała, żeby Grecy przyjechali, żeby już tu byli, chciała ratunku, bezpieczeństwa, a Jeff mówił tylko, że może to się nie stanie, przynajmniej nie dzisiaj, a skoro nie, muszą obciąć Pablowi nogi.

Chciał amputować, Stacy to widziała. A Mathias nie chciał. Ale Mathias się nie odzywał. Tylko jak zwykle słuchał i czekał, żeby podjęli decyzję. Stacy żałowała, że nie zabierał głosu, nie próbował przekonać jej i Erica, żeby się nie zgodzili, bo ona nie chciała, żeby Jeff obciął Pablowi nogi, nie wierzyła,

że to dobry pomysł, nie potrafiła jednak tego uzasadnić. Wyczuwała, że nie wystarczy po prostu powiedzieć „nie”, że musiałyby wyjaśnić Jeffowi dlaczego. Potrzebowała wsparcia, ale nie miała nikogo do pomocy. Eric lekko się upił, oczy mu się kleiły, owszem, był znacznie spokojniejszy niż przedtem, ale trochę nieobecny. A Amy była daleko, u stóp wzgórza, czekała na Greków.

- Co z Amy? — zapytała Stacy.
- Jak to co?
- Nie powinniśmy jej zapytać?
- Tylko jeśli będzie remis.
- Jaki remis?
- W głosowaniu.
- Mamy głosować?

Jeff kiwnął głową, zrobił niecierpliwy gest, jakby to było oczywiste, jedyne logiczne rozwiązanie, i nie rozumiał, dlaczego tak się zdziwiła.

Ona jednak się zdziwiła. Myślała, że tylko rozmawiają, że nic nie zrobią, dopóki wszyscy nie wyrażą zgody. Ale myliła się, wystarczy zgoda trojga z nich i Jeff utnie Pablowi nogi. Stacy usiłowała wyrazić w słowach swoją niechęć, zacinając się, szukając argumentów.

- Ale... to znaczy nie możemy... to nie...
- Utnij je — oświadczył głośno Eric, zaskakując ją. — Od razu.

Stacy obejrzała się na niego. Nagle jakby wytrzeźwiał, spojrzenie miał bystre. Wydawał się stanowczy, pewny siebie, swoich racji. Stacy mogła jeszcze się sprzeciwić. Wiedziała, że może powiedzieć „nie”, a wtedy Jeff będzie musiał zejść ze Wzgórza i zapytać Amy. Pewnie ją przekona, nawet Amy próbowała się opierać, w końcu ją złamie. Był od nich silniejszy. Wszyscy inni byli zmęczeni, spragnieni i marzyli, aby się stąd wyrwać, tylko on jakoś nic po sobie nie pokazywał. Więc po co się spierać?

- Jesteś pewien, że to słuszne? — zapytała.

— On umrze, jeśli go tak zostawimy.

Stacy zadygotała, jakby potencjalna śmierć Pabla spoczęła u jej stóp — jej wina. coś, czego mogła łatwo uniknąć.

— Nie chcę, żeby umarł.

— Oczywiście, że nie chcesz — potwierdził Jeff.

Stacy czuła na sobie wzrok Mathiasa, uważny, niewzruszony. Wiedziała, że chciał, żeby odmówiła. Sama też tego chciała, ale wiedziała, że nie może.

— Okay — powiedziała. — Chyba powinieneś to zrobić.

Amy robiła zdjęcia. Wyruszając z polany, chwyciła swój aparat fotograficzny — odruchowo, bez żadnych świadomych motywów sła go i zawiesiła na szyi. Dopiero kiedy kucnęła obok ścieżki, w połowie zbocza, w tamtej chwili odprężenia i jasności umysłu po opróżnieniu pęcherza, zrozumiała, dlaczego sięgnęła po aparat. Chciała sfotografować Majów, zebrać dowody tego, co ich spotkało, ponieważ zostaną uratowani - powtarzała to sobie z uporem — a potem odbędzie się nieuniknione dochodzenie, aresztowania, proces. Co oznacza oczywiście, że potrzebne będą dowody, a jakie są lepsze dowody niż zdjęcia przestępców?

Zaczęła pstrykać, jak tylko dotarła do stóp wzgórza, nastawiając ostrość na twarze mężczyzn. To jej sprawiło przyjemność, dało skrywane poczucie władzy, jakby ofiara zwróciła się przeciwko napastnikom. Zostaną ukarani, spędza resztę życia w więzieniu. A ona w tym dopomoże. Celując i pstrykając, wyobrażała sobie proces, zatłoczoną salę sądową, ciszę podczas jej zeznań. Wyświetla jej zdjęcia na ogromnym ekranie, a ona wskaże łysego mężczyznę z pistoletem na biodrze. „On był przywódcą”, powie. „To on nie pozwolił nam odejść”.

Majowie nie zwracali na nią uwagi. Nawet nie patrzyli w jej stronę. Dopiero kiedy wyszła na polanę, szukając

lepszego kąta dla ujęcia grupy ludzi skupionych wokół najbliższego ogniska, dwaj z nich poruszyli się i wymierzili w nią z łuków. Zrobiła zdjęcie i pospiesznie cofnęła się w winorośle.

Po chwili poczucie władzy zaczęło odpływać i nie miała czym go zastąpić. Słońce wznosiło się coraz wyżej. Amy była za bardzo zgrzana, spragniona, głodna. Ale przyszła tutaj już w takim stanie, więc nie na tym polegała zmiana. Nie, to obojętność Majów na jej obecność, na jej pracowite pstrykanie, w końcu zaczęła ją dobijać. Skupili się wokół dymiącego ogniska, niektórzy drzemali w powoli kurczącym się pasie cienia na skraju dżungli. Śmiali się i gadali, jeden strugał patyk, po prostu zestrugiwał na wióry, z nudów, żeby zająć czymś ręce, kiedy czas płynie ospale. Ponieważ o to chodziło, prawda? To właśnie wszyscy robili: czekali. Nie w napięciu, nie obawiając się o rezultaty swojego czuwania. Czekali spokojnie, bez żadnych emocji, jakby obserwowali świecę wypalającą się metodycznie w trakcie wieczoru, zawsze pewni wyniku, przekonani, że chwilę obecną od końca czekania dzieli tylko sam czas.

A co to znaczy? — zastanowiła się Amy.

Może Majowie wiedzieli o Grekach. Może Juan i Don Kichot już przyjechali, przeszli przez pole do ścieżki, dotarli do wioski i zawrócili, i nawet nie przyszło im do głowy, żeby sprawdzić linię drzew. Ani Amy, ani inni nie wzięli pod uwagę takiej możliwości, jednak teraz wydawała się taka oczywista. Nie przyjadą, zrozumiała nagle z granitową pewnością: nikt nie przyjedzie. A jeśli to prawda, w takim razie nie ma nadziei. Ani dla Pabla, ani dla pozostałych. Majowie widocznie zdawali sobie z tego sprawę — stąd ich znudzenie, ospałość — wiedzieli, że wystarczy spokojnie zaczekać na dalszy rozwój wypadków. Nie musieli nic więcej robić, tylko pilnować polany. Głód, pragnienie i winorośle dokonają reszty, Jak tyle razy przedtem.

Amy przestała robić zdjęcia. Kręciło jej się w głowie jak po

alkoholu, musiała usiąść, opadła na ziemię u wylotu ścieżki. To tylko słońce, powiedziała sobie. Pusty żołądek. Ale okłamywała się i wiedziała o tym. Słońce, głód — nie o to chodziło. Chodziło o strach. Próbowła odsunąć od siebie te myśli, oddychała głęboko, gmerała przy aparacie. To był zwykły tani automat, kupiła go ponad dziesięć lat temu za pieniądze, które zarobiła jako opiekunka do dziecka. Jeff podarował jej cyfrowkę na tę wyprawę, ale kazała mu ją zwrócić. Za bardzo się przywiązała do starego aparatu, żeby się z nim rozstać. Nie zawsze mogła na nim polegać częściej robił złe zdjęcia niż dobre, ciemne albo prześwietlone i prawie zawsze nieostre — ale wiedziała, że dopóki go nie zgubi, nie zepsuje albo go nie ukradną nie zgodzi się na inny. Sprawdziła, ile jeszcze zdjęć jej zostało — trzy z trzydziestu sześciu. Więc wystarczy, nie zabrała dodatkowych filmów, nie przypuszczała, że zostaną tutaj tak długo. Wydawało się dziwne, że zrobiła w życiu określoną liczbę zdjęć i prawie wszystkie tym aparatem. Tyle a tyle zdjęć rodziców, tyle a tyle drzew, pomników i psów, tyle a tyle zdjęć Jeffa i Stacy. A jeśli miała rację — jeśli Majowie mieli rację, jeśli Jeff miał rację — do końca życia zostały jej jeszcze tylko trzy zdjęcia. Próbowła zdecydować, co powinna sfotografować. Chyba jedno zdjęcie grupowe, z użyciem samowyzwalacza, wszyscy skupieni wokół Pabla na noszach. Oczywiście jedno jej i Stacy. obok siebie, ostatnie w rolce. A potem...

— Czy dobrze się czujesz?

Amy obejrzała się i zobaczyła, że Stacy stoi nad nią z zaimprovizowanym parasolem na ramieniu. Wyglądała żałośnie — mizerna, z przetłuszczonymi włosami. Wargi jej drżały i ręce tak się trzęsły, że parasol grzechotał cicho jak na wietrze.

Dobrze się czuję? — zapytała samą siebie Amy, szukając szczerzej odpowiedzi. Zawrót głowy ustąpił przed dziwnym spokojem, rezygnacją. Nie była typem wojownika jak Jeff. Albo po prostu nie potrafiła się oszukiwać tak łatwo jak on.

Groźba śmierci nie popchnęła jej do działania, raczej wywołała znużenie, chęć żeby się położyć, żeby przyspieszyć ten proces.

— Chyba tak — odparła. A potem, ponieważ Stacy wyglądała dużo gorzej, spytała: — A ty?

Stacy pokręciła głową. Wskazała za siebie, na wierzchołek wzgórza.

— Oni... no wiesz... — urwała, jakby nie mogła znaleźć słów. Oblizła wargi, głęboko spękane po dwudziestu czterech godzinach wyprawy, posiekane do żywego mięsa, wargi rozbitka. Spróbowała jeszcze raz, prawie szeptem: — Zaczęli.

— Co zaczęli?

— Obcinać mu nogi.

— Co ty wygadujesz? — zapytała Amy. Chociaż oczywiście wiedziała.

— Pabłowi — szepnęła Stacy, unosząc wysoko brwi, jakby sama zdziwiona tą nowiną. — Używają noża.

Amy wstała, nie wiedząc, co zamierza. Nie czuła jeszcze żadnej reakcji, była jak ogłuszona tą wiadomością. Ale widocznie coś poczuła, bo zmienił się jej wyraz twarzy. Widziała, że Stacy na to reaguje, odsuwa się od niej z przestraszoną miną.

— Nie powinnam się zgadzać, prawda? — zapytała.

— Na co?

— Głosowaliśmy i ja...

— Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił?

— Byłaś tu na dole. Jeff powiedział, że twój głos się liczy tylko wtedy, jeśli będzie remis. Ale nie było. Eric głosował za, a potem ja... — znowu miała przestraszoną minę. Teraz zrobiła krok do przodu, złapała Amy za przedramię. — Nie powinnam, prawda? Ty, Mathias i ja... razem mogliśmy ich powstrzymać.

Amy nie potrafiła przyjąć tego do wiadomości. Nie wierzyła, że można komuś obciąć nogi nożem, nie wierzyła, że Jeff porwie się na coś takiego. Pewnie tylko o tym rozmawiali,

ciągle o tym rozmawiali, mogła ich powstrzymać, gdyby się pospieszyła. Wyrwała się z uścisku Stacy.

— Zostań tutaj — rozkazała. — Wypatruj Greków. Okay?

Stacy kiwnęła głową, wciąż przestraszona, drżenie przechodziło falami przez mięśnie wokół jej ust. Usiadła niezgrabnie na środku ścieżki, jakby przecięto podtrzymujące ją sznurki.

Amy odczekała jeszcze chwilę, żeby się upewnić, że wszystko z nią w porządku. Potem spieszenie ruszyła pod górę.

Jeff i Mathias zrobili to razem. Nie prosili Erica o pomoc i dobrze, bo wiedział, że nie mógłby im pomóc. Chodził po polanie, kiedy oni pracowali, przystawał, żeby popatrzeć, i szybko się odwracał, nie wytrzymując ani jednego, ani drugiego, ani patrzenia, ani niepatrzenia.

Najpierw założyli z powrotem pasy. Znaleźli je leżące w kurzu obok noszy, trzy splątane węże, porzucone tani zeszłej nocy. Potrzebowali tylko dwóch, przypięli Greka w pasie i na wysokości klatki piersiowej. Podczas całej tej szarpaniny Pablo miał oczy zamknięte, nie otworzył ich ani razu, odkąd przestał wrzeszczeć wczesnym rankiem. Nawet kiedy Jeff go szturchnął i zawołał po imieniu, żeby mu pokazać na migi, co zamierzają zrobić, Grek nie odpowiadał. Leżał z zaciętym wyrazem twarzy, wszystko — oczy, usta — zamknięte przeciwko światu. Wydawał się jakby nieobecny, poza ich zasięgiem. Przestało mu zależeć, pomyślał Eric, już dawno.

Potem rozpalili ogień, nieduży — tylko taki mogli. Zużyli trzy notesy archeologów, koszulę, spodnie. Zgnietli dwie kartki papieru na podpałkę, potem dorzucili całe notesy. Ubrania oblali tequilą. Ognisko płonęło prawie bez dymu, niskim niebieskim płomieniem. Jeff umieścił nóż w środku, razem z ostrym kamieniem w kształcie ostrza siekiery. Podczas gdy te przedmioty się wypalały — kamień wydawał trzaski.

przybierając głęboki czerwony odcień — Jeff i Mathias kucnęli nad Pabłem, mamrocząc do siebie, wskazując najpierw jedną nogę, potem drugą, planując operację. Jeff wydawał się nagle ponury i przybity, jakby zmuszono go do tego przedsięwzięcia wbrew jego woli, jeśli jednak miał wątpliwości, nie pozwolił, by zakłóciły procedurę.

Eric stał tuż nad nimi, kiedy zaczęli. Jeff wykorzystał mały ręcznik, który znalazł w jednym z plecaków, żeby wyciągnąć kamień z ognia, owinął dłoń ręcznikiem jak rękawicą, dla osłony przed żarem. Szybko, jednym płynnym ruchem chwycił kamień, podniósł nad głowę, odwrócił się w stronę noszy. Potem z całej siły trzasnął kamieniem w podudzie Greka.

Pablo błyskawicznie otworzył oczy, znowu zaczął wrzeszczeć, szarpać się i rzucać w więzach. Jeff jakby tego nie zauważył, jego twarz nie zmieniła wyrazu. Wrzucił kamień z powrotem do ognia i sięgnął po nóż. Mathias też nie zareagował, skupiony na swoim zadaniu. Do niego należało podtrzymywanie ognia, dołożenie paru notesów w razie potrzeby, dolewanie alkoholu, przegarmianie żaru.

Jeff zgarbił się nad noszami, mięśnie napięły mu się z wysiłku, kiedy kroił i piłował. W zetknięciu z rozgrzanym nożem ciało Pabla wydzielalo zapach gotowania, przypalonego mięsa. Eric dostrzegł roztrzaskaną kość pod lewym kolanem Greka, krwawy szpik wypływający na zewnątrz, nóż Jeffa wbijany, wpychany, przesuwany. Zobaczył, że dolna połowa nogi Pabla odpadła, stopa, kostka i kości podudzia, teraz oddzielne, odcięte, stracone na zawsze. Jeff przysiadł na Piętach, łapiąc oddech. Pablo dalej wrzeszczał i szarpał się, przewracając oczami, błyskając białkami. Mathias wziął nóż od Jeffa, włożył z powrotem do ognia. Jeff podniósł ręczniczek, znowu zaczął go owijać wokół ręki. Kiedy sięgnął po rozpalony kamień, Eric szybko się odwrócił i ruszył przez polanę. Nie mógł dłużej patrzeć, musiał uciec.

Ale oczywiście nie miał dokąd uciekać. Nawet po drugiej stronie polany, odwrócony tyłem do tej sceny, słyszał, co się

dzieje, słyszał trzask kamienia uderzającego w drugą nosie Pabla i wrzask — jak się wydawało jeszcze głośniejsi, jeszcze bardziej przenikliwy.

Eric zerknął przez ramię — nie mógł się powstrzymać.

Mathias trzymał czarną brytfannę, którą Jeff przyniósł z dołu, z tym słowem wydrapanym na dnie — *pelagro*. Eric patrzył, jak Niemiec wkłada brytfannę do ognia. Zamierzali jej użyć, żeby skauteryzować rany Greka, przycisnąć ją płasko do kikutów, najpierw do jednego, potem do drugiego.

Jeff pochylił się nisko nad noszami, pracując nożem, piłując miarowo, w koszuli przesiąkniętej potem.

Pablo ciągle wrzeszczał. Teraz wykrzykiwał również słowa. Oczywiście nie dało się ich zrozumieć, ale Eric słyszał w nich prośbę, błaganie. Przypomniawszy sobie, jak spadł na Greka, kiedy zeskoczył do szybu, jak to ciało poderwało się pod nim. Przypomniawszy sobie, jak razem z Amy wrzucili Greka na nosze, niezdarnie, byle jak, w panice. Czuł, jak winorośl porusza się w jego wnętrzu, w jego nodze i w piersi — ten natarczywy ucisk na podstawę klatki piersiowej, wypychanie na zewnątrz. Wszystko poszło źle, wszystko tutaj wychodziło źle i nie mogli tego przerwać, nie mogli uciec.

Znowu się odwrócił, ale nie wytrzymał. Musiał się obejrzeć prawie natychmiast.

Jeff skończył z nożem, rzucił go na ziemię. Następnie wziął ręcznik, owinął go wokół dłoni, odwrócił się, żeby wyciągnąć brytfannę z ognia. Mathias musiał mu teraz pomóc. Kucnął przy noszach, schylił się, podniósł jedną nogę Pabla, to, co z niej zostało, chwytając obiema rękami tuż nad kolanem. Pablo płakał, mówił do nich obu, Mathiasa i Jeffa, zwracał się do nich po imieniu. Jednak żaden z nich nie pokazywał po sobie, że słyszy, nie patrzyli na Pabla. Brytfanna żarzyła się teraz na pomarańczowo, litery wyżłobione w dnie przybrały ciemniejszy kolor, niemal czerwony, toteż Eric mógł odczytać wypisane tam słowo. Patrzył, jak Jeff obraca się, przykładając brytfannę do końca kikuta Pabla, przyciska mocno, całym

swoim ciężarem. Słyszał odgłos palonego ciała, syczenie i trzaski. Czuł również zapach i ze zgrozą stwierdził, że jego żołądek kurczy się w odpowiedzi — nie z obrzydzenia, ale z głodu.

Odwrócił się, kucnął, zamknął oczy i przycisnął ręce do uszu, oddychając przez usta. Pozostał w tej pozycji przez niemożliwie długi czas, skupiając się na winorośli wewnątrz ciała, na tych uparcie drażących skurczach w nodze i ucisku w klatce piersiowej, usiłując je postrzegać jako coś innego, coś nieszkodliwego, jakieś zaburzenie percepcji, jak uparcie twierdziła Stacy: łomot serca, przemęczone mięśnie, strach. Ale nie mógł sam siebie przekonać i nie mógł też dłużej czekać: znowu musiał

Kiedy się odwrócił, Jeff i Mathias nadal kucali przy noszach. Jeff przyciskał właśnie brytfannę do prawego kikuta Pabla. W powietrzu rozchodził się ten sam mdląco apetyczny zapach. Ale zapadła cisza — Pablo umilkł, przestał wrzeszczeć. Chyba stracił przytomność.

Potem rozległ się odgłos kroków. Amy nadchodziła ścieżką. Wpadła na polanę z rozpędem, spocona, bez tchu.

Za późno, pomyślał Eric, patrząc, jak Amy się zatacza, przystaje, patrzy — ze zgrozą — i widzi. Przyszła za późno.

Jeff nie wiedział, co czuje. A raczej nie: wiedział, co myśli, a potem wiedział, co czuje, ale jakoś nie mógł dopasować jednego do drugiego. Poszło dobrze, nawet lepiej, niż się spodziewał — tak myślał. Odjęli nogi całkiem szybko, każdą kilka centymetrów pod kolanem, zachowując stawy. Porządnie skauteryzowali kikuty, toteż kiedy zdjęli opaski, rany krwawiły tylko minimalnie. Przeciekały, to bardziej odpowiednie określenie, nic poważnego. Pablo pod koniec stracił przytomność, Pewnie pod wpływem szoku. Nie z bólu — Jeff był tego prawie pewien — nie powinien niczego czuć. Ale nie spał, mógł unieść głowę i zobaczyć, co robią, a to pewnie się

liczyło za swego rodzaju cierpienie. Teraz był bezpieczniejszy, jak wierzył Jeff, chociaż wciąż zagrożony. Kupili mu tylko trochę czasu — niewiele, może dzień czy dwa. Ale zawsze to coś i Jeff uważał, że powinien być dumny z siebie, ze swojego dzielnego czynu. Więc nie rozumiał, dlaczego serce mu .Mościska tak, że prawie nie może złapać tchu, jakby powstrzymywał się od płaczu.

Amy niewiele pomogła. Żadne z nich nie pomagało. Mathias wręcz nie chciał na niego patrzeć, tylko skulił się przy resztkach niewielkiego ogniska, całkowicie zamknięty w sobie. Eric znowu chodził w kółko i niespokojnie obmacywał nogo, albo pierś. Amy zaś nawet nie zaczekała, nawet nie próbowała zrozumieć, co osiągnął, tylko natychmiast zaczęła go atakować — kiedy jeszcze zdejmowali opaski i starannie smarowali neosporinem przypalone kikuty.

— O Jezu — zawołała i zaskoczyła go, bo nie słyszał, jak podeszła. — Jezu Chryste pierdolony. Coś ty zrobił?

Jeff nie fatygował się odpowiedzią. To wydawało się dostatecznie oczywiste.

— Obciąłeś mu nogi. Kurwa, jak mogłeś...

— Nie mieliśmy wyboru — odparł Jeff. Pochylony nad drugim kikutem, rozprawdzał po nim żel. — On umierał.

— I myślisz, że go uratowałeś? Obcinając mu nogi brudnym nożem?

— Wysterylizowaliśmy go.

— Daj spokój, Jeff. Zobacz, na czym on leży.

Oczywiście miała rację, śpiwór, którym wyścielili nosze, nasiąknął moczem z nieszczęelnego pęcherza Pabla. Jeff wzruszył ramionami.

— Kupiliśmy mu trochę czasu. Jeśli nas uratują jutro albo nawet pojutrze, on...

— Obciąłeś mu nogi — prawie krzyknęła Amy.

Jeff w końcu obejrzał się na nią. Stała nad nim, spalona słońcem, z twarzą umazaną brudem, z centymetrową warstwą zielonego meszku na spodniach. Nie wyglądała już jak dawna

Amy, zbyt obszarpana, zbyt rozgorączkowana. Przypuszczał, że to dotyczy ich wszystkich w ten czy inny sposób. On z pewnością nie przypominał samego siebie sprzed dwudziestu czterech godzin. Właśnie posłużył się kamieniem i nożem, żeby obciąć człowiekowi nogi — przyjacielowi, obcemu, trudno powiedzieć. Nawet nie znalazł prawdziwego imienia Pabla.

— Jakie miał szanse twoim zdaniem, Amy? — zapytał. - Z tak odsłoniętymi kośćmi?

Nie odpowiedziała, patrzyła na prawo, na ziemię, z dziwnym wyrazem twarzy.

— Odpowiedz — zażądał.

Czyżby zaczynała płakać? Podbródek jej się trząsał, dotknęła go ręką.

— O Boże — szepnęła. — O Chryste.

Jeff podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Patrzyła na odcięte kończyny Pabla, resztki stóp, kostek i podudzi, zakrwawione kości utrzymywane razem przez kilka zachowanych strzępów ciała. Jeff rzucił je niedbale obok noszy, zamierzając je zakopać, kiedy skończy kauteryzować kikuty. Ale najwyraźniej się przeliczył. Winorośl wysunęła na polanę następną długą łodygę. Macka owinęła się wężowym ruchem wokół jednej z odciętych stóp Pabla i teraz odciągała zdobycz, wlokąc ją po ziemi. Na oczach Jeffa druga łodyga podpełzła szybciej niż poprzednia i przywłaszczyła sobie drugą stopę.

Teraz wszyscy patrzyli — również Eric i Mathias. A potem Mathias skoczył, poderwał się z nożem w rękę. Przydepnął pierwszą łodygę, schylił się i ciachnął, odciął ją od źródła. Dopadł drugiej, znowu ciął. Tymczasem jednak na polanę wypelzła trzecia łodyga, a potem czwarta, sięgając po kości. Amy wrzasnęła — raz, krótko i przeraźliwie — potem zakryła sobie ręką usta i cofnęła się w stronę Jeffa. Mathias schylał się i odcinał, schylał się i odcinał, a winorośl nacierała już ze wszystkich stron.

- Zostaw — odezwał się Jeff.

Mathias nie zwrócił na niego uwagi. Szarpał, rznął i tratował winorośle, coraz szybciej, ale wciąż zbyt wolno. Łodygi stawiały opór, oplatały mu się wokół nóg, krępowały ruchy.

— Mathias — powiedział z naciskiem Jeff.

Podszedł do niego, złapał go za ramię i odciągnął. Czuł siłę Niemca, twarde, napięte mięśnie, ale również jego zmęczenie, kapitulację. Stali ramię w ramię i patrzyli, jak winorośl wciąga w siebie odcięte kończyny, jak biel kości zostaje wchłonięta przez masę zieleni i znika bez śladu.

Stali tak wszyscy czworo, zastygli w bezruchu, kiedy po drugiej stronie polany rozległo się znowu znajome świergotanie, dzwonek telefonu komórkowego żałośnie piszczący na dnie szybu.

Stacy siedziała pod swoim byle jak skleconym parasolem, w małym kółku cienia, ze skrzyżowanymi nogami, skulona. Ciągle musiała czyć z pokusą, żeby zerkać na nadgarstek, musiała sobie przypominać, że przecież nie ma zegarka. został na nocnym stoliku w Cancun, w hotelowym pokoju, gdzie sama powinna teraz być. A może nie: może jej obawy wreszcie się spełniły i pokojówka ukradła zegarek. W takim razie gdzie on teraz jest? Pewnie razem z jej kapeluszem i przeciwsłonecznymi okularami, ozdabia jakąś obcą kobietę, która śmieje się przy lunchu w restauracji na plaży. Stacy niemal fizycznie odczuwała brak tych przedmiotów, jakiś hol w piersi, ssanie w dołku, ale najbardziej tęskniła za okularami. Tutaj było za dużo słońca, za dużo rażącego światła. Głowa ja. bolała od tego — a także z głodu, z pragnienia, ze zmęczenia, ze strachu.

Za jej plecami, na szczycie wzgórza, amputowano Pablowi nogi. Stacy próbowała o tym nie myśleć. On tutaj umrze, nie widziała innej możliwości. O tym także próbowała nie myśleć.

W końcu nie mogła się powstrzymać: poddała się, spojrzała na nadgarstek. Oczywiście niczego tam nie było i jej myśli

znowu zaczęły krążyć w kółko — stół nocny, pokojówka, kapelusz i słoneczne okulary, kobieta jedząca lunch na plaży Wypoczęta, nakarmiona, czysta kobieta, z butelką wody pod ręką. Beztroska, niedbała: szczęśliwa. Stacy poczuła falę nienawiści do tej wymaginowanej nieznajomej, ale nienawiść szybko uległa metastazie, przeskoczyła na chłopca, który ścisnął ją za pierś przed dworcem autobusowym, na — prawdopodobnie fikcyjną — pokojówkę złodziejkę, na Majów siedzących naprzeciwko z czujnym wyrazem twarzy, z lukami i strzałami. Pojawił się też jeden z chłopczków, którzy wczoraj śledzili ich na rowerze, ten mniejszy, który jechał na kierownicy. Teraz siedział na kolanach starszej kobiety i patrzył na Stacy wzrokiem bez wyrazu, podobnie jak reszta Majów, i Stacy jego też nienawidziła.

Bładozielony meszek winorośli pokrywał jej spodnie khaki i podkoszulek, nawet sandały. Ciągle go strzepywała, parząc sobie ręce, ale małeńkie łodyżki szybko odrastały. Wyjadły nawet kilka dziurek w materiale. Jedna, tuż nad pępkiem, była duża jak srebrny dolar. Stacy wiedziała, że to tylko kwestia czasu, zanim jej ubranie zmieni się w strzępki

Nienawidziła również winorośli, oczywiście jeśli można nienawidzić rośliny. Nienawidziła jej jaskrawej zieleni, jej czerwonych kwiatuszków, jej piekącego soku. Nienawidziła jej za zdolność poruszania się, za żarłoczność i wrogie zamiary.

Stopy wciąż miała oblepione błotem po długiej wędrówce Przez pole wczorajszego popołudnia i błoto nadal wydzielало słaby smród gówna. Jak Pablo, pomyślała Stacy i jej myśli Pomknęły na wierzchołek wzgórza, do rozgrywającej się tam sceny, noża, rozgrzanego kamienia. Wzdrygnęła się i zamknęła oczy.

Nienawiść, jeszcze więcej nienawiści — Stacy tonęła w niej, opadała coraz niżej i wciąż nic widziała dna. Nienawidziła Pabla za to, że spadł do szybu, za jego złamany kręgosłup.

szybko nadchodzącą śmierć. Nienawidziła Erica za zranioną nogę, za winorośl pełzającą jak robak pod skórą, za paniką w obliczu tego zagrożenia. Nienawidziła Jeffa za chłodną kompetencję, za to, że tak łatwo sięgnął po nóż i rozgrzany kamień. Nienawidziła Amy za to, że go nie powstrzymała, nienawidziła Mathiasa za jego milczenie, jego puste spojrzenia, a najbardziej nienawidziła siebie.

Otworzyła oczy, rozejrzała się dookoła. Upłynęło kilka minut, ale nic się nie zmieniło.

Tak, nienawidziła siebie.

Nienawidziła siebie za to, że nie wiedziała, która godzina ani jak długo jeszcze musi tutaj siedzieć.

Nienawidziła siebie za to, że przestała wierzyć, że Pablo przeżyje.

Nienawidziła siebie za to, że wiedziała, że Grecy nie przyjadą, ani dzisiaj, ani nigdy.

Przechyliła parasol do tyłu, zaryzykowała szybkie zerknięcie w niebo. Jeff miał nadzieję na deszcz, wiedziała, że na to liczył. Pracował nad ich ocaleniem, snuł plany, wymyślał projekty, ale wszystkie miały tę samą wadę, tę samą wewnętrzną skazę — wszystkie opierały się w pewnym stopniu na nadziei. A deszcz nie powstawał z nadziei, deszcz powstawał z chmur, białych, szarych lub czarnych jak smoła — nieważne. Tymczasem niebo nad głową pozostawało oślepiająco niebieskie. uparcie czyste, bez jednej chmurki w zasięgu wzroku.

Nie zanosilo się na deszcz.

I Stacy nienawidziła siebie również za to, że o tym wie.

Postanowili znowu opuścić się do szybu. Jeff wysunął ten pomysł, ale Amy się nie sprzeciwiała. Grecy dzisiaj nie przyjadą. Wszyscy teraz to przyznawali przynajmniej sami przed sobą, jeśli nie przed innymi — toteż telefon komórkowy, ten mityczny telefon komórkowy wzywający ich z dna szybu, był dla nich ostatnią nadzieją. Więc

kiedy Jeff zaproponował, żeby jeszcze raz spróbowali go znaleźć, ku jego zaskoczeniu Amy wyraziła zgodę.

Oczywiście nie mogli zostawić Pabla samego. Najpierw Amy miała przy nim siedzieć, kiedy Eric i Mathias spuszcza Jeffa do szybu. Ale Jeff chciał, żeby mu towarzyszyła. Zamierzał zrobić coś w rodzaju pochodni z ubrań archeologów nasączonych tequilą, ale nie wiedział, na jak długo wystarczy światła. Dwie pary oczu na dole lepiej sobie poradzą niż jedna, oświadczył. Będą mogli szukać dokładniej, bardziej metodycznie.

Amy nie chciała znowu zjeżdżać do dziury. Ale Jeff nie pytał, czego chciała, mówił jej, czego sam chciał, jakby to już zostało postanowione, jakby musieli rozwiązać ten problem.

— Możemy go zanieść do szybu — powiedział Mathias, mając na myśli nosze z Pabłem, i wszyscy rozważali to przez chwilę. Potem Jeff kiwnął głową.

Więc tak zrobili. Jeff i Mathias dźwignęli nosze, wysunęli spod małej wiaty i przenieśli przez polankę do wylotu szybu — ostrożnie, żeby tylko nie trącić Pabla. Jego ciało wydzielalo obrzydliwe wonie: znajomy już smród kału i uryny, swąd spalonego mięsa na kikutach i ten słodszy zapach, przebijający się spod innych, pierwszy złowieszczy zwiastun rozkładu. Nikt o tym nie wspominał, nikt w ogóle nie powiedział ani słowa o Pablu, który nadal był nieprzytomny i wyglądał gorzej niż kiedykolwiek. Amy unikała nie tylko widoku jego nóg, nie chciała patrzeć również na twarz. Kiedy po raz pierwszy zdawała do szkoły medycznej, zwiedzała kampus i oglądała trupy sekcjonowane przez studentów: z szarą skórą, Wpadniętymi oczami, obwisłymi ustami. Tak właśnie zaczynała wyglądać twarz Pabla.

Umieścili go obok szybu. Świergotanie wcześniej umilkło, ale rozbrzmiało znowu, jak tylko podeszli. Wszyscy stali i wpatrywali się w ciemność, z przechylnymi głowami. nasłuchując.

Zadzwonilo dziewięć razy. Potem przestało.

Mathias sprawdzil linę. Odwinął ją z kołowrotu na całej długości, rozłożył długim zygzakiem na malej polance i szukaj słabszych miejsc w konopnym splocie.

Amy stała obok otworu i zaglądała do niego, zbierane odwagą, przypominając sobie, jak była tam na dole z Erikiem, tylko oni dwoje, co sobie mówili, żeby opanować strach, jakie kłamstwa sobie opowiadali. Nie chciała tam wrócić, odmówiłaby, gdyby tylko zdołała wymyślić jakiś pretekst. Ale teraz, kiedy już przenieśli Pabla przez całą polanę, nie widziała dla siebie żadnego wyjścia.

Eric kucnął, zaczął obmacywać ranę na nodze, mamrocąc do siebie.

— Wytniemy to — oświadczył i Amy obejrzała się na niego, zaskoczona, niepewna, czy dobrze słyszała. Potem wstał i znowu zaczął chodzić. Winorośl wyjadła dziury w jego koszuli, która wisiała w strzępach. Cały był umazany własną krwią, wysmarowany, zbryzgany, pochlapany. Wszyscy wyglądali źle, ale on wyglądał najgorzej.

Jeff robił pochodnię. Wykorzystał maszt namiotowy, którego dolną część owinął taśmą klejącą, żeby utrzymać go w ręku, kiedy aluminium się rozgrzeje. Wokół czubka owinął trochę ubrań archeologów — drelichowe szorty, bawełniany podkoszulek — i ciasno zawiązał. Amy nie przypuszczała, żeby to mogło działać, ale nic nie mówiła, zbyt znużona, żeby dyskutować. Skoro musieli spróbować, chciała to już mieć

Mathias wstał, wycierając ręce o spodnie. Lina była w porządku. Wszyscy patrzyli, jak nawijał ją starannie z powrotem na kołowrót. Kiedy skończył, Jeff przesunął pętlę przez głowę i zacisnął pod pachami. Trzymał pudełko zapalek, otwartą butelkę tequili i prymitywną pochodnię. Mathias i Eric stanęli przy kołowrocie i całym ciężarem oparli się o korbę. A potem bez najmniejszego wahania Jeff dał krok w powietrze nad szybem. Nie pożegnał się z Amy, nie omówili żadnego planu.

Miała zjechać za nim do szybu — tylko tyle wiedziała. Resztę ustalała na dole.

Rozległo się znajome skrzywienie kołowrotu. Mathias i Eric napierali na korbę, wypuszczali linę obrót po obrocie, spoceni z wysiłku. Amy nachyliła się nad szybem i patrzyła, jak Jeff zjeżdża w ciemność, wydawał się coraz mniejszy w miarę opadania. Widziała go znacznie dłużej, niż się spodziewała, jakby jakimś sposobem zabrał ze sobą blask słońca pod ziemię. Zrobił się niewyraźny, mglisty, ale nadal rozróżniała jego sylwetkę, chociaż już dawno powinien zniknąć. Nie odwzajemnił jej spojrzenia, nie podniósł ku niej twarzy ani razu, tylko kierował wzrok w dół, na dno szybu.

— Prawie na miejscu — powiedział Mathias tak cicho, że nie wiadomo, do kogo się zwracał, może do siebie.

Amy odwróciła się, popatrzyła na niego i na kołowrót. Lina prawie się rozwinęła, zostało najwyżej kilka obrotów. Kiedy znowu spojrzała do szybu, Jeff zniknął. Lina opadała coraz dalej i dalej w ciemność, kołysząc się lekko, ale Amy już nie widziała końca. Musiała zwalczyć chęć, żeby zawołać Jeffa, przeczucie, że nie tylko zniknął z oczu, ale przepadł na

Kołowrót wreszcie przestał skrzypieć. Eric i Mathias stanęli obok Amy i wszyscy troje wpatrywali się w głąb szybu. Amy słyszała, jak tamci dwaj dyszą ze zmęczenia.

— W porządku? — zawołał Mathias.

— Wyciągajcie — odkrzyknął Jeff, budząc echa. Jego głos wydawał się daleki i jakiś obcy.

Mathias sam jeden zaczął nawijać linę. Kołowrót obracał się gładko, pozbawiony obciążenia, skrzywienie brzmiało teraz inaczej, bardziej piskliwie, z dziwną nutą śmiechu, budzącą dreszcze. Amy zadrżała i objęła się ramionami. Powiedz: „nie”, myślała. Przecież możesz. Po prostu powiedz. Potem Eric podawał jej pętlę, pomagał jej założyć sznur, a ona ciągle milczała. Nie jest tak źle, powiedziała sobie. Już raz to zrobiłaś. Więc czemu nie jeszcze raz? Powtarzała w myślach te słowa,

kiedy zrobiła krok w pustką, zawisała na chwilę i rozpoczęła powolny zjazd do szybu.

W świetle dnia wyglądało to inaczej. Pod pewnymi względami lepiej, pod innymi gorzej. Oczywiście więcej widziała, kiedy się przesuwiała w dół — widziała ściany szybu, w których tkwiły kamienie i deski, tu i tam długie, opadające festony winorośli, niczym dekoracje na przyjęciu. Ale światło wzmacniało wrażenie zmiany, przekraczania granicy pomiędzy dwoma światami. Było to przytłaczające uczucie. Dzień przechodził w noc, wzrok w ślepotę, życie w śmierć: takie skojarzenia się narzucały. Patrzenie w górę również nie pomagało — tylko pogarszało sprawę — ponieważ nawet na tej stosunkowo niewielkiej głębokości światło dnia wydawało się niemożliwie odległe. I podobnie jak Jeff robił się na pozór coraz mniejszy, kiedy go opuszczano, teraz otwór wydawał się kurczyć, jakby groził, że całkiem się zamknie, niczym paszcza, która połknęła swoją ofiarę i uwięziła pod ziemią. Amy chwyciła się pętli, skupiła się na spowolnieniu oddechu, próbowała się uspokoić. Pętla była wilgotna — od potu Jeffa. przypuszczała Amy. Albo od jej własnego potu. Zaczęła się kołysać tam i z powrotem, niemal dotykając ścian szybu: usiłowała zatrzymać ten ruch, ale tylko pogorszyła sprawę. Wnętrznosci jej się kurczyły od choroby morskiej. Wciąż czuła w ustach smak wymiotów, co jeszcze bardziej potęgowało mdłości i zwiększało zagrożenie, że nawet z pustym żołądkiem wymiotuje tutaj na górze, rzygowiny trysną z niej i ochlapią Jeffa, czekającego na dole w ciemności.

Zamknęła oczy.

Mdłości jakoś przeszły.

Robiło się coraz chłodniej, wręcz zimno. Amy zapomniała o tym, gdyby pamiętała, włożyłaby coś cieplejszego, sweter wyszabrowany z plecaków archeologów. Zaczęła dygotać, chociaż wciąż się pociła. Nerwy, pomyślała, strach.

Zanim ponownie otwarła oczy, Jeff pojawił się już w polu widzenia. Niewyraźny: był i jednocześnie go nie było, jakby

go widziała przez wodę lub dym. Głowę trzymał przechyloną do tyłu. Amy nie rozróżniała rysów jego twarzy, ale coś w jego postawie dało jej pewność, że się do niej uśmiechał. Wbrew sobie — pomimo strachu, dreszczy, potów i ogólnego złego samopoczucia — odpowiedziała mu

Dotknęła stopami dna szybu. Lina zwiotczała, skrzywienie ucichło. Co dziwne, nagła cisza wzbudziła w niej panikę, wywołała ucisk w piersi.

— No — odezwała się tylko po to, żeby przerwać tę upiorną ciszę — jesteśmy na miejscu.

Jeff pomógł jej zdjąć pętlę.

— Niesamowite — powiedział. — Prawda? Myślisz, że jak głęboko jesteśmy?

Amy była zbyt zaskoczona jego wyraźnym podnieceniem i rozradowanym tonem głosu, żeby odpowiedzieć. Zrozumiała, że on się dobrze bawił. Nawet po wszystkim, co się wydarzyło przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, jakimś cudem znajdował w tym przyjemność. Przypominał małego chłopca, z chłopięcymi skłonnościami: zakazane rozkosze podziemnego świata — jaskinie, kryjówki i sekretne tunele.

— Nigdy nie byłem tak głęboko — oznajmił. — Na pewno. Myślisz, że będzie ze trzydzieści metrów?

— Jeff — syknęła.

Dziwne: nawet tutaj, w ciemnościach, było światło. A raczej jakaś resztką światła, osad spływający z góry. W miarę, jak oczy jej się przyzwyczajały, widziała coraz więcej, ściany i podłogę szybu, a także Jeffa — jego twarz. Spoglądał na nią ze zdumieniem.

— Co? — zapytał.

— Znajdźmy ten telefon, dobrze?

Kiwnął głową.

— Racja. Telefon.

Amy patrzyła, jak przykucnął, żeby przygotować pochodnię. Odkreślił butelkę, zaczął skrapiać alkoholem węzełek ubrań, powoli, żeby płyn wsiąknął. Nie spieszył się, polewał małym

strumyczkiem, przerywał i polewał znowu. Amy czuła zapach tequili, była tak wyjałowiona — głodna, spragniona, zmęczona — że trochę się upiła samym zapachem. Widziała but i skarpetkę leżące na podłodze szybu, na prawo od Jeffa i dopiero po chwili dotarło do niej, że te rzeczy należą do Pabla. Eric zdjął je wczoraj, żeby podrapać Pabla w podeszwę stopy i sprawdzić, czy kręgosłup jest złamany. Zapomnieli o nich w zamieszaniu poprzedniego wieczoru, a teraz porastał je cienki meszek winorośli. Amy mało nie schyliła się, żeby je zabrać, myśląc, że przydadzą się Pablowi, ale opamiętała się i poczuła się głupio. I niegodziwie, ponieważ — w makabryczny sposób — zaczęła się uśmiechać. Pablo oczywiście już nie potrzebuje butów ani skarpetek, już nigdy.

— Wczoraj wieczorem była tutaj łopata — oznajmiła, zdziwiona własnymi słowami. Nie przemyślała ich, nawet nie zauważyła świadomie braku łopaty, dopóki nie usłyszała swojego komentarza. Wskazała ścianę po drugiej stronie szybu, gdzie przedtem stała oparta łopata. Teraz zniknęła.

Jeff odwrócił się za jej gestem.

— Jesteś pewna? — zapytał.

Przytaknęła.

— Taka składana.

Jeff patrzył jeszcze przez chwilę, po czym wrócił do nasączania pochodni tequilą.

— Może ją zabrały — powiedział.

— Kto?

— Winorośle.

— Po co?

— Mathias i ja próbowaliśmy wcześniej wykopać dół przy pomocy kamienia i masztu namiotowego... na latrynę i żeby destylować nasz mocz. Może one chcą nam w tym przeszkodzić.

Amy milczała. Tyle miała do zakwestionowania w tych słowach, że wobec takiego wyzwania poczuła niemal panikę,

brzęczenie narastające w głowie. Nie wiedziała, od czego zacząć.

— Twierdzisz, że one widzą? Widziały, jak kopaliście?

Jeff wzruszył ramionami.

— Muszą jakoś wyczuwać różne rzeczy. Inaczej jak mogłyby zabrać stopy Pabla?

Feromony, myślała Amy. Odruchy. Nie chciała, żeby winorośle mogły widzieć, przerażała ją taka perspektywa, wołała, żeby działały automatycznie, nieświadomie.

— I potrafią się porozumiewać?— zapytała.

Jeff skończył polewać, zakręcił butelkę, ubrania całkiem już nasiąkły.

— O co ci chodzi?

— Zobaczyły, jak tam kopiecie, i kazały tym na dole schować łopatę.

Chciało jej się śmiać, taki absurdalny wydawał się ten pomysł. Ale coś powstrzymywało ją od śmiechu: brzęczenie w głowie.

— Chyba tak — przyznał Jeff.

— I myślą?

— Z pewnością.

— Ale...

— Przewróciły mój znak. Skąd mogły wiedzieć, że tak trzeba, jeśli...

— Jeff, to są rośliny. Rośliny nie widzą. Nie mogą się porozumiewać.

Nie myślą. Nie...

— Czy wczoraj wieczorem była tu łopata? — Wskazał przeciwległą ścianę.

— No tak, ale...

— Więc gdzie jest teraz?

Amy milczała. Nie potrafiła odpowiedzieć.

- Jeśli coś ją przesunęło — ciągnął Jeff— czy nie należy założyć, że to winorośle?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, znowu rozległo się świergotanie.

Dochodziło z lewej strony, z otwartego szybu, Jeff

szybko otworzył pudełko zapalek, wyciągnął jedną, zapalił, przyłożył do węzełka ubrań. Alkohol jakby chwycił zapalną i wessał w siebie jej płomyk z trzepotliwym dźwiękiem. Wokół pochodni zmaterializowała się kula błękitnego ognia. Jeff podniósł ją i trzymał wysoko, dawała słabe, niepewne światło i wydawało się, że zgaśnie lada chwila. Amy przewidywała, że pochodnia nie wystarczy na długo.

— Szybko — ponaglił Jeff i gestem skierował ją do otwartego szybu.

Świergotanie trwało — już trzy sygnały — i oboje pospieszyli do otworu, żeby znaleźć telefon, zanim znowu zamilknie. Pięć szybkich kroków i znaleźli się w bocznym szybie. Uderzył w nich stały prąd zimnego powietrza, pochodnia w rękę Jeffa słabo zamigotała. Amy przeżyła chwilę paniki, kiedy mały kwadrat otwartego nieba został z tyłu i sufit opadł tak nisko, że Jeff musiał posuwać się w kucki. Ciemność zdawała się napierać na nich, zacieśniać się z każdym krokiem, jakby ściany i sufit szybu przysuwały się do siebie. Winorośl, co dziwne w takim bezsłonecznym miejscu, rosła tutaj bujnie, pokrywała każdą powierzchnię. Brodzili w niej po kolana, zwisła również z sufitu, muskając twarz Amy, gdyby Amy tak rozpaczliwie nie chciała znaleźć telefonu, natychmiast zawróciłyby i uciekły.

Rozległ się czwarty świergot, wciąż przed nimi, wciągając ich głębiej do szybu. Amy wyczuwała gdzieś przed sobą ścianę — nawet w ciemnościach, nawet jej nie widząc — skądś wiedziała, że szyb kończy się jakieś dziesięć metrów dalej. Świergotanie budziło echo, nadal jednak słyszała wyraźnie, że telefon leży pod tamtą ścianą w głębi, zagrzebany w winoroślach. Musieli go szukać na czworakach. Teraz prawie biegła, żeby tylko znaleźć telefon, zanim przestanie dzwonić, to pragnienie połączone ze strachem popychało ją do przodu.

Jeff poruszał się ostrożniej, zwlekał. Zostawiła go za sobą razem z pochodnią, winorośle muskały jej ciało, ale łagodnie, pieścizotliwie, niemal się rozstępowały, żeby ją przepuścić.

— Czekaj - powiedział Jeff, a potem całkiem się zatrzymał. Podniósł wyżej migoczącą pochodnię i próbował coś zobaczyć.

Amy go nie posłuchała, chciała tylko tam dotrzeć, znaleźć telefon i wrócić. Widziała już ścianę albo coś podobnego: cień zmaterializowany przed nią, przeszkodę.

— Amy — odezwał się głośniejsze Jeff.

Jego głos odbił się echem od coraz bliższej ściany. Amy zawahała się, zwolniła, prawic się obejrzała i nagle dotarło do niej, że winorośl się porusza, że to właśnie wywołuje poczucie osaczenia, nie chodziło tylko o coraz głębszą ciemność, coraz węższy szyb. Nie, to powodowały kwiaty. Zwieszające się z sufitu i ścian, wznoszące się z podłogi, kwiaty na winoroślach poruszały się, otwierały i zamykały jak mnóstwo maleńkich ust. Kiedy to zrozumiała, o mało nie przystanęła. Ale potem telefon zaświergotał po raz piąty i pociągnął ją dalej, wiedziała, że więcej nie zadzwoni. Ale był blisko — tuż pod ścianą. Musiała tylko opaść na...

— Amy! — wrzasnął Jeff, aż podskoczyła. Znowu ruszył z miejsca, pospieszył do niej, trzymając przed sobą pochodnię. — Nie...

— Jest tutaj — powiedziała. Zrobiła następny krok. To głupie, ale to ona chciała znaleźć telefon. — Jest...

— Stój! — krzyknął. A potem, zanim zdążyła odpowiedzieć, był tuż przy niej, chwycił ją za ramię, szarpnął w tył, przyciągnął blisko do siebie. Widziała niewyraźnie jego twarz obok swojej, czuła jego ciepło, słyszała jego szept: — Nie ma żadnego telefonu.

— Co? — zapytała, zbita z tropu. Rozległ się szósty dzwonek, dobiegał jakby z winorośli tuż przed nimi. Amy spróbowała się wyrwać. — Przecież...

Jeff przytrzymał ją, ściskając mocno, aż zabołało. Schylił się i znowu zaczął jej szeptać do ucha:

— To winorośle. Kwiaty. One wydają ten dźwięk.

Pokręciła głową, nie wierząc, nie chcąc uwierzyć.

— Nie. Jest dokładnie...

Jeff wychylił się do przodu, opuścił pochodnię nad podłogę szybu, wepchnął w masę winorośli, zalegającą przed nimi. Rośliny cofnęły się przed ogniem, rozdzieliły się i utworzyły przejście pośrodku. Poruszały się tak szybko, że wydawań się syczeć. Jeff kucnął i wsunął płomień w dół, gdzie zamiast podłogi otwierała się czarna pustka. Przepięg nagle dmuchnął mocniej, rozwichrzył włosy Amy, zdeorientował ją. Jeff machał pochodnią tam i z powrotem, poszerzał stworzony przez siebie otwór, ale dopiero po chwili Amy zrozumiała, co widzi, co oznacza ta czerń, dlaczego tam nie ma podłogi. To był wylot następnego szybu, opadającego prosto w dół, winorośle przedtem go zakrywały. Pułapka, pomyślała Amy. Próbowaly zwabić ją i Jeffa tak daleko, żeby spadli w ciemność.

Rozległ się ostry świst, jakby ktoś machnął biczem. Jedna łodyga śmignęła w powietrzu, oplótła się wokół aluminiowego drążka i wyrwała Jeffowi pochodnię z garści. Amy patrzyła, jak pochodnia spada, jak płomień trzepocze, prawie gaśnie, ale wciąż się pali nawet po uderzeniu w dno, dziesięć metrów niżej. Mignęło jej coś białego — kości, pomyślała — i czaszka patrząca na nią z dołu pustymi oczodołami. Była tam również łopata i więcej winorośli, wijąca się wężowo masa, która cofała się przed małym kłębkim ognia jaśniejącym pośrodku. Potem płomienie zamigotały, opadły, zgasły.

Zrobiło się ciemno, okropnie ciemno, niemożliwie ciemno. Przez chwilę Amy słyszała tylko oddech Jeffa i słabe dudnienie własnego serca, ale potem znowu coś zaświstało, tym razem głośniejsze, i wiedziała, że słyszy winorośle, zanim jeszcze zaczęły ją chwytac. Wskakiwały jakby ze wszystkich stron jednocześnie, ze ścian, sufitu i podłogi, plaskały o jej ciało, owijały się wokół rąk i nóg — nawet wokół szyi — i ciągnęły ją w stronę otwartego szybu.

Amy wrzasnęła, rzuciła się do tyłu, szarpiąc łodygi rękami, ale zanim oswobodziła jedną kończynę, druga już tkwiła

w potrzasku. Winorośle nie były dość silne, żeby ją w ten sposób pokonać — zbyt łatwo pękały, krwawiąc na jej skórę parzącym sokiem — ale przybywało ich coraz więcej. Amy obracała się, kopała i wrzeszczała dalej, spanikowana, tracąc poczucie kierunku, aż wreszcie w ciemnościach już nie wiedziała, która droga prowadzi do bezpieczeństwa, a która do otwartej paszczy szybu.

— Jeff? — zawołała i poczuła, że jego ręka trzyma ją, ciągnie, więc poddała się i mszyła za nim, a winorośle tłukły w nich oboje, chwytaly, szarpały i parzyły.

Jeff krzyknął coś, ale go nie zrozumiała. Włókł ją do tyłu, oboje potykali się, wpadali na siebie, przewracali się na czworaki wśród winorośli, które oplatały ich i próbowały przytrzymać, potem znowu się podnosili i widzieli przed sobą słaby odbłask światła, biegli ku niemu, Jeff ciągnął Amy za rękę, a winorośle zostały z tyłu, uspokoiły się, znieruchomiały, ucichły.

Amy zobaczyła pętlę na linie, a potem w górze małe okienko nieba. Kiedy zadarła głowę i wytrzymała wzrok, dostrzegła Erica i Mathiasa, ciemny zarys dwóch głów, patrzących w dół.

— Jeff? — zawołał Mathias.

Jeff nie potatygował się odpowiedzieć. Oglądał się na wylot szybu za ich plecami. Teraz była tam tylko ciemność, z której dmuchało zimne powietrze, ale on wyraźnie nie chciał odwrócić wzroku.

— Zakładaj pętlę — powiedział do Amy.

Słyszała jego przyspieszony oddech. Ona też była zdyszana, Przez długą chwilę stała obok niego bez mchu i próbowała się opanować.

Jeff kucnął, chwycił butelkę tequili, odkręcił zakrętkę. Podniósł skarpetkę Pabla, polał ją alkoholem.

— Co robisz? — szepnęła Amy.

Z ciemnego wylotu szybu dobiegło jakieś szuranie, niemal niedosłyszane, ale z każdą chwilą coraz głośniejsze. Jeff

zaczął wpychać skarpetkę Pabla do butelki z tequilą, pomagając sobie wskazującym palcem, żeby wsadzić ją głębiej. Dźwięk wciąż narastał, jeszcze niewyraźny, ale dziwnie znajomy, jak szelest przy tasowaniu kart — obcy, przerażający i prawie ludzki.

— Szybciej, Amy — ponaglił Jeff.

Nie dyskutowała, sięgnęła po pętlę, wsunęła w nią ramiona. głowę.

Mathias znowu zawołał:

— Jeff?

— Wyciągajcie ją!

Amy odchyliła głowę do tyłu, spojrzała. Nadal widziała głowy tamtych, patrzące w dół z małego kwadracika nieba. Wiedziała jednak, że nie widzą jej w ciemnościach. Mathias złożył dłonie wokół ust.

— Co się stało? — krzyknął.

Jeff grzebał przy pudełku zapalek.

— No już! — wrzasnął.

Dźwięk brzmiał głośniejsz — coraz głośniejsz z każdą upływającą sekundą — i coraz bardziej znajomo, w miarę jak nabierał mocy. Amy wiedziała, co to jest, miała tę wiedzę w głowic. ale tuż poza zasięgiem. Nie chciała słyszeć nic więcej, nie chciała dotrzeć do tej wiedzy. Pętla szarpnęła i znowu rozległo się skrzypienie, napływające z góry, zagłuszające tamten drugi dźwięk, którego nie chciała znać. Poruszyła się, uniosła w powietrze, jej stopy zadyndały nad podłogą szybu. Jeff nawet na nią nie spojrzał. Przesuwał wzrokiem tam i z powrotem, od pudełka zapalek do ciemności, gdzie czyhał tamten dźwięk, nawet teraz nabierający siły, jakby chciał podążyć za nią w górę do światła, schwytać ją, ściągnąć z powrotem na dół.

Pod sobą Amy zobaczyła szybki ruch ręki Jeffa. Zapłonęła zapałka. Jeff przytknął ją do skarpetki Pabla, tequila natychmiast zajęła się takim samym bladobłękitnym płomieniem jak pochodnia. Jeff wstał i przez chwilę trzymał butelkę przy

boku, żeby sprawdzić, czy porządnie się pali. Potem zamachnął się szeroko i cisnął ją jak granat w otwór szybu. Amy usłyszała brzęk rozbijanego szkła i z szybu buchnęła jasność, wyraźniej oświetlając Jeffa.

Koktajl Mołotowa, pomyślała. Sama się zdziwiła, że zna tę nazwę, wyobraziła sobie Polaków rzucających bezsilnie butelkami w rosyjskie czołgi, daremny, rozpaczliwy gest. Na dole Jeff stał całkiem nieruchomo, wpatrując się w szyb, ogień już przygasał, a ona wznosiła się miarowo. Wkrótce, jak wiedziała — już niedługo — całkiem straci go z oczu. Płomienie powinny uciszyć ten okropny hałas, ten dźwięk, który знаła, ale nie chciała rozpoznać, i początkowo myślała, że tak się stało, ale potem dźwięk powrócił, cichszy, a jednak otaczający ją ze wszystkich stron. Dopiero po chwili zorientowała się, że odgłos nie dochodzi już z dołu, teraz rozbrzmiewał wszędzie wokół niej i nawet ponad nią. Ogień przygasał, Jeff niknął w mroku, cienie znowu go pochłaniały, a kiedy Amy podniosła oczy, żeby zobaczyć, ile jeszcze drogi jej zostało, jakiś ruch przyciągnął jej spojrzenie, przykuł mocno. Poruszały się rośliny zwisające ze ścian szybu, bledsze, wątlesze wersje swoich kuzynów z góry. Maleńkie kwiatki otwierały się i zamykały. Właśnie one wydawały ten okropny dźwięk, uświadomiła sobie Amy — teraz znacznie cichszy, na pozór niewinny — dźwięk, który w końcu musiała rozpoznać, przyjąć do wiadomości, który, jak podejrzewała, powtarzał się echem na całym wz One się śmieją, pomyślała.

Gdy już wyciągnęli ich oboje z szybu, nie mieli nic więcej do roboty. Jeffowi raz przynajmniej wyczerpały się pomysły, wydawał się nieco oszołomiony tym, co widział na dole. Zanieśli Pabla z powrotem do wiaty, potem usiedli wszyscy razem — wszyscy oprócz Stacy, która nadal czekała na Greków u podstawy wzgórza — i puścili w obieg plas-

tikowy kanister z wodą. Eric zauważył, że Jeffowi trzęsą się ręce, kiedy sięgał po swoją porcję: to mu sprawiło dziwną, przyjemność. W końcu jemu też się trzęsły ręce — od dłuższego czasu — więc cieszył się, że inni do niego dołączają. Nędzna nędza nędznika, pomyślał. Z niewiadomych powodem nie mógł wyrzucić z głowy tych słów i musiał się powstrzymać, żeby nie wypowiedzieć ich na głos.

— Śmiały się z nas — szepnęła Amy.

Nikt nie skomentował. Mathias zakręcił kanister, wsuń i odniósł go do namiotu. Jeff opowiedział, co się stało, jak tylko wyszedł z szybu — że rośliny naśladowały dźwięk telefonu komórkowego, żeby ich zwabić w pułapkę — i nawet to rozczarowanie, wraz z towarzyszącym mu ładunkiem grozy niosło pewną pociechę dla Erica. Ponieważ teraz oni zobaczą, teraz, doświadczywszy potęgi winorośli, uwierzą mu, kiedy powie, że to wciąż jest w nim, rośnie, wyjada go od środka. Ciągłe to czuł, bez chwili przerwy. W nodze coś go uwierało, coś małego i podobnego do robaka pod skórą obok puszczeli, coś ruchliwego, badającego, próbującego. A wyżej, w klatce piersiowej, nie wyczuwał żadnego ruchu, tylko stały nacisk, niemożliwy do zignorowania. Wyobraził tam sobie pustą przestrzeń, tuż pod żebrami, naturalną jamę wewnątrz ciała, powoli wypełnianą przez winorośl, która rośnie zwinięta, rozpycha na boki wewnętrzne organy, zajmuje coraz więcej miejsca z każdą chwilą. Przypuszczał, że gdyby rozciął ciało w tym miejscu, wykonał choćby najmniejsze nacięcie, roślina wyrwałaby się na zewnątrz, do światła, umazana jego krwią niczym koszmarny noworodek, wijąc się i skręcając, otwierając i zamykając kwiaty niczym tuzin maleńkich ust.

Pablo jęknął — to zabrzmiało całkiem jak słowo, jakby o coś prosił — ale kiedy obejrzeni się na niego, oczy miał nadal zamknięte i leżał nieruchomo. Śni, pomyślał Eric, ale natychmiast zrozumiał, że to nie sen, tylko coś gorszego. dużo gorszego. Delirium, potknięcie przed upadkiem.

Delirium, demencja, denat...

— Nie powinniśmy mu dać trochę wody? — zapytała Amy.

Dla Erica jej głos zabrzmiał jakoś dziwnie. Pewnie ręce też jej się trzęsą, pomyślał. Nikt nie odpowiedział. Przez kilka długich chwil patrzyli w milczeniu na Pabla, czekali, żeby otworzył oczy, żeby się poruszył, ale daremnie. Słyszeli tylko mokre, charkotliwe rżenie jego oddechu. Eric przypomniał sobie, jak leżał gdzieś w północy wcześniej rano i słuchał, jak ktoś przesuwa meble po podłodze pokoju na górze, zmieniając ustawienie. Nocował u przyjaciela, spał na kanapie. Co dziwne, nie pamiętał imienia ani nazwiska tego przyjaciela. Widział szereg pustych butelek po piwie na stoliku do kawy. czuł stęchlą woń poduszki, na której spał, słyszał hurgot przesuwanych mebli w pokoju na górze, ale był taki zmęczony, taki wysuszony, taki wygłodzony, że nie mógł sobie przypomnieć gospodarza. Teraz jednak znowu słyszał ten odgłos — z całą pewnością — tak właśnie brzmiał oddech Pabla, jak przesuwanie ciężkiego stołu po drewnianej podłodze.

Amy nalegała:

— On nic nie pił, odkąd...

— On jest nieprzytomny — przerwał jej Jeff. — Jak mamy mu podać wodę?

Amy umilkła, zachmurzona.

Jeden po drugim przestali obserwować Pabla — zamykali oczy, odwracali wzrok, nie spoglądali więcej w tamtą stronę. Spojrzenie Erica wędrowało bez celu po polanie, aż wreszcie zatrzymało się na nożu. Leżał obok wiaty. Ostrze zmatowiało od krwi Greka, pokrywającej je od czubka aż po rękojeść. Nie leżał tak daleko — żeby go dosięgnąć, Eric musiał tylko Przesunąć się kawałek w lewo, potem wychylić się, wyciągnąć rękę i już. Rękojeść, przyjemnie ciepła od słońca, dobrze pasowała do dłoni. Eric próbował wytrzeć ostrze o podkoszulek, ale krew zaschła i nie chciała zejść. Był taki odwodniony, że musiał długo pracować językiem, zanim zebrał dość śliny, żeby splunąć. Nawet to nie pomogło: jak

tylko zacząć szorować ostrze, podkoszulek — zjedzony przez zielony meszek winorośli niemal do przezroczystości muślinu — zaczął się rozpadać w strzępy.

Nieważne, pomyślał. To nie infekcji się obawiał.

Nachylił się do przodu i rozciął łydkę na długości kilku centymetrów, na lewo od piszczeli, nieco pod nacięciem, które Mathias zrobił wcześniej rano. Oczywiście zabolalo, zwłaszcza że musiał wbić nóż głęboko, wepchnąć w ciało. podważyć mięśnie krawędzią ostrza, żeby dostać się do małego kawałeczka winorośli, który tam wyczuwał. Ból był intensywny — głośny, tak mu się wydawało — ale również dziwnie pocieszający: orzeźwiający, oczyszczający. W ranie zbierała się krew, wypływała na zewnątrz, ściekała po nodze, przesłaniała widok, więc sięgnął wolną ręką, wsadził palce wskazujący do otworu, grzebał, szukał po omacku, ból przypominał teraz człowieka biegnącego po schodach, pędził, przeskakiwał po dwa stopnie. Inni patrzyli na niego, zbyt zaskoczeni, żeby coś powiedzieć. Robaczkowe ruchy dalej trwały, pomimo bólu, Eric czuł, że to coś umyka w dół, dalej od jego palca. Znowu sięgnął nożem, ciął głębiej. W tym momencie wstał Jeff i szybko

Eric podniósł wzrok, krew obficie spływała mu po łydce, znowu zbierała się w bucie. Spodziewał się współczucia, propozycji pomocy, ale ze zdumieniem zobaczył niesmak na twarzy Jeffa, zniecierpliwienie. Jeff chwycił nóż, wyrwał z garści Erica.

— Przestań — warknął i odrzucił nóż, który potoczył się po ziemi.
— Nie bądź cholernym idiotą.

Na polanie zapadła cisza. Eric obejrzał się na pozostałych, licząc, że ktośś powie coś w jego obronie, oni jednak unikali jego wzroku, z zastygłymi twarzami, odzwierciedlającymi to samo potępienie.

— Uważasz, że mamy za mało problemów? — zapytał Jeff

Eric wykonał bezradny gest, wskazał zakrwawionymi rękami na zakrwawioną łydkę.

— To jest we mnie.

— Tylko doprowadzisz do zakażenia. O to ci chodzi? Chcesz dostać zakażenia w nodze?

— Nie tylko w nodze. W piersi też. — Eric dotknął miejsca na klatce piersiowej, skąd promieniował tępy ból, przyłożył tam rękę. Zdawało mu się, że czuje, jak winorośl delikatnie odwzajemnia ucisk.

— Nic w tobie nie ma. Zrozumiano? — oświadczył Jeff twardym głosem, pasującym do wyrazu jego twarzy: frustracja, zmęczenie. — Wmawiasz sobie i po prostu... kurwa, po prostu musisz przestać.

Odwrócił się i pomaszzerował na środek polany. Zaczął chodzić tam i z powrotem. Wszyscy mu się przyglądali. Pablo nadal przeciągał ten ciężki stół po drewnianej podłodze, a w głowie Erica wyskoczyło nagle nazwisko: Mike O'Donnell. Tak się nazywał jego przyjaciel: rudowłosy, ze szparą między zębami, gracz w lacrosse. Znali się od szkoły średniej, poszli na inne studia, stopniowo ich drogi się rozeszły. Mike mieszkał w starym szeregowcu na przedmieściach Baltimore i Eric spędził tam weekend. Poszli na mecz Orioles, kupili beznadziejne bilety od konika i w końcu nic nie widzieli. To się zdarzyło zaledwie przed dwoma czy trzema laty, ale teraz wydawało się niemożliwie odległe, całkowicie inne życie niż to, które prowadził obecnie na tej małej polance, gdzie słuchał okropnego rżenia Pabla — *demencja, delirium, denat* — i chciał znowu wsadzić palec w otwartą ranę, ale się powstrzymywał, powtarzał sobie: „Nic tam nie ma” i usiłował w to uwierzyć.

Jeff przestał chodzić.

— Ktoś powinien złuzować Stacy — powiedział.

Nikt się nie ruszył, nikt nie odpowiedział.

Jeff odwrócił się najpierw do Amy, potem do Mathiasa. Oboje unikali jego wzroku. Na Erica nawet nie spojrzali.

- No dobrze — powiedział wreszcie i machnął na nich

ręką, na ich bezwład, ospałość, bezradność, rozciągając swój niesmak na wszystkich. — Ja to zrobię.

Po czym, nie mówiąc więcej ani słowa, bez jednego spojrzenia odwrócił się i odszedł.

Powinni byli coś zjeść, uświadomił sobie Jeff, schodząc ze wzgórza. Południe minęło już dawno, powinni podzielić dwa banany, pokroić je na pięć równych porcji, przeżuć, przełknąć i nazwać lunchem. Potem pomarańcza na obiad może również parę winogron — te rzeczy łatwo się psują, nie wytrzymają długo w upale. A co potem? Precelki, orzeszki, proteinowe batoniki — na jak długo wystarczą? Jeszcze na parę dni, oceniał Jeff, a potem zacznie się post, głodówka. Nie warto martwić się na zapas, skoro nic nie mogą zrobić, żeby zmienić tę sytuację. Modlitwy i pobożne życzenia — w końcu tylko tyle im zostało, a dla Jeffa modlić się znaczyło tyle, co nic nie robić.

Powinien był zabrać nóż. Eric dalej będzie się kaleczył, jeśli tamci go nie powstrzymają, a Jeff nie ufał Amy ani Mathiasowi pod tym względem. Wiedział, że ich traci. Po zaledwie dwudziestu czterech godzinach już zachowywali się, jak ofiary — przygarbione ramiona, puste twarze. Nawet Mathias jakoś się wycofał w ciągu poranka, stał się bierny, podczas gdy Jeff potrzebował aktywności z jego strony.

Powinien był wiedzieć, że w szybie nie ma żadnego telefonu komórkowego, powinien był przewidzieć taki rozwój wypadków. Nie myślał tak jasno, jak powinien, co musiało doprowadzić do nieszczęścia. Winorośl łatwo mogła zjeść linę, ale nie zjadła. Zostawiła ją nietkniętą na kołowrocie, czyli chciała, żeby znowu opuścili się do szybu, i Jeff powinien to zobaczyć, powinien zrozumieć, że to mogło znaczyć tylko jedno, że świergotanie stanowiło pułapkę. Winorośl potrafiła się poruszać, myśleć i naśladować rozmaite dźwięki — i nie tylko dzwonek telefonu komórkowego, ale również ptaki -

ponieważ to winorośl podniosła krzyk i ostrzegła Majów, kiedy w nocy schodził ukradkiem ze wzgórza, co również powinien zrozumieć.

Robił się niedbały. Tracił opanowanie i nie wiedział, jak je odzyskać.

W polu widzenia pojawiła się Stacy, skulona pod parasolem, twarzą do polany, Majów i dżungli w głębi. Nie usłyszała nadejścia Jeffa, nie odwróciła się do niego, ale dopiero kiedy się zbliżył, zrozumiał przyczynę. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, bezwładnie pochylona do przodu, z parasolem opartym na ramieniu, z zamkniętymi oczami, z otwartymi ustami: spała głęboko. Jeff prawie przez minutę stał i patrzył na nią z góry, z rękami na biodrach. Pierwsza fala gniewu na jej niedbalstwo szybko opadła, był zbyt wyczerpany, żeby go podtrzymywać. Wiedział, że to właściwie nie ma znaczenia, nie w sensie praktycznym. Gdyby Grecy przyjechali, zobaczyliby ją z daleka siedzącą na ścieżce, i od razu zaczęliby wołać. Stacy zdążyłaby się jeszcze obudzić i ich zatrzymać. Grecy nie przyjechali, pewnie wcale nie przyjadą. Więc nie czas na gniew, przyszedł i odszedł, krótki jak dreszcz.

Parasol się przekrzywił, krąg cienia zakrywał tylko górną część ciała Stacy, kolana, skrzyżowane nogi były wystawione na popołudniowe słońce. Stopy w ubłoconych sandałach spaliły się aż do kostek — głęboka czerwień surowego mięsa. Później pojawiają się pęcherze, skóra się złuszczy, bolesny proces. Gdyby to spotkało Amy, wywołałoby nieustający potok skarg — może także Izy — ale Stacy pewnie nawet nie zauważy, nie mówiąc o narzekaniu. Zawsze była trochę nie z tej ziemi, jakby oderwana od swojego ciała. Jeff często nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie porównywał z Amy. Poznał je razem, na pierwszym roku mieszkał w tym samym akademiku, piętro niżej, dokładnie pod ich pokojem. Pewnego razu późnym wieczorem przyszedł się poskarżyć na głośne stukanie i zastał je w piżamach, nad kupką desek, z gwoździemi, młotkiem i instrukcją po koreańsku. Amy kupiła

przez Internet regał na książki, bardzo tanio, nie zdając sobie sprawy, że musi go sama złożyć. W końcu Jeff zbił mi ten regał, przy okazji się zaprzyjaźnili. Przez krótki czas nawet sam nie bardzo wiedział, do której się zaleca, i pewnie dlatego nie mógł przestać ich porównywać, rozważać dzielące je różnice, przeciwstawiać je sobie.

Ostatecznie Amy podbiła go swoją osobowością — była znacznie bardziej solidna niż Stacy, bardziej rzetelna i odpowiedzialna, pomimo skłonności do narzekania — ale w sensie czysto fizycznym Stacy jednak bardziej go pociągała. To przez te jej ciemne oczy, którymi spoglądała na ciebie nagle. spojrzeniem niemal boleśnie szczerym, niczego nieukrywającym. Była seksowna, kusząca, podczas gdy Amy była zwyczajnie ładna. Przez krótki czas, kiedy już zaczął się na poważnie spotykać z Amy, bawił się nawet przelotną, kiczowatą fantazją o romansie ze Stacy. Ponieważ to, co zdarzyło się na plaży z Don Kichotem, nie było odosobnionym wypadkiem. Stacy miała skłonność do takich rzeczy, puszczała się ukradkiem, bezradnie, niemal wbrew sobie. Lubiła całować obcych chłopców, dotykać i być dotykana, zwłaszcza kiedy wypila. Eric wiedział o niektórych jej przygodach, ale nie o wszystkich. Kłócili się o te, które odkrył, wrzeszczeli na siebie i obrzucali się wyzwiskami, żeby w końcu się pogodzić — jak zawsze — i Stacy składała łzawe, pozornie szczere obietnice, które nieuchronnie łamała, czasami już po pani dniach. Dziwne, że teraz sobie przypomniawszy wszystko, zwłaszcza swoje fantazje o zdradzie, chociaż nie bardzo pamiętał, jak do tego doszedł. Ani dlaczego. Wydawały się takie odległe.

Co dziwne, Stacy, pomimo tej seksualnej aury, wydawała się uderzająco dziecinna. Częściowo z powodu cech jej osobowości — miała skłonność do bujania w obłokach, wolała się raczej bawić, niż pracować — ale również ze względu na cechy fizyczne, coś w rysach jej twarzy, kształcie głowy. wyraźnie okrągłej i troszkę za dużej w stosunku do ciała,

bardziej jak u dziewczynki niż dorosłej kobiety. Jeff wątpił, czy ona kiedyś z tego wyrośnie. Nawet jeśli wyjdzie stąd żywa, nawet jeśli dożyje zgrzybiałej, pomarszczonej, zgarbionej, powłóczącej nogami, roztrzęsionej starości, pewnie gachowa te cechy. Które teraz oczywiście jeszcze bardziej się wzmocniły, kiedy wyglądała tak bezbrinnie, pogrążona w głębokim śnie.

Nie powinna tu być, pomyślał Jeff. Te słowa same niespodziewanie napłynęły mu do głowy. Oczywiście mówiły prawdę: żadne z nich nie powinno tu być. Ale byli tu i coraz bardziej wyglądało na to, że nie mają większych szans być gdziekolwiek indziej. To był jego pomysł, żeby przyjechać do Meksyku, jego pomysł, żeby towarzyszyć Mathiasowi w poszukiwaniach brata. Czy właśnie do tego zmierzały te słowa? Że powinien przyjąć jakąś odpowiedzialność? Winorośl zapuściła korzenie w sandałach Stacy, przywarła do wyprawionej skóry niczym girlanda, i kiedy Jeff zaczął flirtować z tą myślą, kucnął i wyciągnął rękę, żeby oderwać roślinę.

Stacy ocknęła się pod dotykiem, szarpnęła się w tył, poderwała na nogi, upuszczając parasol: przestraszona.

— Co się stało? — zapytała, prawie krzyżąc.

Jeff wykonał uspokajający gest, chciał jej dotknąć — wziąć za rękę, przytulić — ale cofnęła się o krok, żeby jej nie dosięgnął.

— Zasnęłaś — oznajmił.

Stacy osłoniła oczy ręką i usiłowała się zorientować. Jeff zobaczył, że winorośl rośla również na jej ubraniu. Długi pęd zwisał na przedzie podkoszulka, drugi spelzł po lewej nogawce spodni khaki i owinął się wokół łydki. Jeff schylił się, podniósł parasol, podał jej. Popatrzyła, jakby nie mogła rozpoznać, co to za przedmiot i w jaki sposób jej dotyczy — potem wzięła parasol, oparła na ramieniu. Zrobiła następny krok do tyłu.

Jakby się mnie bała, pomyślał Jeff i poczuł ukłucie irytacji.

Wskazał na wierzchołek wzgórza.

- Możesz już wracać.

Stacy nie odeszła. Podniosła zaczerwienioną stopę, podrapała się z roztargnieniem.

— Śmiały się — powiedziała.

Jeff zagapił się na nią. Wiedział, o czym ona mówi, ale nie potrafił wymyślić żadnej odpowiedzi. W jej obecności jeszcze silniej uświadamiał sobie własne zmęczenie. Z trudem powstrzymał ziewnięcie.

Stacy powiodła ręką dookoła.

— Winorośle.

Kiwnął głową.

— Zeszliśmy z powrotem do szybu. Żeby poszukać telefonu komórkowego.

Wyraz twarzy Stacy zmienił się w jednej chwili — wszystko się zmieniło, jej postawa, ton głosu — ożywione nadzieją.

— Znaleźliście?

Jeff pokręcił głową.

— To była pułapka. Winorośl wydawała ten dźwięk.

Poczuł się tak, jakby ją uderzył, jego słowa wywołały dramatyczny efekt. Zgarbiła się, twarz jej obwisła, straciła kolor.

— Słyszałam, jak się śmiały. Całe wzgórze.

Jeff przytaknął.

— One naśladują różne rzeczy. — A potem, ponieważ tak bardzo potrzebowała jakiejś pociechy, dodał: — To tylko dźwięk, który nauczyły się wydawać. To nie jest prawdziwy śmiech.

— Zasnęłam. — Stacy wydawała się zdziwiona, jakby mówiła o kimś innym. — Tak się bałam. Nie wiem... — pokręciła głową, nie znajdując właściwych słów, po czym dokończyła słabo: — Nie wiem, dlaczego zasnęłam.

— Jesteś zmęczona. Jak my wszyscy.

— Czy z nim w porządku? — szepnęła Stacy.

— Z kim?

— Z Pablem. Czy... — znowu szukała właściwych słów czy nic mu nie jest?

Dziwne, ale dopiero po chwili Jeff zrozumiał, o co jej chodzi. Spojrzał w dół i zobaczył krew zaschnięta na dżinsach, ale musiał wyteńczyć pamięć, zanim sobie przypomniał, czyja to krew i skąd się tam wzięta. Zmęczenie, pomyślał, chociaż wiedział, że to coś więcej. Uciekał w głąb siebie, jak pozostali.

— Jest nieprzytomny - powiedział.

— A nogi?

— Nie ma ich.

— Ale on żyje?

Jeff kiwnął głową.

— I wyzdrowieje'?

— Zobaczymy.

— Amy cię nie powstrzymała?

Jeff pokręcił głową.

— Miała cię powstrzymać.

— Przyszła, jak już to zrobiliśmy.

Te słowa ją uciszyły.

Jeff znowu czuł wzbierające zniecierpliwienie, frustrację z jej powodu, chciał, żeby odeszła. Czemu nie odchodziła? Wiedział, co ona teraz powie, domyślał się, czekał na to, a jednak został zaskoczony, kiedy to powiedziała — znieważony.

— Uważam, że nie powinieneś tego robić.

Szorstko machnął ręką, odrzucił te słowa.

— Trochę za późno, prawda?

Stacy zawahała się, patrząc na niego. Potem podjęła, jakby wbrew sobie:

— Chciałam tylko, żebyś wiedział. Że żałuję, że nie głosowałam inaczej. Że nie chciałam, żebyś je obcinał.

Jeff nie znajdował odpowiedzi. Wszystkie opcje, jakie się nasuwały, były nie do przyjęcia. Chciał na nią wrzasnąć, potrząsnąć za ramiona, spoliczkować, ale wiedział, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Wszyscy tutaj jakby się zmówili, żeby sprawić mu zawód, okazali się o tyle słabsi, niż przypuszczał. On tylko robił, co należy, żeby uratować życie Pabla,

żeby uratować ich wszystkich, ale nikt tego nie doceniał i oczywiście nikt nie znalazł w sobie siły żeby mu pomóc zrobić te trudne rzeczy, które należało zrobić.

— Powinnaś wracać — odezwał się w końcu. — Powiedz im, żeby ci dali trochę wody.

Stacy kiwnęła głową, ciągnąc za maleńki pęd winorośli przyczepiony do podkoszulka. Oderwała go i tkanina rozdarła się, tworząc długą szparę. Stacy nie nosiła stanika, Jeff dostrzegł przelotnie jej prawą pierś. Wyglądała zadziwiająco podobnie do piersi Amy: taki sam kształt, taki sam rozmiar, ale z ciemniejszym sutkiem, ciemnobrązowym, podczas gdy Amy miała sutki w odcieniu najbledszego różu. Jeff szybko odwrócił wzrok i ten gest jakby nabrał rozpędu, inercja pociągnęła go dalej, obróciła dookoła, aż w końcu niechcący stanął plecami do Stacy. Spojrzał przez polanę na Majów. Większość leżała teraz w cieniu na skraju dżungli, kryjąc się przed dziennym skwarem. Kilku paliło i rozmawiało, inni chyba drzemali. Zostawili niedogaszony ognek, przysypując żar popiołem. Nikt nie zwracał uwagi na Jeffa ani Stacy i przez krótką chwilę Jeff doznał iluzji, że mógłby zwyczajnie przejść przez polanę, wkroczyć pomiędzy Majów, zniknąć w cieniu wśród drzew i nikt nie kiwnie palcem, żeby go zatrzymać. Wiedział jednak, że to fantazja, łatwo mógł sobie wyobrazić sięganie po broń, gdyby ruszył do przodu, ostrzegawcze okrzyki, brzęk cięciw, więc nie zamierzał próbować.

Widział małego chłopca z poprzedniego dnia, tego, który śledził ich, kiedy wyszli z wioski, jechał na kierownicy skrzypiącego roweru. Chłopczyk stał obok resztek ogniska i uczył się żonglować. Miał trzy kamienie wielkości pięści i podrzucał je po kolei, próbując osiągnąć ten płynny, kolisty ruch, w jaki klauni uprawiają piłeczki, miecze i płonące pochodnie. Brakowało mu jednak ich gracji, nie mógł się z nimi równać, ciągle upuszczał kamienie, podnosił je i zaczynał od nowa. Po kilku takich powtórzeniach wyczuł wzrok Jeffa. Odwrócił się, spojrzał na niego, wytrzymał jego wzrok

i to również zmieniło się w rodzaj gry, wyzwania, bo żaden nie chciał pierwszy spuścić oczu. Jeff nie zamierzał się poddać: przelewał w ten pojedynek całą swoją frustrację, całą furję, skupił się tak mocno, że ledwie zarejestrował odgłos kroków Stacy, która odwróciła się i mszyła pod górę, odgłos cichnący z każdą sekundą, zanim wreszcie rozpląnął się w ciszy.

Stacy zastała Erica i Amy przed namiotem na polanie. Amy siedziała na ziemi, tyłem do Pabla, z kolanami przyciągniętymi do piersi. Oczy miała zamknięte. Eric chodził w kółko, nawet nie spojrzął na Stacy, kiedy się pojawiła. Mathias zniknął.

Stacy przede wszystkim musiała zaspokoić pragnienie.

— Jeff powiedział, że mogę się trochę napić — oznajmiła.

Amy otwarła oczy, spojrzała na nią, ale nic nie powiedziała. Eric też milczał. Na polanie unosił się zapach gotowania, czarne kółko sadzy widniało w miejscu, gdzie Mathias rozpałił ogień, i Stacy pomyślała: Robili lunch. Potem przypomniała sobie powód tego ogniska i ostrożnie zerknęła w stronę Pabla, przez mgnienie widziała go leżącego pod wiatą (zapadnięte oczy, błyszczące różowo-czarne kikuty jego nóg...), zanim się zdrygnęła, odwróciła w stronę namiotu, uciekła. Kłapa była otwarta i Stacy szybko zanurkowała do środka, zostawiając parasol na ziemi przed wejściem.

Panował tutaj półmrok, dopiero po chwili oczy jej się przyzwyczyły. Mathias leżał na ściworze, skulony na boku. Oczy miał zamknięte, ale Stacy jakoś wyczuwała, że nie spał. Przekradła się w głąb namiotu, przykucnęła, podniosła kanister z wodą. Odkręciła zakrętkę, pociągnęła długi łyk, otarła usta wierzchem dłoni. Oczywiście to nie wystarczyło — cały kanister by nie wystarczył — i przelotnie rozważyła pomysł, żeby wypić jeszcze łyk. Wiedziała jednak, że tak nie wolno, i poczuła się winna na samą myśl o takim wykroczeniu, więc zakręciła kanister. Kiedy się odwróciła do wyjścia, zobaczyła,

że Mathias patrzy na nią ze swoją typową nieprzeniknioną miną.

— Jeff mi powiedział, że mogę — wyjaśniła. Bała się, żeby nie pomyślał, że kradła wodę.

Mathias kiwnął głową. Nadal patrzył w milczeniu.

— Czy z nim w porządku? — szepnęła Stacy, wskazując w stronę Pabla.

Mathias milczał tak długo, aż wydawało się, że wcale nie odpowie. Potem powoli pokręcił głową.

Stacy nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć. Zrobiła następny krok w stronę otwartej klapy, potem znowu się zatrzymała.

— A z tobą? — zapytała.

Twarz Mathiasa zmieniła się nieznacznie, grawitując w stronę uśmiechu, który się nie pojawił. Przez mgnienie Stacy myślała nawet, że Mathias się roześmieje, ale do tego też nie doszło.

— A z tobą? — zapytał.

Pokręciła głową:

— Nie.

I nic więcej: tylko dalej patrzył na nią niemal pustym wzrokiem, w którym kryła się odrobina znużonego rozbawienia, nie wyrażona wprost. W końcu Stacy zrozumiała, że czekał, żeby wyszła. Więc wyszła, schylona wygramoliła się z powrotem na słońce i zasunęła za sobą zamek błyskawiczny klapy.

Eric wciąż chodził. Stacy zauważyła, że noga mu znowu krwawi, chciała go zapytać, dlaczego, ale potem uświadomiła sobie, że wcale nie chce wiedzieć. Wołała, żeby wszedł do namiotu i położył się obok Mathiasa, zmusiłaby go, gdyby tylko знаła sposób. Zresztą wszyscy powinni siedzieć w namiocie, tego życzyłby sobie Jeff. Odpoczywać w cieniu, oszczędzać siły. Ale w środku czuła się jak w pułapce Zamknięta, nie widać, co się dzieje, co nadchodzi. Nie chciała tam siedzieć i zakładała, że inni czują to samo. Nie rozumiała, jak Mathias mógł tam wytrzymać.

Podniosła parasol, usiadła na ziemi, dwa kroki od Amy. Eric krążył, krew powoli ściekała mu po nodze, nasiąknięty but skrzypiał przy każdym kroku. Stacy chciała, żeby przestał. żeby wreszcie się uspokoił, i przez chwilę życzyła sobie tego. Usiądź, Eric, powtarzała w myślach. Proszę, usiądź. Oczywiście nie podziało, nawet gdyby wymówiła te słowa na głos, wykrzyczała, nic by nie wskórała.

Nie słońce było najgorsze i nie upał. Najgorszy był oddech Pabla, głośny, chrapliwy, dziwacznie nieregularny. Czasami ustawał na kilka sekund — po prostu cichł — i Stacy wbrew sobie zawsze w końcu zerknęła w stronę wiaty, myśląc to samo: umarł. Ale potem z charkotliwym zachłyśnięciem, od którego zawsze się wzdrygała, Grek znowu zaczął oddychać, chociaż dopiero wtedy, kiedy musiała znowu na niego spojrzeć, zobaczyć te błyszczące, pokryte pęcherzami kikuty, te oczy, które nie chciały się otworzyć, cienką nitkę ciemnobrazowego płynu sączącego się z kącika ust.

No i oczywiście winorośle, które ich otaczały. Zieleń, zieleń, zieleń — w którąkolwiek stronę Stacy się odwróciła, zawsze czekały na linii jej wzroku. Powtarzała sobie, że to tylko roślina, zwykła roślina, nic więcej. Ostatecznie teraz tak wyglądały, nie poruszały się, nie wydawały tego okropnego śmiechu. Po prostu gęste zarośla z czerwonymi kwiatkami i płaskimi, dłoniastymi liśćmi — wchłaniające promienie słoneczne, bierne i nieszkodliwe. Takie właśnie są rośliny: nie ruszają się, nie śmieją, nie mogą się ruszać ani śmiać. Ale Stacy nie potrafiła podtrzymać tej fantazji. To przypominało ściskanie w ręku kostki lodu i życzenie sobie, żeby się nie roztopiła, im dłużej ją trzymała, tym mniej jej zostawało. Widziała przecież, jak winorośle się poruszają, jak zagłębiają się w nodze Erica, jak sięgają, żeby wysać wymiociny Amy, i słyszała je, słyszała ich śmiech — całe wzgórze się śmiało. Nic nie mogła poradzić: czuła, że teraz patrz, obserwuj ich, planuj następne posunięcie.

Przysunęła się bliżej do Amy, przechyliła swój nędzny parasol tak, żeby okrył cieniem je obie. Wzięła Amy za rękę,

zaskakująco wilgotną. Strach, pomyślała. A potem znowu zadała pytanie, to samo, z którym zwróciła się do Mathiasa w namiocie:

— Z tobą w porządku'?

Amy pokręciła głowę, zaczęła płakać, ściskając dłoń Stacy,

— Cii — szepnęła Stacy, żeby ją uspokoić. — Cii.

Objęła ramieniem przyjaciółkę, poczuła, jak szloch się pogłębia, jak całe ciało zaczyna dygotać, wpadać w czkawkę - O co chodzi, skarbie? Co się stało?

Amy wyrwała rękę, otarła twarz. Zaczęła kręcić głowa i chyba nie mogła przestać.

Eric wciąż chodził, zagubiony we własnym świetle, nawet na nią nie spozjrzał. Stacy patrzyła, jak przemierzał małą polankę tam i z powrotem, tam i z powrotem.

W końcu Amy zdobyła się na odpowiedź.

— Jestem po prostu zmęczona — szepnęła. — To wszystko. Jestem taka zmęczona.

Potem znowu zaczęła płakać.

Stacy siedziała przy niej i czekała, aż jej przejdzie. Ale nie przechodziło. Wreszcie Stacy nie mogła już tego znieść. Wstała, pomaszerowała na drugi koniec polany. Leżał tam plecak Pabla, sięgnęła do środka, wyciągnęła jedną z pozostałych butelek tequili. Zniosła ją do Amy, otworzyła — nic innego jej nie przyszło do głowy. Usiadła z powrotem pod parasolem, pociągnęła długi, palący łyk alkoholu, potem podsunęła butelkę przyjaciółce. Amy spojrzała na nią przez łzy, mrugając, wycierając oczy ręką. Widać było, jak się zastanawia, prawie decyduje odmownie, potem ulega. Wzięła butelkę, przyłożyła do warg, odchyliła głowę do tyłu, trunek chlusnął jej do ust, spłynął do gardła. Zachłysnęła się, łapiąc powietrze — na wpół z kaszlem, na wpół ze szl Nagle Eric usiadł obok nich, wyciągał rękę.

Amy podała mu butelkę.

I tak im mijało popołudnie, kiedy słońce powoli opadało na zachód. Siedzieli zbici w ciasną grupkę na tej małej po-

lance — otoczeni przez splątana gęstwinę winorośli, zielone liście, czerwone kwiaty - i przekazywali sobie coraz lżejszą butelkę.

Amy nie potrzebowała wiele, żeby się upić. Zaczęli powoli, ale to niczego nie zmieniło. W żołądku miała taką pustkę, że alkohol jakby przepalał ją na wylot. Z początku po prostu się zarumieniła, niemal rozchichotała, trochę zakręciło jej się w głowic. Potem słowa i myśli zrobiły się bełkotliwe, a na końcu nadeszło znużenie. Obok niej Eric odplynął już w sen, z trzech ran na jego nodze wciąż sączyły się cienkie nitki krwi. Stacy nie spała — nawet mówiła — ale wydawała się coraz bardziej odległa: Amy nie mogła zrozumieć jej słów. Zamknęła na chwilę oczy i zaczęła myśleć o niczym, rozkoszne uczucie: dokładnie takie, jak trzeba.

Kiedy znowu otworzyła oczy, zeszywniała — właściwie cała obolała — słońce stało już znacznie niżej na niebie. Eric ciągle spał, Stacy ciągle gadała.

— Oczywiście o to chodziło — mówiła. — Czy był jeszcze jeden pociąg, czy nie. To nie powinno robić różnicy, ale jej na pewno robi: ona myśli o tym przez cały czas. Bo jeśli to ostatni pociąg, jeśli będzie musiała spędzić noc w tym obcym mieście, gdzie nawet jeszcze nie znała języka... no, to już trochę lepiej, prawda?

Amy nie miała pojęcia, o czym Stacy mówi, ale kiwnęła głową, taka odpowiedź wydawała się właściwa. Butelka tequili leżała na ziemi przed Stacy, zakręcona, w połowie pełna. Amy wiedziała, że powinna przestać, że głupio zrobiła, pijąc alkohol, który tylko ją odwodni, tylko jeszcze bardziej spotęguje pragnienie, wiedziała, że zbliża się noc i powinni ją spotkać na trzeźwo, ale żaden z tych argumentów jej nie przekonał. Przemysłała wszystkie, uznała ich słuszność, po czym wyciągnęła rękę do butelki. Stacy podała jej tequilę, wciąż mówiąc.

— Ja też tak uważam. Jeśli to ostatni pociąg, gonisz go i wskakujesz. I pamiętaj, że ona była wysportowana. Więc pewnie nawet nie przyszło jej do głowy, że spadnie, nawet się nie zawahała. Po prostu pobiegła i skoczyła. Właściwie jej nie znałam, więc nie wiem dokładnie, jak to się stało. Tylko się domyślam. Ale widziałam ją raz po powrocie. Jakiś rok później... całkiem szybko, jak się zastanowić. Grała w koszykówkę. Oczywiście już nie w drużynie. Ale na boisku. I wydawała się, no wiesz... w porządku. Nosila dres, więc nie widziałam, jak wyglądały. Ale widziałam, że biegała po boisku, prawie normalnie. Nie całkiem normalnie, ale prawie.

Amy pociągnęła dwa szybkie łyki tequili. Alkohol nagrzał się od słońca i dzięki temu wchodził jakoś łatwiej niż zwykle. Łyknęła sporo, ale się nie zakrztusiła. Stacy wyciągnęła rękę i Amy przekazała jej flaszkę. Stacy wzięła maleńki łyżeczek, całkiem jak dama, potem zakręciła butelkę i położyła sobie na kolanach.

— Wydawała się szczęśliwa... to właśnie próbuję powiedzieć. Wydawała się w porządku. Uśmiechała się, robiła to co lubiła, nawet jeśli, no wiesz... — urwała i posmutniała.

Amy, pijana i senna, nadal nie miała pojęcia, o czym Stacy mówi.

— Nawet jeśli?

Stacy przytaknęła z powagą.

— Właśnie.

Potem przez jakiś czas siedziały w milczeniu. Amy chciała już znowu poprosić o butelkę, kiedy Stacy nagle się rozjaśniła.

— Chcesz zobaczyć? — zaproponowała.

— Co?

— Jak ona biegała.

Amy przytaknęła, więc Stacy podała jej parasol i butelkę, potem wstała i ruszyła szybko przez polankę, udając, że gra w koszykówkę: kozłuje, podaje, kiwa. Po rzucie z wyskoku zawróciła biegiem, z podniesionymi rękami, kryjąc przeciwnika. Potem jeszcze raz popędziła na drugą stronę, krótka

przerwa, dwutakt i rzut kelnerski. Biegła dziwnie szarpanym krokiem, prawie utykała, jakby trochę brakowało jej równowagi. Przypominała jakiegoś długonogiego ptaka brodzącego. Amy pociągnęła długi łyk z butelki i patrzyła, osłupiała.

— Widzisz? — zawołała Stacy, dysząc ciężko, wciąż pogrążona w wyimaginowanej grze. — Uratowali kolana... to najważniejsze. Więc mogła całkiem nieźle biegać. Tylko trochę niezgrabnie. Ale jak mówiłam, to było zaledwie rok później. Teraz może jest jeszcze lepiej.

Uratowali kolana. Amy wreszcie rozumiała: bieg za pociągiem, skok, upadek. Uratowali kolana. Znowu łyknęła tequili, zaryzykowała spojrzenie w stronę Pabla. Oddech mu się trochę uspokoił, przycichł, spowolnił, chociaż ten denerwujący charkot — mokry, zaflegmiony odgłos — pozostał. Oczywiście wyglądał okropnie. Jakże inaczej? Miał złamany kręgosłup i dwa poparzone kikuty zamiast nóg. Stracił dużo krwi, był odwodniony, nieprzytomny, prawdopodobnie umierał. I śmierdział — gównem, szczynami i przypalonym mięsem. Winorośl zaczęła kielkować na śpiworze, przesiąkniętym różnymi płynami, które wyciekały z bezwładnego ciała. Powinni coś z tym zrobić, pomyślała Amy, chyba całkiem się pozbyć śpiwora, unieść Pabla z noszy, wyszarpnąć spod niego tę cuchnącą szmatę. Rozumiała, że tak trzeba, że Jeff pewnie kazałby im spróbować, gdyby tu był, ale nie ruszyła się z miejsca. Mogła myśleć tylko o poprzednim wieczorze — ona i Eric na dnie szybu, dźwigający Pabla na rozchwiane nosze. Wiedziała, że więcej nie dotknie Greka, ani teraz, ani nigdy.

— Bez kolan — mówiła Stacy — trzeba nimi wymachiwać. O tak.

Amy obejrzała się na Stacy, która maszerowała skrajem polany, na sztywnych nogach, chwiejnie, ze skupioną miną. Dobrze jej to wychodziło, miała talent mimiczny. Wyglądała jak kapitan Ahab, kroczący po pokładzie na drewnianej nodze. Amy parsknęła śmiechem, nie mogła się powstrzymać.

Stacy odwróciła się do niej, zadowolona.

— Jeszcze nie złapałam tego drugiego, nie? Z kolanami. Spróbuję jeszcze raz.

Podjęła wyobrażoną grę w koszykówkę, początkowo tylko kozłując, wypróbując rozmaite ruchy nóg, szukając odpowiedniego efektu. Potem nagle załapała, rodzaj niezgrabnego wdziału, niczym baletnica na zdrętwiałych stopach. Pobieгла na drugi koniec polany, wykonała następny rzut o tablicę i zawróciła szybko do Amy, grając obronę.

Eric poruszył się. Leżał na boku, zwinięty w kłębek, a teraz usiadł i patrzył na Stacy. Nie wyglądał dobrze. Jak wszyscy troje, przypuszczała Amy. Z pustymi oczami, nieogolony, przypominał uchodźcę: wycieńczony, głodny, uciekający przed jakąś katastrofą. Koszulka wisiała na nim w strzępach, rany na nodze nie chciały się zasklepić. Patrzył, jak Stacy drybluje, podaje i rzuca, z dziwnie nieobecnym wyrazem twarzy, jakby siedział w poczekalni na ostrym dyżurze, gapił się w telewizor ze ściszym dźwiękiem i czekał, aż pielęgniarka wywoła jego nazwisko.

— Ona gra w koszykówkę — wyjaśniła Amy. — Ale na sztucznych nogach.

Eric obrócił głowę, przeniósł puste spojrzenie ze Stacy na twarz Amy.

— Była taka dziewczyna — ciągnęła Amy. — Wpadła pod pociąg. Ale wciąż mogła grać w koszykówkę.

Wiedziała, że źle opowiada, że tylko gmatwa sprawę. Ale to nie miało znaczenia, bo Eric kiwnął głową.

— Och — powiedział.

Wyciągnął rękę, a ona podała mu butelkę.

Patrzyli, jak Stacy zdobywa następny punkt, a kiedy wreszcie się zatrzymała — zdyszana, spocona z wysiłku — Amy zaczęła klaskać. Z niewiadomego powodu czuła się coraz lepiej i za nic nie chciała stracić tego uczucia.

— Zrób stewardesę! — zawołała.

Stacy rozciągnęła wargi w sztywnym, przesadnym uśmiechu

i zaczęła milcząco odgrywać przygotowania do lotu, demonstrować, jak się zapina pasy, gdzie są wyjścia, jak nakładać maskę tlenową, a wszystko to urywanymi gestami robota. Naśladowała stewardesę z ich lotu do Cancun. Robiła to dla nich tego wieczoru, kiedy przyjechali, kiedy rzucili bagaże w pokojach i spotkali się na plaży, gdzie usiedli luźnym kręgiem i popijali piwo z butelek. Zanim poznali Greków, zanim poznali Mathiasa. Byli jeszcze bladzi, trochę zmęczeni po podróży, ale zadowoleni — szczęśliwe chwile. I śmieli się wszyscy z przedstawienia Stacy, popijając piwo, czując pod sobą piasek, jeszcze ciepły od słońca, słuchając szumu fal i muzyki napływającej z hotelowego tarasu — tak, szczęśliwe chwile. I może Amy próbowała je teraz odzyskać, prosząc Stacy, żeby znowu udawała stewardesę, próbowała popchnąć ich z powrotem w stronę niewinności, niewiedzy o tym okropnym miejscu, do którego przypadkiem trafili. Oczywiście nie poskutkowało. Nie z winy Stacy: naśladowała uśmiech, automatyczne gesty — była stewardesą. To Eric i Amy się zmienili, ponieśli porażkę. Patrzyli, Amy nawet zdobyła się na śmiech, ale nie potrafiła go oczyścić ze smutku.

Uratowali kolana, myślała.

Tamtego pierwszego wieczoru na plaży każde wniosło swój wkład. Znali się na tym, wszyscy odebrali takie samo wychowanie — letnie obozy i wycieczki na narty — wiedzieli, co robić pod gwiazdzistym niebem albo przy obozowym ognisku, jak zapewnić sobie nawzajem rozrywkę. Każde miało wyznaczoną rolę. Stacy odgrywała parodie. Jeff ich uczył, przekazywał informacje, które wyczytał w przewodniku podczas lotu. Eric wymyślał zabawne historyjki, opowiadał, co ich może spotkać podczas wakacji, tworzył szokujące scenariusze, doprowadzał ich do śmiechu. A Amy śpiewała. Miała ładny głos, niezbyt mocny, ale dobrze ustawiony, wystarczający na te obozowe ogniska, te gwiazdziste noce.

Stacy wróciła, usiadła obok nich, znowu wzięła parasol. Koszulkę miała podartą, jak zauważyła Amy, widziała jej

pierś. To dotyczyło wszystkich: zielona pajęczyna winorośli szybko zjadała ich ubrania. Nic nie dało się poradzić, strzepywali ją, ale po kilku minutach powracała. A za każdym dotknięciem winorośl puszczała sok, który parzył skórę. Ręce mieli pokryte szramami — nie mogli niczego podnieść bez bólu. Pewnie gdyby pogrzebali w plecakach, znaleźliby dla siebie nowe spodnie i podkoszulki, ale Amy uważała, że to trochę makabryczne nosić cudze rzeczy, ubrania zmarłych, tych kopczyków zieleni rozrzuconych po wzgórzu, i wołała tego unikać jak najdłużej. W pewnym sensie to oznaczałoby klęskę, jakby się poddali, dopóki wierzyli w rychły ratunek, jaki sens się przebierać?

Eric ciągle pocierał swoją klatkę piersiową. Bez przerwy dotykał jednego miejsca, tuż pod mostkiem. Naciskał na nie, potem zagłębiał palce, potem delikatnie masował. Amy wiedziała, co on robi, myślał, że ma w sobie winorośl. To nieustanne obmacywanie zaczynało jej działać na nerwy: chciała, żeby przestał.

— Opowiedz nam coś zabawnego, Eric — poprosiła.

— Zabawnego?

Przytaknęła z uśmiechem, żeby go zachęcić, odwrócić jego uwagę od tego uczucia w piersi, odwrócić uwagę ich trojga.

— Wymyśl jakąś historię.

Eric pokręcił głową.

— Nic nie mogę wymyślić.

— Powiedz nam, co się stanie, jak wrócimy do domu - zaproponowała Stacy.

Patrzyły, jak przetykał następny haust tequili, od której oczy zaszyły mu łzami. Otarł twarz wierzchem dłoni i zakręcił butelkę.

— No, będziemy sławni, nie? Przynajmniej przez chwilę.

Obie kiwnęły głowami. Oczywiście, że będą sławni.

— Okładka magazynu „People” — ciągnął Eric, zapalając się do tego pomysłu. — Pewnie też „Time”. A potem ktoś zechce kupić prawa filmowe. Musimy wtedy mądrze to

rozebrać, trzymać się razem, wszyscy podpisać jakiś dokument, sprzedać tę historię jako grupa... w ten sposób dostaniemy więcej pieniędzy. Chyba będziemy potrzebować prawnika albo agenta.

— Zrobią z tego film? - zapytała Stacy, podekscytowana. ale również zdziwiona.

— Właśnie.

— Kto mnie zagra?

Eric zerknął na Stacy, zastanowił się, potem z uśmiechem wskazał na jej pierś.

— Cycek ci wystaje, wiesz?

Stacy zerknęła w dół, poprawiła koszulkę. Właściwie zostało za mało materiału, żeby zakryć pierś, ale się tym nie przejmowała.

— Poważnie. Kto mnie zagra?

— Najpierw musisz zdecydować, kim jesteś.

— Kim jestem?

— Bo muszą nas trochę zmienić, wiesz. Zrobić z nas filmowe postacie. Potrzebują bohatera, łajdaka... takich rzeczy. Rozumiesz?

Stacy przytaknęła.

— A kim ja jestem?

— No, są dwie role kobiece, tak? Więc jedna musi być porządną dziewczyną, cnotką, a druga musi być dziwką. — Zastanowił się, potem wzruszył ramionami. — Chyba Amy powinna być cnotką, jak myślicie?

Stacy zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała.

— Więc ty, no wiesz... ty będziesz dziwką.

— Goń się, Eric — warknęła z gniewem.

— Co? Ja tylko...

— Więc ty jesteś łajdakiem. Skoro ja mam być...

Eric pokręcił głową.

Nie ma mowy. Ja jestem ten śmieszny facet. Grany przez Adama Sandlera. Albo Jima Careya. Ten, którego nie powinno tam być, który tam trafił przez przypadek, który

ciągle się potyka i wpada na innych. Jestem elementem komicznym.

— Więc kto będzie łajdakiem?

— Mathias jest łajdakiem... stanowczo. Nazista. Zwabił nas tutaj w określonym celu. Winorośl to jakiś nazistowski eksperyment, który się nie udał. Jego ojciec był naukowcem i Mathias nas tutaj przywiózł, żeby nakarmić roślinki tatusia.

— A bohater?

— Jeff, bez dwóch zdań. Bruce Willis, stoicko ratujący świat. Dawny skaut. — Odwrócił się do Amy. — Czy Jeff należał do skautów? Założę się, że tak.

Amy przytaknęła.

— Był skautem orlim.

Roześmiali się wszyscy troje, chociaż to nie był żart. Jeff naprawdę był skautem orlim. Jego matka powiesiła we frontowym holu oprawiony wycinek z miejscowej gazety: na zdjęciu Jeff w mundurku ścisnął rękę gubernatorowi Massachusetts. Amy poczuła dziwny ucisk w piersiach, kiedy o tym pomyślała, nagły przypływ czułości wobec Jeffa, instynkt opiekuńczy. Przypomniała sobie wyprawę na dno szybu, winorośle chlaszczące w mroku, chwytające ją, ciągnące do tej dziury. Dostrzegła kości na dnie, zanim pochodnia zgasła, inni ludzie tam zginęli — ona też mogła zginąć. I przeżyła nie dzięki własnej przezorności czy zręczności. Jeff ją uratował. Jeff uratowałby ich wszystkich, gdyby tylko mu pozwolili. Nie powinni się z niego śmiać.

— To nie jest zabawne — oświadczyła, ale mówiła zbyt cicho, a tamci dwoje byli zbyt pijani. Chyba nie usłyszeli.

— Kto mnie zagra? — powtórzyła Stacy.

Eric zbył to pytanie machnięciem ręki.

— Nieważne. Ktoś, kto dobrze wygląda z cykiem wystającym spod koszulki.

— A ty będziesz grubasem — odparła Stacy, znowu rozgniewana. — Spoconym grubasem.

Znowu zaczynają się kłócić, stwierdziła Amy — rozpoznała

ten ton. Jeszcze parę takich odzywek i zaczną na siebie wrzeszczeć. Pomyślała, że tego nie wytrzyma, nie teraz, nie tutaj. Więc spróbowała odwrócić ich uwagę. — A co ze mną? - zapytała.

— Z tobą? — nie zrozumiał Eric.

— Kto mnie zagra?

Eric zasznurował usta z namysłem. Odkręcił butelkę, łyknął, wyciągnął ją do Stacy na zgodę. Przyjęła, odchyliła głowę, pociągnęła wielki łyk, aż zabułgotało. Zachichotała, opuszczając butelkę, zadowolona z siebie.

Oczy miała szkliste i dziwnie błyszczące.

— Ktoś, kto umie śpiewać - powiedział Eric.

— Racja — przytaknęła Stacy. — Żeby wprowadzili numery muzyczne.

— Duet ze skautem — uśmiechnął się Eric.

— Może Madonna.

Eric prychnął.

— Britney Spears.

— Mandy Moore.

Oboje się roześmiali.

— Zaśpiewaj dla nas, Amy — poprosił Eric.

Amy uśmiechnęła się z zakłopotaniem, zbita z tropu, gotowa się obrazić. Nie wiedziała, czy śmieją się z niej, czy sama powinna przyłączyć się do tej wesołości. Zorientowała się, że jest równie pijana

— Zaśpiewaj *One Is The Loneliest Number* — zaproponowała Stacy.

— Aha — przytaknął Eric. — Świetny pomysł.

Oboje teraz szczerzyli do niej zęby, czekali. Stacy podała Jej butelkę i Amy łyknęła, zamykając oczy. Kiedy je znowu otwarła, oni dalej czekali. Więc zaczęła śpiewać:

— *One is the loneliest number that you 'll ever do. Two can be as bad as one. Its the loneliest number since the number one. No is the saddest expericnce you'll ever know. Yes, its the saddest experience you'ii exer know. Cause one is the*

*loneliest number that you'll ever do. One is the loneliest number, worse than two...** — urwała, zabrakło jej tchu. zakręciło się w głowic. Podała butelkę Ericowi. — Dalej nie pamiętam.

Kłamała, po prostu nie chciała dalej śpiewać. Tekst piosenki napelniał ją smutkiem, a przedtem przez chwilę czuta się dobrze -- no, prawie dobrze. Nie chciała się smucić.

Eric pociągnął długi łyk. Wyszczęli już dwie trzecie butelki Dźwignął się niezgrabnie, przeszedł przez polanę trochę chwiejnym krokiem. Schylił się, podniósł coś z ziemi i zataczając się, wrócił do nich. W jednej ręce trzymał butelkę; w drugiej miał nóż. Amy i Stacy zagapiły się na niego. Amy nie chciała tutaj noża, ale nie wiedziała, jak skłonić Erica, żeby go odłożył. Patrzyła, jak splunął na ostrze, próbował je wyczyścić skrajem podkoszulka. Potem machnął do niej nożem.

— Możesz to zaśpiewać na koniec. Kiedy zostaniesz sama jedna.

— Sama jedna? — powtórzyła Amy.

Chciała wyciągnąć rękę i zabrać mu nóż, próbowała zmusić swoje ramię, żeby się podniosło i sięgnęło w jego stronę, ale daremnie. Była bardzo pijana — i taka zmęczona. Nie miała siły.

— Kiedy wszyscy inni zginą — wyjaśnił Eric.

Amy pokręciła głową.

— Przestań. To nie jest śmieszne.

Nie słuchał jej.

— Skaut przeżyje... on jest bohaterem, musi przeżyć, ty tylko będziesz myślała, że zginął. Zaśpiewasz swoją piosenkę, a on ożyje. A potem jakoś uciekniecie. On zdejmuje balon z namiotu i odleciecie bezpiecznie.

* Jeden to najbardziej samotna liczba na świecie. Dwa bywa równie złe jak jeden. To najbardziej samotna liczba po jedynce. Najsmutniejsze przeżycie jakie znasz. Tak, najsmutniejsze, jakie znasz. Bo jeden to najbardziej samotna liczba na świecie. Jeden to najbardziej samotna liczba, gorsza niż dwa..

— Czy ja umrę? — zapytała Stacy. Szeroko otworzyła oczy, jakby przestraszona taką ewentualnością. Zaczynała już mówić bełkotliwie. — Dlaczego muszę umrzeć?

— Dziwka musi umrzeć. Koniecznie. Bo jesteś zła. Musisz ponieść karę.

Stacy wydawała się urażona.

— A co z komikiem'?

— On umrze pierwszy... zawsze ginie pierwszy. W jakiś głupi sposób. Żeby ludzie się śmiali, kiedy umiera.

— Jak?

— Na przykład skaleczy się i winorośl wepchnie mu się do nogi. Wyżre go od środka.

Amy wiedziała, co on teraz zrobi, i w końcu podniosła rękę, żeby go powstrzymać. Ale się spóźniła. Już to robił — już zrobił. Podciągnął koszulkę i wykonał czterocalowe nacięcie przy podstawie żeber. Stacy się zachłysnęła. Amy siedziała z niepotrzebnie wyciągniętą ręką. Pozioma kreska krwi wykwitła na krawędziach rany, rozszerzyła się w dół, spłynęła po brzuchu, wsiąkała w gumkę szortów. Obserwował ją ze zmarszczonymi brwiami, grzebiąc w ranie czubkiem noża, rozchylając ją szerzej, zwiększając krwawienie.

— Eric! — krzyknęła Stacy.

— Myślałem, że po prostu wypadnie na zewnątrz — powiedział. Na pewno go bolało, ale nie zwracał na to uwagi. Dalej wpychał nóż w ranę. — Jest tutaj, pod spodem. Wiem to. Widocznie jakoś wyczuło nóż i cofa się głębiej. Chowa się.

Pomacał lewą ręką, naciskając skórę nad raną, jakby zamierzał jeszcze raz się ciachnąć. Amy wychyliła się do przodu i wyrwała mu nóż. Myślała, że będzie się bronił, ale nie stawiał oporu, pozwolił jej zabrać nóż. Krew nadal płynęła, ale nie próbował jej tamować.

— Pomóż mu — zwróciła się Amy do Stacy. Rzuciła nóż na ziemię. — Pomóż mu zatrzymać krwotok.

Stacy patrzyła na nią z otwartymi ustami. Dyszała, prawic zaczęła hiperwentylować.

— Jak?

— Zdejmij mu koszulkę. Przyciśnij do rany.

Stacy odłożyła parasol, podeszła do Erica, zaczęła ściągać z niego podkoszulek. Zachowywał się całkiem biernie, pod niósł ręce jak dziecko, pozwolił się rozebrać.

— Połóż się — rozkazała Amy.

Położył się na plecach, krew wciąż płynęła, zbierała się w zagłębieniu pępka.

Stacy zwinęła koszulkę w kulę. Przyłożyła do rany.

Znowu zrobiło się gorzej i Amy wiedziała, że nie można tego zmienić, nie można siłą przywrócić tego fałszywego spokojnego nastroju. Skończyło się parodiowanie, żarty, śpiew. Ona i Stacy siedziały w milczeniu, Stacy lekko wychylona do przodu, uciskając ranę. Eric leżał na plecach, bez słowa skargi, dziwnie pogodny, patrząc w niebo.

— To moja wina — powiedziała Amy. Stacy i Eric spojrzeli na nią, nie rozumiejąc. Otarła twarz ręką, zapiaszczoną, lepka od potu. — Nie chciałam jechać. Kiedy Mathias nas poprosił, wiedziałam, że nie chcę. Ale nic nie powiedziałam, pozwoliłam na to. Mogliśmy teraz być na plaży. Mogliśmy...

— Sza — przerwała jej Stacy.

— I ten człowiek w pickupie. Taksówkarz. Ostrzegał mnie, żeby nie jechać. Mówił, że to złe miejsce. Że...

— Nie wiedziałaś, skarbie.

— A kiedy wracaliśmy z wioski, gdyby nie mój pomysł, żeby sprawdzić przy drzewach, nigdy nie znaleźlibyśmy ścieżki. Gdybym siedziała cicho...

Stacy pokręciła głową, wciąż przyciskając podkoszulek do brzucha Erica. Krew przesiąkała już na wylot, nie przestawała płynąć. Poplamiła jej ręce.

— Skąd mogłaś wiedzieć? — zapytała Stacy.

— I to przeze mnie, prawda? To ja wdepnęłam w winorośle. Gdyby nie to, ten człowiek zmusiłby nas do odejścia. Mogliśmy...

— Patrzenie na chmury — przerwał jej Eric sennym, dziwnie

odległym głosem, jak po narkotykach. Podniósł rękę, wskazał w górę.

Miał rację: na południu gromadziły się chmury, zwiastuny burzy, o brzuchach złowieszczą czarnych, ciężkich obietnicą deszczu. O tej porze w Cancun, na plaży, zbieraliby swoje rzeczy przed powrotem do pokoju. Jeff i ona kochaliby się, potem zasnęli, długa drzemka przed obiadem, deszcz spływający po szybach, kałuża calowej głębokości tworząca się na ich małym balkoniku. Pierwszego dnia widzieli siedzącą tam mewę, częściowo osłoniętą przed deszczem, spoglądającą na morze. Deszcz oczywiście oznaczał wodę. Amy wiedziała, że powinni myśleć, jak ją zbierać. Ale nie mogła, w głowie miała pustkę. Była pijana, zmęczona i smutna, ktoś inny musiał wykombinować, jak nałapać deszczówki. Oczywiście nie Eric, którego krew szybko przesiąkała przez podkoszulek. I nie Stacy, która wyglądała jeszcze gorzej, niż Amy się czuła: spalona słońcem, roztrzęsiona, z nieprzytomnym wzrokiem. Do niczego się nie nadawali, wszyscy troje, ze swoimi niemądrymi historyjkami, śpiewem i śmiechem w takim miejscu, głupcy, którzy nie znali sztuki przetrwania.

I jak to możliwe, że słońce bez ostrzeżenia opadło tak nisko? Prawie dotykało horyzontu. Za godzinę — najpóźniej za dwie — zapadnie noc.

Kiedy po raz pierwszy coś poszło źle? Później, następnego ranka, kiedy „wszyscy” nagle znaczyło o jedno mniej niż przedtem, Eric przez długi czas próbował to rozwikłać. Nie wierzył, że chodziło tylko o picie czy nawet samookaleczenie. Ponieważ wtedy jeszcze jakoś sobie radzili — owszem, nie bardzo panowali nad sobą, sytuacja trochę wymykała się spod kontroli, ale dawało się trzymać. Leżąc na plecach, kiedy Stacy przyciskała koszulkę do jego rany i usiłowała zatamować krew, a na niebie gromadziły się chmury, Eric niespodziewanie doznał

uczucia spokoju. Zanosiło się na deszcz, nie umrą z pragnienia. A jeśli to prawda, jeśli tak łatwo przezwycięża największe zagrożenie dla życia, dlaczego nie mają pokonać innych przeszkód? Dlaczego nie mają wrócić bezpiecznie do domu?

Oczywiście zaraz po wodzie potrzebowali jedzenia - i na to deszcz nie pomoże. Eric zerknął w niebo, głowiąc się nad tym dylematem, ale bez powodzenia. Osiągnął tylko tyle, że uświadomił sobie własny przyczajony głód.

— Dlaczego jeszcze nie jedliśmy? — zapytał głosem, który nawet jemu wydawał się daleki: słaby, bełkotliwy. Tequila, pomyślał. A potem: Krwawię.

— Jesteś głodny? — zapytała Amy.

Głupie pytanie — jak mógł nie być głodny? — więc nie fatygował się odpowiedzią. Po chwili Amy wstała, podeszła do namiotu, rozpięła suwak, wsunęła się do środka.

Właśnie wtedy, wynioskował następnego ranka. Kiedy poszła po jedzenie. Ale w tamtej chwili nic nie zauważył, tylko patrzył, jak znikła w namiocie, po czym znowu przeniósł wzrok na niebo, na chmury kłębiące się w górze. Postanowił nie ruszać się z miejsca. Zostanie tutaj, na ziemi, żeby deszcz na niego padał.

— Nie przestaje — powiedziała Stacy.

Wiedział, że mówiła o jego ranie. Wydawała się zaniepokojona, ale on się nie martwił. Nie przeszkadzało mu krwawienie, po pijaku nie czuł bólu. Zanosiło się na deszcz, a on będzie tutaj leżał i pozwoli, żeby deszcz obmył go do czysta. Czysty, znajdzie siłę, żeby sięgnąć w głąb siebie, w tę szczelinę, która wyciął pod żebrami, sięgnąć ręką i znaleźć winorośl, złapać ją, wyrwać z ciała. Wyzdrowieje.

Amy wróciła z namiotu. Przyniosła plastikowy kanister z wodą i torbę z winogronami. Postawiła kanister na ziemi, otworzyła torbę, wyciągnęła do Stacy.

Stacy pokręciła głową.

— Musimy zaczekać.

— Opuściliśmy lunch —przypomniała jej Amy — Mieliliśmy zjeść lunch

Nie opuściła torby, tylko dalej trzymała ją przed twarzą Stacy. Stacy znowu pokręciła głową.

— Kiedy Jeff wróci. Możemy...

— Zostawię trochę dla niego. Odłożę.

— A co z Mathiasem?

— Dla niego też.

— Co on robi?

Amy kiwnęła głową w stronę namiotu.

— Śpi. — Potrząsnęła torbą. — No weź. Chociaż parę. Pomogą ci ugasić pragnienie.

Stacy zawahała się, wyraźnie w rozterce, potem sięgnęła do torby, oderwała dwa winogrona. Amy znowu potrząsnęła torbą.

— Więcej. Daj trochę Ericowi.

Stacy wzięła jeszcze dwa. Włożyła jedno do ust, drugie wrzuciła do ust Ericowi. Przez chwilę trzymał je na języku, żeby delektować się tym uczuciem. Patrzył, jak Amy i Stacy zjadają swoje, potem zrobił to samo. Przeżycie było niemal zbyt intensywne — wytrysk soku, słodczy, radość przeżuwania, połykania — aż zakręciło mu się w głowie. Ale nie zaspokoił głodu, nawet w najmniejszym stopniu. Przeciwnie, dopiero teraz głód rozbudził się na dobre, zaatakował tak mocno, że całe ciało zaczęło boleć. Stacy wrzuciła mu do ust następny owoc. Tym razem przeżuł szybciej, skupiony bardziej na połykaniu niż przeżuwanu, i natychmiast otworzył usta po następne. Dziewczyny chyba czuły taki sam przymus. Nie rozmawiały, żuły, przetykały, sięgały do torby po więcej. Eric jadł i patrzył na skłębione chmury. Wystarczyło, że otwierał usta, a Stacy wrzucała tam następne winogrono. Uśmiechała się podobnie jak Amy. Sok pomógł ugasić pragnienie, zgodnie z obietnicą Amy. Eric zaczynał trzeźwieć — w pozytywnym sensie — wszystko trochę się ustabilizowało, zastygło wokół

i wewnątrz niego. Czuł ból, ale nawet to go uspokajało. Wiedział, że zrobił głupstwo, że niepotrzebnie się pociął: nie rozumiał, skąd wziął do tego odwagę. Nieźle się załatwił. Potrzebował szwów — pewnie też antybiotyków — niemniej czuł się dziwnie podniesiony na duchu. Gdyby tylko mógł tutaj leżeć, jeść winogrona i patrzeć na ciemniejące chmury wierzył, że jakimś cudem przeżyje, że wszystko się dobrze skończy.

Doznali lekkiego wstrząsu, kiedy się zorientowali — nagle, bez ostrzeżenia — że torba jest prawie pusta. Zostały tylko cztery winogrona, zjedli całą resztę. Wszyscy troje wpatrywali się w torbę, przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. Pablo dalej oddychał charkotliwie, ale Eric doszedł do etapu, kiedy prawie tego nie zauważał. Zwykle tło dźwiękowe, jak hałas uliczny za oknem, jak szum fal na plaży. Oczywiście ktoś musiał coś powiedzieć, skomentować ich postępek, w końcu Amy wzięła na siebie ten obowiązek.

— Mogą zjeść pomarańczę — powiedziała.

Stacy i Eric milczeli. W torbie było dużo winogron, łatwo mogli odłożyć część dla Jeffa i Mathiasa.

— Muszę siku — szepnęła Stacy, Eric zrozumiał, że mówiła do niego. — Możesz potrzymać?

Kiwnął głową, wziął od niej podkoszulek, przycisnął do boku. Znowu czuł, jak winorośl przesuwają się w jego wnętrzu, tuż pod granicą bólu. Uciekła, kiedy się rozciął, ale teraz wróciła.

— Czy muszę używać butelki? — zwróciła się Stacy do Amy.

Amy pokręciła głową. Stacy wstała, przeszła przez polanę. Chyba nie chciała wchodzić pomiędzy winorośle. Kucnęła tyłem do nich i Eric usłyszał, jak oddaje mocz. Nie poleciało dużo, krótki strumyczek, a potem wstała, podciągając spodnie.

— Mogą też zjeść trochę rodzynek — dodała Amy. Ale cicho, jakby mówiła do siebie.

Stacy wróciła, usiadła obok Erica. Myślał, że znowu zacznie uciskać jego ranę, ale nie zrobiła tego. Podniosła plastikowy kanister z wodą, odkręciła go, wylała sobie trochę na prawą stopę, Eric i Amy gapili się na nią w zdumieniu.

— Co ty robisz, kurwa? — zapytała Amy.

Stacy wydawała się zaskoczona ostrym tonem przyjaciółki.

— Obsikałam sobie nogę — wyjaśniła.

Amy wyciągnęła rękę, wyrwała tamtej kanister, zakręciła go.

— To nasza woda. A ty ją sobie wylałaś na nogę!

Stacy przez chwilę mrugała teatralnie, jakby słowa Amy nie całkiem do niej docierały.

— Nie musisz wrzeszczeć — powiedziała.

— Umrzemy bez niej, wiesz? A ty po prostu...

— Nie pomyślałam, okay? Chciałam sobie zmyć siki z nogi i zobaczyłam kanister, i...

— Kurwa mać, Stacy. Jak możesz być taka nie do życia?

Stacy wskazała niebo, gęstniejące chmury.

— Będzie padać. Będziemy mieli dużo wody.

— Więc czemu nie zaczekałaś?

— Nie krzycz, Amy. Przecież przeprosiłam i...

— Przeprosiny nie oddadzą nam wody, prawda?

Eric chciał coś powiedzieć, powstrzymać je albo odwrócić ich uwagę, ale nie mógł znaleźć właściwych słów. Wiedział, co się dzieje, co się tutaj zaczyna. Właśnie tak wybuchały kłótnie pomiędzy Amy i Stacy, nagle, szybko i jakby bez powodu, w przyływach dzikiej furii, które wzbierały i opadały, równie gwałtowne co krótkotrwałe. Mogło je wywołać jedno niezamierzone słowo — częściej po alkoholu — i już po chwili dziewczyny skakały sobie do oczu, czasami dosłownie. Eric widział kiedyś, jak Stacy drapnęła Amy paznokciami po policzku aż do krwi, Amy zaś pewnego razu spoliczkowała Stacy tak mocno, że przewróciła ją na podłogę. Potem nieuchronnie, w chwili największego natężenia, awantury same się załamywały. Dziewczyny patrzyły jedna na

drugą w obopólnym zdumieniu, nie rozumiejąc, jak mogły powiedzieć te wszystkie rzeczy, przepraszały się nawzajem obejmowały, zaczynały płakać.

A teraz znowu wstąpiły na znajomą wojenną ścieżkę.

- Czasami jesteś taka głupia — prychnęła Amy.
- Odwal się — burknęła Stacy ledwie dosłyszalnie.
- Co?
- Przestań się czepiać, dobra?
- Nawet nie przeprosisz, co?
- Ile razy mam przepraszać?

Eric spróbował usiąść, ale rana odezwała się rozdzierającym bólem, więc zrezygnował.

— Słuchajcie, może lepiej...

Amy rzuciła mu spojrzenie wyrażające czystą pogardę. Po jej przesadnej mimice poznał, że jest pijana.

- Nie wtrącaj się, Eric. Dość już narobiłeś kłopotów.
- Zostaw go w spokoju — rzuciła Stacy.

Obie mówiły podniesionymi głosami, głowa go bolała od hałasu. Chciał wstać i odejść, ale ciągle krwawił, ciągle go bolało, ciągle był pijany, nie mógł się ruszyć.

- Kurwa, jeśli on znowu się potnie, pozwolę mu się wykrwawić.
- Ale z ciebie suka, Amy, wiesz?
- Dziwka.

Stacy wydawała się zaskoczona, jakby Amy ją opluła.

- Co?
- On ma rację... to do ciebie pasuje.

Stacy próbowała udawać, że jest ponad tę zniewagę, siła się na wyniosłą obojętność, ale bez powodzenia. Eric widział, że dochodzą do etapu rękoczynów — drapania, kopania.

- Upiłaś się. Robisz z siebie idiotkę.
- Dziwka. Jesteś zwykłą dziwką.
- Nie słyszysz, jak bełkoczesz?
- Zamknij się, dziwko.
- Sama się zamknij, suko.

- Nie. Ty się zamknij.
- Suka.
- Dziwka.
- Suka.
- Dziwka.

A potem stało się coś dziwnego. Obie umilkły i spojrzały w prawo. Ale nie siedziały w ciszy, ponieważ wokół nadal rozbrzmiewały te dwa słowa, powtarzane ich głosami, raz po raz:—*Dziwka... Suka... Dziwka... Suka... Dziwka... Suka...* — tylko że Amy i Stacy nic nie mówiły, patrzyły najpierw ze zdumieniem, potem niemal ze zgrozą na drugą stronę polany, gdzie teraz wznosiły się ich głosy wykrzykując te dwa szorstkie słowa, stopniowo zlewające się w jedno.

DziwkaSukaDziwkaSukaDziwkaSukaDziwkaSukaDziwkaSuka...

To mówiła winorośl. Naśladowała je, jakby przedrzeźniała ich kłótnię, imitowała głosy tak idealnie, że chociaż Eric rozumiał, co się dzieje, chociaż patrzył na Amy i Stacy i widział, że nie poruszają ustami, że milczą, że już nie przerzucają się wyzwiskami — nie potrafił się z tym pogodzić. Ponieważ słyszał ich głosy, skradzione, sprzeniewierzone, ale należące do nich.

DziwkaSukaDziwkaSukaDziwkaSukaDziwkaSukaDziwkaSuka...

Nagle stanął nad nimi Mathias, rozczochrany, mrugający, jakby dopiero teraz się obudził.

— Co jest? — zapytał.

Nikt mu nie odpowiedział. Ostatecznie co mieli powiedzieć? Głosy przycichły, potem znów nabrały mocy, wybiegając Poza tamte dwa słowa:

Kurwa, jeśli on się znowu potnie... Nawet nie przeprosisz, co?

To winorośl- odezwała się Stacy, jakby sytuacja wymagała wyjaśnienia. Mathias milczał, przesuwał wzrokiem dookoła, rejestrując

kolejne szczegóły — plastikową torebkę z czterema pozostałymi winogronami, zakrwawiony podkoszulek przyciśnięta do brzucha Erica, nieruchomą sylwetkę Pabla, prawie pusta butelkę tequili.

— Gdzie jest Jeff? — zapytał.

Obsikałam sobie nogę, zawołały winorośle. Mogą zjeść pomarańczę.

— Na dole — odpowiedziała Amy.

— Czy ktoś nie powinien go złuzować?

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy patrzyli przed siebie zawstydzeni, pragnąc tylko, żeby głosy zamilkły, żeby Mathias dał im spokój. Eric poczuł ucisk w piersiach — pierwsze oznaki gniewu. Jakim prawem Mathias ich osądzał? Przecież nawet nie należał do nich. Ledwie go znali, właściwie był obcy.

Czasami jesteś taka głupia.

— Piliście? — zapytał Mathias.

W dalszym ciągu milczeli. I nagle z drugiej strony polany doleciał do nich głos Erica: *Mathias jest łajdakiem... stanowczo.* A potem, prawie jakby płyta się zacięła: *nazista... skaut... nazista... skaut...*

Eric czuł, że Mathias patrzy na niego, ale uparcie odwracał wzrok, spoglądał na południe, w stronę chmur, które ciągle się gromadziły, coraz ciemniejsze. Niedługo lunie deszcz. bardzo niedługo, żałował, że nie teraz.

Sama się zamknij.

Zostaw go w spokoju.

Opowiedz nam coś zabawnego.

Ja jestem ten śmieszny facet.

— Jak długo to trwa? — zapytał Mathias.

— Właśnie się zaczęło — wyjaśniła Amy.

Uratowali kolana.

Nazista.

Pozwolę mu się wykrwawić.

Upił się.

Nazista.

Odwal się.

Nazista. Nazista. Nazista.

Eric widział, jak Mathias się wyłącza, podejmuje decyzję, jego twarz jakby się zamyka.

— Pójdę go zluzować — powiedział.

Amy kiwnęła głową. Podobnie Stacy. Eric tylko leżał. Zdawało mu się, że słyszy roślinę w swoim ciele, wyczuwa jej wibracje w klatce żeber, dźwięki, słowa. Czy nikt inny tego nie słyszał? *Dziwka*, powiedziała głosem Amy. A potem głosem Stacy: *Suka*. Zwinięta w kulę koszulka przesiąkała już na wylot, jak nasączona gąbka, kiedy ją nacisnął, ciepła kaskada krwi spływała mu po boku.

Nazista.

Dziwka.

Nazista.

Suka.

Nazista.

Patrzyli, jak Mathias odwraca się, odchodzi z polany.

Głosy gadały jeszcze przez jakiś czas — głosy Amy, Stacy i Erica, dochodzące ze wszystkich stron, zagłuszające się nawzajem, czasami wznoszące się do krzyku — a potem ucichły równie nagle, jak zaczęły. Cisza nie przyniosła jednak takiej ulgi, jakiej Eric się spodziewał, wypełniało ją napięcie, obciążała świadomość, że winorośle mogą zacząć znów w każdej chwili. A także obawa przed szpiegowaniem, podsłuchiwaniami. Przez długą chwilę zbierali odwagę, żeby się odezwać. Wreszcie Stacy szepnęła,

— Przepraszam.

Amy skwitowała to machnięciem ręki.

— Nie pomyślałam — upierała się Stacy. — Po prostu... miałam siki na nodze.

— Nieważne. — Amy wskazała w górę, na chmury. — Poradzimy sobie.

- Nie jesteś suką.

- Wiem, skarbie. Po prostu zapomnijmy o tym, dobrze? Udawajmy, że nic się nie stało. Obie jesteście zmęczone,

— Przestraszone.

— Właśnie. Zmęczone i przestraszone.

Stacy poruszyła się lekko, przesunęła w stronę Amy. Wyciągnęła rękę, a Amy chwyciła ją i uściśnęła.

Eric chciał wstać, zejść ze wzgórza za Mathiasem. wytłumaczyć mu wszystko. To jego głos wykrzykiwał w kółku to słowo — *nazista* — i nie miał pojęcia, co Mathias sobie pomyślał, nie chciał się nad tym zastanawiać, a jednak wciąż do tego wracał, wbrew sobie. Trzeba było wyjaśnić, pomyślał z narastającą paniką. Trzeba było mu powiedzieć, że to żart, ale za bardzo go bolało, żeby gonie Mathiasa, nadał obficie krwawił — w tym tempie krwotok nigdy nie ustanie. Ktoś jednak musiał pójść, ktoś musiał to wyprostować.

— Idź, powiedz mu — zwrócił się do Stacy.

Spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem.

— Komu'?

— Mathiasowi. Że to był żart.

— Jaki żart?

— O nazistach... powiedz mu, że tylko się wygłupialiśmy.

Zanim Stacy zdążyła odpowiedzieć, ku ich zaskoczeniu odezwał się Pablo. Oczywiście po grecku: jedno słowo. zadziwiająco głośne. Wszyscy obejrzeni się na niego. Oczy miał otwarte, uniósł głowę z noszy, na szyi wystąpiły mu ścięgna, lekko drżące z napięcia. Powtórzył to słowo „patataj” — tak absurdalnie zabrzmiało w uszach Erica. Podniósł prawą rękę, wykonał gest przyzywania. Wskazywał chyba w stronę plastikowego kanistra. Ten chrapliwy głos:

— Pa-ta-taj.

— On chyba chce wody — powiedziała Stacy.

Amy podniosła kanister, zaniósła do noszy, kucnęła przy Pablu.

— Wody? — zapytała.

Pablo kiwnął głową. Otworzył i zamknął usta jak ryba.

— Pa-ta-taj... pa-ta-taj... pa-ta-taj...

Amy odkręciła kanister, wlała mu trochę wody do ust. Ręce jej się trzęsły i wylała za dużo, aż prawie się zakrztusił. Zakaszłał, prychnął, odwrócił głowę.

— Może powinniśmy mu dać winogrono — zaproponowała Stacy.

Podniosła plastikową torebkę, wyciągnęła do Amy.

— Myślisz?

— On nic nie jadł... od wczoraj.

— Ale czy on może...

— Spróbuj.

Pablo przestał kaszleć. Amy zaczekała, aż znowu odwróci się do niej, potem wyjęła jedno winogrono, pokazała mu, unosząc brwi.

— Głodny? — zapytała.

Pablo tylko patrzył na nią. Wydawał się zanikać, zapadać do wewnątrz. Przez chwilę na jego twarz powróciło trochę koloru, ale teraz znowu poszarzała. Szyja mu zwiotczała, głowa opadła ciężko na nosze.

— Włóż mu do ust i zobaczymy, co się stanie — poleciła Stacy.

Amy wsunęła grono pomiędzy wargi Pabla, popchnęła, aż znikło.

Pablo zamknął oczy, nie poruszył szczękami.

— Pomóż mu pogryźć — poradziła Stacy. — Ręką.

Amy ujęła podbródek Greka, otworzyła mu usta, potem zamknęła. Eric usłyszał mokry dźwięk pękającego winogrona, a potem Pablo znowu się dławił, obracał głowę na bok, rzygał. Zgnieciony owoc wyleciał mu z ust, a za nim zdumiewająca ilość płynu. Czarnego płynu, pełnego strzępiastych skrzepów. Eric wiedział, że to krew. O Jezu, pomyślał. Kurwa, co my robimy?

A potem drgnął, kiedy prawie te same słowa rozległy się nad nim w powietrzu:

- Kurwa, co wy robicie?

Eric obejrzał się zdumiony i zobaczył, że za nimi stoi Jeff, patrząc z furią na Amy

Siedząc u stóp wzgórza i czekając na Greków, Jeff miał wrażenie, że zanurza się w jakąś powolniejszą, zgęszczoną wersję czasu. Sekundy rozciągały się w minuty, minuty przechodziły w godziny i nic się nie działo, nic ważnego, w ogóle nic — z pewnością nie to, do czego miał nie dopuścić, przybycie Greków, maszerujących przez polanę, wkraczających do zakazanej strefy, w której uwięziono Jeffa i pozostałych. Słońce wypijało cenną wilgoć ze skóry, dodając swoi żar do pozostałych niewygód — głodu i pragnienia, zmęczenia, narastającego poczucia klęski, daremności wszelkich działań, które przyniosły tylko szkodę.

Za dużo miał do przemyślenia, same złe rzeczy.

Oczywiście był Pablo — jak Jeff mógł nie myśleć o Pablo? Czuł jeszcze w ręku ciężar kamienia, gorąco promieniujące przez ręcznik, słyszał trzask pękających kości, kiedy walił w piszczel i strzałkę Pabla, wciąż miał w nozdrzach ostry smród palonego ciała. Jaki miałem wybór? — zapytywał su, w duchu i wiedział, że to zły znak, ten odruch usprawiedliwiania, tłumaczenia, jakby bronił się przed oskarżeniem. Próbowałem uratować mu życie. Te słowa również brzmiały niewłaściwie — „próbowałem” sugerowało porażkę, dążenie do celu, którego nie udało się osiągnąć. To prawda: Jeff właściwie już skreślił Pabla. Może gdyby pomoc nadeszła w najbliższych godzinach czy nawet jutro, dałoby się go jeszcze uratować. Ale czy nadejdzie? Od tego pytania zależało wszystko — następne godziny, następny dzień — i Jeff tracił już wiarę, rezygnował z nadziei. Wierzył, że odejmując Grekowi nogi, czy raczej to, co zostało z nóg, kupił mu czas — niewiele, ale trochę — może akurat wystarczająco dużo. Ale to się tak nie skończy. Teraz musiał to przyznać. Pablo wytrzyma jeszcze dzień albo dwa, najwyżej trzy, a potem umrze.

Niewątpliwie w męczarniach.

Oczywiście zawsze pozostawała szansa, że Grecy jednak przyjadą, ale im dłużej Jeff rozważał tę możliwość, tym mniej prawdopodobna się wydawała. Majowie doskonale wiedzieli, co robią, robili to już przedtem i prawie na pewno będą robili jeszcze nie raz. Jeff zakładał, że postawili kogoś na straży przy początku ścieżki, żeby zmylić potencjalnych ratowników, wyprowadzić ich w pole. Don Kichot i Juan, nawet gdyby przyjechali, w co Jeff wątpił, łatwo pozwolą sobie zamydlić oczy. Nie, jeśli pomoc nadejdzie, to znacznie później — pewnie za późno — po kilku tygodniach, kiedy rodzice zorientują się, że ich dzieci nie wróciły, zaczną badać tę sprawę, martwić się i działać. Jeff wolał nie zgadywać, ile czasu to zajmie — wykonanie telefonów, zadawanie pytań — zanim tryby zaczną się obracać. I nawet wtedy, czy poszukiwania sięgną poza Cancun? Bilety autobusowe wydrukowano z ich nazwiskami, ale czy przechowuje się takie rejestry? A jeśli śledztwo nie utkwi w tym punkcie i poszukiwania dotrą do Coba, pozostanie jeszcze dodatkowe siedemnaście kilometrów w głąb dżungli. Prowadzący tę sprawę dostaną fotografie, zakładał Jeff, pokażą je taksówkarzom w Coba, ulicznym handlarzom, kelnerkom w knajpach. I może facet od żółtego pickupa ich rozpozna, może zgodzi się zeznawać. I co wtedy? Policjant albo detektyw pójdzie ścieżką, dojdzie do wioski Majów, pokaże te cztery, pięć czy sześć fotografii — zależy, czy już się dowiedzą o Mathiasie i Pablu i czy połączą ich ze sobą — i co uzyska od Majów? Puste spojrzenia. Z namysłem podrapią się po brodach, powoli pokręcą głowami. A nawet jeśli jakimś cudem, z nadludzkiem uporem i sprytem ów prawdopodobnie mityczny policjant czy detektyw przebije się przez te pozory ignorancji, ile czasu to zajmie? Wszystkie te mozolne etapy, w których trakcie w każdej chwili można zbroczyć z drogi albo zabrnąć w ślepią uliczkę — jak długo potrważą? Za długo, oceniał Jeff. Za długo dla Pabla. Z całą pewnością. I za długo również dla pozostałych.

Potrzebowali deszczu. To było najważniejsze, decydujące. Bez wody nie przetrwają dużo dłużej od Pabla.

No i kwestia jedzenia. Mieli skromne zapasy, które przywieźli ze sobą — właściwie przekąski — które przy ostrym racjonowaniu mogły wystarczyć na dwa lub trzy dni. Ale potem?

Nic. Głód.

Eric miał kłopoty. Chodził w kółko, mamrotał, kaleczył się nożem — same złe znaki. Wkrótce jego rany ulegną zakażeniu. Jeff nie mógł temu zapobiec. Ponownie czas odegra kluczową rolę. Gangrena, zakażenie — pewnie zaatakują nie tak szybko jak pragnienie, ale znacznie szybciej niż głód.

Jeff nie myślał o winoroślach — nie chciał, nie umiał. Poruszały się, wydawały dźwięki, myślały i planowały. I podejrzewał, że najgorsze dopiero nastąpi, chociaż nie miał pojęcia, co to takiego będzie.

Siedział. Patrzył na Majów, patrzących na niego. Czekał na Greków, przekonany, że czeka daremnie. Myślał o wodzie, jedzeniu, Pablu i Ericu. Kiedy na południu zaczęły się gromadzić chmury, spoglądał ku nim i rozkazywał im w myślach, żeby urosły, pociemniały, przepłynęły na północ. Deszcz. Muszą nałapać deszczówki. Nie rozmawiali o tym. Powinien to zaplanować, zostawić tamtych wskazówki, ale był zmęczony, miał za dużo na głowie, zapomniał. Teraz wstał, spojrzął w górę ścieżki. Dlaczego nikt nie przychodził go złuzować? To również powinni omówić, zaplanować, ale nie zaplanowali.

Chmury dalej się gromadziły. W niebieskim namiocie była plastikowa skrzynka na narzędzia. Mogli ją opróżnić, nałapać do niej deszczówki. Na pewno mogli wykorzystać jeszcze inne rzeczy, ale musiał wrócić na górę, żeby się zastanowić, zobaczyć, co się nadaje.

Chodził. Znowu usiadł. Obserwował Majów, chmury, ścieżkę za plecami. Majowie odwzajemniali jego spojrzenie, niemo i obojętnie. Chmury wciąż się zbierały. Ścieżka za plecami

pozostała pusta. Jeff wstał, przeciągnął się, znowu zaczął chodzić. Niebo już całkiem się zachmurzyło: deszcz wisiał w powietrzu i Jeff właśnie zaczął rozważać pomysł, żeby wrócić na górę, porównywał ryzyko: czy lepiej pozostawić ścieżkę bez nadzoru, żeby przygotować się na deszcz krótki i intensywny, jak zwykle burze w tej części świata — kiedy usłyszał kroki na ścieżce.

To był Mathias.

Coś się stało: Jeff poznał to po postawie idącego. W jego ruchach wyczuwało się napięcie: jednocześnie spieszył się i powstrzymywał. Twarz zachowała zwykły wyraz rezerwy, tylko lekko zmieniony, niemal niedostrzegalnie, za to oczy wyrażały czujność, niemal lęk. Zatrzymał się kilka metrów przed Jeffem, zdyszany.

— Co jest? — zapytał Jeff.

Mathias machnął ręką za siebie, w stronę wierzchołka wzgórza.

— Nie słyszałeś?

— Czego?

— Mówiły.

— Kto?

— Winorośle.

Jeff wytrzeszczył na niego oczy — niekoniecznie z niedowierzaniem, ale zbyt zaskoczony, żeby odpowiedzieć.

— Przedrzeźniały nas — ciągnął Mathias. — Stacy, Amy i Erica... naśladowały ich głosy.

Jeff zastanowił się i doszedł do wniosku, że to jeszcze nie tłumaczy zdenerwowania Mathiasa, na pewno zdarzyło się coś więcej.

— Co mówiły? — zapytał.

— Zasnąłem w namiocie. A kiedy się obudziłem... — Mathias urwał, jakby nie wiedział, co dalej. W końcu wyrzucił z siebie: — Kłóciły się.

— Kłóciły?

— Dziewczyny. Krzyczały na siebie.

— O Chryste — westchnął Jeff.

— Pili. Tequilę. Całkiem sporo.

- Wszyscy'?

Mathias przytaknął.

— Są pijani?

Mathias znowu przytaknął.

— Nazwali mnie nazistą.

— Co?

— Winorośle. Albo raczej Eric. Krzyczały jego głosem.

Jeff przyjrzał mu się i zrozumiał, że o to właśnie chodziło: to go wytrąciło z równowagi. I co w tym dziwnego? Na pewno czuł się wśród nich samotnie — prawie ich nie znał. Był kimś obcym, łatwym kozłem ofiarnym. Jeff spróbował go uspokoić.

— To był żart, na pewno. Eric już taki jest... no wiesz.

Mathias milczał: ani nie potwierdzał, ani nie zaprzeczał

— Muszę wracać na górę — oświadczył Jeff. — Zaczekasz na Greków?

Mathias kiwnął głową.

Jeff chciał już odejść, ale się zreflektował.

— Co z Pablem?

Mathias wykonał niejasny gest.

— Bez zmian. Niedobrze.

Z tym brzemieniem Jeff ruszył szybko pod górę, biegnąc na bardziej płaskich odcinkach, zwalniając na stromiźnie. Męczył się znacznie łatwiej, niż powinien. Przyjechali tutaj zaledwie wczoraj, a on już zaczynał tracić siły. Miał wrażenie, że ta fizyczna niemoc jakoś odzwierciedla bardziej ogólne osłabienie: sytuacja wymykała mu się spod kontroli. Stacy, Amy i Eric przez całe popołudnie upijali się tequilą. Byli aż tacy głupi? Krótkowzroczni, impulsywni, nieodpowiedzialni — troje idiotów flirtujących z własną zgubą. Potem oczywiście zwrócili się przeciwko sobie: kłócili się, obrzucali obelgami. A Eric z niewiadomych powodów nazwał Mathiasa nazistą. Zaskoczenie i niedowierzanie Jeffa powoli ustępowało miejsca narastającej furii. Wiedział, że z jego strony to równicz

głupota, a jednak nie potrafił się opanować, nie potrafił stłumić pragnienia, żeby ukarać tamtą trójkę, dać im po łapach i przywołać do porządku. Niesiony tą falą emocji, dotarł wreszcie na szczyt, wszedł na polankę i zobaczył, jak Amy na siłę kanni winogronem półprzytomnego

— Kurwa, co wy robicie? — zapytał i wszyscy obejrżeli się na niego, zaskoczeni jego obecnością, furią w jego głosie.

Pablo wymiotował, chociaż to określenie wydawało się niewłaściwe. Wymioty sugerują coś dynamicznego i gwałtownego, Pablo zachowywał się znacznie bardziej biernie. Głowę miał przekreconą na bok, z otwartych ust wyptywał strumień czarnego płynu. Krew, żółć — nie wiadomo, co to było. Ale było tego stanowczo za dużo, pomyślał Jęli. Czarny płyn, w którym pływały gęstsze kawałki, jak skrzepy. Utworzył płytką kałużę obok noszy, zbyt galaretowatą, żeby mogła wsiąknąć w ziemię. Jeff stał cztery metry dalej, ale nawet z takiej odległości czuł jego zapach — słodkiej zgnilizny.

— On był głodny — wyjaśniła Amy.

Jeff poznał po głosie, że jest pijana, każde słowo brzmiało niemal bełkotliwie. W lewej ręce ścisnęła plastikową torebkę, przedtem zawierającą zapas winogron, teraz zostały tylko trzy. Prawie pusta butelka tequili leżała na ziemi obok Stacy. Eric przyciskał do boku zakrwawiony podkoszulek.

Jeff czuł, że furia w nim wzbiera, wypełnia go, rozpycha od środka, jakby szukała wyjścia.

— Jesteście pijani, prawda?

Amy odwróciła wzrok. Pablo przestał wymiotować, oczy miał teraz zamknięte.

— Wszyscy — ciągnął uparcie Jeff, sam się dziwiąc, jak dobrze panował nad głosem. — Mam rację?

— Ja nie — zaprzeczył Eric.

Jeff obrócił się, prawie rzucił się na niego. Przestań, pomyślał. Daj spokój. Ale za późno, zaczął już mówić, Podnosząc głos z każdym kolejnym słowem, coraz szybciej, głośniejszym, napędzany przez swój gniew.

— Nie jesteś pijany?

Eric pokręcił głową, ale to nie miało znaczenia, bo Jeff prawie nie zauważył tego gestu. Nie czekał na odpowiedź, tylko mówił dalej, chociaż wiedział, że to najgorszy możliwy sposób załatwienia tej sprawy, ale już nie mógł się powstrzymać i nawet nie chciał, ponieważ to go cieszyło: słowa, krzyki przynosiły ulgę. Przyjemność wydawała się fizyczna, niemal seksualnie intensywna.

— Bo tylko to masz na swoją obronę, Eric: że jesteś pijany... rozumiesz? Kurwa, znowu się pociąłeś, tak? Rozciąłeś sobie pieprzony bok. Czy ty w ogóle wiesz, co robisz... jakie głupoty wyprawiasz? Wbijasz sobie brudny nóż w ciało co kilka godzin, a przecież mamy tutaj tylko maleńką pieprzoną tubkę neosporinu, w dodatku przeterminowaną. Według ciebie to takie mądre? Według ciebie to ma jakiś pierdolony sens? Rób tak dalej, to umrzesz tutaj. Nie przetrzymasz...

— Jeff... — odezwała się Amy.

— Zamknij się, Amy. Jesteś nie lepsza. — Odwrócił się do niej. Nieważne, na kogo wrzeszczał, każde z nich się nadawało. — Przynajmniej po tobie mogłem się spodziewać więcej rozsądku. Alkohol jest moc�opędny... powoduje odwodnienie. Wiesz o tym. Więc jak *Według ciebie to takie mądre?* Jego własny głos rozległ się gdzieś z lewej strony, uciszył go. *Według ciebie to ma jakiś pierdolony sens?* Obejrzał się, wytrzeszczył oczy, wiedząc, co to jest, a jednak na wpół spodziewając się, że ktoś tam stoi i przedrzeźnia go. Zerwał się wiatr, przeczesał gąszcz winorośli, dłoniaste liście zakołysały się, jakby kiwały na niego szyderczo.

Teraz rozległ się głos Amy: *Dziwka!*

A potem głos Stacy: *Suka!*

— To dlatego, że wrzeszczysz — wyjaśniła Stacy niemal szeptem. — One to robią, kiedy wrzeszczymy.

Skaut! zawołał głos Erica. *Nazista!*

Chmury zgęstniały, ściemniło się, jakby zapadł zmierzch.

Wyraźnie zbliżała się burza, ale również nadchodziła noc. A oni się nie przygotowali, ani trochę.

— Patrz — powiedziała Amy, wskazując na niebo. Bardzo się starała nie bełkotać, ale bez większego powodzenia. — To nieważne... dostaniemy wodę.

— Ale czy się przygotowaliście? — zapytał Jeff. — Deszcz przyjdzie i odejdzie, a wy będziecie tylko siedzieć i patrzeć, tak? Patrzeć, jak wsiąka w ziemię, jak się marnuje. — Jeff czuł, że jego gniew się rozprasza, niewyładowany w satysfakcjonującym wybuchu, tylko wyciekający powoli, niepowstrzymanie. Nie chciał go stracić, bez niego czuł się słabszy, jakby opuściła go jakaś forma siły.

— Jesteście załośni — stwierdził, odwracając się od nich. — Wszyscy jesteście załośni jak cholera. Nie potrzebujecie winorośli. Sami się pozabijacie.

Głos Stacy zawołał: *Więc kto jest łajdakiem?*

Zaśpiewaj dla nas, Amy, odpowiedział Eric.

Suka!

Dziwka!

Nazista!

A potem znowu jego własny głos, gniewny i nienawistny:

Jesteście pijani, prawda?

Jeff podszedł do pomarańczowego namiotu, rozsunął zamek błyskawiczny, wcisnął się do środka. Zlustrował zapasy spiętrzone pod tylną ścianą. Skrzynka na narzędzia czekała, ale nic więcej nie odpowiadało jego obecnym potrzebom. Kucnął nad skrzynką, otworzył wieko i znalazł w środku, co dziwne, nie narzędzia, tylko przybory do szycia. Mała poduszeczka najeżona igłami. Szpulki nici na podwójnym stojaku, we wszystkich kolorach tęczy, jak pudełko kredek. Skrawki materiałów, małe nożyczki, nawet centymetr krawiecki. Jeff Wyrzucił wszystko na podłogę namiotu, wyniósł pustą skrzynkę na polanę.

Nic się nie zmieniło. Eric wciąż leżał na plecach, przyciskając do brzucha zakrwawiony podkoszulek. Stacy siedziała

obok niego z taką samą wystraszoną miną. Pablo nadał miał zamknięte oczy, chrapliwy dźwięk jego oddechu wznosił się i opadał. Amy siedziała przy nim, nie podniosła wzroku, kiedy Jeff się pojawił. Postawił skrzynkę na środku polany otworzył, żeby nałapać deszczówki. Potem ruszył w stronę wylotu szybu, gdzie zapasy z niebieskiego namiotu wciąż leżały zwalone na stos.

Rośliny nadal zabawiały się w przedrzeźnianie. Czasami głosy krzyczały, kiedy indziej ledwie szemrały. Następowały długie przerwy, podczas których wydawało się, że to już koniec, a potem nagle eksplozje mowy, gdzie słowa i głosy zlewały się ze sobą. Jeff próbował nie zwracać na nic uwagi, ale niektóre wypowiedzi dziwiły go, skłaniały do namysłu, do zastanowienia. Zakładał, że o to chodziło, chociaż trudno było w to uwierzyć: podejrzewał, że winorośle zaczęły teraz mówić, żeby podzielić ich szczęście, nastawić ich przeciwko sobie.

Głos Stacy powiedział: *No, ale Jeffa tu nie ma.* A potem głos Erica: *Czy Jeff należał do skautów? Założę się, że tak.* Potem śmiech Erica i Stacy, wspólny, z nutą szyderstwa.

Zupełnie jakby winorośle poznały ich imiona, wiedziały, kto jest kto, i potrafiły odpowiednio dopasować zdania, żeby wyprowadzić ich z równowagi. Jeff spróbował cofnąć się myślami o dwadzieścia cztery godziny, przypomnieć sobie, co mówił, wyszukać ewentualne drażliwe tematy. Był jednak tak zmęczony i otepiały, że nie mógł jasno myśleć. Zresztą to nie miało znaczenia, bo winorośle wiedziały, i kiedy Jeff zaczął przrzucać stertę zapasów obok otwartego szybu, usłyszał własny głos.

Wykończyć go. Poderżnąć mu gardło. Uduśić go.

Im dłużej tutaj zostaniemy tym większe mają szanse.

One naśladują różne rzeczy. To nie jest prawdziwy śmiech.

Potem całe wzgórze jakby jednocześnie ryknęło śmiechem — rozległy się chichoty, parsknięcia, rżenie i rechotanie i trwały bez końca. Przez ten hałas przebiegał się jego własny

głos, podniesiony, jakby próbował zagłuszyć głosy winorośli, powtarzający bez końca jedno zdanie *To nie jest prawdziwy śmiech... To nie jest prawdziwy śmiech... To nie jest prawdziwy śmiech...*

Jeff wyciągnął ze sterty przedmiotów frisbee i pustą manierkę, zaniósł do pomarańczowego namiotu. Zamierzał, kiedy frisbee napelni się deszczówką, przelać wodę do manierki, do kanistra, do butelki, w której zbierali mocz. Nie był to najlepszy plan, ale nic innego nie potrafił

Amy, Stacy i Eric nie ruszyli się z miejsca. Winorośl wysunęła następną mackę, która ucztowała teraz na wymiocinach Pabla, głośno wysysając wilgoć. Cała trójka patrzyła z otwartymi ustami: pijana. Winorośl osuszyła małą kałużę i wycofała się z powrotem przez polanę. Nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał. Jeff poczuł ukłucie gniewu na ten widok — ich bierność, zbiorowy stupor — ale zmilczał. Przeszła już mu ochota do wrzasku. Położył frisbee obok otwartej skrzynki na narzędzia, potem wylał mocz z butelki Mathiasa. Tamci przyglądali mu się w milczeniu, słuchając winorośli, które przycichły na chwilę, żeby znowu porazić ich donośnym śmiechem. Głosy obcych, przypuszczał Jeff, Ceesa Steen-kampa, może dziewczyny, którą Henrich poderwał na plaży. Wszystkie te kupki kości, obrane z ciała, już dawno pozbawione ducha, ale ich śmiech zachował się tutaj, zapamiętany przez winorośle, przywołany teraz i wymierzony przeciwko nim jak broń.

To nie jest prawdziwy śmiech... To nie jest prawdziwy śmiech... To nie jest prawdziwy śmiech...

Zostało jeszcze trochę pasków nylonu z niebieskiego namiotu, Jeff majstrował przy nich i zastanawiał się, jak je wykorzystać do łapania deszczówki albo przechowywania zebranej wody. Wiedział, że powinien pomyśleć o tym wcześniej, mógł pozszywać kawałki nylonu w olbrzymi worek. Posługując się przyborami do szycia, które znalazł w pomarańczowym namiocie. Ale teraz nie miał już czasu.

Jutro, pomyślał.

A potem spadł deszcz.

Lunał tak obficie, jakby w chmurach otwarła się śluza. Bez ostrzeżenia, bez wstępnych kropli, jeszcze przed chwilą niebo było zwyczajnie ciemnoszare, w tym charakterystycznym dla tropików złowieszczym odcieniu zapowiadającym burzę, wiatr lekko poruszał winoroślami, a potem bez żadnego przejścia powietrze wypełniła spadająca woda. Światło dnia przygasło, przybrało zielonkawą barwę, o jeden ton jaśniejszą od mroku, ubita ziemia pod stopami natychmiast zmieniła się w bioto. Trudno było oddychać.

Rośliny ucichły.

Frisbee napełniło się w sekundę. Jeff przelał wodę do manierki, zaczął, aż talerz napełnił się ponownie z taką samą szybkością, znowu przelał. Potem podał manierkę Stacy. Musiał krzyczeć, żeby go usłyszała przez huk deszczu.

— Pij! — wrzasnął.

Kapelusz, ubranie, buty kompletnie mu przemokły, lepiły się do skóry, robiły się ciężkie.

Przelał wodę z frisbee do kanistra, zaczął, aż się napełni, znowu przelał, zaczął, przelał. Kiedy skończył z kanistrem, zaczął napełniać opróżnioną butelkę Mathiasa.

Stacy napiła się z manierki, potem podała ją Ericowi, który wciąż leżał na plecach, bez koszuli, opryskiwany błotem. Usiadł niezdarnie, trzymając się za bok, wziął manierkę.

— Jak najwięcej! — krzyknął do niego Jeff.

Mydło, pomyślał. Powinien był poszukać w plecakach kostki mydła. Zdążyliby przynajmniej umyć twarz i ręce zanim burza minie — drobiazg, wiedział, ale na pewno poprawiłby wszystkim nastrój. Jutro, pomyślał. Pada dzisiaj, więc czemu nie miałyby padać jutro?

Skończył z butelką Mathiasa, wyciągnął rękę po manierkę, napełnił ją, przekazał Amy.

Deszcz wciąż lał, zadziwiająco zimny. Jeff zaczął dygotać:

inni też. Pewnie z braku jedzenia, zakładał. Nie miał już energii, żeby zwalczyć dreszcze.

Frisbee napełniło się znowu, więc podniósł je do ust i napił się bezpośrednio z plastikowego talerza. Woda zawierała słodycz, która go zdziwiła. Cukrowy deszcz, pomyślał. W miarę jak pił, w głowie mu się przejaśniało, ciało nabierało solidności, ciężaru, którego mu brakowało, chociaż nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Napełnił frisbee, wypił, napełnił, wypił, żołądek mu się rozszerzał, przyjemnie powiększał, brzuch napinał się niemal boleśnie. To była najlepsza woda, jaką pił w życiu.

Amy przestała pić. Stała obok Stacy, obejmowały się, kuliły i dygotały. Eric znowu położył się na plecach. Oczy miał zamknięte, usta otwarte na deszcz. Nogi i tors pokrywało błoto, miał je również we włosach, na twarzy.

— Zabierzcie go do namiotu! — krzyknął Jeff.

Wziął manierkę od Amy, znowu zaczął ją napełniać, patrząc, jak Amy i Stacy podnoszą Erica, prowadzą do namiotu.

Deszcz zaczynał słabnąć. Wciąż padało jednostajnie, ale ulewa minęła. Jeff wiedział, że jeszcze pięć czy dziesięć minut i deszcz całkiem ustanie. Poszedł sprawdzić, co z Pablem. Wiata nie za dobrze go osłaniała, był równie mokry jak pozostali. I podobnie jak Eric ochlapany błotem — koszula, twarz, ramiona, kikuty. Oczy nadal miał zamknięte, oddech chrapliwy i nieregularny. Co dziwne, nie dygotał, i Jeff zastanowił się, czy to zły znak, czy organizm jest tak wycieńczony, że nie ma siły nawet drżeć. Kucnął, położył dłoń na czole Pabla, wzdrygnął się, kiedy poczuł bijący od niego żar. Oczywiście to również zły znak, tutaj napotykali same złe znaki. Przypomniał sobie, jak winorośle powtarzały jego głos: *Wykończyć go. Poderżnąć mu gardło. Uduśić go*. Obracał te słowa w myślach, wahając się na krawędzi czynu. Przecież to takie łatwe, był sam na polanie. Nikt się nigdy nie dowie. Mógł zwyczajnie się nachylić, ścisnąć palcami nozdrza Pabla, Zakryć mu usta i policzyć do...
ilu? Do stu? Miłosierdzie: tak

właśnie myślał, kiedy przesunął dłoń z czoła Pabla na twarz. Zatrzymał ją tam, o centymetry od nosa Greka, jeszcze go nie dotykając, tylko rozważając ten pomysł - dziewięćdziesiąt siedem, dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt dziewięć, a potem pojawiła się Amy, gramoliła się z namiotu, taszczyła ze sobą swoje pijaństwo, zataczała się lekko, wychodząc na polanę. Włosy miała przylepione do głowy, lewy policzek usmarowany błotem.

— Z nim okay? — zapytała.

Jeff wstał prędko, rozwścieczony jej bełkotliwym głosem znowu miał ochotę na nią wrzasnąć, otrzeźwić ją swoim gniewem. Zwalczył pokusę i nie odpowiadając — jak miał odpowiedzieć? — podszedł do otwartej skrzynki na narzędzia

Która z niewiadomych powodów była prawie pusta.

Jeff zagapił się na nią, usiłując zrozumieć sens tego odkrycia.

— Tam jest dziura — powiedziała Amy.

Miała rację. Kiedy Jeff podniósł skrzynkę, zobaczył cienką strużkę wody, wyciekającą przez kilkucentymetrowe pęknięcie w dnie. Nie zauważył go wcześniej, kiedy wyrzucał ze skrzynki przybory do szycia. Spieszył się, nie obejrzał dokładnie. Gdyby obejrzał, mógłby ją jakoś załatać przed deszczem — taśma klejąca, pomyślał — ale teraz było już za późno. Deszcz przyszedł, deszcz odszedł. Padało coraz słabiej: za chwilę całkiem przestanie. Zdegustowany, odrzucił skrzynkę, aż potoczyła się po ziemi.

Amy wydawała się wstrząśnięta.

— Co jest, do cholery? — zawołała. — Tam jeszcze była woda!

Podbiegła do skrzynki, ustawiła ją prosto. Jeff wiedział, że to daremny gest. Burza minęła, niebo zaczynało się przejaśniać. Nie będzie więcej padać — przynajmniej nie dzisiaj.

— I ty to mówisz — burknął.

Amy odwróciła się do niego, wycierając twarz.

— Co?

— O marnowaniu wody.
 Pokręciła głową
 — Przestań.
 — Co przestań?
 — Nie teraz.
 — Co nie teraz, Amy?
 — Nie ochrzaniaj mnie.
 — Przecież zasłużyłaś. Sama wiesz.
 Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego ze smutną, urażoną miną, jakby to on był wszystkim winien. Poczul, że furia znowu w nim wzbiera.
 — Kradniesz wodę w środku nocy. Upijasz się. Co ty sobie myślisz? Że to zabawa?
 Pokręciła głową.
 — Jesteś za surowy, Jeff.
 — Surowy? Popatrz na te cholerne kopce. — Wskazał na zbocze, gdzie winorośl okrywała szkielety. — My też tak skończymy. A ty w tym pomagasz.
 Amy dalej kręciła głową.
 — Grecy...
 — Przestań. Jesteś jak dziecko. Grecy, Grecy, Grecy... oni nie przyjadą, Amy. Musisz spojrzeć prawdzie w oczy.
 Zakryła uszy rękami.
 — Przestań, Jeff. Proszę, przestań...
 Jeff zrobił krok do przodu, chwycił ją za nadgarstki, szarpnął w dół. Teraz już krzyczał.
 — Popatrz na Pabla. On umiera... nie widzisz? A Eric w końcu dostanie gangreny albo...
 — Cii. — Próbowala się wyrwać, oglądając się niespokojnie na namiot.
 — A wy troje się upijacie. Kurwa, czy ty w ogóle masz pojęcie, jakie to głupie? Dokładnie tego chciałyby winorośl...
 Amy wrzasnęła tak przeraźliwie, z czystą furią, że umilkł, zaskoczony.
 — Ja nie chciałam tu przyjechać! — zapiszczała. Wyrwała

ręce, zaczęła go okładać po żebrach, aż musiał się cofnąć. Nie chciałam!

Powtarzała to w kółko, biła go i wrzeszczała.

— To przez ciebie! Ty nas namówiłeś! Ja chciałam zostać na plaży! To twoja wina! Twoja! Nie moja! — Tłukła go po torsie, po ramionach, z wykrzywioną twarzą, mokrą od deszczu albo łez, nie wiedział. — Twoja! Nie moja!

Nagle winorośl znowu się odezwała, również krzykiem. *To moja wina. To przeze mnie, prawda? To ja wdepnęłam w winorośle.* Podniesiony głos Amy dochodził ze wszystkich stron. Amy przestała bić Jeffa, rozejrzała się dzikim wzrokiem.

To moja wina.

— Przestań! — krzyknęła Amy.

To przeze mnie, prawda?

— Zamknij się!

To ja wdepnęłam w winorośle.

Amy obróciła się do Jeffa, wyciągnęła ręce rozpaczliwym, błagalnym gestem.

— Zrób coś, żeby przestało.

To moja wina.

Amy wskazała na niego drżącą ręką.

— To przez ciebie! Wiesz, że to prawda! Nie przeze mnie. Ja nie chciałam przyjechać.

To przeze mnie, prawda?

— Zrób coś, żeby przestało. Proszę, zrób coś.

Jeff nie poruszył się, nie odezwał, stał i patrzył na ma.

To ja wdepnęłam w winorośle.

Niebo znowu ciemniało, ale nie z powodu burzy. Za zasłona chmur słońce opadało nad horyzont. Nadchodziła noc, a oni nic nie zrobili, żeby się do niej przygotować. Powinni zjeść, pomyślał Jeff, i przypomniał sobie torbę winogron. Amy i tamci dwoje nie tylko się upili, również poczęstowali się jedzeniem.

— Co jeszcze zjedliście? — zapytał.

— Zjedliśmy?

- Oprócz winogron. Ukradliście coś jeszcze?
- Nie ukradliśmy winogron. Byliśmy głodni...
- Odpowiadaj.
- Pierdol się, Jeff. Zachowujesz się jak...
- Odpowiedz mi.

Pokręciła głową.

— Jesteś za surowy. Wszyscy... my wszyscy... Uważamy, że jesteś za surowy.

- Co to miało znaczyć?

To moja wina.

Amy obróciła się na pięcie, wrzasnęła na winorośl:

- Zamknij się!
- Rozmawialiście o tym? — zapytał Jeff. — O mnie?
- Proszę — powiedziała Amy. — Przestań. — Znowu kręciła głowę i teraz Jeff widział, że płakała. — Czy możesz przestać, skarbie? Proszę.

Wyciągnęła rękę.

Przyjmij ją, pomyślał. Ale nie wykonał żadnego ruchu. To należało do tradycji, że konflikty pomiędzy nimi rozwijały się zwykle według utartego schematu. Kiedy się kłócili, bez względu na przyczynę, Amy szybko się denerwowała — płakała, uciekała — a Jeff, choćby nie wiadomo jak długo się opierał, w końcu wracał do niej z podkulonym ogonem, żeby ją pocieszyć, uspokoić, ugłaskać czułymi słówkami i zapewnić o swojej miłości. I zawsze, zawsze, zawsze to on przeproszał, nigdy Amy, bez względu na to, kto zawinił. I teraz tak samo: Pytała: „Czy możesz przestać?”, nie: „czy mogę” albo nawet: „czy możemy”. Jeff miał tego dość — powyżej uszu, po dziurki w nosie — i przyrzekł sobie, że więcej nie ulegnie. Nie teraz. To ona zawiniła, ona powinna przestać, ona powinna Przeprosić, nie on.

W którejś chwili — nie zauważył, kiedy dokładnie — Winorośle umilkły.

Wkrótce zapadnie ciemność. Jeszcze pięć czy dziesięć minut, zgadywał Jeff, i przestaną cokolwiek widzieć. Powinni

omówić sytuację, powinni wyznaczyć warty, wydzielić kolejne racje jedzenia i wody. Powinni wykorzystać resztki dziennego światła i wziąć się do roboty. „Za surowy”, powiedziała Amy. „Uważamy, że jesteś za surowy”. On pracował ciężko, żeby ich ocalić, a oni obgadywali go i krytykowali za plecami.

Pieprzę ją, pomyślał Jeff. Pieprzę ich wszystkich.

Odwrócił się, zostawił Amy stojącą z wyciągniętą ręką. Podszedł do wiaty, usiadł obok w błocie, naprzeciwko Pabla. Grek miał oczy zamknięte, usta otwarte, dolna szczęka mu obwisła. Śmierdział wręcz nie do wytrzymania. Jeff wiedział, że powinni go przesunąć, zdjąć z tego ohydnego śpiwora cuchnącego, przesiąkniętego jego wydzielinami. Powinni go również umyć, oczyścić przypalone kikuty, opłukać z błota. Mieli teraz dostatecznie dużo wody, mogli sobie na to pozwolić. Ale zmierzchało i Jeff zdawał sobie sprawę, że po ciemku nic nie zdziałają. To przez Amy stracił okazję — przez Amy, Stacy i Erica. Odwrócili jego uwagę, zmarnowali jego czas. I teraz Pablo musiał zaczekać do rana.

Kikuty wciąż krwawiły — niezbyt obficie, ale wciąż z nich ciekło — należało je obmyć i zabandażować. Oczywiście nie mieli gazy, nic sterylnego, Jeff musiałby znowu przekopać plecaki, znaleźć czysty podkoszulek i liczyć, że to wystarczy. Przydałyby się również przybory do szycia, igła z nitką. Mógł wyszukać przeciekające naczynia krwionośne i zawiązać je jedno po drugim. No i trzeba pomyśleć o Ericu: Jeff mógłby zszyć mu ranę w boku. Obejrzał się na Amy. Dalej stała bez ruchu na środku polany, nawet nie opuściła ręki. Czekala żeby ustąpił. Ale on nie zamierzał ustępować.

— Powiedz, że przepraszasz — zażądał.

— Słucham?

Ściemniło się już na tyle, że z trudem dostrzegał wyraz jej twarzy. Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się jak dziecko. Okazał się nie lepszy od niej. Ale nie mógł się opanować.

— Przepróż mnie.

Opuściła rękę.

- Przeprós — nalegał.
- Za co mam przeprosić?
- Że ukradłaś wodę. Że się upiłaś.

Amy otarła twarz ze znużeniem. Westchnęła.

- Dobrze.
- Co dobrze?
- Przepraszam.
- Za co?
- Daj spokój...
- Powiedz, Amy.

Milczała przez długą chwilę, widział, że się wahała. Potem monotonnym głosem wyrecytowała:

- Przepraszam, że ukradłam wodę. Przepraszam, że się upiłam.

Wystarczy, powiedział sobie. Poprzestań na tym. Ale nie poprzestał. Jeszcze nie dokończył tej myśli, kiedy usłyszał swój głos:

- Mówiłaś bez przekonania.
- Jezu, Jeff, nie możesz...
- Przeprós z przekonaniem albo to się nie liczy.

Westchnęła ponownie, tym razem głośniejszym, niemal z drwiną. Potem pokręciła głową, odwróciła się, odeszła na drugi koniec polany i ciężko klapnęła na ziemię. Usiadła plecami do niego, skuliła się, objęła głowę rękami. Noc już prawie zapadła, Jeff niemal widział, jak światło odchodzi, wycieka z powietrza. Patrzył, jak skulona sylwetka Amy rozplywa się w zmierzchu, zlewa się z ciemną masą roślinności. Zdawało mu się, że jej ramiona drgają. Płakała? Wytężył słuch, ale flegmiste rzężenie Pabla zagłuszało wszelkie inne dźwięki.

Idź do niej, powiedział sobie. Zaraz. Ale nie ruszył się z miejsca. Czuł się jak uwięziony w pułapce. Czytał kiedyś, jak otworzyć zamek wytrychem, i wierzył, że potrafiłby to zrobić, gdyby musiał. Wiedział, jak się wydostać z rozbitego samochodu, jak wyleźć ze studni, jak uciec z płonącego

budynku. Ale teraz żadna z tych rzeczy mu nie pomogła. Nie, nie miał pojęcia, jak wybrnąć z obecnej sytuacji. Chciał żeby Amy go wyręczyła, żeby wykonała pierwszy ruch.

Teraz miał pewność: płakała. Zamiast go zmiękczyć, to wywarło wręcz przeciwny skutek. Doszedł do wniosku, że nim manipulowała, próbowała wzbudzić współczucie. On tylko poprosił, żeby go przeprosiła, szczerze i naprawdę. Czy to tak wiele? Może płakała, może drżała z zimna, bo oczywiście była przemoczona. Kiedy próbował rozstrzygnąć pomiędzy płaczem a dygotaniem, ona przechyliła się na bok, położyła się w błocie. To również było obliczone na wywołanie w nim współczucia. Ale ponownie poczuł tylko gniew. Skoro zmarzła, skoro przemokła, dlaczego nic z tym nie zrobiła? Dlaczego nie poszła do namiotu, nie przeszukała plecaków, nie znalazła jakichś suchych ubrań? Czy musiał jej to mówić? No wiec nie zamierzał. Jeśli chciała się taplać w błocie, dygotając albo płacząc, to jej sprawa. Mogła tam leżeć przez całą noc, skoro sobie życzyła, ponieważ on nie zamierzał do niej podejść.

Później, znacznie później, po zachodzie słońca, kiedy już Mathias wrócił z dołu i dołączył do pozostałych w namiocie, kiedy niebo się przetało i wzeszedł księżyc, błądy plasterek, jeszcze odrobinę bardziej okrojony, kiedy ubranie wyszło na Jeffie i trochę zeszywniało, kiedy oddech Pabla w pewnej chwili urwał się na dobre trzydzieści sekund, po czym znowu zarzęził z nagłym, ostrym charkotem, jak rozdzierane przescieradło, kiedy Jeff już z dziesięć razy chciał podejść do Amy, podnieść ją, odesłać do namiotu, ale za każdym razem się rozmyślał, kiedy przesiedział całą swoją zmianę i większość następnej zmiany bez ruchu, czekając, żeby ona pierwsza się poruszyła, żeby podeszła i błagała go o wybaczenie, czy nawet po prostu objęła go bez słowa, Amy chwiejnie dźwignęła się na nogi. Wstała, zrobiła pół kroku w stronę Jeffa, potem upadła na kolana i zaczęła wymiotować. Podpierała się jedną ręką, drugą podniosła do ust, jakby chciała powstrzymać

wymioty. Jeff nie widział jej dokładnie w ciemności, tylko sylwetkę, ciemny zarys ciała, nic więcej. Bardziej słuch niż wzrok powiedział mu, co się dzieje. Słyszał, jak się krztusiła, kaszłała, pluła. Znowu próbowała wstać, z tym samym rezultatem — pół kroku i upadła na kolana, ciągle przyciskając prawą rękę do ust, podczas gdy lewą jakby wyciągała do niego w ciemnościach. Czy go wołała? Czy wśród odgłosów kaszania, spluwania, rzygania wyłowił swoje imię? Nie miał pewności — w każdym razie dostatecznej pewności — więc się nie ruszył. Teraz przyciskała obie ręce do ust, żeby zatamować strumień wymiotów. Ale oczywiście nie zdołała. Dalej krztusiła się, dławiała i kaszłała. Jeff czuł teraz zapach wymiotów, przebijający się nawet przez smród Pabla — tequila, żółć — które nie ustawały.

Idź do niej, pomyślał znowu.

A potem: Jesteś za surowy. Wszyscy uważamy, że jesteś za surowy.

Patrzył, jak klęczała zgarbiona, z rękami wciąż przyciśniętymi do ust. Wreszcie ucichła: przestała kaszleć, rzygać i pluć. Prawie przez minutę trwała w bezruchu. Potem bardzo powoli przewróciła się na bok w błoto. Leżała całkiem nieruchomo, skulona w pozycji płodowej, Jeff przypuszczał, że znowu zasnęła. Wiedział, że teraz powinien jej pomóc, Wytrzeć ją jak noworodka, zaprowadzić do namiotu. Ale przecież sama się tak urządziła. Więc dlaczego miał po niej sprzątać? Jeszcze czego. Niech tam leży, niech się obudzi o świcie z wymiocinami zaschniętymi na twarzy. Od tego smrodu jemu też wywracał się żołądek — nie tylko żołądek, ale również uczucia. Gniew, odraza i przemożne zniecierpliwienie kazały mu siedzieć całą noc obok małej wiaty, patrzeć i nic nie robić. Powinienem sprawdzić, co z nią, myślał — ile razy? Z dziesięć, może więcej. Powinienem sprawdzić, czy nic jej nie jest. Ale nie sprawdził, siedział i patrzył na nią, Powtarzając w myślach te słowa, uznając ich mądrość, ich słusność, ale nic nie robiąc, przez całą noc.

Świtało, kiedy Jeff wreszcie się poruszył. Trochę przysypiał, głowa mu opadała i znowu się budził, a księżyc nad nim wędrował coraz wyżej, potem osiągnął najwyższy punki i zaczął się zniżać. Prawie zaszedł, zanim Jeff zdołał się podnieść, przeciągnąć, krew jakby zgęstniała mu w żyłach. Nawet wtedy nie podszedł do Amy, chociaż to już nie miało znaczenia. Patrzył na nią przez długi czas — na jej ciemny, nieruchomy kształt pośrodku polany — po czym powlókł się do namiotu, rozpiął suwak i cicho wsunął się do środka.

Stacy słyszała, jak Jeff i Amy krzyczeli na siebie. Nie mogła rozróżnić słów, bo deszcz bębnił o płótno namiotu, ale wiedziała, że się kłóć. Winorośl też się wtrąciła: naśladowała głos Amy.

Wrzeszczała: *To moja wina.*

A potem: *To przeze mnie, prawda!*

Stacy została sama z Erikiem w namiocie. Z powodu burzy zrobiło się ciemno i niewiele widziała. Nie miała pojęcia, która godzina, ale wyczuwała, że dzień dobiega końca. Następna noc — nie wiedziała, jak to wytrzymają.

— Jeśli zasnę, popilnujesz mnie? — zapytał Eric.

Stacy miała myśli mętne od alkoholu. Wszystko działało się jakby trochę wolniej, niż powinno. Patrzyła na Erica w ciemnościach i usiłowała przetworzyć jego pytanie. Deszcz wciąż lał, namiot obwisał pod ciężarem wilgoci. Jeff i Amy przestali wrzeszczeć.

— Całą noc? — zapytała.

Eric pokręcił głową.

— Godzinę... możesz czuwać przez godzinę? Tyle mi wystarczy.

Stacy uświadomiła sobie, że jest zmęczona, jakby od samego mówienia o tym. Zmęczona, głodna i bardzo, bardzo pijana.

— Czemu nie możemy spać oboje?

Eric wskazał stertę zapasów pod tylną ścianą namiotu.

— One wróć. Znowu się wepchną do środka. Jedno z nas musi czuwać.

Chodzi mu o winorośle, pomyślała Stacy, i przez chwilę jakby je wyczuła, ukryte w ciemnościach, słuchające, patrzące. czekające, aż ludzie zasną.

— Okay — powiedziała. — Godzina, potem cię obudzę.

Eric położył się na plecach. Nadał przyciskał do boku koszulkę zwiniętą w kulę. Po ciemku Stacy nie widziała, czy krwawienie ustało. Usiadła obok niego, wzięła go za wolną rękę, lepką i zimną. Wiedziała, że powinni się wysuszyć, zmienić mokre ubrania. Ciągłe dygotała z zimna, ale nic nie powiedziała, nie sięgnęła do plecaków. Archeolodzy nie żyli, razem ze wszystkimi, którzy przyszli przed nimi lub po nich, dlatego ich rzeczy — co głupie — wydawały się Stacy skażone. Nie chciała nosić ich

Eric zasnął, jego ręka zwiotczała w jej dłoni. Zaskoczyło ją, że tak szybko mu się to udało. Zaczął chrapać, co brzmiało dziwnie podobnie do bulgotliwego charkotania Pabla — przerażająco podobnie. Stacy mało go nie obudziła, żeby przekręcił się na bok i ucichł, nagle jednak sam przestał. To również ją przestraszyło, więc nachyliła się i przysunęła ucho do jego twarzy, żeby sprawdzić, czy on oddycha.

Oczywiście oddychał.

W takiej pozycji, z głową tuż nad podłogą namiotu, łatwiej się było jeszcze trochę pochylić niż z powrotem wyprostować. Położyła się obok mego, przytuliła. Deszcz ustawał — teraz już tylko siąpił — i w namiocie zrobiło się tak spokojnie. Stacy przymknęła oczy. Nie zamierzała spać — jakżeby mogła? Nawet jeszcze nie zapadła noc. Zaraz przyjdzie Amy i usiądą razem, żeby porozmawiać zniżonymi głosami, może szeptem, żeby nie zbudzić Erica. To prawda, była zmęczona, ale przecież dała słowo i sama wiedziała, że winorośl czai się wokół nich i tylko czeka, aż osłabną czujność. Nie, nie zamierzała spać. Chciała tylko na chwilę zamknąć oczy, żeby

posłuchać tego łagodnego bębnienia w nylonowy dach nad głowami, pomarzyć trochę, wyobrazić sobie, że jest gdzie indziej.

Kiedy znowu otwarła oczy, w namiocie było ciemno choć oko wykol. Ktoś pochylał się nad nią, szarpał ją za ramię.

— Obudź się, Stacy — powtarzał ten ktoś. — To twoja wachta.

Rozpoznała głos Jeffa. Nie poruszyła się, dalej leżała na plecach i spoglądała na niego poprzez mrok. Wspomnienia powracały, ale zbyt powoli, żeby odnaleźć w nich sens Deszcz. Amy krzyczy na nią: „Dziwka”. Jeff i Amy się kłóca. Eric prosi ją, żeby nad nim czuwała. Czują się skacowana, ale wciąż pijana — bolesna kombinacja. Głowa nie tylko ją bolała, wydawała się dziwnie płynna, jakby Stacy mogła się wylać z siebie, gdyby wykonała zbyt gwałtowny ruch w jedną czy drugą stronę. Nie potrafiła tego dokładnie określić, wiedziała tylko, że nie chce się ruszać, że to zbyt ryzykowne. Pęcherz miała przepelniony, ale nawet to nie wystarczyło, żeby ją zmusić do wstania.

— Nie — powiedziała.

Nie widziała Jeffa, ale wyczuła jego zdumienie, cień nad nią zeszywniał.

— Nie? — powtórzył.

— Nie mogę.

— Czemu?

— Po prostu nie mogę.

— Ale to twoja kolej.

— Nie mogę, Jeff.

Podniósł głos, rozgniewany.

— Dość tego, Stacy. Wstawaj.

Szturchnął ją i mało nie wrzasnęła. Całe ciało ją bolało. Zaczęła jęczeć:

— Nie mogę, nie mogę, nie mogę...

— Ja pójdę — odezwał się Mathias po drugiej stronie namiotu.

Wyczuła, że Jeff odwraca się w tamtą stronę.

- To jej kolej.
- Nie szkodzi. Nie śpię.

Usłyszała, jak Mathias wstaje, szeleści czymś, po omacku przesuwa się do kłapy namiotu. Zatrzymał się przy wyjściu, zawahał.

- Gdzie jest Amy? — spytał.
- Na dworze — odparł Jeff. — Odsypia.
- Czy powinienem...
- Zostaw ją.

Stacy usłyszała, jak Mathias otwiera zamek błyskawiczny. Do namiotu wpadło odrobinkę światła. Przez chwilę widziała wszystkich trzech: Eric leżący bez ruchu na plecach, Jeff stojący nad nią, Mathias wychodzący na polanę. Dziękuję, pomyślała, ale nie zdołała wymówić tych słów. Kłapa opadła i znów pograżyli się w ciemnościach.

Niemal bezwiednie znowu zamknęła oczy. Jeff położył się po lewej stronie, mamrocząc pod nosem z wyraźną pretensją — do niej, zakładała Stacy. Nie przejmowała się tym. Skoro już się wściekał na Amy, czemu nie miał się wściekać również na nią? Później we dwie uśmieją się z tego, Stacy będzie go przedrzeźniała, naśladując jego mamrotanie, gderanie i wzdychanie.

Powinnam sprawdzić, co z Erikiem, pomyślała.

Próbowała sobie przypomnieć, co się stało, zanim zasnęła. Czy najpierw go obudziła, zgodnie z obietnicą? Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mniej prawdopodobne to się wydawało, więc zaczęła już się podnosić, z trudem otwierając oczy, może nawet usiadła i go szturchnęła, kiedy Mathias wykrzyknął imię Jeffa.

Znowu przeżywał to samo: budził się w stęchłym zaduchu, winorośl obrastała mu nogi. Jest we mnie, pomyślał Eric, kiedy wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć. W piersi też.

Mathias wrzeszczał na polanie. W namiocie ktoś się poruszał. Po ciemku Eric nie widział, kto. Próbował usiąść, ale winorośl okrywała go i jakby przytrzymywała.

We mnie.

— Jeff... — krzyczał Mathias. — Jeff...

Coś się stało, coś złego, Eric słyszał to w głosie Mathiasa. Pablo umarł, pomyślał.

— Jeff...

Ktoś wstawał, podchodził do klapy namiotu.

— O Boże — jęknął Eric. Wepchnął rękę w winorośle, nacisnął klatkę piersiową tuż nad raną. Wyczuwał tam winorośl pod skórą, gąbczastą masę pokrywającą żebra, rozszerzając się w górę do mostka.

— Nóż! — zawołał. — Dajcie mi nóż!

— Co jest? Co się dzieje? — odezwała się Stacy tuż obok Erica, zaspanym, wystraszonego głosem. Trzymała go kurczowo, ścisnęła za ramię.

— Potrzebuję noża — odpowiedział.

— Noża?

— Szybko!

Na polanie Mathias wciąż krzyczał:

— Jeff... Jeff...

Dłoń Erica zsunęła się na nogę, gdzie znalazła tę sama miękką wyściółkę tuż pod skórą, sięgającą poza kolano, aż na udo. Usłyszał zgrzyt rozsuwanego zamka błyskawicznego, obejrzał się. Wciąż trwała noc, ale na zewnątrz nie było tak ciemno jak w środku. Dostrzegł Jeffa wychodzącego na polanę.

— Czekaj — zawołał. — Potrzebuję...

Ale Jeff już zniknął.

Jeff wiedział. Jak tylko usłyszał pierwszy krzyk Mathiasa, wiedział. Wstał i wybiegł na polanę, wszystko działo się tak szybko —

za szybko — ale nie dość szybko, żeby uciec przed tą wiedzą. Słyszał ją w głosie Mathiasa, spanikowanym, nagłym. Niczego więcej nie potrzebował.

Tak, wiedział.

Z namiotu, przez polanę, w ciemnościach, w stronę niewyraźnego cienia Mathiasa, przykucniętego nad drugim cieniem: Amy. Jeff padł na kolana obok nich, sięgnął po rękę Amy, przegub, już chłodny w dotyku. Nie widział twarzy żadnego z nich.

— One chyba... — zaczął Mathias, szukając słów, niemal jękając się z przejęcia. — Chyba ją zadusiły.

Jeff pochylił się niżej. Winorośle zarosły jej usta i nos. Zaczął je szarpać, sok parzył mu ręce. Wepchnęły się do ust i musiał tam wsadzić palce, żeby wyciągnąć łodygi, ignorując gumowy dotyk jej warg, takich zimnych — za zimnych.

W namiocie Eric znowu zaczął krzyczeć:

— Nóż! Dajcie nóż!

Nie zadusiły, pomyślał Jeff. Zadławiły. Ponieważ czuł zapach tequili i zółci, i wilgoć na liściach winorośli. Pamiętał, jak Amy podniosła się chwiejnie, zrobiła pół kroku w jego stronę, podnosząc rękę do ust. Myślał, że chciała w ten sposób powstrzymać mdłości, ale mylił się. Teraz rozumiał, że ona ciągnęła, próbowała wyrwać sobie roślinę z gardła, otworzyć drogę dla wymiotów, że krztusiła się, kiedy upadła na kolana, wzywając go na pomoc.

Oczyściwszy usta, przechylił jej głowę do tyłu, zacisnął nos dwoma palcami, przyłożył wargi do jej warg — szczelnie, bez żadnych szpar. Czuł smak jej wymiocin, sok winorośli Palił mu język. Zrobił wydech - wdmuchnął jej powietrze do płuc, oderwał usta, przesunął ręce na klatkę piersiową, namacał mostek, oparł na nim nadgarstki, nacisnął z całej siły, odliczając w myślach z każdym pchnięciem —jeden... dwa... trzy... cztery... pięć... — i wrócił do ust.

— Jeff - powiedział Mathias.

Jeff mógł przywołać z pamięci liczne historie — fałszywej

śmierci — o ludziach wyciągniętych z głębokiej wody, bez pulsu, z sinymi wargami, ze sztywnymi kończynami. Również ataki serca, ukąszenia przez węże, porażenia piorunem. I zadławienia — czemu nie? Ludzie, którzy nigdy więcej ni, powinni oddychać, a jednak jakimś cudem, przez jakiś wybryk fizjologii wracali do życia tylko dlatego, że ktoś, kto nie miał powodu wierzyć, nie miał powodu dalej walczyć, jednak nie dawał za wygraną, wdmuchiwał powietrze do płuc trupa. pompował krew przez serce nieboszczyka, wskrzeszał ich niczym Łazarzy — wrywał ze szponów zbyt wczesne i śmierci.

— Za późno — powiedział Mathias.

Jeff nauczył się robić sztuczne oddychanie w dziesiątej klasie. Wczesna wiosna w zachodnim Massachusetts, muchy brzęczały i obijały się o wielkie okna, wychodzące na dziedziniec z masztem flagowym i małą cieplarnią. Krótki wykład, a potem ćwiczyli, gumowy manekin ułożony na linoleum, żeński, dziwnie beznogi. Nadano jej imię, przypomniał sobie Jeff, ale nie pamiętał jakie. Piętnastu chłopców obsługiwało japo kolei — padło kilka wymuszonych erotycznych dowcipów, które pan Kocher uciszył zmarszczeniem brwi. Wszyscy się wstydzili, obawiali się porażki i starali się tego nie pokazywać. Wargi lalki smakowały wcieranym alkoholem. Klęcząc przy jej głowie, Jeff wyobrażał sobie akcje ratownicze w przyszłości. Babcia przewraca się na podłogę w kuchni, cała rodzina — siostra, rodzice, kuzyni. wujkowie i ciotki — stoją bezradnie, jak skamieniali, patrzą na jej umieranie, a potem Jeff spokojnie robi krok do przodu, przepycha się wśród nich i klęka obok babci, żeby tchnąć w nią życie, najprostsz gest, a jednak niemal boski. Chwila łaski — tak to sobie przedstawiał — pewność siebie, spokój. opanowanie.

Zrobił wydech, nappełnił płuca Amy.

Mathias wyciągnął rękę, dotknął jego ramienia.

— Ona nie...

Idź do niej, pomyślał wtedy pamiętał te słowa w swojej głowie. Siedząc w błocie obok wiaty Pabla, patrząc, jak ona się zatacza, pada na kolana, z rękami przy ustach. Idź do niej. Więc czemu nie poszedł?

W namiocie coś się poruszyło i pojawiła się Stacy. Podeszła do nich chwiejnie.

— To znowu jest w nim — oznajmiła. — Chciał... — Zatrzymała się, popatrzyła na nich. — Co się stało?

Jeff przesunął ręce na klatkę piersiową Amy, namacał mostek.

— Czy ona...

Moja wina, Jeff nie miał co do tego wątpliwości, ale wiedział, że teraz nie może sobie pozwolić na rozpamiętywanie, nie może się poddać.

Później zmierzy się z tymi dwoma słowami, weźmie na siebie ich ciężar, później nie będzie ucieczki. Ale nie teraz.

Zaczął naciskać: jeden... dwa... trzy... cztery... pięć.

Zresztą może nie będzie żadnego „później”. Przecież to całkiem możliwe. Żadnego „później”, niczego poza tym miejscem, Amy po prostu odeszła pierwsza, on i pozostali wkrótce do niej dołączą. A skoro tak, jakie to miało znaczenie? W ten sposób czy inny, raczej teraz niż w ciągu następnych dni czy tygodni — może nawet to lepsze, jak każde skrócenie cierpień?

— Jeff... — odezwał się Mathias.

Nie wiedział. Nie zobaczył. Klęczała zaledwie parę metrów dalej, ale pogrążona w mroku. Skąd mógł wiedzieć?

Eric wrzeszczał w namiocie, wzywał Stacy, wołał o nóż, o ratunek.

Nie teraz, pomyślał Jeff, narzucając sobie dyscyplinę. Później.

— Mathias? — zapytała Stacy przestraszonym głosem. — Czy ona...

— Tak.

Niemowlęta wyciągnięte z kublów na śmiecie, staruszki

znalezione w łózkach, turyści wykopani ze śnieżnych zasp najważniejsze to nie rezygnować, nie zakładać niczego z góry działać bez wahania i modlić się o ten cud, ten wybryk natury, ten nagły wdech.

Stacy zrobiła jeden krok do przodu.

— To znaczy...

— Nie żyje.

Jeff nie zwracał na nich uwagi. Z powrotem do ust: zimne wargi, smak wymiotów, pieczenie soku, kiedy wtlaczał jej powietrze do płuc. Eric ciągle wrzeszczał w namiocie. Stacy i Mathias patrzyli w milczeniu, jak Jeff pracuje nad ciałem - płuca, serce — czekając z napięciem na tę chwilę łaski, która zwlekała, stawiała opór, nie nadchodziła. Poddał się dużo wcześniej, zanim przerwał zabiegi, ciągnął jeszcze przez kilka minut z czystej inercji, przerażony, co to znaczy, jeśli bezpowrotnie oderwie usta od jej warg, ręce od żeber. W końcu pokonało go zmęczenie, skurcz w prawym udzie, coraz silniejsze zawroty głowy, przysiadł na piętach, łapiąc oddech.

Nikt się nie odezwał.

Wołała moje imię, pomyślał Jeff. Otarł usta, wargi miał popękane od soku. Słyszałem, jak mnie wołała. Wziął rękę Amy, zamknął w swojej dłoni, jakby chciał ją ogrzać.

— Stacy... — krzyknął Eric.

Jeff podniósł głowę, spojrzał w stronę namiotu.

— Co mu się stało? — zapytał.

Zdumiał go własny spokojny głos, spodziewał się czegoś zachrypniętego, zrozpaczonego: wycia. Czekał na lzy - czuł je, tuż poza zasięgiem — ale nie przychodziły.

Nie przyjdą.

Później, pomyślał.

— Znowu jest w nim — odpowiedziała Stacy, również cicho, prawie niedosłyszalnie. Jeff wiedział, że to obecność śmierci kazała im szeptać.

Puścił rękę Amy, ułożył ją starannie na jej piersiach, znowu przypominając sobie tamtą gumową lalkę, tamte bezwładne

ramiona. Otrzymał dyplom za zaliczony egzamin, matka oprawiła go w ramki i powiesiła w jego pokoju. Teraz, kiedy zamknął oczy, widział te wszystkie dyplomy, wstążki i plakietki wiszące na ścianach, półki pełne trofeów.

— Ktoś powinien mu pomóc — powiedział.

Mathias wstał bez słowa, ruszył do namiotu. Jeff i Stacy odprowadzali go wzrokiem — cień płynący przez polanę.

Jak duch, pomyślał Jeff. i wtedy przyszyły łzy, nie mógł ich powstrzymać. Bez szlochów, bez jęków, bez łkania, chlipania ani zachłystywania się powietrzem — tylko kilka kropel słonej wody stoczyło się powoli po policzkach, piekąc w miejscach, gdzie sok winorośli poparzył skórę.

Stacy nie widziała łez Jeffa. Zresztą w ogóle niewiele widziała. Fatalnie się czuła: zmęczona, pijana, obolała — rwało ją w mięśniach i ściach — i półprzytomna ze strachu. Było ciemno, za ciemno, oczy ją piekły, kiedy wytrzymała wzrok i próbowała nadać rzeczywistości znajomy kształt. Amy leżała na plecach, a Jeff klęczał obok niej — nic więcej nie widziała. A jednak wiedziała, zrozumiała, jak tylko wyszła z namiotu — nie przyczynę, ale sam fakt: Ona nie żyje.

Przykucnęła o krok od nich, mogła dotknąć Amy, gdyby tylko wyciągnęła rękę. Wiedziała, że powinna tak zrobić, że to właściwe, że Amy właśnie tego by chciała. Ale nie poruszyła ręką. Za bardzo się bała: jeśli jej dotknie, to się stanie prawdą.

— Jesteś pewny? — zapytała Jeffa.

— Czego?

— Że ona... — nie mogła się zmusić, żeby to powiedzieć.

Ale Jeff zrozumiał, wyczuła, że kiwnął głową w ciemnościach.

— Jak? — szepnęła.

— Co jak?

— Jak ona...

— Zarosły jej usta. Zadławiły ją.

Stacy odruchowo wzięła głęboki oddech. To niemożliwe, pomyślała. Jak to możliwe? W powietrzu znowu rozchodził się zapach ogniska, który przypomniawszy jej o ludziach u sto, wzgórze.

— Musimy im powiedzieć — oświadczyła.

— Komu?

— Majom.

Czuła, że Jeff na nią patrzy, ale nie odpowiadał. Żałowała, że nie widzi wyrazu jego twarzy, ponieważ stawał się częścią, tej nierzeczywistości, niemożliwości — jego spokój, cichy głos, ukryta twarz. Amy nie żyła, a oni po prostu siedzieli obok niej i nic nie robili.

— Musimy im powiedzieć, co się stało — powtórzyła podniesionym głosem, bardziej go czuła niż słyszała, serce jej waliło coraz szybciej, przepalało tequilę, sen, nawet strach. Musimy ich wezwać na pomoc.

— Oni nie...

— Muszą.

— Stacy...

— Muszą!

— Stacy!

Umilkła i patrzyła na niego, mrugając. Ledwie wytrzymała w kucki, drgały jej mięśnie ud. Chciała się zerwać, zbiec ze wzgórze, zakończyć to wszystko. To się wydawało takie proste.

— Zamknij się — poprosił Jeff bardzo cicho. — Dobrze?

Nie odpowiedziała, zaskoczona. W pierwszej chwili chciała wrzasnąć, uderzyć go, zwymyślać, ale ta ochota szybko minęła. A w ślad za nią wszystko się zapadło. Nagle powróciło zmęczenie i strach. Wyciągnęła rękę, ujęła dłoń Amy. Zimną, lekko wilgotną. Gdyby Amy odwzajemniła uścisk, Stacy pewnie by krzyknęła, i dopiero poprzez tę myśl w końcu, jednoznacznie uzmysłowiła sobie prawdę. Nie żyje, pomyślała. Ona nie żyje.

— Dosyć gadania — rzucił Jeff. — Możesz to zrobić? Zostań tu ze mną... z nią... i nie mów więcej ani słowa, dobrze?

Stacy wciąż ścisnęła rękę Amy. To jakoś jej pomagało. Kiwnęła głową.

I tak zrobili. Siedzieli razem po obu stronach ciała Amy, czekając w milczeniu, kiedy Ziemia powoli skłaniała się w stronę świtu.

Eric wciąż błagał, żeby Mathias go rozciął, ale Mathias nie chciał się zgodzić, nie po ciemku.

— Musimy to wyciągnąć — nalegał Eric. — To się dalej rozprzestrzenia.

— Tego nie wiemy.

— Nie czujesz?

— Czuję opuchliznę.

— To nie opuchlizna. To winorośl. Ona...

Mathias poklepał go po ramieniu.

— Cii — powiedział. — Kiedy się rozjaśni.

W namiocie było gorąco, wilgotno i duszno, ręka Mathiasa była śliska od potu. Eric nie chciał, żeby go dotykała. Odsunął się.

— Nie mogę czekać tak długo.

— Już prawie świt.

— Czy to dlatego, że nazwałem cię nazistą?

Mathias milczał.

— To był tylko żart. Rozmawialiśmy o filmie, który o nas nakręcą. Kiedy wrócimy. Że zostaniesz czarnym charakterem. Bo jesteś Niemcem, prawda? Więc zrobią z ciebie nazistę. — Zdawał sobie sprawę, że nie myśli jasno ze strachu, mówił za szybko i możliwe, że nie całkiem do rzeczy. Ale skoro już zaczął, nie mógł się powstrzymać. — Co nie znaczy, że taki jesteś. Tylko takiego z ciebie zrobią. Bo potrzebują złego faceta. W każdym filmie. Chociaż winorośl też może być czarnym charakterem, nie? Więc może wcale nie musisz

być nazistą. Możesz być bohaterem, jak Jeff. Obaj będziecie bohaterami.

Czy w Niemczech są skauci?

Usłyszał westchnienie Mathiasa.

- Eric...
- Tylko daj mi ten cholerny nóż, dobra? Sam to zrób....
- Nie mam noża.
- Więc przynieś.
- Kiedy się rozwidni...
- Zawołaj Jeffa. Jeff to zrobi.
- Nie możemy zawołać Jeffa.
- Bo co?

Mathias zawahał się na chwilę.

- Stało się coś złego — powiedział.

Eric pomyślał o małej wiacie, o smrodzie moczu, gówna i zgnilizny.

Kiwnął głową.

- Wiem.
- Myślę, że nie wiesz.
- Chodzi o Pabla, tak? Umarł.
- Nie. Nie chodzi o Pabla.
- Więc o co?
- O Amy.
- Amy? — Tego Eric się nie spodziewał. — Co z nią?

Znowu ta chwila wahania, szukanie właściwych słów.

- Odeszła.
- Uciekła?

Poczuł, że Mathias kręci głową w ciemnościach.

- Ona umarła, Eric. To ją zabiło.
- Co ty...
- Zadusiło ją. We śnie.

Eric milczał, zbyt zszokowany, żeby mówić. Umarła.

- Na pewno? — zapytał w końcu, wiedząc, że to głupia pytanie.
- Tak.

Zakręciło mu się w głowie, nagle stracił poczucie rzeczywistości.

Umarła. Chciał wstać i sam się przekonać, ale obawiał

się, że nie wystarczy mu sił. Ktoś musiał najpierw wyciąć mu winorośl z nogi, wyrwać z klatki piersiowej. Umarła. Wiedział, że to prawda, a jednak nie mógł się z tym pogodzić. Umarła. To głupie, ale film, o którym wcześniej rozmawiali, zawładnął jego wyobraźnią: Amy była porządną, cnotliwą dziewczyną, powinna przeżyć, powinna odlecieć z Jeffem w balonie. Umarła, umarła, umarła.

— Jezu — powiedział.

— Wiem.

— To znaczy...

Znowu poczuł poklepującą rękę, dotyk spoczonej skóry.

— Cii. Nie mów nic. Nie trzeba.

Eric opuścił głowę z powrotem na podłogę namiotu. Na chwilę zamknął oczy, potem znowu je otworzył, wypatrując pierwszych zapowiedzi światła, przebijających się przez pomarańczowy nylon. Ale widział tylko ciemność — wszędzie dookoła tylko ciemność.

Znowu zamknął oczy i leżał, czekając na świt, a w głowie huczało mu to jedno słowo:

Umarła, umarła, umarła, umarła, umarła...

Eric znowu zaczął wołać z namiotu, jak tylko wzeszło słońce. Chciał nóż. Mathias wygramolił się przez ciasny otwór, stanął na polanie, spojrzął na Jeffa i Stacy. Wciąż siedzieli obok zwłok Amy, po obu stronach. Stacy trzymała Amy za rękę.

— Co? — zapytał Jeff.

Mathias wzruszył ramionami, przechylił głowę. Światło było jeszcze słabe, zabarwione różowością. Daleko w dżungli Jeff słyszał głosy ptaków, wrzaski i krakanie. Nie potrafił odczytać wyrazu twarzy Mathiasa: zmartwiony? Czy tylko niepewny?

— Chyba powinieneś zobaczyć.

Jeff wstał, zeszywniały, na ciężkich nogach, goniąc resztkami sił. Poszedł za Mathiasem do namiotu, zostawiwszy Stacy przy ciele Amy.

W środku panował jeszcze półmrok, niewiele było widać. Eric leżał na wznak. Lewą nogę i większość brzucha coś mu zakrywało i Jeff dopiero po chwili zrozumiał, że to winorośle

Kucnął obok niego.

— Czemu tego nie zdjąłeś? — zapytał.

— On się boi je rozerwać — odezwał się Mathias.

Eric kiwnął głową.

— Jeśli popękają, mogą się wkręcić wszędzie. Jak robaki.

Jeff szturchnął masę liści, nachylił się bliżej. Winorośle wepchnęły się w ranę na nodze i w piersi Erica, ale nie mógł ocenić, jak głęboko się wcisnęły. Potrzebował lepszego światła.

— Możesz chodzić? — zapytał.

Eric pokręcił głową.

— Zgniotę je. Wtedy mnie poparzą.

Jeff zastanowił się i doszedł do wniosku, że pewnie Eric ma rację.

— Więc cię zaniesiemy.

Eric jakby się przestraszył. Próbował usiąść, ale dźwignął się tylko do połowy, podpierając się na łokciu.

— Dokąd?

— Na zewnątrz. Tutaj jest za ciemno.

W sumie pięć łodyg owinęło się wokół ciała Erica. Trzy zaatakowały nogę, każda weszła w inną ranę. Pozostałe dwie wtargnęły przez rozcięcie w klatce piersiowej. Jeff zorientował się, że musi je odłamać od korzeni, jeśli chcą wynieść Erica z namiotu. Zrobił to szybko, nic nie mówiąc, w obawie, że Eric zaprotestuje. Potem kiwnął na Mathiasa, żeby mu pomógł, Mathias chwycił Erica za ramiona, Jeff za stopy i razem go podnieśli. Pięć łodyg zwisało z jego ciała, dyndając nad podłogą namiotu, wijąc się jak węże, kiedy go wynosili na polanę.

Położyli go na ziemi, w połowie drogi pomiędzy Pabłem a Amy. Potem Jeff przeszedł przez polanę, podniósł nóż. To dobrze, że miał coś do roboty, to mu pomagało. Wystarczyło, że wziął nóż do ręki, a zaraz przejaśniło mu się w głowie, wyostrzyły się zmysły. Zawahał się przez chwilę, rozejrzał po małym obozowisku. Wyglądali żałośnie: brudni, ubrania w strzępach, twarze Mathiasa i Erica pokryte gęstym zarostem. Eric miał na sobie mnóstwo zaschniętej krwi, zdawało się, że winorośle wyrastają mu z ran, zamiast na odwrót. Jeff zauważył, że kiedy go wynosili z namiotu, zerknął w stronę Amy, jedno szybkie, badawcze spojrzenie, zanim odwrócił wzrok. Nikt się nie odzywał, każdy jakby czekał, żeby ktoś inny zabrał głos. Jeff wiedział, że potrzebują planu, drogowskazu, który wyprowadzi ich poza chwilę obecną, czegoś, co zajmie ich myśli, i rozumiał też, że ułożenie planu do niego należy.

Blask słońca nabierał siły, przynosząc ze sobą początki upału. Oddech Pabła niespodziewanie, zadziwiająco przycichł. Przez chwilę Jeff myślał nawet, że Grek nie żyje. Podeszedł do wiaty, kucnął obok. Nie, jeszcze nie. Ale flegmiasty charkot ustał, oddech stał się spokojniejszy, powolny. Jeff dotknął czoła Pabła, poczuł bijące od niego ciepło, gorączkę wciąż płonąca w ciele. A jednak coś się zmieniło. Kiedy Jeff cofnął rękę, oczy Greka otwarły się, spojrzały na niego. Wydawały się zadziwiająco przytomne, czujne.

— Hej — powiedział Jeff.

Pablo oblizał wargi, przełknął na sucho.

— Patataj? — wyszeptał.

Jeff zagapił się na niego, szukając w tym sensu.

— Patataj?

Pablo kiwnął głową, znowu się oblizał.

— On chce wody — odezwała się Stacy z drugiej strony polany. — To po grecku woda.

Jeff obejrzał się na nią.

— Skąd wiesz?

— Już to mówił przedtem.

Eric leżał na plecach, wpatrując się w niebo.

— Nóż, Jeff — przypomniał.

— Za chwilę.

Mathias stał nad Erikiem z ramionami skrzyżowanymi na piersi, jakby było mu zimno. Ale Jeff widział pot na jego twarzy, błyszczącej w coraz silniejszym świetle. Napotkał jego wzrok, wskazał kanister z wodą, stojący na ziemi obok namiotu. Mathias zrozumiał i przyniósł.

Jeff odkręcił kanister, podniósł nad twarzą Pabla.

— Patataj? — zapytał.

Pablo przytaknął, otworzył usta, lekko wystawił język. Miał coś na zębach, zauważył Jeff, brązową plamę — pewnie krew. Jeff opuścił kanister, przyłożył do warg Pabla, wlał mu trochę wody na język. Grek przełknął, zakaszlał lekko, otworzył usta na znak, że chce więcej. Trzy razy Jeff powtórzył ten rytuał. Wiedział, że to dobry znak — spokojniejszy oddech, odzyskanie przytomności, żołądek zdolny zatrzymać wodę — ale jakoś nie potrafił tego przyjąć do wiadomości. W jego przekonaniu Pablo już nie żył. Nie wierzył, że ktokolwiek mógłby przeżyć wszystko, co spotkało Greka przez ostatnie trzydzieści sześć godzin, nie bez wymyślnej pomocy medycznej. Złamany kręgosłup, amputowane nogi, utrata krwi, prawie pewna infekcja — kilka łyków

Kiedy Pablo ponownie zamknął oczy, Jeff wrócił do Erica, kucnął obok niego.

Plan — tego potrzebowali.

Oczyścić nóż — zmyć krew z ostrza, rozpalić następne ognisko, żeby go wysterylizować. Może wysterylizować też jedną igłę z przyborów do szycia. Potem wyciąć winorośl z Erica, zaszyć go z powrotem.

I wkrótce ktoś powinien zejść ze wzgórza, żeby wyglądać Greków.

I powinni uszyć worek z resztek niebieskiego namiotu, na wypadek gdyby po południu znowu padało.

I — co jeszcze? Wiedział, że coś zaniedbał, czegoś unikał. Ciało Amy. Zerknął w jej stronę i szybko odwrócił wzrok. Po kolei, powiedział sobie. Zacznij od noża.

— Przygotowania zajmą kilka minut — powiedział do Erica.

Eric zaczął siadać, ale się rozmyślił.

— Jak to?

— Muszę wysterylizować nóż.

— Nieważne. Nie potrzebuję...

— Nie będę cię kroił brudnym nożem.

Eric wyciągnął rękę.

— Ja to zrobię.

Jeff pokręcił głową.

— Trzy minuty, Eric. Okay?

Eric zawahał się, zastanowił. W końcu chyba zrozumiał, że nie ma wyboru. Opuścił rękę.

— Proszę, pośpiesz się — jęknął.

Oczyścić nóż.

Jeff wrócił do namiotu, zaczął grzebać w plecakach archeologów, szukając mydła. Znalazł kosmetyczkę w bocznej kieszeni, była tam brzytwa, mała puszka kremu do golenia, szczotka i pasta do zębów, grzebień, dezodorant w shtyfcie oraz — w małej czerwonej mydelniczce — kostka mydła. Zabrał ze sobą całą kosmetyczkę na polanę, razem z niedużym ręcznikiem, który również znalazł w plecaku, igłą i maleńką

Mydło, ręcznik, nóż, igła, nitka, plastikowy kanister z wodą — czego jeszcze potrzebował?

Odwrócił się do Mathiasa, który siedział teraz obok wiaty.

— Możesz rozpalić ogień? — poprosił.

— Jak duży?

— Mały. Tylko żeby rozgrzać nóż. Mathias wstał, zaczął chodzić po polanie, zbierać opał. Zostawili wczoraj resztę notesów na deszczu, jeszcze nie

wyszły dostatecznie, żeby się palić. Mathias zniknął w namiocie, szukając innego paliwa. Jeff wylał trochę wody z kanistra na ręcznik, potem potarł zmoczonym ręcznikiem mydło, żeby wytworzyć pianę. Kiedy zaczął szorować zaschniętą krew na ostrzu noża, Mathias wrócił, niosąc książka w miękkiej oprawie i męskie slipy. Położył je na ziemi przed Jeffem, skropił odrobiną pozostałej tequili. Książka to była powieść Hemingwaya *Słońce też wschodzi*. Jeff czytał ja w szkole średniej, to samo wydanie, ta sama okładka. Patrząc teraz na nią stwierdził, że nic z niej nie pamięta.

— Daj mu trochę tego — powiedział, wskazując tequilę.

Mathias podał butelkę Ericowi, który wziął ją w obie ręce, spoglądając niepewnie na Jeffa.

Jeff kiwnął głową, zachęcając go do picia.

— Na ból.

Eric pociągnął długi łyk, przerwał, żeby złapać oddech. znowu się napił.

Mathias trzymał teraz pudełko zapalek. Otworzył je, wyjął jedną.

— Powiedz mi, kiedy będziesz gotowy — zwrócił się do Jeffa.

Jeff opłukał ostrze odrobiną wody. Kiedy skończył, wziął tequilę od Erica, postawił na ziemi.

— Jak to wytnę, zaszyję cię, okay?

Eric pokręcił głową, przestraszony.

— Nie chcę, żebyś mnie zaszył.

— Rany same się zamkną.

— Ale to ciągle tam będzie.

— Nie zostawię nic w środku, Eric. Wyjmę...

— Nie zobaczysz wszystkiego. Niektóre kawałki będą za małe. A jeśli to zaszyjesz we mnie...

— Posłuchaj mnie, dobrze? — Jeff starał się nie podnosić głosu, mówić rozsądnym, krzepiącym tonem. — Jeśli zostawię rany otwarte, to się znowu stanie. Rozumiesz? Zaśniesz i one znowu się tam wcisną. Tego chcesz?

Eric zamknął oczy. Twarz zaczęła mu drgać. Było widać, że powstrzymuje się od płaczu.

— Chcę wrócić do domu — powiedział. — Tego chcę. — Odetchnął głęboko, prawie zasłochał, ale opanował się w ostatniej chwili. — Jeśli to zaszyjesz we mnie...

— Eric — odezwała się Stacy.

Eric otworzył oczy, obejrzał się na nią. Nadal siedziała obok Amy i ścisnęła ją za rękę.

— Pozwól mi to zrobić, skarbie. Okay? Po prostu niech to zrobi.

Eric popatrzył na nią — również na Amy. Wziął następny głęboki oddech, potem trzeci i drżenie powoli ustąpiło z jego twarzy. Znowu zamknął oczy, otworzył. Kiwnął głową.

Jeff odwrócił się do Mathiasa, który czekał przez cały czas, trzymając dwoma palcami niezapaloną zapałkę.

— Zaczynaj — powiedział do niego Jeff.

I wszyscy patrzyli, jak Mathias roznieca mały ogienek.

Stacy siedziała zaledwie parę metrów dalej, widziała wszystko. Jeff zaczął od brzucha Erica, powiększył pierwotną ranę, delikatnie pociągnął za jedną łodygę. Nie musiał dużo rozcinać — tylko parę centymetrów — zanim uwolnił roślinę. Potem zaczął ciąć w drugim kierunku, ciągnąc za drugą łodygę. Ponownie wystarczyło jakieś pięć, sześć centymetrów, żeby winorośl wysliznęła się gładko z ciała Erica. To na pewno bolało, ale Eric tylko się krzywił i zaciskał pięści. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku.

Jeff podał nóż Mathiasowi, wziął od niego igłę. Mathias opalił ją wcześniej w małym ogniku, nawet nawłócił nitkę. Ci dwaj jakby porozumiewali się bez słów, po prostu wiedzieli, czego chce ten drugi, i robili to. Jak Amy i ja, pomyślała Stacy, i mało nie wybuchnęła płaczem. Musiała zamknąć oczy, żeby się opanować, zacisnąć powieki — ścisnęła

rękę Amy. Ciepło jej ciała ogrzało już skórę, gdyby Stacy nie wiedziała, mogłaby pomyśleć, że Amy zwyczajnie śpi. Ale nie, nieprawda. Zaczęła się już zakradać dziwna sztywność, palce lekko zagięły się w jej uścisku.

Otworzyła oczy. Jeff osuszał krew Erica małym ręczniczkiem, nisko schylony, z igłą w drugiej ręce, gotów do szycia.

Eric lekko uniósł głowę, spojrzął.

— Co ty robisz?

Jeff zawahał się, igła zawisała nad brzuchem Erica.

— Mówiłem ci. Musimy to zaszyć.

— Ale nie wyciągnąłeś wszystkiego.

— Na pewno wyciągnąłem. Wyszło gładko.

Eric zamachał ręką.

— Kurwa, nie widzisz? Sięga aż tutaj, do piersi.

Jeff obejrzał miejsce wskazywane przez Erica — po lewej stronie klatki piersiowej, wzdłuż mostka.

— To tylko opuchlizna, Eric.

— Bzdura.

— W ten sposób ciało reaguje na uraz fizyczny.

— Rozetnij mnie tutaj. — Wskazał swój mostek.

— Nie zamierzam...

— Zrób to, a zobaczysz.

Jeff zerknął na Mathiasa, na Stacy, jakby w nadziei, że któryś z nich pomoże.

Stacy spróbowała bez przekonania.

— Pozwól mu to zaszyć, skarbie.

Eric jej nie słuchał. Wyciągnął rękę do Mathiasa.

— Daj mi nóż.

Mathias spojrzął na Jeffa, który pokręcił głową.

— Albo mnie rozetnij, albo daj mi nóż, żebym sam to zrobił.

— Eric. — zaczął Jeff.

— To jest we mnie, cholera jasna. Czuję to.

Jeff wahał się jeszcze przez chwilę, potem oddał igłę Mathiasowi, wziął od niego nóż.

— Pokaż mi — rozkazał.

Eric przesunął palcem wzdłuż lewej krawędzi mostka.

— Tutaj. Gdzie jest spuchnięte.

Jeff pochylił się nad nim, przycisnął ostrze do skóry, potem pociągnął w dół, robiąc prawie dziesięciocentymetrowe nacięcie. Krew wypłynęła z rany, ściekła po żebrach Erica.

— Widzisz? — zapytał Jeff. — Nie ma winorośli.

Eric pocił się, włosy lepiły mu się do czoła. To z bólu, domyślała się Stacy.

— Głębiej — zażądał.

— Nie ma mowy. — Jeff pokręcił głową. — Tam nic nie ma.

— Chowa się. Musisz...

— Jeśli rozetnę głębiej, dojdę do kości. Wiesz, jakie to uczucie?

— Ale to tam jest. Czuję to.

Jeff zbierał krew ręcznikiem.

— To tylko opuchlizna, Eric.

— Może jest pod kością. Czy...

— Skończyliśmy. Zaszycam cię.

Jeff oddał nóż Mathiasowi, wziął od niego igłę.

— To zacznij mnie wyżerać od środka. Jak Pabla.

Jeff go nie słuchał. Dalej wycierał krew ręcznikiem. Potem schylił się nisko, zaczął zszywać. Eric skrzywił się, zamknął oczy.

— Boli.

Jeff zgarbił się nad ciałem Erica, zszywał i wycierał, zszywał i wycierał, ciągnął za nitkę, żeby zacieśnić szew, zamknąć ranę. Bardzo cicho, aż Stacy musiała wychylić się do przodu, żeby go usłyszeć, po— Musisz wziąć się w garść.

Eric milczał z zamkniętymi oczami. Zrobił głęboki wdech, zatrzymał powietrze w płucach i powoli wypuścił.

— Ja po prostu... nie chcę tutaj umierać.

— Oczywiście. Nikt z nas nie chce.

— Ale mogę umrzeć... jak myślisz? Wszyscy możemy.

Jeff nie odpowiedział. Skończył z rozcięciem na mostku Erica, zawiązał supeł, wrócił do rany u podstawy żeber. Eric otworzył oczy.

— Jeff?

— Co?

— Myślisz, że tutaj umrzemy?

Jeff zaczął szyc, mrużył oczy, skupiony na zadaniu.

— Myślę, że to niebezpieczne miejsce. Myślę, że musimy być bardzo, bardzo ostrożni. I sprytni. I czujni.

— Nie odpowiedziałeś mi.

Jeff zastanowił się, kiwnął głową.

— Wiem.

Zdawało się, że chciał dodać coś jeszcze, ale nie dodał. Zszywał i wycierał, zszywał i wycierał, a kiedy skończył z brzuchem Erica, znowu sięgnął po nóż i przesunął się w dół, do rany na nodze.

Kiedy było po wszystkim, Jeff dał mu się napić jeszcze trochę tequili. Niewiele, niewystarczająco, ale trochę. I dał mu aspirynę, co dawało się niemal zartem. Eric roześmiał się, kiedy Jeff podsunął mu buteleczkę. Ale nie Jeff, nie skaut orli... nawet się nie uśmiechnął.

— Weź trzy — poradził. — To lepsze niż nic.

Szwy bolały, wszystko bolało. Skóra wydawała się za ciasna na ciele, jakby mogła się rozdrzeć w każdej chwili. Eric bał się poruszyć, usiąść albo wstać, więc nawet nie próbował. Leżał na plecach na polanie i gapił się w niebo. zadziwiająco błękitne, bez jednej chmurki. Idealny dzień na plażę, pomyślał. Spróbował sobie wyobrazić ich hotel w Cancun, ruch i gwar. Czym zajmowałiby się tam w taki poranek? Może wczesne pływanie, przed śniadaniem na werandzie. A po południu, gdyby nie padało, może pojeździliby konno. Stacy mówiła, że chce spróbować przed wyjazdem. Amy też. Z tą myślą Eric obejrzał się na nie. Stacy usiłowała zamknąć

Amy oczy, ale za każdym razem powieki znowu się rozwierały. Usta Amy też się nie domykały, szczęka jej obwisła. Sok winorośli spalił jej skórę, co wyglądało jak znamię. Trzeba ją pochować, pomyślał Eric i zastanowił się, jak zdołają wykopać dziurę na tyle obszerną, żeby pomieściła jej ciało.

Najpierw uświadomił sobie głód, nie zapach, który go zbudził. Żołądek mu się zacisnął, ślina napłynęła do ust. Odruchowo wciągnął powietrze. Chleb, pomyślał.

W tej samej chwili Stacy powiedziała:

— Czujesz ten zapach?

— Chleb — odparł Eric. — Ktoś piecze chleb.

Inni podnosili głowy, węszyli.

— Majowie? — zapytała Stacy.

Jeff wstał i próbował zlokalizować źródło tego zapachu, coraz silniejszego: zapachu piekarni. Krążył powoli po obwodzie polany, głęboko wciągał powietrze.

— Może przynieśli nam chleb — powiedziała Stacy. Uśmiechała się, niemal pijana nadzieją, jakby naprawdę w to uwierzyła. — Jedno z nas powinno zejść na dół i...

— To nie Majowie. — Jeff kucnął teraz na samym skraju polany, tyłem do nich.

— Ale...

Odwrócił się do Stacy, przywołał ją gestem, żeby podeszła i sama zobaczyła.

— To winorośle — oznajmił.

Mathias i Stacy podeszli, żeby powąchać maleńkie czerwone kwiatki, Eric nie potrzebował. Poznał po ich minach, że Jeff miał rację, że jakimś sposobem winorośle zaczęły wydzielać aromat świeżego chleba. Stacy wróciła do ciała Amy, Usiadła obok. Zakryła ręką usta i nos, żeby stłumić zapach.

— Nie wytrzymam tego, Jeff. Naprawdę nie mogę.

— Zjemy coś — zaproponował Jeff. — Podzielimy się pomarańczą.

Stacy kręciła głową.

— To nie pomoże.

Jeff nie odpowiedział. Zniknął w namiocie.

— Jak one to robią? — spytała Stacy.

Przenosiła wzrok z Erica na Mathiasa i z powrotem, jakby oczekiwała, że któryś z nich zna wyjaśnienie. Oczywiście żaden nie znał. Wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać zaciskała nos palcami, oddychała przez usta, lekko dysząc

Po chwili wrócił Jeff.

— One to robią specjalnie, prawda? — zapytała Stacy.

Nikt jej nie odpowiedział. Jeff usiadł, zaczął obierać pomarańczę. Eric i Mathias patrzyli, jak owoc powoli wyłania się spod skórki.

— Dlaczego teraz? — nalegała Stacy. — Dlaczego?

— Chciały poczekać, aż zgłodniejemy — wyjaśnił Jeff. Aż nasze mechanizmy obronne osłabną. — Podzielił owoc policzył cząstki: dziesięć. — Gdyby zaczęły wcześniej, nie wywarłyby takiego wrażenia. Przywykliłyśmy. Ale teraz... - wzruszył ramionami. — Z tego samego powodu czekały, żeby zacząć naśladować nasze głosy. Czekają, aż osłabniemy, zanim ujawnią swoją siłę.

— Dlaczego chleb?

— Widocznie kiedyś go zwęszyły. Ktoś tutaj piekł chleb albo przynajmniej podgrzewał. Ponieważ one naśladowują różne rzeczy... to, co usłyszały, co wywęszyły. Jak kameleon. Drozd przedrzeźniacz.

— Ale to roślina.

Jeff podniósł na nią wzrok.

— Skąd wiesz?

— Jak to?

— Skąd wiesz, że to roślina?

— A co innego? Ma liście, kwiaty...

— Ale się porusza. I myśli. Więc może tylko wygląda jak roślina. — Uśmiechnął się do niej, jakby zadowolony z tych licznych osiągnięć winorośli. — Nie możemy tego sprawdzić

Zapach się zmienił, stał się ostrzejszy, bardziej intensywny Eric szukał w myślach słowa, kiedy Mathias je wymówił:

— Mięso.

Stacy uniosła twarz ku niebu, wężąc.

— Stek.

Mathias pokręcił głową.

— Hamburgery.

— Kotlety wieprzowe — sprzeciwił się Eric. Jeff uciszył ich gestem.

— Przestańcie.

— Co przestańcie? — zapytała Stacy.

— Mówić o tym. To tylko pogarsza sprawę.

Umilkli. Nie kotlety wieprzowe, myślał Eric. Hot dogi. Nadal miał w sobie roślinę, z całą pewnością. Zasyta w środku, czekającą na właściwą chwilę. Ale może to nie miało znaczenia. Potrafiła naśladować zapachy i odgłosy, potrafiła się poruszać i myśleć. Wewnątrz jego ciała czy na zewnątrz, winorośl i tak zatriumfuje.

Jeff podzielił pomarańczę na cztery jednakowe porcje, po dwie i pół części.

— Powinniśmy zjeść także skórkę — stwierdził i ją również podzielił. Skinął na Stacy. — Ty wybieraj pierwsza.

Stacy wstała, podeszła do małych kopczyków owocu. Kucnęła nad nimi, szacując każdą porcję, oceniając wzrokiem. Wreszcie sięgnęła i zgarnęła jedną.

— Eric? — zapytał Jeff.

Eric wyciągnął rękę.

— Wszystko mi jedno. Po prostu daj mi którąś.

Jeff pokręcił głową.

— Pokaż.

Eric wskazał porcję i Jeff mu ją przyniósł. Dwie i pół części pomarańczy, garstka skórek. Gdyby zostało ich pięćcioro, każde dostałoby tylko po dwie części. To, że nieobecność Amy dało się zmierzyć takimi błahostkami, jak pół części pomarańczy, wydawało się Ericowi straszliwie smutne. Włożył jedną część do ust i zamknął oczy, jeszcze nie przeżuwał, tylko trzymał ją na języku.

— Mathias? — powiedział Jeff.

Eric usłyszał, jak Niemiec wstaje, podchodzi po swoją porcję. Potem wszyscy zamilkli, każdy wycofał się do własnego świata, smakując to, co miało uchodzić za śniadanie.

Zapach znowu się zmienił. Szarlotka, pomyślał Eric, wciąż jeszcze nie przeżuwał. Nagle, nie wiadomo dlaczego, zebrało mu się na płacz. Skąd one wiedzą, jak pachnie szarlotka. Słyszał, jak inni zaczynają jeść, słyszał wilgotne odgłosy w ich ustach. Nasunął kapelusz na oczy.

Także odrobina cynamonu.

Eric przeżuł, połknął, potem włożył do ust kawałek skórki pomarańczowej. Nie płakał, zwalczył ten impuls. Ale wciąż to czuł.

Nawet bita śmietana.

Pogryzł wąski paseczek skórki, przełknął, wsunął do ust następny. W wyobraźni widział ciasto, lekko przypalone na spodzie. To nie bita śmietana, tylko lody. Lody waniliowe. powoli rozpuszczające się na talerzyku — małym blaszanym talerzyku, obok którego stoi kubek z czarną kawą. Wyobraziwszy to sobie, Eric znowu poczuł wzbierające lzy. Musiał mocno zacisnąć powieki, wstrzymać oddech, odczekać, aż atak minie, podczas gdy w głowie wciąż mu krążyły te same trzy słowa.

Skąd one wiedzą? Skąd one wiedzą? Skąd one wiedzą?

Musimy ustalić parę spraw — powiedział Jeff. Pomarańcza została podzielona, potem zjedzona razem ze skórką. Później puścili w obieg kanister z wodą i Jeff kazał im się napić do syta. Woda już nie była jego głównym zmartwieniem, po wczorajszej wieczornej ulewie miał pewność, że deszcz znowu spadnie — wierzył, że prawie każdego dnia. I wiedział, że morale się poprawi, jeśli usuną przynajmniej tę jedną niewygodę. Więc zjedli swoje nędzne śniadanie, a potem pili wodę, aż im brzuchy napęczniały.

Później spróbują uszyć worek z resztek niebieskiego nylonu. Może nawet nazbierają tyle deszczówki, żeby się umyć. To również poprawi im nastrój.

Oczywiście nie nasycili głodu. Bo jak? Jedną pomarańczą podzieloną na czworo? Jeff próbował traktować to jak post, strajk głodowy: jak długo wytrzyma? Przed oczami miał zdjęcie, fotografię z gazety, czarno-białą, trzech młodych mężczyzn spoglądających wyzywająco ze swoich łóżek polowych — słabych, wycieńczonych, ale niezaprzeczalnie żywych, z płonącymi oczami. Jeff usiłował zobaczyć nagłówek, przypomnieć sobie artykuł towarzyszący fotografii. Dlaczego nie potrafił? Chciał znać liczbę, wiedzieć, jak długo. Tygodnie, z pewnością — tygodnie na samej wodzie.

Pięćdziesiąt dni?

Sześćdziesiąt?

Siedemdziesiąt?

Ale w końcu nadejdzie chwila, kiedy post przerodzi się w umieranie z głodu, co dla Jeffa wiązało się jakoś ze skąpym zapasem żywności, jego ciągłym istnieniem, nieważne, jak małe porcje będą spożywać. Przekonał sam siebie, że dopóki pozostanie im choćby najmniejszy ochłap do podziatu, poradzą sobie, zachowają panowanie nad sytuacją. Ponieważ będą racjonować żywność, nie głodować.

Wyparcie. Mrzonka.

No i pozostały fakty, o których wiedział i nie mógł się przednimi ukryć, o których czytał przez lata, szczegóły, które zapamiętał. Na pewnym etapie skurcze głodu ustaną. Ciało zacznie pochłaniać tkankę mięśniową, trawić kwasy tłuszczowe w wątrobie, maszyna z braku paliwa zacznie sama siebie konsumować. Tempo metabolizmu spadnie, puls zwolni, ciśnienie krwi się zmniejszy. Będą marznąć nawet w słońcu, zapadną w letarg. Dojdzie do tego stosunkowo szybko. Dwa tygodnie, najwyżej trzy. Potem nastąpi gwałtowne pogorszenie: arytmia, kłopoty ze wzrokiem, anemia, wrzody na ustach — i tak dalej, i tak dalej, aż nie będzie już żadnego

„i tak dalej”. Nieważne, czy to potrwa pięćdziesiąt, sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt dni, ważne, że to koniec. Na ich drodze wyrosła przeszkoda — granica, zapora, mur — i z każdą upływającą godziną zbliżali się do niej o krok.

Po chlebie zapachniało mięso, po mięsie szarlotka, potem truskawki i czekolada, a potem się skończyło.

— To dlatego, że nie przywykliśmy — powiedział Jeff pozostałym. — Więc za każdym razem nas zaskakuje.

Oczywiście mogli coś zrobić, dysponowali odpowiednimi środkami, ale Jeff wątpił, czy inni się zgodzą. Przyszło mu do głowy określenie „niesmaczne” — uznają ten pomysł za niesmaczny — i nawet w obecnej krytycznej sytuacji dostrzegł w tym humor.

Wisielczy humor.

Musimy ustalić parę spraw. Tak się wyraził, użył takich fałszywie banalnych słów, na pozór niegroźnych. Ale jak miał zacząć?

Eric wciąż leżał na plecach, z twarzą zakrytą kapeluszem. Nie pokazał po sobie, że usłyszał.

— Eric? — zwrócił się do niego Jeff. — Nie śpisz?

Eric podniósł rękę, zdjął kapelusz, kiwnął głową. Skóra wokół ran marszczyła się, naciągnięta przez szwy, miejscami wciąż sączyła się krew. Brzydko wyglądały — nierówne i podpuchnięte. Mathias siedział na lewo od Jeffa, z kanistrem na kolanach. Stacy siedziała obok zwłok Amy. Zwłoki Amy.

— Musisz posmarować stopy kremem z filtrem, Stacy - powiedział Jeff.

Zerknęła na swoje stopy, jakby ich właściwie nie widziała: jaskrawo różowe, lekko spuchnięte.

— I weź kapelusz Amy. Jej okulary.

Stacy przeniosła spojrzenie na Amy. Ciemne okulary wisały zaczepione o wycięcie podkoszulka Amy. Kapelusz spadł. leżał kilka stóp dalej — zabłocony, uszargany, jeszcze wilgotny po deszczu. Stacy nie wykonała żadnego ruchu, tylko siedziała

i patrzyła. W końcu Jeff wstał, podniósł kapelusz, ostrożnie odczepił okulary od podkoszulka Amy. Podał je Stacy. Zawahała się, jakby chciała odmówić, potem jednak powoli wyciągnęła po nie rękę.

Jeff patrzył, jak nakładała okulary, poprawiała kapelusz na głowie. Był zadowolony, uznał to za dobry znak, pierwszy krok. Wrócił na swoje miejsce, usiadł.

— Jedno z nas wkrótce powinno zejść na dół. Na wypadek, gdyby Grecy...

Mathias wstał.

— Ja pójdę.

Jeff pokręcił głową, gestem kazał mu usiąść.

— Za chwilę. Najpierw musimy...

— Czy nie powinniśmy, no wiesz... — Stacy wskazała zwłoki Amy.

Zwłoki Amy.

Jeff odwrócił się do niej, zaskoczony. Wbrew sobie poczuł dziwną ulgę zmieszaną z nadzieją. Ona to powie za mnie.

— Co? — zapytał.

— No wiesz... — Znowu pokazała.

Jeff czekał, żeby to ona powiedziała, nie on. Dlaczego zawsze to musiał być on? Siedział i patrzył na nią, pragnął, żeby to powiedziała, wymówiła te słowa.

Ale go zawiodła.

— Chyba... nie wiem... — Wzruszyła ramionami. — Pochować ją czy jak?

Nie, nie o to chodziło, prawda? Nie w tym rzecz, bynajmniej. To jednak musiał być on, głupio z jego strony, że liczył na inną możliwość. Pochylił głowę, jakby przytakiwał, chociaż wcale nie przytaknął.

— No właśnie — powiedział. — Coś w tym rodzaju. O tym musimy porozmawiać.

Pozostali milczeli. Zrozumiał, że nikt mu nie pomoże, że sam musi wykonać ten skok. Jak krowy, pomyślał, wpatrując się w ich twarze. Może pomarańcza to był zły pomysł —

może należało zaczekać, przemówić do nich w chwili największego natężenia głodu, kiedy w powietrzu unosił się zapach chleba albo mięsa. Tak, mięsa.

— Chyba sobie poradzimy — powiedział. — To znaczy z wodą. Chyba możemy liczyć, że deszcz będzie padał dostatecznie często, żeby nas utrzymać przy życiu. Nawet możemy uszyć duży worek z tego nylonu. Wskazał na drugą stronę polany, gdzie leżały resztki niebieskiego namiotu. Pozostali podążyli wzrokiem za jego gestem, patrzyli tam przez chwilę, po czym znowu spojrzeli na niego.

Jak owce, pomyślał. Czekał na właściwe słowa, ale nie przychodziły.

Stacy poruszyła się, znowu wzięła rękę Amy, przytrzymała w swojej, jakby szukając pociechy.

Oczywiście właściwe słowa nie istniały.

— Chodzi tylko o przeczekanie, wiecie — zaczął. — To właśnie tutaj robimy. Czekamy, aż ktoś nas znajdzie... może Grecy albo ludzie wysłani przez naszych rodziców. — Z trudem wytrzymał ich wzrok i wstydził się tego. Wiedział, że powinien patrzeć im w twarz, ale jakoś nie mógł. Siedział ze spuszczoneymi oczami, spoglądając na własne kolana, spalone słońcem stopy Stacy, pomarszczone rany na nodze Erica. - Musimy przeczekać. I przeżyć. Zaopatrzenie w wodę oczywiście pomoże. Ale pozostaje kwestia jedzenia, prawda? Ponieważ nie mamy za wiele. I nie wiemy... to znaczy, jeśli Grecy nie przyjadą, jeśli będziemy musieli czekać na naszych rodziców, upłyną tygodnie, zanim ktoś nas stąd wyratuje.

A nasze zapasy, nawet przy ścisłym racjonowaniu, wystarczą najwyżej na parę dni. Gdybyśmy mogli polować albo zastawiać sidła, albo łowić ryby, albo wykopywać korzonki, albo zbierać jagody... — urwał, wzruszył ramionami. — Oprócz nas na tym wzgórzu jest tylko winorośl, a jej oczywiście nie możemy jeść. Mamy jeszcze paski... może zdołamy je ugotować. Ludzie robili takie rzeczy, ludzie zabłąkali na

pustyni albo na morzu. Ale to niewiele zmieni, prawda? Nie wtedy, kiedy w grę wchodzi tygodnie.

Zdobyl się na to, żeby szybko zerknąć na ich twarze. Puste, bez wyrazu. Owszem, słuchali, ale nie rozumieli, do czego zmierzał. Próbowal oszczędzić im zaskoczenia, stopniowo zbliżal się do tego, co musiał powiedzieć, żeby sami się domyślili, żeby zdążyli się przygotować, ale nie wyszło. Potrzebowal ich pomocy, jednak żadne z nich nie chciało współpracować.

— Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt dni — podjął. — Gdzieś w tych granicach, nie pamiętam dokładnie... tak długo można wytrzymać bez jedzenia. Ale już wcześniej, dużo wcześniej organizm zaczyna się załamywać, rozsypywać. Więc powiedzmy: trzydzieści dni, okay? Czyli ile? Cztery tygodnie? A jeśli Grecy nie przyjadą, jeśli czekamy na naszych rodziców, ile czasu to zajmie? Realnie myśląc. Dopiero za tydzień spodziewają się nas w domu, jeszcze tydzień, zanim naprawdę zaczną się martwić, potem telefony do Cancun, do hotelu, do amerykańskiego konsulatu... to jeszcze proste. Ale co potem? Ile czasu minie, zanim wyśledzą nasza trasę do dworca autobusowego, do Coba, do tej ścieżki i wioski Majów, do tego cholernego wzgórza w środku dżungli? Czy naprawdę

Pokręcił głową, odpowiadając na własne pytanie. Potem zaryzykował kolejne zerknięcie na ich twarze — ale nie, nie rozumieli go. Osiągnął tylko tyle, że wprawił ich w przygnębienie, nastraszył. Mieli rozwiązanie tuż przed nosem, ale go nie widzieli.

A może nie chcieli widzieć.

Wskazał na zwłoki Amy, wysunął ramię przed siebie, trzymał wystarczająco długo, żeby nie mieli wyboru. Musieli spojrzeć, musieli patrzeć, musieli zobaczyć jej szarzejącą skórę, jej oczy, które nie chciały się zamknąć, głębokie oparzenia wokół ust i nosa.

— To, co się stało z Amy... jest straszne. Straszna rzecz.

Nic do naprawienia. Ale skoro już się stało, musimy to przyjąć do wiadomości, musimy zrozumieć, co to dla nas znaczy. Ponieważ musimy sobie odpowiedzieć na jedno pytanie, naprawdę trudne pytanie. I musimy użyć wyobraźni, ponieważ to nabierze znaczenia dopiero w miarę upływu czasu, ale odpowiedzieć musimy już teraz, wcześniej. — Ponownie zerknął na ich twarze. — Rozumiecie, co próbuję wam powiedzieć?

Mathias milczał z obojętną miną. Eric znowu przymknął powieki. Stacy wciąż ścisnęła rękę Amy, pokręciła głową

Jeff wiedział, że się nie uda, czuł jednak, że musi poruszyć tę kwestię, że to jego obowiązek. Zdobył się na kolejny krok

— Mówię o Amy. Trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby ją zachować.

Tamci przetrzymali jego słowa. Mathias poruszył się lekko, jego twarz stwardniała. On wie, pomyślał Jeff. Ale nie inni. Eric po prostu leżał, może nawet zasnął. Stacy przekrzywiła głowę, rzuciła Jeffowi pytające spojrzenie.

— To znaczy zabalsamować ją?

Jeff spróbował innego podejścia.

— Gdybyś potrzebowała nerki, gdybyś miała umrzeć bez niej, a potem Amy umarłaby pierwsza, wzięłabyś od niej.'

— Nerkę? — upewniła się Stacy.

Jeff przytaknął.

— Co to ma... — A potem w połowie zdania zrozumiała. Jeff widział, jak to do niej dotarło. Zakryła usta, jakby ja zemdlilo. — Nie, Jeff. Wykluczone.

— Co?

— Mówisz...

— Odpowiedz na pytanie, Stacy. Gdybyś potrzebowała nerki...

— Wiesz, że to nie to samo.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nerka oznacza operację. To by było... pokręciła głowę w rozdrażnieniu. Stopniowo coraz bardziej

podnosiła głos. - To... to jest... — strzepnęła rękami ze wstrętem.

Eric otworzył oczy. Zagapił się na Stacy ze zdumieniem.

— O czym my mówimy?

Stacy wskazała na Jeffa.

— On chce... chce... — utknęła, jakby nie potrafiła tego wypowiedzieć.

— Mówimy o jedzeniu, Eric. — Jeff usiłował zachować spokojny ton głosu, w kontraście z narastającą histerią Stacy. — Czy mamy tutaj umrzeć z głodu, czy nie.

Eric słuchał, ale wciąż nie rozumiał.

— Co to ma wspólnego z nerką Amy?

— Nic! — prawie wrzasnęła Stacy. — Właśnie o to chodzi.

— Wziąłbyś od niej? — zapytał Jeff, wskazując Amy. — Gdybyś potrzebował nerki. Gdybyś bez niej miał umrzeć.

— Chyba tak. — Eric wzruszył ramionami. — Czemu nie?

— Jemu nie chodzi o nerkę, Eric. Jemu chodzi o jedzenie.

Rozumiesz? Żeby ją zjeść.

Nie mogli już tego ukrywać, słowa zostały wypowiedziane. Zapadło długie milczenie, kiedy wszyscy wpatrywali się w zwłoki Amy. Stacy wreszcie przerwała ciszę, zwróciła się do Jeffa.

— Naprawdę byś to zrobił?

— Ludzie robili. Rozbitkowie i...

— Pytam, czy ty byś zrobił. Czy byś ją zjadł.

Jeff namyślał się przez chwilę.

— Nie wiem.

Powiedział prawdę, nie wiedział.

Stacy wydawała się wstrząśnięta.

— Nie wiesz?

Pokręcił głową.

— Jak możesz tak mówić?

— Ponieważ nie wiem, co znaczy umierać z głodu. Nie wiem, co bym wybrał w takiej sytuacji. Wiem tylko, że jeśli istnieje taka możliwość, jeśli zgodzimy się w ogóle to wziąć

pod uwagę, musimy teraz podjąć pewne kroki, właśnie teraz, zanim minie więcej czasu.

— Kroki.

Jeff kiwnął głową.

— Na przykład?

— Musimy wymyślić sposób, żeby to przechować.

— To?

Jeff westchnął. Poszło dokładnie tak, jak się spodziewa' katastrofa.

— Co mam powiedzieć?

— Może: ją?

Jeff poczuł ukłucie gniewu, bez ostrzeżenia, sprawiedliwego gniewu.

Spodobało mu się: dodawało mu pewności, że jednak postępuje słusznie.

— Naprawdę myślisz, że to ciągle ona? — zapytał. Naprawdę myślisz, że to ma jeszcze cokolwiek wspólnego z Amy? To jest teraz przedmiot, Stacy. Rzecz. Bez ruchu. bez życia. Coś, co możemy albo racjonalnie spożytkować, żeby pomogło nam tutaj przetrwać, albo nieracjonalnie,

sentymentalnie, głupio pozwolić, żeby zgniło, żeby winorośl zamieniła to w następną kupkę kości. Takiego wyboru musimy dokonać. Świadomie... musimy zdecydować, co się stanie z tym ciałem. I nie oszukuj się: uciekanie przed tym, decyzja, żeby o tym nie myśleć, to również wybór.

Ro Stacy nie odpowiedziała. Nie patrzyła na niego.

— Mówię tylko, że decyzję musimy podjąć z otwartymi oczami. — Jeff wiedział, że powinien dać spokój, że powiedział już za dużo, naciskał za mocno, ale posunął się tak daleko i nie mógł się powstrzymać. — W czysto fizycznym sensie to jest mięso. To, co tu leży.

Stacy spojrzała na niego z obrzydzeniem.

— Kurwa, co z tobą jest? Nic cię nie rusza? Ona nie żyje, Jeff. Rozumiesz? Nie żyje.

Z wysiłkiem powstrzymał się, żeby nie podnieść głosu tak

jak ona. Chciał wyciągnąć rękę, dotknąć jej, ale wiedział, że cofnęłaby się przed nim. Chciał, żeby oboje się uspokoili.

— Naprawdę uważasz, że Amy by zależało? Tobie by zależało na jej miejscu?

Stacy gwałtownie pokręciła głową. Zabłocony kapelusz Amy zaczął się jej zsuwać z głowy i musiała podnieść rękę, żeby go przytrzymać.

— To niesprawiedliwe.

— Bo?

— Traktujesz to jak grę. Jak jakąś abstrakcję, o której rozmawiamy w barze. Ale to jest prawdziwe. To jej ciało. I nie zamierzam...

— Jak chcesz to zrobić? — zapytał Eric.

Jeff odwrócił się do niego z ulgą, że ktoś jeszcze włączył się do rozmowy.

— Zrobić?

Eric wciąż leżał na plecach, z jego ran sączyły się cieniutkie strużki krwi. Obmacywał swój brzuch, naciskał — teraz w nowym miejscu.

— Przechowywać, no wiesz... — powinien powiedzieć: „mięso”, ale najwyraźniej nie mógł się zdobyć na wymówienie tego słowa.

Jeff wzruszył ramionami.

— Chyba wysuszyć.

Stacy pochyliła się do przodu z otwartymi ustami, jakby miała wymiotować.

— Niedobrze mi.

Jeff nie zwrócił na nią uwagi.

— Chyba możemy je zasolić. Używając moczu. Pociąć mięso na paski i zanurzyć w...

Stacy zakryła uszy rękami, znowu zaczęła kręcić głową.

— Nie, nie, nie, nie...

— Stacy...

Zaczęła deklamować:

— Nie pozwolę wam. Nie pozwolę wam. Nie pozwolę wam. Nie pozwolę wam. Nie pozwolę wam...

Jeff zamilkł. Jaki miał wybór? Stacy powtarzała w kółko jedno zdanie i kręciła głową, kapelusz jej się zsunął, spadł na ziemię. Patrząc na nią, Jeff znowu poczuł ten ciężar, pokusę rezygnacji. To już nieważne, pomyślał. W końcu to miejsce równie dobre jak każde inne, żeby umrzeć. Podniósł rękę, otarł pot z twarzy. Czuł zapach skórki pomarańczowej na palcach. Był tak głodny, że miał ochotę je oblizać, ale się pohamował.

Wreszcie Stacy umilkła. Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Eric ciągle obmacywał swoją pierś. Mathias poruszył się, kanister z wodą zachlupotał na jego kolanach. Stacy wciąż trzymała Amy za rękę. Jeff zerknął w stronę Pabla. Grek miał oczy otwarte i obserwował ich, jakby jakimś sposobem wyczuł, że omawiają coś ważnego. Patrząc na niego, na jego nieruchome, okaleczone ciało, Jeff uświadomił sobie, że dyskusja wcale się tutaj nie kończy, że śmierć Amy prawie na pewno nie będzie ostatnia. Odepchnął tę myśl.

Wszyscy unikali nawzajem swojego wzroku. Jeff wiedział, że nikt nie zabierze głosu, że to on musi przerwać milczenie i że cokolwiek powie, jego słowa powinny brzmieć pojednawczo. Obliznął usta, wargi miał opuchnięte, spękane od słońca.

— Więc chyba musimy ją pochować — powiedział.

Nie trwało długo, zanim zrozumieli, że nie zdołają pochować Amy. Już sam szybko rosnący upał dostatecznie to utrudniał. A wała jeszcze kwestia narzędzi: do kopania mieli tylko maszt namiotowy i płaski kamień. Więc Jeff wyciągnął śpiwór z namiotu i zapięli Amy w środku. Napotkali przy tym trudności innego rodzaju: trup Amy stawiał opór, jakby nie życzył sobie całunu. Kończyny nie chciały współpracować — ciągle się zaczepiały i zaplątywały. Jeff

i Mathias porządnie się uszarpali ze zwłokami, zadyszeli się i spocili, zanim wreszcie wpełnęli je do śpiwora.

Stacy nie zamierzała pomagać. Patrzyła i czuła się coraz gorzej. Oczywiście miała kaca: zawroty głowy, wzdęcie i bolesne mdłości. A Amy nie żyła. Jeff chciał zjeść jej ciało, żeby ocalić resztę z nich przed śmiercią, ale go powstrzymała. Usiłowała cieszyć się ze swojego zwycięstwa, ale jakoś nie mogła.

Nastąpiła dziwna chwila wahania, zanim chłopcy zasunęli zamek błyskawiczny śpiwora, jakby wyczuwali symboliczne znaczenie tego aktu, ostateczność — pierwsza łopata ziemi rzucona na wieko trumny. Stacy widziała przez szparę twarz przyjaciółki, już wyraźnie obrzmiała, przybierając lekko zielonkawy odcień. Oczy znowu się otwały. Stacy wiedziała, że dawniej kładziono zmarłym monety na powieki. Czy raczej wkładano do ust, żeby opłacić przewoźnika? Nie miała pewności, nigdy nie zwracała uwagi na takie szczegóły i zawsze potem żałowała, bo połowiczna wiedza wydawała się gorsza niż brak wiedzy, bo wiecznie dręczyło ją wrażenie, że postępuje częściowo słusznie, ale nie do końca. Monety na powiekach wydawały się jednak głupie. Przecież spadną podczas przenoszenia trumny na cmentarz, opuszczania do grobu, przechylania i potrącania. Zwłoki spoczną na wieczność pod ziemią z otwartymi oczami, z monetami leżącym beużytecznie obok na deskach.

Żadnej trumny dla Amy — żadnych monet. Żadnej opłaty dla przewoźnika.

Powinniśmy odprawić ceremonię, pomyślała Stacy. Próbowała to sobie wyobrazić, ale ujrzała tylko niewyraźny obraz kogoś stojącego nad otwartym grobem, czytającego z Biblii. Widziała wzgórek ziemi obok jamy, surowe sosnowe deski trumny krwawiące bursztynowymi kropelkami żywicy. Ale oczywiście nic takiego nie mieli, ani trumny, ani grobu, ani Biblii. Mieli tylko zwłoki Amy i śpiwór cuchnący stęchlizną, więc Stacy patrzyła w milczeniu, jak Jeff nachylił się i powoli zaciągnął suwak do końca.

Eric z powrotem nasunął kapelusz na twarz. Mathias usiadł i zamknął oczy. Jeff zniknął w namiocie. Stacy pomyślała, że pewnie chciał uciec od nich, chciał zostać sam, żeby płakać, szlochać albo walić głową o ziemię, ale on wrócił niemal od razu, niosąc małą plastikową buteleczkę. Kucnął tuż przed Stacy, zaskoczona, o mało się nie odsunęła, ale opanowała się w ostatniej chwili.

— Musisz tym posmarować nogi — powiedział.

Podał jej buteleczkę. Stacy wyteżyła wzrok, żeby odcyfrować nalepkę. *Krem z filtrem przeciwśłonecznym*, przeczytała. Koszula khaki Jeffa, przepocona i brudna, miała wokół kołnierza osad soli. Do Stacy docierał jego zapach, odór potu, który spotęgował jej mdłości, czuła w żołądku przeżute cząstki owocu, kawałeczki skórki, tak słabo trzymające się we wnętrzu ciała, tak łatwe do stracenia. Wolała, żeby Jeff odszedł, żeby wstał, żeby ja zostawił. On jednak dalej siedział przed nią w kucki i patrzył, jak pospiesznie wycisnęła trochę balsamu na dłoń, po czym wychyliła się do przodu, żeby rozsmarować go na prawej stopie, starannie omijając cienkie skórzane paski sandała.

— Przestań — zaprotestował Jeff. — Zrób to jak należy.

— Jak należy? — powtórzyła.

Nie miała pojęcia, o co mu chodzi, całą uwagę skupiła na powstrzymywaniu wymiotów. Jeśli zwymiotuje, winorośl podpełźnie i ukradnie jej te cząstki pomarańczy, te kawałeczki skórki, których przecież nic nie zastąpi.

Jeff odebrał jej buteleczkę.

— Zdejmij sandały.

Ściągnęła je niezdarnie, a potem patrzyła, jak zaczął wcierać jej w stopę dużą porcję balsamu.

— Gniewasz się na mnie? — spytała.

— Gniewam?

Nie patrzył na nią, tylko na jej stopy, co ją przestraszyło. Poczula się jak nieobecna. Chciała, żeby spojrzął na nią.

— Że, no wiesz... — wskazała śpiwór. — Że cię powstrzymałam.

Jeff nie odpowiedział od razu. Zajął się drugą nogą. Stacy się wzdrygnęła, kiedy kropla potu spadła mu z nosa na jej gołeń. Oddech Pabla znowu się pogorszył, powróciło głębokie, bulgotliwe chrypienie. Tylko ten jeden dźwięk rozlegał się na polanie i Stacy usiłowała go nie słyszeć. Wyczuwała, że Jeff dobiera słowa.

— Chcę tylko nas uratować — powiedział. — To wszystko. Nie dopuścić, żebyśmy tutaj umarli. A jedzenie... — urwał, wzruszył ramionami. — W końcu wszystko się sprowadza do jedzenia. Nie widzę innej możliwości.

Zakręcił buteleczkę, odrzucił, gestem kazał Stacy założyć z powrotem sandały. Spojrzała na swoje stopy, spalone na jaskraworóżowy kolor. Będzie piekło pod prysznicem, pomyślała i przez chwilę walczyła ze łzami, ponieważ nagle poczuła absolutną pewność, że już nigdy nie weźmie prysznic, ani ona, ani pozostali, że nie tylko Amy, ale żadne z nich nie wróci stąd do domu.

— A ty? — zapytał Jeff.

— Ja?

— Gniewasz się na mnie?

Stacy zaszumiało w głowie — z głodu, zmęczenia lub strachu. Nie potrafiła tego rozróżnić, wiedziała tylko, że każda z tych trzech rzeczy mogła to wywołać równie dobrze jak pozostałe. Była zbyt wycieńczona, żeby zdobyć się na tak silne uczucie jak gniew, za długo tutaj przebywała, za wiele przeszła. Pokręciła głową.

— Dobrze — powiedział Jeff. A potem, jakby ogłaszał, że wygrała nagrodę, udzielając właściwej odpowiedzi: — Może obejmiesz pierwszą wartę na dole.

Stacy nie chciała tam iść. Lecz szukając pretekstu, żeby odmówić, zdawała sobie sprawę, że nie ma wyboru. Amy umarła i to powinno wszystko zmienić. Ale świat kręcił się dalej i Jeff dotrzymywał mu kroku, martwił się o filtr przeciwsłoneczny, o Greków — planował, ciągle planował - ponieważ to właśnie znaczyło żyć.

Czy ja żyję? — zastanowiła się, przelotnie.

Jeff podniósł kanister, podał jej.

— Najpierw się nawodnij.

Wzięła od niego kanister, otworzyła, wypila. Woda pomogła opanować mdłości na tyle, że Stacy wstała. Jeff podał jej parasol od słońca.

— Trzy godziny — powiedział. — Okay? Potem Mathias cię zmieni.

Stacy kiwnęła głową, a on się odwrócił, zajęty już następnym zadaniem. Nie pozostało jej nic innego, tylko odejść. Więc odeszła. Stopy wysmarowane balsamem ślizgały się sandałach, szum w głowie narastał i przycichał. Nic mi nie jest, powiedziała sobie. Dam radę. Żyję. I powtarzała to słowo jak mantrę, powoli schodząc po ścieżce. Żyję. Żyje Żyję...

Eric leżał na plecach pośrodku polany. Czuł słońce na całym ciele — na twarzy, rękach, nogach — tak gorące, że aż bolało. Ale sprawiało również przyjemność — nie pomimo bólu, tylko z powodu bólu. Dostanie poparzenia słonecznego i co w tym strasznego? To normalne, może się zdarzyć każdemu, kto leży nad basenem albo drzemie na plaży — i Eric odnajdywał w tym wyraźną pociechę. Tak, chciał dostać poparzenia słonecznego, chciał cierpieć na tę pospolitą dolegliwość, wierząc, że w ten sposób zagłuszy znacznie bardziej niezwykle reakcje swojego ciała, poczucie, że rany się rozerwą przy jakimś gwałtownym mchu. podejrzenie — nie, pewność — że winorośl nadal czyha pod skórą, zaszyta ciasno przez Jeffa, ukryta, lecz nie martwa. jedynie uśpiona, jak nasienie wyczekujące na właściwą chwilę,. Z zamkniętymi oczami, skoncentrowany na powierzchni ciała. pieczeniu napiętej skóry, natrafił na tymczasowy azyl, tym bardziej kuszący przez swoją niestałość. Wiedział jednak, że nie może posuwać się za daleko. Ten proces zawierał element

równowagi, punkt krytyczny, do którego nie należało się zbliżać. Eric był wyczerpany — ciągle musiał powstrzymać ziewanie — i wiedział, że jeśli chociaż odrobinę się odpręży, zapadnie w sen. A sen był tutaj wrogiem, we śnie winorośle przypuszczały na niego atak.

Zmusił się, żeby otworzyć oczy, uniósł się na łokciu. Jeff i Mathias opatrywali kikuty Pabla. Używali wody z kanistra, żeby opłukać zabliźnioną tkankę, potem Jeff nawłócił nitkę, wysterylizował igłę zapalką. Z kilku naczyń krwionośnych Pabla wciąż wyciekały cieniutkie strużki czerwieni. Jeff schylił się, żeby je pozaszywać. Eric nie mógł na to patrzeć, znowu opuścił się na plecy. Wystarczył mu sam zapach zapalki, który przywołał z pamięci wczorajszy horror — Jeff przyciskający rozgrzaną patelnię do ciała Greka, aromat pieczenia rozchodzący się po wzgórzu.

Wiedział, że powinien wejść do namiotu, schować się przed słońcem. Ale oczy mu się zamykały. Usłyszał w głowie własny głos: Nic mi nie będzie. Jeff jest tutaj. Przypilnuje mnie. Przy nim jestem bezpieczny. Słowa przyszły same, Eric nie formułował ich świadomie. Zupełnie jakby przypadkiem kogoś podsłuchał.

Czuł, że zapada w sen, ale się nie bronił.

Zbudził się i zobaczył, że dzień posunął się do przodu — dramatycznie. Słońce rozpoczęło już długą wędrówkę ku zachodowi. Pojawiły się również chmury. Zakrywały połowę nieba i wyraźnie przesunęły się na zachód. Nie były to zwykle popołudniowe zwiastuny burzy, jakie Eric i inni już tutaj oglądali, pojawiające się nagle i równie szybko się rozpraszające. Nie, tym razem zbliżał się do nich jakiś front burzowy. Na razie słońce świeciło, ale Eric przewidywał, że to nie potrwa długo. Wyczuwał to nawet nie patrząc w górę, światło niesło ze sobą złowieszcza

Odwrócił głowę, rozejrzał się po polanie, wciąż otumaniony snem. Stacy wróciła z dołu, siedziała obok Pabla i trzymała go za rękę. Grek chyba znowu stracił przytomność. Oddychał

coraz gorzej. Eric leżał i słuchał — siorbiący wdech, rzęzący wydech, przerażająca, o wiele za długa pauza pomiędzy kolejnymi oddechami. Zwłoki Amy spoczywały na ziemi po lewej stronie, zamknięte w granatowym śpiworze. Po drugiej stronie polany Jeff pochylał się nad czymś z widocznym skupieniem. Dopiero po chwili Eric zorientował się, co tamten robi. Jeff uszył ze skrawków niebieskiego nylonu duży worek podobny do wiadra, żeby zbierać deszczówkę. Teraz kleił do niego ramę z aluminiowych masztów namiotowych, żeby boki worka się nie zapadły podczas napełniania.

Nie widział ani śladu Mathiasa. Pewnie Niemiec pilnował ścieżki.

Eric usiadł. Czuł się pusty, zeszywniały, dziwnie wyziębiony. Właśnie schylał się, żeby obejrzeć swoje rany, pomacać skórę dookoła, poszukać oznak świadczących o tym, że winorośl rozwija się wewnątrz jego ciała — guzów, obrzęków, opuchlizny — kiedy Jeff wstał, minął go bez słowa i zniknął w namiocie.

Dlaczego tak mi zimno?

Eric zdawał sobie sprawę, że to nie spadek temperatury. Widział wilgotne kółka potu na podkoszulku Stacy, nawet sam odczuwał upał, ale dziwnie oddalony, jakby wyglądał przez okno klimatyzowanego pokoju na krajobraz spieczony słońcem. Nie, nie całkiem, raczej jakby jego ciało zmieniło się w klimatyzowany pokój, jakby skóra upodobniła się do szyby, gorąca z wierzchu, zimna od środka. Przypuszczał, że to skutek głodu, zmęczenia albo utraty krwi, albo nawet obecność pasożytniczej rośliny w jego wnętrzu, wysysającej ciepło z tkanek. Nie znał przyczyny, wiedział tylko, że to zły znak. Znowu miał ochotę się położyć, ale wtedy Jeff wyszedł z namiotu, niosąc dwa banany.

Eric patrzył, jak Jeff podnosi nóż z ziemi, wyciera w koszulę, bez przekonania próbując oczyścić ostrze, potem kuca i przekrawa każdego banana na pół, bez obierania. Skinął na Stacy i Erica, żeby podeszli.

— Wybierajcie.

Stacy pochyliła się, delikatnie ułożyła rękę Pabla na jego piersi, potem wstała, podeszła do Jeffa i spojrzała na wyłożone jedzenie. Skórka bananów prawie całkiem już szerniała, Eric nawet bez dotykania wiedział, jakie są miękkie. Stacy wybrała kawałek i położyła sobie na dłoń — Jemy skórkę? — spytała.

Jeff wzruszył ramionami.

— Pewnie będzie trudno pogryźć. Ale spróbuj. — Odwrócił się do Erica, który nie ruszył się z miejsca. — Wybieraj.

— Co z Mathiasem? — zapytał Eric.

— Zaraz pójde go zmienić. Zaniosę mu.

Eric ciągle drżał wewnątrz z zimna. Nie czuł się na siłach, żeby wstać. Nie tylko ze względu na rany, których nie chciał narażać, żeby się znowu nie otwały, bał się, że nie utrzyma się na nogach. Wyciągnął rękę.

— Rzuć mi.

— Który?

Wskazał najbliższy kawałek. Jeff wykonał rzut od dołu, banan wylądował na podolku Erica.

Jedli w milczeniu. Banan okazał się zbyt przejrzasty, smakował tak, jakby już zaczął fermentować, cierpko-słodką papką, którą Eric przełknął z trudem pomimo głodu. Zjadł szybko, najpierw owoc, potem skórę. Nie mógł jej przeżuć inaczej niż po kawałku, była zbyt włóknista. Gryzł i gryzł, aż szczęki go rozbolały, potem zmusił się, żeby przełknąć gruzłowatą masę. Jeff już skończył, ale Stacy nie spieszyła się ze swoją porcją, wciąż skubała kawałeczek owocu, skórka leżała jej na kolanie.

Jeff podniósł wzrok, popatrzył na chmury ciemniejące ponad nimi, na słońce w coraz mniejszym kwadrancie błękitu.

— Wyłożyłem dla was mydło, na wypadek gdyby zaczęło padać, kiedy jeszcze będę na dole.

Wskazał niebieski worek. Obok na ziemi leżała kostka mydła. Stała tam również plastikowa skrzynka na narzędzia, Jeff zakleił taśmą szczelinę w dnie.

— Umyjcie się, potem wejdźcie do...

Przerwał w pół zdania, odwrócił się do namiotu z zaskoczoną miną.

Eric i Stacy podążyli za jego spojrzeniem. Rozległ się szelest: śpiwór się poruszał. Nie — Amy się poruszała: wierzyła, szamotała się, usiłowała wstać. Przez chwilę tylko patrzyli, nie wierząc własnym oczom. Potem rzucili się do śpiwora, wszyscy troje, nawet Eric, zapomniawszy o swoich ranach, o zmęczeniu i słabości, nie zważając na nic, chwilowo przeobrażony pod wpływem szoku, zdumienia, nadziei. Częściowo już wiedział, co znajdują, kiedy patrzył na Jeffa i Stacy schylonych nad śpiworem, ale odpychał tę wiedzę, czekał na odgłos zamka błyskawicznego, na Amy gramolącą się ku nim, zdyszana i oszołomiona. Pomyłka, to wszystko było pomyłka.

Słyszał głos Amy, dobiegający z wnętrza śpiwora. Zdławiony, przepełniony paniką:

— Jeff... Jeff...

— Jesteśmy tutaj, kochanie — krzyknęła Stacy. — Jestem my tutaj.

Niezdarnie szukała zamka błyskawicznego. Jeff znalazł go pierwszy, szarpnął, i ze śpiwora wywalił się olbrzymi kłęb winorośli, które opadły kaskadą na ziemię. Rosły na nich bladoróżowe kwiatki. Eric patrzył, jak kwiaty otwierają się i zamykają, wciąż nawołując: *Jeff... Jeff... Jeff...* Gęsta płatanina pnączy wiła się spazmatycznie, skręcała i rozkręcała. Wśród lodyg tkwiły kości Amy, już obrane do czysta z ciała Eric dostrzegł czaszkę, miednicę, coś podobnego do kości udowej, wszystko pomieszane razem, potem Stacy wrzeszczała, cofała się, kręciła głową. Zrobił krok w jej stronę, a ona przywarła do niego tak mocno, że znowu przypomniał sobie o swoich ranach, jak łatwo zaczynają krwawić.

Winorośl przestała wołać imię Jeffa. Nastąpiły może trzy sekundy ciszy, a potem zaczęła się śmiać: niski, szyderczy rechot.

Jeff stał nad śpiworem, gapił się na niego Stacy wcisnęła twarz w pierś Erica. Teraz płakała.

— Cii — powiedział Eric. — Cii.

Pogłaskała ją po głowie, czując się dziwnie daleki. Przypomnił sobie, jak ludzie czasami opisywali wypadki, które przeżyli, to wrażenie unoszenia się nad sceną, tak często towarzyszące katastrofie, i spróbował powrócić do własnej jaźni. Pod palcami czuł przetłuszczone włosy Stacy, skupił się na tym doznaniu w nadziei, że sprowadzi go na ziemię, ale przez cały czas jego wzrok umykał w stronę śpiwora, w stronę kłębu winorośli — wciąż się wiły, wciąż się śmiały — i kości zaplątanych w łoc Amy.

Stacy szlochała teraz nieopanowanie, obejmując go z całej siły. Wbijała mu paznokcie w plecy.

— Cii — powtarzał. — Cii.

Jeff się nie ruszał.

Eric czuł je wewnątrz klatki piersiowej — winorośle — czuł, jak się przesuwiają głębiej, ale nawet to wydawało się odległe, jakby wcale go nie dotyczyło. Szok, zdecydował, to na pewno szok. Może i lepiej, może własna psychika broniła go w ten sposób, wyłączała go, kiedy sprawy zaszły za daleko.

— Chcę do domu — jęczała Stacy. — Chcę do domu. Poklepał ją, pogłaskał.

— Cii... cii.

Winorośl zjadła ciało Amy przez pół dnia. Więc dlaczego nie potraktowała go tak samo? Zakładał, że musiała tylko dotrzeć do serca, a potem — co? Powoli je ścisnąć, zatrzymać bicie? W tamtej chwili Eric poczuł uderzenia swojego pulsu, uświadomił sobie fakt — jednocześnie banalny i głęboki — że kiedyś ustana, tutaj albo gdzie indziej, a wtedy on również ustanie. Uderzenia rozbrzmiewały słabo w jego głowie — ostateczne, ograniczone liczebnie, a każdy skurcz serca przybliżał go coraz bardziej do końca. Irracjonalnie pomyślał, że

gdyby tylko potrafił spowolnić puls, przedłużyłby sobie życie. rozciągnął w czasie przypisane mu uderzenia serca — dodać dzień, dwa, może nawet tydzień — i rozważał właśnie ten nielogiczny pomysł, kiedy winorośl zamilkła. Przez chwilę na polanie tylko Pablo mącił ciszę rżącym oddechem - przerywał i zaczynał, przerywał i zaczynał. Potem rozległ się odgłos krztuszenia, najpierw cichy, ale szybko nabierając głośności.

To była Amy, zrozumiał Eric. Wymiotowała.

Jeff odwrócił się od śpiwora, kłębowiska winorośli, obłuzowanych kości. Twarz miał nieruchomą jak zaciśnięta pięść Eric widział, jak usilnie tamten walczy, żeby się nie rozpłakać. Chciał coś powiedzieć, pocieszyć go, ale umysł miał oziębiały i nie mógł znaleźć odpowiednich słów, a Jeff poruszał się zbyt szybko. Schylił się po ostatni kawałek banana, wyprostował się i ruszył w stronę ścieżki. Właśnie opuszczał polanę, kiedy głos Amy powrócił, bardzo słaby, zagłuszany odgłosami wymiotów: *Pomóż mi.*

Jeff przystanął, odwrócił się do Erica.

Pomóż mi, Jeff.

Jeff pokręcił głową. Nagle wydawał się bezradny, uderzająco młody, chłopiec powstrzymujący łzy.

— Nie wiedziałem — powiedział. — Przysięgam. Było za ciemno. Nie widziałem jej.

Nie czekał na odpowiedź Erica, obrócił się na pięcie i szybko odszedł.

Eric stał i odprowadzał go wzrokiem — rozszlochana Stać, wciąż tuliła się do niego — a głos Amy, coraz słabszy, ścigał Jeffa po zboczu wzgórze.

Pomóż mi, Jeff... Pomóż mi... Pomóż mi...

Jeff przeszedł najwyżej pięćdziesiąt kroków, zanim winorośle ucichły. Powinien przyjąć to z ulgą, ale tak się nie stało. Jeszcze gorsza okazała się cisza, kiedy głos zamilkł tak

nagle, niewytłumaczalne poczucie osamotnienia, które nadeszło w ślad za nim. Oczywiście to były odgłosy umierania Amy — Jeff słyszał to wyraźnie — jej głos zdławiony w pół krzyku. Czuł łzy pod powiekami i wiedział, że tym razem nie zdoła się opanować. Kucnął na środku ścieżki, objął kolana rękami, ukrył twarz w ramionach.

Z absurdalnych powodów nie chciał, żeby winorośl słyszała jego płacz. Instynkt nakazywał mu się ukryć, jakby podejrzewał, że roślina ucieszy się z jego cierpienia. Płakał, ale nie szlochał, ograniczając się do ukradkowych łkań. Przez cały czas trzymał głowę pochyloną. Kiedy wreszcie zdołał się opanować, wstał i rękawem koszuli otarł wilgoć i smarki. Nogi mu się trzęsły, w środku miał dziwną pustkę, ale po tym oczyszczeniu poczuł się silniejszy i spokojniejszy. Wciąż pogrążony w żalu — jakżeby inaczej? — wciąż samotny i nękany wyrzutami sumienia, ale bardziej opanowany.

Znowu ruszył w dół.

Nad jego głową, na zachodzie, nadal gromadziły się chmury, ciemniejąc złowieszczo. Nadchodziła burza — wielka burza. Jeff zakładał, że została im jeszcze godzina, może dwie, zanim się zacznie. Powinni chyba zebrać się wszyscy w namiocie, pomyślał, i przestraszył się na tę myśl: ich czworo w ciasnej przestrzeni, czas wlecze się powoli. No i pozostawała kwestia Pabla. Nie mogli przecież zostawić go na deszczu. Jeff daremnie szukał rozwiązania tego dylematu, wyobraził sobie nosze wciągnięte razem z nimi do środka, wiatr szarpiący ściany namiotu, woda spływająca po nylonie, ohydny smród buchający z ciała Greka, i natychmiast zrozumiał, że to niemożliwe. Jednak nie widział innego rozwiązania. Może nie będzie padać, pomyślał i od razu uświadomił sobie, że zachowuje się jak dziecko, nie lepiej niż pozostali, biernie wierząc, że wszelkie rzeczy zbyt okropne do wytrzymania po prostu znikną, jeśli tylko odwróci wzrok na dostatecznie długo.

Mathias siedział ze skrzyżowanymi nogami u stóp wzgórza przodem do linii drzew. Nie usłyszał kroków Jeffa, a nawet jeśli usłyszał, nie pofatygował się obejrzeć. Jeff usiadł obok niego, podał mu połówkę białego — Lunch — oznajmił.

Mathias wziął owoc bez słowa. Jeff patrzył, jak tamtej zaczyna jeść. Był piątek, dzisiaj Mathias i Henrich mieli odlecieć z powrotem do Niemiec. Jeff i inni dali im swoje adresy e-mailowe i numery telefonów, padłyby ogólne obietnice odwiedzin. Potem uściski w sali od lotów, Amy robiąca zdjęcia. A potem staliby we czwórce przy wielkim oknie i machali do odjeżdżającej furgonetki wiozącej dwóch braci na płytę lotniska.

Jeff ponownie otarł twarz rękawem w obawie, że pozostały tam jeszcze jakieś ślady łez, smugi wyślubione przez wilgoć na brudnych policzkach. Mathias najwyraźniej nie słyszał winorośli i Jeff sam się zdziwił, jaką ulgę mu to sprawiło. Nie chciał, żeby Niemiec wiedział, bał się jego osądu.

Wzywała mnie. Wołała moje imię.

Majowie rozpinali plastikową płachtę pomiędzy drzewami tuż na skraju dżungli — osłonę przed nadciągającą burzą. domyślał się Jeff. Pracowali we czwórce, trzech mężczyźni i kobieta. Dwaj inni mężczyźni siedzieli przy dymiącym ognisku, przodem do Jeffa i Mathiasa, z łukami na kolanach. Jeden ciągle wycierał nos w brudną chustkę, po czym podnosił tkaninę, żeby obejrzeć swoje wydzieliny. Jeff wychylił się do przodu, zerknął w prawo i w lewo przez korytarz oczyszczonej ziemi, ale nie zobaczył przywódcy, tysego człowieka z pistoletem przy pasie. Pewnie się zmieniali, pomyślał, jedni pełnili straż wokół wzgórza, podczas gdy inni zostawali w wiosce i pracowali na polach.

— Dziwne, że nas nie zabili — powiedział.

Mathias przerwał jedzenie, obejrzał się na niego.

— Pilnowanie nas kosztuje tyle zachodu. Czemu nie zatukli nas od razu na początku, żeby mieć to z głowy?

— Może uważają to za grzech — odparł Mathias.

— Ale przecież nas zabijają, skoro nie pozwalają nam odejść. A gdybyśmy próbowali uciec, zastrzelą nas bez wahania.

— Ale to samoobrona, prawda? Z ich punktu widzenia. Nie morderstwo.

Morderstwo, pomyślał Jeff. Czy tutaj odbywa się morderstwo? Czy Amy została zamordowana? A jeśli tak, to przez kogo? Majów? Winorośl? Przeze mnie?

— Jak myślisz, odkąd to trwa? — zapytał.

— To?

Jeff powiódł ręką dookoła, wskazując wzgórze, oczyszczony pas ziemi.

— Winorośl. Jak myślisz, skąd się wzięła?

Mathias zaczął gryźć skórkę banana, lekko marszcząc brwi z namysłem. Jeff czekał, podczas gdy tamten przeżuwał. Trzy duże czarne ptaki szybowały wśród drzew nad płachtą Majów. Kruki, domyślał się Jeff. Ścierwojady, przywabione zapachem Pabla lub Amy, ale za mądre, żeby bardziej się zbliżyć. Mathias przetknął, otarł usta ręką.

— Pewnie z szybu — powiedział. — Jak myślisz? Ktoś ją wykopał.

— Ale jak ją zatrzymali? Jak zdążyli odizolować wzgórze? Przecież musieli wykarczować dżunglę, zaorać ziemię z solą. Pomyśl, ile czasu to zajęło.

Pokręcił głową: to się wydawało niemożliwe.

— Może się mylisz co do nich — powiedział Mathias. - Może wiedzą, jak ją zabić, ale wolą nie zabijać.

— Ponieważ?

— Może ona ciągle by wracała. A w ten sposób trzymają ją w zamknięciu, nie pozwalają się rozprzestrzenić. Wypracowali jakby roz— Ale jeśli tak, dlaczego nie chcą nas wypuścić?

— Może mają takie tabu, przekazywane przez pokolenia, które miało sprawić, że winorośl nigdy nie przekroczy wy-

znaczonych granic. Kto tam wejdzie, ten już nie wraca. A potem, kiedy zaczęli przyjeżdżać obcy, po prostu zastosowali do nich tabu. — Zastanawiał się przez chwilę, spoglądając w stronę Majów. — To nawet może być religia, nie? Dla nich, wzgórze jest święte. Kto raz tu wejdzie, nie może zawrócić. Może złożyli nas w ofierze.

— Ale jeśli...

— My tylko zgadujemy, Jeff — rzucił Mathias ze znużeniem i lekkim zniecierpliwieniem. — Tylko rozmawiamy. Nie warto się kłócić.

Przez jakiś czas siedzieli obok siebie i patrzyli, jak kruki, łopocąc skrzydłami, przelatują z gałęzi na gałąź. Wiatr się wzmagał, burza nadchodziła. Majowie przenosili dobytek między drzewa, pod osłonę płachty. Mathias oczywiście miał rację. Teoretyzowanie było bez sensu. Oni byli tutaj razem z winoroślą, a Majowie byli tam. A daleko za Majami, poza ich zasięgiem, leżała reszta świata. Tylko tyle się liczyło.

— A co z archeologami? — zapytał Jeff.

— Jak to co?

— No pomyśl, tylu ludzi. Dlaczego nikt ich nie szukał?

— Może jeszcze za wcześnie. Nie wiemy, jak dawno zaginęli. Jeśli, założymy, mieli tu spędzić lato, nikt jeszcze się nie zaczął martwić.

— Ale myślisz, że w końcu ktoś przyjedzie? Jeśli wytrzymamy dostatecznie długo?

Mathias wzruszył ramionami.

— Ile tu jest tych kopców? Trzydzieści? Czterdzieści? Zbyt wielu ludzi zginęło, żebyśmy po prostu zniknęli. Prędzej czy później ktoś musi znaleźć to miejsce. Nie wiem kiedy. Ale kiedyś na pewno.

— I myślisz, że wytrzymamy tak długo?

Mathias wytarł ręce o dżinsy, popatrzył na własne dłonie. Wnętrza dłoni miał ciemnoczerwone, poparzone sokiem winorośli, opuszki popękane i krwawiące. Pokręcił głową.

— Nie bez jedzenia — oświadczył.

Jeff odruchowo zaczął podliczać pozostałe racje żywnościowe. Precele, orzeszki. Dwa batoniki proteinowe, rodzynki, garść krakersów. Puszka coca-coli, dwie butelki mrożonej herbaty. To wszystko podzielone pomiędzy cztery osoby — pięć, jeśli Pablo oprzytomnieje na tyle, żeby jeść — miało wystarczyć na... jak długo? Sześć tygodni?

Jeden z kruków sfrunął na polanę, ostrożnie zaczął przesuwać się w stronę dwóch mężczyzn siedzących przy ognisku. Człowiek z chustką machnął nią na ptaka, który odleciał z krakaniem pomiędzy drzewa. Jeff odprowadził go wzrokiem.

— Moglibyśmy upolować takiego ptaka — powiedział. — Weźmiemy maszt namiotowy, przymocujemy do niego nóż taśmą, żeby zrobić harpun, a do drugiego końca przywiążemy kawałek liny z szybu. W ten sposób możemy nim rzucać w drzewa, a potem przyciągnąć z powrotem. Musimy tylko jakoś zrobić zadziory na nożu, żeby...

— Nie dopuszczą nas dostatecznie blisko.

Oczywiście miał rację, Jeff natychmiast to zrozumiał, niemniej poczuł przelotne ukłucie gniewu, jakby Mathias umyślnie stawał mu na przeszkodzie.

— A jeśli spróbujemy oczyścić wzgórze? Zaczniemy wycinać winorośle. Wyrwać. Jeśli wszyscy razem...

— Za dużo ich jest, Jeff. I rosną tak szybko. Jak możemy...

— Próbuję tylko znaleźć jakieś wyjście — burknął Jeff cierpkim tonem, który nawet jemu samemu się nie spodobał.

Mathias jednak nic nie zauważył.

— Może nie ma żadnego wyjścia — powiedział. — Może pozostaje nam tylko czekać, mieć nadzieję i wytrwać jak najdłużej. Jedzenie się skończy. Nasze ciała osłabną. A winorośl zrobi, co zamierzała.

Jeff przez chwilę przyglądał się twarzy Mathiasa. Podobnie jak pozostali, Niemiec wyglądał na krańcowo wyczerpanego. Skóra na nosie i czole zaczęła mu się łuszczyć, w kącikach ust przywarła gumowata maź. Oczy miał podkrążone. Lecz pod tym spustoszeniem kryły się chyba rezerwy siły, jakiej

nie posiadał nikt inny, włącznie z Jeffem. Mathias wydawał się spokojniejszy niż reszta z nich, dziwnie opanowany, i nagle uderzyło Jeffa, jak mało właściwie o nim wiedzą. Dorastał w Monachium, zrobił sobie tatuaż podczas krótkiej służby wojskowej, studiował inżynierię. To wszystko. Mathias był zwykle taki milczący, taki zamknięty w sobie, łatwo mogłeś sobie wmówić, że wiesz, co on myśli. Teraz jednak, rozmawiając z nim po raz pierwszy tak długo, Jeff miał wrażenie, że Niemiec zmienia się przed jego oczami z minuty na minutę — odsłania się — i okazuje się silniejszy, niż Jeff przypuszczał: stabilniejszy, bardziej dojrzały. Jeff poczuł się przy nim mały, jakby dziecinny.

— Macie w angielskim to wyrażenie, prawda? Kura, której ucięto głowę? — Mathias dwoma palcami pokazał bieganie w kółko.

Jeff przytaknął.

— Wszyscy robimy się coraz słabsi i będzie jeszcze gorzej. Więc nie marnuj sił na nieistotne sprawy. Nie chodź, kiedy możesz siedzieć. I nie siedź, kiedy możesz leżeć. Rozumiesz?

W trakcie tej rozmowy pojawił się w obozie chłopczyk, ten maleńki. Siedział teraz przy ognisku i ćwiczył żonglowanie. Majowie śmiali się z jego wysiłków, komentowali i udzielali rad.

Mathias wskazał ich ruchem głowy.

— Co twój przewodnik mówi o tych ludziach?

Jeff wyobraził sobie lśniące kartki, prawie czuł ich zapach, ich czystą, chłodną gładkość. Książka obszernie opisywała przeszłość Majów — ich piramidy, gościńce, kalendarze astrologiczne — ale jakby pomijała teraźniejszość.

— Niewiele — odpowiedział. — Czytałem ich mit, o stworzeniu. Tylko tyle pamiętam.

— O stworzeniu świata?

Jeff pokręcił głową.

— Ludzi.

— Opowiedz.

Jeff przez kilka sekund zbierał myśli, porządkował historię.

— Było kilka falstartów. Bogowie najpierw próbowali użyć błota i ludzie z błota mówili, ale bez sensu... nie mogli odwracać głów i rozpuszczali się na deszczu. Więc bogowie użyli drewna. Ale drewniani ludzie byli źli... mieli puste umysły, ignorowali bogów. Więc cały świat ich zaatakował. Kamienie z palenisk wybuchały im w twarze, garnki ich tłukły, a noże dźgały. Niektórzy drewniani ludzie uciekli na drzewa i zmienili się w małpy, ale reszta zginęła.

— A potem?

— Bogowie użyli kukurydzy... białej i żółtej kukurydzy. I wody. Zrobili z tego czworo ludzi, którzy wyszli doskonale. Wręcz zbyt doskonale, ponieważ bogowie się przestraszyli. Obawiali się, że te istoty wiedzą za wiele, że nie potrzebują bogów, więc dmuchnęli na nie i zaćmili ich umysły. Te stwory z kukurydzy, wody i zmaconych myśli to byli pierwsi ludzie.

Zahurkotał grom, zadziwiająco blisko. Jeff i Mathias spojrzeli w niebo. Chmury prawie już zakrywały słońce, lada chwila miało zniknąć.

— Nie widzieliśmy żadnych małp — powiedział Mathias. — Idąc tutaj przez dżunglę. — Wyraźnie posmutniał. — Szkoda. Chciałbym zobaczyć małpy, a ty?

W tym stwierdzeniu brzmiała taka rezygnacja, taka tęsknota za czymś nieosiągalnym, że Jeff poczuł się nieswojo. Powiedział bez namysłu, zadziwiająco samego siebie:

— Nie chcę tutaj umrzeć.

Mathias obdarzył go półuśmiechem.

— Ja nie chcę nigdzie umierać.

Jeden z Majów przy ognisku zaczął klaskać. Chłopiec zonglował, kamienie opisywały płynne łuki nad jego głową, na twarzy malowało się zdumienie, jakby sam nie wiedział, w jaki sposób dokonał tego wyczynu. Kiedy wreszcie upuścił jeden kamień, mężczyźni wiwatowali i klepali go po plecach. Chłopiec szczyrzył zęby w uśmiechu.

— Ale pewnie jednak umrę, prawda?

W myślach Jeffa pojawiło się pytanie, jedno słowo: „Tutaj?“, ale nie wypowiedział go na głos. Bał się, co Mathias odpowie, lękał się jego potencjalnej obojętności na tę możliwość, lekceważącego wzruszenia ramion. Pablo odejdzie pierwszy, przypuszczał Jeff. A potem Eric. Stacy pewnie będzie następna, chociaż niekoniecznie, trudno cokolwiek przewidzieć w tych sprawach. Ale w końcu, jeśli Mathias miał rację, winorośl zredukuje ich wszystkich do skromnych kopczyków na zboczach. Jeff próbował sobie wyobrazić, co zostanie z niego samego — zamek błyskawiczny i nity dżinsów, gumowe podeszwy tenisówek, zegarek. I koszula, którą wyszabrował z cudzego plecaka, fałszywe khaki, w rzeczywistości jakiś poliester — udrapowana na pustej klatce żeber. Nie wiadomo dlaczego ten ostatni obrazek najbardziej wyprowadził go z równowagi, wizja śmierci w cudzym ubraniu, więc kiedy ktoś wreszcie ich znajdzie — a Mathias twierdził, że prędzej czy później tak się stanie — założy, że koszula należała do niego.

— Czy jesteś chrześcijaninem? — zapytał.

Mathias wydawał się ubawiony tym pytaniem. Odpowiedział z tym samym półuśmiechem:

— Byłem ochrzczony.

— Ale czy wierzysz?

Niemiec bez wahania pokręcił głową.

— Więc co dla ciebie znaczy umieranie?

— Nic. Koniec. — Mathias przechylił głowę, zerknął na Jeffa. — A dla ciebie?

— Nie wiem — wyznał Jeff. — To głupie, ale nigdy tak naprawdę o tym nie myślałem. Nie na poważnie.

Mówił prawdę. Dorastał w wierze episkopalnej, ale tylko formalnie, religia stanowiła po prostu jeszcze jeden obowiązek dzieciństwa, jak koszenie trawników czy lekcje gry na fortepianie. Po wyjeździe na studia, przestał chodzić na nabożeństwa. Był młody, zdrowy, wychowany pod kloszem, śmierć nie miała władzy nad jego myślami.

Mathias zaśmiał się cicho, pokręcił głową.

— Biedny Jeff

— Co?

— Zawsze chce być przygotowany na wszystko. — Wyciągnął rękę, klepnął Jeffa po kolanie. — Będzie, co ma być, no nie? To czy tamto... w końcu i tak nie będzie miało znaczenia, w co wierzymy.

Co powiedziawszy, Mathias podniósł się i przeciągnął, prostując ramiona nad głową. Najwyraźniej zamierzał odejść i na ten widok Jeff poczuł drgnienie paniki. Sam nie wiedział, dlaczego, ale bał się zostać tutaj sam. Miał jakieś przeczucie. chociaż dotąd nie wierzył w takie rzeczy. Z niewiadomych przyczyn przypomniał sobie, jak wyciągał winorośl z ust Amy, oślizłą i wilgotną, przypomniał sobie smród wymiocin i tequili, i jak łodygi czepiały się jej twarzy, stawiały opór, wiły się i skręcały, kiedy je odrywał. Zadrżał.

— W jakim miejscu mieszkasz? — zapytał.

Mathias popatrzył na niego, nie rozumiejąc.

— W Niemczech — wyjaśnił Jeff. — W domu?

Mathias pokręcił głową.

— W mieszkaniu.

— Jakim?

— Nic specjalnego. Małeńkie. Sypialnia, pokój dzienny, kuchnia... na pierwszym piętrze, z widokiem na ulicę. Na dole jest piekarnia. W lecie jest za gorąco od pieców.

— Czujesz zapach chleba?

— Pewnie. Budzi mnie co rano. — Zdawało się, że nie powie nic więcej, ale po chwili podjął: — Mam kota. Nazywa się Katschen, to znaczy kociak. Córka piekarza opiekuje się nim, kiedy wyjeżdżam. Karmi go, czyści kuwetę. I podlewa moje rośliny. W sypialni mam wielkie okno... jak mówicie po angielsku? Okno wykuszowe?

Jeff kiwnął głową.

— Pełno tam roślin. To chyba zabawne. Co noc zasypiam w pokoju pełnym roślin. To mnie uspokaja.

Zaśmiał się z tego i Jeff mu zawtórował. A potem chmur zakryły słońce. Natychmiast zrobiło się ponuro, jesiennie. Zerwał się wiatr i obaj podnieśli ręce, żeby przytrzymać kapelusze na głowach. Kiedy wiatr ucichł, Mathias powiedział

— No to idę.

Jeff kiwnął głową i na tym się skończyło, nie mieli nic więcej do powiedzenia. Patrzył, jak Mathias odchodzi ścieżką,

W powietrzu rozchodził się zapach gotowania. Początkowo Jeff myślał, że to znowu winorośl zadaje mu kolejne tortury lecz kiedy odwrócił się w stronę obozu Majów, zobaczył, że kobieta ustawiła duży żelazny garnek na trójnogu nad ogniem, coś tam mieszała. Koźlina, odgadł Jeff na węc. Jedli wcześniej niż poprzedniego wieczoru, pewnie liczyli, że skończą posiłek przed burzą.

Spod aromatów jedzenia i ogniska przebijał jego własny zapach. Zatechły pot, zmieszany z czymś gorszym, jakby naleciałością smrodu Pabla, jego szczyn i gówna, jego gnijącego ciała. Jeff pomyślał o kostce mydła na polanie przed namiotem, przygotowanej na nadejście deszczu. Próbował sobie wyobrazić, jakie to uczucie namydlić się, szorować i spłukiwać, ale nie potrafił uwierzyć, że to pomoże, nie potrafił uwierzyć, że kiedykolwiek oczyści się z tego plugastwa. Ponieważ odczuwał to nie tylko fizycznie. Nie, zgnilizna sięgała znacznie głębiej, jakby cuchnął nie tylko potem, uryną i gównem, ale również porażką. Naprawdę myślał, że zdoła utrzymać ich przy życiu, wierzył, że test bardziej inteligentny i zdyscyplinowany od pozostałych i że same te cechy wystarczą, żeby ich uratować. Ale był głupi: teraz to rozumiał. Był głupi, że obciął Pablowi nogi. Osiągnął tylko tyle, że przedłużył cierpienia Greka. I był głupi — gorzej niż głupi, znacznie gorzej — że siedział tam nadąsany, podczas gdy pięć metrów stóp dalej Amy dławiała się na śmierć. Nawet gdyby jakimś cudem wydostał się stąd żywy, nie wiedział, jak mógłby żyć dalej z tym wspomnieniem

Czas mijał. Majowie skończyli posiłek, kobieta wytarła

garnek do czysta garścią liści. Mężczyźni siedzieli z łukami na kolanach i obserwowali Jeffa. Chłopczyk przestał żonglować, cofnął się za linię drzew, położył się pod płachtą. Kruki wciąż niespokojnie przelatywały z gałęzi na gałąź, krząc jeden przez drugiego. Niebo robiło się coraz ciemniejsze, drzewa zaczęły się kołysać na wietrze. Przy każdym silniejszym podmuchu plastikowa płachta wydawała ostry trzask, jak wystrzał z karabinu.

A potem, wreszcie, kiedy dzień przechodził we wczesny zmierzch, spadł deszcz.

Stacy była w namiocie z Erikiem. Na jakiś czas się zatraciła, tam na polance, kiedy stała nad śpiworem, a winorośl kłębiła się u jej stóp i chichotała. Stacy zaczęła płakać, czepiając się Erica. Łzy płynęły niepowstrzymanie, Jeff już dawno zszedł z wierzchołka wzgórza, winorośl ucichła, nawet Mathias wrócił, a ona ciągle szlochała. Przestraszyła się, myślała, że nigdy nie przestanie. Ale Eric obejmował ją, głaskał, powtarzał: „Cii... cii...”, i w końcu samo zmęczenie, jeśli nie coś innego, pomogło jej się uspokoić.

— Muszę się położyć — szepnęła.

W ten sposób oboje znowu znaleźli się w namiocie. Eric rozsunął dla niej zamek błyskawiczny, wszedł za nią. Upadła na jedyny pozostały śpiwór, a on położył się obok niej. Po płaczu nadeszła o ciężałość, wrażenie, że już nigdy nie zdoła się podnieść. To również minie, powiedziała sobie Stacy i usiłowała w to uwierzyć. Wspomniała, jak tego ranka siedziała u stóp wzgórza, całkiem sama, jak te trzy godziny wlokły się bez końca, nie do wytrzymania. A jednak wytrzymała: siedziała tam w słońcu, usiłując nie myśleć o Amy — daremnie — i jedna chwila przechodziła w drugą, aż nagle odwróciła się i zobaczyła, że stoi za nią Mathias, mówi jej, że już czas, że skończyła wartę, że może wracać na górę.

Gardło ją bolało od płaczu, oczy zapuchły. Była taka zmęczona, taka rozpaczliwie zmęczona, ale bała się zasnąć. Czuła oddech Erica na karku. Obejmował ją i początkowo to wydawało się miłe — kojące, pocieszające — ale teraz bez ostrzeżenia zaczęło się zmieniać, zaczęło sprawiać wrażenie, że on ją ściska trochę za mocno, aż czuła swoje serce, wciąż bijące zbyt szybko.

Próbowała się odsunąć, ale on tylko przyciągnął ją bliżej.

— Tak mi zimno — powiedział. — Tobie też zimno?

Stacy pokręciła głową. Jego ciało nie wydawało się zimne, tylko rozpalone, jakby miał gorączkę. Pociła się w tych miejscach, gdzie się

— Taki jestem zmęczony — ciągnął. — Tak cholernie zmęczony.

Po powrocie z warty Stacy znalazła go leżącego na polance, na wznak, z otwartymi ustami: spał. Jeff zszywał worek, zawołał do niej, kiedy pojawiła się na ścieżce, kazał jej się napić wody. Nawet wtedy Eric się nie poruszył. Przespał ze dwie godziny, oceniała, nawet trzy, ale zmęczenie go nie opuściło. Słyszała to w jego głosie, prawie zasypiał i z jakiegoś powodu to również ją odstręczało. Przesunęła się znowu. bardziej zdecydowanie, a wtedy ją puścił i ramiona opadły mu bezwładnie. Usiadła i odwróciła się do niego.

— Popilnujesz mnie? — zapytał.

— Czy popilnuję?

— We śnie — wyjaśnił. — Tylko trochę?

Stacy kiwnęła głową. Widziała rany na jego nodze, brzydkie fałdy szwów Jeffa, błyszczące od neosporinu. Zasnęta krew pokrywała skórę. Był zmęczony i zmarznięty, chociaż nie istniały po temu żadne wyraźne powody. Stacy świadomie powstrzymała się przed roztrząsaniem tej kwestii, wyciąganiem wniosków. Zamknęła oczy, myśląc: To również minie.

Wzdrygnęła się od jego dotyku, prawie podskoczyła. Wziął ją za rękę i leżał, uśmiechając się do niej sennie. Stacy nie cofnęła dłoni, ale to wymagało wysiłku, chciała uciec od

niego, od jego rozpalonego ciała, od lepkiego uścisku. To jest w nim, myślała. Próbowała się uśmiechnąć, ale ledwie jej się udało. Zresztą to nie miało znaczenia, bo Ericowi i tak oczy się zamykały.

Stacy odczekała, aż zasnął, potem uwolniła się z jego uścisku i odsunęła, zostawiając jego dłoń na podłodze namiotu. Dłoń spoczywała wnętrzem do góry, z palcami lekko zagiętymi, jak u żebraka. Stacy wyobraziła sobie, że wrzuca tam monetę, późnym wieczorem na jakiejś ciemnej miejskiej ulicy, a potem spieszy dalej, nigdy więcej go nie spotka. To również minie.

Mathias wrócił na polanę, siedział obok Pabla. Stacy słyszała oddech Greka pomimo wiatru, który wzmagał się stopniowo, ale nieubłagane, szarpiąc nylonowymi ścianami. W namiocie zrobiło się mroczno, prawie ciemno. Eric chrapał jak zwykle. Stacy często go naśladowała, żeby rozśmieszyć Amy, prychała i gwizdała, obie chichotały z tego późną nocą w swojej sypialni, zwierzały się z sekretów. Ból tych wspomnień wydawał się zadziwiająco fizyczny: pulsujące ściskanie wysoko w piersi. Dotknęła tego miejsca, roztarła je, powstrzymując łzy.

To również.

Jakoś wyczuła nadejście deszczu. Zaczyna się, pomyślała, i miała rację: chwilę później rozpętała się burza. Woda chlustała strumieniami, niesiona wiatrem, jakby olbrzymia mokra ręka rytmicznie waliła w ściany namiotu.

Stacy pochyliła się do przodu, szturchnęła Erica w ramię.

— Eric — powiedziała.

Otworzył oczy — spojrzał na nią — ale jakoś nie wydawał się obudzony.

— Pada — powiedziała.

— Pada?

Stacy widziała, jak dotykał swoich ran, jednej za drugą, jakby sprawdzał, czy są na miejscu. Przytaknęła.

— Muszę pomóc Mathiasowi. Zgoda?

Tylko patrzył na nią. Twarz miał wynędzniałą, uderzająco bladą. Przypomniała sobie, ile krwi stracił przez ostatnie dwie doby, wspomniała, jak Jeff wyciągał mu łodygi spod skóry Zadygotą, nie mę — Poradzisz sobie? — zapytała.

Eric przytaknął i sięgnął ręką, żeby naciągnąć na siebie śpiwór. To wystarczyło Stacy, wyskoczyła z namiotu, przez klapę, na deszcz.

Przemokła w ciągu sekundy. Mathias stał na środku polanki, napełniał frisbee, wlewał zawartość do plastikowego kanistra. Ubranie lepilo się do niego, kapelusz zwisał bezkształtnie na głowie. Wyciągnął do niej frisbee i kanister: kiedy je wzięła, ruszył szybko w stronę Pabla, który leżał bez ruchu na noszach, z zamkniętymi oczami, oblewany deszczem. Stacy zaczęła, aż frisbee się napełni, wlała wodę do kanistra, powtórzyła ten proces jeszcze raz i jeszcze raz, podczas gdy Mathias walczył z wiatą, usiłował ją tak ustawić, żeby bardziej osłaniała Greka. Zadanie wydawało się niewykonalne, porywisty wicher pędził strugi deszczu niemal poziomo nad ziemią. Nie mogli ochronić Pabla, chyba żeby go wnieśli do namiotu.

Stacy zakręciła kanister. Worek się napełniał, chyba działało. Deszcz padał, padał i padał, zmieniając polankę w błoto. Stacy czuła, jak jej sandały powoli zagłębiają się w rozmięktą ziemię. Zauważyła kostkę mydła, leżącą obok worka, na wpół zanurzoną w błocie. Podniosła ją, zaczęła szorować twarz i ręce. Potem przechyliła głowę do tyłu, deszcz opłukał ją do czysta. Ale to nie wystarczyło. Chciała więcej i bez namysłu ściągnęła podkoszulek, spodnie, nawet bieliznę. Stała nago pośrodku polanki, namydlała piersi, brzuch, pachwiny, włosy. zmywała z siebie brud — pot, kurz, smród.

Mathias nachylał się nad wiatą, mocniej przyczepiając taśmą kawałki nylonu do aluminiowych słupków, szarpany wiatrem. Odwrócił się, jakby chciał poprosić Stacy o pomoc, a potem tylko patrzył, powoli przesuważąc wzrokiem po jej nagości,

coraz wyżej. Ale nie spojrział jej w oczy, umknął wzrokiem, bez słowa odwrócił się do wiaty.

Resztki światła szybko wyciekały z polanki. Stacy już dawno straciła poczucie czasu, więc nie wiedziała, czy to skutek burzy, coraz bardziej ciemniejącej nad głowami, czy też za zasłoną chmur słońce już zachodziło i dzień gwałtownie dobiegał końca. Zahuczał grzmot — niski, przeciągły i hurkoczący — a deszcz siekł skórę tak mocno, że aż kłuło. I robił się coraz zimniejszy. Stacy musiała zacisnąć zęby, żeby nie szczękały, drżała, zimno przenikało ją do kości.

Kości.

Odwróciła się do śpiwora, z którego wylewał się kłąb winorośli, połyskując wilgotnymi fragmentami bieli w gasnącym świetle. Nagle doznała dziwnego wrażenia, że ktoś ją obserwuje, poczuła się obnażona i objęła się ramionami, kryjąc piersi. Zerknęła w stronę Mathiasa — który wciąż szarpał się z wiatą, odwrócony do niej plecami — potem w stronę ścieżki, myśląc, że Jeff wrócił z warty. Ale nikogo nie widziała, nawet Eric nie wyglądał z namiotu. Wrażenie jednak pozostało, coraz silniejsze, coraz bardziej nieprzyjemne. Dopiero kiedy rozejrzała się po zboczu wzgórza, gdzie deszcz walił w zielone liście, które chwiały się i kołysały, odkryła przyczynę.

To winorośl ją obserwowała.

Stacy pobiegła do namiotu, porzuciwszy w błocie swoje mokre ubranie.

W namiocie było jeszcze ciemniej niż na zewnątrz, Stacy ledwie widziała Erica, musiała wyteńczyć wzrok, żeby rozróżnić jego sylwetkę na podłodze, szczelnie owiniętą śpiworem. Myślała, że ma otwarte oczy, że spojrział na nią, kiedy weszła, ale nie miała pewności.

— Umyłam się — oznajmiła. — Ty też powinieneś.

Eric nie odpowiedział, nie poruszył się, nie zareagował. Zrobiła krok w jego stronę, nachyliła się.

— Eric?

Stęknął, poruszył się lekko.

— Z tobą okay?

Znowu stęknął.

Stacy zawahała się, patrząc na niego poprzez mrok. Wiatr szarpał ściany namiotu. Nylonowy dach przeciekał w kilku miejscach, woda kap-kapała na podłogę, tworzyła powoli rozszerzające się kałuże. Stacy ciągle drżała.

— Muszę się ubrać — oznajmiła.

Eric leżał bez ruchu.

Stacy przeszła w głąb namiotu, kucnęła nad plecakami, grzebała w nich, aż znalazła spódnice i żółtą bluzkę. Szybko wytarła się do sucha podkoszulkiem, potem naciągnęła bluzkę i spódnice na gołe ciało — nie mogła się zdobyć na założenie cudzych majtek. Spódniczka okazała się krótka, podjeżdżała do góry na udach, bluzka była ciasna. Widocznie poprzednia właścicielka była jeszcze drobniejsza.

Stacy poczuła się trochę lepiej — nie całkiem dobrze, ale nie tak koszmarnie jak wcześniej. Brzęczenie w głowie prawie ucichło. Głód też jakby się zmniejszył, czuła się pusta jak łupina, ale dziwnie pogodna. Nadal drżała i przemknęło jej przez głowę, żeby wśliznąć się do śpiwora obok Erica, przytulić się do niego, ogrzać się ciepłem bijącym z jego ciała. Ale potem przypomniała sobie Mathiasa tam na polance, usiłującego zapewnić Pablowi jakąś osłonę, więc podpełzła z powrotem do kłapy i wyjrzała w gęstniejącą ciemność. Prawie już zapadła noc. Mathias, oddalony od niej zaledwie o parę kroków, wydawał się zaledwie cieniem. Siedział w błocie obok Pabła, skulony pod jej parasolem. Zdołał pochylić wiatę, ale nie wiadomo, czy to pomogło Grekowi.

— Mathias? — zawołała Stacy.

Spojrzał na nią poprzez deszcz.

— Gdzie jest Jeff? — zapytała.

Mathias obejrzał się przez ramię, jakby się spodziewał, że Jeff czai się gdzieś na polance. Potem znowu odwrócił się do niej i pokręcił głową. Powiedział coś, ale zagłuszył go szum deszczu.

Stacy złożyła dłonie wokół ust i zawołała: Nie powinien wrócić?
Mathias podniósł się i podszedł do niej. Parasol spełniał rolę raczej symboliczną niż praktyczną: wcale nie osłaniał przed ulewą.

— Co? — zapytał Mathias.

— Czy Jeff nie powinien wrócić?

Mathias z namysłem przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę. Czubki jego tenisówek znikły w wilgotnej ziemi, znowu się pojawiły, znowu znikły.

— Chyba powinienem zejść na dół i sprawdzić.

— Sprawdzić?

— Co go zatrzymuje.

Stacy znowu zaszumiało w uszach. Nie chciała zostać tutaj sama z Erikiem i Pablem. Próbowwała coś wymyślić, żeby zatrzymać Mathiasa obok namiotu, ale nic jej nie przychodziło do głowy.

— Możesz popilnować Pabla? — zapytał.

Zawahała się. Była czysta i sucha, więc przeraziła się na samą myśl, że miałyby się wyrzec tych dwóch skromnych wygod.

— Może jeśli zaczekamy, on...

— Robi się coraz ciemniej. Nic nie zobaczę, jeśli zaczekam dłużej.

Podał jej parasol, a ona sięgnęła w deszcz, żeby go wziąć, na ramieniu wyskoczyła jej gęsia skórka. Mathias ściągnął kapelusz z głowy, wyjął go, założył z powrotem.

— Postaram się pospieszyć — obiecał. — Zgoda?

Stacy kiwnęła głową. Zebrała odwagę, zanurkowała pod klapę namiotu. Zupełnie jakby weszła pod wodospad. Podeszła do wiaty Pabla, kucnęła obok, próbując nie patrzeć na jego wynędzniałą, zabłoconą twarz i mokre włosy — zbyt wystraszona, żeby zmierzyć się z jego nieszczęściem, jego cierpieniem, któremu nie mogła ulżyć. Trzymała parasol nad głową, bezsensownie — tylko po to, żeby wiatr miał

czym szarpać. Mathias obserwował ją jeszcze przez chwilę, w strugach deszczu. Potem odwrócił się i odszedł, znikł w ciemnościach.

Eric zwinął się w kłębek, zakopał pod śpiworem, szukając odrobiny ciepła. Deszcz lał, a Stacy i Mathias wyszli na zewnątrz. Porywisty wiatr potrząsał namiotem. Eric był wyczerpany, ale nie zamierzał zasnąć, dopóki ktoś go nie przypilnuje. Chciał tylko zamknąć oczy, chociaż na chwilę, na parę sekund, zamknąć oczy i odetchnąć, odpoczywać, nie spać. Potem nagle Stacy wróciła, pochylała się nad nim, pytała, czy wszystko w porządku. Była mokra, była naga i kapłała na niego, z dachu też kapłało. Eric pomyślał: Ja śpię, to mi się śni. Ale nie spał, przynajmniej nie całkiem. Zdawał sobie sprawę z obecności Stacy w namiocie, słyszał, jak szperała w plecakach, wycierała się, zakładała nowe ubranie. Pomacał ręką, odszukał swoje rany, zaniepokojony, że winorośl zaatakowała go, kiedy drzemał, ale nie odkrył żadnych śladów ataku. Bolało go — całe ciało pulsowało bólem. Nawet opuszki palców wydawały się poobijane, podeszwy stóp, kolana — wszystko.

Usłyszał głosy i podniósł głowę. Stacy stała przy kłapie namiotu, ciemna sylwetka, rozmawiała z Mathiasem. Ericowi znowu zamknęły się oczy, pozornie tylko na chwilę, ale kiedy je otworzył, był sam. Ponownie zbadał swoje rany, chciał usiąść, ale nie miał siły. Deszcz hałasował tak głośno, że przeszkadzał mu myśleć, brzmiał jak oklaski.

Eric czuł, że zapada w sen, walczył z tym, próbował się utrzymać na powierzchni. Prowadził lekcję, pierwszy poranek w nowej pracy, ale za każdym razem, kiedy chciał coś powiedzieć, chłopcy zaczynali klaskać, zagłuszali jego głos. To była gra — tyle rozumiał — ale nie znał zasad, wiedział tylko, że przegrywa i że jeśli to się nie zmieni, wyleją go przed końcem dnia. Co dziwne, cieszyła go ta perspektywa.

Nie zasnął do końca — wiedział, że śni. I tym wciąż czuwającym skrawkiem świadomości zdołał nawet przeanalizować swój sen. Nie chciał zostać nauczycielem — tak wynikało ze snu, że nigdy nie chciał uczyć, ale dopiero teraz przyznał się do tego przed sobą, uwięziony tutaj, bez szansy powrotu. Więc kim? — zadał sobie pytanie i odpowiedź nadeszła w formie, która pozwoliła mu zrozumieć, że ta samoocena również jest częścią snu — ponieważ uświadomił sobie, że zawsze chciał być barmanem w staroświeckim saloonie, nie prawdziwym, ale filmowym saloonie z czarno-białego westernu, z wahadłowymi drzwiami, pijanymi pokerzystami w kącie, pojedynkiem rewolwerowców na ulicy. Napelniałby kufle piwem i przesuwiał je po kontuarze. Miałby irlandzki akcent, byłby najlepszym przyjacielem Johna Wayne'a, Gary'ego Cc — One to wymyślają. Okay? Eric? Przecież wiesz.

W namiocie było ciemno. Stacy znowu kucąła przy nim — mokra, ociekająca — szturchała go w ramię. Wydawała się przestraszona, spłoszona. Ciągle oglądała się przez ramię, w stronę kłapy namiotu.

— To nieprawda — mówiła. — To się nie stało.

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi, wciąż zanurzony w swoim śnie, klaskaniu chłopców, skrzypieniu wahadłowych drzwi saloonu.

— Co się nie stało? — zapytał.

A potem wśród szumu deszczu usłyszał niewyraźne słowa: *Pocałuj mnie, Mathias. Pocałujesz mnie?* Kobięcy głos, dochodzący z polanki. W *porządku. Chcę tego.* Jakby głos Stacy, ale lekko rozmyty, podobny i niepodobny jednocześnie.

Stacy chyba wyczuła, o czym pomyślał.

— One udają, że to ja. Że ja to powiedziałam. Ale nie powiedziałam.

Obejmij mnie. Tylko mnie obejmij. A potem jakby głos Mathiasa: *Nie powinniśmy. A jeśli on...*

Cii. Nikt nie usłyszy.

— To nie ja — oświadczyła Stacy. — Przysięgam. Do niczego nie doszło.

Eric dźwignął się z podłogi, usiadł ze skrzyżowanymi nogami, otuliwszy ramiona śpiworem. Z zewnątrz, z deszczowej ciemności dobiegło dyszenie, początkowo ciche, potem coraz głośniejsze.

Znowu rozległ się głos Mathiasa, prawie westchnienie: *Boże, jak dobrze.*

Dyszenie przeszło w pojękiwanie.

Jak dobrze.

Mocniej, szepnął głos Stacy.

Pojękiwanie zmierzało powoli, niepowstrzymanie w stronę wspólnego orgazmu, który wyrwał z ust Stacy zdławiony okrzyk. Potem zapadła cisza, wypełniona pluskaniem deszczu i przerywanym, rżącym oddechem Pabla. Eric obserwował Stacy w ciemnościach. Miała na sobie cudze ubranie, o numer za małe, mokre, oblepiające jej ciało.

Oczywiście to nie miało znaczenia. Może do tego doszło, może nie doszło — tak czy owak tylko głupiec przejmowałby się tym w takiej sytuacji. Eric rozumiał logikę tego argumentu i przez kilka chwil usiłował zdobyć się na odpowiedni dystans, jakiego wymagało racjonalne podejście. Zastanawiał się nad śmiechem. Czy to właściwa strategia? Czy powinien pokręcić głową, zachichotać? Albo ją objąć? Ale była taka mokra i ubrana w te cudze rzeczy, trochę jak jakaś kurwa. To słowo napłynęło nieproszone. Eric nawet próbował je odpędzić, ale nie chciało odejść, kiedy jej sutki sterczały tak sztywno pod opiętą bluzką, kiedy spódniczka podjeżdżała jej do góry na udach, kiedy...

— Wiesz, że to nieprawdziwe — powiedziała.

Roześmiej się i już, pomyślał. To takie łatwe. Ale potem zaczął mówić i słowa same wylały się z niego, niosąc go w całkiem innym kierunku.

— One niczego nie wymyślają.

Stacy patrzyła na niego w milczeniu. Skrzyżowała ramiona na piersiach.

— Eric...

— One naśladują. Powtarzają to, co usłyszały. Nie tworzą niczego.

— Więc kiedyś słyszały, jak ktoś uprawia seks, i domieszały nasze głosy.

— Więc to twój głos? Ty to powiedziałas?

— Oczywiście, że nie.

— Ale mówiłaś, że domieszały wasze głosy.

— To znaczy, że wzięły nasze głosy, rzeczy, które mówiliśmy, i połączyły je, żeby wypowiedzieć co innego. No wiesz, pierwsze słowo z jednej rozmowy, drugie z następnej...

— Kiedy mówiłaś: „mocniej”? Albo: „pocałuj mnie”?

— Nie wiem. Może...

— Przestań, Stacy. Powiedz mi prawdę.

— To głupie, Eric.

Słyszał w jej głosie narastającą frustrację, wyczuwał, że starała się opanować.

— Chcę tylko znać prawdę — upierał się.

— Powiedziałam ci prawdę. To nieprawdziwe. To...

— Obiecuję, że się nie rozgniewam.

— Ale oczywiście już się rozgniewał, słyszał to w swoim głosie. Nie po raz pierwszy żądał od Stacy, żeby przyznała się do niewierności, ciężar tych wszystkich poprzednich rozmów przytłaczał go teraz, popychał do przodu. Wszystkie te konfrontacje odbywały się według nieuniknionego schematu, wymagały przestrzegania określonego scenariusza: on zadreślał ją pytaniami, naciskał na nią, metodycznie eliminował jej uniki i dywersje, powoli przypierał ją do muru, aż pozostawała jej tylko szczerłość. Ona zaczynała płakać, błagała go o przebaczenie, przysięgała, że nigdy więcej go nie zdradzi. Wbrew sobie Eric zawsze jakoś jej wierzył. Na myśl, że znowu muszą odbywać tę mordęgę, pokonywać każdy z licznych etapów, ogarnęło go znużenie. Chciał już przejść do

zakończenia. Chciał, żeby płakała, błagała, przysięgała, i rozwścieczyło go, że nawet tutaj, nawet w tej krytycznej sytuacji ona każe mu na to zapracować.

— Popatrz na mnie — zażądała Stacy. — Myślisz, że w takim stanie chciałabym się pieprzyć z kimkolwiek? Nie mogę nawet...

— Pieprzyłabyś się z nim kiedy indziej?

— Eric...

— Pieprzyłabyś się z nim w Cancun?

Westchnęła głośno, jakby uważała pytanie za zbyt poniżające, żeby odpowiedzieć. I miała rację. Na jakimś poziomie Eric to rozumiał.

Spokojne myśli, powiedział sobie. Spokojny głos. Usilnie starał się je przywołać, ale nie przychodziły.

— Pieprzyłaś się z nim w Cancun? — zapytał.

Zanim Stacy zdążyła odpowiedzieć, znowu rozległ się jej głos: *Obejmij mnie. Tylko mnie obejmij.*

Nie powinniśmy. A jeśli on...

Cii. Nikt nie usłyszy.

Potem jeszcze raz zaczęło się dyszenie, coraz głośniejsze. Eric i Stacy słuchali w milczeniu. Co innego mogli zrobić?

Boże, jak dobrze.

Dyszenie przeszło w jęki. Eric skupił się na głosach, nadal lekko rozmytych. Chwilami zdawało mu się, że z całą pewnością należą do Stacy i Mathiasa, kiedy indziej niemal wierzył, że nie były prawdziwe, że nic się nie stało.

Jak dobrze, usłyszał i pomyślał: Nie, skąd, to nie on.

Mocniej, usłyszał — natarczywy szept, przesycony łaknieniem — i pomyślał: Tak, to na pewno ona.

Wreszcie nadszedł orgazm i znowu słyszeli tylko szum deszczu, oddech Pabla i łopotanie mokrych płacht namiotowych na porywistym wietrze. Stacy przysunęła się do Erica. Położyła mu rękę na kolanie, ścisnęła je przez śpiwór.

— One chcą nas poróżnić, skarbie. Chcą, żebyśmy się pokłócili.

— Powiedz: „Obejmij mnie. Tylko mnie obejmij”.

Stacy zabrała rękę z jego kolana, spojrzała na niego.

— Co?

— Chcę cię usłyszeć. Rozpoznam, czy ty to mówiłaś.

— Nie bądź dupkiem, Eric.

— Powiedz: „Nikt nie usłyszy”.

Pokręciła głową.

— Nie zrobię tego.

— Albo: „mocniej”. Szepnij: „mocniej”.

Stacy wstała.

— Muszę sprawdzić, co z Pablem.

— Nic mu nie jest. Nie słyszysz?

Rzeczywiście dźwięk oddechu Pabla zdawał się wypełniać namiot.

Stacy oparła ręce na biodrach. W ciemności nie widział jej twarzy, ale wyczuwał, że zmarszczyła brwi.

— Czemu to robisz? He? Mamy tutaj tyle innych kłopotów, a ty się zachowujesz jak...

— Amy miała rację. Jesteś dziwką.

Jakby ją spoliczkował, zamilkła na chwilę, dotknięta do żywego. Potem szepnęła bardzo cicho:

— Kurwa, co jest, Eric? Jak możesz tak mówić?

Usłyszał drżenie w jej głosie i mało nie przestał. Ale potem znowu się odezwał, nie mógł się powstrzymać.

— Kiedy to zrobiliście? Dziś wieczorem?

Nie był pewien, ale zdawało mu się, że płakała.

— Byłaś naga, kiedy weszłaś do namiotu — ciągnął. — Widziałem cię nago.

Ocierała twarz ręką. Deszcz wzmógł się nagle, zabębnił głośniejsze o dach, jakby chciał zwalić namiot. Oboje skulili się instynktownie. Nawałnica trwała jednak tylko przez parę sekund, a po jej przejściu świat zdawał się dziwnie spokojny.

— Czy były też inne razy?

Stacy pociągnęła nosem.

— Proszę, przestań.

Eric zawahał się. Z niewiadomych powodów ta szczególna

cisza zaczęła go niepokoić —wydawała się groźna, złowieszcza. Zerknął na polankę, jakby spodziewał się tam intruza.

— Powiedz mi, ile razy, Stacy.

Znowu pokręciła głową.

— Drań z ciebie.

— Nie złoścę się. Wyglądam, jakby się złościł?

— Czasami cię nienawidzę. Naprawdę.

— Chcę tylko wiedzieć. Chcę tylko...

Stacy zaczęła wrzeszczeć tak głośno, aż podskoczył. Zaciśnęła pięści i szarpała się za włosy.

— Zamknij się! Możesz się zamknąć'? Kurwa, proszę, możesz się zamknąć?

Zrobiła krok do przodu, jakby chciała go uderzyć — z prawym ramieniem uniesionym ponad głowę — ale zastygła w pół kroku i odwróciła się w stronę klapy namiotu.

Eric powiół wzrokiem za jej spojrzeniem. W wejściu stał Mathias, pochylony, zjedną stopą w namiocie, drugą jeszcze na zewnątrz. Był kompletnie przemoczony. Niewiele więcej dało się dostrzec w mroku, ale Eric wyczuwał zmieszanie Niemca, który chyba zamierzał wycofać się z powrotem w noc, żeby nie naruszać ich prywatności.

— Może ty mi powiesz — zwrócił się do niego Eric. - Różnąłeś ją?

Mathias milczał, zbyt zaskoczony, żeby odpowiedzieć.

— Winorośl wydawała dźwięki — wyjaśniła Stacy. — Jakbyśmy uprawiali seks.

Eric wychylił się do przodu, wpatrzył się w twarz Mathiasa, próbując odczytać jej wyraz.

— Powiedz: „Boże, jak dobrze”.

Mathias wciąż trzymał jedną stopę na deszczu. Pokręcił głową.

— Nie rozumiem.

— Albo: „Nie powinniśmy. A jeśli on...”. Możesz to powiedzieć?

— Przestań, Eric — poprosiła Stacy.

Eric okręcił się gwałtownie.

— Nie rozmawiam z tobą. Jasne? — Znowu odwrócił się do Mathiasa. — No już, mów. Chcę usłyszeć twój głos.

— Myślisz, że gdzie jesteś? — zapytał Mathias.

Eric nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Piekło, przyszło mu na myśl. Jestem w piekle. Ale nie powiedział tego.

— Co cię obchodzi... w tej sytuacji... czy Stacy i ja się różniemy? Jakie to ma znaczenie? Tkwimy tutaj w pułapce. Nie mamy jedzenia.

Henrich i Amy zostali zabici. Nie mogę znaleźć Jeffa. A Pablo...

Przerwał, przekrzywił głowę, nasłuchując. Wszyscy słuchali.

Ta cisza, pomyślał Eric.

Mathias znikł z powrotem w deszczu.

— O Boże — jęknęła Stacy, spiesząc za nim. — Och, proszę, nie.

Eric wstał, wciąż owinięty śpiworem. Podeszedł do klapy, wyjrzał w stronę wiaty. Mathias klęczał obok noszy, Stacy stała za nim. Deszcz lał na oboje.

— Tak mi przykro — powtarzała Stacy. — Tak mi przykro.

Mathias podniósł się na nogi. Nic nie powiedział, nie musiał. Kiedy przepychał się obok Erica do wnętrza namiotu, wyraz obrzydzenia na jego twarzy był znacznie bardziej wymowny niż słowa.

Stacy przykucnęła, deszcz ochlapał ją błotem. Objęła rękami kolana, zaczęła się kołysać w przód i w tył.

— Tak mi przykro... Tak mi przykro... Tak mi przykro...

Za nią Eric ledwie rozróżniał sylwetkę Pabla na noszach. Nieruchomą. Milczącą. Podczas gdy oni kłócili się w namiocie, a burza waliła o dach, winorośl wysłała emisariusza. Pojedyncza cienka łodyga owinęła się wokół twarzy Greka, zakryła mu usta i nos, zadusiła go na śmierć.

Nawet kiedy deszcz zaczął padać, Jeff został na posterunku u stóp wzgórza. Jeśli Grecy wyruszyli dziś rano, burza mogła ich czyść podczas marszu po ścieżce. Jeff przez

jakiś czas zastanawiał się, jak Juan i Don Kichot zareagują na zmianę pogody, czy zawrócą i uciekną z powrotem do Coba, czy też zacisną zęby i pomaszczą dalej. Musiał przyznać, że ta druga opcja wydaje się mniej prawdopodobna. Tylko gdyby prawie już dotarli na miejsce, gdyby zeszedli z głównego szlaku i pokonywali właśnie ostatni, stopniowo wznoszący się odcinek drogi, mógł sobie wyobrazić, że brną dalej w tej ulewie.

Zdecydował, że da im dwadzieścia minut.

To sporo czasu, kiedy tak siedział pod gołym niebem, bez osłony, a deszcz walił w niego bez litości. Majowie wycofali się za linię drzew, stłoczyli się razem pod płachtą. Tylko jeden został na polanie, żeby pilnować Jeffa. Sporządził sobie coś w rodzaju poncha z dużego plastikowego worka na śmiecie, w którym wyrwał dziury na ręce i głowę. Jeff pamiętał, że raz wykonał podobny strój na obozie wędrownym, kiedy on i inni skauci niespodziewanie trafili na dwa dni deszczu. W drodze powrotnej do domu musieli przepłynąć się przez rzekę. Tę samą rzekę przekroczyli tydzień wcześniej, idąc do lasu, ale od tamtej pory dramatycznie weszła. Woda płynęła szybko, bardzo zimna, sięgająca do piersi. Jeff rozebrał się do bielizny, przebrnął na drugą stronę z liną przewieszoną przez ramiona. Przywiązał ją do drzewa, żeby inni mogli się jej przytrzymać podczas przeprawy. Pamiętał, jaki odważny się sobie wydawał po dokonaniu tego czynu — niemal bohater — i trochę się zawstydział tego wspomnienia. Zrozumiał teraz, że przez całe życie grał w to czy tamto i zawsze udawał, że to coś więcej niż zabawa. Ale oczywiście tylko udawał.

Deszcz lał równomiernie. Grzmiało, ale nie błyskało. Prawie zapadł mrok, kiedy Jeff wreszcie spojrzął na zegarek, wstał i odwrócił się, żeby odejść.

Ścieżka zrobiła się śliska od błota, wspinaczka sprawiała spore trudności. Jeff ciągle musiał się zatrzymywać, żeby odetchnąć. Właśnie podczas jednej z tych przerw, kiedy spojrzął w dół, próbując ocenić, jak daleko zaszedł, ponownie

przyszedł mu do głowy pomysł ucieczki. Ściemniło się tak, że nie widział już linii drzew. Z pasa oczyszczonej ziemi podnosiła się mgła, jeszcze bardziej przesłaniając widok. Ulewa zgasiła ogniska Majów, jeśli nie zamierzali przez całą noc pełnić warty ramię przy ramieniu na skraju dżungli, Jeff miał spore szanse, żeby prześliznąć się pomiędzy nimi.

Wciąż łało jak z cebra, ale przez chwilę Jeff prawie tego nie czuł. Był wygłodzony, kompletnie wycieńczony. Chciał wrócić do namiotu, otworzyć maleńką puszkę orzeszków i rozdzielić pomiędzy wszystkich. Chciał napić się z kanistra, aż żołądek go rozboli, chciał zamknąć oczy i spać. Zwalczył jednak te pokusy — oraz poczucie klęski, które wciąż go prześladowało i zapowiadało tylko następne rozczarowania — i usiłował wykrzesać z siebie odrobinę nadziei, chociaż ten stan emocjonalny wydawał mu się coraz bardziej obcy. Zapytał siebie: Dlaczego miałoby się nie udać? Dlaczego nie mógł chyłkiem zejść ze wzgórza i zastać polany opuszczonej, Majów stłoczonych pod plastikowymi płachtami, kryjących się przed ulewą? Dlaczego nie mógł prześliznąć się obok nich niepostrzeżenie, zniknąć w dżungli? Mógł się tam ukryć do świtu, wyruszyć do Coba o pierwszym brzasku. Mógł uratować ich wszystkich.

Ale nie — znowu to robił, prawda? Znowu udawał, znowu grał. Bo czy Majowie nie przewidzieli czegoś takiego? Czy nie czekali na niego strażnicy z naciągniętymi łukami? A wtedy musiałby zawrócić na górę, jeszcze bardziej zmęczony, zmarznięty i głodny, tylko niepotrzebnie marnując siły.

I tak kręcił się w kółko, skłaniając się to na jedną stronę, to na drugą, podczas gdy deszcz siekł go z góry, a ciemność gęstniała. W końcu — pomimo głodu, zmęczenia, przecucia klęski — zatriumfowało jego wychowanie, nowoangielskie pochodzenie manifestujące się w całym swoim ascetyzmie, głęboko purytański odruch wybierania zawsze bardziej uciążliwej drogi.

Powoli zszedł z powrotem do stóp wzgórza.

Wyglądało tam dokładnie tak, jak się spodziewał — mgła, deszcz, ciemność — w każdą stronę wzrok sięgał najwyżej na pięć metrów. Jeśli Maja w zaimprovizowanym poncho nadal pełnił rolę pośrodku polany, Jeff teraz go nie widział. Co oczywiście znaczyło, że on z kolei nie widział Jeffa. Jeff musiał tylko przesunąć się w lewo, dwadzieścia metrów, najwyżej trzydzieści, żeby znaleźć się w połowie drogi pomiędzy Majami schowanymi pod płachtą a tymi w następnym obozowisku. A wtedy, gdyby przekradł się przez polanę, okryty mrokiem, deszczem, mgłą, mógłby dotrzeć do dżungli niezauważony.

Odwrócił się w lewo, zaczął iść, odliczając w myślach kroki. Jeden... dwa... trzy... cztery... Ziemia nasiąkła już wilgocią, zmieniła się w głębokie, kleiste błoto, które oblepiało stopy. Jeff przypomniał sobie wcześniejszą próbę ucieczki, tej pierwszej nocy, kiedy próbował się przekraść przez winorośle, jak zaczęły krzyczeć, ostrzegając Majów o jego zamiarach, i zaczął się zastanawiać, dlaczego teraz rośliny pozostają takie spokojne, takie nieruchome. Na pewno wyczuły jego intencje. Oczywiście ta cisza mogła świadczyć jedynie, że Jeff nie ma szans, że winorośl dostrzegła Majów na warcie nawet przez ciemność, deszcz i mgłę, więc wiedziała, że nigdy mu się nie uda — że zostanie albo zawrócony, albo zabity. Jakąś częścią świadomości Jeff zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji logiczny wybór, rozsądny wybór to rezygnacja, powrót na szczyt wzgórza, do bezpieczeństwa.

A jednak szedł dalej.

Trzydzieści kroków, a potem się zatrzymał. Stał i spoglądał w stronę dżungli. Słyszał tylko chlupotanie deszczu na rozmięklej ziemi. Mgła kłębiła się i falowała zwodniczo na wietrze. Jeff ciągle wyławiał jakieś kształty z ciemności, najpierw po lewej stronie, potem po prawej. Każda komórka w jego ciele ostrzegała go, żeby zawrócić, dopóki jeszcze może, co go zbijało z tropu. Przecież właśnie nadeszła ta wymarzona chwila, ucieczka, ocalenie. Jak mógł się tego

wyrzec? Próbował wziąć się w garść, wyobrażał sobie, jak będzie leżał w namiocie za pięć dni, osłabiony głodem, z ciałem odmawiającym posłuszeństwa, jak będzie wspominał tę chwilę wahania — i wściekał się na swoje tchórzostwo, gardził sobą.

Postąpił jeden krok do przodu i zamarł, kiedy następny kształt zmaterializował się we mgle, a potem szybko zniknął. Tak trzeba to robić, pomyślał — jeden ostrożny krok na raz — ale wiedział również, że nie zdobędzie się na ten wysiłek, że jeśli odważy się spróbować, to tylko biegiem. Był zbyt wyczerpany, żeby zastosować inną metodę, nie wytrzymałby nerwowo ostrożniejszego, rozsądniejszego podejścia. Oczywiście ryzykował, że wpadnie prosto na jednego z Majów. Ale może to nie miało znaczenia. Może jeśli rozwinie dostateczną szybkość, minie strażnika i znowu zniknie w ciemnościach, zanim tamten zdąży unieść broń. Wystarczyło dotrzeć do dżungli, a tamci nigdy go nie złapią, nie w taką pogodę — na pewno.

Jeff rozumiał, że jeśli dalej będzie się zastanawiał i spekulował, nic nie zrobi. Musiał albo skoczyć teraz, natychmiast, albo zawrócić. Właściwie już sama ta konkluzja powinna go powstrzymać, ale na to nie pozwolił. Powrót oznaczałby kolejną porażkę, której Jeff nie mógł przełknąć. Cofnął się myślami do tamtego brzegu rzeki dawno temu, do liny przewieszanej przez ramię, przypomniał sobie, jak śmiało wszedł do wody — całkowicie pewny siebie — i spróbował odzyskać tamtą pewność, przynajmniej jej cień.

Potem głęboko zaczerpnął powietrza.

I pobiegł.

Przebiegł pięć kroków, zanim wyczuł ruch po lewej: jeden z Majów wstawał, trzymając przed sobą łuk. Nawet wtedy Jeff miał jeszcze szansę. Mógł się zatrzymać, zawrócić, uśmiechając się ze skruchą do strażnika, podnieść ręce wysoko nad głowę. Łuk należało unieść, naciągnąć, wymierzyć — więc Jeff miał mnóstwo czasu, żeby zademonstrować uległość

i posłuszeństwo. Ale nie mógł się do tego zmusić. Wyruszył i nie zamierzał się zatrzymywać.

Usłyszał krzyk strażnika.

Nie trafi, pomyślał Jeff. Nie...

Strzała trafiła go tuż pod brodą, przebiła gardło, weszła po lewej stronie, wyszła po prawej, na wylot. Jeff upadł na kolana, ale natychmiast znowu się poderwał, myśląc: nic się nie stało, nie jestem ranny, podczas gdy jego usta szybko napełniały się krwią. Zdołał zrobić jeszcze trzy kroki, zanim ugodziła go następna strzała. Ta wbiła się w pierś, kilka cali poniżej pachy, zagłębiła się prawie po lotki. Jeff doznał wrażenia, jakby walnął go młot kowalski. Dech mu zaparło i czuł, że już nie złapie tchu. Znowu upadł, tym razem ciężko. Otworzył usta, z których trysnęła fontanna krwi i rozbryznięła się w błocie. Próbował się podnieść, ale nie miał siły. Nogi go nie słuchały, wydawały się zimne i dalekie, zostały gdzieś z tyłu w ciemnościach. Wszystko się rozmywało — nie tylko wzrok, ale również myśli. Dopiero po chwili zrozumiał, co go chwyciło. Najpierw myślał, że to któryś z Majów.

Ale oczywiście to nie był żaden z nich.

Łodygi wysunęły się na polanę i owijały się wokół jego kończyn, ciągnęły go z powrotem po błocie. Jeszcze raz usiłował się podźwignąć, niezdarnie wykonał coś w rodzaju pompki, zanim winorośl wyszarpnęła spod niego lewe ramię. Padł na strzałę wciąż sterczącą z piersi, ciężar ciała wepchnął ją głębiej. Łodygi wlokły go w stronę wzgórza. Błoto pod nim wydawało się dziwnie ciepłe. Wiedział, że to jego krew. Słyszał, jak winorośl wsysa ją hałaśliwie, wciąga ją przez liście. Na dalekich krańcach jego pola widzenia majaczyły jakieś postacie, kilku Majów patrzących na niego z góry, z łukami wciąż naciągniętymi.

— Ratunku — chciał błagać, ale tylko bulgotał przez krew ciągle wypełniającą usta. Wiedział, że nikt nie słyszy jego słów, nadal jednak usiłował mówić: — Proszę... ratunku...

Tyle tylko zdołał wykrztusić. Potem łodyga zakryła mu usta. Następna wśliznęła się wilgotnie na oczy, na uszy, i świat jakby cofnął się o krok — Majowie patrzący na niego z góry, deszcz, ciepło własnej krwi — jeden krok, a potem drugi, wszystko odchodziło, wszystko oprócz tortury ran, aż wreszcie, w ostatniej długiej chwili przed końcem, pozostała tylko ciemność: ciemność, cisza i ból.

Deszcz padał z niesłabnącą uporczywością. Ściany namiotu nasiąkły wilgocią i coraz bardziej przeciekały. Wkrótce całą podłogę pokryła kałuża wody, głęboka na dwa centymetry. Troje młodych ludzi siedziało w niej po ciemku. Oczywiście nie mogli spać, więc Eric i Stacy zabijali czas rozmową.

Eric błagał ją o przebaczenie, a ona mu wybaczyła. Nachylili się do siebie, objęli. Stacy przesunęła rękę do jego krocza, ale jakoś nie mógł osiągnąć erekcji, więc po chwili przestała. Zresztą i tak pragnęła ciepła — dosłownie i w przenośni — nie seksu. Jednak jego skóra wydawała się zimniejsza niż jej, wyraźnie zimniejsza, im dłużej się obejmowali, tym bardziej Stacy miała wrażenie, że on wysysa z niej ciepło. Kiedy nagle zakaszła i zgiął się wpół, skorzystała z tego pretekstu, żeby odsunąć się od niego.

Próbowała nie myśleć o Pablu, ale nie mogła się powstrzymać. Dziwnie było tu siedzieć, wiedząc, że winorośl właśnie obiera z ciała jego kości, że rano zostanie z niego tylko szkielet. Stacy wciąż od nowa zaczynała oplakiwać jego śmierć — do której się przyczyniła, bo nie potrafiła go przypilnować. Eric pocieszał ją, jak mógł, zapewniał, że to nie jej wina, że Grek został skazany już wtedy, kiedy spadł do szybu, że koniec był dla niego miłosierdziem.

Oczywiście rozmawiali również o Jeffie, zastanawiali się nad jego nieobecnością, rozważali rozmaite wytłumaczenia, powracając obsesyjnie do możliwości, że znalazł drogę uciecz-

ki. Im dłużej o tym dyskutowali, tym bardziej oczywiste to się wydawało Stacy. Co innego mogło się z nim stać? Na pewno wracał już do Coby, jutro przed zachodem słońca zostaną uratowani. Tak. Jednak nie umrą tutaj.

Mathias przez cały czas milczał. Stacy wyczuwała jego obecność w ciemnościach, dwa kroki od nich, wiedziała, że nie spał. Chciała, żeby się odezwał, żeby przyłączył się do budowania ich fantazji. Milczenie sugerowało wątpliwości i Stacy czuła się zagrożona, jakby ten sceptycyzm mógł jakoś odmienić bieg wydarzeń. Zależało jej, żeby on również uwierzył w ucieczkę Jeffa, potrzebowała jego pomocy, żeby to stało się prawdą. Wiedziała, że to bzdury, dziecinne rojenia, ale nie mogła się uwolnić od tej potrzeby, w której obliczu zaczynała wpadać w lekką pa — Mathias? — szepnęła. — Śpisz?

— Nie — odparł.

— Jak myślisz? Czy on mógł uciec?

Deszcz bębnił o namiot, woda kapła miarowo z nylonowego dachu. Eric ciągle kręcił się niespokojnie, wywołując falowanie małej kałuży. Stacy chciałyby, żeby przestał. Sekundy uciekały jedna za drugą, a Mathias nie odpowiadał.

— Mathias?

— Wiem tylko, że tutaj go nie ma — mruknął.

— Więc mógł uciec. Prawda? Mógł...

— Przestań, Stacy.

Zaskoczył ją. Spojrzała w jego stronę.

— Co mam przestać?

— Jeśli pozwolisz sobie na nadzieję, a potem odkryjesz, że się myliłaś, pomyśl, jak okropnie się poczujesz. Nie wolno nam tego robić.

— Ale jeśli...

— Zobaczymy rano.

— Co zobaczymy?

— To, co jest do zobaczenia.

— Więc myślisz, że on...

— Cii. Zaczekajmy. Za kilka godzin się rozwidni.

Wkrótce potem znowu usłyszeli oddech Pabla. Rzężący wdech, świszczący wydech i przerwa, po czym wszystko zaczynało się od nowa. Stacy mimo woli, choć przecież wiedziała, poderwała się na nogi. Mathias również wstał, otarli się o siebie, kiedy oboje ruszyli do kłapy namiotu. Złapał ją za nadgarstek, zatrzymał.

— To winorośl — szepnął.

— Wiem — przyznała. — Ale muszę sprawdzić.

— Ja sprawdzę. Ty zaczekaj tutaj.

— Dlaczego?

— Ona chce nam coś pokazać, nie uważasz? Coś, co z nim zrobiła.

Chce nas wytrącić z równowagi.

Na zewnątrz rozległ się następny rzężący wdech. Brzmiał dokładnie jak oddech Pabla, nawet po wszystkim, co tutaj widziała, nie mogła uwierzyć, że to nie on. Ale wiedziała, że Mathias ma rację, i wiedziała również, że nie chciała patrzeć na to, co winorośl przygotowała dla nich pod wiatą.

— Na pewno? — zapytała.

Wyczuła, że kiwnął głową. Puścił jej przegub, schylił się do kłapy, rozsunął zamek błyskawiczny.

Niemal natychmiast, jak tylko wysunął się na deszcz, oddech ustał. Potem zaczął krzyżeć męski głos. Mówił w obcym języku, dla Stacy to brzmiało jak niemiecki. *Wo ist dein Bruder? Wo ist dein Bruder?*

Stacy usiadła z powrotem. Poszukała w ciemnościach ręki Erica, ścisnęła ją mocno.

— One mówią o jego bracie — powiedziała.

— Skąd wiesz? — zapytał Eric.

— Posłuchaj.

Dein Bruder ist da. Dein Bruder ist da.

Mathias pojawił się ponownie, krople deszczu spływały z niego, kapały z głośnym pluskaniem na zalaną podłogę namiotu. Zasunął zamek błyskawiczny, wrócił na swoje miejsce obok nich.

— Co się stało? — zapytała Stacy.
Nie odpowiedział.
— Powiedz mi — nalegała.
— One go zjadają. Jego twarz... całe ciało zniknęło. Stacy wyczuła, że się zawahał. Jest coś jeszcze, pomyślała i czekała.
W końcu bardzo cicho Mathias powiedział:
— To leżało na jego głowie. Na czaszce.
Podał jej coś w mroku. Stacy wyciągnęła rękę, ostrożnie przyjęła od niego jakiś przedmiot. Przesunęła po nim rękami, badając jego kształt.
— Kapelusz? — zapytała.
— Chyba Jeffa.
Stacy wiedziała, że miał rację — od razu wiedziała — ale nie chciała mu uwierzyć. Szukała innej możliwości, nic jednak nie wymyśliła. Kapelusz był ciężki, nasiąknięty wodą. Musiała zwalczyć pokusę, żeby go odrzucić. Wychyliła się do przodu, oddała kapelusz Mathiasowi.
— Skąd się tam wziął? — zapytała.
— Widocznie winorośl, no wiesz...
— Co?
— Widocznie go zabrała i przeniosła przez wzgórze, z łodygi na łodygę, położyła tam i zawołała nas, żebyśmy go znaleźli.
— Ale skąd w ogóle go wzięła? To znaczy jak...
Urwała, bo odpowiedź sama się nasuwała — tak oczywista. Nie chciała jednak, żeby Mathias wypowiedział na głos te słowa, więc zmieniła kierunek rozmowy, spróbowała przeforsować inną ewentualność.
— Może go upuścił. Może kiedy biegł do dżungli...
Głos z polanki przerwał jej, znowu zawołał: *Dein Bruder ist gestorben. Dein Bruder ist gestorben.*
— Co one mówią? — zapytał Eric.
— Najpierw zapytały, gdzie jest Henrich — odpowiedział Mathias.
— Potem powiedziały, że jest tutaj. Teraz mówią, że on nie żyje.

Wo ist Jeff? Wo ist Jeff?

— A to?

Mathias milczał.

Jeff ist da. Jeff ist da.

Stacy wiedziała, co one mówią— łatwo mogła zgadnąć — ale Eric nie skojarzył.

— To coś o Jeffie? — spytał.

Jeff ist gestorben. Jeff ist gestorben.

Eric ścisnął ją za rękę, pociągnął.

— Czemu on nie chce mi powiedzieć?

— To jest to samo, Eric — szepnęła Stacy.

— To samo?

— Pytają, gdzie jest Jeff. Potem mówią, że jest tutaj. Mówią, że nie żyje.

Na zewnątrz głos nagle się zwielokrotnił, otoczył ich, niosąc się po całym wzgórzu. Przerodził się w chór, potężniejszy z każdą chwilą, który skandował: *Jeff ist gestorben... Jeff ist gestorben... Jeff ist gestorben...*

Deszcz ustał tuż przed świtem. Zanim słońce weszło, chmury zaczęły już się przeredzać i rozdzielać. Eric, Stacy i Mathias wyszli z namiotu o pierwszym brzasku — sztywno, z wahaniem — żeby obejrzeć szkody powstałe w nocy.

Winorośl rozpełzła się po noszach, całkowicie zakryła szczątki Pabla. Kilka łodyg wpełzło się do niebieskiego worka, wypilo całą wodę, jaka zebrała się podczas burzy. Kości Amy zostały wyciągnięte ze śpiwora, rozrzucone bezładnie po całej polance. Eric patrzył, jak Stacy chodzi w oszołomieniu, schyla się i je zbiera. Złożyła je na kupkę obok namiotu.

Eric dostał w nocy kaszlu, suchego, ostrego, z głębi piersi. Głowa go bolała, ubranie miało mokre, skóra mu spierzchnęła i popękała od siedzenia w kałuży. Był głodny, wyczerpany, zmarznięty i przestał już wierzyć, że to się kiedyś zmieni.

Mathias kucnął obok noszy, zaczął odrywać winorośle od zwłok Pabla. Eric, półprzytomny ze zmęczenia, wydawał się nie całkiem rozbudzony, wszystko znowu przybrało nierzeczywisty wymiar, jednocześnie pocieszający i niepokojący. Więc kiedy bezmyślnie podrapał się po piersi i wyczuł tam zgrubienie, ukryte tuż pod skórą, zareagował z zadziwiającym spokojem.

— Gdzie jest nóż? — zapytał.

Mathias obejrzał się na niego.

— Bo co?

Eric podciągnął podkoszulek. Wypukłość wyglądała znacznie gorzej, niż wyczuwał dotykiem, jakby wielka rozgwiazda jakimś sposobem wśliznęła się pomiędzy żebra a skórę. I poruszała się, przesuwając powoli, lecz dostrzegalnie, w dół, w stronę żołądka.

— O mój Boże — powiedziała Stacy. Odwróciła się, zakrywając usta ręką.

Mathias podniósł się, podszedł do niego.

— Czy to boli?

Eric pokręcił głową.

— Zdrętwiało. Nic nie czuję.

Pokazał mu, szturchając wybrzuszenie palcem.

Mathias rozejrzał się po polance, szukając noża. Znalazł go opodal namiotu, na wpół zagrzebanego w błocie. Podniósł go i próbował wytrzeć o dżinsy, wciąż mokre. Nóż zostawił na nich długą brązową smugę.

— Niżej też jest — powiedziała Stacy. Wskazywała jego prawą nogę, ale z odrazą odwracała wzrok.

Eric schylił się i spojrział. Miała rację, węzowata wypukłość wiła się w górę od goleni po wewnętrznej stronie uda. Dotknął jej z wahaniem, również nic nie poczuł. Obrzemiecie prawic całkowicie otoczyło nogę, poczynając od przodu, potem przechodziło za kolanem i zatrzymywało się tuż przed pachwiną. Powinienem wrzeszczeć, pomyślał Eric, ale z niewiadomych powodów zachowywał wyniosły dystans. Stacy chyba najbardziej się przejmowała, unikała jego wzroku.

Eric wyciągnął rękę po nóż.
— Daj mi.
Mathias nie ruszył się z miejsca.
— Musimy go wysterylizować — oświadczył.
Eric pokręcił głową.
— Nie ma mowy. Nie zamierzam czekać, aż...
— Jest brudny, Eric.
— Wszystko mi jedno.
— Nie możesz pociąć się czymś takim...
— Jezu Chryste, Mathias. Popatrz na mnie, kurwa. Naprawdę myślisz, że powinienem się obawiać zakażenia? Albo gangreny? Albo ktoś nas uratuje do jutra, albo to gówno mnie zabije. Nie widzisz?
Mathias milczał.
Eric ponownie wyciągnął rękę.
— Więc daj mi ten cholerny nóż.
Jeff by tego nie zrobił, pomyślał Eric. Jeff trzymałby się zasad, znalazł wodę i mydło, rozpałił ogień, rozgrzał ostrze. Ale Jeffa już nie było i Mathias sam musiał decydować. Zawahał się, patrząc na rozgwieżdżoną piersi Erica, węża okręconego wokół nogi. Eric widział, jak tamten dokonuje wyboru, i z góry znał wynik.
— Dobrze — powiedział Mathias. — Ale ja to zrobię.
Eric zdjął podkoszulek.
Mathias rozejrzał się po błotnistej polance.
— Chcesz się położyć?
Eric pokręcił głową.
— Postoję.
— Będzie bolało. Byłoby łatwiej, gdybyś...
— Nie szkodzi. Po prostu zrób to.
Mathias zaczął od piersi. Wykonał pięć szybkich nacięć, dokładnie nad gwiaździstą wypukłością, potem sięgnął do środka i powoli wyciągnął winorośl z ciała Erica. Zdumiewająco dużo jej było, Mathias musiał wsunąć nóż do tylnej kieszeni dżinsów i obiema rękami wydobyć śliską

Wyloniła się drgająca, pokryta na wpół zakrzepłą krwią. Eric czuł ostry ból — nie od nacinania, ale od wyciągania — jakby wrywano mu jakąś ważną część ciała, jeden z głównych organów. Przypomnił sobie ilustracje z przewodnika Jeffa. Azteków z długimi nożami, wyszarpujących jeszcze bijące serca z ciał swoich jeńców, i nogi się pod nim ugięły. Musiał chwycić Mathiasa za ramię, żeby nie upaść.

Mathias odrzucił na bok wijącą się masę, wylądowała w błocie z wilgotnym plaśnięciem, wciąż skręcała się i rozkręcała.

— Z tobą okay? — zapytał.

Eric kiwnął głową, puścił ramię Mathiasa. Krew spływała mu po torsie, wsiąkała w gumkę szortów. Zwinął podkoszulek, przycisnął do rary — Dalej — rozkazał.

Mathias przysiadł w kukki, jednym gładkim ruchem przeciągnął nóż wokół nogi Erica. I znowu nie nacięcie bolało, dopiero kiedy Mathias sięgnął do środka i wydłubał winorośl z ciała, Eric krzyknął, jęknął, zaskowytał. Poczul się jak obdzierany ze skóry. Usiadł ciężko na ziemi. Krew sikała mu z nogi.

Mathias pokazał mu łodygę. Ta była znacznie dłuższa, z bardziej rozwiniętymi liśćmi i kwiatami, prawie pełnowymiarowa. Skręcała się w powietrzu, jakby szukała Erica, sięgała ku niemu. Mathias cisnął ją w błoto, przydeptał, zmiażdżył — pierwszą też.

— Przyniosę igłę i nitkę — powiedział i ruszył do namiotu.

— Czekaj! — krzyknął Eric. — Jest więcej. — Głos miał cienki i drżący, taki słaby, że sam się przestraszył. — Jest w całej nodze. Jest w ramieniu, na plecach. Czuję, jak się rusza.

To prawda, czuł je teraz wszędzie, leżące tuż pod skórą, napinające się jak mięśnie.

Mathias zatrzymał się i obejrzał na niego, jeden krok przed namiotem.

— Nie, Eric — powiedział. — Nie zaczynaj. — W jego głosie brzmiało znużenie, widoczne też w zapadniętych oczach i zgarbionych ramionach. — Musimy cię zaszyć.

Eric milczał — nagle zakreśliło mu się w głowie. Wiedział, że nie ma siły na kłótnię.

— Tracisz za dużo krwi — dodał Mathias.

Przez chwilę Eric myślał, że zemdleje. Ostrożnie położył się na wznak. Ból nie ustępował. Eric zaniknął oczy i czekająca tam ciemność przywitała go bogactwem kolorów: jaskrawym, drgającym oranżem pogłębiającym się na krawędziach aż do czerwieni. Wyczuwał pustkę, jaką pozostawiły po sobie łodygi w jego piersi i nodze — ból jakoś skupiał się w tych miejscach, jakby ciało traktowało usunięcie winorośli jak rodzaj kradzieży, jakby chciało ją odzyskać.

Usłyszał, jak Mathias wchodzi do namiotu i po chwili wychodzi, ale nie otworzył oczu. Patrzył, jak kolory pulsują w ciemności, jak przeskakują w jaskrawość, kiedy Niemiec nachylił się nad nim i zaczął zszywać ranę na nodze. Nie wspominał już o sterylizacji igły, po prostu zabrał się do pracy. Nacięcie było długie, szycie zabrało trochę czasu. Potem Mathias łagodnie odsunął ręce Erica, podniósł przesiąknięty krwią podkoszulek i zajął się raną na piersi.

Eric powoli się uspokajał. Ból nie zelżał, ale znajome poczucie dystansu powracało, prawie jakby obserwował męczarnie swojego ciała zamiast w nim przebywać. Słońce wspięło się już ponad horyzont — robiło się gorąco — co również pomogło. Przestał wreszcie dygotać.

Stacy przeniosła się na drugą stronę polany, Eric widział, jak się tam kręciła. Odnosił wrażenie, że go unikała, że bała się podejść bliżej. Podniósł głowę, żeby sprawdzić, co ona tam robi. Kucała nad plecakiem Pabla. Wyciągnęła z niego pozostałą butelkę tequili.

— Ktoś chce trochę? — zapytała, podnosząc butelkę.

Eric pokręcił głową i patrzył, jak Stacy znowu zagląda do plecaka. Widocznie znalazła tam wewnętrzną kieszeń. Usły-

szał, jak rozsunęła zamek błyskawiczny. Pogrzebała w środku, wyciągnęła coś.

— Nazywał się Demetris — oznajmiła.

— Kto? — zapytał Mathias. Nie podniósł głowy znad szycia.

Stacy odwróciła się do nich z paszportem w rękę.

— Pablo. Jego prawdziwe nazwisko. Demetris Lambrakis.

Wstała i przyniosła im paszport. Mathias odłożył igłę, wytarł dłonie o dzinsy, wziął od niej dokument. Przyglądał mu się przez długi czas, potem wręczył go Ericowi.

Fotografia w środku przedstawiała trochę młodszego Pabla — również trochę pulchniejszego — ze znacznie krótszymi włosami i absurdalnym wąsikiem. Nosił krawat i marynarkę, wyglądał tak, jakby powstrzymywał uśmiech. Eric zauważył — znowu jakby z wielkiej odległości — że ręce mu się trzęsą. Zwrócił paszport Stacy i opuścił głowę. Demetris Lambrakis. Powtarzał w myślach to nazwisko, jakby usiłował je zapamiętać. Demetris Lambrakis... Demetris Lambrakis... Demetris

Mathias skończył szycie i znowu poszedł do namiotu. Wrócił z puszką orzeszków. Otworzył ją i podzielił zawartość na trzy równe kupki, odliczając orzeszek za orzeszkiem, wykorzystując frisbee jako talerz. Mathias teraz dowodzi. zrozumiał Eric. Wszyscy troje zgodzili się na to bez żadnej dyskusji.

Eric musiał usiąść, żeby zjeść, co okazało się bolesne. Przez chwilę oglądał swoje ciało. Wyglądał jak szmaciana lalka, przekazywana z rąk do rąk przez kolejne pokolenia niedbałych dzieci, zszywana i naprawiana po wielokroć, puszczająca na szwach. Nie wyobrażał sobie, jak w takim stanie zdoła wrócić do domu. Ta myśl osiadła w nim ciężko jak warstwa mułu i napełniła rezygnacją. Ale ciało się tym nie przejęło, nadal zgłaszało potrzeby. Na sam widok orzeszków Eric aż się skrzył z głodu i zjadł je szybko, wpychając do ust, żując, przelękając. Kiedy skończył, zlizął sól z palców.

Mathias podał mu plastikowy kanister i Eric napił się, znowu czując, jak winorośl przemieszcza się w jego ciele.

Słońce wschodziło coraz wyżej, świeciło coraz mocniej. Błoto na polance zaczynało wysychać, odciski ich stóp zastygały tworząc niewielkie zagłębienia, wypełnione cieniem. Wszyscy troje skończyli swoje porcje i teraz siedzieli w milczeniu, spoglądając po sobie.

— Chyba powinienem poszukać Jeffa — powiedział Mathias. — Zanim zrobi się gorąco.

Ten pomysł wyraźnie wywołał w nim wielkie zmęczenie. Stacy wciąż trzymała na kolanach butelkę tequili. Odkręcała ją i zakręcała z powrotem.

— Myślisz, że on nie żyje? — zapytała.

Mathias spojrział na nią, lekko mrużąc oczy.

— Tak samo jak ty nie chcę, żeby to była prawda. Ale chcieć i wierzyć... — wzruszył ramionami. — To nie to samo.

Stacy nie odpowiedziała. Podniosła butelkę do ust, przechyliła głowę do tyłu, łyknęła. Eric widział, że Mathias pragnął odebrać jej butelkę, prawie po nią sięgnął, ale potem się rozmyślił. Różnił się od Jeffa, był zbyt powściągliwy jak na przywódcę, pełen rezerwy. Jeśli Stacy chciała się ryzykownie upić, wybór należał do niej. Nie został nikt, żeby ją powstrzymać.

Mathias dźwignął się na nogi.

— Niedługo wracam — obiecał.

Stacy natychmiast odstawiła butelkę, zerwała się i podbiegła do niego.

— Ja też pójdę.

Eric znowu odniósł wrażenie, że ona się go boi, przeraża ją to, co się dzieje w jego ciele. Widział, że nie chciała z nim zostać sam na sam.

Mathias zerknął na Erica, na jego nagi, zakrwawiony, zabłocony tors.

— Dasz sobie radę? — zapytał.

Nie, pomyślał Eric. Jasne, że nie. Ale nie wymówił tego na

głos. Pomyślał o nożu, do którego uzyska swobodny dostęp, sam jeden na polance. Kiwnął głową. Potem położył się w słońcu, dziwnie spokojny, i patrzył, jak tamci odchodzą razem, znikają na ścieżce.

Stacy i Mathias stali przez chwilę u stóp wzgórza, patrząc na pas oczyszczonej ziemi zamknięty ścianą drzew. Z wierzchu słońce kło już cienką, kruchą warstwę, ale pod spodem błoto wciąż sięgało do kostek. Majowie brodzili w nim mozolnie, muł oblepiał im stopy. Stacy patrzyła, jak dwie kobiety rozkładają rzeczy do suszenia. Miały wielki toból: koce, ubrania.

Trzech Majów stało obok ogniska. Jednym był ten łysy mężczyzna z pierwszego dnia, z pistoletem na biodrze. Dwaj pozostali byli znacznie młodszy, jeszcze niemal chłopcy. Obaj trzymali łuki. Łysy podwinął do kolan białe spodnie, pewnie żeby ich nie zabrudzić, domyślała się Stacy. Łydki miał bardzo chude, niemal wyschnięte.

Mathias wyszedł na polanę, jego buty znikły w błocie. Spojrzał w lewo, zagapił się. Nie zmienił wyrazu twarzy, ale Stacy wiedziała, na co patrzył. Tequila kwaśno osiadła jej w żołądku, aż zakręciło jej się w głowie, pot spływał po plecach. Teraz mogła zrobić tylko jedno — nie miała wyboru — ale zwlekała, nie chciała jeszcze dołączyć do Mathiasa, szukała jakiegoś buforu pomiędzy jego a swoim widzeniem. Starannie zdjęła sandały, jeden po drugim, ustawiła je pośrodku ścieżki, jeden obok drugiego. Potem weszła w błoto. Okazało się zimniejsze, niż uważała za możliwe — skojarzyło jej się ze śniegiem — i skupiła się na tym (białe jak spodnie łysiego mężczyzny, białe jak kość), spoglądając w stronę wzgórka odległego o dwadzieścia pięć metrów, małego półwyspu zieleni wysuniętego na oczyszczoną ziemię jak palec. W narastającym upale obraz lekko drgał, Stacy łatwo mogła sobie wmówić, że to jedynie miraż. Wiedziała jednak,

że to Jeff, wiedziała, że ich opuścił, całkiem jak Amy i Pablo, że teraz zostało ich tylko troje. Sięgnęła po dłoń Mathiasa z lekką obawą, że ją odtrąci, ale nie, wzięli się za ręce i razem ruszyli przed siebie, w milczeniu.

Wędrowali wzdłuż podstawy wzgórza, trzymając się blisko winorośli, brnąc przez błoto. Nie rozmawiali. Łysy Maja szedł za nimi w towarzystwie dwóch młodych luczników. Nie musieli iść daleko.

Mathias kucnął przy pagórku, zaczął odrywać łodygi i powoli odsłaniać ciało Jeffa. Wciąż dało się go rozpoznać, został tylko częściowo zjedzony, jakby winorośl specjalnie powściągnęła głód, żeby im zademonstrować, że Jeff nie żyje. Leżał rozciągnięty na brzuchu, z rękami nad głową, wyglądał tak, jakby go wleczono po ziemi za nogi. Mathias obrócił go na wznak. Na szyi widniały dwie rany, po obu stronach, a koszula całkowicie przesiąkła krwią. Z dolnej części twarzy znikło ciało, odsłaniając zęby i kość żuchwy, ale oczy pozostały nietknięte. Otwarte i mętne, patrzyły na nich z dołu. Stacy musiała odwrócić wzrok.

Zaskoczył ją własny spokój, aż się przestraszyła. Kim jestem? — pomyślała. Czy wciąż jestem sobą?

Mathias odpiął Jeffowi zegarek. Potem sięgnął do jego kieszeni, wyciągnął portfel. Na prawej dłoni Jeff nosił srebrną obrączkę, którą Mathias też zdjął. Musiał się namęczyć — ciągnąc i szarpać — zanim wreszcie pierścionek się zsunął.

Stacy pamiętała, jak kupowały obrączkę razem z Amy. Znalazły ją w lombardzie w Bostonie. Amy podarowała ją Jeffowi na rocznicę ich pierwszej randki. Przez następne lata obie przyjaciółki wielokrotnie próbowały sobie wyobrazić jej pierwotnego właściciela — jak wyglądał, dlaczego tak się stoczył, że musiał zastawić taką piękną rzecz. Stworzyły z tych fantazji pełnokrwistą postać, nieudanego muzyka, trochę ćpuna, trochę dilerka, który zdobył sobie wątpliwą sławę tym, że kiedyś podobno sprzedał działkę heroiny Milesowi Dayisowi. Wymyśliły mu imię i nazwisko, Thaddeus Fremont, i za

każdym razem, kiedy widziały jakiegoś wynędzniałego staruszka człapiącego przez ulicę, poszturchiwały się i szeptały do siebie: „Patrz... to Thaddeus. Szuka swojej obrączki”. Mathias podał jej rzeczy Jeffa, a ona je wzięła.

— Powinienem zabrać też rzeczy Henricha — powiedział. — Nosił wisiołek... amulet na szczęście.

Dotknął swojej piersi, żeby pokazać, gdzie wisiał amulet. Potem przez chwilę spoglądał na drugą stronę polany, jakby chciał teraz po niego pójść. Ale kiedy wstał, odwrócił się z powrotem do ścieżki.

Ruszyli razem, idąc obok siebie — znowu w milczeniu. Błoto oblepiało stopy Stacy, szła z trudem, jakby nosiła ciężkie buty.

— Chociaż się nie sprawdził — odezwał się Mathias. Stacy spojrziała na niego.

— Kto się nie sprawdził?

— Amulet na szczęście.

Nie wiedziała, jak zareagować. Zdawała sobie sprawę, że to żart, przynajmniej próba żartu, ale sam pomysł, żeby skwitować to śmiechem czy nawet uśmiechem, wydawał się odrażający. Brzęczenie w głowie powróciło, nagle oczy zaczęły jej się zamykać. Z niewiadomego powodu bolały od mówienia. Szła dalej, obejmując się skrzyżowanymi ramionami, ściskając w jednej ręce zegarek Jeffa, w drugiej portfel i obrączkę.

Odczekała dostatecznie długo, żeby mogła udawać, że Mathias wcale się nie odzywał — aż prawie doszli do ścieżki — zanim zapytała:

— Co teraz zrobimy?

— Chyba wrócimy do namiotu. Spróbujemy odpocząć.

— Czy ktoś nie powinien wypatrywać Greków? Mathias pokręcił głową.

— Najwcześniej za godzinę albo dwie.

Myśli Stacy pobiegły do namiotu, do małej polanki. Przypomniała sobie Pabla na noszach, męczarnie, jakie tam wycierpiał. Przypomniała sobie, jak tego ranka schylała się, żeby

pozbierać kości Amy, tak zwyczajnie, jakby sprzątała po przyjęciu.

Znowu usłyszała w głowie te słowa: Czy wciąż jestem sobą?

Bez ostrzeżenia zaczęła płakać. Przypominało to atak kaszlu — dwa tuziny głębokich szlochów — i trwało niecałą minutę. Mathias czekał obok, aż jej przeszło. Potem położył jej rękę na ramieniu.

— Chcesz usiąść na chwilę? — zapytał.

Stacy podniosła wzrok, rozejrzała się dookoła. Stali w błocie głębokim do kostek. Po prawej zbocze wznosiło się stromo, okryte płaszczem winorośli. Po lewej, w połowie szerokości polany, stało trzech Majów i patrzyło na nich. Pokręciła głową, otarła twarz.

— Eric umiera, prawda? — zapytała. — To jest w nim i on umrze.

Podczas ataku płaczu rozwarła dłonie, upuściła zegarek Jeffa, portfel i obrączkę. Mathias kucnął, żeby je pozbierać. Zabrudziły się błotem, więc próbował je wytrzeć o spodnie.

— Nie wiem, czy to zniosę, Mathias. Patrzenie, jak on umiera.

Mathias wsunął obrączkę Jeffa do portfela. Zauważyła, że ręce mu krwawią, skóra popękała od soku winorośli. Ubranie wisiało na nim w strzępach. Szczecina zarostu gęstniała i zmieniała się w brodę, co go postarzało. Kiwnął głową.

— Nie — powiedział. — Oczywiście, że nie.

Stacy odwróciła się, spojrzała w stronę trzech Majów. Obserwowali ją, unikając jej spojrzenia. Zakładała, że robili to świadomie, że nauczyli się tej sztuczki, żeby ułatwić sobie uciążliwe obowiązki. Zdawało jej się, że trudniej jest zabić osobę, której się patrzyło w oczy.

— Jak myślisz, co by zrobili, gdybyśmy teraz do nich podeszli? — zapytała. — Gdybyśmy po prostu szli dalej, prosto na nich?

Mathias wzruszył ramionami. Odpowiedź była oczywista.

— Zastrzelą nas.

— Może powinniśmy tak zrobić. Może powinniśmy zwyczajnie z tym skończyć.

Mathias popatrzył na nią, jakby poważnie rozważał ten pomysł. Potem jednak pokręcił głową.

— Ktoś przyjedzie, Stacy. W końcu. Skąd możemy wiedzieć na pewno, że nie dzisiaj?

— Ale może nie. Prawda? Może dopiero za parę tygodni. Albo miesiący. Albo nigdy.

Mathias nie odpowiedział, tylko patrzył na nią. Od pierwszej chwili, kiedy się poznali, jego spojrzenie — takie poważne, takie nieruchome — trochę ją przerażało. Po kilku sekundach musiała odwrócić wzrok. Wtedy on wziął ją za rękę i wciąż bez słowa poprowadził przez polaną z powrotem w stronę ścieżki.

Eric czuł, jak winorośl porusza się w jego ciele. Na wysokości krzyża, pod lewą pachą, na prawym ramieniu. Nóż leżał trzy metry dalej — ubłocony, wciąż umazany jego krwią. Eric zakładał, że zacznie się ciąć natychmiast, jak tylko Stacy i Mathias opuszczą polankę, ale potem nadeszła ta chwila i odkrył, że za bardzo się boi. Stracił już przerażającą ilość krwi — widział to, patrząc na swoje ciało — i nie wiedział, ile jeszcze może przelać.

Usiadł, odetchnął głęboko i zgiął się w pół w ataku suchego kaszlu. Nie czuł flegmy, tylko coś tkwiącego w klatce piersiowej, czego nie powinno tam być, czego jego ciało daremnie usiłowało się pozbyć. Walczył z tym kaszlem przez całą noc, sam się zdziwił, że wcześniej nie domyślił się jego przyczyny. Oczywiście to winorośl — na pewno. Tak, jakaś łodyga wrastała mu w płuca.

Powinienem wrócić do namiotu, pomyślał. Powinienem się położyć. Nieważne, że tam jest mokro. Ale nie ruszył się z miejsca.

Znowu zakaszał.

Uważał, że poszłoby łatwiej, gdyby Stacy z nim została. Mogła z nim dyskutować, zabraniać. On mógł usłuchać — kto wie? A jeśli nie, zawsze mogła złapać go za rękę, przytrzymać. Ale odeszła — opuściła go — więc nikt nie mógł go powstrzymać, kiedy wstał i podniósł nóż.

Usiadł z powrotem, trzymając nóż na kolanach.

Znowu chciał zagrać w słowa, w swój wymyślony słownikowy test, ale nie pamiętał, do której litery ostatnio doszedł. Poruszenia wewnątrz jego ciała nie pozwalały mu się skupić. Wydawało się ważne, żeby je rejestrował. Wierzch prawej stopy... kark...

Pochylił się do przodu, podrapał się po lewej łydce, wyczuł tam guz. Patrzył, jak wypukłość się spłaszcza, a potem znowu pęcznieje trochę niżej na nodze. Miała rozmiary niemal piłeczki golfowej. Kiedy ją szturchnął palcem, poczuł znajome odrętwienie.

Wiedział, że nacięcie go nie zaboli, dopiero przy wyciąganiu narobiłby wrzasku. Siedząc i rozmyślając o tym, zauważył drugą wypukłość. Sterczała na lewym przedramieniu, znacznie mniejsza od pozostałych, długa na jakieś osiem centymetrów i cienka jak robak. Dotknął jej, a ona znikła, zagrzebała się w ciele.

Oczywiście tego było już za dużo dla Erica, nie mógł po prostu siedzieć spokojnie i patrzeć, jak te bąble pojawiają się i znikają na jego ciele. Musiał coś zrobić, a rozwiązanie istniało tylko jedno, prawda?

Podniósł nóż, pochylił się do przodu, zaczął ciąć.

Ścieżka prowadząca na wierzchołek wzgórza zrobiła się jakby bardziej stroma, odkąd Stacy ostatnio tędy wchodziła. W miarę jak wspinali się coraz wyżej, zaczęła dyszeć, ubranie lepiło jej się do spoconego ciała. W boku kłuła ją kolka. Mathias chyba zdawał sobie sprawę z jej stanu, bo zatrzymał się — chociaż byli już prawie na szczycie — żeby mogła odpocząć. Stał obok niej, spoglądając na zbocze, podczas gdy Stacy usiłowała złapać oddech.

Serce dopiero zaczęło jej zwalniać, kiedy rozległy się głosy.

Wo ist Eric? Wo ist Eric?

Odwrócili się, spojrzeli na siebie.

Eric ist da. Eric ist da.

— O Jezu — powiedziała Stacy. — Nie.

Eric ist gestorben. Eric ist gestorben.

Oboje ruszyli biegiem, ale Mathias był szybszy. Znalazł się na polanie, zanim tam dotarła. Stał i gestykułował, powtarzając w kółko jedno słowo surowym tonem. Ze zmęczenia i rozpaczony powrócił do ojczystego języka.

— *Genug* — powtarzał. — *Genug*.

Stacy dopiero po chwili zrozumiała, że zwracał się do Erica. Na polance pojawił się upiór — tak pomyślała w pierwszej chwili — jakiś nowy potwór wykluty w czeluściach kopalni: zalany krwią, nagi, o dzikim spojrzeniu, z nożem w ręku. Ale nie, to był Eric. Zdarł sobie z ciała mnóstwo skóry, która zwisała w strzępach. Stacy widziała mięśnie jego nóg, mięśnie brzucha, błysk kości na lewym łokciu. Włosy miał zlepione po prawej stronie głowy i zobaczyła, że obciął sobie ucho.

Głos Mathiasa wzniosł się do krzyku:

— *Genug, Eric! Genug!*

Gestami nakazywał Ericowi odłożyć nóż, jednak Stacy wiedziała, że Eric nie posłucha. Wydawał się przerażony, oszalały ze strachu, jakby atakował go jakiś obcy.

— Eric — zawołała Stacy. — Proszę, kochanie. Posłuchaj...

Potem Mathias zrobił krok do przodu i sięgnął, żeby wyrwać nóż z ręki Erica.

Stacy wiedziała, co zaraz się stanie.

— Nie! — krzyknęła.

Ale już było za późno.

Kiedy już Eric zaczął, nie mógł przestać. Najpierw uporał się z guzem na nodze, co okazało się łatwe: wykonał pojedyncze krótkie nacięcie i znalazł to tuż

pod skórą, ciasno zwiniętą kulkę winorośli, nie większą od orzecha włoskiego. Wyciągnął ją z ciała, odrzucił na bok. Potem zaczął z prawym przedramieniem. Tutaj sprawy trochę się skomplikowały. Zrobił małe nacięcie tam, gdzie dostrzegł wybrzuszenie w kształcie robaka... ale nie nie znalazł. Grzebał czubkiem noża, potem powiększył krwawą szparę, przeciągnął ostrze gładką linią od łokcia do nadgarstka. Poczł ostry ból — z trudem utrzymał nóż w ręku — ale strach był gorszy. Wiedział, że winorośl tam jest, i musiał ją znaleźć. Dalej kroił, rozcinał głębiej, potem sięgał na boki, wpychał nóż pod skórę po obu stronach nacięcia, podważał, odrywał, aż odsłonił całe przedramię. Krew płynęła coraz bardziej obficie — za dużo krwi — już nie widział, co robi. Próbował ją ocierać ręką, ale płynęła dalej. Skóra zwisała mu z łokcia jak urwany

Coś nagle ścisnęło mu prawy pośladek, jakby chwyciła go czyjaś ręka. Zerwał się na nogi, zrzucił szorty i bieliznę, wykręcił się, żeby zobaczyć. Nic jednak nie zauważył i chciał już sprawdzić nożem, kiedy poczuł ruch na torsie, tuż nad pępkiem, powolne przesuwanie w górę. Szybko przeniósł tam uwagę, ciachnął nożem. Winorośl znajdowała się tuż pod powierzchnią, długa prawie na pół metra łodyga wypadła z niego, dyndała pod raną, skręcając się i wijąc w powietrzu, krew spływała po niej i rozpryskiwała się na ziemi. Łodyga wciąż w nim tkwiła, przyczepiona gdzieś wyżej w ciele. Musiał przeciągnąć nożem niemal do prawego sutka, zanim wysliznęła się z niego.

Potem zajął się lewym udem.

Prawym łokciem.

Karkiem.

Krew była wszędzie. Czuł jej zapach — metaliczny, miedziany odór — i wiedział, że słabnie z każdą chwilą, w miarę jak się wykrwawia. Częścią umysłu rozumiał, że to katastrofa, że powinien przestać, że wcale nie powinien zaczynać. Ale inna część wiedziała tylko, że winorośl kryje się w jego ciele

i musi się jej pozbyć, za wszelką cenę. Mogą go pozszywać, kiedy wróca, mogą owinać go bandażami, zawiązać opaski uciskowe na kończynach. Najważniejsze, żeby nie przestawać. dopóki nie skończy, bo inaczej cały ten ból pójdzie na marne. Musi dalej kroić i rozcinać, aż usunie wszystkie pędy do ostatniego.

Winorośl dostała się do prawego ucha. To wydawało się niemożliwe, ale kiedy dotknął bulwiastej masy chrząstki, poczuł ją tam, tuż pod skórą. Nie myślał już, tylko działał. Zaczął piłować ucho, trzymając nóż płasko z boku głowy. Jęknął, zakrzyczał. Nie z bólu — chociaż był niemal nie do zniesienia — tylko dlatego, że ostrze rozdzierające tkankę wydawało taki przeraźliwy hałas.

Potem przyszła kolej na lewą goleń.

Prawe kolano.

Obierał ze skóry dolną część klatki piersiowej, kiedy na polance pojawił się Mathias. Czas zaczął płynąć w dziwny sposób, jednocześnie bardzo wolno i bardzo szybko. Mathias wrzeszczał, ale Eric nie rozumiał, co tamten mówi. Chciał wyjaśnić Niemcowi, co robił, chciał mu udowodnić logikę swoich działań, wiedział jednak, że to niemożliwe, że to zabierze zbyt wiele czasu, że Mathias nigdy nie zrozumie. Musiał się spieszyć — o to chodziło — musiał pozbyć się tego, zanim straci przytomność, czuł, że to już niedługo.

Potem również Stacy znalazła się na polanie. Powiedziała coś, zawołała jego imię, ale prawie jej nie słyszał. Musiał ciąć dalej — tylko to się liczyło — i właśnie się pochylał w tym celu, kiedy Mathias rzucił się na niego, sięgając po nóż.

Eric usłyszał krzyk Stacy:

— Nie!

Trząsł się — nie całkiem panował nad swoim ciałem — reagował odruchowo. Chciał tylko odepchnąć Mathiasa, odsunąć go, zrobić sobie miejsce, żeby dokończyć to, co zaczął. Ale kiedy wyrzucił ręce przed siebie, jedna z nich wciąż trzymała nóż. Zaszokowało go, jak łatwo ostrze wbiło się

w pierś Niemca, wśliznęło się pomiędzy dwa żebra, tuż na prawo od mostka, i tam utkwiło.

Nogi ugięły się pod Mathiasem. Upadł na plecy, dalej od Erica, zabierając ze sobą nóż.

Stacy zaczęła wrzeszczeć.

— *Warum?* — zapytał Mathias, patrząc na Erica. — *Warum?*

Eric słyszał krew w głosie Mathiasa, widział, jak się rozlewa po jego koszuli. Rękojeść noża poruszała się w przód i w tył, drgała jak metronom. Eric wiedział, że te ruchy wywołuje serce Mathiasa. Wbił mu nóż prosto w serce.

Mathias próbował się podnieść. Zdołał usiąść, podpierając się jedną ręką, ale widać było, że na więcej się nie zdobędzie.

— *Warum?* — powtórzył.

Potem winorośle znowu wkroczyły do akcji, szybko wpełzły na polankę, pochwytyły Niemca, owinęły się wokół jego ciała. Stacy doskoczyła do niego. Chciała go uwolnić — bardzo się starała — ale winorośli było za wiele.

Eric czuł, że słabnie. Musiał usiąść, niezdarnie, prawie upadł w wielką kałużę krwi — swojej i Mathiasa. To absurdalne, ale wciąż chciał odzyskać nóż, podczołgałby się i wyrwał go z piersi Niemca, gdyby tylko wystarczyło mu sił. Patrzył, jak rękojeść drga w przód i w tył, w przód i w tył, w przód i w tył.

Coraz więcej pędów przybywało. Stacy szarpała je ze szlochem.

Eric wiedział, że wkrótce sięgną również po niego.

Zamknął oczy, tylko na chwilę, ale wystarczyło. Kiedy znowu je otworzył, nóż zaprzestał nerwowych podrygów.

Stacy siedziała przy Ericu, trzymając jego głowę na kolanach. Winorośl zabrała ciało Mathiasa, odciągnęła w gąszcz. Stacy wciąż widziała jego prawy but wystający z masy zieleni, ale resztę zakryły łodygi. Spoczywały bez

ruchu, w ciszy, tylko czasami cicho szeleściły, pracowicie konsumując jego ciało.

Stacy nie rozumiała, dlaczego winorośle zwlekają z zabiciem Erica. Nie mogły go obronić — jak nie mogła obronić Mathiasa — i rośliny na pewno o tym wiedziały. Ale wysłały tylko pojedynczy długi pęd, który hałaśliwie siorbał ogromną kałużę krwi wokół nich i powoli ją osuszał.

Zostawiły Erica w spokoju.

Ale Stacy nie miała wątpliwości, jak to się skończy, widziała, że umierał. Początkowo zdawało się, że to kwestia minut. Krew sączyła się z niego, kapała i wyciekała cienkimi strumyczkami, zbierała się w dołkach nad obojczykami, wypełniała głębsze rany. Wydzielał silny, jakby metaliczny zapach, który z niewiadomych powodów przypominał Stacy zbieranie monet w dzieciństwie, polerowanie centów, sortowanie ich według dat.

Pogłaskała go po głowie, a on jęknął.

— Jestem tutaj — powiedziała. — Jestem tutaj.

Ku jej zaskoczeniu otworzył oczy, spojrzał na nią jakby ze strachem. Próbował coś powiedzieć, ale wydobył z siebie tylko szept, bardzo ochryply, za cichy, niedosłyszalny.

Nachyliła się bliżej.

— Co?

Znowu ten słaby szept.

— Nagi? — zapytała.

Zamknął oczy, znowu z wysiłkiem dźwignął powieki.

— Nie szkodzi, że jesteś nagi, Eric.

Zobaczyła, jak przełknął ślinę i chyba go zabolalo. Oddychanie też chyba go bolało. Wszystko bolało.

— Nic nie szkodzi.

Powoli pokręcił głową. Widziała, jak się skupiał, starał się wyartykułować słowa.

— Zabij... mnie — powiedział.

Stacy zagapiła się na niego. Nie, myślała. Nie, nie, nie. Chciała, żeby znowu zamknął oczy, żeby stracił przytomność.

— To... boli...

Kiwnęła głową.

— Wiem. Ale...

— Proszę...

— Eric...

— Proszę...

Stacy zaczęła płakać. Teraz rozumiała, dlaczego winorośle zostawiły go nietkniętego: żeby ją torturować jego umieraniem.

— Wyzdrowiejesz. Obiecuję. Musisz tylko odpocząć.

Jakimś cudem Eric zdobył się na krzywy uśmiech. Sięgnął ręką, znalazł jej dłoń, uściskał.

— Bła... gam... cię.

Tego było za wiele dla Stacy, zamilkła.

— Nóż...

Pokręciła głową.

— Nie, skarbie. Cii.

— Bła... gam... — powtórzył. — Bła... gam...

Wiedziała, że on nie przestanie. Będzie tak leżał z głową najej kolanach, krwawiący, cierpiący, błagający ją o pomoc, podczas gdy słońce powoli będzie toczyło się po niebie. Jeśli chciała to zakończyć — krwawienie, cierpienie, błaganie — musiała sama to zrobić.

— Bła... gam...

Stacy ostrożnie przesunęła na bok jego głowę, wstała. Przyniosę mu, myślała. Pozwolę mu to zrobić. Podeszła do skraju polanki, wkroczyła w winorośle, kucnęła obok ciała Mathiasa, rozgarnęła lodygi. Rośliny obrały już z ciała jego prawe ramię aż do barku. Twarz pozostała jednak nietknięta, otwarte oczy patrzyły na nią. Stacy musiała powstrzymać odruch, żeby je zamknąć. Nóż nadal sterczał z piersi. Chwyliła go, szarpnęła i wyśliznęła się gładko. Zaniosiła go Ericowi.

— Masz — powiedziała. Włożyła mu nóż do prawej ręki, zacisnęła jego palce na rękojeści.

Ponownie obdarzył ją tym krzywym uśmiechem, powoli pokręcił głową.

- Za... słaby... — szepnął.
- Więc czemu nie odpoczniesz? Zamknij oczy i...
- Ty... — Popychał nóż w jej stronę. — Ty...
- Nie mogę, Eric.
- Proszę... — Znalazł jej rękę i nóż, ścisnął je razem. — Proszę...

Wiedziała, że to koniec — koniec życia Erica. Pozostało mu tylko cierpienie. Chciał jej pomocy, rozpaczliwie pragnął. A jeśli ona odrzuci jego błagania, jeśli usiądzie wygodnie i pozwoli mu konać w męczarniach, tylko dlatego, że jest zbyt wydelikaccona, zbyt wystraszona, żeby zrobić to, co należy, czy nie popełni grzechu? Mogła mu ulżyć w cierpieniu, a jednak wybrała inaczej. Więc w pewnym sensie ponosiła odpowiedzialność za jego agonię.

Kim jestem? — pomyślała znowu. Czy wciąż jestem sobą?

— Gdzie? — zapytała.

Wziął ją za rękę, tę z nożem, przyciągnął ostrze do swojej piersi.

— Tutaj... — Oparł czubek noża obok mostka. — Tylko... pchnij...

Tak łatwo byłoby wyrwać nóż, odrzucić na bok, Stacy rozkazywała swojemu ciału, żeby tak zrobiło, usiłowała je wprowadzić w ruch. Ale nie słuchało rozkazów, nie poruszyło się.

— Proszę... — szepnął Eric.

Zamknęła oczy. Czy wciąż jestem sobą?

— Proszę...

A potem to zrobiła, nachyliła się i naparła na nóż całym ciężarem.

Ból. Przez mgnienie Eric uświadamiał sobie tylko to jedno, jakby coś wybuchło mu w piersi. Widział nad sobą Stacy, taką wystraszoną, taką zapłakaną. Próbował mówić, próbował

powiedzieć: „Dziękuję” i „Przepraszam”, i „Kocham cię”, ale słowa nie przychodziły.

Pewnego popołudnia w Cancun wybrali się do przydrożnego zoo, dla hecy. Trzymano tam najwyżej tuzin zwierząt, z czego jedno opisano jako zebkę, chociaż najwyraźniej był to osioł pomalowany w czarne pasy. Niektóre pasy się rozmazały. Podczas gdy cała czwórka gapiała się na osła, ten nagle rozstawił nogi i zaczął sikać potężnym strumieniem. Amy i Stacy dostały ataku chichotu. Z jakiegoś powodu Eric teraz to sobie przypomniał — sikający osioł, dziewczyny obejmujące jedna drugą, dźwięk ich śmiechu.

Dziękuję ci, usiłował powiedzieć. Przepraszam. Kocham cię.

A ból powoli ustępował... wszystko... odsuwało się coraz dalej... coraz dalej... coraz dalej...

Winorośle zabrały jego ciało. Stacy nie próbowała z nimi walczyć, wiedziała, że to bezcelowe.

Słońce stało prosto nad głową, przypuszczała, że do zachodu zostało jakieś sześć godzin. Przypomniała sobie słowa Mathiasa „Skąd możemy wiedzieć na pewno, że nie dzisiaj?” — i próbowała zaczerpnąć z nich odrobinę nadziei. Dopóki było jasno, jakoś się trzymała. Przerazała ją tylko ciemność, perspektywa samotnej nocy w namiocie, kiedy strach nie pozwala zasnąć.

To nie ona powinna przeżyć, tylko Jeff. On nie patrzyłby ze strachem, jak słońce rozpoczyna długą wędrówkę na zachód. Woda, jedzenie i schronienie — zaplanowałby to wszystko, inaczej niż ona, która w ogóle nie miała żadnego planu.

Po prostu usiadła przed namiotem i zjadła resztę zapasów — precelki, dwa proteinowe batoniki, rodzynki, małe paczuski krakersów — popijając puszką coca-coli i butelkami mrożonej herbaty.

Wszystko — zjadła wszystko.

Patrzyła na polankę i rozmyślała o wielu innych, którzy umarli w tym miejscu, nieznanym, po których zostały kopczyki kości rozrzucone na wzgórze. Każdy i każda z nich przeszli tutaj swoją gehennę. Tyle bólu, tyle rozpacz, tyle śmierci.

Ucieczka na oślep z płonącego budynku — czy to można nazwać planem?

Stacy pamiętała, jak pewnego wieczoru rozmawiali o samobójstwie, wszyscy czworo trochę pijani, wybierając dla siebie ewentualne metody. Ona wyciągnęła się na łóżku, oparta o Erica. Amy i Jeff na podłodze grali bez zapału w tryktraka. Jeff, zawsze kompetentny, powiedział im o pigułkach i plastikowej torbie — twierdził, że to jednocześnie bezbolesne i niezawodne. Eric zaproponował dubeltówkę, lufę w ustach, duży palec u nogi na spuście. Amy wołała upadek z dużej wysokości, ale zamiast skoczyć, chciała, żeby ktoś ją zepchnął, i długo się sprzeczali, czy to się liczy za samobójstwo. W końcu poddała się i wybrała tlenek węgla, samochód z pracującym silnikiem w pustym garażu. Stacy przedstawiła bardziej fantastyczny wariant: łódka, daleko na morzu, ciężarki, żeby ściągnąć jej ciało w głębinę. Spodobał jej się pomysł, żeby zniknąć, zostawić po sobie tajemnicę.

Oczywiście tylko żartowali. Dla zabawy.

Stacy odczuwała skutki kofeiny zawartej w coca-coli i mrożonej herbacie, zaczęła się trząść. Podniosła ręce do twarzy i zobaczyła, że drżą.

Oczywiście nie miała tutaj łódki, samochodu na jałowym biegu, dubeltówki ani pigulek. Pozostawał skok do szybu. Lina zwisająca z kołowrotu. Majowie czekający u stóp wzgórza z lukami i karabinami.

I jeszcze nóż.

„Skąd możemy wiedzieć na pewno, że nie dzisiaj?”

Znalazła parasol, za pomocą taśmy klejącej naprawiła szkody wyrządzone przez burzę. Zabrała butelkę tequili porzuconą na środku polany. Potem zeszła na dół ścieżką.

Wzięła także nóż.

Majowie patrzyli, jak się zbliżała, widzieli jej zakrwawione ubranie, jej drżące ręce. Usiadła na skraju polany, z nożem na kolanach, z parasolem opartym na ramieniu. Odkręciła butelkę tequili, pociągnęła długi łyk.

Przyjemnie byłoby wymyślić jakiś sposób, żeby ostrzec tych, którzy jeszcze kiedyś tu przyjdą. Chciałaby, żeby to właśnie jej inteligencja i dalekowzroczność uratowała czyjeś życie. Ale widziała tę brytfannę z jednym słowem wyskrobanym na dnie, zdawała sobie sprawę, że inni próbowali i przegrali, i nie przypuszczała, żeby akurat jej się udało. Mogła tylko liczyć, że sam niemy fakt jej obecności w tym miejscu, kopczyk jej kości spoczywający u wylotu ścieżki, odpowiednio zasygnalizuje niebezpieczeństwo.

Piła. Czekala. Nad nią słońce nieubłaganie przesuwało się na zachód.

Nie, nie można tego nazwać planem.

Stacy wylała trochę tequili na ostrze noża, wyszorowała je podkoszulkiem. Wiedziała, że to głupie — niepotrzebne i nieskuteczne — ale chciała, żeby nóż był czysty.

Stopniowo uspokajała się w miarę, jak nadchodził zmierzch. Ręce przestały jej się trząść. Bała się wielu rzeczy — najbardziej tego, co nastąpi potem — ale nie bólu. Ból jej nie przerażał.

Kiedy słońce wreszcie dotknęło horyzontu na zachodzie, niebo nagle się zmieniło, przybrało czerwony odcień i Stacy wiedziała, że czekała dostatecznie długo. Grecy nie przyjadą, nie dzisiaj. Pomyślała o nadchodzącej ciemności, jeszcze raz wyobraziła sobie, jak leży samotnie w namiocie, wsłuchana w nocne odgłosy, i zrozumiała, że nie ma wyboru.

Przelotnie pomyślała o modlitwie — o wybaczenie? — ale uświadomiła sobie, że nie ma do kogo się modlić. Nie wierzyła w Boga. Przez całe życie tak mówiła, instynktownie, bezmyślnie, ale teraz po raz pierwszy — mając zrobić to, co zamierzała zrobić — zajrzała w głąb siebie i potwierdziła to z całym przekonaniem. Nie wierzyła.

Zaczęła od lewego ramienia.

Pierwsze cięcie wykonała ostrożnie, na próbę. Nawet teraz, na samym końcu, Stacy uparcie pozostała sobą, nie lubiła się spieszyć. Bolało bardziej, niż się spodziewała. Ale to było w porządku — nie szkodzi — wiedziała, że wytrzyma. A ból sprawił, że to stało się bardziej rzeczywiste, nadal odpowiedni, wagę tym ostatnim chwilom. Za drugim razem cięła głębiej, zaczynając od podstawy nadgarstka i prowadząc ostrze mocno w stronę łokcia.

Krew trysnęła strumieniem.

Stacy przetożyła nóż do lewej ręki. Z trudem trzymała rękojeść — palce jakoś nie chciały się zacisnąć i zrobiły się śliskie od krwi — ale w końcu przycisnęła ostrze do prawego przegubu, ciachnęła w dół.

W zapadającym zmierzchu jej krew wydawała się jakaś ciemniejsza, niż Stacy oczekiwała — wcale nie tak jaskrawa jak krew Erica czy Mathiasa — atramentowa, prawie czarna. Oparła ręce na kolanach i krew spływała jej po nogach, na początku gorąca, potem stopniowo coraz chłodniejsza, tworząc wokół niej kałużę. Dziwnie było pomyśleć, że ten płyn jest jej częścią, że w miarę jego wypływania ubywa jej coraz bardziej.

Kim jestem? — pomyślała.

Majowie patrzyli. Widocznie jakoś wyczuli, że ona jest ostatnia, ponieważ kobiety już zaczynały zwijać obóz, zbierać rzeczy, zawiązywać tobołki.

Stacy zakładała, że jej serce przyspieszy, pompując coraz szybciej z każdą mijającą sekundą, ale stało się wręcz przeciwnie. Wszystko — w środku i na zewnątrz — jakby zwalniało. Dziwiło ją, że czuje się taka spokojna.

Czy wciąż jestem sobą?

Winorośle podpełzały do niej. Słyszała, jak zaczynają wsysać krew z kałuży.

Uświadomiła sobie, że powinna była odciąć linę z kołowrotu.

Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Próbowwała się pocieszać, że to bez znaczenia, że jej trup zostanie tutaj na

straży, ostrzegając wszelkich przyszłych gości, ale wiedziała, że to nieprawda, czuła to, zanim jeszcze łodygi zaczęły ją oplatać i odciągać ze ścieżki. Opierała się ze wszystkich sił, próbowała wstać, ale było za późno. Za bardzo już osłabła. Winorośle przycisnęły ją do ziemi — zakryły ją, pogrzebały. Umarła, czując, że tonie, pamiętając łódkę daleko na morzu, ciężary wciągające jej ciało w głębinę, zielone fale zamykające się nad jej głową.

Grecy przybyli trzy dni później. Przyjechali autobusem do Coba, potem wynajęli żółtą ciężarówkę pickupa, żeby zawiozła ich na W Cancun poznali troje nowych przyjaciół — Brazylijczyków — których zabrali na tę wyprawę. Brazylijczycy nazywali się Antonio, Ricardo i Sofia. Juan i Don Kichot zadurzyli się w Sofii po uszy, chociaż wydawało się, że jest zaręczona z Ricardem. Nie mieli jednak pewności, ponieważ Grecy nie mówili po portugalsku, a Brazylijczycy oczywiście nie znali greki.

Pomimo tego dobrze się bawili razem. Paplali i śmiali się, wędrując przez dżunglę. Ricardo niósł chłodziarkę pełną piwa i kanapek. Antonio zabrał przenośny magnetofon i odtwarzał w kółko tę samą płytę CD — próbował nauczyć Greków salsy. Juan i Don Kichot podrygiwali zawzięcie ze względu na Sofię, żeby słyszeć, jak się śmieje z ich niezdarnych wysiłków.

Nie mogli przegapić odgałęzienia prowadzącego do ruin. Ostatnio zbyt wiele osób tędy przechodziło, żeby dało się ukryć wąską ścieżkę. Ziemia była wydeptana, krzaki połamane.

Akurat kiedy skręcali na ścieżkę, Ricardo zauważył małą dziewczynkę obserwującą ich z drugiego końca pola. Miała jakieś dziesięć lat, nosiła brudną sukienkę i trzymała kozę na sznurku. Wydawała się przestraszona — podskakiwała i machała do nich — więc zatrzymali się i patrzyli. Przywoływali

ją gestami — Ricardo nawet wyjął jedną kanapkę na przynętę — ale nie chciała podejść bliżej, więc w końcu zrezygnowali. Słońce prażyło. Wiedzieli, że są już niedaleko, i niecierpliwili się, żeby dotrzeć na mi Ruszyli ścieżką.

Juan i Antonio zobaczyli, jak dziewczynka rzuca sznurek kozy, biegnie do dżungli. Wzruszyli ramionami, uśmiechnęli się do siebie — kto wie?

Szli wśród drzew, przez mały strumyczek, i nagle znowu znaleźli się w jaskrawym słońcu.

Polana.

A za polaną... wzgórze okryte kwiatami.

Zatrzymali się, oszołomieni pięknem tego miejsca. Ricardo wyjął z chłodziarki butelkę piwa i wypili ją wspólnie. Pokazywali na kwiaty, opisywali je w swoich dwóch językach, powtarzali, jakie są śliczne, jakie zachwycające. Sofia zrobiła zdjęcie.

Potem ruszyli dalej, jedno za drugim.

Nie słyszeli, jak nadjechał pierwszy jeździec. Wspięli się już zbyt wysoko na wzgórze, wołając Pabla po imieniu.